

Powieść nominowana do Nagrody Bookera

# Świat w płomieniach

Siri Hustvedt

Dowcipna i nieprzewidywalna.  
Ta książka rozpali świat.  
„The Financial Times”

w  
ab  
yż  
two



Siri Hustvedt

# ŚWIAT W PŁOMIENIACH

przełożył Jerzy Kozłowski

Tytuł oryginału: *The Blazing World*

Copyright © 2014 by Siri Hustvedt

Copyright © for the Polish edition by Grupa Wydawnicza Foksal, MMXVII

Copyright © for the Polish translation by Jerzy Kozłowski, MMXVII

Wydanie I

Warszawa, MMXVII

## Spis treści

Słowo wstępne redaktora

Harriet Burden

Cynthia Clark

Maisie Lord

Harriet Burden

Oswald Case

Rachel Briefman

Kompendium trzynastu punktów

Harriet Burden

Rosemary Lerner

Bruno Kleinfeld

Maisie Lord

Sweet Autumn Pinkney

Anton Tish

Rachel Briefman

Phineas Q. Eldridge

Alfabet przybliżający kilka znaczeń sztuki i tworzenia

Harriet Burden

Bruno Kleinfeld

Oswald Case

Barometr

Maisie Lord

Patrick Donan

Zachary Dortmund

Harriet Burden

Harriet Burden

Harriet Burden

Harriet Burden

Harriet Burden

Rachel Briefman

Phineas Q. Eldridge

Richard Brickman

William Burridge

Depesza skądinąd

Harriet Burden

Harriet Burden

Maisie Lord

Bruno Kleinfeld

Timothy Hardwick

Kirsten Larsen-Smith

Harriet Burden

Harriet Burden

Harriet Burden

Harriet Burden

Sweet Autumn Pinkney

Przypisy

## Słowo wstępne redaktora

„Wszelkie poczynania intelektualne i artystyczne, nawet o charakterze żartu, ironii i parodii, wypadają lepiej w umyśle tłumu, gdy ów tłum wie, że gdzieś za tym wielkim dziełem lub wielką mistyfikacją kryje się fiut z jajami”. Na to prowokacyjne zdanie natknąłem się w 2003 roku w liście do redakcji opublikowanym na łamach „The Open Eye”, interdyscyplinarnego periodyku, którego wiernym czytelnikiem byłem od kilku lat. Autor listu, niejaki Richard Brickman, nie napisał tego zdania. Cytował artystkę, z której nazwiskiem nigdy wcześniej się nie spotkałem: Harriet Burden. Brickman twierdził, że Burden opisała mu swój projekt w długim liście z prośbą, żeby go nagłośnił. Chociaż w latach siedemdziesiątych i osiemdziesiątych Burden wystawiała swoje prace w Nowym Jorku, rozczarowana ich przyjęciem całkowicie wycofała się ze świata sztuki. Pod koniec lat dziewięćdziesiątych rozpoczęła eksperyment, który trwał w sumie pięć lat. Według Brickmana Burden zaangażowała kolejno trzech mężczyzn, podstawiając ich jako autorów swoich prac. Trzy wystawy indywidualne w trzech nowojorskich galeriach, przypisywane Antonowi Tishowi (1998), Phineasowi Q. Eldridge’owi (2002) i artyście posługującemu się pseudonimem Rune (2003), w rzeczywistości stworzyła Burden. Całemu projektowi nadała tytuł *Pozoracje* i ogłosiła, że miał on nie tylko ukazać dyskryminację kobiet w świecie sztuki, lecz także zwrócić uwagę na złożoność ludzkiej percepcji oraz na to, w jaki sposób podświadome wyobrażenia o płci, rasie i sławie wpływają na rozumienie danego dzieła sztuki przez odbiorców.

Brickman posunął się jeszcze dalej. Otóż Burden twierdziła ponoć, że przyjęty przez nią pseudonim oddziaływał na charakter powstającego obiektu. Innymi słowy: mężczyzna, który służył jej za maskę, miał wpływ na to, jaki *rodzaj* sztuki tworzyła. „Każda z artystycznych masek stała się dla Burden «postacią imaginatywną», wizualnym rozwinięciem «hermafrodytycznej jaźni», o której nie można powiedzieć, że należy do niej albo do maski, lecz do «mieszanej rzeczywistości powstałej między nimi»”.

Mnie, profesora estetyki, projekt ten z miejsca zafascynował swoją ambicją, lecz także filozoficzną złożonością i wyrafinowaniem. Jednocześnie intrygował mnie list Brickmana. Dlaczego Burden nie opublikowała oświadczenia pod własnym nazwiskiem? Dlaczego oddała głos Brickmanowi? Brickman twierdził, że sześćdziesięciostronicowy list, który Burden nazwała „Pismem z krainy fikcyjnego istnienia”, pojawił się niezapowiedziany w jego skrzynce i że

wcześniej nie wiedział o istnieniu tej artystki. Ton listu Brickmana także jest zastanawiający – wyczuwa się na przemian protekcjonalność i podziw. Brickman krytykuje list Burden, jego zdaniem hiperboliczny i nienadający się do opublikowania w piśmie akademickim, a potem cytuje przypisywane jej fragmenty z wyraźną aprobatą. Jego list wywołał we mnie ambiwalentne odczucia, a sam Brickman, którego komentarz skutecznie zaciemnia oryginalny przekaz Burden, budził we mnie irytację. Natychmiast sprawdziłem trzy wymienione ekspozycje, *Historię sztuki zachodniej* Tisha, *Duszne pokoje* Eldridge’a i *Poniżej* Rune’a, z których każda wizualnie różniła się od pozostałych. Jednakowoż wychwyliłem w nich coś, co nazwałbym „rodzinnym podobieństwem”. Każda z wystaw – Tisha, Eldridge’a i Rune’a – rzekomo autorstwa Burden, była sama w sobie frapująca artystycznie, mnie jednak szczególnie zaintrygował jej eksperyment, stanowił bowiem odzwierciedlenie moich własnych intelektualnych poszukiwań.

W tamtym roku byłem przeciążony obowiązkami akademickimi. Tymczasowo pełniłem na wydziale funkcję prodziekana i dopiero trzy lata później mogłem zaspokoić swoją ciekawość co do *Pozoracji*, gdy wystarałem się o roczny urlop na dokończenie książki *Mnogie głosy i wielorakie wizje*, w której omawiam teksty Sørensa Kierkegaarda, Michaiła Michajłowicza Bachtina i historyka sztuki Aby’ego Warburga. Przedstawiony przez Brickmana opis projektu Burden i jej „postaci imaginatywnej” (określenie zaczerpnięte z Kierkegaarda, w oryginale *den digteriske personlighed*) idealnie zazębiał się z moimi zainteresowaniami, postanowiłem więc odszukać Brickmana za pośrednictwem „The Open Eye” i usłyszeć, co osobiście ma mi do powiedzenia.

Peter Wentworth, redaktor naczelny pisma, odnalazł korespondencję e-mailową z Brickmanem – kilka lakonicznych wiadomości związanych z publikacją. Gdy jednak próbowałem dotrzeć do Brickmana, okazało się, że jego konto pocztowe zostało zlikwidowane. Wentworth udostępnił mi esej opublikowany przez niego w „The Open Eye” dwa lata przed listem i przypomniałem sobie wtedy, że już go czytałem: zawiły tekst krytyczny o debatach, które toczono wokół pojęć w filozofii analitycznej, co nieszczególnie mnie interesowało. Wentworth twierdził, że Brickman obronił rozprawę doktorską z filozofii na Uniwersytecie Emory i uzyskał asystenturę w St. Olaf College w Northfield w stanie Minnesota. Gdy jednak skontaktowałem się z tą drugą uczelnią, okazało się, że żaden Richard Brickman tam nie wykłada ani nigdy nie wykładał. Nie muszę dodawać, że na Uniwersytecie Emory też nikt nie słyszał o doktorancie o tym nazwisku. Postanowiłem zwrócić się bezpośrednio do Harriet Burden, ale

gdy udało mi się odnaleźć w Nowym Jorku jej córkę, Maisie Lord, Burden nie żyła już od dwóch lat.

Pomysł na tę książkę zrodził się podczas mojej pierwszej rozmowy telefonicznej z Maisie Lord. Chociaż wiedziała o liście Brickmana, zdziwiła ją wiadomość, że jego autor nie jest osobą, za którą się podaje. Jeśli w ogóle istnieje. Maisie przypuszczała, że jej matka była z nim w kontakcie, ale nie znała żadnych szczegółów łączącej ich relacji. Wszystkie prace Harriet Burden zostały skatalogowane i zmagazynowane, zanim odbyłem rozmowę z Maisie, która od kilku lat przygotowywała film dokumentalny o matce. Film zawiera między innymi czytane przez lektora fragmenty dwudziestu czterech prywatnych dzienników, które Harriet Burden zaczęła prowadzić po śmierci męża, Felixa Lorda, w 1995 roku, każdy oznaczony inną literą alfabetu. Maisie nie pamiętała żadnej wzmianki o Brickmanie w dziennikach matki. (Ja sam znalazłem w dwóch miejscach inicjały R.B., przypuszczalnie Richard Brickman, ale nic ponad to). Maisie była jednak przekonana, że matka pozostawiła w swych zapiskach wiele „tropów” dotyczących nie tylko jej pseudonimowego projektu, lecz także – jak to ujęła – „tajników swej osobowości”.

Dwa tygodnie po naszej rozmowie telefonicznej polecałem do Nowego Jorku, gdzie spotkałem się z Maisie, jej bratem Ethanem Lordem oraz Brunonem Kleinfeldem, przyjacielem Burden, i z każdym z nich długo rozmawiałem. Obejrzałem setki prac, których Burden nigdzie nie wystawiła, a jej dzieci poinformowały mnie, że jej twórczość została właśnie przyjęta przez prestiżową nowojorską Grace Gallery. Retrospektywa Burden zorganizowana w 2008 roku przyniosła jej szacunek i uznanie, których artystka tak rozpaczliwie pragnęła, i na dobrą sprawę pozwoliła jej post mortem zaistnieć w świecie sztuki. Maisie pokazała mi roboczą kopię swojego filmu i co najistotniejsze, udostępniła mi dzienniki matki.

Gdy przeglądałem setki stron, które wyszły spod pióra Burden, jej zapiski na przemian fascynowały mnie, drażniły i frustrowały. Prowadziła po kilka dzienników jednocześnie. Część wpisów opatrywała datą, innych nie. Opracowała system odnośników między poszczególnymi zeszytami, który czasem był czytelny, innym zaś razem wydawał się niezmiernie skomplikowany lub po prostu absurdalny. Ostatecznie zrezygnowałem z prób rozszyfrowania go. Pismo Burden na niektórych stronach kurczy się i staje nieczytelne, na innych znowu ogromnie tak bardzo, że na jednej stronie mieści się ledwie kilka zdań. Niektóre fragmenty tekstu przysyłają nachodzące nań rysunki. Kilka dzienników aż pęka w szwach od wpisów, inne zaś zawierają tylko kilka



akapitów. Zeszyt „A” i zeszyt „U” mają w dużej mierze charakter autobiograficzny, ale nie całkowicie. Burden prowadziła szczegółowe notatki o artystach, których uwielbiała, zajmujące czasem po wiele stron. Vermeer i Velázquez na przykład mieszczą się razem pod „V”. Louise Bourgeois ma swój osobny zeszyt – „L”, nie „B”, lecz „L” zawiera też dygresje na temat dzieciństwa i psychoanalizy. W zeszycie „W” (William Wechsler) znajdują się notatki na temat prac Wechslera, lecz także długie komentarze do *Tristrama Shandy’ego* Lawrence’a Sterne’a i *Fantominy* Elizy Heywood, a także uwagi na temat Horacego.

Wiele dzienników to w gruncie rzeczy notatki o przeczytanych lekturach, bardzo licznych i zahaczających o wiele różnych dziedzin: literaturę, filozofię, lingwistykę, historię, psychologię i neuronaukę. Z nieznanых powodów John Milton i Emily Dickinson znaleźli się wspólnie w zeszycie „G”. Kierkegaard jest pod „K”, ale Burden pisze tam też o Kafce, a także, w kilku akapitach, o cmentarzach. W zeszycie „H”, od Edmunda Husserla, Burden poświęca kilka stron jego idei „intersubiektywnego konstytuowania obiektywności” i wpływowi tej koncepcji na nauki przyrodnicze, lecz także przeskakuje na Maurice’a Merleau-Ponty’ego, Mary Douglas i „fantastyczny scenariusz” o przyszłości sztucznej inteligencji. „Q” dotyczy teorii kwantowej i jej ewentualnego zastosowania w teoretycznym modelu mózgu. Na pierwszej stronie zeszytu „F” (przypuszczalnie od łacińskiego *femina*) Burden pisze: „Hymny na cześć płci pięknej”, po czym na kolejnych stronach zamieszcza dziesiątki cytatów. Wystarczy drobna próbka, aby dać o nich pewne pojęcie. Hezjod: „Kto ufa kobiecie – ufa złodziejowi”. Tertulian: „Kobieta jest bramą piekieł”. Victor Hugo: „Pan Bóg stworzył mężczyznę, a kobietę – diabeł”<sup>1</sup>. Pound (Pieśń XXIX): „Kobieta / jest żywiołem, kobieta / Jest chaosem, ośmiornicą / Procesem biologicznym”. Obok tych przykładów jawnej mizoginii Burden na jednej stronie wpięła spinaczem dziesiątki artykułów z gazet i czasopism i oznaczyła je hasłem „wymazane”. Te różnorodne wycinki nie miały żadnego tematu przewodniego i zastanawiałem się, dlaczego je ze sobą połączyła. I wtedy zaświtało mi w głowie, że jednak mają coś wspólnego: zestawienia. W każdym artykule zamieszczono listę współczesnych artystów, powieściopisarzy, filozofów i naukowców, na której nie pojawia się nazwisko ani jednej kobiety.

Pod „V” Burden powołuje się również na publikacje naukowe, z cytatami lub bez. Znalazłem następujące przytoczenie: „Wyobrażenie «kobiety jako potwora» – urzeczywistnione w wizerunkach kobiet jako węży, pajaków, gadzich istot pozaziemskich i skorpionów – jest bardzo pospolite w literaturze dla chłopców nie tylko w Stanach Zjednoczonych, ale także

w Europie i Japonii (zob. T, s. 97)<sup>2</sup>. Odwołanie w nawiasie dotyczy zeszytu „T”, od „teratologii”, nauki o potwornościach, która, jak Burden wyjaśnia na pierwszej stronie, jest „kategorią niebędącą kategorią, kategorią mieszczącą coś, czego nie można pomieścić”. Intrygowały ją potwory i zbierała wzmianki o nich zarówno w literaturze naukowej, jak i w literaturze pięknej. Na stronie dziewięćdziesiątej siódmej zeszytu „T” Burden cytuje Rabelais’go, którego komiczne potwory odmieniły oblicze literatury, i wskazuje, że Gargantua nie przychodzi na świat przez typowy otwór: „Od tej dolegliwości rozluźniły się ku górze kosmki maciczne, między którymi przemknęło się dziecko i dostało się do żyły zwanej czczą; stamtąd, przeciskając się przez przeponę aż powyżej łopatek, gdzie ta żyła dzieli się na dwoje, obróciło się na lewo i wyszło lewym uchem”<sup>3</sup>. Zaraz potem Burden dopisuje: „Ale potwór nie zawsze jest rabelaisowskim cudakiem o wilczym apetycie i bezgranicznej wesołości. Często jest samotny i niezrozumiany (zob. M i N)”.

Dwa gęsto zapisane zeszyty („M” i „N”) traktują o twórczości Margaret Cavendish, księżnej Newcastle (1623–1673), i materialistycznym organicyzmie, który rozwinęła jako myślicielka w wieku dojrzałym. W zeszytach tych omówione są także dzieła Kartezjusza, Hobbesa, More’a i Gassendiego. Burden łączy Cavendish ze współczesnymi filozofami takimi jak Suzanne Langer i David Chalmers, lecz także między innymi z fenomenologiem Danem Zahavim i neurobiologiem Vittorioem Gallesem. Po przeczytaniu tychże fragmentów znajomy neurobiolog, Stan Dickerson, który nigdy nie słyszał ani o Burden, ani o Cavendish, uznał, że wywód Burden jest „nieco bezładny, ale przekonujący i erudycyjny”.

Chociaż Cavendish żyła w siedemnastym wieku, służyła Harriet Burden za alter ego. Księżna publikowała wiersze, prozę i dzieła z filozofii przyrody. Chociaż garstka współczesnych broniała jej twórczości i darzyła ją podziwem – w szczególności jej mąż, William Cavendish – księżna czuła się brutalnie skrępowana więzami płci i wielokrotnie wyrażała nadzieję, że znajdzie czytelników oraz poklask w przyszłych pokoleniach. Lekceważona przez wielu z tych, z którymi chciałaby polemizować, Cavendish stworzyła świat interlokutorów w swoich tekstach. Sądzę, że tak jak w przypadku Cavendish, nie sposób zrozumieć Burden, jeśli nie weźmie się pod uwagę dialogowości jej myśli i sztuki. Wszystkie zeszyty Burden można odczytać jako formę dialogu. Niezmiennie przeskakuje z pierwszej osoby do drugiej i trzeciej. Niektóre fragmenty zostały napisane jako spór między dwiema wersjami jej osoby. Jeden głos wygłasza twierdzenie. Drugi je podważa. Jej zeszyty stały się polem bitwy na papierze dla jej ambiwalentnego gniewu

i podzielonego intelektu.

Burden uskarża się z goryczą na seksizm w kulturze, zwłaszcza w świecie sztuki, ale ubolewa też nad swoją „samotnością intelektualną”. Analizuje tę izolację i ostro atakuje tych, których postrzega jako swych wrogów. Jednocześnie jej styl (jak u Cavendish) jest nacechowany przesadą i pompatycznością: „Jestem Buntem. Operą. Groźbą”, wyznaje we wpisie, w którym wprost omawia swoje duchowe powinowactwo z Cavendish. Tak jak u księżnej, chęć zdobycia poklasku za życia przeobraziła się u Burden w nadzieję, że jej twórczość w końcu zostanie zauważona, jeśli nie za jej życia, to przynajmniej po śmierci.

Burden pisała tak dużo i tak obszernie, że mój redaktorski dylemat sprowadzał się do podstawowego pytania: Co zostawić, a co wyrzucić? Część zeszytów zawiera ezoteryczny materiał niezrozumiały dla nikogo prócz osób dobrze zorientowanych w historii filozofii, nauce lub historii sztuki. Niektóre odwołania zupełnie zbiły mnie z tropu i nawet po ich odszukaniu ich sens w kontekście tego, co pisała, często pozostawał dla mnie niejasny. Skupiłem się na *Pozoracjach* i włączyłem tylko te fragmenty, które są bezpośrednio lub pośrednio związane z tym pseudonimowym projektem. Pierwsze wyjątki z dzienników Burden w niniejszej książce zostały zaczerpnięte z zeszytu „S” (może od „spowiedzi” lub „sekretów”), pamiętnika, który Burden zaczęła pisać na początku 2002 roku, po swych sześćdziesiątych drugich urodzinach, ale który najwyraźniej porzuciła, by wrócić do innych zeszytów i bardziej fragmentarycznego stylu.

Uznałem mimo wszystko za wskazane, by z różnorodnego materiału pozostawionego przez Burden skonstruować swoistą historię. Ethan Lord zasugerował, że dobrze byłoby zebrać pisemne lub ustne relacje osób bliskich jego matce, dzięki czemu *Pozoracje* zyskałyby dodatkową perspektywę, a ja przyznałem mu rację. Postanowiłem poprosić o wypowiedź osoby, które wiedziały o projekcie Burden lub w ten czy inny sposób były z nim związane.

Od retrospektywy w Grace Gallery zainteresowanie twórczością Harriet Burden gwałtownie wzrosło, mimo że jej „maski” wciąż budzą kontrowersje, zwłaszcza współpraca z ostatnim i zdecydowanie najślynniejszym artystą z całej trójki – Rune'em. Chociaż istnieje konsensus co do tego, że to Burden stworzyła *Historię sztuki zachodniej*, a także *Duszne pokoje*, relacje o tym, jak przebiegała w rzeczywistości współpraca między nią a Rune'em, różnią się między sobą. Niektórzy są przekonani, że Burden w żaden sposób nie przyczyniła się do powstania instalacji *Poniżej* lub że jej wkład jest niewielki, inni zaś mają pewność, że całość stworzyła Burden bez udziału Rune'a. Jeszcze inni twierdzą, że *Poniżej* to wspólne dzieło ich

dwojga. Może się okazać, że jednoznaczne ustalenie, kto odpowiada za powstanie tego dzieła, nie jest możliwe, chociaż wiemy na pewno, że Burden czuła się zdradzona przez Rune'a i zwróciła się przeciw niemu. Była też przekonana, że wykradł cztery prace z jej studia, aczkolwiek nikt nie potrafi wyjaśnić, jak mogło dojść do tej kradzieży. Budynek był zamknięty i wyposażony w system alarmowy. *Okna*, cykl dwunastu prac, sprzedano jako dzieła Rune'a. Ten tuzin eksponatów przypomina obiekty tworzone przez Burden i jest co najmniej prawdopodobne, że cztery z nich są jej autorstwa, nie Rune'a.

W niniejszym tomie nie można było zawrzeć wersji wydarzeń Rune'a. Jego szeroko komentowana śmierć w 2004 roku, niewykluczone, że samobójcza, stała się medialną sensacją. Karierę artysty obszernie udokumentowano. Jego wystawy doczekały się licznych recenzji, zainteresowani mają też do dyspozycji wiele artykułów krytycznych oraz kilka książek o nim i o jego twórczości. Zależało mi jednak, by w tej publikacji opinia Rune'a miała swoją reprezentację, poprosiłem zatem Oswalda Case'a, dziennikarza, a także przyjaciela i biografę Rune'a, by dodał do tego wydawnictwa swoją cegiełkę. Uprzejmie się zgodził. Innymi współautorami tej pracy są Bruno Kleinfeld, Maisie i Ethan Lordowie, Rachel Briefman – bliska przyjaciółka Burden, Phineas Q. Eldridge – jej druga „maska”, Alan Dudek (zwany także Barometrem), który mieszkał u Burden, oraz Sweet Autumn Pinkney, która asystowała przy *Historii sztuki zachodniej*, znajoma Antona Tisha.

Pomimo tytanicznych wysiłków nie byłem w stanie dotrzeć do Tisha, którego relacja o jego współpracy z Burden byłaby bezcenna. Częścią tej publikacji jest natomiast udzielony przez niego krótki wywiad. W 2008 roku zwróciłem się listownie do siostry Rune'a, Kirsten Larsen-Smith, z prośbą o wywiad na temat współpracy jej brata z Burden, ale odmówiła, tłumacząc, że nie jest w stanie rozmawiać o bracie, wciąż bowiem jest zbyt poruszona jego przedwczesną śmiercią. Potem, w marcu 2011, gdy już zgromadziłem i zredagowałem wszystkie materiały do książki, zadzwoniła do mnie z wiadomością, że postanowiła spełnić moją prośbę i udzielić mi wywiadu. Nasza rozmowa została dołączona do niniejszego wydawnictwa. Jestem niezmiernie wdzięczny Kirsten Larsen-Smith za szczerść i odwagę.

Załączyłem ponadto krótki esej pióra Rosemary Lerner, krytyczki sztuki, która obecnie pracuje nad książką poświęconą Burden, wywiady z dwoma marszandami, którzy wystawiali „maski” Burden, i parę krótkich recenzji opublikowanych po premierze *Duszných pokoi*, wystawy, która spotkała się z dużo mniejszym zainteresowaniem niż pozostałe dwie części

tryptyku. Do zbioru dodany został również artykuł Timothy'ego Hardwicka, wydrukowany po śmierci Rune'a, przytacza bowiem poglądy Rune'a na temat sztucznej inteligencji – temat ten interesował także Burden, choć z jej notatek wynika, że nie zgadzali się w tej kwestii.

Czuję się w obowiązku poruszyć sprawę ewentualnej choroby psychicznej naszej bohaterki. Chociaż w eseju poświęconym Burden w „Art Lights” Alison Shaw nazwała artystkę „wzorem przytomności w nieprzytomnie dyskryminacyjnym świecie”, Alfred Tong w artykule dla „Blank: A Magazine of the Arts” zajmuje zgoła odmienne stanowisko:

*Harriet Burden była kobietą bogatą. Po wyjściu za mąż za znanego marszanda i kolekcjonera Felixa Lorda nie musiała nigdy pracować. Gdy jej mąż zmarł w roku 1995, przeszła ciężkie załamanie nerwowe i była leczona psychiatrycznie. Pozostała pod opieką psychoterapeuty do końca życia. Mówiono o niej, że jest ekscentryczna, paranoiczna, zapalczywa, histeryczna, a nawet agresywna. Na oczach kilku osób zaatakowała fizycznie Rune'a na nadbrzeżu w Red Hook. Usłyszałem od jednego z naocznych świadków, że Rune był po tym zdarzeniu zakrwawiony i poobijany. Nie mieści mi się w głowie, jak można twierdzić, że Burden była osobą wystarczająco zrównoważoną, by stworzyć Poniżej, skomplikowaną, wymagającą olbrzymiej dyscypliny instalację, przypuszczalnie najwybitniejsze dzieło Rune'a.*

W przytoczonych fragmentach dzienników Burden pisze o swych cierpieniach po śmierci męża, pisze też o doktorze Adamie Fertigu, wobec którego czuła się zobowiązana. Tong ma rację, że nie przestawała widywać się z Fertigiem, psychiatrą i psychoanalitykiem, przez osiem ostatnich lat swego życia. Dwa razy w tygodniu uczęszczała do niego na psychoterapię. Jest też prawdą, że uderzyła Rune'a na oczach świadków. Jednak wnioski, które wyciąga z tych faktów Tong, są w dużej mierze bezpodstawne. Autorka dzienników jest osobą wrażliwą, cierpiącą, gniewną i jak większość z nas podatną na neurotyczne zaburzenia pamięci. Częstokroć na przykład zdaje się zapominać, że to w następstwie *własnej* decyzji porzuciła świat sztuki. Wystawiała swoje prace za co najmniej dwiema, jeśli nie trzema, męskimi maskami, nie chciała jednak udostępnić prac, które zgromadziła przez lata, ani jednemu marszandowi, co dość dobitnie świadczy o autosabotażu.

Uważna lektura dwudziestu czterech zeszytów, a także tekstów i wypowiedzi osób, które ją dobrze znały, pozwoliła mi wyrobić sobie zniuansowany pogląd na temat Harriet Burden, artystki i kobiety, ale podczas sześciu lat (z przerwami) pracy nad niniejszym tomem – gdy

rozszyfrowywałem jej pismo, tropiłem w miarę możliwości wszelkie odnośniki i odwołania i starałem się odnaleźć sens w jej wieloznacznych wypowiedziach – przyznaję, niekiedy ogarniało mnie nieprzyjemne wrażenie, że duch Harriet Burden śmieje się za moimi plecami. Kilkakrotnie w swoich dziennikach nazywa samą siebie szarlatanem, i wydaje się, że znajdowała wielką przyjemność we wszelkiego rodzaju podstępach i grach. W zeszytowym alfabecie Burden brakuje tylko dwóch liter: „I” i „O”. Litera „I” to oczywiście angielski zaimek pierwszoosobowy i zacząłem się zastanawiać, jak Burden mogła się oprzeć założeniu dziennika pod tą literą i czy gdzieś go nie ukryła, choćby po to, żeby zagrać na nosie takim osobom jak ja, które – na co przecież liczyła – w końcu dostrzegą ją i jej twórczość. Wygląda na to, że w jej zeszytach istnieją dwa odniesienia do „I”, chociaż mogła mieć na myśli cyfrę „1”. Co do „O”, jest to zarówno litera, jak i cyfra, nieważność, otwór, pustka. Być może celowo wyłączyła tę literę ze swego alfabetu. Nie wiem. A Richard Brickman? W Stanach Zjednoczonych mieszka kilkuset Richardów Brickmanów, ale przypuszczam, że Brickman to jeszcze jeden pseudonim Burden. Gdy dowiedziałem się od Ethana, że jego matka w roku 1986 opublikowała przynajmniej jedną pracę krytyczną pod groteskowym nazwiskiem Roger Raison, nabrałem pewności, że moja hipoteza jest słuszna, chociaż nie mam absolutnie żadnych dowodów na jej poparcie.

Niech czytelnicy niniejszej książki sami osądzą, co miała, a czego nie miała na myśli Harriet Burden i czy można zaufać temu, co pisze na własny temat – to być może najlepsze rozwiązanie. Historia, która wyłania się z tej antologii głosów, jest intymna, pełna sprzeczności i – sam przyznaję – dosyć osobliwa. Dołożyłem wszelkich starań, żeby zestawić poszczególne teksty w sensownym porządku i opatrzyć wypowiedzi Burden przypisami, gdy wymagały one dodatkowego wyjaśnienia, słowa jednak należą do współautorów tej książki i pozwoliłem im wybrzmieć bez nadmiernej interwencji redakcyjnej.

Na koniec muszę dodać kilka słów na temat tytułu niniejszego woluminu. W zeszycie „Z” (przypuszczalnie od „zmartwychwstania”, „zjawy” i „zaświatów” – wszystkie trzy słowa pojawiają się wielokrotnie) po dwudziestu stronach traktujących o duchach i snach następuje puste miejsce podpisane słowami *Domowe potwory*. Był to tytuł roboczy do czasu, aż otrzymałem wszystkie teksty, ułożyłem je w obecnym porządku i przeczytałem raz jeszcze. Uznałem, że do całościowej relacji lepiej pasuje tytuł, który Burden zapożyczyła od Cavendish i nadała go ostatniej pracy, jaką zdołała ukończyć przed śmiercią: *Świat w płomieniach*.

I.V. Hess

## Postscriptum

Tuż przed odesłaniem niniejszej książki do druku otrzymałem od Maisie i Ethana Lordów wiadomość, że odnaleźli właśnie kolejny notes – zeszyt „O”. Jego zawartość dostarcza dalszych informacji o związkach Harriet Burden z Rune’em i ujawnia, że Richard Brickman jest, jak się wcześniej domyślałem, pseudonimem samej Burden. Najważniejsze fragmenty tego zeszytu zostały dołączone do publikacji, ale jako że nie wpłynęły w żaden istotny sposób na moją opinię o artystce, pozostawiłem słowo wstępne bez zmian. Jeśli kiedyś książka ta doczeka się wznowienia i jeśli odnaleziony zostanie zeszyt „I” (który istnieje, jestem o tym przekonany), możliwe, że będę musiał wrócić do mojej przedmowy i odpowiednio ją przeredagować.

*I.V.H.*

## Harriet Burden

Zeszyt „S” (fragment wspomnień)

Zaczęłam je tworzyć jakiś rok po śmierci Felixa – totemy, fetysze, symbole, istoty podobne i niezbyt do niego podobne, dziwaczne ciała różnego rodzaju, które budziły strach w naszych dzieciach, chociaż te były już dorosłe i od dawna ze mną nie mieszkały. Podejrzywały, że moja rozpacz po mężu wymknęła się spod kontroli, zwłaszcza gdy uznałam, że niektóre z tych figur muszą być podgrzewane, żeby czuło się ciepło, gdy się je obejmie. Maisie próbowała mnie temperować: Mamo, to przesada. Musisz się opamiętać, mamo. Wiesz, nie jesteś już młoda. A Ethan, jak to Ethan, wyraził dezaprobatę, nazywając moje twory „matczynymi monstrami”, „tatuškami” i „*pater horribilan*”. Tylko Aven, cudownej wnuczce, podobały się moje ukochane bestyjki. Nie miała wtedy jeszcze dwóch latek i podchodziła do nich z wielką powagą i delikatnością. Uwielbiała przykładac policzek do emanującego ciepłem brzucha i gaworzyć.

Muszę się jednak trochę cofnąć. Spisuję to wszystko, bo nie mam zaufania do czasu. Ja, Harriet Burden, znana też starym przyjaciółom i wybranej garstce nowych jako Harry, mam sześćdziesiąt dwa lata, nie jestem staruszką, ale zmierzam już ku MECIE, i tyle mam jeszcze do zrobienia, zanim któraś z moich dolegliwości okaże się guzem, zapomniane imię początkiem demencji albo zanim zbłąkana ciężarówka wjedzie na chodnik i zrobi ze mnie placek na ścianie. Życie jest jak spacer na palcach po polu minowym. Nigdy nie wiemy, co nas czeka, a jeśli ktoś chce znać moje zdanie, nie mamy też zbyt dobrej orientacji w tym, co już się wydarzyło. Chociaż chętnie snujemy różne historie o przeszłości, wysilając mózgowicę, żeby niczego nie pokręcić.

Początki są zagadką. Mama i tata. Pływający płód. *Ab ovo*. W życiu wiele jest jednak chwil, które można nazwać narodzinami, musimy tylko zrozumieć ich prawdziwą naturę. Jedliśmy z Felixem śniadanie w starym mieszkaniu na Park Avenue 1185. Stuknął w skorupkę jajka na miękko, jak co rano, energiczne pacnięcie nożem, po czym podniósł do ust łyżeczkę z biało-płynnożółtą zawartością. Patrzyłam na niego, bo sprawiał wrażenie, jak gdyby chciał mi coś powiedzieć. Przez krótką chwilę na jego twarzy malowało się zdziwienie, łyżeczka upadła na stół, potem na podłogę, a on osunął się, lądując czołem na grzance z masłem. Nikłe światło zza okna padało na stół przykryty niebiesko-białym obrusem, odłożony nóż leżał oparty o spodek z filiżanką kawy; zielona solniczka i pieprzniczka stały kilka centymetrów od jego lewego ucha.



Zarejestrowałam ten obraz męża z głową na talerzu najwyżej w ułamku sekundy, ale wyrzył mi się w pamięci tak silnie, że wciąż staje mi przed oczami, chociaż wtedy zerwałam się z miejsca i podniosłam mu głowę, próbowałam wyczuć puls, wezwałam pogotowie, cuciałam go, mamrotałam swoje mętne świeckie modlitwy, a potem siedziałam w karetce z sanitariuszami i słuchałam zawodzenia syreny. Wtedy już zamieniłam się w kobietę z kamienia, widza, który jest także jednym z aktorów przedstawienia. Pamiętam to wszystko wyraźnie, a jednak jakaś część mnie wciąż siedzi tam przy stoliku w długiej, wąskiej kuchni, pod oknem, i przygląda się Felixowi. Ten fragment Harriet Burden nigdy nie wstał i nie odszedł od stołu.

Przejechałam przez most i kupiłam budynek na Brooklynie, w tamtych czasach dużo bardziej obskurnym niż dzisiaj. Chciałam zostawić za sobą świat sztuki na Manhattanie, tę kumoterską, materialistyczną, rozplotkowaną globulę złożoną z postaci, które kupują i sprzedają estetyczne *objets*. Trzeba przyznać, że w tym wydelikacjonowanym mikrokosmosie Felix był gigantem, marszandem gwiazd, a ja gargantuiczną żoną artystką. Żona wyparła jednak artystkę i po odejściu Felixa mieszkańcy tego *beau monde* mieli w nosie, czy ich zostawię i zaszyję się na tym wygwizdowie o nazwie Red Hook. Wcześniej reprezentowało mnie dwóch marszandów; obaj zerwali ze mną współpracę, jeden po drugim. Moje prace nigdy nie znajdowały wielu nabywców i mało się o nich mówiło, ale przez trzydzieści lat pełniłam rolę gospodyni dla całej tej zgrai – kolekcjonerów, artystów i recenzentów – towarzystwa wzajemnej adoracji tak ze sobą zrosniętego i splątanego, że ich tożsamości zdawały się ze sobą zlewać. Zanim się pożegnałam z tym wszystkim, nowe „wzięte” twarze, świeżo po akademii, już zaczęły się w moich oczach do siebie upodabniać, ze swoją sztuką opartą na filmie lub performansie, pretensjonalną gadką i nietrafionymi odniesieniami do teorii. Te dzieciaki przynajmniej żyły nadzieją. Ale wskazówki czerpały z beznadziejnych źródeł – od kretynów piszących do „Art Assembly”, hermetycznego pisemka, które regularnie odgrzewało stare kotlety z resztek francuskiej teorii literatury dla swych wygłodniałych, równie niedouczonej czytelników. Całymi latami tak bardzo się starałam trzymać język za zębami, że o mało go nie połknęłam. Całymi latami krążyłam wokół stołu w jadalni w rozmaitych kostiumach, barwnych i ekscentrycznych, mając przed sobą płótno Paula Klee, i kierowałam ruchem wprawnymi gestami, uśmiechnięta, wiecznie uśmiechnięta.

Felix Lord odkrył mnie, gdy stałam w galerii w SoHo pewnego późnego sobotniego popołudnia i podziwiałam obraz artysty Hieronima Hirscha<sup>4</sup>, o którym dawno już zapomniano, ale w latach sześćdziesiątych miał swoje pięć minut chwały. Miałam dwadzieścia sześć lat. Felix

– czterdzieści osiem. Ja miałam metr osiemdziesiąt osiem. On metr siedemdziesiąt osiem. On był bogaty. Ja biedna. Powiedział mi, że z tymi włosami wyglądam, jakby mi zaaplikowano elektrowstrząsy, i że powinnam coś z tym zrobić.

To była miłość.

I orgazmy, wiele orgazmów, w miękkiej, wilgotnej pościeli.

I fryzura, bardzo krótka.

I małżeństwo. Moje pierwsze. Jego drugie.

To były rozmowy – o obrazach, rzeźbach, fotografiach i instalacjach. I o kolorach, dużo rozmów o kolorach. Naznaczały nas oboje, wypełniały nasze trzewia. To było czytanie na głos jedno drugiemu książek i rozmowy o nich. Miał piękny głos z chrypką od papierosów, których nigdy nie potrafił rzucić.

I dzieci, na które uwielbiałam patrzeć, małe Lordziątka, przyjemne w dotyku rozkoszne połączenie miękkiego ciała i płynów. Co najmniej trzy lata tonęłam w mleku, kupach, sikach, ślinie, pocie i łzach. To był raj. Wycieńczający raj. Nudny raj. Słodki, ekscytujący, a czasem, co ciekawe, bardzo samotny.

Maisie, maniakalna narratorka strumienia życia, szczebiotliwy głosik grzmiącego, brzęczącego zagubienia. Wciąż mówi, dużo, bardzo, bardzo dużo.

Ethan, dziecko metodyczne, najpierw jedna stopa, potem druga na parkietowym kwadracie, rytmiczna, spacerowa kontemplacja przedpokoju.

Rozmowy o dzieciach późno w nocy i zapach Felixa, jego delikatnej wody kolońskiej i ziołowego szamponu, jego cienkie palce na moich plecach. „Moja Modigliani”. Zamienił moją podłużną, niezbyt piękną twarz w artefakt. *Jolie laide*.

Nianie, żebyśmy mogła pracować i czytać: gruba Lucy i muskularna Theresa.

W pokoju, który nazywałam swoim mikrostudium, budowałam maleńkie koślawe domki z mnóstwem napisów na ścianach. Przeintelektualizowane, stwierdził Arthur Piggis, który raz był łaskaw rzucić na nie okiem<sup>5</sup>. Galaretowate figurki unosiły się pod sufitem na prawie niewidzialnych żyłkach. Jedna z nich trzymała tabliczkę z napisem: „Co tu robią ci obcy ludzie?”. Tam pisałam – wykrzyknienia, których nikt nie czytał, nedorzeczości, których nie rozumiał nawet Felix.

Felix na lotnisko. Rzędy jego garniturów w garderobie. Jego krawaty i jego transakcje. Jego kolekcja.

*Koteczku Feliksie. Czekamy na Ciebie w Berlinie w przyszłym miesiącu, szaleńczo, namiętnie. Całusy, Alex i Sigrid.* Wewnętrzna kieszeń marynarki od garnituru przed wysłaniem do pralni. Jego niedbalstwo, powiedziała Rachel, to sposób, żeby mi o nich powiedzieć bez mówienia. *Sekretne życie Felixa Lorda.* Taki tytuł mogłaby nosić książka lub sztuka. Mógłby ją napisać Ethan, mój syn literat, gdyby wiedział, że jego ojciec przez trzy lata był zakochany w jakiejś parce. Felix z nieobecny spojrzaniem. I czyż nie kochałam też tej jego nieczytelności? Czyż nie wabiła mnie, nie uwiodła, tak jak uwodziła innych, nie tym, co obecne, lecz tym, co nieobecne?

Najpierw śmierć mojego ojca, potem matki, w odstępie niespełna roku, i te wszystkie chore sny, cały ich zalew, przez całą noc, co noc – błysk zębów, kości i krwi sączącej się spod niezliczonych drzwi wiodących na korytarze i do pokoi, które powinnam znać, ale ich nie rozpoznawałam.

Czas. Jak mogę być tak stara? Gdzie jest mała Harriet? Co się stało z tym dużym, niezgrabnym rozczołhańcem, który pochłaniał książki? Jedynym dzieckiem profesora i jego żony – filozofa i jego towarzyszkę życia, białego protestanta i żydówki, żyjących w nie zawsze niezmałym szczęściu na Upper West Side, moich lewicujących, oszczędnych rodziców, których jedynym luksusem było hołubienie mnie, ich oczka w głowie, przerośniętego, kudłatego brzemienia, które pod pewnymi względami ich rozczarowało, a pod innymi nie. Tak jak Felix mój ojciec padł martwy przed południem. Pewnego ranka w swoim gabinecie, gdy ściągnął z półki naprzeciwko biurka *Monadologię*, jego serce przestało bić. Od tej pory moja niegdyś hałaśliwa, energiczna matka ucichła, zwolniła. Patrzyłam, jak gaśnie. Wydawało się, że z każdym dniem kurczy się coraz bardziej, aż ledwo poznawałam tę maleńką istotę w szpitalnym łóżku, która na koniec przywoływała nie swego męża, nie mnie, tylko swoją mamę – raz za razem.

Wstrząśnięta oplakiwałam wszystkich troje jak duże, niespokojne, kręcące się po klatce zwierzę. Rachel twierdzi, że żałoba nigdy nie jest prosta, a ja już dawno się przekonałam, że moja stara przyjaciółka, doktor Rachel Briefman, zwykle ma rację co do dziwnych mechanizmów psyche (jej powołaniem jest psychoanaliza), i to prawda, że mój pierwszy rok bez Felixa był wypełniony gniewem i pragnieniem zemsty, był implozją żalu wywołanego tym wszystkim, co zrobiłam nie tak, i tym wszystkim, co zmarnowałam, zagadkowym połączeniem miłości i nienawiści do nas dwojga. Pewnego popołudnia wyrzuciłam całe naręczą drogich ubrań, które mi kupował w ekskluzywnych sklepach, a potem biedna Maisie ze swym wystającym

ciężowym brzuchem zajrzała do szafy i połykając łzy, mamrotała, że powinnam była zatrzymać prezenty od taty i jak mogłam być tak okrutna, a ja od razu pożałowałam tej głupiej decyzji. Ukrywałam przed dziećmi, co się dało: wódkę, która pomagała mi usnąć, poczucie nierzeczywistości, gdy przemierzałam tak dobrze mi znane pokoje, i straszny głód czegoś, czego nie umiałam nazwać. Nie mogłam ukryć torsji. Jadłam, a potem jedzenie wystrzeliwało ze mnie, bryzgając na sedes i ściany. Nie mogłam tego powstrzymać. Gdy teraz o tym myślę, czuję znowu gładką, chłodną powierzchnię muszli klozetowej, gdy ją ściskam, dławiące, bolesne paroksyzmy w gardle i kiszka. Ja też umieram, pomyślałam wtedy, znikam. Badania, jedno po drugim. Lekarze, jeden po drugim. Nic nie wykryto. Potem, na samym końcu, zasugerowano tak zwane zaburzenia funkcjonalne, ewentualną reakcję dysocjacyjną, gdy ciało uzurpuje sobie mowę. Rachel poleciła mi psychiatrę-psychoanalityka. Płakałam, mówiłam i znów płakałam. Matka i ojciec, mieszkanie na Riverside Drive, Cooper Union. Moje stare, zniweczone marzenia. Felix i dzieci. Co osiągnęłam?

I wtedy, pewnego popołudnia, dziesięć po trzeciej, tuż przed końcem sesji, doktor Fertig popatrzył na mnie tymi swoimi smutnymi oczyma, które na pewno widziały mnóstwo smutku innego niż mój, mnóstwo smutku bez wątpienia głębszego niż mój, po czym rzekł cicho, lecz dobitnie: Harriet, jest jeszcze czas, żeby coś zmienić.

Jest jeszcze czas, żeby coś zmienić.

Torsje minęły jak ręką odjął. Nie dajcie sobie wmówić, że czarodziejskie słowa nie istnieją.

## Cynthia Clark

(rozmowa z byłą właścicielką Clark Gallery, Nowy Jork, 6 kwietnia 2009)

Hess: Pamięta pani pierwsze spotkanie z Harriet Burden?

Clark: Tak, Felix przyprowadził ją do galerii. Wtedy był już po rozwodzie z Sarah, i tu nagle wchodzi z tą gigantyczną dziewczyną, wielką jak dom, naprawdę, niesamowicie sexy, ale o podłużnej, specyficznej twarzy. Nazywali ją kiedyś Amazonką.

Hess: Znała pani wtedy jej prace?

Clark: Nie, ale szczerze mówiąc, nikt ich nie znał. Widziałam je niedawno, te wczesne, ale prawda jest taka, że wtedy w świecie sztuki nikt by się nimi nie zainteresował. Były zbyt przeładowane, zbyt niekonwencjonalne. Nie pasowały do żadnego prądu. Wie pan, wtedy, pod koniec lat sześćdziesiątych, na początku siedemdziesiątych, toczyło się wiele artystycznych batalii. Nie była też drugą Judy Chicago wymachującą feministycznym sztandarem. I zdaje się, że Felix też stanowił dla niej problem. Ostatecznie nie mógł jej reprezentować, bo zarzucono by mu nepotyzm.

Hess: Czy oprócz wyglądu coś jeszcze w jej osobie zrobiło na pani wrażenie, czym chciałaby się pani podzielić z czytelnikami?

Clark: Kiedyś podczas kolacji zrobiła scenę. To było lata temu, myślę, że około osiemdziesiątego piątego. Rozmawiała z Rodneyem Farrellem, krytykiem – teraz już stracił na znaczeniu, ale wtedy miał mocną pozycję – w każdym razie powiedział coś, co musiało wytrącić ją z równowagi, i ta kobieta, którą wszyscy uważaliśmy za krynicę spokoju, wybuchła i rozgadała się na temat filozofii, sztuki, języka. Była bardzo głośna, wyniosła, nieprzyjemna. Chyba nikt nie miał zielonego pojęcia, o czym mówi. Szczerze powiedziawszy, ja też nic z tego nie rozumiałam. Wszyscy zamilkli. I wtedy zaczęła się śmiać, jak szalona, jak obłąkana, i odeszła od stołu. Felix był wściekły. Nie znosił scen.

Hess: A pseudonimy? Podejrzewała pani coś?

Clark: Nic a nic. Po śmierci Felixa znikła. Przestało się o niej mówić.

Hess: Nie zdziwiło pani, że praca Antona Tisha jest tak wyrafinowana? Miał dopiero dwadzieścia cztery lata, zjawiał się znikąd, w wywiadach nie błyszczał elokwencją i o własnej ekspozycji opowiadał, jak się zdawało, samymi ogólnikami.

Clark: Wystawiałam wielu artystów, którzy nie potrafili określić, o co im chodzi. Zawsze uważałam, że przemawiać powinno samo dzieło, i nie należy wymagać od artystów, by je nam objaśniali.

Hess: Zgadzam się z panią, jednak *Historia sztuki zachodniej* to wielowarstwowy żart na temat sztuki, pełen odniesień, cytatów, gier słownych i anagramów. Jest tam aluzja do komentarza Diderota o płótnie Chardina z dorocznego Salonu Akademii, zaczerpniętego z wydania francuskojęzycznego. Ten konkretny esej nie został przetłumaczony na angielski. A chłopak nie znał francuskiego.

Clark: Proszę posłuchać, mówiłam już. Wszystko ładnie i pięknie, gdy teraz do tego wracamy i zadajemy sobie pytanie, jakim cudem daliśmy się nabrać. Może pan przywoływać tyle przykładów, ile się panu podoba. Wtedy się nie zastanawiałam, jak to zrobił. Przygotował ekspozycję. Zrobiło się o niej głośno. Sprzedała się. Odwiedziłam go w pracowni i wszędzie stały powstające dopiero eksponaty. Co by pan pomyślał?

Hess: Trudno powiedzieć.

Clark: Wie pan, tutaj nie ma nic oczywistego. Można z łatwością wysunąć hipotezę, że poza, udawanie były częścią samego dzieła, że to wszystko ze sobą współgra i – jak pan dobrze wie – eksponaty z tamtej wystawy, podpisane przez Antona Tisha, osiągnęły zawrotne ceny. Nie żałuję ani przez chwilę, że je przyjąłam.

Hess: Chyba najważniejsze pytanie brzmi: Czy przyjąłaby je pani, mając świadomość, kto naprawdę jest ich autorem?

Clark: Myślę, że tak. Tak sądzę.

## Maisie Lord

(zredagowany zapis nagrania)

Po przeprowadzce na Brooklyn moja matka kolekcjonowała przybłądy – ludzi, nie zwierzęta. Za każdym razem, gdy ją odwiedzałam, w jednym z pokoiów mieszkał nowy „asystent”, poeta, włóczęga albo najzwyczajniejszy kloszard, i martwiłam się, że ktoś może ją wykorzystać, okraść, a nawet zabić, gdy będzie spała. Martwię się, to u mnie chroniczne. W mojej rodzinie to ja byłam tą od zamartwiania się, taka moja rola. U matki bardzo długo mieszkał mężczyzna o ksywce Barometr. Zanim wylądował pod jej drzwiami, spędził dwa tygodnie w szpitalu Bellevue. Nawijał coś o słowach wiatrów i wykonywał dziwaczne gesty, żeby obniżyć wilgotność powietrza. Gdy wspomniałam matce, że Barometr budzi moje obawy, usłyszałam: „Ależ, Maisie, to taka łagodna dusza, a jak znakomicie rysuje!”. I okazało się, że miała co do niego rację. Został bohaterem jednego z moich filmów, ale przez jej dom przewijały się inne indywidua, bardziej podejrzane, przez które nie mogłam w nocy spać, aż pojawił się Phineas i zaprowadził tam porządek, ale to było później. Dom mojej matki, przerobiony ze starego magazynu, był olbrzymi. Miał dwie kondygnacje, jedną do mieszkania, jedną do pracy. W czasie remontu postarała się, żeby powstało kilka sypialni „dla wszystkich moich przyszłych wnuków”, ale podejrzewam, że myślała też o udzielaniu bezpośredniego wsparcia młodym artystom, chciała zapewnić im dach nad głową i przestrzeń do pracy. Mój ojciec miał swoją fundację. Matka miała swoją kolonię artystyczną stworzoną *ad hoc* w Red Hook.

Niedługo po przeprowadzce powiedziała: „Maisie, rozwijam skrzydła”. Delikatnie rzecz ujmując, odzyskała energię. Czytałam gdzieś o hipomanii i zadawałam sobie pytanie, czy moja matka przypadkiem nie przechodzi takiego epizodu. Żałobę mogą komplikować różne psychiczne górki i dołki, a ona naprawdę odchorowała śmierć mojego ojca. Była tak osłabiona i wychudzona, że ledwo się ruszała, ale gdy już nabrała sił, nic nie mogło jej powstrzymać. Codziennie pracowała po wiele godzin w swoim studiu, a potem czytała przez dwie, trzy godziny, jedną książkę po drugiej, beletrystyka, filozofia, sztuka i nauka. Prowadziła dzienniki i zeszyty z notatkami. Kupiła sobie jeden z tych wielkich, ciężkich worków bokserskich i wynajęła trenerkę boks, Wandę. Czasem wystarczało, żebym spojrzała na matkę, i od razu czułam się jak chuchro. Zawsze miała w sobie coś nieokiełzanego – potrafiła nagle wybuchnąć

z zupełnie błahego powodu. Raz, gdy kazała mi umyć zęby, a ja zwlekałam – mogłam mieć wtedy z siedem lat – wpadła w furię. Zaczęła się wydierać i wycisnęła do umywalki całą tubkę pasty do zębów. Jednak przeważnie była dla mnie i dla brata cierpliwą matką. To ona nam czytała i śpiewała, to ona wymyślała bajki, które mogły zadowolić i mnie, i Ethana, niełatwe zadanie, bo ja domagałam się wróżek i skrzatów, a on pojazdów strzelających różnymi pociskami i robotów, więc tworzyła swoiste hybrydy. Przez cały rok opowiadała nam długą sagę o Żarlinkach, które mieszkały w krainie zwanej Żarlindią. Czary, pojedynki i wyszukane rodzaje broni. Pomagała nam z pracą domową do końca liceum. Czasem też dzwoniłam do niej z uczelni i zadawałam jej pytania, gdy coś na zajęciach sprawiało mi trudności. Moja matka interesowała się wszystkim i sprawiała wrażenie, jakby przeczytała wszystko. To ona dopingowała nas na szkolnych zawodach, recitalach i występach. Ojciec przychodził, kiedy mogł, ale często podróżował. Czasem, gdy byłam mała, po jego wyjeździe zakradałam się do sypialni rodziców i zasypiałam z nią. Mówiła przez sen. Nie wiem, dlaczego to zapamiętałam, ale raz wrzasnęła: „Gdzie jest Felix?”.

Dzieci są egoistami. Wiedziałam, że matka jest artystką, że tworzy misterne domki i wypełnia je lalkami, duchami i zwierzętami, których czasem pozwalała mi dotykać, ale nigdy nie uważałam tego za regularną pracę. Była moją matką. Ojciec nazywał ją swą Matką Boską Szarych Komórek. To straszne, gdy teraz o tym myślę, ale nigdy nie przyszło mi do głowy, że może być sfrustrowana albo nieszczęśliwa. To wieczne odrzucenie musiało ją boleć, jego niesprawiedliwość, ale nie mogę powiedzieć, że bym to czuła jako dziecko. Lubiła nucić i kołysać się, gdy pracowała przy tych swoich konstrukcjach, i zanim dotknęła jakiejś figurki, najpierw poruszała nad nią palcami. Czasem wachała materiały i wzdychała. Od czasu do czasu zamykała oczy i lubiła powtarzać, że bez ciała i cielesnych rytmów nie ma dla niej sztuki. Oczywiście gdy byłam nastolatką, te gesty i ruchy wydawały mi się czymś żenującym i starałam się, żeby żadna z moich przyjaciółek ich nie zobaczyła. Jak miałam siedemnaście lat, usłyszałam od niej: „Maisie, masz szczęście, że nie odziedziczyłaś po mnie cycków. Duży biust u drobnej kobiety jest uroczy; duże piersi u dużej kobiety budzą strach – wśród mężczyzn, ma się rozumieć”. Nagle do mnie dotarło, że jej kobiecość, jej ciało, jej rozmiar stanowią w jej życiu pewną przeszkodę. To było na długo przed pseudonimami, a ja jako licealistka kręciłam właśnie pierwszy krótki film, dziennik filmowy, jak go nazywałam – strasznie pretensjonalny, mnóstwo dłużyzn i nastrojowych ujęć koleżanek przechadzających się ulicą lub siedzących w swoim pokoju



w stanie egzystencjalnego bólu, tego typu rzeczy. Co miały z tym wspólnego moje cycki?

Dużo, dużo później, gdy wszystko się wydało, przyszła mi do głowy paskudna myśl, że matka miała wtedy rację. Oczywiście byłam już dorosła i sama w swojej pracy zdążyłam zasmakować marginalizowania i dyskryminacji. Przypuszczałam, że podstawiała tych mężczyzn, żeby coś udowodnić, i udowodniła, przynajmniej częściowo, ale gdy przeczytałam jej wspomnienia i dzienniki, zrozumiałam, jak skomplikowane łączyły ich relacje i że maski też były prawdziwe. Padła ofiarą potwornego nieporozumienia. Nie była wyrachowaną żoną bezpardonowo wykorzystującą ludzi. Chyba nikt tak naprawdę nie wie, kiedy zaczęła myśleć o pseudonimach. W latach osiemdziesiątych opublikowała w czasopiśmie o sztuce jedną szalenie wyrafinowaną recenzję pod nazwiskiem Roger Raison, wyśmiewającą szał na punkcie Baudrillarda, obalającą jego tezę o symulakrach, ale niewiele osób zainteresowało się tym tekstem. Pamiętam, jak miałam piętnaście lat i byliśmy całą rodziną w Lizbonie – podeszła do pomnika Pessoa i pocałowała go. Kazała mi go czytać – oczywiście był znany z czegoś, co nazywał swoimi heteronimami. Była też pod wielkim wpływem Kierkegarda. Bez wątpienia to jej pragnienie, żeby być kimś innym, miało swoje korzenie w dzieciństwie. Najlepsza przyjaciółka mojej matki, Rachel Briefman, jest psychiatrą i psychoanalitykiem. Pewnie ma rację, mówiąc, że psychoterapia wyzwoliła taką Harriet Burden, jakiej żadne z nas nigdy nie widziało, a oprócz niej kilka innych postaci, które nosiła w sobie od pewnego czasu. Nie jak w przypadku mnogiej osobowości, lecz jak w przypadku artystycznych bytów przybierających różne formy, bytów, które się rodzą i potrzebują ciała. Jeszcze rok temu nigdy bym czegoś takiego nie powiedziała, ale powoli zaczęłam postrzegać moją matkę w innym świetle, a może powinnam powiedzieć – w kilku innych światłach.

Ale to postępowało latami. Gdy po raz pierwszy zobaczyłam *Sen pamięci*, nie byłam przygotowana. Przeżyłam szok. Pewnej niedzieli zabrałam Aven, moją córkę, do Red Hook na późne śniadanie. Oscar, mój mąż, nie wybrał się z nami. Nie pamiętam dlaczego. Pewnie musiał napisać sprawozdanie o jednym ze swoich podopiecznych. (Jest doktorem psychologii i przyjmuje pacjentów prywatnie, ale poświęca też czas dzieciakom w rodzinach zastępczych, za co dostaje grosze). Jeśli mieszkały wtedy u matki jakieś przybłędy, żadnego z nich nie było w domu. Aven zaczęła stawiać pierwsze kroki, więc to musiała być wiosna 1996 roku i miałyśmy niezły ubaw podczas śniadania, bo moja córka cały czas próbowała chodzić, a raczej ustać, wstawiała, przewracała się, wstawiała, przewracała i tak w kółko. Moja matka klaskała

i wybuchala śmiechem, Aven była zachwycona i nie przestawała się popisywać, aż w końcu się zmęczyła, rozbeczała i musiałam położyć ją na sofie, żeby się zdrzemnęła, obkładając poduchami, bo bałam się, że spadnie. Matka miała mnóstwo poduszek zarówno w mocnych, jak i stonowanych kolorach. Często opowiadała o kolorach i ich znaczeniu. Kolor, mówiła, ma znaczenie cielesne. Zanim zdołamy nazwać kolor, który widzimy, on już w nas jest.

O czym to ja mówiłam? Gdy Aven się obudziła, matka powiedziała, że chce mi pokazać coś, nad czym pracuje, i zabrała mnie na drugi koniec swojej pracowni, która wtedy wciąż jeszcze była w remoncie. Wybudowała mały pokój z półprzezroczystymi ścianami z mlecznego szkła. Zauważyłam za szybą jakąś postać i od razu zrozumiałam, że patrzę na ojca siedzącego w fotelu. Podobieństwo musiało się zawierać w postawie, bo gdy matka pchnęła prawie niewidzialne drzwi, okazało się, że miękka wypchana figura, która tak bardzo przypominała mi ojca, ma jedynie niewyraźne rysy, ale jest ubrana w jeden z jego garniturów, a na jej kolanach leży otwarty *Don Kichot*, książka, którą ojciec kochał najbardziej. Gdy spojrzałam w dół, zobaczyłam, że do podłogi przyklejane są różne kartki, kserokopie, pisma, notatki spisane ręką ojca i że na czerwonych kwadratach linoleum widnieją napisy wykonane przez moją matkę. Zauważyłam też trzy miniaturowe ciągi schodów, które pięły się do góry i kończyły na trzech ścianach. Na jednej ze ścian narysowano byle jak pięcioro drzwi. Rozpłakałam się. Wtedy Aven też zaczęła płakać i matka próbowała ratować sytuację. „Przepraszam, bardzo przepraszam”. To dla niej typowe. Nie mogła znieść widoku czyjegoś cierpienia. Odczuwała je fizycznie. Łapała się za żebra, jak gdyby ktoś ją uderzył.

Wszystkie w końcu doszliśmy do siebie, ale zanim odjechałam z Aven taksówką, matka spojrzała mi w oczy. Było to surowe spojrzenie, nie zimne, lecz srogie, tak jak czasem patrzyła na mnie, gdy byłam mała i skłamałam, oszukiwałam albo uderzyłam Ethana.

Pamiętam, bo czułam wyrzuty sumienia, chociaż nie byłam pewna dlaczego. Zamknęła oczy, a potem znów je otworzyła i spokojnym głosem powiedziała: „Przykro mi, że tak to przeżyłaś, Maisie, ale nie będę przepraszać za to, że go stworzyłam. Obawiam się, że jest więcej snów, które muszą się wydostać”. Uśmiechnęła się smutno i odprowadziła nas do czekającego samochodu.

Wciąż ją widzę, gdy się od nas odwraca. Żałuję, że nie mogłam jej wtedy sfilmować. Jest tam pięknie nad zatoką, z widokiem na Statuę Wolności, ale ta okolica była wtedy dość obskurna, bardziej niż teraz, i gdy tak patrzyłam, jak moja matka odchodzi od nas zamaszystym

krokiem w stronę ceglanego budynku pod bezkresnym, zachmurzonym niebem, poczułam, że ją tracę. Wtedy – to był tylko drobny szczegół – zauważyłam, że zapuszcza włosy i że wyglądają na jej głowie jak mały dziki krzak.

# Harriet Burden

## Zeszyt „S”

Skąd się wzięły? Skrzydlaty penis, jego penis, puste marynarki od garniturów i spodnie zawieszane w powietrzu, uciekające z parafernaliai Felixa – okularami do czytania (sekretnych liścików?), wodą kolońską, lśniącym pilnikiem do paznokci, pustym płótnem (nadzieja) – gigantyczny Felix wciśnięty do jednego z moich pokoi jak Alicja, maleńkie Felixy ustawione w szeregu, ubrane w różne stroje, nazwałam je mężolkami. Mój ojciec też w jakiś sposób zaczął się pojawiać. Mól książkowy śpiący na kartce ze Spinozy, przeskakujący nad Leibnizem (uwielbiał Leibniza), malutki tatuś *Luftmensch* unoszący się nad ciągiem schodów, w dwuczęściowym garniturze zapisanym różnymi słowami. Mój nieuchwytny, moi nieuchwytni – zaczęli się mieszać na moich rysunkach i rzeźbach, ich twarze i ubrania, amalgamat pożądania, nieznośni ukochani przemieszani w umyśle Harry. A także złość na ich władzę nade mną. Dlatego rosły i mały.

Nie wiedziałam, jak przedstawić matkę. To przyszło później. Miałam jakiś problem z ukazaniem osoby, w której wnętrzu kiedyś się znajdowałam.

Jej nie musiałam gonić.

Goniłam mężczyzn, wołając: *Spójrz na mnie!*

Nieistniejące, nieprawdopodobne, zmyślane obiekty cały czas pojawiają się w naszych głowach, ale dopiero w sztuce się uzewnętrzniają, słowa i obrazy przekraczają granicę. Ostatnio czytam dużo Husserla, leżąc na sofie w wielkim pokoju o wysokich oknach z widokiem na zatokę: *cogitationes* są pierwszymi danymi absolutnymi. Husserl uwielbiał Kartezjusza, u niego też są strumienie świadomości, jak u Williama Jamesa (którego czytał), i te strumienie płyną obok siebie, krzyżują się i łączą, wiedział też, że empatia jest głęboką formą wiedzy<sup>6</sup>. Edyta Stein, uczennica Husserla, jest w tej dziedzinie najlepszą specjalistką, ona to przeżyła, doświadczyła prawdziwości własnych słów<sup>7</sup>. Filozofię trudno zwizualizować. Zaczęłam się zastanawiać, czy mogłabym przedstawić na przykład empatię, stworzyć empatię w formie pudła. Rozrysowałam możliwe wersje wnętrza. Robiłam notatki. Nuciłam. Słuchałam ciągle *Pasji według św. Mateusza*. Zrozumiałam, że nadeszła moja wolność. Na przeszkodzie nie stało nic oprócz mnie samej, oprócz ciężaru Burden. Szeroko otwarta przyszłość, wielka zionąca pustka,

sprawiała, że kręciło mi się w głowie, odczuwałam niepokój, a od czasu do czasu upojenie jak po narkotykach, jakbym się naćpała. Byłam władczynią mojego małego brooklyńskiego lenna, bogatą wdową z dawno odchowanymi dziećmi i głową aż kipiącą od pomysłów.

Ale potem, w nocy, przychodziła samotność, nerwowe niespełnienie, które przywodziło mi na myśl moje lata w pierwszym samodzielnym mieszkaniu w Nowym Jorku, kiedy studiowałam na Cooper Union. Znow byłam młodą Harriet – odludkiem z niejasnym głodem przyszłości mającej w jakiś sposób przynieść i miłość, i sławę. Zaczęłam rozumieć, że uczucia, które przypisywałam młodości, w rzeczywistości nie dotyczą tylko tamtego okresu. Obawy, które odzywały się we mnie po długim dniu pracy, były tym samym niepokojem, który odczuwałam w czasach, gdy dopiero co wyrosłam z dzieciństwa. Pragnęłam *kogoś*, potencjalnej osoby, aby wypełniła pozostałe godziny dnia. Felix, stary przyjaciel i rozmówca, delikatny, powściągliwy, kąśliwy, niewierny, dobroduszny Felix umarł. Odchodzę przez ciebie od zmysłów! (Kiedyś lubiałam sobie pokrzyczeć). Ale ten scenariusz nigdy się nie spełnił. Nie odeszłam od zmysłów, tak jak i on nie odszedł od swoich, i regularnie wylizywaliśmy się z zadawanych sobie ran. Teraz nie miałam się z czego wylizywać. Nie było Felixa. Usiłowałam ogarnąć rozumem tę próżnię, a ponieważ zaczęłam ją postrzegać jako coś realnego, przybrała formę odrębnej pustej istoty, luki, dziury w umyśle, ale ta dziura nie miała na imię Felix.

Chodziłam więc do baru U Sunny'ego, gdzie ze swojego stołka podpatrywałam ludzi i przysłuchiwałam się ich rozmowom – balsam głosów. Czasem była muzyka. Raz trafiłam na wieczór z poezją i potem rozmawiałam z autorką wierszy, która miała wielkie oczy i czerwoną szminkę na ustach. Była dużo młodsza nawet od Ethana i chociaż jej poezja wydawała mi się okropna, ją całkiem polubiłam. Nazwała siebie Kwietniowym Deszczem, na co musiała wpaść w chwili poetyckiego natchnienia. Miała ze sobą marynarski worek z popsutym suwakiem, z przywiązanymi do niego kilkoma swetrami i czapką, i gdy dźwignęła ten ładunek, i zwróciła się do wyjścia, powiedziałam, że wygląda jak imigrantka schodząca ze statku w 1867 roku. Wyjaśniła, że nocuje u koleżanki na sofie, bo akurat „nie ma się gdzie podziać”, więc zabrałam ją do siebie.

Kwietniowy Deszcz, drobna biała dziewczyna z wytatuowanymi na przedramionach ptakami i dużą ilością potłuczonego szkła w wierszach, które od czasu do czasu powodowało krwawienia, była moją pierwszą rezydentką. Została tylko przez tydzień. Pewnej nocy znalazła sobie w barze obdartego fatyganta i nigdy nie wróciła, ale póki u mnie mieszkała, lubiałam jej

obecność, która oddalała nocne katusze. Spoglądając na miękką bladą twarz i krągłe policzki panny Deszcz, gdy posilałyśmy się soczewicą lub pieczonymi warzywami (była wegetarianką) i gawędziłyśmy o Hildegardzie z Bingen lub Christopherze Smarcie, zapomniałam, jak wyglądam. Zapomniałam, że mam zmarszczki, piersi, które potrzebują solidnego stanika, żeby je podtrzymywał, i wystający jak arbuz brzuch kobiety w średnim wieku. Ta amnezja jest naszą fenomenologią dnia powszedniego – nie widzimy samych siebie – a to, co widzimy, staje się nami, dopóki na to patrzymy. Pewnej nocy, gdy już się pożegnałam z moją dwudziestodwuletnią wierszokletką, przed pójściem spać zerknęłam w lustro i zaskoczona wyglądem własnej twarzy rozplakałam się. Felix kochał tę starzejącą się gębę, pomyślałam. Komplementował ją i gładził. Teraz nie miał jej kto kochać.

Możliwe, że z tego użalania się nad sobą – poczucia, że jestem za brzydka, żeby ogrzać łożę jakiegokolwiek mężczyzny – wziął się pomysł, że niektóre z konstruowanych przeze mnie istot potrzebują ciepła. Moja matka miała upodobanie do elektrycznych podkładek pod materace, które podpiekały ją w nocy; miała problem, tłumaczyła, z krążeniem i marznącymi stopami. „Krew we mnie nie płynie, ona ledwo się sączy i mam wrażenie, że nigdy nie dociera do palców u nóg”. Materac moich rodziców wyposażony był w dwie grzałki, po jednej z każdej strony łóżka. Matka ustawiała swoją na „6” i wyłączała tę po stronie ojca, żeby się nie usmażył we śnie. Po jego śmierci zwiększyła poziom grzania do „10”, ale jego stronę zostawiała zimną, na pamiątkę. Do moich konstrukcji nie potrzebowałam zaawansowanej technologii, chociaż majstrowałam trochę przy elektryce, żeby efekt w pełni mnie zadowolił. Zaczęłam od figury Felixa naturalnych rozmiarów; nie była to jego podobizna, jedynie impresja, szczupła wypchana forma pokryta materiałem pomalowanym na niebieskość i zielenie z odrobiną żółci i muśnięciami czerwieni, człowiek jako płótno, ale dodałam krótkie siwe włosy na czubku głowy. Gdy podłączałam go do prądu, jego miękkie ciało dostawało gorączki.

Przyjemność, jaką z tego czerpałam, była absurdalna. Wtedy nie potrafiłam wyjaśnić, dlaczego ta rozgrzana istota przepełnia mnie tak wielką radością, ale przepełniała. Dotykałam ostrożnie jego kolorowanych boków, by poczuć ciepło. Przytulałam go. Sadzałam go obok siebie na sofie. Nazywałam go obiektem przejściowym. Aven go ubóstwiała. Ethan nienawdził. Maisie tolerowała. Rachel była rozbawiona nim i całą resztą, ale jednocześnie traktowała moje prace poważnie. Chciała, żebym rozejrzała się za jakąś galerią, żebym jak Willie Loman ze *Śmierci komiwojażera* wychodziła na miasto i zachwalała swoje towary, żebym ściągnęła na siebie

uwagę. Uwagę. Ale czy oni nie wydali już werdyktu, i to wielokrotnie? Nikt nie chciał robótek wdowy Lord ani jej lalek. Kim byłam, świętym Sebastianem?

Opowiadałam doktorowi Fertigowi o moim mechanizmie ogrzewania figur, gdy zaświtał mi oczywisty powód mojego uniesienia. Anima. Ożywianie.

„Wtedy to Pan Bóg ulepił człowieka z prochu ziemi i tchnął w jego nozdrza tchnienie życia, wskutek czego stał się człowiek istotą żywą”<sup>8</sup>.

Jakiś absurd. Oto Harry Burden, artystka półbóg, stara się raz za razem przywracać do życia zmarłego męża i ojca, i gdy machina żałoby stuka i puka bez ustanku, ona szyje, wypycha, podłącza, tnie, formuje i lutuje. Ale to mi pomagało. To mi pomagało, a ja doszłam do etapu, w którym przyjmowałam pomoc w każdej formie.

Po roku gorączkowego konstruowania tworów mężo- i ojcopodobnych, a może mężoojcopodobnych, zaczęłam rozmyślać o istotach żyjących w mojej pamięci, nie tylko o autentycznych ludziach, ale też o tym wszystkim, co zaczerpnęłam z olbrzymiej kolekcji książek. Nie mam na myśli tylko bohaterów, lecz także idee, głosy, kształty, figury, artykułowane myśli, nieartykułowane wrażenia. Nazwałam je potem metamorfami – były zimne, ciepłe, gorące lub w temperaturze pokojowej.

Możliwe, że to od Kwietniowego Deszczu inni młodzi włóczędzy z okolicy dowiedzieli się, że udostępniam pokoje i łóżka, chociaż stawiałabym raczej na Edgara Hollowaya III, uciekiniera z Upper East Side i przyjaciela Ethana, muzyka, kilka lat po studiach, który szukał pracy, aby dorobić do swych rockandrollowych marzeń. Edgar został moim asystentem. Krępy chłopak z zadartym nosem, jakby za małym do jego twarzy. Silny, posłuszny i pojętny, gdy chodziło o materiały i budowanie. Za to wyjątkowo nudny jako interlokutor, ale to uwalniało mnie od przymusu zabawiania go lub wyjaśniania sensu moich pokoi lub istot, którymi je zaludniałam. Zresztą i tak nie byłam pewna, co robię.

Wiedziałam za to, że od lat tłamszę siebie i że coś się ze mną stało. Doktor Fertig używał terminu „zahamowania”. Wyzbyłam się zahamowań, odrzuciłam pęta, zerwałam się z cum. A wszystko to zawdzięczałam rzyganiu. To od tego objawu zaczęły się rozmowy i przemiana. Stałam się Harriet Wyzwoloną, wtedy dopiero pięćdziesięciopięcioletnią, ale zegar tykał, a ja myślałam o innych ścieżkach, alternatywnych egzystencjach, o innej Harry Burden, która mogła, powinna się była wcześniej zerwać ze smyczy, albo o Harry Burden, która wygląda jak Kwietniowy Deszcz, drobna i różowawa, albo o Harry, która urodziła się jako chłopiec,

prawdziwy Harry, nie Harriet. Z moim wzrostem i tymi kudłami na głowie byłby ze mnie kawał chłopca. Czyż nie słyszałam lamentów mojej matki: tyle centymetrów zmarnowanych na dziewczynę? Prześladowała mnie myśl o innym ciele, innym modelu egzystencji. Czy to była forma żalu? Zastanawiałam się, jak moja świadomość czułaby się w ciele Edgara. Z całą pewnością nie byłam zainteresowana umysłem Edgara, wypełnionym po brzegi nazwami zespołów techno i wyświechtanymi zdaniem ze słowem „tentego” wyskakującym co i rusz jako stały, pozbawiony treści znak przestankowy. Fantazje, które zaczynały się formować, dotyczyły ewentualnych życiowych trajektorii dla mnie, artystki różnorodnych kształtów.

Podejrzewałam, że gdybym przyszła na świat w innym opakowaniu, moja twórczość być może zostałaaby przyjęta lepiej, a przynajmniej potraktowana poważniej. Nie wyobrażałam sobie, że uknuto przeciwko mnie jakiś spisek. Większość uprzedzeń jest nieświadoma. Dochodzi do głosu niezidentyfikowana awersja, którą potem się racjonalizuje. Może jeszcze gorsze jest lekceważenie – to znudzenie w oczach drugiej osoby, ta pewność, że nic, co wyjdzie spod moich rąk, nie może wzbudzić żadnego zainteresowania. Tak czy owak, zbierałam te wszystkie rany postrzałowe i upokorzenia, które sprawiły, że zaczęłam bać się broni.

Za moimi plecami: To żona Felixa Lorda. Buduje domki dla lalek. Chichot.

Do mnie: Podobno Jonathan przyjął twoje prace, bo przyjaźni się z Felixem. Poza tym potrzebowali jakiejś kobiety w swoim składzie.

*W prasie: Wystawa Harriet Burden, żony słynnego marszanda Felixa Lorda, w galerii Jonathana Palmera składa się z niewielkich architektonicznych obiektów przeciążonych figurami i napisami. Pracom tym brakuje dyscypliny i skupienia, wydają się osobliwym połączeniem pretensjonalności i naiwności. Można się tylko zastanawiać, dlaczego uznano je za warte wystawienia<sup>9</sup>.*

Czas, zamiast złagodzić, jeszcze wyostrzył te uczucia. Pomimo zachęt Rachel, abym wróciła na ring, wiedziałam, że pożądanym towarem jest młodość i że – z wyjątkiem Guerrilla Girls<sup>10</sup> – mimo wszystko lepiej mieć penisa. Tymczasem ja minęłam już półmetek swego życia i nigdy penisa nie miałam. Było za późno, żebym mogła czegoś dokonać jako ja. Zniknęłam na dobre i łatwość, z jaką się to stało, uświadomiła mi, jak powierzchowne były moje relacje z nimi wszystkimi. Przyszli na pogrzeb, przynajmniej niektórzy. W chwili śmierci Felix lata świetności miał już za sobą. Stał się postacią historyczną, marszandem P., L. i T. z dawnych lat. Jego żona była ahistoryczna, ale gdybym tak wróciła jako ktoś inny? Zaczęłam wymyślać historie sprytnych



transformacji. Niczym nowy Sherlock miałam się wtopić w kostium, nabierając nawet dzieci i Rachel swoimi nowymi wcieleniami. Rysowałam wizerunki ewentualnych Harrych: superman Harry z peleryną; bezdomna, seksualnie nieokreślona Harry dźwigająca siatki z butelkami; stary dandys Harry z krótką, starannie przystrzyżoną siwą bródką; Harry jako męski transwestyta (całkiem przekonująca); uśmiechnięta Harry z męskimi genitaliami skromnych rozmiarów zgodnie z tradycją helleńską. Czerpałam też inspirację z przeszłości:

*His[torycz]na i fi[z]ycz[na] rozprawa o przypadku Catherine Vizzani, spisująca perypetie młodej białogłowy w Rzymie urodzonej, która przez osiem lat za męża się podawała i stracona za amory z młodą damą została, a która to, gdy pokazała się prawdziwą dziewicą w dysekcji, niemal za świętą przez lud obwołana była. Z ciekawymi i anatomicznymi uwagami na temat natury i istnienia błony dziewiczej. Spisana przez Giovanniego Bianchiego, profesora anatomii w Sienie, chirurga, który przeprowadził dysekcję. Dopełniona niezbędnymi komentarzami angielskiego redaktora. (Londyn 1751)*

Niedługo po opublikowaniu w Anglii traktatu profesora Bianchiego, przetłumaczonego i zredagowanego przez Johna Clelanda, głośnego autora *Pamiętników Fanny Hill*, Charles d'Eon de Beaumont, francuski dyplomata, szpieg i dowódca dragonów, zaczął się pokazywać w miejscach publicznych w kobiecym stroju. Wyjaśniał, że został wychowany jako chłopak, ale w rzeczywistości jest niewiastą. Opublikował wspomnienia pod tytułem *La Vie militaire, politique et privée de Mademoiselle d'Eon*. Po jego śmierci odkryto, że ma męskie przyrodzenie.

Był jeszcze niezwykle przypadkiem doktora Jamesa Barry'ego, który w roku 1809 wstąpił do akademii medycznej na Uniwersytecie Edynburskim, w 1813 zdał egzaminy do Królewskiego Kolegium Chirurgów w Anglii, został chirurgiem wojskowym i przeniósł się z jednego posterunku na drugi, cały czas awansując. Gdy jego kariera dobiegła końca, był inspektorem generalnym zawiadującym szpitalami wojskowymi w Kanadzie. Zmarł w Londynie w 1865 roku na czerwonkę. Wtedy odkryto, że to nie był „on”, tylko „ona”. Wiedząc o zakazie wykonywania zawodu lekarza przez kobiety, postanowiła zmienić płeć.

Billie Tipton, wzięty muzyk jazzowy, urodził się jako Dorothy Lucille Tipton w 1914 roku. W liceum nie przyjęto jej do szkolnego zespołu, bo była dziewczyną, zaczęła więc występować jako mężczyzna, a potem całkowicie przyjęła w życiu rolę męską – była w wieloletnim związku z niejaką Kitty Oakes, eksstriptizerką, i adoptowała z nią trzech synów.

Żaden z nich nie wiedział aż do śmierci Billie'ego w 1989 roku, że anatomicznie był on kobietą.

Jest wiele historii i równie wiele powodów, żeby porzucić kobiecość i przyjąć męskość albo zrezygnować z jednego na rzecz drugiego w zależności od tego, co dogodnie. Znamy przypadki kobiet, które szły za mężami na wojnę i walczyły, żeby być blisko nich, i kobiet, które walczyły z czysto patriotycznych pobudek, a po wojnie wracały do swych poprzednich ról. Znamy przypadki kobiet, które podawały się za mężczyzn, żeby odziedziczyć ojcowiznę, i kobiet, które traciły wszystko – mężów, dzieci, pieniądze – i w poczuciu bezradności przeobrażały się w mężczyzn. Wiele z nich żyło wśród życzliwych matek, ojców, rodzeństwa i przyjaciół, którzy dochowywali ich sekretu. Potrzebne były tylko odpowiedni strój, imię, inaczej ustawiony głos i towarzyszące temu gesty. Po pewnym czasie bycie mężczyzną nie wymagało specjalnych starań. Stawało się rzeczywistością.

Ale czy mnie interesowały eksperymenty z własnym ciałem, obwiązywanie cycków i wciskanie się w spodnie? Czy chciałam żyć jako mężczyzna? Nie. Interesowało mnie co innego – percepcja i jej zmienność, zjawisko, że przeważnie widzimy to, czego się spodziewamy. Czyż Harry, którą oglądałam w lustrze, nie zmieniała się już wystarczająco często? Zastanawiałam się, czy w ogóle potrafię ujrzeć siebie taką, jaka jestem naprawdę. Jednego dnia wydawałam się sobie w porządku, względnie szczupłą – to znaczy jak na mnie – a następnego dnia byłam obwisłą, grubą karykaturą siebie. Jak można wytłumaczyć tę przemianę, jeśli nie poglądem, że obraz własnej osoby jest w najlepszym razie mało wiarygodny? Nie, nie chciałam mieszać do tego swojego ciała, chciałam spróbować artystycznych wycieczek pod czyimiś imionami, ale chciałam czegoś więcej niż przykrywki w rodzaju „George Eliot”. Pragnęłam własnej komunikacji pośredniej à la Kierkegaard, którego maski ścierały się ze sobą i walczyły, prac przesyconych prawie niezauważalną ironią. Gdzież byli moi Victor Eremita, A i B, sędzia William, Johannes de Silentio, Constantin Constantius, Vigilius Haufniensis, Nicolaus Notabene, Hilarius Intrologator, Inter et Inter, Johannes Climacus i Anti-Climacus<sup>11</sup>? Było co najmniej niejasne, jak osiągnąć tego typu transformacje w moim przypadku: coś mi zaledwie świtało w głowie, ale te przemyślenia okazały się płodne.

Czyż S.K. nie napisał pod pseudonimem Notabene serii przedmów niepoprzedzających żadnego tekstu<sup>12</sup>? A gdybym tak wymyśliła artystę, który byłby produktem krytyki sztuki, katalogowych opisów, bez żadnego dorobku? W końcu ilu artystów zdobyło błyskawicznie pozycję dzięki bzdurom wypisywanym przez tych wszystkich pismaków z lingwistycznym

zacięciem? Ach, *écriture!* Ten artysta musiałby być młodym mężczyzną, *enfant terrible*, którego pustka potrafi wygenerować całe strony tekstu. Ach, jakaż to byłaby przednia zabawa!

Postanowiłam spróbować:

*Aporię w pracy X osiąga się w procesie samowzbudzania ku nieobecności. Dorozumiane, stąd niewidzialne, akty autoerotyczne o pochodzeniu seksualnym ułatwiają otchłanną zapaść, fantasmagorie rozpadu i wycofanie obiektu pożądania.*

Ślepy zaułek. Wiedziałam, że fabrykowanie takiego pretensjonalnego, grafomańskiego bełkotu by mnie zabiło.

Ja, Harriet Burden, niniejszym spowiadam się. Siłą napędową moich rozlicznych fantazji były:

1. ogólne pragnienie zemsty na palantach, cymbałach i kretynach,
2. samotność wywołana przeciągającą się bolesną izolacją intelektualną, ponieważ poruszałam się wśród zbyt wielu tytułów, o których z nikim nie mogłam porozmawiać,
3. pogłębiające się wrażenie, że zawsze byłam niezrozumiana i rozpaczliwie pragnęłam, żeby mnie zauważono, naprawdę zauważono, ale wszelkie moje starania spełzały na niczym.

W tej frustracji i zgryzocie nakręcałam się każdego dnia, jakbym była swoją starą zabawką, małpką z talerzami, i słuchałam, jak sama w nie uderzam, a potem, *notabene*, zaczynałam płakać i gdy płakałam, tęskniłam za matką, nie tą drobną staruszką umierającą w szpitalu, ale wielką matką z mojego dzieciństwa, która mnie przytulała, kołysała, cmokała, głaskała, mierzyła mi temperaturę i czytała mi książki. Córeczka mamusi, tylko że mamusia wcale nie była olbrzymką, była dość niska, kształtna i nosiła wysokie obcasy. „Wiesz, twojemu ojcu podobają się moje nogi na wysokich obcasach”. Ale potem, gdy już się wypłakałam, przypominałam sobie mokre lśnienie dwóch łez płynących po pomarszczonej twarzy mojej matki i kropłówkę wpiętą w jej poznaczoną niebieskimi żyłami rękę wiele lat później. Nie mówiłam: Wyjdiesz z tego, mammo, bo wiedziałam, że to nieprawda. „Kto wie, ile mi jeszcze zostało? Niewiele”. Tymczasem w hospicjum moja matka narzekała na jedzenie, pościel, piżamę, pielęgniarki. Tydzień przed śmiercią poprosiła, żebym otworzyła jej torebkę i trochę ją umalowała, bo jest za słaba, żeby sama to zrobić, i gdy na samym końcu zapadła w morfinowe otępienie, wyjęłam złotą tubkę szminki i pomalowałam jej wąskie usta na różowo.

Osierocona.

Staram się wyartykułować to, że moje dobrowolne wygnanie do Red Hook wcale nie było nudne z wewnętrznego punktu widzenia. Czas zawsze się wokół mnie niejako rozpląwał. W mojej powszedniej rzeczywistości ludzie zmarli lub zmyśleni odgrywali większą rolę niż ci żywi. Robiłam skok do tyłu, żeby wydobyć skrawek wspomnień, a potem do przodu, żeby wymodelować wymyśloną przyszłość. Co do istniejących, oddychających ludzi w moim życiu skrupulatnie przestrzegałam cotygodniowych terminów wizyt u doktora Fertiga, z którym robiłam „postępy”, potem spotykałam się z Rachel na herbatę lub lampkę wina gdzieś w pobliżu jej gabinetu na rogu Park Avenue i Dziewięćdziesiątej Pierwszej, i wydawało się, że nasza dawna zażyłość nie słabnie, nawet kiedy się sprzeczałyśmy, a ona oskarżała mnie o zachowania „obsesyjne”. Maisie martwiła się o mnie. Widziałam to w jej oczach, a na głos martwiła się o Aven i Oscara, ja z kolei martwiłam się, że za bardzo poświęci się rodzinie, na czym ucierpi jej praca, Ethan zaś pisał w kawiarniach opowiadania i wydawał swoje bardzo skromne czasopismo „The Neo-Situationist Bugle” z Leonardem Rudnitzkym, przyjacielem z Oberlin. Mój syn mówił dużo o debordowskim utowarowianiu, spektaklu i alienacji oraz o samym wizjonerze Debordzie, który służył mu za wzór romantycznego bohatera<sup>13</sup>. Ethan zdawał się nie wyłapywać jego hiperboliczności, powtarzał tylko, że jego teoria potwierdziła się z nadejściem internetu: „Wszystko, co dawniej przeżywano bezpośrednio, oddaliło się, przybierając postać przedstawienia”<sup>14</sup>. A ból brzucha?

Mój syn rewolucjonista robił tajemnicę ze swego życia prywatnego (dziewczyn) i obawiałam się, że jest na mnie trochę zły za to, że w tym wieku zaczynam nowe życie; podejrzewam, że uważał to za coś z lekka nieprzyzwoitego, za pewnego rodzaju zdradę pamięci ojca, chociaż niczego takiego nie powiedział. Był, obawiam się, samowyobcowany. Chłopiec, który schowany w szafie ze swoimi sztywnymi żołnierzami kierował ich walkami i rozejmami, dorósł. Nie pamiętał swojego dziecięcego ja, gdy matka spacerowała z nim na rękach tam i z powrotem, bujała go i kołysała całymi godzinami, śpiewała mu cichuteńko do ucha, bo z takim trudem zasypiał. Ale przecież nikt z nas nie pamięta niemowlęctwa, tego archaicznego wieku w krainie matki olbrzymki.

Anton Tisch miał odpowiednią prezencję. Był wysoki, prawie mojego wzrostu, chuderlak w workowatych dzinsach, z wydatnym nosem i rozbieganymi oczyma, które chyba nie były w stanie zatrzymać się dłużej na niczym, przez co sprawiał wrażenie rozproszonego, a to w sprzyjających okolicznościach można było wziąć za żywą inteligencję. No i był artystą.

Poznałam go w barze U Sunny'ego na początku 1997 w bardzo zimną noc. Padał śnieg. Pamiętam rytmiczne fale mroźnego powietrza, gdy drzwi otwierały się i zamykały, dudnienie zimowych butów i rozświetloną latarniami biel za oknem. Był ze mną Barometr, chodzący wiatrowskaz i znakomity rysownik, którego przygarnęłam kilka tygodni wcześniej. Barometr nie tylko rejestrował każde wahnięcie ciśnienia atmosferycznego swoim cielesnym przyrządem – nadnaturalnie wrażliwą głową – ale w pewnym momencie przejął wręcz kontrolę nad tym elementem aury i potrafił obniżyć lub podnieść ciśnienie o parę hektopaskali. Nie wiedziałam nic o hektopaskalach, dopóki w moim życiu nie zjawił się Barometr, ale uwielbiałam ten termin, od nazwiska Błażeja Pascala, fizycznego i matematycznego geniusza. Nieźle się dogadywaliśmy z Barometrem, chociaż żył w stworzonym przez siebie kokonie i dialog z nim – prawdziwa wymiana zdań – był prawie niemożliwy.

Wtedy już byłam stałą bywalczynią baru. W podziękę za świadczone usługi i niezawodne towarzystwo podarowałam właścicielom oprawiony rysunek tuszem przedstawiający lokal oraz część jego mniej lub bardziej barwnej klienteli i mój podarunek został powieszony na ścianie. Wspominam o tym, bo Anton Tisch przed nim się zatrzymał. Próżność artysty jest tak wielka, że znałam tożsamość wszystkich, którzy w mojej obecności choćby prześlizgnęli się wzrokiem po tej skromnej pracy – była ich doprawdy garstka – i moje szczęście na widok szczupłego młodego człowieka z krótkimi brązowymi kędziorami przyglądającego się mojej interpretacji baru nie miało granic, no, może przesadzam, ale na pewno we mnie wezbrało.

Mimo wszystko wstydziłam się. Barometr ze względu na śnieg był mocno pobudzony, ale z jakiegoś powodu on też przywazał młodego Tischa, jak ten wpatruje się w rysunek, i głosem całkiem niepodobnym do swojego, z zupełnie mu obcą manierą, zawołał do nieznanego: „To od Harry!”. Z tego, co sobie przypominam, potrwało trochę, nim się wyjaśniło, że Harry to ja, i wtedy Anton Tisch, którego Barometr niemal z miejsca zaczął nazywać Stołem, przysiadł się do nas i razem spędziliśmy wieczór na zakrapianych pogaduszkach. Treść tych rozmów wyparowała. Z czasem jednak dowiedziałam się, że chłopak skończył Akademię Sztuk Wizualnych, nie wiedział, kim był Giorgione, za to za najważniejszego artystę wszech czasów uznawał Warhola, co musiało tłumaczyć jego obsesję na punkcie sitodruku. Zamiast gwiazd Tisch uwieczniał na swych odbitkach przyjaciół, przypuszczalnie dlatego, że ich przysłowiowe pięć minut już minęło lub miało dopiero nadejść. Tłumaczył, że jego sztuka jest bezpośrednim nawiązaniem do Warhola, ale odnosi się także do zjawiska *reality show*, chociaż na podstawie

banalnych obrazów, które mi pokazywał, trudno było to wywnioskować. Lubił termin „konceptualny” i często go używał, trochę na zasadzie „tętego” Edgara. Anton nie był złym chłopakiem. Porażał tylko swoją niewiarygodną, wstrząsającą niewiedzą.

# Oswald Case

(relacja pisemna)

W barwnym tłumie bywalców nocnych klubów na Manhattanie znany byłem jako Nocek, ale moja rubryka w „Blitzu” nosiła tytuł *Swawole Oswalda*, stosowny hołd złożony rodzicom, którym oczywiście zawdzięczam wszystko, z tym idiotycznym imieniem na czele. W plotkarskim magazynie rozwinąłem dar obmowy i sztukę aluzji, rozdając pochwały lub klapsy bogatym, próżnym i obfotografowywanym, tudzież wyciągając brudy od ochroniarzy, kelnerów i różnych niebieskich ptaków wyobrażających sobie, że sława jest czymś, co może na nich spłynąć, jeśli się o nią otrą, gdy w rzeczywistości tylko podkreślała mizериę ich egzystencji w podmiejskich klitkach, ja wszakże podsyciałem te jałowe fantazje i w taki oto sposób Nocek chwycił ofiary w swoje pazurki.

To misterna robota, spisywanie plotek, rodzaj ekwilibrystyki, której nie wolno lekceważyć i gdzie łatwo się posunąć za daleko. Trzeba pamiętać o wzajemnej zależności: oni potrzebują ciebie, a ty ich. Pierwsze kroki stawiałem pod koniec lat siedemdziesiątych, w latach świetności Studia 54, polując na smakowite kąski na temat Bianki, Andy’ego i Calvina, i świetnie się przy tym bawiłem: długie noce pod znakiem kokainy, cytrynek, zwykłej gorzały i anonimowego seksu w wielkich, modnie pustych loftach i późne popołudnia, gdy przytomniałem i wystukiwałem dla kasy swoje artykułiki. Tęsknię za tamtymi czasami. Miały w sobie magię, która teraz znikła. Prawda jest taka, że *glamour* skończył się na dobre. Przestał istnieć w chwili, gdy stał się demokratyczny, odkąd można wygooglować każdego frajera, a na YouTube można sobie znaleźć dowolną gwiazdę. Oczywiście w mieście działają jeszcze kluby dostępne tylko dla nielicznych. Ale ile razy można czytać o tym, że kolejna celebrytka rzyga na zapleczu, daje w nos paparazziemu albo świeci wydepilowaną cipą? Wkradła się nuda, zwłaszcza gdy wytrzeźwiałem, nieunikniony skutek decyzji o porzuceniu rozkoszy upojenia alkoholowego, żeby ratować wątrobę i inne, równie delikatne części ciała.

Przerzuciłem się na mniej eksploatujące formy dziennikarstwa, rzekomo też bardziej szlachetne, odkryłem jednak, że ludzkie małpy niewiele się od siebie różnią. Są chciwe, zachłanne i stratują każdego, kto im stoi na drodze, to wszechobecne cechy naszego gatunku. I każda miejska klika ma swoją hierarchię i skłonność do podszytych zawiścią zabaw w swoim

gronie. Zainteresowałem się podupadającymi nowojorskimi rubrykami kulturalnymi, strategicznie tworzonymi dla coraz mniej licznych czytelników o ambicjach intelektualnych, i jako wolny strzelec trzepałem artykuły o filmach, sztuce, literaturze i muzyce. Recenzowałem i przepytywałem. Mając doświadczenie dziennikarskie, wiedziałem, że swoim tonem idealnie się wpasowuję w zapotrzebowanie; tego właśnie chcieli, tonu znudzenia i wyższości, który odpowiadał wyobrażeniu moich czytelników o akcencie brytyjskiej arystokracji i przekonywał ich, że ja wiem lepiej – i oni też. Pisałem, żeby nadmuchać ich ego. Co znaczyło, że miałem kategoryczny zakaz nawiązywania do czegokolwiek, czego mogliby nie zrozumieć, co byłoby zbyt trudne w odbiorze. Chodziło przecież o to, żeby polechtać ich kompleksy – nie, żeby je obnażyć.

Szybko pojąłem, że podczas wywiadów kluczem jest wkupienie się w łaski przepytywanego, że trzeba okazywać podziw, nawet uwielbienie, nie odgrywając przy tym Uriasza Heepa. (W artykule nawet Uriasz Heep nie miałby racji bytu bez odpowiedniego wyjaśnienia). I wtedy, zmiękczony pochlebstwami, VIP wypluwa werbalny skarb, smakowitą niedyskrecję, z której można wyrzeźbić nagłówek lub oś artykułu, dosłowny, całkowicie autentyczny cytat – i bestia trafia do klatki. Byłem myśliwym medialnego ogrodu zoologicznego. Te metody doskonale mi służyły i znalazłem dla siebie niszę. Prowadziłem swoje detektywistyczne śledztwa, nadstawiałem wyczulone ucho i zapamiętywałem nazwiska, kto jest kim i kto jest z kim, i mając czasy klubowych ekscesów Nocka dawno za sobą, odkryłem, że zaczynam być postrzegany jako koneser sztuki.

Kultura w wielkim mieście to branża prywatna i większość funduszy znajduje się w rękach bogatych białych kobiet, które, choć nie zawsze same mają pieniądze, rywalizują między sobą o tytuł mecenaski sztuki. Błyszczą na kolacjach charytatywnych, odstawione i uperfumowane, natarte olejkami i ponaciągane, gdy ich mężusiowie, wyczerpani trudnymi negocjacjami, rozglądają się błędnie i przysypiają nad gumowatym kurczakiem. Najgorsza musi być doroczna kolacja PEN Clubu, gdzie smętni pisarze i jeszcze bardziej smętni wydawcy w źle leżących, wysłużonych smokingach lub tandetnych kieckach i okropnych butach obrzucają się wzajemnie podejrzliwymi spojrzeniami, zmuszeni do pogaduszek z przedstawicielami kapitału. Bez względu na moją sytuację materialną, a możecie być pewni, że ta rzadko napawała optymizmem, nigdy nie można mi było zarzucić, że jestem nieelegancko ubrany. Czyż mama Case, córka hydraulika z Milwaukee, nie miała dobrego nosa do „odpowiednich” strojów



i poprawnego języka? Czyż nie poświęciła się, żeby posłać synka do „odpowiednich” szkół? W końcu skończyłem Yale, choć bez stypendiów nie miałbym szans.

A potem, dzięki zdobytym koneksjom (i ciężkiej pracy, mógłbym dodać), dostała mi się synekura – współpraca z „The Gothamite” i stała pensja. Nigdy by mnie nie zatrudnili w elitarnych czasach niezawodnie nudnego i snobistycznego poklepywania po plecach, ale te czasy minęły i teraz chcieli, żeby ktoś w razie potrzeby strzyknął jadem. Potrzebowali kogoś takiego jak ja. Nadzwyczaj czarujący, świeżo upieczony absolwent akademii Anton Tish zrobił furorę w Clark Gallery swoją instalacją *Historia sztuki zachodniej* i poproszono mnie, żebym się zorientował, o co tyle szumu, i napisał artykuł z cyklu „co nowego w mieście”. Kilka lat wcześniej Jeff Koons odsłonił *Szczeniaka* i spodziewałem się jeszcze jednego wygadanego spryciarza tego typu – nie żebym miał coś przeciwko Koonsowi. Jest ucieleśnieniem amerykańskiego snu.

Jak przystało na przyzwoitego dziennikarza, zrobiłem rekonesans. Całe zamieszanie, okazało się, powstało nie za sprawą żarówki i gigantycznego roślinnego psa, lecz dzięki rzekomo wybitnej umysłowości chłopaka. Stworzył rebus, który próbowali rozwiązać wielbiciel sztuki, ale poza tym nie chciał puścić pary z ust, ten młody geniusz i pasjonat, który upierał się, że trzeba tylko otworzyć oczy i „trochę” poczytać. Przyznał, że owszem, olbrzymia rzeźba kobiety wyciągniętej na podłodze galerii to przerysowana, trójwymiarowa aluzja do *Wenus* Giorgionego, ukończona przez Tycjana; leżała w tej samej pozycji, pogrążona we śnie, z jedną ręką za głowę, drugą na kroczu, czerwony podglówek, draperie w kolorze ochry spływające pod jej nagimi kształtami. Trik Tisha – kobieta ilustrowana. Jej kremowe ciało pokrywały setki maleńkich reprodukcji, fotografii i tekstów, niektóre oprawione, inne nie, gdzie każdy element był jedną „myślą”: grecka waza z klasycznymi motywami męskiego porno, *erastes* i *eromenos*, Madonna z Dzieciątkiem, ukrzyżowania i martwe natury, notatka ze słowami „Tylko Zachód, bardzo proszę”. Na kciuku miała wyryte SPĘTANA, a na czole widniało słowo PRYMITYWNA. Jakaś mądrała z „Art Assembly” napisała, że zdjęcie pudełka proszku Brillo na lewym pośladku *Wenus* jest nawiązaniem do filozofa Arthura Danta, który twierdził, że sztuka się skończyła wraz z pudełkiem Brillo Warhola. Odkryto cytaty z Vasariego i Diderota, a także fragmenty listów Goi i van Gogha. Krytyczki feministki jakże przewidywalnie skupiły się na reprodukcji autoportretu renesansowej malarki Sofonisby Anguissoli (która ponoć zyskała uznanie Michała Anioła) w odsłoniętej pasze *Wenus* – mały żart na temat kobiet w historii sztuki, dyskwalifikowanych

i ignorowanych. Niektórych rozbawiła fotografia artysty oddającego mocz do czegoś, co wyglądało jak pisuar Duchampa (*Fontanna*) w komplecie z dopiskiem „R. Mutt”. To wszystko razem składało się na prawdziwy *tour de force*.

Mnóstwo ezoterycznego bełkotu sprowokowała inna rzeźba w sali: męski manekin ubrany w granatowy dwuczęściowy garnitur i czerwony krawat, z rękami związanymi z tyłu, wpatrzony w naszą nagą Wenus. Głęboki sens? Czy głęboki bezsens? I co tam robiło siedem rozrzuconych dookoła dużych drewnianych skrzyń? Te ponumerowane kubiki miały małe zakratowane okienka, toteż zaciekawieni musieli przeciskać się między sobą i klękać, żeby zajrzeć do środka. Każda historia była oświetlona od wewnątrz, co tworzyło „tajemniczą” atmosferę.

Historia 1. Na krześle stoi dziewczynka z podniesionymi rękami i otwartymi ustami, wyglądając przez okno miniaturowej sypialni. Na podłodze ścieli się wstrętne aranżacja z brudnych papierowych ręczników, szmat, kawałków koronki i przędzy. Wszystko pokrywają brzydkie brązowe, zielone i żółte plamy. Spod łóżka wystaje męska ręka zaciśnięta w pięść.

Historia 2. Inny pokój, z sofą, dwoma krzesłami, stolikiem, regałami na książki. Na stoliku podarta kartka z wydrukowanym słowem „Nie”. Obok mała drewniana trumna i słowa: „ona/on/ono”. Na ścianie wisi maleńki obraz. Portret dziewczynki, która wygląda jak ta z Historii 1., ale jest bardziej chłopięca – podniesione ręce, otwarte usta.

Historia 3. Ten sam pokój co w Historii 2. Postać kobiety, nieproporcjonalnie duża, musi się schylać, żeby się zmieścić pod sufitem, wpatrzona w krzesło. Przesłanie?

Historia 4. Odrażający włochaty ssak, coś na kształt królika, ale nie królik, z dwiema głowami, leży na podłodze sypialni z Historii 1. Na łóżku rozsypane pojedyncze litery wycięte z kolorowego papieru: GRATELOOTIA.

Historia 5. Łazienka. Nieproporcjonalnie duża postać z Historii 3. skulona na podłodze przyciska do piersi portret dziecka z Historii 2. Jedna noga wystaje przez drzwi i ścianę szafki. Wannę wypełnia błotnista brązowa woda. Aaaaa!

Historia 6. Znowu łazienka. Wanna osuszona, ale z ciemnym pasem od brudnej wody. Sterty maleńkich książek na podłodze. Z jednej z nich, oznaczonej „M.S. 1818”, wycieka jakieś niezidentyfikowane, embrionalne, galaretowate coś.

Historia 7. Sypialnia, salon, łazienka z Historii 1.–6., z dodatkowym pokojem, pracownią zastawioną książkami. Na dywanie leżą obok siebie dwuwymiarowe figury uśmiechniętego

mężczyzny i uśmiechniętej kobiety, jakby wycięte z tej samej starej czarno-białej fotografii. W otwartych drzwiach stoi dziecko płci męskiej i zagląda do środka, trzymając nad głową portret dziecka płci żeńskiej.

I kimże jest ten *enfant terrible*, urodzony i wychowany w Youngstown w stanie Ohio, absolwent liceum Chaney High, który lubił swoich rodziców, poznał w Akademii Sztuk Wizualnych mnóstwo „spoko gości” i uważał, że Nowy Jork jest „zajebisty”? Rolę pierwszego naiwnego odgrywał idealnie, Forrest Gump sztuk wizualnych, odurzony nagłym sukcesem, ale z wystarczającą wiedzą, żeby się nie skompromitować. Duże brązowe oczy strzelające to tu, to tam, gdy zastanawiał się nad pytaniem. Szeroki uśmiech, gdy pada pytanie o wpływy. Wymienia Goyę, Malewicza, Cindy Sherman. „W zasadzie, wie pan, to jest praca konceptualna”. Chłopak, który wyglądał, jakby się zaczął golić tydzień wcześniej, z miejsca stał się hitem sezonu. A potem, po jednej wystawie, przepadł jak kamień w wodę. Jak wcześniej Cady Noland, przestał wystawiać.

Tak jak wszystkich bawią mnie udane mistyfikacje, na przykład ta z Ernem Malleyem albo Nat Tate Davida Bowie i Williama Boyda, albo *Entropa* Davida Černego, ale trudno nazwać *enfant* pięćdziesięciokilkuletnią kobietę, która przez całe życie obracała się w świecie sztuki, prawda? A ostatni podstęp naszej Królowej Intryg spalił na panewce.

Przypisując sobie autorstwo prac Rune’a, posunęła się za daleko. Zaprzyjaźniłem się z Rune’em, gdy przeprowadzałem z nim wywiad dla „The Gothamite” w 2002. Niedługo po jego samobójstwie (nie, nie uważam, że było nieumyślne), do którego doszło siedemnastego października 2003, wpadłem na pomysł napisania książki. Zależało mi na prawdziwej historii, odkryciu, co naprawdę się z nim stało. Moja książka pod tytułem *Męczennik sztuki*, wydana w 2009 przez Myrthrite Press, to jego historia, a ja w pełni się pod nią podpisuję. Oddałem jej parę lat solidnej reporterskiej roboty – przeprowadzałem wywiady, polowałem na tropy i dokumenty. Warto przeczytać! Do kupienia w miejscowej księgarni. Można też zamówić przez internet.

Harriet Burden kupiła sobie Tisha i Eldridge’a, zapłaciła im. Bez jej worków z pieniędzmi ani jeden, ani drugi nie zgodziłby się na współpracę. To jest fakt. Rune jednak był w świecie sztuki gwiazdą. Jego krzyże sprzedały się za miliony. Nie potrzebował jej. Cokolwiek go z nią łączyło, zrobił to dla hecy, dla zabawy, swoistego estetycznego flirtu. Trudno ją winić za to, że chciała się ogrzać w blasku jego sławy. Szkopuł w tym, że ostatecznie Rune okazał się kimś

więcej, niż się spodziewała. Jego artystyczny geniusz bił na głowę jej zawiałą, pretensjonalną sztukę. Dwanaście okien Larsena to triumf. Nie sądzę, żeby stworzyła którekolwiek z nich. I oczywiście przechytrzył ją jednym zdumiewającym gestem: własną śmiercią. Film, w którym nakręcił swoje samobójstwo, przetrwa. Pokazał prawdę o naszym wyobcowaniu, o tym, czym się staliśmy w tym postmodernistycznym, a niedługo cyborgowym świecie.

Pamiętam, że pierwszy raz zobaczyłem ją w pracowni Tisha, gdy pojechałem na Brooklyn, żeby wyciągnąć z niego parę zdań do mojego artykułu. Wyglądała jak postać z kreskówki, wielki biust i szerokie biodra, olbrzymia – może nawet metr dziewięćdziesiąt pięć – niezdarne babsko o wzroście koszykarki, długich, muskularnych ramionach i gigantycznych dłoniach, nieszczęśliwe połączenie Mae West i Lenniego z *Myszy i ludzi*. Człapała po pracowni z pasem na narzędzia na biodrach i gdy spytałem, co tam robi, powiedziała, że jest „znajomą Antona” i że „mu pomaga” – ujęte całkiem precyzyjnie, jeśli się nad tym zastanowić. Zanim wyszedłem, uścisnąłem jej dłoń i spytałem, jakby od niechcienia: „A co pani sądzi o pracach Antona?”. O mało nie urwała mi głowy. „Jest wewnątrz i zewnątrz; pytanie: gdzie przebiega granica?”. Nie przytoczyłem tego obskuranckiego komentarza w artykule, ale go sobie zanotowałem. Mam go na taśmie. Mówiła jeszcze przez jakiś czas, wymachując tymi swoimi mięsistymi łapskami, podnosząc głos i kiwając głową.

Co do jednego miała rację. Wątpię, żeby zainteresowali się nią marszandzi lub kolekcjonerzy, chociaż kto wie? Łykną wszystko, jeśli odpowiednio ich podejść. Ale nie jestem przekonany, czy mogliby ją sprzedać bez przemodelowania. Była zbyt emocjonalna. Cytowała Freuda, tego wielkiego szarlatana – duży błąd – oraz pisarzy, artystów i naukowców, o których nikt nigdy nie słyszał. Była szczerą aż do bólu. Jeśli jest coś, czego w świecie sztuki się nie ceni, to nadmiar szczerości. Lubią, żeby ich geniusze byli małomówni, opanowani albo pijani i wszczynający bójkę w Cedar Bar, w zależności od epoki. Zanim opublikowałem artykuł o Tishu, dowiedziałem się, że ta dziwaczna kobieta w jego pracowni to wdowa po Feliksie Lordzie, i wtedy wszystko zaczęło się zgadzać: świeżo upieczona wdówka i jej protegowany. Był jej utrzymankiem, jeśli nie z powodu zachwycająco smukłych bioder, to z powodu swego talentu.

Dziwiło mnie tylko, dlaczego wtedy jej nie poznałem. Przed tamtym spotkaniem u Tisha musiałem ją widzieć wielokrotnie. Byłem stałym bywalcem wernisaży i co najmniej dwa razy gościłem u Lordów na koktajlach w ich przestronnym mieszkaniu – na tych hałaśliwych, tłocznych przyjęciach, gdzie jadło się na stojąco przystawki z obrotowych półmisków

i prowadziło sarkastyczne rozmowy, prześcigając się w złośliwościach. Mam bystre oko i moje ucho potrafi wyłować dwuznaczną uwagę z drugiego końca sali, a jednak żona Felixa Lorda nie pozostawiła w mojej pamięci żadnego śladu. Na dobrą sprawę była niewidzialna. Cóż, zdaje się, że teraz ma swoje pięć minut – z za grobu.

## Rachel Briefman

(relacja pisemna)

Zgodziłam się dołożyć swoją cegiełkę do niniejszej publikacji po długich rozmowach z Maisie i Ethanem Burdenami, a także z Brunonem Kleinfeldem, towarzyszem ostatnich lat Harriet. Ponadto korespondencja z profesorem Hessem utwierdziła mnie w przekonaniu, że książka o mojej przyjaciółce Harriet Burden pozwoli naświetlić różne aspekty jej życia i twórczości tym wszystkim, którzy dopiero teraz odkrywają jej sztukę.

Poznałyśmy się z Harriet w roku 1952, gdy miałyśmy po dwanaście lat, w Hunter High School. Wtedy była to szkoła żeńska. Siedziałam z Harriet w jednej ławce na francuskim i zanim zamieniłyśmy słowo, widziałam, jak rysuje. Mimo że sprawiała wrażenie w pełni skupionej na lekcji – zawsze gotowa odmienić zadany czasownik – cały czas rysowała. Rysowała twarze, dłonie, sylwetki, maszyny i kwiaty – w zeszytach, poza zeszytami, na każdym skrawku papieru, gdziekolwiek znajdowała puste miejsce. Wydawało się, że jej ręka porusza się sama, leniwie, ale z niesamowitą precyzją. Po kilku pociągnięciach ołówkiem wyłaniały się postaci, scenki, martwe natury. Kim była ta wysoka, poważna dziewczynka o czarodziejskiej dłoni? Powiedziałam jej, że jestem pod wrażeniem, a ona odwróciła się do mnie, machnęła w powietrzu ręką, przybrała niby-straszny głos i powiedziała: „Bydlę z pięcioma palcami”. To tytuł horroru z Peterem Lorrem o amputowanej ręce muzyka, która popełnia krwawe zbrodnie i gra na pianinie.

Wiele lat później, na studiach medycznych, czytałam o pacjentach neurologicznych z zespołem obcej ręki. Część osób, u których doszło do uszkodzenia mózgu, odkrywa, że ich ręka zachowuje się samowolnie i robi dokładnie coś przeciwnego do tego, co sami chcieliby akurat zrobić: rozpiną zapiętą przed chwilą koszulę, zakręca wodę, zanim szklanka jest pełna, a nawet dopuszcza się masturbacji w miejscach publicznych. Ogólnie rzecz biorąc, obca ręka jest źródłem konsternacji i zamieszania. Co najmniej jedna zbuntowana ręka w literaturze medycznej usiłowała udusić swego właściciela. Po tym, jak przeczytałam o kończynach, które żyją własnym życiem, zadzwoniłam do Harriet, żeby jej o tym opowiedzieć, a ona śmiała się tak, że aż dostała czkawki. Wspominam o tym, bo tamten żart wciąż nie daje mi spokoju. Harriet, którą szybko zaczęłam nazywać „Harry”, była inteligentna, uzdolniona i nad wyraz wrażliwa. Potrafiła godzinami milczeć ponuro, gdy byliśmy razem, a potem, gdy nie mogłam już tego znieść,

zaplatała wokół mnie ręce i przepraszała. Chociaż wtedy bym tego nie powiedziała, wydawało mi się, że jej rysunki, a potem obrazy i rzeźby zostały stworzone przez osobę, której nie znam, ale której ona też nie znała. Potrzebne jej było „bydlę z pięcioma palcami”, kreatywny demon, który zrywał pętające ją sznury lub łańcuchy.

Uczyłyśmy się razem i razem snułyśmy plany na przyszłość. Ja wyobrażałam sobie siebie w białym kitlu ze stetoskopem na szyi, jak maszeruję szpitalnymi korytarzami, rozstawiając po kątach pielęgniarki, a Harriet widziała siebie w roli wielkiej artystki, poetki lub intelektualistki – bądź wszystkich trzech naraz. Zadzierzgnęła się między nami zażyłość, jaka może zaistnieć tylko między dziewczynami, nieskrępowana męskim pozerstwem, które prześladowuje chłopców.

Prowadziłyśmy rozmowy na schodach Metropolitan Museum przy ładnej, a nierzadko też przy brzydkiej pogodzie. Zwierzałyśmy się sobie z tego, co nas dręczy, i obgadywałyśmy koleżanki z klasy. Byłyśmy pretensjonalnymi uczennicami czytającymi książki, których nie rozumiałyśmy, i opowiadającymi się za ideami, o których niewiele wiedziałyśmy, ale ta pretensjonalność była naszym pancerzem. Tworzyłyśmy dwuosobową drużynę przeciwko wrogiemu światu młodzińskich hierarchii. Moja mama powiedziała mi kiedyś: „Wiesz, Rachel, tak naprawdę potrzebujesz tylko jednej dobrej przyjaciółki”. Znalazłam ją w Harriet.

Minęło zbyt dużo czasu, bym mogła odtworzyć nas w pamięci takimi, jakimi byłyśmy wtedy. Od wielu lat zajmuję się w swoim gabinecie leczeniem dzieci i nastolatków i moja znajomość ich historii oraz analizowanie ich przypadków z pewnością wpłynęły na rekonfigurację moich własnych wspomnień. Gromadzone doświadczenia zawsze modyfikują percepcję przeszłości. To, że znałam Harriet aż do jej śmierci w 2004 roku, także zmieniło moje rozumienie początków naszej przyjaźni. Wiem jedno: pełna pasji dziewczynka wyrosła na pełną pasji kobietę, wszystkożerną istotę z olbrzymim apetytem na możliwie jak największą ilość wiedzy. Ten głód nigdy jej nie opuścił. Musiała jednak walczyć z przeszkodami, które stawały na jej drodze.

Mam zdjęcie zrobione, gdy miałyśmy po dwanaście, trzynaście lat, w mieszkaniu moich rodziców na Osiedziu Szóstej Zachodniej. Powrót do tego pokoju nie wymaga ode mnie żadnego wysiłku. Tamte przestrzenie żyją w moich kościach, ale muszę się bardziej skupić, żeby przeniknąć te obce dziewczyny z fotografii. Wysoka Harry stoi obok niskiej Rachel. Mamy na sobie bawełniane sukienki ściśnięte w talii dopasowanymi paskami oraz półbuty ze skarpetkami do kostek. Włosy Harriet są związane w koński ogon, moje rozpuszczone. Ciało Harriet jest

w rozkwicie, moje dopiero pączkuje. Żadna z nas nie wygląda przed obiektywem swobodnie, ale posłuchałyśmy komendy „Uśmiech!”, czego rezultatem są dwa wymuszone, żeby nie powiedzieć nieszczerze, grymasy. Gdy oglądam teraz to zdjęcie, uderza mnie jego banalność, ale też to, jak wiele skrywa. Jako nośnik pamięci nie przekazuje rzeczywistości wewnętrznej. Jako dokument chwili rejestruje tylko to, jak wtedy wyglądałyśmy. Zażyłość, która nas wówczas łączyła, wspólne tajemnice, zawarty przez nas pakt o przyjaźni – tego wszystkiego na zdjęciu nie ma.

Byłyśmy z Harriet „grzecznymi dziewczynkami”, wzorowymi, aktywnymi uczennicami, które równie dobrze mogły chodzić z piątkami i szóstkami przyklepionymi do czoła, ale w charakterze mojej przyjaciółki uwidaczniała się pewna świątobliwość, której we mnie nie było, surowy imperatyw moralny pochodzący prawdopodobnie od ojca protestanta. Lubiłam profesora Burdena. Pomimo swojego dystansu zawsze okazywał mi życzliwość, a kiedy z nami rozmawiał, pamiętam, że jeden kącik jego ust często podnosił się w wyrazie ironicznego rozbawienia, rzadko jednak odsłaniając zęby. W odróżnieniu od mojego wylewnego, głośnego ojca (który miał własne problemy) ojciec Harriet był fizycznie niezdarny, ze skłonnością do skrępowanego poklepywania córki po ramieniu lub szybkich, szorstkich objęć, które bardziej przypominały kolizję pędzących samochodów niż przejaw uczucia. Gdy wstawał z krzesła, miałam wrażenie, że podnosi się bardzo długo, i gdy w końcu stał wyprostowany, górował nad nami, smukły, chudy, blady i łysiejący. Lubił perorować przy nas o filozofii i polityce językiem, który często wykraczał poza nasze możliwości zrozumienia, ale Harriet słuchała go jak urzeczona, jak gdyby to sam Bóg przemawiał. Nie przypominam sobie w tych jego monologach zadufania. Wierzył w tolerancję i swobodę akademicką i tak jak moi rodzice pomstował na potworność, jaką była „czerwona panika” w latach zimnej wojny. Ale o tym, kim jesteśmy, nie stanowi to, co mówimy. Raczej to, co pozostaje niewypowiedziane. Już jako dziewczynka wyczuwałam drzemiące w tym mężczyźnie napięcie, gdy siedział w swoim wielkim fotelu, a jego długie palce oplatały się wokół martini z dwiema oliwkami. Z tego, co mogłam zaobserwować, myślami zazwyczaj był gdzie indziej.

Podczas wojny, jako małe dzieci, żyłyśmy z Harriet bez ojców i pamiętałyśmy ich powrót. Mój ojciec nigdy nie uczestniczył w walkach, ale profesor Burden służył w wywiadzie wojskowym w Europie. Według Harriet nie wspomniał jej o tym ani słowem, nigdy. Raz, gdy spytała go o tamte lata, wziął książkę i zaczął czytać, jak gdyby to pytanie w ogóle nie padło. Zanim poszedł na wojnę, ożenił się i Harriet wiedziała, że ojciec skłócił się ze swoją rodziną, bo



dziewczyna jego marzeń była Żydówką. Nie był to wieczny rozłam; Burdenowie z czasem teoretycznie uznali Ruth Fine i wnuczkę, ale byli snobami – po prostu. Bez pieniędzy, ale z mnóstwem uprzedzeń potomków dawnej plutokracji, uprzedzeń, do których zaliczał się cichy antysemityzm. Chociaż ojciec Harriet odrzucił ciasny świat swoich rodziców, był mimo wszystko jego produktem. Pracował po wiele godzin dziennie, był skrupulatny, obowiązkowy i surowy dla samego siebie. Powściągliwe pochwały wydzielał żonie i córce w małych dawkach. Nigdy nie widziałam go rozdrażnionego czy złośczonego się, ale z drugiej strony jego samokontrola była tak wielka, że wykluczała jakąkolwiek spontaniczność. To właśnie on był autorem przydomka „Harry”. Jako psychoanalitykowi trudno mi nie dostrzec otwarcie manifestującego się w tym zdrobnieniu życzenia.

Dziwił mnie ten brak sprzeczek i docinków w domu Burdenów. Ruth od czasu do czasu potrafiła krzyknąć na Harry, ale nigdy na męża. Z kolei moi rodzice regularnie wszczynali kłótnie, po których następowały okresy spokoju, i chociaż toczone przez nich boje sprawiały mi straszny ból, byłam, w przeciwieństwie do Harriet, oswojona z domowymi konfliktami. (Miałam też dwóch braci, mistrzów zapaśniczego duszenia). Młoda osoba zawsze ekstrapoluje rzeczywistość na podstawie własnego życia. Choćby nie wiadomo jak anormalne to życie wydawało się innym, dla tych, którzy go doświadczają każdego dnia, jest normalne.

Z drugiej strony zazdrościłam rodzinie Burdenów harmonii. Ruth była serdeczna, obrotna i najwyraźniej uważała swe małżeńskie obowiązki nie za jarzmo, lecz powołanie. Była dowcipna i dostawała ataków śmiechu czasem tak gwałtownych, że trudno jej się było opanować. Raz, gdy upuściła w kuchni garnek z duszoną wołowiną i patrzyła, jak połeć mięsa sunie w obfitym sosie po podłodze i zatrzymuje się na nodze stołka, aż popłakała się ze śmiechu. Gdy już doszła do siebie, podniosła mięso, wrzuciła je z powrotem do garnka i „trochę uzdatniła”. Zjadłyśmy kolację, nie puszczając pary z ust w obecności patriarchy, ale Ruth w trakcie posiłku mrugała do mnie i Harriet, wzbudzając we mnie cudowne poczucie konspiracyjności.

Wołowy chaos w domu Burdenów był anomalią i dlatego stał się źródłem historycznej wręcz wesołości. Moja matka, tłumaczka z francuskiego i niemieckiego, pracowała przy naszym kuchennym stole. Przed kolacją zsuwała papiery na bok, a potem, gdy rano zauważała na kartkach krople sosu do spaghetti, krzychała: „Czy ja chowam w tym domu świnie?”. Teraz sądzę, że Ruth Burden porządkowała swój świat, żeby nie dopuścić do siebie niepokoju i podtrzymywać spokojną fasadę męża, w którym pod powierzchnią coś się burzyło i który

wypijał co wieczór trzy szklaneczki martini, żeby powstrzymać napierającą falę. Lubiłam dotyk pani Burden. Był ciepły i czuły; nie szczędziła go córce, a czasem też i mnie. Gdy u nich nocowałam, otulała nas kołdrą, chociaż nie byliśmy już małe, i lubiłam czuć jej dłoń na czole, lubiłam jej perfumy i słodycz w głosie, gdy mówiła „dobranoc”.

Równie silne matczyne uczucia, a także obsesja na punkcie porządku zawładnęły Harriet po tym, jak urodziła Maisie. Rzuciła się w wir macierzyństwa i życia rodzinnego w sposób, który, szczerze powiedziawszy, zaskoczył mnie. Stała się własną matką, co nie było proste, bo rozpaczliwie pragnęła też być swoim ojcem – królem filozofem. Spotykałyśmy się z Harry co tydzień przy herbacie, odkąd zaczęła odwiedzać psychoterapeutę, mojego kolegę po fachu Adama Fertiga. Pewnego popołudnia wpadła kilka minut spóźniona i usiadła naprzeciwko mnie, przepraszając. „Rachel – powiedziała – czy to nie dziwne, że nie wiemy, kim jesteśmy? To znaczy wiemy o sobie tak wstrząsająco mało. Opowiadamy sobie jakąś historyjkę i nie przestajemy w nią wierzyć, a potem się okazuje, że to niewłaściwa historia i że nasze życie do tej pory nie było takie, jakie być powinno”.

Tamtego popołudnia rozmawiałyśmy o swoich historiach, o oszukiwaniu samego siebie i o złości Harriet na jej los. Ani jej historia rodzinna, ani polityka kulturalna, ani jej temperament nie mogą wytłumaczyć tego, co się z nią stało. Wszyscy nosimy w sobie chmury i je nazywamy, ale nazwy wprowadzają podziały, które nie zawsze istnieją. Harry nosiła w sobie burze, trąby powietrzne i tornada wytyczające własne destrukcyjne szlaki. Jej cierpienie sięgało głęboko i nie zaczęło się, gdy była dorosła. Pamiętam, jak stała przed lustrem z twarzą zalaną łzami. Miała może piętnaście, szesnaście lat. „Nienawidzę tego, jak wyglądam. Dlaczego wyrosłam na taką poczwagę?”.

W szkole dziewczyny, które cieszyły się największym powodzeniem, już we wtorek przechwalały się, że są umówione na randki na piątek i sobotę. Ja i Harry udawałyśmy wyniośle, że jesteśmy ponad tego typu głupstwa, ale która nastolatka nie chce być adorowana i kochana? A jeśli już o tym mowa, który człowiek? Przypuszczam, że jej wygląd był areną, gdzie dotykały ją najbardziej zgubne aspekty amerykańskiej kultury – wrażenie, że jest zbyt duża, by podobać się mężczyznom. Prawda jest taka, że Harriet była uderzająco piękna. Miała zachwycające, silne, bujne ciało. Faceci gapili się na nią na ulicy, ale nie była flirciarą, nie miała też towarzyskiego wdzięku ani umiejętności paplania o niczym. Harriet była nieśmiałą samotnicą. W towarzystwie zwykle się nie odzywała, a gdy już coś powiedziała, było to tak dosadne i inteligentne, że ludzie

się jej bali, zwłaszcza chłopcy w jej wieku. Nie wiedzieli po prostu, co o niej myśleć. Harry czasem żałowała, że nie jest chłopakiem, i mogę potwierdzić, że gdyby nim była, miałaby ułatwione zadanie. Ponadnormatywną inteligencję u chłopca da się łatwiej skategoryzować i nie niesie ze sobą seksualnego zagrożenia.

Niedawno czytałam znowu ulubioną książkę Harry z czasów licealnych – *Frankensteina* Mary Shelley. Często czytałyśmy te same tytuły i we dwie pochłonęłyśmy *Jane Eyre*, *Wichrowe wzgórza*, wszystkie powieści Austen i sporo Dickensa, ale *Frankenstein* stał się archetypowym tekstem Harry, baśnią o tożsamości, biblią Harriet Burden. Chociaż spodobała mi się ta opowieść, proroczy mit o rozwoju współczesnej medycyny, nie wracałam do niej w kółko. Harriet niespecjalnie interesowali doktor Frankenstein i bezbarwne bohaterki powieści. Uwielbiała za to monstrum i cytowała z pamięci całe fragmenty, deklamując je jak dawni poeci, co mnie rozśmieszało. Z drugiej strony zdumiewało mnie tak fanatyczne przywiązanie do tej miltońskiej istoty.

Gdy jednak wróciłam do tej lektury już jako dorosła kobieta, czułam, jak otwierają się przede mną drzwi. Przeszłam przez nie i znalazłam Harry. Odnalazłam ją w powieści napisanej przez dziewiętnastolatkę w wyniku zakładu. W 1816 Mary Shelley spędzała lato w Szwajcarii ze swoim mężem, sąsiadem lordem Byronem i kimś mniej znanym, nie pamiętam nazwiska. Padło hasło, aby napisać historię o duchach, która sprawi przyjemność pozostałym. Mary jako jedyna wywiązała się z zadania. W przedmowie pisze, że ta historia nawiedziła ją we „śnie na jawie”, gdy kolejne obrazy przejmowały władzę nad jej wyobraźnią. Patrzyła, jak „blady student sztuk diabelskich” tworzy potwora.

„Oto ta przeraźliwa rzecz staje przy jego łożu, rozsuwa zasłony i wpatruje się weń żółtymi, zażawionymi oczyma o badawczym wszakże spojrzeniu”.

Nie sposób zapomnieć głównego wątku tej historii. Wiedziałam, że potworna istota, którą ożywia Frankenstein, czuje się samotna i niezrozumiana do tego stopnia, że jej egzystencja staje się przekleństwem. Wiedziałam, że ta straszna izolacja zamienia się w pragnienie zemsty, ale zapominałam o mocy tych uczuć – furii, żalu i żądzy krwi – a może nigdy wcześniej tego nie wychwycałam. I nagle natknęłam się na słowa wypowiedziane przez monstrum w rozdziale piętnastym:

„Wygląd mój był odrażający, a postura olbrzymia. Co to znaczyło? Kim byłem? Czym byłem? Skąd się wziąłem? Co mi było pisane? Te pytania wciąż powracały, a ja nie umiałem

znaleźć na nie odpowiedzi”<sup>15</sup>.

Poczułam się tak, jakby przemawiał do mnie duch Harry.

## Kompendium trzynastu punktów

Bohaterowie, *non sequitur*, wyznanie, zagadka i wspomnienia o H.B.

Ethan Lord

1. Heroiczny bohater Żarlinków, którzy zamieszkują krainę daleko na północ od Nigdzie, niejaki Gobliatron, zdołał się wyrwać z lodowego uścisku Potakiwacza, mechanicznego człowieka, który swoim spojrzeniem zamrażał całe jeziora. Jak tego dokonał? Otóż zamrożony w połowie kroku na polu lodowym zaczął myśleć o ciepłe. Myślał tak intensywnie, że wzbudził w sobie gorączkę. Gorące ciało roztopiło lód i tym sposobem nasz bohater odzyskał wolność.

2. Ale czy da się zobrazować słowo? Jak narysować „kiedykolwiek”, „ale”, a „potem” lub „w zeszłym tygodniu”? Strzałkami.

3. Różowe koguciki na pizamie kupionej we Francji, którą Edward Boyle nazwał dziewczynską. Wyjąłem nożyczki, wyciąłem dziurę w jednej nogawce i wyrzuciłem strzęp materiału do śmieci. Pocięta pizama zniknęła. Przyznaję się do winy. Miałem osiem lat.

4. Rozwiąż zagadkę: jest tak krucha, że nawet nazwanie jej może ją zburzyć. Co to jest? Cisza... F.L., *pater familias*, zadał mi tę zagadkę, gdy miałem dziewięć lat. Nie znałem odpowiedzi, ale gdy mi ją zdradził, nie mogłem przestać o niej myśleć. Leżałem w łóżku i wypowiadałem raz za razem słowo „cisza”, żeby usłyszeć, jak się ją burzy. Zapytałaś mnie, co robię, a ja odpowiedziałem. Uśmiechnęłaś się, ale ten uśmiech przeszedł w grymas i nie wiedziałem, co się za nim kryje.

5. Istota w szafie. Pamiętam, że szafa była moim wrogiem. Pamiętam, że wyczuwałem coś za jej drzwiami. Pamiętam, że schowałaś w szafie latarkę, a potem, gdy wyczerpywały się baterie, pozwalałaś mi je wymieniać.

6. Eurytmia. Wszystko ma jakąś strukturę lub rytm, które można dostrzec dzięki uważnej obserwacji, ale czy te powtórzenia istnieją poza umysłem, to pytanie otwarte. Ty i ja nie widzieliśmy tych samych struktur.

7. „Teoria jest dobra, ale nie powstrzyma tego, co ma się wydarzyć”. Wypowiedziałaś te słowa jeden miesiąc, dwa dni i trzydzieści siedem minut przed swoją śmiercią. To cytata z Jean-Martina Charcota, neurologa, który ubierał się na czarno, zachwycał się malarstwem i był

autorem pierwszej opisowej analizy stwardnienia rozsianego.

8. Bodaj jedyna sytuacja, kiedy doskwierała ci nuda, to oczekiwanie na bagaż na lotnisku. Poza tym byłaś na nią odporna.

9. Uznając błędne rozumowanie według *argumentum ad populum*, największa marka to najlepsza marka. Każde kulturowe stado, duże i małe, kieruje się tym fałszywym poglądem. Stado pędzi pogapić się na spektakl wybielającej pasty do zębów. Stado pędzi obejrzeć nową gwiazdę galerii sztuki. Stado jest jednomyślne. Stado to zbiorowy podglądacz i na podstawie otrzymanych informacji dostrzega piękno, wyrafinowanie, mądrość w błyskotkach, pustych nośnikach wartości, bogactwa i chwały. Ale stado lubi też brzydotę: upokorzenia, morderstwa, samobójstwa i trupy – nie rzeczywiste zwłoki na wyciągnięcie ręki, nie zwłoki, które cuchną, ale przedstawionych zmarłych, zmarłych i umierających na ekranie. Znajome stado, nasze stado, w swoich gustach jest przeważnie higieniczne. Stado czytuje „The Gothamite”, aby poznać higieniczne gusta, które nie zaburzą spektaklu wybielającej pasty do zębów rozjaśniającej ich zbiorowy uśmiech z Madison Avenue i nie zbrukają garnitur z Wall Street. Stada, duże i małe, tworzą rozmaite tożsamości poprzez dobór towarów, to ich racja bytu. Wizerunki żywych oraz martwych sprzedaje się na otwartym rynku jako apetyczne ciała. Ich rzeczywistość należy wyłącznie do typu trzecioosobowego. Ciała nie mają wnętrza, bo pierwsza osoba liczby pojedynczej jest zabroniona. W każdym stadzie wartość określa się poprzez zbiorową percepcję i liczbę oglądających.

10. Rubika kostka: 43 252 003 274 489 856 000 kombinacji. Dałaś mi ją, bo wiedziałas, że jej algorytmy będą mnie prześladować. M.L., Tancerczka vel Maisie Lord, siostra wyjęta z herbatki u Szalonego Kapelusznika, nie rozumiała, że jest to sześćościenne wszechświat do opanowania poprzez ruch i kolor, że jest to kosmologia, oddzielna rzeczywistość, miejsce, w którym chce się być. Popsuła moją kostkę Rubika. A ja odciąłem jej kucyk. Trzymałem włosy nad muszlą klozetową przy wtórze jej pisków. Spuściłem wodę. Muszla nie chciała połknąć włosów. Przyszłaś, spojrziałaś, zaczęłaś krzyczeć, a gdy krzyczałaś, machałaś rękami przy uszach. Potem przyniosłaś ręczniki i mówiłaś nam o tolerancji, ale nas to nie interesowało, to znaczy nie interesowała nas tolerancja. Jesteśmy za duzi, powiedziałaś, żeby psuć kostki Rubika i spuszczać kucyki w ubikacji, i masz już tego – nas – serdecznie dosyć. Miałem jedenaście lat, Maisie trzynaście. A potem usiadłaś na podłodze w łazience (z ręcznikiem z beżowym paskiem na jednym końcu), chociaż była mokra. Twoja głowa opadła na pierś i dobył się z ciebie dźwięk –

zduszony jęk i pociągnięcia nosem. Znieruchomiałem jak zmrożony Gobliatron. Nie byłem w stanie się poruszyć. Tancereczka zawołała: Zobacz, coś narobił! Zobacz, coś narobił! Ale moje usta były zbyt zaciśnięte i zimne, żebym mógł odpowiedzieć.

11. Debord Guy. Wymyślił grę w wojnę. Była to gra planszowa oparta na wojnach napoleońskich. Guy Debord, Julien Sorel, Ethan Lord – wszyscy chcieli w nią grać, przesuwać pionki. Wyjaśnij mi reguły. Faceci uwielbiają gry. Powiedziałaś mi kiedyś. Ale ty też byłaś miłośniczką gier.

12. Ethan Lord, jedyny syn Harriet Burden i Felixa Lorda, latorośl wyżej wymienionych dwóch osób w ramach podstawowej komórki społecznej, aspirujący pisarzyna, układacz łamigłówek, sierota po neo-sytuacjonistach, wspomina swoją matkę. Staram się sobie przypomnieć ciebie, mamó, pozbierać skrawki z myśli i zamienić je w coś więcej niż tylko hume'owski zlepek wrażeń, jak byś powiedziała, hume'owski od Davida Hume'a. Kantowski, heglowski, spinozjański, może też husserliński? Mamy *Husserliana*, *Gesammelte Werke*. Na pewno byś się ucieszyła na wieść, że zajrzałem do Husserla, przeczytałem kilka stron. Trudna lektura. Ciebie też czasem trudno było zrozumieć.

13. Niebiza Wcalec mieszkała w Pacynii, kraju sąsiadującym z Żarlindią, którego mieszkańcy byli dobrze ubrani, spokojni i przestrzegali zasad. Niebiza miała charakterek, była niechlujnym, umorusanym, pucółowatym dziewczyskiem i nie miała łatwego życia, wyruszyła więc w drogę szukać szczęścia w Żarlindii. Stworzyłaś Niebizę dla Maisie, ale uzbroiłaś ją dla mnie. W solidnej brązowej walizce trzymała broń laserową, miecz i specjalny przyrząd do ciągnięcia za uszy, uchociąg, podarowany jej przez Wrózkę Złej Woli i Wredności, z którego mogła skorzystać tylko siedem razy. Maisie nie pamięta tych bajek tak dobrze jak ja. Inna struktura umysłu.

# Harriet Burden

Zeszyt „A”

25 września 1998, godzina 22.00

Wołanie o prawa Harriet Burden! Łyknęli cały ten Tish-*shit*, i to tak łąpczywie, że sukces przyprawił mnie o zawroty głowy, cytując tego demona, Józefa Stalina. Usunęliśmy z nazwiska „c”, żeby powstał prawidłowy anagram. Żegnaj, Stół! Chłopak ze świeżymi bliznami po trądziku narobił im apetytu na więcej prac „cudownego dziecka”, więcej błyskotliwych żartów z aluzjami do historii sztuki, i ci bufoni wystukują swój entuzjazm w recenzjach. Nie odnaleźli nawet jednej dziesiątej moich dowcipów, odniesień, zagadek, ale kogo to obchodzi? Niewiele mieli do powiedzenia o moich pudełkowych historiach, ale to tylko świadczy o ich ślepcie, prawda? Któregoś dnia u Antona zjawił się jeden z nich, Case, imienia nie pamiętam, karzeł w garniturze, z muszką, staroświecką pomadą na włosach i wyuczonym intelektualistycznym akcentem, na którego dźwięk aż się wzdrygnęłam. Zapytał mnie, co „sądzę”. Żałosny, zadufany w sobie człowieczek.

Po jego wyjściu skręcaliśmy się z Antonem ze śmiechu tak bardzo, że aż musiałam usiąść na składanym krześle w pracowni i się uspokoić. Jesteśmy drużyną, powiedziałam mu, duetem zgłębiającym naturę percepcji. Dlaczego ludzie widzą to, co widzą? Muszą istnieć jakieś konwencje. Oczekiwania. W przeciwnym razie nie widzielibyśmy niczego; wszystko ginęłoby w chaosie. Typy, kody, kategorie, koncepty. Dołączyłam ją przecież. Figurę mężczyzny w garniturze spoglądającego z jakże poważną miną na olbrzymią nagą kobietę. Jak szybko przyjmują i namaszczają uśmiechniętego młodego artystę otoczonego nimbem niewinności; patrzcie, jaki ocytany, jaki wyrobiony, jaki mądry. Wielka Wenus wywołała (stosunkowo) spory szum. Słyszę szum pszczoł, a pszczoły żądlą. Powiedziałam doktorowi Fertigowi, że nienawidzę pszczoł. A słowem „nienawidzić” nie szastam. Wie o tym. Wie też, że ten żart jednocześnie nie jest żartem. Chce wiedzieć, kiedy wyjawię swoją tożsamość. Już samo to określenie jest ekscytujące. Czuję się, jakbym żyła w jakimś thrillerze. Kiedy wyjawię swoją tożsamość?

Pyta też o Antona.

Ale Wielka Wenus należy do Antona Tisha, oznajmiłam. Nie powstałaby bez Antona, drogi doktorze Fertig. Jest to dzieło, które zaistniało między nim a mną, bo zostało stworzone



przez chłopaka, *enfant terrible*, nie przeze mnie, starą Harriet Burden, artystkę z dwojgiem dorosłych dzieci, wnuczką i kontem w banku.

Doktor Fertig zaznaczył, że pieniądze to często skomplikowana sprawa.

Pieniądze ze sprzedaży dostaje Anton. Taką zawarliśmy umowę.

Zamykam oczy. Zamykam oczy. To teraz mój czas. To mój czas i nie pozwolę go sobie odebrać. Grecy wiedzieli, że maska w teatrze nie jest przebraniem, lecz drogą do objawienia. I teraz, gdy już zaczęłam, czuję wiatr w żaglach, nie dlatego, że Wielka Wenus daje mi tyle cynicznej satysfakcji, ale dlatego, że widzę, co są w stanie łyknąć, i z odpowiednią miną mogę dać im więcej. *Notabene*.

Ale Anton mówi też, że Wenus wygląda pięknie w przestrzeni galerii, gdy tak śpi, że jest wspanialsza, niż mi się wydaje, bo gdy nad nią pracowaliśmy, nie widzieliśmy jej w całej okazałości. Nie odważyłam się jeszcze tam wybrać, ale może zajrzę przez szybę i zerknę na moją wielką lalę, mój pierwszy sukces.

Nikt nie wie oprócz mnie, Antona i doktora Fertiga. Edgar coś podejrzewa. Pozostali młodzi asystenci wiedzą, że za nią zapłaciłam, ale wierzą, że ta dama wypłynęła prosto z wyobraźni Antona. Jedna z asystentek, o jakimś niedorzecznym imieniu, Spadające Liście, Jesienne Słońce czy coś w tym guście, bez wątplenia latorośl jakichś świrów od New Age, najwyraźniej przyssała się do Antona – *unheimlich* istotka o ślicznych blond loczkach, ustach w kolorze kwiatów maku i niezwykłych oczach, dużych, mądrych i niebieskich.

À propos wiatru w żaglach, gdzie jest Barometr? Zajrzałam do jego pokoju. Zwykle o tej porze leży już zwinięty w swoim śpiworze z maseczką na oczach i słuchawkami na uszach, żeby się odciąć od ciśnienia i odpocząć od trudów rejestrowania zmian pogody. Mam nadzieję, że biedak nie przeszedł kolejnego załamania i nie wylądował w szpitalu. Chociaż Rachel twierdzi, że medycyna może mu pomóc, wiem, że Barometr nie chce zatrutych pigułek podawanych przez lekarzy, bo tłumia jego dar, a jest to rzeczywisty dar, choć brzmi to dziwnie. Czasem, gdy słucham jego paplaniny, sama zaczynam wyczuwać barometryczne wahnięcia – bujnięcia w górę i w dół we własnym cielesnym rejestrze – szmer w układzie.

Mam nowego gościa, nazywa się Phineas Q. Eldridge, imię i nazwisko zmyślone. Urodził się jako John Whittier; odrzucił swoje nazwisko, gdy się ujawnił jako homoseksualista. Nowa tożsamość zraziła do niego siostrę i szwagra homofoba, ale nie matkę, z którą często mailuje i jeździ do niej raz w roku, do Karoliny Północnej. Matka i siostra w tajemnicy odwiedzają go

w hotelu. Phineas to performer; występuje w przebraniu pół kobiety, pół mężczyzny, w połowie biały, w połowie czarny, przecięty pośrodku od góry do dołu, i te dwie jego części prowadzą ze sobą na scenie rozmowę. Jego ojciec był biały, matka jest czarna, zatem Phineas wie co nieco o połowiczności. Tych dwoje przeważnie się kłóci; w przeciwnym razie nie byłoby zabawy, ale czasem też stapiają się, mieszają i przenikają wzajemnie, co mnie fascynuje. Zaprosił mnie, żebym go obejrzała w przyszłym tygodniu, więc jestem strasznie podekscytowana i tylko trochę się obawiam, bo mam nadzieję, że jest dobry. Phineas Q. (twierdzi, że pod „Q” można sobie podstawić, co się chce: Quentin, *quasi*, *qui pro quo* czy znak jakości Q) jest szalenie elokwentny i chociaż nie widuję go często, bo pracuje nocami, czekam niecierpliwie, aż znowu wkroczy do pracowni i rzuci jeden z tych swoich ciętych komentarzy na temat mojej sztuki. Figury Felixa nazwał „ambrozyjnymi chuchrami”. Powiedział też, że moja pudełkowa Empatia aż się prosi o odrobinę empatii. Poczułam się urażona, ale miał rację. Zaczęłam od nowa z lustrami. Mój dom określił mianem „noclegowni” i opowiada się za wprowadzeniem reguł, organizacji, jakiegoś nadzoru. Nie mogę ot tak, po prostu, przyjmować każdego ćpuna lub podejrzanego typu, który zapuka do moich drzwi. Ma rację. W zeszłym tygodniu udzieliłam schronienia dziewczynie z warkoczykami, która wcisnęła tyłek w tak obcisłe czerwone szorty ze skóry, że pomyślałam o kiełbasie w osłonce. Możliwe, że zaliczyła parę numerków, zanim poprosiłam ją, żeby się wyniosła. Jednej nocy odwiedziło ją dwóch facetów o ponurych twarzach. Jeśli uprawiali seks z Czerwonymi Szortami, nie był to seks radosny.

W Phineasie wyczuwam smutek, ranę ukrytą pod tą energiczną, pogodną powłoką. Nie wiem, ile ma lat, może około trzydziestu pięciu, ale coś mnie ciągnie do tej jego melancholijnej rysy. W chwilach nieuwagi na jego twarz wypływa zaduma. Nigdy, kiedy na mnie patrzy, ale gdy milknie, kiedy się odwraca. Raz go zapytałam, czy się dobrze czuje.

Odpowiedział, że nie.

To jego „nie” mnie ucieszyło. Czyż nie mówimy zwykle: „Tak, czuję się świetnie”?

„Tak, a ty?”

„Świetnie, świetnie”.

Wszyscy czujemy się świetnie.

Żałuję, że czułam się tak świetnie przez tyle cholernych lat...

Czekałam uprzejmie, aż Phineas Q. wyjaśni, dlaczego nie czuje się dobrze, ale nic nie powiedział, a ja nie naciskałam, bo jest we mnie strach, paskudna powściągliwość. Od tak dawna,

jak tylko pamiętam, drzemie we mnie – coś tłustego, ciężkiego, wstrętnego, czego nie chcę budzić. W przeciwnym razie zatrzęsie się ziemia, popękają i runą mury. Przyłóż palec do ust, Harry, przyłóż palec do ust i obejdz to na paluszkach. Bądź miła i sympatyczna, Harry, tak miła i sympatyczna, jak tylko potrafisz.

Przy Feliksie też odczuwałam to coś, ale nie z jego winy. Rozumiem to teraz. Pojawiło się na długo przed nim. Nie budź go. Nie tup tak. Ustępuj mu. Nie denerwuj go. Jest kruchy, kruchy i poniekąd niebezpieczny. Felix zawsze zasługuje na to, na co ty nie zasługujesz. Dlaczego? Tajemnicze odczucia: zakodowane, automatyczne, bezmyślne. Przed słowami. Pod słowami.

Pytam cię, czym są wczesne wspomnienia.

*Z dużym trudem przypominam sobie sam początek mojego istnienia – wszystko, co miało miejsce w owym okresie, zdaje się jakieś pogmatwane i niejasne<sup>1617</sup>.*

Podobnie u mnie.

*Umysł jest dla siebie / Siedzibą, może sam w sobie przemienić / Piekło w Niebiosą,  
a Niebiosą w piekło<sup>1819</sup>.*

Mogę polegać na obrazach, które widzę, czy może są zniekształcone do tego stopnia, że zaciera się wszelki sens?

*Moje życie – broń załadowana<sup>2021</sup>.*

Na papierze jestem dzika. Bestialska. A potem muszę się ukrywać i grubą czarną kredką zamazuję wszystkie linie. Zaczerniam kartkę, żeby nigdy nie zobaczyli, co narysowałam, co zrobiłam.

Dlaczego czuję się tak, jakbym nosiła w ciele jakiś sekret niczym embrion, niemy, nieuformowany, niepoznany? I dlaczego czuję się, jakby miał wybuchnąć w wielkiej eksplozji, jeśli nad nim nie zapanuję? To musi być łatwe, jakże łatwe zapełnić ten wilgotny, dławiący niepokój słowami, spisać lęk, spisać historię, która wyjaśni jego przyczynę.

Leżałam w dzieciennym łóżeczku.

Stałam na podłodze.

Zasłony były zaciągnięte, a ja musiałam wspiąć się na krzesło, odsunąć materiał i wyjrzeć na ulicę.

Zobaczyłam jego stopy przed drzwiami.

Z chmury nieświadomości zaczyna się wyłaniać wspomnienie. Bezkształtne nabiera kształtu i wkrótce rozlega się zduszony dźwięk – złowrogi i znaczący.

Wstyd pojawia się przed poczuciem winy.

Ale nie ma powrotu, Harry, umysł jest dla siebie siedzibą i przenosi nas wstecz i w przód. Ma własną architekturę przeszłości opierającą się na prawdziwych pokojach i prawdziwych ulicach, ale ulegają one nieustannej rekonstrukcji i teraz znajdują się wewnątrz, nie na zewnątrz. Kiedyś rozlegały się tam odgłosy śmieciarek, syren, fragmenty zdań gawędzących przechodniów i unosiły się wonie następujących po sobie pór roku, teraz jednak te gęste obrazy, dźwięki i zapachy zostały uproszczone w wewnętrzne myślowe kody sztywne od słów. Przyszłość stworzona jest z tego samego – wolnych przestrzeni, które zapełniamy życzeniami i lękami. Skąd tyle lęków? W mglistych obszarach dzieciństwa nie ma ani jednej historii, Harry, która by cię wyjaśniała.

Przychodzi mi na myśl Bertha, Bertha Pappenheim alias Anna O.

Przerażające, co sobie wyobrażamy i co tworzymy pod wpływem wyobraźni.

Ona, Anna O., przyjmuje doktora Breuera, lekarza, który ponoć wyleczył ją metodą katartyczną, pierwszą metodą „leczenia mową”, ale to Bertha wymyśliła tę nazwę, nie on. W liście do Stefana Zweiga w 1932 Freud umieścił epilog tej historii. Gdy Breuer wchodzi do pokoju, Bertha chwyta się za brzuch i wije z bólu. Co pani dolega? – pyta doktor. – Co się stało? A ona odpowiada: Właśnie przychodzi na świat dziecko doktora B.

Rzecz, którą stworzyli razem. Popatrz.

Dobry doktor wybiega w popłochu.

Dobry doktor nie wybiega w popłochu. To mit.

Przeregowali ją.

Ona miała przeregować ich. Odwagą<sup>22</sup>.

Śnię o doktorze F.

Rzecz tłumiona. Rzecz, która się wydostaje na zewnątrz. Dała jej nazwę: dziecko doktora B. Przyjdzie na świat.

Gdzie przebiega granica między wspomnieniem a halucynacją?

Tworzymy obrazy spontanicznie. Wydostaną się na zewnątrz.

Jak daleko sięgam pamięcią, nawiedzały mnie w nocy przed snem. Przerażały mnie,

strachy tego samowyswielającego się kina, podobne snom, ale niebędące snami, progowa rzeczywistość między jawą i snem; limen, który powinien mieć nazwę, ale nie ma. Nie jestem na ekranie, lecz poza nim, oglądam ich wyczyny; z czasem je polubiłam. Co noc na nie czekam. Bestie się budzą, dzikie i groźne, z wyszczerzonymi zębami, z różową cieczą płynącą z nosów, gdy ciężko przemierzają niebieskie, płynne wzgórza. Nigdy nie nieruchomieją, przechodzą ciągłą metamorfozę, pyski zamieniają się w brody, oczy w sińce, cycki i wacki odpadają i przetapiają się w nowe demony lub znikają w eksplozjach koloru. Włosy powiewają za zniekształconymi głowami w skręconych strąkach lub warkoczach, ale widzę też niewinnych i niefrasobliwych, słodkie dzieciątka i dobrze uformowanych dorosłych; para tancerzy spółkuje ze sobą w powietrzu, a ja uśmiecham się na widok rytmicznie poruszających się bioder. Małeńki człowieczek skacze ze skarpy i idealne figury geometryczne twardej zieleni, czerwieni i żółci stapiają się w wielobarwną płynącą lawę. Widziałam nas wszystkich, Maisie, Ethana, Felixa i siebie, rodziców i Rachel, jak przepływamy pod moimi zamkniętymi powiekami na ekranie, ledwo rozpoznani, ale mimo to obecni w tym orszaku, jak gdyby mój umysł zachował szpule starego filmu. Gdybym tylko potrafiła przenieść te hipnagogiczne omamy na płótno, film lub małe kinetyczne rzeźby. Skąd się biorą? Dlaczego taki obraz, a nie inny? Czy to przeobrażona pamięć? Skąd w mózgu biorą się halucynacje? Nikt nie wie.

Słyszę na korytarzu świszczący oddech Barometra. Cieszę się, że wrócił. Nie wiem, gdzie wybywa na całe godziny. Nawraca innych, nawija czy po prostu się włóczy? Ale słyszę jego gwizdzące oskrzela. Felix też miał świszczący oddech. I kaszał. Mój ojciec kaszał. Sami palacze. Kaszel każdego z osobna miał/ma swój wilgotny lub suchy grzechot. Czy to nie dziwne, że potrafimy rozpoznać czyjś kaszel, że flegma odrywająca się od oskrzeli ma swój charakterystyczny dźwięk? Mój szalenciec świszcze i kaszle i zaczął się drapać po wyimaginowanych ranach, które od drapania zamieniają się w prawdziwe rany. Zaproponowałam mu balsam. W swoich notesach rysuje miasta w ogniu, smoki, derwiszów i kręgi, krąg na kręgu, zagadkowe symbole i chmury, rzecz jasna, deszcz, śnieg i grad różnej wielkości. Ładna pogoda mało go interesuje; jest moim przyjacielem na złą pogodę.

## Rosemary Lerner

(relacja pisemna)

We wszystkich dziedzinach sztuki rysuje się wyraźna tendencja, aby mitologizować nieżyjących, przez co rozumiem snucie redukcjonistycznych narracji dla zinterpretowania życia i twórczości danego artysty. Od ponad czterdziestu lat zajmuję się pisaniem o sztuce i spotkałam się z tym wielokrotnie. Przyczyny upraszczania są często ideologiczne, ale również sensacyjne biografie mogą wymazywać wszelkie niuanse, gdy te życiorysy zdają się idealnie odwzorowywać gotową rolę i scenariusz – tragicznego bohatera lub bohaterki, ofiary, geniusza. Autentyzm takich papierowych historii należy podważać. Harriet Burden wcale nie była aż tak nieznana i niezauważana, jak to się daje do zrozumienia w ukazujących się ostatnio tekstach na temat jej kariery. Jej prace znalazły się na aż pięciu wystawach zbiorowych w latach siedemdziesiątych i choćby ja wyróżniłam ją w recenzji dla „Art in New York” w 1976:

*Osobliwa architektoniczna konstrukcja Harriet Burden z lekko przekrzywionymi ścianami i podłogami, figurkami o olbrzymim ładunku emocjonalnym, pastelową paletą i gęstym zastosowaniem tekstu utkwiała w pamięci autorki niniejszej recenzji jako dzieło błyskotliwej i uderzająco niezależnej artystki.*

Byłam wprawdzie w mniejszości, ale kilka głosów mi zawtórowało. Archie Frame, Beatrice Brownhurst i Peter Grosswetter pozytywnie wypowiedzieli się na temat jej dwóch wystaw indywidualnych, obu w dużych nowojorskich galeriach. Owszem, obydwaj marszandzi rozstali się z nią, ale ostatecznie nie jest to rzecz niespotykana. Harriet Burden dołączyła jedynie do niemałego grona wybitnych artystów wizualnych, kobiet i mężczyzn, którzy, choć szanowani przez innych artystów, spotkali się z mieszanymi recenzjami i nie przyciągnęli do swojej twórczości wielkich kolekcjonerów.

Recenzenci wszelkiego autoramentu lubią tkwić w przekonaniu, że są ponad dziełem sztuki. Jeśli praca wydaje im się niezrozumiała lub ich onieśmiela, najprawdopodobniej nie zostawią na niej suchej nitki. Wśród artystów niewielu jest intelektualistów, ale Burden była intelektualistką i jej szeroka wiedza znajdowała odbicie w twórczości. Stosowane przez nią odniesienia dotyczyły wielu dziedzin i często były trudne do rozszyfrowania. Jej sztukę cechował

również literacki, narracyjny sznyt, który często odrzucano. Jestem przekonana, że już sama jej wiedza stanowiła pierwiastek drażniący wielu recenzentów. Odbyłam kiedyś rozmowę z dziennikarzem, który zmiażdżył w swojej recenzji jej wystawę indywidualną. Gdy napomknęłam o tym i zaczęłam bronić jej ekspozycji, zareagował agresją. Nie był głupi i wcześniej pisał pochlebnie o artystach, których podziwiałam. Skrytykował prace Burden jako naiwne i bezładne, choć w rzeczywistości były czymś dokładnie przeciwnym. Uzmysłowiłam sobie, że nie potrafił dokonać sprawiedliwej oceny, ponieważ – choć szczycił się wyrafinowaniem – umknęły mu wielorakie sensy starannie dobranych przez nią tekstów i własną dezorientację przerzucił na oglądane dzieło. Na koniec powiedział: „Nie podobało mi się, OK? Po prostu mi się nie podobało i mam gdzieś, do czego się odnosiła”. Ta rozmowa zapisała mi się w pamięci nie tyle jako historia o Harriet Burden, ile jako przestroga dla mnie samej: strzeż się gwałtownych reakcji i sofizmatów, którymi próbujesz je uzasadniać.

Do tego dochodzi kwestia płci. Częstokroć zdobycie pozycji w świecie sztuki zajmuje kobietom więcej czasu niż mężczyznom. Znakomitą Alice Neel zainteresowano się dopiero wtedy, gdy przekroczyła siedemdziesiątkę. Louise Bourgeois wybiła się dzięki wystawie w MoMA w 1982. Miała siedemdziesiąt lat. Tak jak w przypadku Burden nie ignorowano tych artystek, ale zdobyły uznanie dopiero u schyłku kariery. Malarka Joan Mitchell była za życia znana i podziwiana, ale dopiero po śmierci jej znaczenie wśród ekspresjonistów abstrakcyjnych drugiego pokolenia znacząco wzrosło. Grace Hartigan była jedyną kobietą na legendarnej wystawie *Nowe malarstwo amerykańskie* w 1958–59. Eva Hesse, która studiowała na Cooper Union zaledwie kilka lat przed Burden, zmarła w 1970 w wieku trzydziestu czterech lat na raka mózgu. Nie doczekała czasów, gdy jej gwiazda rozbłysła mocniej, a jej twórczość wywarła duży wpływ na młodych artystów. Za życia narzekała, że jej sztuka nie spotyka się z poważnym zainteresowaniem tak jak prace jej kolegów, i miała rację. Wielu recenzentów skupiało się na jej życiu, nie sztuce. Dla świata sztuki prace Lee Krasner pozostawały w cieniu twórczości jej męża. Jackson Pollock był i jest deifikowany jako bohater romantyczny. Rok przed śmiercią Krasner zorganizowano retrospektywę, ale wtedy, jak sama stwierdziła, było już „za późno”. W tej branży liczą się głównie mężczyźni. A gdy zauważa się kobiety, często jest to jedynie próba naprawienia tego, co przeoczono w przeszłości. Co interesujące, wiele kobiet – nie wszystkie – doczekało się sławy, gdy przestało już odgrywać rolę obiektu pożądania seksualnego.

Chociaż liczba artystek ostatnimi czasy wprost eksplodowała, jest tajemnicą poliszynela,

że nowojorskie galerie wystawiają kobiety dużo rzadziej niż mężczyzn. Odsetek oscyluje na granicy dwudziestu procent wszystkich wystaw indywidualnych w mieście, pomimo że prawie połowę tychże galerii prowadzą kobiety. Muzea sztuki współczesnej i czasopisma branżowe bynajmniej nie są pod tym względem lepsze. Każda artystka musi się borykać z cichą tendencją rynku do utrzymania męskiego *status quo*. Prace mężczyzn niemal bez wyjątków są dużo droższe od prac kobiet. Pieniądz opowiada własną historię. Zrezygnowawszy z życia publicznego jako artystka, Burden postanowiła poeksperymentować z odbiorem swojej sztuki poprzez wykorzystanie męskich masek. Rezultaty były niezwykle. Jej sztuka, zaprezentowana jako dzieło mężczyzny, nagle zyskała entuzjastyczną publiczność. Namawiałabym jednak do ostrożnych ocen. Trendy w świecie sztuki podlegają ciągłym fluktuacjom. Jednego dnia jest modna surowizna, drugiego – dania gotowane. I wiecznie obecny głód młodości, najnowszej wschodzącej gwiazdy, a raczej gwiazdora w karcie. Czy młoda kobieta równie dobrze sprawdziłaby się w eksperymencie Burden? Prawdopodobnie nie, ale tej historii nie da się opowiedzieć jako zwyczajnej przypowieści feministycznej, chociaż wydaje się oczywiste, że w postrzeganiu twórczości Burden decydujące znaczenie miała dyskryminacja płciowa. Jednakowoż każda z jej masek zdawała się odsłaniać inny aspekt jej wyobraźni i z czystym sumieniem można powiedzieć, że trajektoria jej artystycznych eksperymentów zmierzała w stronę nasilającej się i niemal złowrogiej dwuznaczności.

Anton Tish, który całkowicie zniknął ze świata sztuki, najwyraźniej był jedynie marionetką. Z drugiej strony Phineas Eldridge dodał odrobinę swego sarkastycznego humoru do *Duszných pokoi*, przy których współpracowali. On też odszedł od uprawiania sztuki, lecz nie od jej komentowania, i jego list opublikowany w „Art Lights” pozostaje moim zdaniem nie tylko hołdem złożonym Burden, ale i wnikliwym odczytaniem jej prac.

Współpraca Burden z Rune'em jest – przynajmniej dla mnie – smutna i tajemnicza. Kontrowersje wokół jego rzekomo samobójczej śmierci i sensacje Oswalda Case'a, który w swojej książce *Męczennik sztuki* ukazuje Rune'a jako genialną gwiazdę nowej ery technologicznej, tylko przysłoniły prawdziwe problemy. Prawdą jest, że spornych czterech okien nie można z całą pewnością przypisać Burden, i są tacy, którzy twierdzą, że należą one do Rune'a. Ostateczny werdykt nie zapadł i ta zagadka pozostanie nierozwiązana jeszcze długo, jeśli w ogóle kiedykolwiek zostanie rozwiązana. Tak czy inaczej przestrzegabym przed jednoznacznym odczytywaniem współpracy Burden–Rune. W najgorszym wypadku prowadzi to



do tworzenia mitów: dowody zastępuje się życzeniami. Ignoruje się autobiograficzne teksty Burden, które świadczą niezbicie o tym, że ktoś, przypuszczalnie Rune, dopuścił się zwyczajnej kradzieży części jej prac. W swoim zeszycie pod datą dwunasty września 2003 zapisała: „W nocy zniknęły z pracowni cztery prace. Jestem zdruzgotana”. Po co miałaby pisać coś takiego, gdyby to nie była prawda? Według teorii Case’a Burden próbowała zrobić Rune’a, pozostawiając pisemne świadectwa zdecydowanie wskazujące na jego winę, i zrobiła to z chęci zemsty i złośliwości. Case opiera się w znacznej mierze na tym, co usłyszał od Rune’a, i nie miał dostępu do prawie żadnych zapisków Burden, gdy pisał swoją książkę. Cytuje jedno jedyne zdanie zaczerpnięte z jej trzystronicowego tekstu opublikowanego w wiosennym numerze „Dexterity” (2008), w roku jej retrospektywy w Grace. „Jakże łatwo Rune’owi błyszczeć. Skąd się bierze ta łatwość? Jest taki lekki. Mnie przygniata ku ziemi, jestem Kalibanem, a on – Arielem”. Trudno to uznać za dowód jakiegoś makiawelicznego planu mającego na celu podkopanie kariery innego artysty.

Mogę dodać tylko jeden osobisty akcent do tej historii. Gdy obejrzałam *Historię sztuki zachodniej*, rzekomo dzieło Antona Tisha w Clark Gallery, zastanowił mnie fragment wryty na wewnętrznej stronie uda Wenus:

*Czyż dziewczęta nie zrobiły tyleż dla lalki? – lalki – tak, celu rzeczy przeszłych i tych, które dopiero przyjdą? Ostatnia lalka, rzucona na pastwę czasu, jest tą dziewczyną, która powinna zostać chłopcem, i tym chłopcem, który powinien zostać dziewczyną! Miłość lalki ostatniej zapowiada się w miłości tej pierwszej. Lalka i niedojrzali mają w sobie coś prawdziwego – lalka, bo przypomina życie, lecz go nie zawiera, a trzecia płęć, bo zawiera życie, lecz przypomina lalkę.*

Powyższy fragment pochodzi z *Nightwood* Djuny Barnes, trudnej i dziwnej powieści. Szczerze mówiąc, nie jestem do końca pewna, czy rozumiem te rozważania na temat lalek, wiem natomiast, że nie w jednej, lecz w aż trzech pracach na swojej drugiej wystawie Burden zawarła cytaty z tej właśnie książki. Nikt nie ma monopolu na cytowanie *Nightwood*. Ale mimo wszystko wydało mi się to podejrzane, a potem, gdy zajrzałam do pudeł wokół wielkiej figury Wenus, te scenki były tak bardzo podobne do wczesnych konstrukcji Burden z ich małymi figurkami i zagadkowymi narracjami, że nabrałam pewności, iż Tish widział jej prace. Uleganie wpływom jest rzeczą normalną, ale te eksponaty wyglądały jak rozwinięcie jej wczesnej twórczości

i zaczęła mnie dręczyć myśl, że Tish może przywłaszczył sobie pomysły z prac, których nigdy nie wystawiła. Ani jeden recenzent nie zająknął się o Burden.

Przez syna przyjaciela, który znał córkę Burden, zdobyłam brooklyński numer artystki i zadzwoniłam do niej. Przedstawiłam się, wyjaśniłam, dlaczego dzwonię, i spytałam, czy była w galerii obejrzyć wystawę Tisha, na co odpowiedziała przecząco. Później odkryłam, że w zasadzie mówiła prawdę. Spytałam ją, czy wciąż tworzy. Odpowiedziała: „Tak”. Czekałam, aż coś doda, po czym wyjaśniłam, że zaniepokoiło mnie podobieństwo pewnych aspektów wystawy Tisha do jej twórczości. Nastąpiła długa, krępująca cisza. Słyszałam jej oddech. Wreszcie odchrząknęła i powiedziała: „Dziękuję. Dziękuję pani za telefon. Do widzenia”.

I tyle. Dałam jej szansę. Nie skorzystała z niej. Harriet Burden miała sojuszników. Zaliczam się do ich grona. Jestem przekonana, że gdyby poszukała marszanda, znalazłaby go, a nawet jeśli nie, mogła wybrać inną drogę. Istnieją kobiece kooperatywy wystawiające artystki, które nie zdobyły uznania w mainstreamowych galeriach. Widziałam tam naprawdę znakomite prace. Burden zależało na jej eksperymencie i chciała pozostać w ukryciu. Żałuję, muszę przyznać, że wtedy nie mogła mi odpowiedzieć. Jednocześnie jej maski należy uważać za pogłębienie tego, co wychodziło jej najlepiej – sztuki skumulowanej dwuznaczności.

# Bruno Kleinfeld

(relacja pisemna)

Poznałem Harry w wystrzępionym, rozmazanym, zabazgranym na marginesach, poplamionym i podartym rozdziale mego życia. Ale był to w gruncie rzeczy problem kosmetyczny. Jestem dumnym właścicielem wielu sfatygowanych i poobcieranych biografii, które wciąż pozostają czytelne. Czas pełnie. Czas zmienia. Przyciąganie ziemskie uparcie oddziałuje. Jak mawiała kiedyś moja matka: „Po pięćdziesiątce, Bruno, to już tylko łatanie, łatanie, łatanie”. Nie, to nie mój łysiejący zewłok o obwisłych policzkach basseta sprawiał, że ten rozdział był tak kiepski. Chodziło raczej o to, że utraciłem siebie. Nie byłem już bohaterem własnego życia. Zamiast tego czaiłem się w metaforycznym cieniu niby jakaś drugoplanowa postać z zaledwie kilkoma linijkami dialogu tu i ówdzie. Wyobraźcie sobie, że wstajecie rano i zaczynacie przetrząsać mieszkanie w poszukiwaniu siebie, wyciągacie szuflady, wybebeszacie szafy i sprawdzacie, czy nie ma was pod łóżkiem. Gdzie ja go podziałem, tego błyskotliwego młodzieńca o kręconych włosach i perspektywach jaśniejących tuż za tamtym wzgórzem? Co się stało z Brunonem Kleinfeldem? Możecie sobie pytać. Moja osoba odsunęła siebie na bok w taki sposób, że przestałem już być sobą. Impostor, Bruno Kleinfeld, ten, który się budził co rano w niechlujnym mieszkaniu w Red Hook, byłby sporą niespodzianką dla właściwego Brunona Kleinfelda, który śmiało wędrował przez kolejne rozdziały swojej w pełni autoryzowanej biografii. Ale tego Brunona po prostu nie mogłem odnaleźć i byłem skazany na tamtego, żalną pokrakę, która regularnie jadła na kolację spaghetti z puszki i dwukrotnie w desperacji zniżyła się do skonsumowania psich przysmaków. Widzicie, nie było go stać na czynsz i musiał pójść na żebrzy do swego starego przyjaciela Tipa Barrymore’a na Park Slope, którego egzystencja w eleganckiej kamienicy na Manhattanie dużo bardziej przypominała tę, jaką wiódł autentyczny Bruno. Oczy. Wszystko kryje się w oczach. Oczy Tipa, gdy mówił, że nie muszę mu zwracać. „Nie musisz nic zwracać, Brun”. Brun to jedyny sposób, żeby skrócić imię Brun-O. Uciekające źrenice, nerwowość, nie prosto jak strzał z dubeltówki, nie jak mężczyzna z mężczyzną. Biedny Brun. Nie powiedział tego na głos. Co to, to nie. Mówiły jego oczy. Użalasz się nad błyskotliwym chłopakiem tuż za tamtym wzgórzem? Co jest, kurwa? Z kimś mnie pomyliłeś, facet, to nie ten Brun-O, stary. Przyjmij to na klatę. Przyjmij to na szczękę. *Garçon!* Przynieś no

kieliszek fronsaca i stek z frytkami *tout de suite*. Z majonezem! Małe marzenia o jedzeniu. Marzenia o mieszkaniu bez karaluchów, z działającą spłuczką, muszlą klozetową bez rdzy, linoleum bez pęknięć i żółtych plam. Żalotne marzenia pozera, fałszywego Kleinfelda o rozdętych kształtach i upośledzonych ruchach bez werwy. Gdzie się podziewa ten gość, który potrafił rąbnąć piłkę baseballową tak, że szybowała ponad ogrodzeniem, a potem obiegał bazy, który był mistrzem bajeru, bawidamkiem, uwodzicielem, mężem trzech kobiet i ojcem trzech córek, obiecującym autorem dwóch zbiorów poezji, wydanych przez dużą oficynę, dużą, nie jakieś tam byle co (tonacja może i minorowa, ale klasa majorowa), z pochwałami luminarzy na okładce z tym ważnym słowem, którym się napawał, które przeżuwał i ssał długo i zawzięcie: „whitmanowski”? Jego poezja jest whitmanowska i aż trzy wykrzykniki wieńczące zdanie w notce wydawniczej autorstwa znakomitości o międzynarodowej sławie, zdecydowana interpunkcja dla zdecydowanie błyskotliwego chłopaka, który zgarniał granty na poczet przyszłego jaśnienia tuż za tamtym wzgórzem, młodego, przystojnego zarozumialca, który zaczyna epicki poemat, poemat na wieki, poemat mający być ukoronowaniem całej amerykańskiej poezji.

I zaczyna go pisać, pisze i przepisuje, i cały czas nie może osiągnąć tego, na czym mu zależy. I gdy tak pisze, mijają lata; żeni się i rozwodzi, żeni się ponownie i rozwodzi, a potem jeszcze raz; rodzą się dzieci, a on wciąż komponuje swój poemat, ale cały czas nie może osiągnąć tego, na czym mu zależy. Czasem traci go z oczu. Zachodzi obawa, że zostanie zmiądzony przez poemat, który go przytłacza. Chce wyrugować z niego wszystko, co jest gównem, rozumiecie? B.K. ma nadzieję oczyścić swój tekst ze zbędnych pierdół i wspiąć się na wzmiankowane wzgórze, ale nie daje rady. Są dni, kiedy odnosi wrażenie, że wpycha swój poemat coraz bliżej szczytu, prawie już widzi drugą stronę, ale potem – tak jak Syzyfowi – nie udaje mu się przetoczyć go przez wierzchołek.

I tak oto pewnego październikowego poranka fałszywy Kleinfeld łagodnie wyciska stolec ze swego starego tyłka do szwankującej muszli klozetowej we wspomnianym wyżej slumsie z lekko podniesioną roletą w oknie, żeby mieć widok na ruch uliczny w dole i duży budynek magazynu po drugiej stronie, gdzie od dłuższego czasu odbywa się remont, i znowu ją widzi, wysoką kobietę stawiającą duże kroki, o cyckach, na których widok serce zamiera mu w piersi – często ją widuje, niemal codziennie od wielu miesięcy, i co nieco o niej słyszał. Znowu tam jest, znowu w innym płaszczu, zielonym jak paproć, z szerokimi rękawami i z czymś w rodzaju

wszytego szalika, który powiewa, zarzucony na ramię. Kleinfeldowi przychodzi do głowy myśl, że ta kobieta ma szafę wypełnioną samymi płaszczami i jeszcze jedną z samymi butami, bo te też się zmieniały. Że na co dzień otacza ją magia bogactwa, co oznacza po prostu to: widać, że te buty i ten płaszcz nie są czymś, o czym myśli, one po prostu są. Ci biedniejsi obnoszą swoje trofea (lśniące nowe skórzane kurtki, swetry prosto ze sklepowego wieszaka, drogie rękawiczki) ze sztywnym skrępowaniem, które ich zdradza. Nie, jej myśli krążą wokół rzeczy bardziej wzniosłych, mówi do siebie Bruno. Można to poznać po małym „V” między brwiami, filozoficznej zmarszczce; jest przekonany, to nie prozaiczne „V” wryte zmartwieniami o czynsz i zakupy. Czyż nie przyuważył jej pewnego razu w metrze, całkiem przez przypadek, jak czytała Schellinga? Boże, zmiłuj się, ta kobieta czytała Friedricha von Schellinga w metrze linii F z takim spokojem, jakby przeglądała „Daily News”. Dawny Bruno, szybki Bill, raz zajrzał do Schellinga na studiach i mocno się wystraszył, niemal tak bardzo jak wtedy, gdy otworzył *Fenomenologię ducha* Georga Wilhelma Friedricha Hegla, która też przeraziła go nie na żarty. To nie była jakaś tam szara mysz. Nie, ta dama miała wyrobione gusta, a myśli wirowały jej w głowie jak świetliki. Jej włosy tworzyły burzę bujnych loków, oczy były duże, szeroko otwarte i ciemne, miała też długą szyję i szerokie, kanciaste ramiona i tego dnia, tego październikowego ranka, gdy przechodziła przez ulicę w dole, tak jak tyle razy wcześniej, dostrzegł, jak przez jej twarz przemyka jakaś kruchość, jakaś boleść, lekko jak bryza, i za sprawą tego podmuchu nagle ona wygląda niemal dziecięco. Jej usta, brwi, jej oczy, wszystko złożyło się na ten wyraz twarzy, który nie trwał długo, ale sobowótrowi Kleinfelda siedzącemu na kiblu z majtami zaplątanymi wokół kostek wydało się, że ból, który dostrzegł, a ona poczuła, pojawił się i znikł pod wpływem jednej przykrej myśli o kimś.

Ten widok katapultował go. Katapultował młodzika, czarodzieja kija baseballowego, poetę szwungu i pewności siebie – powrócił tamten zaginiony bałamut, oryginalny Kleinfeld, przynajmniej na chwilę, i ja (bo to byłem ja, Bruno Kleinfeld z dawnych lat) pośpiesznie, acz dokładnie podtarłem dupsko, chwyciłem dzinsy i koszulę leżące zmięte przede mną, porwałem kurtkę z wieszaka przy drzwiach z czterema zamkami, sprawdziłem, czy mam w kieszeni klucze, zbiegłem po schodach i wypadłem na ulicę, po czym puściłem się za nią w pogoń jak jakiś narąbany trubadur.

– Stop! – ryknąłem.

Zatrzymała się i odwróciła. To nie była jeszcze moja Harry. O nie, była wtedy babką od

płaszczy, która obróciła się na obcasach butów za kostkę, żeby spojrzeć na mnie z góry. Była wysoka i po tamtej dziecięcej, bezbronnej minie nie było już śladu. Ściągnęła pogardliwie brwi, a ja poczułem, jak wraca frajer, ta żałosna podróba, ale było już za późno. Wyciągnąłem rękę.

– Bruno Kleinfeld, sąsiad. Chciałem panią poznać.

Harry, nieznajoma, uśmiechnęła się lekko i uściśnięła mi dłoń.

– Miło pana poznać, panie Kleinfeld – powiedziała.

Nie zalewam, akurat w tej samej chwili zza chmury wyszło słońce i rozświetliło ulicę, a ja wykorzystałem okazję, bo tak trzeba, jeśli nie chcemy, żeby szansa przeleciała nam koło nosa.

– Wymowna świetlistość – rzekłem.

Wyglądała na zbitą z tropu. Co miały znaczyć te słowa? Co według niej miałem na myśli? Widziałem, jak zмага się z tą zagadką. Uśmiechnęła się zażenowana.

– Bogowie nam sprzyjają! – wypaliłem.

Przyjrzała mi się w milczeniu. Rzadko spotykałem osoby, które robią tak długie przerwy między zdaniem. W końcu wypowiedziała pytanie:

– Czemuż to, panie Kleinfeld?

Przypominała mi panią Curtis, nauczycielkę biologii z liceum Horace Mann. Czemuż to, panie Kleinfeld? Jesteśmy w Ameryce. Kto teraz mówi „Czemuż to, panie Kleinfeld?” oprócz nauczycielek w liceach?

– Sprzyjają nam – odpowiedziałem – bo doprowadzili do naszego opatrzynego spotkania.

– Myślałam, że „opatrzny” znaczy „przezorny” lub „czujny”. A mnie się zdaje, że decyzję o tym, by za mną pobiec, podjął pan dość pochopnie, by nie rzec, no właśnie: nieopatrznie.

Zgadaliśmy się z Harry co do naszej rozmowy do tego momentu, słowo w słowo. Ta wymiana zdań wryła się w naszą wspólną pamięć. Spieraliśmy się jednak co do dalszego ciągu tej sceny. Wciąż klnę się na wszystko, na co się da, że rzuciłem się wprost na głęboką wodę i zaprosiłem ją na kolację. Ona przysięgała, że dyskutowaliśmy jeszcze przez pewien czas o słowie „opatrzny” i że ja naturalnie wymazałem to z pamięci, bo w kwestiach etymologicznych biła mnie na głowę. Mnie chodziło o to, że nasze spotkanie było zrzędzeniem opatrności. Że niby zetknęło nas ze sobą przeznaczenie. Miałem tylko nadzieję, że nie zauważyła, iż przygnałem za nią jak oszalały tuż po wizycie w kiblu (o czym nie wiedziała, dopiero później wyznałem jej, że wielokrotnie przyspieszała moją perystaltykę). Harry miała pedantyczną żyłkę, pedantyczność nauczycielki gramatyki, która czasem doprowadzała mnie do furii. Myślałaś jeszcze przez jakiś

czas o tym przymiotniku i wydawało ci się, że powiedziałaś coś na ten temat, ale nic nie powiedziałaś. Zdarza się, zdarza. Tak jej tłumaczyłem, ale mi nie wierzyła.

Nie jestem pewien, który Bruno Kleinfeld zjawił się w restauracji trzy dni później. Ten, który ogolił się przed wyjściem, był tym samym starym przykiem o bezsensownych pretensjach do samego siebie. Jaka kobieta chciałaby tego frajera w lustrze, który od dwudziestu pięciu lat czyteluje ten sam poemat, który prowadzi dwa kursy kreatywnego pisanie na Long Island University za dwanaście tysięcy dolarów rocznie, który za grosze jako wolny strzelec robi czasem adiustację lub skrobnie recenzję jakiejś książki, który jest nieudacznikiem przez wielkie „N”? Trema ścisnęła mi płuca i oddychałem płytko, prasując jedyną dobrą koszulę, tę, którą dostałem na urodziny od Cleo, mojej córki, w marcu poprzedniego roku. Jakby tego było mało, stówę na kolację z Harry pożyczyłem od Louise, sąsiadki z klatki, która pogroziła mi palcem i zaskrzeczała: „To nie jałmużna, Bruno, masz mi oddać!”. Moje serce brało udział w maratonie, gdy ja stałem jak słup soli, pocąc się w moją czystą, wyprasowaną koszulę. Napięcie było paraliżujące. Przez jakieś pięć minut stałem przed drzwiami swojego mieszkania. Siłą, która mnie przez nie przepchnęła, była samotność – ten paskudny, niedający spokoju, dręczący, ścierający na proch rodzaj samotności, którego nie mogłem dłużej znieść.

A potem, po konwencjonalnych pozdrowieniach i ślizganiu się spojrzeniem po sztywnym papierze menu, po złożeniu zamówienia i przyswojeniu sobie, że kelner ma na imię Roy lub Ramon, krótko mówiąc, po tych wszystkich krępujących ceremoniach, przez które trzeba przejść, gdy dwoje obcych sobie ludzi wybiera się w rejs zwany kolacją na mieście, bogowie, aniołowie, dobre wróżki lub gwiazdy filmowe, któreś z tych nierealnych niebiańskich istot, co to w nie połowicznie wierzymy, jeśli akurat jest nam to na rękę, uśmiechnęły się do nas, gdy płynęliśmy od sałatek z młodych warzyw do wybranej wspólnie potrawy z kurczaka z grzybami, trochę suchego. I gdy trawiliśmy wyschnięty drób, *to* wydarzyło się znowu: autoryzowany Bruno powrócił triumfalnie, aby oczarować Płaszczową Damę, która z kolei oczarowywała jego, bo była zabawna, dowcipna, a także tajemnicza, rzucając zagadkowe komentarze, których nawet autentyczny, stuprocentowy Bruno nie potrafił tak naprawdę przeniknąć, ale które rozbudziły w nim straszliwą ciekawość. I gdy oddychała, razem z nią oddychały jej piersi, więc kilka razy musiał przymknąć oczy, żeby nie zakręciło mu się w głowie.

Wydaje mi się, że miała diamentowe kolczyki, i wiem, że w powietrzu wokół naszego stołu unosiła się, napływając do moich nozdrzy, woń perfum, którą – jak opowiadała – Napoleon,

ten karłowaty triumfator europejskich wojen, stworzył dla jednej ze swych żon, Józefiny. Miał ich tylko dwie, o jedną mniej niż ja. Ten arogancki sukinsyn powiedział kiedyś: „Ja jestem rewolucją”. Cóż, tego wieczoru rozpoczęła się rewolucja Brunona Kleinfelda i wiedziałem, że muszę ją doprowadzić do końca, w przeciwnym razie będę już zawsze podzielonym państwem.

Słuchałem jej. Nie ma w tym cynizmu, gdy mówię, że jest to pierwsza zasada flirtu. Bez nadstawionych, zasłuchanych uszu nikogo się nie uwiedzie. Mów mi Harry, zaproponowała. Harry, mówiłem. Słuchałem, jak opowiada o dwojgu dorosłych dzieci, autorce filmów dokumentalnych i pisarzu, oraz o wnuczce, która potrafi fikać koziołki i zapalała zaskakującą namiętnością do Bustera Keatona i Peggy Lee, a także o zmarłym mężu, pół Tajui, pół Anglika, synu dyplomaty, mężczyźnie, który czuł się jak u siebie wszędzie i nigdzie. Z opisu wynikało, że był czarujący – dużo kasy i dużo przywilejów – typ kolesia, który dyskretnie wchodzi do zadymionego baru w jednym z tych hollywoodzkich filmów z lat czterdziestych, ubrany w biały smoking, i lustruje salę cudzoziemskimi oczami.

Nie potrafiłem do końca rozgryźć Harry, to znaczy kim była. Była szczera i bezpośrednia, ale też miała w sobie jakieś wahanie. Zdania formułowała powoli, jak gdyby zastanawiając się nad każdym słowem. Rozgadała się trochę o Bosch, o tym, jak bardzo uwielbia jego demony i „mutacje”. Kochała Goyę. Stwierdziła, że od reszty malarzy dzielą go całe światy. „Nie bał się patrzeć – powiedziała – chociaż są rzeczy, których nie powinno się oglądać”. Gdzieś w okolicach drugiej lampki wina ściszyła głos, jak gdyby w obawie, że parka przy stoliku obok podsłuchuje. W mieszkaniu jej rodziców na Riverside Drive, wyznała, pod jej łóżkiem mieszkał chłopiec. „Ział ogniem”. Cytuję jej słowa. Ział ogniem. Harry nie powiedziała „wymyślony chłopiec” lub „urojony przyjaciel”. Położyła długie dłonie na obrusie, pochyliła się do mnie, wciągnęła i wypuściła powietrze. „Wiesz, chciałam umieć latać i ziać ogniem. Były to moje największe marzenia, ale jedno i drugie było zakazane, tak przynajmniej czułam. Zajęło mi dużo czasu, bardzo dużo czasu, zanim pozwoliłam sobie latać i ziać ogniem”.

Nie powiedziałem, chociaż pokusa była silna, że gdyby chciała połaskotać mnie ogniem, to ja bardzo chętnie. Rzuciłem jakiś inny żart i roześmiała się. Harry miała zdrowe zęby, ładne, równe, białe, oraz dźwięczny śmiech, głośny i rubaszny, który przyprawiał mnie o amnezję, który rozwiewał lata spędzone w mojej norze, sprawiał, że czułem się lekko i swobodnie, jakbym zrzucił ciężar, powiedziałem, balast, śmiech Harriet Burden zrzucił z moich pleców zajęcia na uczelni, mój poemat i popękane linoleum. Nie wiem dlaczego, ale od mojej aluzji do jej



nazwiska, bo *burden* to właśnie „ciężar”, „brzemień”, spoważniała i zadrżały jej usta. Myślałem, że z miejsca się rozklei i skropi łzami niedojedzonego kurczaka, więc zainterweniowałem. Pomógł mi Thomas Traherne. Nic nie sprawdza się lepiej niż mój stary kumpel Tom zmarły w 1674, ekstatyczny bard, jeśli takowy kiedykolwiek istniał, poeta całkiem zapomniany do roku 1896, kiedy to jakaś ciekawska duszyczka o nieznanym nazwisku odkryła manuskrypt na stoisku z książkami w Londynie. Przed laty nauczyłem się na pamięć jednego z wierszy Traherne’a, *Cud*. W jednej chwili miałem w głowie trzecią zwrotkę i odczytałem ją z jakiejś kartki w mojej czaszce, gdy dama mego serca wpatrywała się we mnie cała drżąca:

W ukryciu było wszystko, co kaleczy;

Uciemienie, łzy i krzyki,

Grzechy, żale, niesnaski, skargi i zgiełk dziki

Tajne mi były: znałem tylko rzeczy,

Cenione przez niebiańskie duchy i anioły.

Nie trud i handel, zysk i strata,

Lecz byt niewinny, błogi i wesoły

Był treścią mego świata<sup>23</sup>.

To był istny cud, że ja i Harry się odnaleźliśmy. To wciąż jest cud. Moja Harry była cudem.

Zabrała mnie do siebie i gdy przekroczyliśmy próg tego gigantycznego domostwa ze ścianą okien, które wychodziły na zatokę, i długimi niebieskimi sofami, tej przestrzeni, która pozostawała surowa, ale nie do końca, jeśli rozumiecie, modnie surowa, sztuka na jednej ścianie i regały pełne książek od podłogi po sufit z kilkoma tysiącami woluminów na drugiej, wielkie stare dywany na podłodze i lśniąca kuchnia z garnkami zwisającymi z haków pod sufitem,

powiedziałem do siebie, stary, to jest raj, istny raj, żadnych pęknięć, okruchów, roztoczy ani robactwa, i to zaraz po drugiej stronie ulicy! Potem Harry pokazała mi pracownię piętro niżej. Zeszliśmy po schodach. Pstryknęła światło i ukazał mi się długi korytarz z szeregiem drzwi z jednej strony, pokój za pokojem, i słyszałem, że w jednym z nich ktoś chrapie. Nie pytałem. Wszystko szło tak dobrze, że nie chciałem nic zepsuć.

Harry otworzyła podwójne drzwi na końcu korytarza i wciskała kolejne włączniki, żeby oświetlić swoje miejsce pracy. Przyznam się bez bicia, że sztuka Harry trochę mnie przeraziła. Szczerze mówiąc, tamtej pierwszej nocy miałem wrażenie, że to jakieś wudu. Przeszedłem tuż pod wiszącym kutasem, piekielnie realistycznym, i nie, nie mam na myśli ozdoby w kształcie pędzla, było tam też kilka powstających dopiero figur, co najmniej pięć ciał jej byłego małżonka w miniaturze i inne postaci naturalnych rozmiarów, w ubraniach, leżące wokół jak trupy. Miała tam potężne maszyny i całe tablice narzędzi, które przywodziły mi na myśl średniowieczne narzędzia tortur, a centralne miejsce zajmował wielki szklany pojemnik z lustrami w środku i paroma ludzkimi kształtami, które przyprawiły mnie o gęsią skórę. Louise wspominała, że w okolicy ludzie nazywają ją czarownicą, na co ja się zachnąłem. „Daj spokój, co za brednie”. Ale to studio miało w sobie coś piekielnego, bezapelacyjnie. Spodziewałem się, że zaraz zza belek wyfrunie ten ziejący ogniem bachor, o którym opowiadała przy kolacji. Płaszczowa elegantka tworzyła jakieś dziwadła i przyznaję, że gdy rozglądałem się po tej manufakturze osobliwości, czułem, jak znowu odzywa się we mnie ten nędzny frajer. Był specem od kurczenia się w sobie, więc skurczyłem się w sobie.

Harry była tak podekscytowana, że niczego nie zauważyła. Uśmiechała się, pokazywała mi swoje twory i zaczęła mówić płynniej niż poprzednio – opowiedziała mi, że opracowuje pewne pomysły; chce wyrazić pewne idee w ciałach, ucieleśnionych myślach, i zabawić się perceptywnymi schematami. Lubiła Husserla, jeszcze jednego niezrozumiałego Niemca, którego pewnie czytywała w metrze. Ja czytam dużo, ale filozofia szybko mnie nuży. Poproszę wersję filozofii w wydaniu Wallace’a Stevensa, to mi w zupełności wystarczy. Chciała, żebym rozumiał. Chciała, żebym ogarnął: intencjonalność operacyjna. Kiwałem głową, skurczywszy się jeszcze bardziej. Aha, Husserl, aha, jasne. Tak.

No dobrze, byłem onieśmielony. Co innego siedzieć w restauracji, na neutralnym gruncie, a co innego wylądować w pałacu-magazynie tej kobiety i odkryć tam armię makabrycznych kukiełek oraz fragmenty anatomiczne, z których część można było podłączyć do prądu

i rozgrzać, gdy ona trąkotała o niezrozumiałych tekstach, których nigdy nie czytałeś. Gdy wychodziłem z pracowni Harry, zmniejszyłem się do rozmiarów Tomcia Palucha i już nikogo nie cytowałem. Byłem gotów stamtąd zwać, ale Harry położyła mi dłoń na ramieniu i powiedziała: „Bruno, nie przejmuj się mną, bardzo cię proszę. Nakręciłam się tak, bo rzadko spotykam kogoś, z kim mogę naprawdę porozmawiać. A teraz mam tu ciebie i jestem trochę oszołomiona”. Wrócił ten dziewczęcy wyraz twarzy, tym razem nie smutny, tylko szczęśliwy.

Weszliśmy na górę i puściła *You Send Me* Sama Cooke’a, piosenkę o niebywale uroczym i durnym tekście i najładniejszej na świecie melodii: *Skarbie, rozpalasz mnie / Wiem, że mnie rozpalasz / Skarbie, rozpalasz mnie / Tak, to prawda, tak, to prawda*. I Harry wyszczerzyła do mnie w uśmiechu te swoje duże białe zęby, zaczęła śpiewać, poruszać biodrami i ramionami i wykonała mały układ przypominający stepowanie. Wróciłem do swojego pełnego wzrostu i gdy znów urosłem i byłem sobą, dałem nura. Objąłem ją w pasie i zatopiłem twarz w jej cudownym biuście, i na tym się nie skończyło, bynajmniej.

Opuszczę pikantne szczegóły tego, co zaszło między nami tamtej pierwszej nocy elektrycznych ciał, gdy fruwały wokół nas iskry i zialiśmy czerwonym ogniem. Oboje długo pościliśmy, a Harry tak długo, że gdy było po wszystkim i leżeliśmy na wznak wyczerpani i bez sił w jej wielkim łóżu, zaczęła płakać. Nie wydawała z siebie żadnych dźwięków oprócz kilku pociągnięć nosem. Odwróciłem się do niej i patrzyłem, jak łzy spływają po widocznej dla mnie części jej twarzy prosto do ucha. Usiadła, opłótła rękami kolana i łzy nie przestawały płynąć, wyciekać miarowo z kanalików, aż w końcu, jak sądzę, wyschły. Wiem, kiedy trzymać gębę na kłódkę. Nie skomentowałem tych łez. Nie pisałem słowa, bo wszystko rozumiałem. Gdyby mnie nie wyprzedziła, to ja mogłem siedzieć na łóżku, roniąc łzy ulgi na tę czystą, miękką, białą pościel.

## Maisie Lord

(zredagowany zapis nagrania)

Trudno o kogoś mniej podobnego do mojego ojca niż Bruno Kleinfeld. Gdy mama mi powiedziała, że się z kimś spotyka, ucieszyłam się, ale gdy go poznałam, byłam zaskoczona. Bruno o tym wie, więc nie poczuje się urażony. Mój ojciec był jak spod igły, Bruno jest wymiętoszony. Ojciec nigdy nie przeklinał, Bruno bez przerwy rzuca mięsem. Ojciec lubił tenis, Bruno – baseball. Ojciec chodził, jakby unosił się nad ziemią, Bruno szura. To zabawne, bo Bruno jest poetą, a mój ojciec był marszandem, tymczasem zgodnie ze stereotypami to poeci chodzą z głową w chmurach, a kupcy zajmują się przyziemnymi konkretami finansowo-handlowymi. Mogłabym jeszcze długo mnożyć te różnice, ale wystarczy. Wiem jedno: w towarzystwie Brunona moja matka zachowywała się inaczej. Bardziej swobodnie. Opowiadała dowcipy, droczyła się z nim, szczypała go w policzki, a on rewanzował się tym samym. Przypominali mi muppety Berta i Erniego albo Flipa i Flapa, parę dowcipkujących postrzeleńców. Szczerze mówiąc, zachowywali się żenująco, ale trzeba było być głuchym i ślepym, żeby nie słyszeć i nie widzieć, że są w sobie zakochani.

Widując mamę z Brunonem, zaczęłam chyba znowu myśleć o moich rodzicach, o tym, kim naprawdę byli, nie kim wydawali się mnie. Ojciec tworzył wokół siebie tajemnice. To był jego dar, jego charyzmat. Zawsze czuło się przy nim, że trzyma w zanadru jakiś sekret lub sypnie czymś niespodziewanym z rękawa. Byłam jego córką i cały czas miałam to wrażenie. Widziałam, jak ludzie lgną do niego. Myślę, że tak jak ja czekali, aż się uśmiechnie, co zresztą robił, ale bardzo rzadko. Czasem wydaje mi się, że celowo powstrzymywał uśmiech.

Sztuka była dla niego zaczarowaną częścią życia, tą, gdzie wszystko może się wydarzyć. Uwielbiał przede wszystkim malarstwo i był nadzwyczaj wyczulony na formę, kolor i klimat, ale zawsze powtarzał, że samo piękno nie wystarcza. Piękno może być słabe, suche i nudne. Szukał w każdej pracy „myśli i serca”, ale wiedział, że to też nie wystarczy, żeby się sprzedała. A żeby sprzedać dzieło sztuki, należy „wzbudzić pragnienie”, a „pragnienia – mawiał – nie można zaspokoić, bo wtedy przestaje być pragnieniem”. To, co jest naprawdę pożądane, musi być nieobecne. „Marszandzi muszą być czarodziejami głodu”.

Ojciec nazywał siebie kosmopolitą bez korzeni i powiedział, że uczył się tej roli od

najlepszych – od własnych rodziców. Gdy był dzieckiem, pomieszkiwali w Dzakarcie, Paryżu, Rzymie, Hongkongu i Bangkoku. Nigdy nie poznałam mojego angielskiego dziadka, ale babka była tajską arystokratką skoligaconą w jakiś sposób z rodziną królewską (co nie jest aż tak niebywałe, bo król zawsze miał wiele żon). Po śmierci dziadka babcia osiedliła się w Paryżu w wielkim apartamencie w szesnastej dzielnicy, z dużymi oknami, wysokimi sufitami i jedną z tych staromodnych wind jak klatka, co rusza z szarpnięciem po naciśnięciu guzika. Miałam cztery, może pięć lat, gdy się dowiedziałam, że Khun Ya jest mamą taty. Co do drugiej pary dziadków byłam uświadomiona, bo mama nazywała ich matką i ojcem, ale Khun Ya zupełnie ich nie przypominała. Przede wszystkim zawsze połyskiwała klejnotami. Poza tym poruszała się powoli i dystyngowanie i mówiła z brytyjskim akcentem, i nie miała nic wspólnego z moją babcią w Nowym Jorku.

Zimą po moich dziesiątych urodzinach pojechaliśmy na święta do Paryża. W Wigilię padał deszcz, pamiętam tę szarą paryską pluchę. Khun Ya powiedziała, że ma coś dla mnie, i zaprowadziła mnie do swojej sypialni. Nigdy wcześniej nie byłam w tym pokoju; prawdę mówiąc, to było trochę przerażające znaleźć się tam, w tym pomieszczeniu z rzeźbionym drewnianym łóżem, tymi wszystkimi lśniącoymi bibelotami i intensywnymi zapachami. Miała mnóstwo proszków i maści w szklanych butelkach i miseczkach. Otworzyła puzderko wyłożone żółtym aksamitem i wyjęła z niego mały pierścionek – dwie złociste rączki ujmujące drobny rubin. Ofiarowała mi go. Nie uścisnęłam jej, tak jak bym uściskała drugą babcię, uśmiechnęłam się tylko i podziękowałam. Potem Khun Ya położyła dłonie na moich ramionach, obróciła mnie w stronę wysokiego lustra i powiedziała, żebym na siebie spojrzała. Tak też zrobiłam. Poczułam, jak wciska mi palec między łopatki. Chwyciła mnie za ramiona i odciągnęła je do tyłu, puściła i odeszła kilka kroków. Wiedziałam, że chce, bym przyjęła odpowiednią pozę. „A teraz broda – rozkazała. – Podnieś ją, żeby wydłużyć szyję. Maisie, musisz się nauczyć, jak ściągać na siebie uwagę. Twoja matka cię tego nie nauczy”.

Nosiłam ten pierścionek, ale nigdy nikomu nie zdradziłam, co powiedziała Khun Ya, i za każdym razem, gdy zerkałam na te maleńkie rączki ze złota, czułam się niełojalna wobec matki i martwiłam się tym. Nie bardzo rozumiałam, dlaczego zdaniem Khun Ya wyprostowana postawa ściągnie na mnie uwagę innych, ale jej słowa potępienia – „Twoja matka cię tego nie nauczy” – były jasne. Khun Ya postanowiła zainterweniować, uznawszy, że moja matka jest do niczego. Powinnam była stanąć w jej obronie, ale nie zrobiłam tego i czułam się jak zdrajczynie. Miałam

trzydzieści lat, gdy Khun Ya zmarła na stole operacyjnym w czasie operacji wymiany stawu biodrowego, ale nie czułam zbyt wiele oprócz nieokreślonego zdziwienia, a potem miałam z tego powodu poczucie winy, bo uważałam, że powinnam była bardziej to przeżyć. Ostatecznie była moją babcią. Ethan się smucił. Zdaje się, że płakał w szafie. Z tym że Khun Ya kochała Ethana. On z łatwością przyciągał jej uwagę bez względu na to, czy się garbił, czy stał prosto jak struna. Pogrzeb odbył się w Paryżu, było mnóstwo nieznanym, kwiatów i ciężkich woni otaczających kobiety w sztywnych czarnych garsonkach z rzędami twardych, błyszczących guzików.

Po śmierci Khun Ya ojciec pokazał mi album ze zdjęciami swoich rodziców i kilkoma wyciętymi artykułami, które przywiózł z Paryża. Zobaczyłam, jak piękna była kiedyś moja babcia. „Brylowała w towarzystwie”, wspominał. Szybko uczyła się języków i mówiła po francusku, włosku, angielsku, trochę po kantońsku, no i oczywiście po tajsku. Ale dokądkolwiek się udawali, mówił ojciec, opanowywała język tylko na tyle, żeby móc powiedzieć coś czarującego i zjednać sobie gości. „Była inteligentna, ale nie wnikliwa. Liczył się efekt, nie wiedza, *très mondaine*”. I wtedy powiedział coś, czego nigdy nie zapomniałam: „Pod tym względem przypominam swoją matkę. Ale zakochałem się w waszej mamie, bo jest jej dokładnym przeciwieństwem. Jest głęboka, wnikliwa i zależy jej tylko na pytaniach, na które sama próbuje odnaleźć odpowiedzi. Świat nie dba o takich ludzi jak wasza mama, ale jej czas jeszcze nadejdzie”.

Dzieci rozpaczliwie pragną, żeby ich rodzice się kochali. Przynajmniej ja tego pragnęłam jako dziecko. Jego słowa pozostały we mnie, tak jak to się dzieje tylko z kilkoma zdaniami w całym życiu. Pisarz, którego nazwiska teraz nie pamiętam, nazwał te werbalne wspomnienia „umysłowym tatuażem”. Najczęściej zapominamy, co mówią ludzie, lub pamiętamy tylko ogólny sens, ale sądzę, że słowa ojca zarejestrowałam dokładnie. Często się nad nimi głowiłam. Wyznał mi, że kocha w matce to, czego jemu brakuje, pewnego rodzaju głębi. Chyba jeszcze gorsze było to, co dodał – że tacy ludzie jak moja mama nie liczą się dla świata. Ten świat woli ludzi takich jak mój ojciec i babcia. Wyczuwałam jednak, że jego zdaniem to postawa mojej matki jest bardziej wartościowa. Co najważniejsze, czułam, że kocha ją za to. Z drugiej strony, skoro był tak świadomy swoich braków, nie mogłam odeprzeć myśli, że być może ma w sobie więcej owej głębi, niż mu się wydaje. Raz spytałam go: „Khun Ya nie lubiła mamy, prawda?”. Pamiętam, że wyglądał na zaskoczony, ale mi odpowiedział. Wyjaśnił, że pochodziły z dwóch różnych światów i że Harriet zburzyła plany jego matki co do niego, po czym uśmiechnął się po swojemu

i powiedział: „Maisie, Maisie, Maisie”.

Wtedy nie wiedziałam, że ojciec sypia z innymi. Dowiedziałam się dużo później. Matka mówiła o tym otwarcie dopiero pod koniec życia. Byli mężczyźni i były kobiety. Chciała powiedzieć mnie i Ethanowi, że wiedziała o tych romansach, bez wszystkich szczegółów, ale wiedziała. Czuła się zraniona, ale ani przez chwilę się nie bała, że go straci, „ani razu”. W ostatnich wspólnych latach oprócz niej nie było nikogo. „I gdy odnaleźliśmy się na nowo, on umarł”.

Pamiętam klucze leżące na stoliku w naszym przedpokoju. Pamiętam, że patrzyłam na te obce klucze, a mój ojciec zgarnął je szybko, jakby od niechcenia, i schował w kieszeni.

Pamiętam, jak stałam przed pracownią ojca, gdy rozmawiał przez telefon. Pamiętam jego ściszony głos. Pamiętam słowa „tam gdzie zawsze”.

Wiem teraz, że łatwiej przeżyć rozczarowanie partnerem niż własnymi rodzicami. Pewnie dlatego, że przynajmniej we wczesnym dzieciństwie rodzice są bogami. Z czasem powoli stają się ludźmi i jest to tak naprawdę smutne, gdy kurczą się i przeistaczają w zwyczajnych śmiertelników. Ethan mówi, że mam w sobie krzytną głupoty, która od czasu do czasu dochodzi we mnie do głosu. Uważa, że jeśli chodzi o naszych rodziców, głupieję. Mówi, że gdy miał czternaście lat, zdał sobie sprawę, że nasza *mère* i nasz *père* (mówi tak, żeby się popisać i zgrywać zdystansowanego) są zamrożeni obok siebie jak dwa sople lodu. Ojciec nie lubił siedzieć w domu i często go nie było. Nie pamiętam tego w ten sposób. Myślę, że sytuacja była znacznie bardziej skomplikowana, i z czasem doszłam do wniosku, że ojciec potrzebował mamy bardziej niż ona jego. I myślę, że mama zdawała sobie z tego sprawę.

Trzy dni przed śmiercią ojca przyszlśmy z Oscarem do moich rodziców na kolację. Byłam w ciąży i dużo rozmawialiśmy o „maleństwie”. Mama czytała opracowania o rozwoju niemowląt, na przykład o ich zdolności naśladowania min dorosłych. Nie nadążałam za wszystkimi szczegółami, które cytowała, a które dotyczyły jakichś układów w naszych mózgach, ale pamiętam, że bardzo się zainteresowałam czymś, co nazwała percepcją sensoryczną – u niemowląt różne zmysły stapiają się ze sobą, dotyk, słuch, wzrok, może też powonienie. (Nie potrafię zliczyć, ile razy zapisywałam tytuły książek, które podawała mi matka, a potem ich nie czytałam. No nic). Mówiła jeszcze o rozwoju wzroku i wpływach kulturowo-językowych na percepcję, że uczymy się widzieć i że proces ten jest w większości nieświadomy. Wyczuwałam, że za jej dociekaniem kryje się jakiś istotny powód. Próbowала zgłębić, dlaczego ludzie widzą

to, co widzą.

Kręcenie filmów dokumentalnych wiąże się, przynajmniej częściowo, z wyborem perspektywy, dlatego ten temat mnie zaintrygował. Montaż to najbardziej oczywisty sposób manipulowania obrazem. A jednak czasem kamera widzi to, czego my nie dostrzegamy – na przykład jakąś osobę w tle albo przedmiot poruszający się na wietrze. Lubię te wypadki. Bohaterką mojego pierwszego pełnego metrażu, *Esperanzy*, była kobieta, z którą się zaprzyjaźniłam na Lower East Side, gdy studiowałam filmoznawstwo na NYU. Esperanza od trzydziestu lat codziennie gromadziła niemal wszystkie przenośne przedmioty, które wpadły jej w ręce: papierowe kubki po kawie z sieci Chock Full O’Nuts, numery „Daily News”, kolorowe czasopisma, papierki po gumach do żucia, metki, rachunki, gumki, plastikowe siatki ze sklepu z asortymentem za dziewięćdziesiąt dziewięć centów, gdzie przeważnie robiła zakupy, sterty ubrań, podarte ręczniki i starocie znajdujące na ulicy. W mieszkaniu Esperanzy wznosiły się aż po sufit góry różnych rzeczy. Na pierwszy rzut oka w tym zagraconym mieszkaniu panował czysty chaos, ale Esperanza wyjaśniła mi, że rozmieszczenie tych przedmiotów nie jest przypadkowe. Papierowe kubki zajmują jeden kąt. Ze stertami gazet sąsiadują zwieńczone blankami wieże żółknących, rozpadających się woskowanych kartonów. Podczas swoich wypadów na miasto zbierała sznurki, tasiemki, kable i druty, a potem związywała je wszystkie w gigantyczną, włochatą kulę. Mówiła, że po prostu lubi to robić. „Tak już mam i tyle”.

Jednak pewnego wieczoru, gdy przeglądałam materiał nakręcony tego dnia, złapałam się na tym, że wpatruję się w stertę gałganów przy materacu Esperanzy. Zauważyłam, że między wystrzępione kolorowe szmatki powtykane są starannie jakieś przedmioty: rzędy ołówków, kamyki, rozkładane pudełka z zapalnikami, wizytówki. Właśnie ten obraz pozwolił mi „zrozumieć”. Esperanza świetnie zdawała sobie sprawę, że świat dookoła nie aprobuje jej „stylu życia” i że w mieszkaniu zostało niewiele miejsca dla niej, ale gdy spytałam ją o te przedmioty wśród szmatek, wyjaśniła, że chce im „zapewnić bezpieczeństwo”. Szmatki były swoistymi łóżeczkami. „Zarówno łóżka, jak ci, którzy w nich leżą – tłumaczyła – mają ciepło i przytulnie”.

Okazało się, że Esperanza wczuwa się w każdą z uratowanych przez siebie rzeczy, jak gdyby te metki i podarte swetry, talerze, pocztówki, gazety, zabawki i szmaty miały własne myśli i uczucia. Po obejrzeniu filmu mama stwierdziła, że Esperanza najwyraźniej wierzy w jakąś formę „panpsychizmu”. Oznacza to, wyjaśniła, że umysł jest fundamentalną cechą wszechświata i istnieje we wszystkim, począwszy od kamieni, na ludziach kończąc. Powiedziała, że pogląd ten



podzielał Spinoza i że jest to „w pełni zasadne stanowisko filozoficzne”. Esperanza nawet nie słyszała o Spinozie. Zdaję sobie sprawę, że mój film to dygresja, ale mówię o nim, bo sądzę, że to istotne. Moja matka wierzyła, tak zresztą jak i ja, w sens naprawdę uważnego przyglądania się wszystkiemu, bo po pewnym czasie to, co się widzi, wcale nie jest tym, co chwilę przedtem wydawało nam się, że widzimy. Jeśli będziemy się komuś lub czemuś bacznie przyglądać, oglądany obiekt będzie się stawał coraz bardziej obcy, a my będziemy dostrzegać coraz więcej. Chciałam, żeby mój film o tej samotnej kobiecie przełamał pewne wizualne i kulturowe schematy, żeby był portretem intymnym, a nie formą podglądactwa skupionego na odrażającej kolekcji jakiejś nędzarki.

Rodzice obejrżeli *Esperanzę* podczas pokazu w 1991. Ojciec był uprzejmy, ale sądzę, że uwierały go obrazy nędzy tej kobiety. Temat filmu uznał za „trudny”. Cieszył się też, że celuloid nie rejestruje zapachów. Nie mogłam odmówić mu racji. W mieszkaniu Esperanzy cuchnęło. Mamie film bardzo się spodobał i chociaż zazwyczaj kibicowała moim poczynaniom, wiedziałam, że jej entuzjazm jest prawdziwy. Powściągliwość ojca zraniła mnie i przypuszczam, że powrót do tematu *Esperanzy* podczas tamtej kolacji był równoznaczny z rzuceniem mi wyzwania. Chciałam mu pokazać, że wiedziałam wtedy, co robię, że reprezentowałam pewien estetyczny punkt widzenia. Oscar mówił o zbieractwie, niepokoju i zaburzeniach obsesyjno-kompulsywnych, z kolei mój ojciec wspominał z pewnym rozbawieniem, że dwa lata po obejrzeniu mojego filmu widział *Dwadzieścia lat samotności* Anselma Kiefera, pracę, która składała się ze stert książek i kartek poplamionych nasieniem artysty, i że przypomniał sobie wtedy mój film. Na masturbacyjne ślady Kiefera świat sztuki zareagował głównie zażenowaniem lub milczeniem. Ojciec napomknął, że sterty śmieci tej kobiety nie były bardziej zatrważające niż „prywatne ejakulacje” Kiefera.

Moi rodzice nie zgadzali się co do plam po spermie. Mama zastanawiała się na głos, dlaczego odrzucać osobisty aspekt dzieła, dlaczego czyjaś masturbacja, samotność i smutek nie mieszczą się w sferze „sztuki”. Była stanowcza. Powiedziała, że trzeba rozróżnić między tym, co się widzi – plamy – a rozpoznaniem w nich ludzkich nieczystości. Ojciec uważał tę całą awanturę z plamami za narcystyczną i odpychającą. Oscar, zazwyczaj dość flegmatyczny, oznajmił z mocą, że ta praca wydaje mu się głupia, strasznie głupia. Ja z kolei oznajmiłam, że się nie wypowiem, bo nie widziałam wystawy. To znaczyło, że mama musiała sama bronić spermy przed dwoma facetami, którzy wytwarzali ją regularnie od lat. Pamiętam, co sobie wtedy

pomyślałam – że na szczęście ich ejakulat przynajmniej parę razy trafił do celu. Mama się strasznie zaperzyła i im bardziej była rozdrażniona, tym bardziej się rozgadywała. Ojciec próbował zastosować swoją wypróbowaną metodę, czyli po prostu zmienić temat, co jeszcze bardziej ją rozjuszyło i zawołała: „Może byś tak odpowiedział?”.

Miałam dwadzieścia sześć lat, byłam mężatką w ciąży, a mimo to nie mogłam znieść spięć między rodzicami. Mama kontynuowała swoją żarliwą obronę, ojciec zaś rozglądał się po pokoju zakłopotany i marzył o tym, żeby zamilkła. Widziałam tę scenę z tysiąc razy, ale za każdym razem czułam, jak wzbiera we mnie niepokój, a po pewnym czasie miałam wrażenie, że za chwilę rozpadnę się na kawałki. Oczywiście nie sperma Anselma Kiefera była tu przedmiotem sporu. Po tych wszystkich latach małżeństwa moi rodzice nadal nie potrafili się wzajemnie odczytać. Ojciec nie znosił konfliktów w jakiegokolwiek formie, więc kiedy mama wyskakiwała z pięściami, uchylał się przed ciosami. Mama z kolei interpretowała jego uniki jako protekcyjność, co tylko prowokowało ją, żeby walić jeszcze mocniej. Rozumiałam jedno i drugie. Ojciec potrafił być wkurzający ze swoimi unikami, a mama irytująco natrętna.

Ten werbalny pojedynek dobiegł końca, gdy wrzasnęłam: „Przestańcie!”. Mama przeprosiła, pocałowała mnie w policzek i szyję i wszyscy dość szybko się uspokoiłiśmy po tej burzy wokół zaschniętego nasienia, zauważyłam jednak, że twarz ojca jest mizerna i zmęczona i że różnica wieku między rodzicami zaczyna być coraz bardziej widoczna. Mama wyglądała zdrowo i wciąż młodo, ojciec zaś był pomarszczony i blady. Po kolacji jak zawsze wypalił papierosa, a potem jeszcze jednego i jeszcze jednego. Sprzykrzyło mi się już namawianie go, żeby rzucił palenie. Tłący się dunhill był częścią jego ciała, jego postawy, dwa uniesione palce, dym krążący w pobliżu twarzy. Była to też jedyna oznaka zdenerwowania. Nic innego nie zdradzało w nim nerwów. Nie podrygiwał kolanem, nie stukał palcem, nie mrugał. Zawsze był spokojny i opanowany, ale kopcił, jak to się mówi, jak komin.

Po kolacji przeszliśmy do drugiego pokoju na brandy, której my z mamą nie piłyśmy, za to Oscar i ojciec owszem. Mama ucichła, jak to często bywało, wyczerpana pewnie zażartą obroną sztuki nasiennej, i zadowalała się słuchaniem. Na niskim stole stały świece, wazon z brzoskwiniowymi różami, leżało pudełko czekoladek. Pamiętam te szczegóły, bo wtedy po raz ostatni widziałam ojca żywego. Jego śmierć wyostrzyła każdą chwilę tego wieczoru. Nie spodziewałam się, że go stracę. Myślałam, że będzie dziadkiem mojego dziecka, i podejrzewałam, że rodzice nadal będą się sprzeczać, jeszcze przez wiele lat działać sobie na

nerwy, że zestarzeją się razem i stetryceją. Zawsze nam się wydaje, że wszystko będzie się toczyć bez zmian tak jak do tej pory. Czy to nie zabawne?

Nie pamiętam już, w jaki sposób rozmowa zesłała na duchy i magię, ale nie oddaliliśmy się zbyt od wcześniejszych tematów: kolekcji mojej bohaterki, panpsychistki z Lower East Side, i osobliwego uwieczniania przez artystę płynów organicznych na papierze, jak gdyby ślady, które pozostają, miały jakąś tajemniczą wartość lub moc. Mama przyznała się, że gdy była dzieckiem, rano oglądała swoje lalki, żeby sprawdzić, czy w nocy się nie ruszały. Po części miała nadzieję, a po części bała się, że mogą ożywać. Potem ojciec opowiedział o wujku i jego duchach. Wujek pracował dla moich pradziadków w Chiang Mai, był chudym, ale silnym starszym mężczyzną, pokrytym od stóp po szyję tatuażami, które pomarszczyły się razem z jego cienką brązową skórą, i miał poczerńiałe od żucia orzechów arekowych zęby. Słyszałam o wujku, odkąd byłam małą. Widziałam zdjęcia pięknego starego domu pradziadków wzniesionego na palach, z dwuspadowym dachem i zaokrąglonymi okapami, i z rozległym ogrodem, którym zajmował się wujek.

Ojciec mrużył oczy, opowiadając nam tę historię. Miał dziesięć lat i mieszkał z dziadkami w Chiang Mai, gdy jego matka z ojcem „podróżowali”. Nigdy nie wiedział, dlaczego go zostawili. Żadne z rodziców nigdy nie udzieliło mu odpowiedzi wprost, ale jego dzieciństwo zawsze upływało pod znakiem podróży i zmieniających się opiekunek, z których wszystkie robiły aluzje do „przygód” jego matki i rzucały mu współczujące spojrzenia.

Z dużego pokoju mojego ojca rozciągał się widok na ogród i regularnie zaglądały tam małe szare jaszczurki. Na palecie u stóp jego łóżka sypiał dla towarzystwa Arthit, chłopiec zatrudniony w domu, bo Tajowie nigdy nie spali w pokoju sami. Ojciec wszędzie chodził za wujkiem, chociaż nie mogli ze sobą rozmawiać, ale im bieglej władał tajskim, tym więcej rozumiał z opowieści starego animisty. Wujek opowiedział mu o pięknej dziewczynie, której narzeczony utopił się w Mekongu. Zrozpaczona powiesiła się i od tej pory jej duch nawiedzał drzewo. Wujek widział ją – unoszącą się w powietrzu głowę i zwisające z szyi wnętrzności. Opowiedział też mojemu ojcu o duchu, którego słyszała i widziała jego matka, duchu płodu zawadającym w dżungli w miejscu, gdzie poroniła, na wpół uformowanym potworku, który dręcząc żyjących, szukał zemsty za swój przedwczesny koniec.

Pewnego dnia wujek zawiózł mojego ojca do rodzinnej wioski na północ od Chiang Mai. Tata pamiętał, że gdy przyjechali, zbiegły się dzieci i paplały o jego jasnych włosach, które

kojarzyły im się z *phi*, czyli duchami, i śmiały się z niego.

Powiedział, że ludzie, których tam spotkał, byli dla niego mili, ale czuł się jak cudak, cyrkowy dziwoląg i że, co najbardziej zatrwajające, wujek zamienił się w kogoś innego. Wszystkie jego służalcze zachowania, uśmiechy i ukłony, znikły. Zaszył się w kącie u swojej siostry, nalał sobie szklaneczkę whisky i odpędzał od siebie swojego ojca. Było wciąż widno, gdy siostra wujka zaprowadziła ojca do krytej strzechą chaty na palach nad rzeką. Mężczyźni grali na bębnach i innych instrumentach, a potem kobiety zaczęły tańczyć. Powoli, rytmicznie. Wytłumaczono mu, że na ich ramionach siedzą duchy, ujeżdżają je jak konie. Bardzo stara kobieta z cygarem w ustach zaczęła wymachiwać rękami nad głową i wypuszczać kłęby dymu, wywracając oczami, a potem zbliżyła się do swojego ojca, otworzyła usta i dmuchnęła mu prosto w twarz. Zabrakło mu tchu, próbował łapać powietrze, a potem jego wspomnienia rozpadły się na kawałki.

Był pewien tylko jednego, otóż w którymś momencie, mówił, dostał wysokiej temperatury i gorączka trzymała go przez dwa dni. Pamiętał krzyki, turlanie się po podłodze, dławiącą trwogę i coś, co wyglądało na bat chłuszczący jego lub kogoś innego, a potem słońce wpadające przez przednią szybę samochodu, opony podskakujące na drodze i kłęby kurzu w kolorze ochry. Musiało mu się przywidzieć ciało dziecka płonące przy jego łóżku i ciemne ptaki wlatujące przez okno. Wydawało mu się, że pamięta jakiegoś mężczyznę obok siebie i zimną kąpiel w wannie. Trzeciego dnia oprzytomniał. Był w swoim pokoju w Chiang Mai. Na jego szyi wisiał amulet z Buddą, ale nie miał pojęcia, skąd się wziął.

Nigdy więcej nie widział wujka. Gdy spytał babcię, co się z nim stało, powiedziała, że przeszedł na emeryturę. *Mai pen rai*. Wszystko jedno. Ojciec zastanawiał się, czy odurzono go narkotykami, czy po prostu zachorował. Stał się podejrzliwy, martwił się, że dorośli coś przed nim ukrywają. Obejrzał całe ciało w poszukiwaniu śladów bicia, ale niczego takiego nie znalazł. „To pewnie były wywołane gorączką majaki – opowiadał – ale przeraziły mnie. Nie potrafiłem stwierdzić, co było rzeczywistością, a co nie, i nikt nie chciał mi nic powiedzieć”. Dodał jeszcze: „Tajemnice i przemilczenia, a potem kolejne tajemnice, kolejne przemilczenia”.

„Nigdy mi o tym nie mówiłeś”, powiedziała cicho mama. Jej twarz ściągnęła się w wyrazie współczucia. Patrząc na nią, zdałam sobie sprawę, że ta sama mina przeznaczona dla mnie doprowadza mnie do szału. Zbyt duża dawka empatii może być irytująca, ale nigdy nie rozumiałam dlaczego. Można by pomyśleć, że to miłe. Może to dotyczy tylko matek. Nie chcemy

dopuszczać ich zbyt blisko. Jednocześnie zastanawiałam się, czy Khun Ya kiedykolwiek patrzyła na mojego ojca w ten sposób. Przyszło mi nagle do głowy, że pewnie wołałaby go w wersji dorosłej.

O co mu chodziło z tymi tajemnicami i przemilczeniami? Dlaczego go nie spytałam? I czy myślałam o tym częściej, odkąd dowiedziałam się o skrywanym życiu erotycznym mojego ojca? On też miał swoje tajemnice, tajemnice i przemilczenia. Dlaczego nigdy nie opowiedział mamie tej historii? Czasem się zastanawiam, czy ja go w ogóle znałam.

Oscar oboje moich rodziców uważa za dziwaków. Raz użył słowa „dekadencki”, opisując ojca, i „neurotyczna” o mamie. Uważa, że Ethan jest bardzo inteligentny, ale „sytuuje się gdzieś na pograniczu autystycznego spektrum”, z kolei mnie lubi nazywać „nieźle dostosowaną społecznie”. Poślubił tę „nieźle dostosowaną” w rodzinie dziwołagów. Sądzi, że pieniądze ojca chroniły nas przed „prawdziwym światem”, że gdybyśmy byli biedni, nasze życie wyglądałoby zupełnie inaczej. Ma tutaj słuszość. Wie w każdym razie, że „prawdziwy” nie jest moim ulubionym słowem. Wszystko jest prawdziwe – bogactwo, bieda, wątroby, serca, myśli i sztuka. (Mama powtarzała kiedyś: „Strzeż się naiwnego realizmu. Kto wie, co jest prawdziwe?”). Oscar też często patrzy na mnie i mówi: „Pójdź za mnie na jeden dzień do pracy, a przekonasz się, o czym mówię”. W swoim nędznym brooklyńskim gabinecie z popsutym biurkiem prowadzi terapię dzieci z rodzin zastępczych. Dzieciaki, które przyjmuje, są całkowicie niedostosowane społecznie, bo życie dało im w kość, często już na samym początku. Zakochałam się w Oscarze, bo jest oddany swojej pracy i opowiada mi mnóstwo historii. Oscar nie interesuje się zbyt sztuka. Może to jest mój bunt. Wysłałam za faceta, dla którego obrazy i rzeźby mogłyby nie istnieć i który, żeby się rozerwać, idzie do kina.

## Sweet Autumn Pinkney

(zredagowany zapis nagrania)

Nie widziałam Antona całe lata i nie wiem, gdzie teraz jest ani co porabia, ale gdy asystowałam przy *Historii sztuki*, doświadczyliśmy chwili prawdziwej równowagi. O tym, że powstaje ta książka, dowiedziałam się od Bunny'ego, mojego kumpla, i pomyślałam sobie, że powinnam opowiedzieć też swoją wersję. Przede wszystkim chciałabym podkreślić, że – cokolwiek myślą sobie inni – Anton zdecydowanie nie był głupi. Czytał książki i pasjonowały go wielkie idee. Jak go poznałam, czytał właśnie pracę pod tytułem *Anti-Octopus* dwóch francuskich autorów, coś na temat tego, jak bardzo Freud się mylił. Bardzo intelektualistyczna lektura. Ale Anton był osobą przede wszystkim duchową i dążył do osiągnięcia wyższego stanu świadomości, mimo że stawiał dopiero małe kroczki, jeśli wie pan, co mam na myśli. Ja też zaczynałam wtedy swoją podróż. Byłam wyznawczynią nauk Petera Deunova, czyli Beinsy Douna, bułgarskiego mistrza, i zaczynałam ćwiczenia z czakrami i kryształami leczniczymi, zresztą dużo z Antonem gadaliśmy o kosmicznych rytmach, energii i znakach zodiaku. Nie wszyscy łączą te różne rodzaje wiedzy, ale moim zdaniem w wielkim, uniwersalnym kontekście są one jak najbardziej powiązane. Anton na początku jakby wątpił, ale potem chyba zdał sobie sprawę, że mam ją – moc odczytywania aury. Zawsze ją miałam, od małego. Nie wiedziałam tylko, co to jest. Czasem pola energetyczne, dźwięki i kolory, które emanowały z innych ludzi, były tak silne, że o mało się nie przewracałam, czasem wyczuwałam w nich blokady, jakby były we mnie, i robiło mi się wtedy niedobrze, kręciło mi się w głowie, jakbym miała zaraz zemdleć. Trening i medytacja pomogły mi zapanować nad tym darem i wykorzystać go do leczenia innych. Mam teraz swój gabinet i zjeżdżają się do mnie ludzie z całego północnego wschodu, prosząc o pomoc.

Od pierwszego dnia czułam, że w tej pracowni coś jest nie halo – jakaś dziwna energia. Pracowało tam już dwóch asystentów, Edgar i Steve. Rzeźba mężczyzny była gotowa, więc pomagaliśmy przyczepić te wszystkie obrazki do figury śpiącej kobiety. (Prawdę mówiąc, bardziej mi się podobała naga i bez dodatków). Anton miał swoje plany – wielkie arkusze z mnóstwem notatek i jakichś tekstów. Był jakby podenerwowany i ciągle się nad nimi pochylał, żeby coś sprawdzić. Miał niebieskawą, żółtą, zielonkawą aurę, ale też kilka blokad. Widziałam i wyczuwałam, jak bardzo jest spięty, więc położyłam mu dłoń na ramieniu i nie cofnęłam jej.

Nie minęła minuta i jego aura stała się bardziej niebieska; super to wyglądało. Anton uśmiechnął się do mnie i pamiętam, co sobie wtedy pomyślałam, że w poprzednim życiu mógł umrzeć jako małe dziecko – miał w sobie coś dziecinnego, nieufornowanego, ale bił z niego duchowy potencjał.

Chyba drugiego albo trzeciego dnia przyszła Harry.

Odczułam ją jako czerwony krzyk. Musiałam się cofnąć. To znaczy nie byłam nawet blisko, ale musiałam zrobić krok do tyłu, bo emanowało z niej tyle rzeczy naraz, wszystko wzburzone, rozpedzone, wielokolorowe, ale za dużo czerwieni i pomarańcza. Harry miała mnóstwo mocy, pasji i ambicji, ale też trochę czerni, było w niej coś zaciemnionego, wymazanego, i to też widziałam. To może być znak nocy – cierpienia, jakiś rodzaj surowości. Anton trochę przygasł, gdy ją zobaczył, ale czułam ich bliskość. Trudno było dorównać jej energią, ale się starał. Może do niej też powinnam przyłożyć dłonie, ale nie miałam odwagi. Za duże napięcie. Nie bardzo rozumiałam tę rzeźbę Wenus, jakie ma być jej głębsze przesłanie, ale wychwyciłam wibracje między Antonem i Harry jak iskry.

Teraz już słabo pamiętam Steve'a oprócz tego, że miał bardzo jasną, różową aurę i długie włosy. Edgar przeważnie promieniował zielenią pulsującą na przemian z żółcią, częściowo dlatego, że cały czas miał w uszach swoją muzykę, więc nie reagował specjalnie na to, co go otacza, tylko na techno w uszach, gdy głowa chodziła mu w górę i w dół, w górę i w dół, jak u karnawałowej kukły z głową na sprężynie. Nie pamiętam, kiedy zjawiły się te pudła ze scenkami, ale widziałam, jak Edgar im się przygląda, i po raz pierwszy wydawał się czymś podekscytowany i trochę spomarańczowiał. Anton powiedział, że zrobił je w domu, bo są małe. Przywieziono je już gotowe. Nie sądzę, żeby teraz na mnie tak podziały, ale wtedy byłam na dużo wcześniejszym etapie duchowego oświecenia i te pudła trochę mnie zdołowały. Tchnęły smutkiem – te małe dzieci, ręka mężczyzny, kobieta, która nie mieściła się we własnej łazience, napisy. Przywołały we mnie ponure kolory i płaczliwe dźwięki i pomyślałam sobie: muszę o tym powiedzieć Antonowi, i tak się między nami zaczęło.

Pewnego wieczoru pracowałam do późna i wspominałam mu o pudłach. To go wyraźnie wytrąciło z równowagi. Gdy położyłam dłonie na jego dłoniach, powiedział: „Co ty masz w sobie takiego? Uspokajasz mnie. Kiedyś nie byłem taki. Kiedyś wszystko było w porządku”. Potem zamaszystym gestem wskazał pracownię i dodał: „Wszystko szło tak dobrze, ale teraz coś się chrzani”. Powiedziałam mu, że chodzi o Harry, i zrobił taką dziwną minę, ale nic mi wtedy

nie zdradził, więc wymasowałam mu kark, a on stwierdził, że jestem czarodziejką, na co ja, że nie czarodziejką, tylko uzdrowicielką. Nauczyłam się pewnych tantrycznych technik seksualnych od Ramiego Elderbeera, nauczyciela, który w tym czasie dzielił się swoją wiedzą w Nowym Jorku, technik prowadzących do wyższego połączenia i ekstatycznej jedności, rozplątania się cielesnych różnic i przejścia do stanów wyższych, gdzie znikają wszelkie granice. Rami od początku wiedział, że mam w sobie moc – dostrzegł we mnie kolor indygo – indygoowe dziecko, mówił o mnie.

Niektórzy nauczyciele zalecają całkowitą rezygnację z seksu. Beinsa Douno nie wierzył w seks: „Miłość – pisał – bez zakochiwania się” i „Trzymajcie się na dystans, żeby nie dostrzegać swoich wad. Jeśli ludzie trzymają się z dala od siebie, widzą tylko pozytywne cechy. Jeśli za bardzo się do siebie zbliżają, nie mogą siebie znieść”. To przeważnie dobra rada, ale nie wszyscy mistrzowie zgadzają się co do seksu. Jeden z uczniów proroka, Omraam Michaił Iwanow, nauczał, że akt seksualny, tantryczny, może być drogą do wyższej mądrości. Uczyłam Antona, jak oddychać, jak zwolnić i wyzbyć się ego. Przez parę tygodni na macie do jogi w pracowni rozplątaliśmy się z Antonem w totalnej rozkoszy, naprawdę. Wypogodniał; jego aura była teraz intensywnie niebieska z domieszką fioletu, a gdy tworzył, był spokojny i nucił, wydając z siebie ciche buczenie. Rozmawialiśmy dużo o pazernym egoizmie i o tym, jak się go pozbyć. Przeszliśmy dziesięciodniowy post, jedząc tylko bulgur, żeby uspokoić układ nerwowy. Jak zalecał prorok. Zaczyna się tuż po pełni Księżycy i kończy tuż przed nowiem. Je się tylko pszenicę bulgur z gorącą wodą, orzechami włoskimi i miodem, jeśli ktoś chce ją dosłodzić. Między posiłkami można jeść jabłka. Po zjedzeniu owocu trzeba się zwrócić do ogryzka i powiedzieć: „Dziękuję ci, jabłko”, a potem zakopać ogryzek z nasionami. W tym celu musieliśmy wychodzić przed budynek. Sprzątaliśmy niedopałki, puszki i prezerwatywy, żeby uporządkować miejsce pochówku. W czasie postu nie powinno się dopuszczać żadnych negatywnych myśli, więc gdy zbieraliśmy te śmieci, skupiałam się na gwiazdach, koniczynie i czystej wodzie. To naprawdę działa. Prawdę mówiąc, to całkiem niesamowite. W czasie postu zero seksu. Czuliśmy się naprawdę czyści i biali, nieskalani jak pierwszy śnieg i Księżyc w nowiu.

W trakcie postu Anton powiedział, że aspekt osobisty nie ma znaczenia, czuje to, czuje, że nie tędy droga. Moja i twoja ścieżka niczym się nie różnią. Moja i twoja są takie same. W tym życiu niczego tak naprawdę nie posiadamy i to samo dotyczy sztuki. Tworzenie sztuki nie



powinno mieć nic wspólnego z nazwiskami ani pieniędzmi, powinno nas prowadzić do lepszego miejsca drogą ku głębszemu zrozumieniu. Powiedział, że Harry o tym wie, że Harry nie chce niczego dla siebie. Jest pozbawiona egoizmu. Jest dla mnie jak druga matka, powiedział. Nie wspominałam Antonowi, że Harry jest zbyt czerwona jak na osobę zupełnie nieegoistyczną, bo wiedziałam, że sam się musi o tym przekonać. Ostatniego dnia postu zjedliśmy zupełną ziemniaczaną i Anton zaczął płakać, nie był to głośny szloch, nie, po prostu łzy skapywały mu po twarzy. Doskonale to pamiętam. Ja byłam w pozycji lotosu, a on w półlotosie, siedzieliśmy twarzą w twarz i Anton miał rozpiętą koszulę, więc widziałam kędzioriki na jego piersi, ledwie kilka jasnobrązowych włosków, całkiem jak u anioła. Archanioł Rafał jest aniołem uzdrawiania, całości i jedności, więc wezwałam go w myślach. Źródłem smutku, Anton, powiedziałam, jest pazerne „ja”. Wszyscy szukamy rzeczy, które zagłuszają to poczucie niedosytu, sądząc, że zaspokoimy w ten sposób nasze potrzeby. Ale przecież wiemy, że pojawi się następna zachcianka i będziemy za nią gonić, i tak dalej, ale jeśli ją rozpoznamy i odsuniemy od siebie, możemy ją obejść i pójść dalej. I poczuł się lepiej, a potem, po zupie, wspięliśmy się wyżej niż kiedykolwiek wcześniej na wyzwolone od ego szczyty tantrycznych prawd.

To się działo na oczach nas wszystkich. Steve, Edgar i ja byliśmy przy tym, gdy się pojawiła ta kobieta z galerii, nie pamiętam nazwiska, ale to nieważne; miała chciwą twarz, na której odbijały się pieniądze, i mnóstwo blokad, a Anton bardzo się zdenerwował. Ledwo oddychał. A potem było coraz gorzej. Często wpadała Harry i jej spojrzenie miało w sobie coś specyficznego. To znaczy mogło zrobić krzywdę. Rzadko się odzywała, prawie w ogóle, i była sztywna, jak gdyby w pralni dodali jej do ubrań więcej krochmalu. Anton nazywał ją Wrózką Chrzestną, a potem Edgar też zaczął ją tak nazywać. A ja jestem Kopciuszką, zażartował Anton, ale był tak spięty, że nie wydawało mi się to śmieszne, jeśli wie pan, co mam na myśli. Zła karma narastała. Straszny hałas! Musiałam dużo medytować. Cały czas musiałam oczyszczać aurę. Aura jest jak magnes. Przyciąga każdy syf, a moją coraz bardziej zanieczyszczały różne wibracje i negatywne energie. Cały czas przeczesywałam dłonią włosy i ciągle się myłam. Czasem wychodziłam na spacer i pozwalałam, żeby owiewał mnie i oczyszczał wiatr znad zatoki. Lubiłam przechodzić obok taksówek wodnych i zaglądać do magazynów i z różnych punktów podziwiać Statuę Wolności. Wydaje się tak silna i ześrodkowana. Zawsze podnosi mnie na duchu.

Potem odbyła się wystawa. Przyjechali rodzice Antona, co wydawało mi się naprawdę

miłe, zresztą to tacy mili ludzie. Rozmawiałam z nimi przez chwilę i jego tata powiedział: „Jesteśmy strasznie dumni”. Ale Anton wychodził z siebie ze strachu. Pił czerwone wino i był coraz bardziej wstawiony. Czakrę śledziona miał zupełnie zablokowaną. Harry nie było. Powtarzał tylko: „Myślałem, że przyjdzie, choć mówiła, że nie przyjdzie. Nie wierzę, że jej tu nie ma”. Bełkotał. Wpadł na ścianę. Tłum hałasował i śmiał się; te dźwięki sprawiały mi ból w rękach i nogach, jak gdyby okładali mnie swoją energią – łup, łup, łup. Musiałam stamtąd uciec. Wróciłam do siebie, zapaliłam świeczkę i medytowałam przez chwilę, a potem zadzwoniłam do mamy i rozmawiałyśmy jakąś godzinę. Była wtedy w dobrej formie i jej głos działał na mnie jak uzdrawiająca pieśń.

Ale z Antonem nie było wcale lepiej. Do studia przychodzili z nim rozmawiać różni ludzie. Powiedz nam to, powiedz nam tamto, aha, Anton, o czym myślałeś, gdy tworzyłeś ten wielki akt? I tak dalej, i tak dalej, ale reszta z nas na dobrą sprawę nie miała nic do roboty. Mimo to dostawaliśmy kasę. Harry i Anton coś tam do siebie szeptali, konspiracyjna, cicha szeptanina. Harry czytała nam wszystkim recenzje, zaśmiewając się tak, że oczy zachodziły jej łzami. Uważała, że to potwornie śmieszne, a ja nic z tego nie kapowałam. Wyczuwałam ją z drugiego końca pokoju. Tymczasem Anton się wyrabiał. Inaczej mówił, inaczej chodził. Jego wibracje wyglądały przedziwnie. Kupił sobie strasznie drogie lśniące buty i kilka japońskich koszul i myślał najwyraźniej, że uchronią go przed tym, co działo się z jego wewnętrznym „ja”, które wysychało na twardy orzeszek. Robiłam dużo ćwiczeń oddechowych, oczyszczałam aurę i miałam nadzieję, że sytuacja się zmieni.

Pewnego dnia, gdy byłam w pracowni, zjawiała się Harry. Sprawiała wrażenie przybitej, apatycznej. Spytałam ją, czy dobrze się czuje, i wtedy po raz pierwszy na mnie spojrzała, to znaczy tak naprawdę. Jej twarz, gdy się uśmiechnęła, pomarszczyła się i zdałam sobie sprawę, że Harry nie jest już najmłodsza. Powiedziałam jej, że na oczyszczenie serca ze smutku stosuję muszle słuchotek, że mają świetne działanie kojące i pozwalają przepracować emocje, i że mogą jej pomóc. Poklepała mnie po ramieniu, ale nic nie powiedziała. Przez pewien czas rozmawiała z Antonem. Potem zaczęli się kłócić i Anton krzyknął: „To moje życie!”. Zanim wyszła, podeszła do mnie i zamieniłyśmy jeszcze parę słów. Spytała, gdzie się wychowywałam i skąd się wzięło moje imię. Wyjaśniłam, że mama dała mi na imię Sweet Autumn od nazwy gatunku powojnika, bo babcia Lucy, jej matka, uwielbiała te kwiaty najbardziej ze wszystkich. Chyba jej się spodobało. Opowiedziałam jej o tym, że ojciec mnie nie chciał. Nie raczył nawet podpisać

metryki urodzenia. Zabawne, ale nie opowiadałam o tym każdemu. Zależy od aury, wie pan, ale tego dnia, mimo że na skali energetycznej Harry plasowała się dość nisko, nie przeszkadzało mi to. Przyznałam się jej, że wyczuwam różne rzeczy, których większość ludzi nie widzi ani nie czuje. Przed wyjściem powiedziała coś, co do dziś pamiętam. Może nie dokładnie tymi słowami, ale powiedziała, że ludzie mają różne nazwy na te same rzeczy, zależnie od tego, co ich interesuje, ale że słowa też mogą zmienić to, jak coś widzimy. Nie bardzo ogarniam tę ostatnią część, ale nie dziwię się, dlaczego Anton uważał, że Harry jest mądra. Tego dnia wydawała mi się bardzo mądra, a gdy dotknęła mojej dłoni, poczułam płynące od niej ciepłe, przyjemne energie.

Anton wyprzedził całą wystawę. Steve i Edgar odeszli, a ja potem już nie widywałam Harry. Anton robił mi mnóstwo zdjęć do projektu, który chciał zrealizować, ale nic z tego nie wyszło. Od czasu do czasu przynosił pudło z dziwną scenką w środku. Te też się sprzedały. Ale nigdy nie widziałam, żeby pracował przy którymś z nich. Często leżał na podłodze i wpatrywał się w sufit. Trochę czytał i mówił o Goi, tym hiszpańskim artyście z szesnastego wieku czy coś, i pokazywał mi te jego potworne wojenne obrazy. Powiedziałam: „Anton, one ci nie pomogą”. Mówił o Harry. Powiedział, że jeśli o nią chodzi, wszystko się pokomplikowało. Czuł się jak odbicie w jednym z tych krzywych luster w wesołym miasteczku. „Nie rozumiesz – powiedział. – Ona jest mną. A ja nią”. Wtedy już był totalnie zaburzony i próbowałam go leczyć granatami, ale tylko mu się pogorszyło. Tłumaczyłam, że ma w sobie toksyny i że czasem dochodzi do przesilenia i wszystko wychodzi naraz, eksploduje. Wtedy zaczął się na mnie wydzierać: „Pierdol się, kretynko, z tymi swoimi kamieniami, energiami i aurami. To ściema. To wszystko ściema, nie widzisz tego?”. Zapamiętałam każde słowo, bo to, co powiedział, tak bardzo mnie zraniło, chociaż starałam się uspokoić i zrozumieć, że on cierpi bardziej niż ja. I rzeczywiście. Poprzewracał jakieś narzędzia i zaczął kopać w ścianę. Zrobił w niej wgłębienie i na podłogę spadł kawałek gipsu w kształcie Luizjany.

Stałam zupełnie nieruchomo i zamknęłam oczy. Przypomnieli mi się mama i Denny, jak się kłócili. Denny wrzeszczał i walił w ścianę, a mama płakała. Potłukli w domu mnóstwo rzeczy. Pewnego razu mamie leciała krew z nosa, na bluzkę i na podłogę. Denny odszedł od nas, gdy miałam dziesięć lat. Ucieszyłam się. Potem zjawił się Alex, był dużo spokojniejszy. W niedzielę zabierał mnie na plażę, ale wtedy już miałam jedenaście lat, a potem on też odszedł. Często napierałam na ścianę w swoim pokoju, zamykałam oczy i starałam się od nich odciąć – mam na

myśli mamę i Denny'ego. Po pewnym czasie to naprawdę zaczynało działać. Nauczyłam się, jak tam nie być, i nie było mnie tam. Czasem oglądałam wszystko z bardzo daleka. Byłam poza sobą i patrzyłam w dół. To jest całkiem łatwe, gdy się poćwiczy.

Nie przejmuj się, Sweet Autumn, nie przejmuj się, mówiłam do siebie. Wyleć stąd, z tego pokoju, wysoko i bądź cicho, bardzo, bardzo cicho. Po pewnym czasie Danny wychodził z domu – wybiegał do samochodu, wrzeszcząc, i odjeżdżał. Szłam wtedy do mamy, gładziłam ją po włosach, a ona płakała i tuliła mnie przez pewien czas. Musiałam się o nią troszczyć i nie pozwolić, żeby wniknęły we mnie odgłosy, które wydawała, a potem obie zasypiałyśmy w moim łóżku. Widzi pan, jak byłam mała, nauczyłam się czekać, więc na Antona też czekałam. Przeprosił mnie w końcu. Powiedział, że wcale tak o mnie nie myśli. A potem opowiedział mi o Harry i że to były głównie jej prace, a on tylko udostępnił swoje nazwisko. Chyba cały czas się tego domyślałam, ale nie miałam odpowiednich słów. Anton powiedział, że próbował oddać Harry pieniądze ze sprzedaży *Historii sztuki*, żeby nie było między nimi nieudomówień, ale nie chciała ich przyjąć, powiedział więc, że wybiera się w podróż po świecie szukać odpowiedzi na wielkie pytania.

Wyjaśniłam mu, że przebywanie z nim nie jest już dla mnie dobre. Zbyt mnie wyczerpywało, burzyło spokój i po prostu nie potrzebowałam tyle złej karmy. Tak więc odeszłam i nie wróciłam.

Jakiś rok później odwiedzałam Emily, moją przyjaciółkę w Red Hook, i wałęsałam się nad wodą, nucąc coś pod nosem i czując, jak owiewa mnie oczyszczający wiatr, a potem przeszłam obok dawnej pracowni Antona, ale na drzwiach było już nazwisko kogoś innego. Wie pan, w ten właśnie sposób działają energie, bo po zaledwie dwóch dniach dostałam kartkę. Zatrzymałam ją.

*Cześć!*

*Siedzę właśnie w kawiarni w Wenecji. Dziś rano byłem tu w muzeum sztuki i obejrzałem obrazy Giovanniego Belliniego. Widziałem tam Madonnę tak niesamowicie podobną do Ciebie, że musiałem Ci o tym napisać. Miała Twoje oczy, takie, które przeszywają na wylot. U mnie wszystko OK. Zastanawiam się, czy nie osiedlić się w Kalifornii. Mam nadzieję, że u Ciebie wszystko w porządku.*

*Całusy*

*Anton*

Nie widziałam się z Harry do czasu, gdy już była bardzo chora. Wtedy właśnie nadała mi imię Klematis, ale lubiła też zwracać się do mnie Klem i Klemmy, a czasem dla żartu Klimaks. Mówiła: „Klimaks, kochanie, czy to nie dziwne, jak to się wszystko kręci?”. A ja odpowiadałam: „Nie, Harry, koło nie przestaje się obracać”. To prawda. Koło się kręci, bezustannie.

## Anton Tish

(wywiad dla „Tutti Fruity”, *Dopiero się melduję*, 24 kwietnia 1999)

Pierwsza wystawa Antona Tisha, *Historia sztuki zachodniej*, zrobiła furorę w nowojorskiej Clark Gallery, gdy we wrześniu została udostępniona publiczności, wprowadzając do świata sztuki nowy, prekursorski głos. Ten dwudziestoczteroletni omnibus o łobuzerskiej aparycji i duszy mistyka jest na ustach wszystkich. Toby Bruner spotkał się z artystą w jego pracowni w brooklyńskim Red Hook, aby wybadać, jakie ma plany na przyszłość.

T.B.: Co się robi, gdy jest się tak rozchwytywanym? Co teraz?

A.T.: Myślę o fotografii. Wiesz, z postwarholowskim podejściem do ikon kultury. Ale bez ikon, jeśli wiesz, co mam na myśli, tylko ze zwykłymi ludźmi. Jest tu jeszcze jeden aspekt, nad którym teraz pracuję. Zainteresowałem się manieryzmem. Moim ulubieńcem jest Bronzino i cały czas mi się wydaje, że w jego twórczości jest coś, co pomoże mi wytyczyć nowy kierunek.

T.B.: Ekstra. A te pudełkowe historie? Słyszałem, że powstają w zawrotnym tempie.

A.T.: Być może stworzę jeszcze kilka. Nie wiem. Ta wystawa była jakby czymś jednorazowym, tak przypuszczam. Oczyszciliem się z przeszłości, wiesz, i teraz jestem gotów obrać nową konceptualną ścieżkę. Być może odnalezienie jej zabierze trochę czasu, ale mnie to nie przeszkadza. Gdy tylko koncept uformuje się wyraźnie w mojej głowie, będę mógł ruszyć do przodu. Dużo teraz czytam, rozmyślam...

T.B.: To co teraz czytasz, stary?

A.T.: A taką jedną książkę: *Zagadka teorii kwantów: zmagania fizyki ze świadomością*. Totalny odjazd, stary. To znaczy ci goście twierdzą, że sposób, w jaki na coś patrzysz, tworzy to, co widzisz. Teoria kwantów powiązana z mózgiem i świadomością. Piszą, że to trochę horrorystyczne, i rzeczywiście. Mam ciary, jak czytam, powaga. Ciągle na coś patrzę i zastanawiam się, co widzę.

T.B.: Ciężki kaliber, ale dzięki temu jesteś tam, gdzie jesteś, no nie?

A.T.: Tak mi wszyscy mówią.

Czekajcie na następny horrorystyczny projekt Antona Tisha. Fenomen świata sztuki w zderzeniu z teorią kwantową!



## Rachel Briefman

(relacja pisemna)

W niedzielę dwudziestego ósmego lutego 1999 roku Harry opowiedziała mi o Antonie Tishu. Zapamiętałam tę datę, bo po jej wyjściu zanotowałam szczegóły naszej rozmowy w swoim dzienniku. Zamieściłam te bezcenne zapiski w skróconej wersji tutaj.

Na dworze było szaro i zimno, ale my przy rozpalonym kominku miałyśmy ciepło. Harry siedziała okutana w efektowny fioletowy sweter wydziergany na drutach i zdjęła buty, żeby oprzeć stopy na poduszkach sofy. Ray wyjechał z referatem na konferencję do Waszyngtonu, byliśmy więc same z Ottonem, naszym yorkiem, psiakiem tak nerwowym, że weterynarz przepisał mu prozac, który naszym zdaniem w ogóle nie działał, ale przynajmniej dawał nam krzepiące poczucie, że Otto jest „leczony”. Gdy siedziałyśmy w salonie, ciągle bezwstydnie obwąchiwał krocze Harry i w końcu zażartowała, że Otto, który swoje imię zawdzięczał Ottonowi Rankowi, jedynie zgłębia swój „ulubiony temat: traumę narodzin”.

Do tego popołudnia nie słyszałam o ekspozycji w Clark Gallery ani o jej sukcesie. Chociaż regularnie chodzę na wystawy w muzeach, nie śledzę bacznie tego, co się dzieje w sztuce współczesnej, w tym hermetycznym światku toczy się zatem wiele bitew i podnosi wiele sztandarów bez mojej wiedzy. Harry jednak przyszła uzbrojona w recenzje i fotografie, mogłam więc obejrzeć jej ilustrowaną kobietę, a także pudła, które były – jak powiedziała – *clou* programu, „prawdziwym” dziełem.

Gdy tylko do mnie dotarło, co zrobiła Harry, zaczęłam się na głos zastanawiać, co jej z tego przyjdzie, jeśli laury zbierze ktoś, kto na to nie zasługuje. Dlaczego? Harry upierała się, że zaczęła tę grę pozorów w określonym celu. Nie jest to li tylko prestidigitatorstwo; prawda miała zostać odsłonięta powoli, by w końcu zamienić się w legendę, którą będzie można opowiadać bez końca w imię wyższego celu. W pewnym niesprecyzowanym jeszcze momencie Harry zamierzała wymaszerować z cienia, żeby zdemaskować i upokorzyć „ich wszystkich”.

Nie wydawało mi się, żeby upokorzenie kogokolwiek mogło być wyższym celem, o czym zresztą nie omieszkałam jej powiedzieć, odparła jednak, że to tylko drobna, choć nieunikniona część planu. Harry od dawna już mówiła o „nich”. To właśnie „oni” prześladowali ją lub ignorowali od lat, ale przyjdzie taki dzień, odgrażała się, kiedy tego pożałują. Po śmierci



rodziców, a potem Felixa ten monolit wrogich sił zdawał się rozrastać, nie maleć. Ów adwersarz o męskiej, nie żeńskiej twarzy odpędzał Harry i jej podobnych jak komary. Całe lata fantazjowała o zemście i teraz nadszedł właściwy moment – poniekąd. Co miało znaczyć, że amorficzni „oni” wychwalają jej prace, gdy zostały zaprezentowane przez „dwudziestoczteroletnie ciało z fiutem”, przytaczając słowa Harry? Co ci entuzjaści tak naprawdę widzą, zapytałam – jej dzieło czy Antona, portret artysty jako młodego efeba? Ilu ludzi tak naprawdę patrzy na sztukę? A jeśli już, czy coś w niej widzą? Właściwie jak ją oceniają? Jako że moje zainteresowania kręciły się bardziej wokół literatury, wspomniałam jej, że powieść *Murphy* Becketta odrzucono czterdzieści trzy razy, i powołałam się na liczne przypadki dziennikarzy, którzy przepisywali tekst uznanej powieści, rozsyłali maszynopis do wydawców i dostawali w odpowiedzi (w najlepszym razie) standardową odmowę. Bez aury wielkości, bez imprimatur kultury wysokiej, mody lub sławy co pozostaje? Czym jest gust? Czy powstało kiedykolwiek dzieło sztuki nieobciążone oczekiwaniami i uprzedzeniami oglądającego, czytającego lub słuchającego, choćby najbardziej wykształconego i wyrafinowanego?

Uznałyśmy z Harry, że nigdy. Powiedziała mi, że chodzi jej nie tylko o skompromitowanie tych, którzy wpadli w jej pułapkę, ale i o zbadanie skomplikowanej dynamiki samej percepcji, tego, jak wszyscy tworzymy to, co widzimy; chciała w ten sposób zmusić ludzi do zastanowienia się nad swoim sposobem patrzenia i rozprawić się z ich bezrefleksyjnymi przekonaniem.

Po tej przemowie na temat niejednoznaczności postrzegania Harry zamilkła, jak to miała w zwyczaju, skupiając spojrzenie swych wielkich oczu na wewnętrznych narracjach. Zachęciłam ją delikatnie, żeby mi zdradziła, o czym myśli, więc zaczęła kolejny wywód. Wszyscy jesteśmy zwierciadlanym odbiciem i echem siebie nawzajem. Co właściwie dzieje się między ludźmi? U chorych na schizofrenię zacierają się granice. Dlaczego? Jako że dobrze znałam Harry, rozumiałam, że nie jest to dygresja, lecz okrężna droga prowadząca do bardziej osobistego wyznania. Spytałam w końcu: „Co tak naprawdę próbujesz mi powiedzieć, Harry?”.

Po kolejnej minucie milczenia przysunęła się do mnie, położyła mi dłoń na ramieniu i wyznała, że w czasie tej przygody Antonowi zaczęło trochę odbijać. Na początku mieli ubaw, powiedziała, zamierzali dać gigantycznego prztyczka w nos powierzchownym, zadufanym typom ze świata sztuki, które budowały lub burzyły reputacje, nadętym frajerom, którzy wiedzieli tak dużo o niczym. Harry i Anton wszystko między sobą uzgodnili. Znalazła mu pracownię,

zapropnowała, żeby zainkasował wpływy z przyszłych sprzedaży, i zafundowała mu intensywny kurs historii sztuki zachodniej, osobisty przegląd tego, co naprawdę się liczy od czasów helleńskich w opinii Harriet Burden. Na lekcjach Harry sieneński mistrz Duccio di Buoninsegna był omawiany dłużej niż Michał Anioł, a doskonałość Rafaela sprowadzona została do przypisu. Antonowi to nie przeszkadzało rzecz jasna, bo jego wiedza była praktycznie równa zeru. Gdy pracowali nad Wenus, Anton zaczął wydzwaniać do Harry o najróżniejszych porach i zadawać pytania na temat jej pracy. Jeszcze raz: po co to graffiti na łokciu? Opowiedz mi raz jeszcze o Davidzie i rewolucji francuskiej. Zaraz, który to Emil Nolde? Szybko przywłaszczył sobie, mówiła, jej odpowiedzi i komentarze. Nikt nie jest właścicielem języka. Czy pamiętamy źródła własnych pomysłów, własnych słów? Muszą przecież skądś się brać, prawda? Anton czytał książki i eseje podsuwane przez Harry, oglądał polecane przez nią filmy i skwapliwie przyswajał sobie jej poglądy.

Chociaż przed wystawą był chory ze zdenerwowania, a na wernisażu o mało nie przeszedł załamania nerwowego, po sukcesie wystawy uspokoił się. Był nie tylko mile połączony komplementami wielbicieli (kto ich nie lubi?), ale uznał, że ze wszech miar zasługuje na pochwały, niezależnie od tego, kto był autorem tych prac. To poczucie wyjątkowości, to dziecię, to niemowlę, które wierzy, że jest pępkiem świata, żyje gdzieś w nas wszystkich. Harry zaczęła zauważać drobne zmiany w języku Antona, gdy opowiadał o projekcie, zwłaszcza w stosowanych przez niego zaimkach. Wielokrotnie mówił „my”, „nas”, „nasz”. Nie swoje spostrzeżenia zaczął podawać jako własne. Anton, mówiła Harry, nabrał w jakiejś mierze przekonania, że jej sztuka należy do niego. „Wiedział, że ja ją stworzyłam, a jednocześnie tego nie wiedział. Powiedział mi: jestem twoim lustrem”.

Harry przyznała, że utwierdzała go w przeświadczeniu, iż są prawdziwymi partnerami. Celowo wyolbrzymiała jego znaczenie, żeby skłonić go do udziału w tej mistyfikacji. Jako jej pseudonim Anton odegrał decydującą rolę w przedstawieniu, które wystawiła dla jednego widza – samej siebie. Ostatecznie goście galerii nie byli wtajemniczeni w zakulisowe machinacje. Anton był aktorem. Ale czy Anton odgrywał Harry – czy Harry odgrywała Antona? Powiedziała, że bez niego nie powstałaby Wielka Wenus, że ten nieszczęsny młody człowiek zainspirował cały pomysł – wstrząsająco niedouczonego debiutanta i jego wyrafinowane żarty o historii sztuki. Ale też kto myśli o sobie, że jest wstrząsająco niedouczonego? Najmniej sam wstrząsająco niedouczonego. Ten chłopak wiele się nauczył pod okiem Harry. Przyszło mi do głowy, że ich

historia jest ciekawą rekonfiguracją greckiego mitu o Pigmalionie z odwróceniem płci. Anton był tworem Harry, zrodzonym, przynajmniej do pewnego stopnia, z jej rozczarowania wciąż dyskryminacyjnym wobec kobiet światem mężczyzn. W greckim micie Pigmalion tak bardzo zniechęca się do płci pięknej, że obdarza uczuciem idealny posąg, rzeźbę Galatei z kości słoniowej, która zostaje ożywiona pod koniec tej historii. Piękniś Harry miał to nieszczęście, że od samego początku był z krwi i kości.

Gdy wrzawa wokół wystawy przycichła i dziennikarze się rozplynęli, biedny Anton zaczął tracić grunt pod nogami. Chciał wrócić do tworzenia własnej sztuki, ale to wszystko, co przedtem wydawało mu się pełne witalności i życia, teraz stało się płaskie i nudne. Wszystko, czego dotykał, usychało w jego rękach. Medytował, pościł, czytał, ale nic mu to nie dawało. Kiedyś w siebie wierzył, teraz stracił tę wiarę. A wszystko przez Harry.

Powiedziała mi, że ostatni raz widziała go, gdy zadzwonił do jej drzwi o drugiej nad ranem. Otworzyła mu i wtoczył się do środka pijany i wściekły. Oświadczył, że jego życie jako artysty jest skończone i na myśl o tym robi mu się niedobrze. „Porozmawiaj ze mną! – wrzeszczał do niej. – Porozmawiaj ze mną!”. Wtedy właśnie Harry odniosła dziwne wrażenie, że słyszy siebie, jak wydziera się do Felixa. Czyż nie zwracała się do niego wielokrotnie tymi słowami? „Porozmawiaj ze mną!”.

Ci dwoje odbyli rozmowę przy kuchennym stole, ale najpierw Harry kazała mu wypić trzy szklanki wody. Chłopak na początku siedział z zażawioną i zaczerwienioną twarzą, ale po pewnym czasie zlodowaciał.

Harry stała na stanowisku, że przecież Anton wiedział, na czym polega ich umowa, nie oszukała go ani nie przechytryła, wspólnie eksperymentowali z hipotezą o wpływie tożsamości artysty na wystawiane prace i eksperyment się udał. Anton został sownie wynagrodzony i zaczął się w świecie sztuki, gdyby zechciał nadal tworzyć.

Anton zgodził się, że od początku wiedział, jaki jest plan, że on też zainteresował się tym zagadnieniem, ale nie można było od niego oczekiwać, że zrozumie, co to będzie dla niego znaczyło, gdy nagle stanie się rozchwytywany, nawet „tak jakby sławny”. Wziął udział w reklamie butów sportowych z kilkoma innymi obiecującymi młodymi artystami. Udzielił wywiadów dla „Bomb” i „Black Book”, proszono go o wypowiedzi na temat innych wystaw. Zapraszano go na niezliczone przyjęcia, sypiał z dziewczynami, które wcześniej nawet by na niego nie spojrzały. I – oświadczył jej – był w tym dobry.

„W czym dobry? – nie wytrzymała. – W sypaniu z dziewczynami? O czym ty mówisz?”.

„We wszystkim! – wydarł się. – Od początku do końca. Chcieli mnie. Myślisz, że zaakceptowałyby ciebie? Nie o to w tym wszystkim chodziło? Beze mnie niczego byś nie osiągnęła”.

Harry krzywiła się, relacjonując mi tę rozmowę. Anton miał rację, powiedziała. Chciał mnie zranić prawdą i udało mu się. Rozgadał się na dobre, opowiadała, stwierdził, że wystawa bez niego nie miałaby takiej siły oddziaływania, że liczył się jego wizerunek, młodego, zorientowanego chłopaka, który zongluje mnóstwem rozmaitych odniesień. „Nie wiedzieli, o czym mówię!”, krzyczał do niej. To było takie łatwe, powoływać się na dzieła sztuki, o których usłyszał od Harry, ale dziennikarzom było wszystko jedno. Najśmieszniejsze było to, mówił Anton, że w tym całym zamieszaniu tak naprawdę liczył się tylko jeden artysta, Andy Warhol, który doskonale rozumiał wszystko, co ma związek z fascynacją sławą. „A Andy Warhol był akurat tym artystą, o którym już coś wiedziałem, zanim się pojawiłaś. To śmieszne, naprawdę, strasznie śmieszne. Nie łapiesz? Ta twoja wiedza, te wszystkie ezoteryczne bzdety są dla nich nic niewarte, mniej niż nic!”.

„To właśnie mi powiedział, Rachel. Siedziałam tam, gruba i stara w swoim szlafroku, patrzyłam na niego i to, co mówił, miało sens. Nawet pijany w środku nocy wyglądał dobrze. W końcu sama go wybrałam. Nie chodzi o to, że był jakoś szczególnie piękny, ale miał w sobie to nieuchwytnie *coś*; był ucieleśnieniem pewnej idei”.

Anton w gruncie rzeczy opowiedział Harry historię, którą ona cały czas opowiadała sobie, ale zamiast czuć satysfakcję, czuła się zraniona i zdezorientowana. „No więc czego chcesz? – spytała go. – Masz przecież wszystko. Po co przychodzisz i domagasz się rozmowy?”.

Ale Anton najwyraźniej nie miał wszystkiego. Był potwornie nieszczęśliwy. Nie mógł już pracować. Zanim poznał Harry, był na skraju dokonania wielkiego odkrycia. Przeczuwał jego wagę. Kipiał pomysłami, fantazjami, przemyśleniami. Gotów lada chwila stworzyć swoje postwarholowskie dzieła. Potrzebował tylko trochę czasu, a wybiłby się samodzielnie i został gwiazdą.

Harry patrzyła na mnie, pocierając podbródek. „Spytałam go, dlaczego więc tego nie zrobi”. Nie może, bo ona stanęła mu na drodze; jej pomysły zablokowały jego. Nie rozpoznawał już samego siebie. Kim był? Patrzył w lustro i widział ją. Przecież próbował jej oddać pieniądze ze sprzedaży, prawda? Ale teraz zrozumiał, że to on „stworzył ją”. Jego wkład w „to wszystko”

był olbrzymi. Sława nie zależy od tego, co się robi, ale od tego, jak cię postrzegają. To scena. Zasłużył sobie w pełni na honorarium, bo to on był chłopakiem, który „sprzedał towar”, ale „gdzieś po drodze” stracił swoją „czystość”, stwierdził.

Użycie przez niego słowa „czystość” doprowadziło Harry do konwulsyjnego śmiechu. Ponoć powtarzała je raz za razem. Powiedziała mi, że gdy się poznali, Anton o swoich talentach wypowiadał się bardzo skromnie. Mówił o tworzeniu sztuki komercyjnej, która pozwoli mu zarobić na rachunki, gdy on w tym czasie będzie pracował nad bardziej oryginalnymi „projektami”. Nigdy nie słyszała, żeby wspominał o byciu gwiazdą czy o czystości.

Harry miała bardzo smutną minę, gdy mówiła: „Stworzyłam potwora”.

Ale wtedy, siedząc z Antonem w kuchni, była zła, wściekła. Oznajmiła mi, że napisał przeszłość od nowa, że najwyraźniej zapomniał, iż to ona stworzyła wszystkie dzieła, że pudła na wystawie wyszły z jej ciała po całych latach pracy i przemyśleń. Miała ochotę trzasnąć go w twarz. Ten dzieciak, ten smarkacz, który przez cały rok zasypywał ją pytaniami, któremu mentorowała i płaciła, zamienił się w bezczelnego, oderwanego od rzeczywistości, napuszonego palanta.

A potem Harry zaczęła mi płakać w rękaw. Przez chwilę ją tuliłam, potem spytałam, co zamierza zrobić. Powiedziała, że eksperyment nie wypalił, bo nie jest pewna, co się właściwie wydarzyło. Może nikogo nie obchodzi jej pudła. Może sprzedały się tylko dlatego, że ich rzekomym twórcą był Anton Tish. Za wcześniej, żeby ogłosić, kto jest prawdziwym autorem. Reklamy, medialny szum, twarz Antona, to wszystko zasłony dymne. Będzie musiała poczekać. Będzie musiała spróbować raz jeszcze. Miała nowy pomysł. Powiedziałam Harry, że powinna się dobrze zastanowić, zanim powtórzy eksperyment. Cena psychiczna jest zbyt wysoka. To, czy Anton ma rację, jest mniej ważne niż to, że obojgu ten projekt przysporzył cierpień. Wysunęłam hipotezę, że może Harry ma trudności z przyznaniem się do własnych dzieł, że może w swoim mniemaniu nie zasługuje na uznanie, i w tym tkwi problem. Oстрыm tonem zażądała, żebym jej nie „psychoanalizowała”, ale od razu pożałowała tych słów i przeprosiła.

Gdy zapytałam, jak się skończyła tamta noc z Antonem, odpowiedziała, że chociaż uparcie obstawał przy wersji, jakoby to on był decydującym czynnikiem sprawczym ich „sukcesu”, przyznał niechętnie, że Harry odmieniła jego myślenie o sztuce. Nie miał wyjścia, musiał się od tego wszystkiego odciąć i zaplanować następny ruch. Zamierzał zainkasować pieniądze, bo na nie zapracował, i przez jakiś czas podróżować, zobaczyć trochę świata,

medytować i czytać.

A potem jej zbolałą minę zastąpił psotny uśmiech. Anton, powiedziała, podczas pożegnania popadł w mocno romantyczny ton, aż musiała zerwać się z sofy, żeby mi to zademonstrować.

„Już nigdy się nie zobaczymy!”. (Wypowiedzeniu tego zdania towarzyszył szeroki gest rodem z teatralnego melodramatu circa 1895, niezbyt prawdopodobny u młodego mężczyzny sto lat później, ale i tak się uśmiechnęłam).

„Wyjeżdżam daleko, bardzo daleko, w Himalaje, na Saharę, do Paryża, Timbaktu, ale najpierw pojedę do Queens, do magazynu, po swoje rzeczy”.

(Harry podnosi grzbiet dłoni do czoła, odchyła głowę do tyłu i trzepocze rzęsami. Wzdycha głośno. Opuściwszy dłoń, odwraca się do mnie i otwiera ramiona).

„Odnajdę na nowo swoją czystość, swoją autentyczność”.

(Harry krąży po salonie, zagląda pod poduszki, kartkuje czasopismo, prowadząc energiczne poszukiwania. Wybucho śmiechem).

„Mam nadzieję, że wtedy się z niego nie śmiałaś”, wtrąciłam i usłyszałam w odpowiedzi, że pozwoliła mu na tę chwilę filmowego dramatyzmu czy cokolwiek to było. Gdy się żegnali, oboje zachowywali się uprzejmie. Później się dowiedziała, że Anton nie od razu wyruszył w Himalaje – zanim zniknął, spędził w mieście jeszcze siedem miesięcy.

Harry wróciła jeszcze do swojej furii. Była tak wściekła na Antona, mówiła, że mogłaby się rzucić na niego z pięściami albo jednym chuchem spalić go na wiór.

Było to nawiązanie do Bodleya, wymyślonego ziejącego ogniem przyjaciela Harry, o którym wiedziałam od lat.

Milczała przez chwilę, a potem niepewnie wygłosiła następujący wstęp: „Nie wiem, czy powinnam ci to mówić. Nie, mogę. Może nie powinnam. Ale powiem. Rachel, jest we mnie coś... coś, czego nie rozumiem. Czułam to, gdy chciałam roznieść Antona. Nie żartuję. Nienawidziłam go, gdy siedział wtedy u mnie. Bałam się siebie. Co to jest? To coś starego, Rachel. Jak wspomnienie, ale to nie jest wspomnienie. Czuję, jak we mnie wzbiera. To znaczy na sesjach u doktora F. Coś potwornego, co we mnie siedzi”.

Pomyślałam o torsjach Harry. Ciało też może mieć swoje pomysły, może stosować metafory.

I wtedy, ściskając mnie za nadgarstki, powiedziała, że coraz bardziej dręczy ją wrażenie,

że gdzieś w niej kryje się głęboko jakaś historia, coś, czego nie potrafi wyartykułować, bo nie wie, co to jest, nie wie, czy to coś prawdziwego, czy urojonego. „Potwornie się tego boję, Rachel. To czysty strach, zimny, lodowaty lęk bez żadnych obrazów, wizji, bez słów. W ten sposób ludzie tworzą fałszywe wspomnienia, z lęków i życzeń, brzydkich, delirycznych myśli, które zatruwają ich jak wirus”.

Twarz Harry była biała.

Wtedy zaczęłam mówić o sferze fantazji, która leży u podstaw mojej pracy z pacjentami, ale bywa, że trudno rozdzielić świat wewnętrzny i zewnętrzny, a miejsce, gdzie się łączą lub dzielą, było w psychoanalizie nieostre od samego początku. Wymyślamy ich, powiedziałam Harry, ludzi, których kochamy i nienawidzimy. Dokonujemy projekcji własnych uczuć na innych ludzi, ale zawsze istnieje jakaś dynamika, która jest źródłem tych wymysłów. Te urojenia powstają między ludźmi i nasze wyobrażenia o tych ludziach żyją w nas.

„Tak – przyznała – i nie znikają nawet po ich śmierci. Tworzą mnie zmarli”.

Nigdy nie słyszałam, żeby ktoś tak to sformułował: tworzą mnie zmarli.

Ponad dziesięć lat później wciąż widzę Harry w swoim salonie, jak odgrywa Antona, parodystyczne gesty jej protegowanego, jej pseudonimu, jej maski. Czas zagęścił to wspomnienie, przydał mu dodatkowych znaczeń w świetle tego, co wydarzyło się potem, zwłaszcza w kontekście jej relacji z Rune'em. I teraz, gdy wspominam tamte gesty w moim salonie, jej roześmianą twarz, ten obraz nie daje mi spokoju. Jej melodramatyczne ruchy nie należą do młodego bohatera, który żegna się z kochanką (lub matką), nim odjedzie w poszukiwaniu przygód. Są to afektowane gesty heroiny, istoty z niezliczonych sztuk i niemych filmów, złotowłosej panienki o falującej piersi i różanych usteczkach, broniącej się przed nikczemnym wścachem, który nastaje na jej cnotę. Tego dnia w moim mieszkaniu Harry odegrała babskiego Antona, co samo w sobie było formą zemsty.

Dokonała projekcji swej bezbronnej dziewczęcej siebie, dziecka, które – jak podejrzewam – zaczynało dochodzić w niej do głosu podczas sesji z Adamem Fertigiem. Powiedziała mi wtedy, że czuje tylko strach – bez obrazów ani słów. Ale stworzyła już z tej emocji postaci i obrazy w swoich pudłach. Nie ma wątpliwości, że Anton był pionkiem Harry. Chciała pustego męskiego naczynia, które mogłaby wypełnić sztuką, ale Anton nie był pustą skorupą. Był osobą i to jego obsypano pochlebstwami, jego fetowano i wychwalano, nie Harry. Przyszedł do niej i upomniał się o swoje prawa jako zręczny performer, artysta z całą pewnością innego rodzaju,

ale mimo wszystko artysta. I sędzę, że Harry zazdrościła mu tego talentu i gardziła nim z tego samego powodu. Była naiwna. Wyobraziła sobie, że dla dokonania swojej zemsty może wypożyczyć powłokę mężczyzny, ale istoty ludzkie nie są kostiumami. Anton poczuł się uwięziony w sieci jej fantazji, ona z kolei odkryła, że jej protegowany ma własne marzenia.

Wszystkie myśli o zemście rodzą się z bólu bezradności. „Ja cierpię” staje się „Ty będziesz cierpieć”. I nie oszukujmy się: zemsta działa dynamizująco. Ożywia nas i wywołuje skupienie, tłumi żal, ukierunkowując emocję na zewnątrz. W rozpaczy rozpadamy się na kawałki. W zemście zbieramy się w sobie i zamieniamy w ostrą broń wymierzoną w konkretny cel. Jakkolwiek destruktywna na dłuższą metę, przez pewien czas pełni pożyteczną funkcję.

Tamtego popołudnia opowiedziałam Harry pewną historię, bo wydawała mi się jakoś à propos. Miałam kiedyś pacjentkę, która w wieku jedenastu lat padła ofiarą brutalnej napaści. Gdy wracała od koleżanki na Upper West Side, zaatakował ją nożownik. Nie był to zwykły rozbój; napastnik rzucił się na nią z nożem, rozciął jej szyję i zostawił ją na chodniku. Mało brakowało, a wykrwawiłaby się na śmierć. Moja pacjentka poinformowała mnie, że nie żywiła wobec sprawcy żadnych mściwych uczuć. Ale wiele lat później, gdy rzucił ją chłopak, nie mogła przestać fantazjować o zemście. Wymyślała wypadki samochodowe i narciarskie, niefortunne upadki, choroby i nagłe eksplozje, z których zawsze wychodził z życiem, ale oszpecony i sparaliżowany. W tym stanie, okaleczony, nieuchronnie dochodził do przekonania, że to ona była wielką miłością jego życia, że bez niej nic, co robi, nie ma sensu. Po pewnym czasie obrazy jego połamanego i zakrwawionego ciała zaczęły stawać jej przed oczami nagle i bez ostrzeżenia. W przyływach depersonalizacji zostawiała na automatycznej sekretarce byłego chłopaka makabryczne wiadomości. „Mam nadzieję, że gdy będziesz wracał z pracy, wpadniesz pod samochód”. Przerazała samą siebie. Sesja po sesji próbowaliśmy odkryć znaczenie tych kompulsywnych fantazji.

Harry powiedziała tylko: „Pewnie została jej blizna”.

Tak, odparłam, widziałam bliznę swojej pacjentki: wyraźną, straszną linię, która zamieniła się w fałdę na skórze.

Tamtej nocy śniłam, że znajduję się na długim, pustym korytarzu i widzę Harry skuloną na podłodze. Podchodzę do niej i zauważam na jej szyi cienką, głęboką ranę. Zaczynam się bać, że odpadnie jej głowa, przytrzymuję więc szyję, żeby głowa została na miejscu. U moich stóp leży kawałek drewna z kilkoma wystającymi gwoździami. Musiałam puścić Harry, bo go



podniosłam. Zamrugła do mnie para maleńkich zielonych oczu i zaczęły się szybko poruszać czerwone usta, jak gdyby klocek drewna próbował do mnie przemówić. Nic nie słyszałam, ale ogarnęło mnie współczucie. Słońce zza okna zaświeciło mi prosto w oczy, oślepiając mnie, i wtedy się obudziłam.

Istnieje wiele sposobów rozplątywania i interpretowania przedziwnych skrótów i przeniesień ze snów. Blizna mojej pacjentki powróciła w poderżniętym gardle Harry. Zapewne obawiałam się, że jedna z nas „straci głowę”. Oczywiście ten sen bardziej dotyczy mnie niż Harry, chociaż ożywiony kawałek drewna mógł reprezentować prace Harry będące wyrażeniem głębokich części jej osoby, które trudno wyartykułować inaczej. Nie jestem pewna. Niemal każdego dnia przyjmuję pacjentów, słucham ich. Czasem się martwię, że niektórych tak naprawdę nie słyszę. Wszyscy ostatecznie usiłują znaleźć jakiś sens w swojej historii, tak jak Harry; Harry, która mi wyznała, że kryje się w niej coś „potwornego”.

## Phineas Q. Eldridge

(relacja pisemna)

Oscar Wilde powiedział kiedyś: „Człowiek jest najmniej sobą, kiedy przemawia we własnym imieniu. Daj mu maskę, a powie ci prawdę”<sup>24</sup>. Przez krótki czas odgrywałem rolę maski Harriet Burden i nie żałowałem tego ani przez sekundę. Zza mojego niedowidzącego, mulackiego, pedalskiego „ja” była w stanie powiedzieć prawdę. W świecie gejowskim ukrywanie się i odgrywanie ról ma długą historię, która nigdy nie była prosta, toteż gdy Harry poprosiła mnie, żebym ją poudawał, czułem się, jak gdybym zaplatał dodatkowy węzeł na bardzo starym sznurze. Jestem performerem i wiem, że moja twarz na scenie często bywa bardziej autentyczna i szczerza niż ta, którą prezentuję za kulisami. Ale poza sceną też miałem dwie tożsamości. W 1995 zrzuciłem z siebie pierwszą skórę, tę przyrodzoną, aby stać się kimś innym: Phineasem Q. Eldridge’em. Osobą przed P.Q.E. był John Whittier, dobry chłopak, grzeczny, choć trochę marzyciel, życzliwy dla zwierząt, dziewczyn i biednych (w tej kolejności), lękliwy i – by przytoczyć określenie mojej matki – „delikatny”. Pierwszego ataku dostałem, gdy miałem cztery lata, a ostatniego, gdy miałem trzynaście. Lekarze mówili, że z nich „wyrosłem”. Należały do mego wcześniejszego, niższego ciała sprzed okresu dojrzewania, tego, które wszyscy odrzucamy razem z małymi kurteczkami, spodenkami, spódniczkami i bucikami, kiedyś pasującymi jak ulał. Drgawki przychodziły zwykle w nocy i niezbyt często, ale zapachy, które czasem wyczuwałem, i wrażenie, że coś po mnie pełza, mrowienie, tiki nerwowe, ślinienie się i zamroczenia oraz conocone moczenie przez całe lata z pewnością ukształtowały świat moich uczuć.

Gdy wracam myślami do tego dwurasowego epileptycznego okularnika tańczącego tango ze swoją młodszą siostrą Letty w pokoju dziennym dwupoziomowego, dość zamożnego domu na przedmieściach Richmond w stanie Wirginia, wcale mnie nie dziwi, że zanim jego mama przeżyła odrodzenie w wierze, zwrócił się ku Bogu. W szkole byłem pariasem, któremu nigdy nie zapomniano dramatycznego ataku padaczki przy zjeździe na boisku w trzeciej klasie, ale w kościele błyszczałem, pobożny aniołek cierpiący na świętą chorobę. Przecież święty Paweł, ojciec chrześcijaństwa, dostał na drodze do Damaszku napadu podobnego do tych, które czasem nawiedzały mnie, prawda? Harry była zafascynowana delikatnym, chudym, piegowatym Johnem z białym ojcem i czarną matką, który pochłaniał książki, oglądał filmy w telewizji i wymyślał

własny świat, krainę o zaczerpniętej z Biblii nazwie Baal-Tamar (Księga Sędziów), przypominającej w swej pierwotnej wersji plan filmowy z Hollywood. W Baal-Tamar bajecznie strojni nikczemnicy o nadnaturalnych mocach wdali się w konflikt z jedynym anielskim bohaterem tej historii, moim alter ego, Levolorem (od nazwy firmy produkującej rolety okienne, bo miała takie przyjemne brzmienie). Spędzałem mnóstwo czasu w tej czarodziejskiej krainie, tak jak Harry spędzała mnóstwo czasu z wyimaginowanym kompanem i tabunem lęków. Ona jednak wyrosła na bezbożnicę.

Boleśnie odczuwałem to, że Bóg przygląda mi się w każdej chwili i osądza moje skrywane myśli i niesforne tęsknoty, gdy leżałem w łóżku, marząc, że jestem Levolorem, który zainteresował się śpiewem i tańcem i zamieszkał w różowej filmowej willi z dziesięcioma służącymi. Fani przybywali setkami tysięcy, żeby mnie obejrzeć, jak wyśpiewuję swoje piosenki, potrząsam ogonem z piór i wykonuję efektowne układy taneczne. Zamykałem oczy i słuchałem tłumy, gdy ten wyrażał gromko swoje uwielbienie, a potem, ponieważ była to egoistyczna i niezbyt święta fantazja, wprowadzałem ją na inne tory: Levolora przemieniałem w postać jezusopodobną, która krążyła po Hollywood, uzdrawiając chorych, wskrzeszając zmarłych i w magiczny sposób rozmnażając krakersy i zupę dla żałośnie biednych ludzi w łachmanach i dziurawych butach. Z tą wizją też były problemy, bo przecież nie wolno się zbytnio upajać własną dobrocią, a ja miałem świadomość, że sprawia mi ona niebywałą przyjemność.

Mamina wiara od tamtej pory znacznie osłabła; mama jest człowiekiem zbyt łagodnym, żeby się zmienić w zadufaną w siebie, nawiedzoną dewotkę, ale był taki czas, kiedy podchodziła do modlitw z wielką gorliwością. Moi rodzice rozeszli się, gdy ja miałem trzy lata, a Letty rok. Z tątą spędzaliśmy weekendy. W moich najwcześniejszych wspomnieniach nosi mnie na barana, a ja patrzę w dół na trawę. Pamiętam też królika o imieniu Buster, który mieszkał u taty w klatce na podwórzu, błyszczący srebrny zegarek, który mogłem sobie zapinać wysoko na ramieniu, i naleśniki piętrzące się na niebieskim talerzu, inne niż te u mamy. Pamiętam, że jego dom dziwnie pachniał, i często się bałem, że ojciec podniesie piłkę i zaproponuje, żebyśmy trochę potrenowali amerykański futbol. Gdy piłka leciała w stronę mojej głowy, odruchowo się przed nią uchylałem. Twarda i furkocząca, wzbudzała we mnie lęk. Później wyszkoliłem się, żeby stać prosto, i starałem się chwycić tę przeklętą piłkę, a potem pędzić z nią jak szalony przed siebie. Modliłem się do Boga, żeby pomógł mi zadowolić ojca, żebym stał się silnym, prawdziwym chłopakiem o skoordynowanych ruchach, jakiego pragnął. Bez wątpienia byłem dla niego

rozczarowaniem. Nie powstałem na jego podobieństwo, ale sądzę też, że trochę go przerażałem, a może to moja epilepsja napędzała mu stracha lub myśl, że coś mi się stanie pod nieobecność mamy. Nigdy mnie nie beształ ani nie wytykał mi mojego sportowego niedołęstwa. Czułem po prostu, że chciałby innego syna. A mimo to, gdy nocowaliśmy u niego z Letty, przychodził do naszego pokoju, siadał obok i wpatrywał się we mnie, a ja udawałem, że śpię. Musiał wiedzieć, że nie śpię, ale nigdy nie dawał tego po sobie poznać, siedział tylko i patrzył.

I potem, pewnego wiosennego dnia, gdy skończyłem osiem lat, ojca zabił tętniak mózgu. Balonik pękł i tata umarł samotnie na sofie. Miał trzydzieści jeden lat. Mimo że mama nie chciała go już za męża, jego śmierć sparaliżowała ją na jakiś czas i dopiero zielonoświątkowa religia jej wczesnej młodości zapełniła po nim puste miejsce. Zmieniliśmy kościół.

Zanurzyli mamę w basenie chrzcielnym i wypełnił ją Duch Święty. „I wszyscy zostali napełnieni Duchem Świętym, i zaczęli mówić obcymi językami, tak jak im Duch pozwalał mówić”. Dzieje Apostolskie, rozdział drugi, werset czwarty. Wiem, że dla osób z zewnątrz tego typu religijne zachowania zakrawają na obłęd, ale ja uwielbiałem hymny, te wszystkie „Amen!” i „Powiedzcie im, bracia i siostry!” w czasie kazań, języki, interpretacje i świadectwa. Razem z Letty lubiliśmy w domu bawić się w kościół, bo mogliśmy wtedy skakać, trząść się i biegać w kółko jak dzikie zwierzęta, wykrzykując niedorzeczności. Mogę tylko powiedzieć, że ci, którzy padali na kolana albo rzucali się na podłogę nawiedzeni przez Ducha Świętego i zaczęli mówić, nie udawali, chociaż siostra Eleanor czasem budziła we mnie pewne wątpliwości, bo często popadała w przesadne uniesienie, a słowa, które z niej płynęły, przypominały wymyślony język.

Modliłem się coraz żarliwiej i zastanawiałem, dlaczego Bóg to zrobił, dlaczego zabrał ojca i dlaczego mama go odprawiła, zanim zabrał go Bóg, i czy jego smutek miał jakiś związek z tym pęcherzykiem w mózgu, bo tata wydawał się zasmucony, zwłaszcza gdy siedział przy moim łóżku – to przygnębienie przenosiło się z niego na mnie i mościło się w mojej piersi jak wyrzut sumienia. Mama używała słowa „niedobrani”. W jakiś sposób nie pasowali do siebie. Po śmierci taty Baal-Tamar stał się bardziej złożony, bardziej brutalny, bardziej tajemniczy. Wyłonił się nowy temat – niewolnictwo. Levolor prowadził armie przeciwko księciu Hadarowi z zamiarem uwolnienia niewolników, którzy byli połączeniem czarnoskórych Amerykanów i Izraelitów, i zacząłem opracowywać plany bitew pośród wymyślonych szczegółów topograficznych. Gdy zamykam oczy, wciąż widzę jezioro Asztarot i rzekę Jeszmot oraz pasmo

górskie Mizlah. Po pewnym czasie ludność Baal-Tamar odkryła seks i oddawała mu się z istic biblijnym zapamiętaniem. Wojowie Hadara często rozbierali się do naga i tańczyli przy dźwiękach dzikiej muzyki, żeby uwieść Levolora, któremu przyglądanie się temu widowisku sprawiało przyjemność, aczkolwiek szlachetnie opierał się zalotom. Było rzeczą nieuniknioną, że mój bohater ulegnie pokusie, rozkosznym pieścizotom pod kołdrą z myjką, poczuciem winy wobec Boga, wilgotnymi cudownościami i poezją tego wszystkiego.

Myślę, że to właśnie moje opowieści o Baal-Tamar uwiodły Harry. Mój wymyślony świat zniknął mniej więcej w tym samym czasie co napady epilepsji, a razem z nim wszystkowiedzący Bóg Hebrajczyków, ale zachowałem ciepłe uczucia wobec ludzi mówiących językami oraz wobec mamy, która nigdy się ode mnie nie odwróciła, mimo że zawędrowałem na pustkowie ateizmu i nigdy nie wróciłem na łono Kościoła. Gdy zjawiłem się w przytulisku Harry, ona akurat zajmowała się własną grupą wymyślonych postaci, wypchanymi figurami – zimnymi, chłodnymi, ciepłymi i gorącymi. Polubiłem te jej „metamorfy” (jak je nazywała), chociaż spora ich część była zniekształcona lub okaleczona. Cofam te słowa. Najbardziej podobały mi się te przetrącone, bezrękie lub beznogie, z szynami i temblakami, z garbami lub domalowanymi krostami. Nie wyglądały realistycznie, ale wydawały się bardziej ludzkie niż wielu znanych mi ludzi i Harry traktowała te swoje stworzenia domowej roboty z czułością. Czasem podkładała im głos dla małej Aven, która miała wtedy jakieś cztery lata i odwiedzała babcię w weekendy, zostawiając wszędzie na metamorfach mokre plamy od pocałunków.

Do przytuliska w Red Hook trafiłem okrężną drogą. Po studiach przyjechałem do Nowego Jorku z hordą innych aspirujących gwiazd sceny i skończyłem jako kelner. „Witajcie, nazywam się John Whittier i będę was dziś obsługiwał”. Była to era potłuczonych talerzy, chamskich gości, przesłuchań, telefonów, odmów, kolejnych odmów i kilku żalonych ról skrojonych pod piegowatego jasnoskórego Mulata, który na życzenie potrafi przywołać dowolny akcent. Castingi to jedno. A castingi do ról w sztukach i filmach tak tragicznie napisanych, tak beznadziejnie pomyślanych, że można nabawić się niestrawności, to co innego. Postanowiłem, że zacznę pisać własne teksty, i zostałem performerem o pseudonimie Phineas Q. Eldridge, choć – obawiam się – mocno zubożałem. Rzucił mnie mój piękny Julius i z dość luksusowego apartamentu w Chelsea trafiłem na sofę u mojego kumpla Dietera (czyli na dobrą sprawę w rynsztoku, bo między poduszkami znajdowałem papierki po gumie do żucia, wykałaczki, kulki kurzu i monety).

Na ratunek przybył mi Ethan Lord. O moim programie w Pink Lagoon napisano w „Neo-Situationist Bugle”, chyba najmniej znanym czasopiśmie w całym Nowym Jorku, ale Ethan i jego przyjaciel Lenny wspierali występy takie jak moje z powodów, które rozumie jedynie garstka doktorantów z wydziałów uniwersyteckich. Potępiali kapitalizm. To wszystko działo się na długo przed zawieruchą 2008 roku i zakupy były wciąż ulubioną rozrywką Amerykanów. Oczywiście ta dwójka wywrotowców miała w głębokim poważaniu rozkosze posiadania nowego tosterka, muśnięcia kaszmirowych szalików oraz to, co kilka kropel astronomicznie drogich perfum może zdziałać dla czyjejś psychiki. Byli młodymi ascetami zaopatrującymi się w ciuchy retro wyłącznie w lumpeksach i komisach. Kwestia zasad, lecz także pewnej przewrotności, takiej, która łatwiej przychodzi ludziom bogatym niż całej reszcie. Ethan miał fundusz powierniczy. Lennie nie, ale domyśliłem się, że rodzice co miesiąc przysyłają mu czek.

Mimo że chłopcy byli hetero, wyznawali teorię *queer*, która nie traktowała tylko o homoseksualistach, lecz można ją było odnieść do wielu innych osób i zjawisk. Chodziło o „naginanie kategorii”. Ja oczywiście byłem całym sobą za, a oni byli uroczą dwójką zapaleńców. Lenny, z okrągłymi drucianymi okularkami na nosie, przywodził mi na myśl anarchistę z lat trzydziestych, a Ethan, ze swymi wielkimi oczami i ciemnymi lokami, zdawał się skrywać gdzieś poczucie humoru, chociaż nie byłem pewien gdzie. Gdy go poznałem, przekonywał mnie, jak to moje performerskie występy „wyrażają zakłócenie normatywności”. Były to zakłócenia zaczerpnięte prosto z mojego życiorysu. Odgrywałem pewne wersje moich rodziców, których nazwałem Hester i Lester, odgrywałem też Letty jako Hetty, gdy była szalonym brzdącem oraz w jej dorosłym, poważnym wcieleniu pani inżynier, która nie pochwałała tego, że wykorzystuję naszą rodzinną historię do teatralnych występów, odgrywałem też siebie w starej wersji chłopięcoepileptycznej oraz siostrę Eleanor w szale językowym, ale zawsze z komicznym dystansem, wszystko w kostiumie, podzielony na dwie połowy, czarną i białą, męską i żeńską – ale chłopcy mieli rację: nim show dobiegał końca, wszelkie wyraźne różnice między postaciami nabierały płynności *queer*.

Ethan chciał, żebym poznał jego matkę: wybawicielkę włóczęgów całego wszechświata. Miałem ułatwione zadanie, bo formalnie rzecz biorąc, byłem bezdomny, a „Bugle” zamienił H/Lester w „teoretyczny konstrukt”, co zrobiło odpowiednie wrażenie na dziewięciorgu czytelnikach tego pisemka, w tym na Harry. Kilka dni przed pierwszym spotkaniem z panią

Burden w jej brooklyńskim przytulisku zrobił się mały kociokwik. Jedna z bezdomnych lokatorek, niejaka Linda Lee, której „sztuka” polegała między innymi na nacinaniu własnego ciała i fotografowaniu cięć, przesadziła ze sznycami na korytarzu części mieszkalnej i trzeba ją było przewieźć na sygnale do szpitala metodystów, gdzie ją pozszywano, stamtąd trafiła na tydzień na oddział psychiatryczny, a potem do matki w Montclair. Podobno Harry nie rozumiała, że artystyczne porywy tej dziewczyny mają związek z prawdziwą krwią. Ethan może i chodził z głową w formacjach cumulusowych, ale – jak sam to ujął – „dobroczyńne zapędy mojej matki należy pohamować, zanim po raz drugi dojdzie do tragedii”. Powiedział mi też, że „wystarczy w tym miejscu jedna obłąkana osoba” – aluzja do Barometra, którego z czasem poznałem i nauczyłem się tolerować.

Krótko mówiąc, w ten oto sposób przejąłem obowiązki mistrza ceremonii w przytulisku dla artystów w Red Hook. Harry nie miała do tego głowy. Powiedziałem jej, że nie może przyjmować każdego śmiecia, który przypałęta się pod jej drzwi. To nie ochronka dla zubożałych turystów, świrów, flejtuchów i ćpunów, prawda? Potrzebowaliśmy typów artystycznych z prawdziwego zdarzenia, osób, które zatrzymają się na dłużej i będą dzielić się obowiązkami. Barometr już się tam zadomowił, a Harry miała do niego słabość, wierząc, że jest nieszkodliwy, i rzeczywiście na dobrą sprawę był nieszkodliwy, tylko że się nie mył. Dopiero Maisie przekonała go, że cotygodniowe zanurzenie w wannie z kawałkiem mydła jest ceną, którą musi zapłacić za dach nad głową. Maisie była pewnego rodzaju specem od wariatów, a potem nakręciła nawet o Barometrze film pod tytułem *Pogoda ciała*, który zdobył nagrodę na jakimś festiwalu. Odkryłem też, że klucz do drzwi wejściowych dorobiła sobie banda okolicznych kloszardów płci obojga, którzy w nocy wchodzili sobie do środka, jak im się podobało. Zmieniłem zamek.

Przejąłem pokój po wyeksmitowanej Lindzie Lee i wywiesiwszy kartkę z napisem „BRAK WOLNYCH MIEJSC”, stworzyłem nieformalną procedurę rekrutacyjną dla artystów w potrzebie. Uznałem, że w budynku mamy dość miejsca dla trzech osób, które mogą tam mieszkać i tworzyć oprócz Harry, a jako że Barometr i ja już się wkręciliśmy, został wolny pokój dla jeszcze jednego rezydenta. Zdecydowaliśmy się na Eve, ekstrawagancką istotę urodzoną i wychowaną w Idaho, dwudziestopięcioletnią szwaczkę o wielkim talencie. Wprowadziła się ze swoim singerem i stworzyła całą kolekcję bajecznie kolorowych prac, którymi oboje z Harry strasznie się zachwycaliśmy. Eve nie zagrzała u nas miejsca. Po niej przybył Ulysses, rzeźbiarz

w tradycji minimalistycznej, a potem Delia, która zajmowała się wyłącznie instalacjami z używanych butów (moje ulubione). Opracowałem podstawowy regulamin: żadnych śmieci; całkowity zakaz hałasowania po dwudziestej trzeciej; odwiedziny partnerów mile widziane, ale wszelki seksbiznes na miejscu wykluczony (nie był to już problem, ale sam zakaz nas rozśmieszał); raz na dwa miesiące wymagana obecność dla przedyskutowania ukończonych lub powstających prac. Zatrudniliśmy profesjonalną firmę sprzątającą, która raz na tydzień przelatywała przez dwie kondygnacje budynku, podzieliliśmy się częścią obowiązków i przytulisko zostało ucywilizowane.

Ale mam opowiedzieć, jak zawiązała się nasza współpraca z Harry. Cóż, nie stało się to szybko. Rodziła się pomału. W niedzielne popołudnia wypożyczaliśmy filmy, głównie starocie, których Harry nigdy nie widziała: widowiska Busby'ego Berkeleyya dla ich kalejdoskopowych efektów (*Nocne motyle*, *Poszukiwaczki złota*, *Ulica szaleństw*), parę tytułów z Ginger Rogers i Fredem Astaire'em i stare filmy przeznaczone dla czarnoskórej widowni: *Chata w niebie*, *Look-Out Sister* i *Harlem Is Heaven*, których gwiazdą był mistrz stepowania Bojangles zwany „ciemną chmurą radości”, urodzony w Richmond w Wirginii jako Luther Robinson, autor powiedzonka „Wszystko jest tip-top” (taniec na palcach, precyzja rytmu, doskonałość tonu), i *Stormy Weather* też z Robinsonem, rodzaj jego biografii z Fatsem Wallerem, Cabem Callowayem, Leną Horne i braćmi Nicholasami („Boże, nie do wiary, jak oni tańczą!”). Zaczęłem lekcje stepowania jako czterolatek i mogłem zaimponować Harry paroma krokami i przejściami, ale nigdy nie miałem do tego prawdziwego drygu. Lester podczas mojego numeru wykonuje mały układ wodewilowy, co zawsze spotyka się z entuzjastycznym przyjęciem publiczności. Harry nazywała te nasze niedzielne seanse „czasem błogości”, wkładała wtedy, jak to określała, „coś miękkiego” lub „piżamopodobnego” i prażyła kukurydzę. Rozsiadaliśmy się przed telewizorem i oddawaliśmy lenistwu. Nie zawsze byliśmy sami. Od czasu do czasu dołączali do nas inni lokatorzy przytuliska. Bruno, Eve lub Barometr, który pojawiał się i znikał lub przychodził ze szkicownikiem, siadał na sofie i rysował.

Nie pamiętam, kiedy dokładnie wykuł się nasz projekt, ale pewnej soboty wpadłem do pracowni Harry i zauważyłem, że wielkimi literami namalowała na ścianie słowo DUSZNOŚĆ. „Przymierzam się – powiedziała – do tego tematu”. Potem zaczęła mówić o czymś innym, przynajmniej tak mi się wtedy wydawało. Teraz wierzę, że cały czas mówiła o tym samym, bo była to historia o jej ojcu. Opowiedziała mi o swojej pierwszej wystawie w Nowym Jorku, gdy



miała trzydzieści kilka lat. Na wernisaż przyjechali rodzice. Matka była cudowna, dumna i bez przerwy jej gratulowała. Ojciec milczał, ale tuż przed wyjściem powiedział: „To raczej dalekie od tego, co się teraz wystawia, prawda?”.

Co przez to rozumiał? Nie była pewna. Spytałem, co mu odpowiedziała. „Nic”, usłyszałem.

Zamknął jej usta.

Ten facet nie był jakimś głupim ćwokiem; znał się na sztuce. Powiedziała mi, że przepadał za Frankiem Stellą. Zwróciłem się do Harry: „Nie sądzisz, że to dość bezduszne? Żeby powiedzieć coś takiego własnej córce”.

„Doktor F. też mi to mówi”.

Zauważyłem, że do rozpoznania okrucieństwa nie trzeba kończyć studiów medycznych.

Harry wyglądała, jakby miała się rozpłakać.

Udawałem, że mi przykro, ale wcale nie było mi przykro.

Harry dużo mi opowiadała o tym facecie i moje zdanie jest takie, że jej ojciec, gdy jeszcze był wśród żywych, miał problem z tym, kim jest Harry i co robi. To najważniejsze kwestie – to, kim się jest i co się robi. Prace Harry były ciepłe: nie w sensie elektrycznie podgrzewane, lecz pełne pasji, zmysłowości, budziły lęk. A jej ojciec był sztywniakiem, który lubił schludne, zamknięte systemy: świat w słoiku. Co miał myśleć o jej twórczości? Nie spodobałaby mu się, ktokolwiek byłby autorem. Mimo wszystko nie miałem Harry za złe, że starała się go zrozumieć. Ja sam przecież przez całe moje cholerne życie wymyślałem historyjki o swym bohaterskim ojcu, kochając go i nienawidząc. I gdy zjawił się Daryl z tym swoim szerokim uśmiechem i lśniącymi butami, starając się o względy mamy, czyż nie życzyłem sobie, żeby rozpląnął się w powietrzu albo po prostu padł trupem na miejscu?

Rozpoczęliśmy współpracę, bo potrzebna jej była falliczna przykrywka. Powiedziałem Harry, żeby dobrze się zastanowiła, zanim się zdecyduje na ciemnoskórą ciotę, lecz mój status przedstawiciela nie jednej, ale dwóch mniejszości nie zraził jej. Powiedziała, że zależy jej na scenach duszności, metaforycznej, nie na poduszkach na twarzy, lecz na teatrze pokoi, do których widz musi wejść, i chciała, żebym pomógł je zbudować. Czyż nie przeżyłem swego życia głównie jako pedzio? Czyż nie zmieniłem nazwiska w 1995 roku na cześć mojego drugiego „ja”? Czyż nie znałem tego uczucia stłamszenia, niezależnie od zielonoświątkowych języków? Czyż nie żyliśmy w kraju zatrutym rasizmem? Czyż nie byłem czarnuchem, mimo że miałem skórę

niewiele ciemniejszą niż Harry? Ludzie i tak nazywali mnie czarnym, prawda? Co miał do tego odcień skóry? Jej matka była Żydówką, więc i ona nią była. Poznała, co to antysemityzm. Tym konkretnym szczepem grypy byli zarażeni jej protestanccy dziadkowie. A co z seksizmem? Od jak dawna kobiety cieszyły się prawem wyborczym? Nie minęło nawet sto lat! Czyż nie odgrywałem mężczyzny i kobiety, białego i czarnej w jednym ciele? (Harry zachwycała się Hester i Lester, zwłaszcza Hester, marudzącą i zawodzącą żoną znacznie mniej wygadanego Lestera). Czyż nie rozumieliśmy się nawzajem? Czyż nie byliśmy pod wieloma względami do siebie podobni? (Utożsamienie Harry ze mną może wielu ludzi zdumiewać, ale było szczere). Nie interesowały jej specjalnie konwencjonalne sposoby dzielenia świata na czarne/białe, męskie/żeńskie, homo/hetero, normalne/nienormalne – żaden z tych podziałów jej nie przekonywał. To były narzucone kategorie, definicje, które nie uznawały amalgamatu, jakim my, istoty ludzkie, tak naprawdę jesteśmy. „Redukcjonizm!” – wykrzykiwała od czasu do czasu. Jej syn był do niej podobny. Nie podobało im się to, co oglądali w wielkim świetle – przyjęte powszechnie opinie były dobre dla wyrobników i maluczkich – a jednak wyczuwało się między nimi napięcie, można powiedzieć, że się „najeżali”. Maisie była rozjemcą, aniołem, który machał białą flagą.

Ale wróćmy do *Dusznych pokoi*: jestem dumny z tego, co w nie wniosłem, jak je podkręciłem, ale to było dzieło Harry. Sama wymyśliła, że oglądający powinien się zmniejszać za każdym razem, gdy otwiera drzwi i wchodzi do nowego pokoju. Były prawie identyczne, ten sam ponury stół i dwa krzesła z plastikowymi siedziskami, te same naczynia ze śniadaniem rozstawione na blacie, ta sama tapeta zagryzmołona przeze mnie i Harry różnymi napisami (miałem wolną rękę, żeby zawrzeć tu wszelkie swoje tajne wiadomości) i ta sama para metamorfów w każdym pokoju. Na początku tej podróży meble są dopasowane do rozmiarów osoby dorosłej przeciętnego wzrostu – zdecydowaliśmy się na metr siedemdziesiąt – ale w każdym następnym pokoju stół i krzesła, kubki, talerze, miseczki i łyżki, bazgroły na tapecie powiększają się o tyle, że gdy trafiamy do siódmego pokoju, skala mebli zamienia cię w małego brzdąca. Miękkie, wypchane metamorfy także się powiększają i stają się stopniowo coraz bardziej gorące. W siódmym pokoju jest jak w saunie. Po przedyskutowaniu tematu ustaliliśmy, że pojedyncze dzielone okno w każdym pokoju powinno być lustrem – dzięki czemu uzyskiwało się bardziej klaustrofobiczny efekt.

I było jeszcze „pudło”. W odróżnieniu od innych obiektów w pokojach pudło nie rośło.

Harry znalazła poobijaną drewnianą skrzynię z wiekiem zamkniętym na klucz i zamówiła sześć takich samych u jakiegoś rzemieślnika na Brooklynie. Była potwornie wymagająca i jedną z nich odsyłała pięć razy, zanim usatysfakcjonował ją efekt „podniszczenia”.

Ja byłem tym geniuszem, który wpadł na zmiany kolorystyczne. Pomyślałem, że paleta każdego pokoju i jego dwóch bohaterów powinna ciemnieć – począwszy od kremowego aż po przydymiony karmel. Postanowiliśmy też dodać ślady upływającego czasu. Każdy kolejny pokój powinien wydawać się nieco starszy i bardziej zniszczony niż poprzedni, z coraz bardziej zdezelowanymi meblami, tak więc projektowaliśmy rozmieszczenie plam, drapaliśmy i naddzieraliśmy tapetę, aż w ostatnim pokoju wchodziło się do brudnej, obskurnej i odrapanej jadalni. Wiek musiał się też odbijać na metamorfach, więc Harry marszczyła im czoła, powodowała obwiśnięcie policzków i rozciągała skórę na szyi.

Jako brygada niszcząca świetnie się bawiliśmy. Z czułością wspominam te prace. „Podaj mi nóż, stary”, mówiła Harry. Kłaniałem się grzecznie i podawałem jej ostrze. Ona odkłaniała mi się, po czym przebijała plastikowe siedzisko jednego z wielkich krzesel. Gratulowałem jej. „Dobra robota, proszę kolegi”. A ona na to: „Teraz na ciebie kolej. Jakaś brudna plama powinna załatwić sprawę, brachu”. I smarowałem ścianę lub stół przygotowanym wcześniej błotkiem. Harry i ja byliśmy gwiazdami naszego prywatnego starego filmu, komediowy duet, P. i H. Mieliśmy ubaw z tego pH, symbolu naszej więzi i koleżeństwa.

pH: skala kwasowości lub zasadowości roztworów wodnych. Żartowaliśmy, że skłaniamy się raczej ku kwasowości.  $\text{pH} = -\log [\text{H}^+]$ : ujemny logarytm ze stężeń jonów wodorowych zdefiniowany przez duńskiego biochemika Sørensa Sørensen. Pojawiło się wiele żartów na temat tego, co może znaczyć owo „log”, między innymi, że jest to skrót od naszej przypadłości, czyli logorei. Byliśmy dwiema połówkami z łacińskiego skrótu PhD, czyli *philosophiae* i „D” jak „denat” lub „dziad”. Tworzyliśmy spontanicznie inne rozszerzenia: „patologiczne halucynacje” – można popuścić wodze fantazji – „podglądająca hetera”, „pryszczaty huncwot”, „pieprznięty hidalgo”, „przebiegła handlara” i tak dalej, i tak dalej, i tak dalej. Czasem pracowaliśmy w kostiumach – jako dwaj mężczyźni, dwie kobiety, mężczyzna i kobieta i na odwrót. Poeta brzuchacz zrobił nam zdjęcie, gdy byliśmy w przebraniu, ona w męskim, ja w kobiecym, ale chyba mu się nie podobało. Wolał, żeby jego przyjaciółka pozostała przyjaciółką. Z Brunona czasem wychodzi typowy macho. W każdym razie tworzyliśmy z Harry idealną drag parę. Duży Harry i mała ja.

Pewnego dnia, gdy pracowaliśmy nad pokojami, Harry odłożyła śrubokręt i spojrzała na mnie z poważną miną. „Wiesz co, mój drogi P.? – powiedziała. – Lubię się z tobą wygłupiać. Czuję się, jakbym znalazła prawdziwego towarzysza zabaw, o którym marzyłam wiele lat temu, gdy byłam dzieckiem, nie wymyślonego, lecz prawdziwego. Nie miałam tak naprawdę nikogo, dopóki nie zjawiała się Rachel. Jakby zmaterializowało się moje marzenie o przyjacielu sprzed lat”.

Nie lubię się roztkliwiać, więc zareagowałem żartami, a ona parsknęła śmiechem. Ale gdy byłem sam w łóżku, przypomniałem sobie jej słowa i przypomniałem sobie Devereaux Lewisa, gdy wciskał mi twarz w błoto, napierając na plecy kolanem i cedząc „ciota, pedał, babski król”. I Letty, gdy wpatrywała się potem we mnie tymi swoimi wielkimi, zażawionymi oczyma. Powinienem był rozwalić mu gębę, ale byłem na to zbyt szlachetny i za bardzo się bałem. A potem zobaczyłem siebie, jak walę konia, wyobrażając sobie boskich młodzieńców z moich fantazji, przypomniałem sobie poczucie winy wobec Boga i swoją samotność. Harry też była taka, nie, nie w sensie homo, po prostu była samotnym dzieckiem. Lubiła swoją matkę, a ja wciąż lubiłem moją – niezależnie od konfliktów. Harry przynajmniej знаła swego ojca. Mój był tworem wyobraźni, zbiorem faktów, które tasowałem dowolnie jak talię kart. Biały chłopak osierocony w wieku dziesięciu lat; wychowanek domu dziecka; wyszedł na człowieka, studiował księgowość; zakochał się w mamie, ambitnej uczennicy technikum pielęgniarstwa, ożenił się, rozwiódł, zmarł.

Skrzynia musiała się otwierać, bardzo powoli, coraz szerzej w każdym kolejnym pokoju. Później się okazało, że gros zwiedzających zauważało zmianę dopiero mniej więcej w czwartym pokoju. Harry wiedziała, że musi się tam znajdować ciało, istota, która próbuje się wydostać. W tym „wypełnieniu” tkwił humor, ale czarny humor. O tej istocie mówiliśmy „to”, „demon” albo „głodne dziecko”. Harry rysowała z zapamiętaniem, starając się odnaleźć jej twarz, ciało, wygląd. Metamorfy były wielkimi, kłocowatymi postaciami o tępych spojrzeniach, które siedziały przy stole we wszystkich siedmiu pokojach z drobnymi jedynie modyfikacjami postawy, ale to małe coś według Harry musiało pochodzić z „innej płaszczyzny istnienia”. Wosk. Zdecydowała się na pszczeli wosk. Zainspirowało ją, jak twierdziła, kilka źródeł: dziwaczne anatomiczne rzeźby woskowe z osiemnastego wieku z muzeum La Specola we Florencji, odarte ze skóry, otwarte ciała ukazujące narządy i układy wewnętrzne, Sacro Monte di Varallo z figurami wyglądającymi jak żywe oraz wizerunki duchów z japońskich zwojów. Nie chciała, żeby jej

postać przypominała ufoludka z jakiegoś filmu science fiction z lat pięćdziesiątych, model stawał się więc coraz bardziej realistyczny: chudy, upiornie przezroczysty (z prześwitującymi wątroba, sercem, żołądkiem i jelitami), hermafrodytyczny (drobne pączkujące dopiero piersi i nierozwinięty w pełni penis), z kędzierzawymi rudymi ludzkimi włosami. Ta istota jest dziwnie piękna i gdy widać ją/jego poza skrzynią w siódmym pokoju, na stołku, jak wygląda przez okno, a raczej wpatruje się w lustro, mimowolnie ogarnia nas jakieś wzruszenie. Naprawdę wielkie (już teraz) metamorfy wreszcie zauważyły, że istota wydostała się na zewnątrz, i odwróciły głowy, żeby na nią popatrzeć.

Co to znaczy? – pytano mnie, gdy pokoje zostały wyeksponowane. To znaczy dokładnie to, co czujesz, mówiłem, jeśli coś czujesz. To znaczy dokładnie to, co ci się wydaje, że znaczy. Byłem enigmatyczny. Zakładałem maskę, nie dosłownie, ale jedną z moich aktorskich masek, przybrałem nową tożsamość. Wspaniała rola, bo stanowiła połączenie mnie i Harry. Do tego numeru w *theatrum mundi* przejąłem nawet kilka jej gestów. Gdy Harry zaczynała filozofować, często wymachiwała rękami i czasem zaciskała prawą dłoń w pięść i przebijała powietrze, żeby dodać siły swoim argumentom. Z kilkoma zapożyczonymi od Harry gestami, ze zmodyfikowanym akcentem, mniej wirginijskim, zdecydowanie bardziej męski P.Q. Eldridge wkroczył do świata sztuk wizualnych.

Harry wiedziała, do kogo zagadać. Wiedziała, dokąd pójść i dokąd mnie wysłać. Przedstawiła mnie odpowiednim osobom na „artystycznych” rautach, właścicielom galerii, kolekcjonerom i krytykom, których oczarowywałem i z którymi gawędziłem, dzięki czemu jej kontakty stały się moimi kontaktami. Nie jest to świat „przyjazny”, no ale czy taki w ogóle istnieje? Zakolegowałem się wtedy z kilkoma artystami, z którymi wciąż utrzymuję kontakt, ale w sumie doświadczenie to przekonało mnie, że ten Francuz, Honoré de Balzac, miał rację: to parszywa komedia ludzka. Iluzja goni iluzję. Jedyne, co się liczy, to nazwiska i pieniądze, pieniądze i nazwiska, więcej pieniędzy i więcej nazwisk.

Na kilku wernisażach spotkałem Oswalda Case’a, obecnie autora sensacyjnego thrillera opartego na „faktach autentycznych” pod tytułem *Męczennik sztuki*. Biedak jest mikrusem, nie prawdziwym karłem, ale ma najwyżej jakieś metr sześćdziesiąt w kapeluszu. Straszny snob. Muszka pod szyją. Za każdym razem, gdy się z nim widziałem, opowiadał o swoich studiach na Yale: Yale to, Yale tamto. I o gwiazdach filmowych. Steve Martin. Zna Steve’a Martina: ten to ma oko, niezawodne. „Kupił do kolekcji Hoppera, wiedziałeś o tym?”. *Nie, nie wiedziałem.* „Za

ile? Miliony”. (Zapomniałem, ile milionów).

„Tak, kolekcjonujemy z mężem od lat – oznajmiła mi damulka w garsonce od Chanel. – Właśnie kupiliśmy Karę Walker”. (Koncept: wspomnij jednemu czarnemu artyście o drugim czarnym artyście). „Jej prace są niesamowicie mocne, nieprawdaż?”. „Tak – odpowiedziałem – tak sądzę”. „Widzi pan, jesteśmy eklektyczni – poinformowała, zanim się odwróciła ku znajomej osobie na drugim końcu sali i zawołała: – David, kochanie! Przepraszam, widzę znajomego, bardzo, ale to bardzo miło było mi pana poznać”.

I tak dalej. Trochę się rozerwałem i trochę wynudziłem. Co do Harry, sprawa była bardziej skomplikowana.

Prawda – nie chcieli Harry artystki. Zacząłem to widzieć z bliska. Była sensacją dawno minionego sezonu, jeśli w ogóle kiedykolwiek była sensacją. Była wdową po Feliksie Lordzie. Wszystko działało na jej niekorzyść, a do tego Harry ich odstraszała. Miała zbyt szeroką wiedzę, za dużo czytała, była za wysoka, nienawidziła niemal wszystkiego, co pisano o sztuce, i poprawiała ludzi, jeśli się mylili. Harry wyznała mi, że dawniej nigdy nikomu nie wytykała błędów. Całymi latami siedziała w milczeniu i słuchała, jak ludziom płaczą się źródła, daty i nazwiska, ale teraz miała tego dość. Powiedziała, że wolność przywrócił jej doktor F., którego zacząłem traktować jak niewidzialnego ducha stojącego za Harry. Ów niewidzialny człowiek udzielił jej zgody, twierdziła. Teraz pozwalała sobie mówić to, co wcześniej tłumiała: „Chyba ma pan na myśli to i to”, prostowała, a rozmówcy, jak można przewidzieć, rzucali jej spojrzenie typu: „A pani to kto?”. Niektórzy upierali się przy swoim, twierdząc, że to ona się myli – i wtedy zaczynała się jatka. Harry przestała komukolwiek ustępować.

A jednak prestiż Harriet Burden wzrastał, nie jako artystki, ale ważnego gracza w nowojorskim *who is who*. Po śmierci Felixa Lorda chowała się przed „tym wszystkim”, stroniła od Iksińskich i Igrękowskich, forsiastej arystokracji, aroganckich prostaków bez własnego gustu. Ale teraz wróciła do gry, już nie jako „zaobrączkowana pani domu” Felixa Lorda (jej wyrażenie), ale samodzielnie. Te wszystkie indywidua zaakceptowały Harry jako promotorkę, jako bogatą mecenaszkę młodych talentów i jako kolekcjonerkę. (Nikt nie wiedział, że jej pierwsze „odkrycie”, Anton Tish, zbiegło. Myśleli, że ciężko pracuje nad następną wystawą). Harry odgrywała swoją rolę. Nosila własną maskę, a gdy już miała ją na twarzy, stała się w tej roli jeszcze lepsza, bardziej pewna siebie. Ta maska jej pasowała. Właściwie dzięki niej była bardziej szczerą. „Moim zdaniem ten artykuł to stek bzdur”, oświadczyła kobiecie, która

starannie pozaznaczała swój numer „Art Assembly” kolorowymi karteczkami. I zaczęła kupować prace, głównie kobiet. Genialne, powiedziała o płótnie Margaret Bowland, i co za okazja.

„Kapelusze, Harry”, powiedziałem pewnego niedzielnego popołudnia w przytulisku.

„Kapelusze?”.

„Tego ci właśnie trzeba”.

Poradziłem jej, że powinna zacząć się pokazywać w kapeluszach. Jęknęła na tę sugestię, uznawszy, że to zbyt pretensjonalne, zbyt absurdałne, ale potem kupiłem jej jeden, szarobrązową fedorę, i wyglądała *wunderbar*, jak lubi mawiać Dieter, i w ten oto sposób narodził się znak rozpoznawczy H.B. Z czasem polubiła te nakrycia głowy. „Zakrywają mój mało atrakcyjny umysł – żartowała – te wszystkie nieprzyjemne pomysły, o których nikt nie chce słuchać”.

Ale, widzi pan, Harry miała możliwość komentowania własnych prac, jak gdyby należały do mnie, i wiedziała doskonale, co powiedzieć. Ostatecznie nie promowała siebie. Chwaliła P.Q. Eldridge’a, owego „nader interesującego” performerera, który rozszerzył swoje zainteresowania o nową dziedzinę. „Inscenizuje tajemnicze historie – komentowała z uśmiechem – będące wizualnym rozwinięciem jego działań performerskich”. Przy okazji lansowała Ethana. „Warto przeczytać artykuł o występach Phinny’ego w «Neo-Situationist Bugle», fascynującej kulturowej konstrukcji opartej na rasie, płci i dwuznaczności, w najwyższym stopniu wywrotowej”.

Z czasem stworzyliśmy kolejne prace, niekiedy naprawdę współpracując. Zaprojektowaliśmy mniejsze pokoje z maleńkimi figurkami lub trochę większymi. Żaden z nich nie opowiadał czytelnej historii. Wszystkie były niejasne jak sny. Wymyśliłem jeden, pod tytułem *Broń i dekolt*, o rozmiarach dziewięćdziesiąt centymetrów na metr dwadzieścia. Wykorzystaliśmy fragmenty obrazów z filmów kung-fu, kina afroamerykańskiego i starych westernów. Dodaliśmy trochę ujęć z japońskich filmów erotycznych i kadry z Russa Meyera, pokrywając nimi ściany, podłogę i sufit. Cycki, tyłki i broń są paliwem tych filmów, białych, czarnych i żółtych. PIF PAF BUM CIACH ŁUP. Wyciąłem z tych zdjęć ich esencję – rewolwery w akcji, karabiny automatyczne tulone jak niemowlęta w męskich ramionach o nabrzmiątych bicepsach, dekolt Elizabeth Taylor z *Kleopatry*, lecz także wyeksponowane piersi i pośladki poślednich gwiazdeczek. Niektóre wycięte fragmenty były tak małe, że nabierały charakteru abstrakcji. Na podłodze tej przesyconej erotyką i przemocą burleski leży dwoje małych ciemnoskórych dzieci w piżamach w stópki i oboje w obronnym geście trzymają się za krocze. (Przywodziły mi na myśl mnie i Letty).

Kolejnym efektem naszej współpracy był *Obandażowany dom*. Wzięliśmy mały, krzywy domek z nędznymi mebelkami wykonanymi przez Harry i pokryliśmy go na zewnątrz i w środku kawałkami porwanej gazy, ale tak, żeby prześwitywały spod niej na ścianach, podłogach i dachu odbarwienia i ślady, które kojarzą się z siniakami, zadrapaniami, ranami i bliznami. Na początku wstawiliśmy do środka kilka farblondzet figurek, ale ostatecznie je usunęliśmy. Dom musiał być pusty.

Wiele koktajli i wernisaży później zaproponowano nam wystawę w galerii Alexa Begleya. Gdy *Duszne pokoje* zostały zaprezentowane publiczności, odczytywano je przez pryzmat mojej osoby – P.Q. Eldridge zgłębia w swojej pracy własną tożsamość. Biali chłopcy pokroju Antona Tisha oczywiście nie muszą zgłębiać swojej tożsamości. Co tu jest do zgłębiania? Są neutralną uniwersalną istotą, ludźmi opisywanymi bez geograficznych przedrostków. Ja składałem się niemal z samych przedrostków.

Pojawiła się jeszcze dodatkowa warstwa interpretacyjna. Wystawa została otwarta wiosną po ataku na Nowy Jork i mały mutant wpełzający z kufra budził upiorne skojarzenia z okaleczoną ofiarą lub z jakąś nową istotą, która zrodziła się w ruinach. Nie miało znaczenia, że praca została ukończona na długo przed jedenastym wrześniem. Wzrastająca temperatura w pokojach potwierdzała tę interpretację; ostatni pokój piec wydawał się złowieszczy. Z drugiej strony mój debiut był mało znaczącą ofiarą tamtej wrześniowej tragedii. Pojawiło się kilka artykułów, głównie przychylnych, ale wystawa była prawdopodobnie jeszcze bardziej niszowa, niż to zakładaliśmy. Gdy pokoje spotkały się z prawdziwym uznaniem, dla Harry było już za późno.

Ale Harry śledziła wszystko. Powiedziała mi, że Anton nazwał ją swoją Wrózką Chrzestną, i przypuszczam, że dla mnie też nią była. Stała w kącie z kapeluszem na głowie i oglądała rozgrywający się przed nią spektakl, który sama stworzyła. Biała pół-Żydówka zamieniła się w mało znanego czarnego gejowskiego artystę, który namieszał trochę w kręgach wyrafinowanych Afroamerykanów i/lub gejów (bądź jednych i drugich jednocześnie), ale też wśród białych heteroseksualistów. Bez tych ostatnich byłby to powrót do getta, artystycznego getta, ale mimo wszystko getta. Nie rzuciłem swojej fuchy jako H/Lester, ale przestałem występować pięć razy w tygodniu i ograniczyłem się do trzech. Moja publiczność powiększyła się, bo oto do klubu zaczęli napływać przedstawiciele świata sztuki, żeby obejrzeć moje kłótlive, roztańczone, awanturujące się duo. To wszystko targowisko próżności.



Wtedy nikt tego nie zauważył, ale Harry i ja zapisaliśmy naszą pełną historię na tapecie *Dusznych pokoi*. Wkomponowaliśmy narrację o P.Q. jako masce Harry w esy-floresy, bazgroły i rysunki z efektem palimpsestu – nowe zapiski nakładając na stare – ale wszystko tam jest. Nieodczytane od lat. W kilku miejscach na ścianach widnieje „Phineas Q. Eldridge to tak naprawdę Harriet Burden”. P.Q.E. = H.B. Harry nazwała to zjawisko „ślepotą nieuwagi”. Czytała dużo prac naukowych, ale mechanizm był prosty: ludzie nie widzą tego, co mają tuż przed nosem, jeśli się na tym specjalnie nie skupią. W ten sposób działają czary – na przykład sztuczki prestidigitatorów. Harry była gotowa ujawnić się przed światem, ale nikt nie był gotów na to wyznanie.

Pewnej nocy usłyszałem, jak wypłakuje się Brunonowi. Szlochanie Harry z jej sypialni niosło się po całym domu. Zaczął ją uspokajać tonem „wszystko będzie dobrze”. Brunonowi ten eksperyment w ogóle się nie podobał. Nieraz się o to spierali. Ale ja się z nim nie zgadzałem. Nie byłem wtedy ekspertem od spraw sztuki i teraz też nim nie jestem, ale bronię naszego „występu”, jeśli ktoś tak chce to określić. Żeby ją dostrzegli, Harry musiała zniknąć. To ona wypełza z tej skrzyni – z cienką skórą, pół dziewczyna, pół chłopak, mała Harriet-Harry. Wiedziałem o tym. To autoportret.

Zagadką pozostaje, dlaczego jedne dzieła sztuki zdobywają rozgłos, a inne nie. Najpierw jakaś idea rozchodzi się jak wirus, a potem ludzie zaczynają wydawać na nią pieniądze. W tym świecie, może w każdym świecie, wielu kolekcjonerów wyznaje filozofię „moje większe niż twoje”. Nigdy nie poznałem Rune’a, tego artysty o pojedynczym imieniu, który zgodził się zostać trzecim pseudonimem Harry. Po raz pierwszy widziałem tego piękniśa świata sztuki w Reim Gallery. Zdaje się, że Harry też tam się na niego natknęła, chociaż słyszałem kilka wersji o ich pierwszym spotkaniu i mogę się mylić. Czytałem o nim w dziale plotkarskim „New York Post”, wiedziałem, że odniósł sukces, ale z jego prac widziałem jedynie krzyże. Produkował je hurtowo. Przypominały znak Czerwonego Krzyża, ale były wielobarwne, malowane płasko farbą akrylową. Żółty sprzedął się za jakąś astronomiczną kwotę, bo powstał tylko jeden. O czymś tak prostym można powiedzieć, co tylko się chce, przedstawić dowolną interpretację, ale Rune promował ten chrześcijański symbol jako ikonę kultury, jako kolejny gorący towar na rynku sztuki. Wierni z mojego rodzinnego miasta w Kościele Zielonoświątkowym pewnie zakrzyknęliby „bluźnierstwo!”, ale mało prawdopodobne, żeby kiedykolwiek usłyszeli o pracach Rune’a. Sława to pojęcie względne.

Rune miał „to coś”. Cokolwiek to jest, wyczuwa się w pomieszczeniu rodzaj zwierzęcej energii, płynność ruchów z ładunkiem erotyzmu, ale erotyzmu bezosobowego. Nie uwodził nikogo konkretnego. Uwodził wszystkich, a to wielka różnica. Jestem adeptem sztuki autoprezentacji i wiem, jak niezmiernie ważne jest, aby symulować lekceważenie, jeśli nie obojętność wobec opinii innych ludzi. Najmniejsza choćby oznaka desperacji jest nieatrakcyjna i należy jej unikać za wszelką cenę. Przygnębienie wysysa energię z osoby, która mu ulega, i ze wszystkich tych, które są zmuszone je oglądać, a wtedy razem grzęźniemy w tym samym błocie. Pożądanie funkcjonuje najlepiej ukierunkowane na piękną pustkę – chłopców i dziewczęta, w których przelewamy wszystkie nasze żalosne nadzieje na szczęście. Pod wieloma względami Rune był dla Harry idealnym trzecim kandydatem. Pojawił się z gotową już aurą, tą tajemniczą cechą, która atakuje nasz wzrok, nie jesteśmy więc w stanie stwierdzić, na co patrzymy. Cesarz jest nagi czy to ja jestem głupcem? Niektórzy nie znosili twórczości Rune’a, inni ją uwielbiali, ale nikt nie podważał jego mocy oddziaływania. Nie wiem, jak Harry go namówiła, żeby został jej marionetką. Miał wszelkie atrybuty sukcesu – wielki jak pałac apartament na Greenwich Street, dom w Hamptons i tabuny uganiających się za nim kobiet skłonnych pokonywać w tej pogoni łąskie maratonskie dystanse. Może się nudził. Może coś się z nim stało po jedenastym wrześniu, przez co zapragnął tego, co miała Harry – jej pasji, jej powagi, jej umiejętności radowania się. Nie wiem.

Mam wyraźnie w pamięci obraz Harry i Rune’a w galerii, jak rozmawiają ze sobą, głowa przy głowie. Byli mniej więcej tego samego wzrostu. Przyglądałem się Rune’owi od tyłu – krótkie jasne włosy, szerokie ramiona i plecy, wąskie biodra i drobne, mocne, nieco płaskie pośladki, długie nogi w dżinsach, czarne buty z cholewami na obcasie. I gdy przeszedłem z drugiej strony, żeby zobaczyć jego twarz, zauważyłem, że ma trochę zmarszczek wokół oczu – już nie taki młody, ale przystojny i fotogeniczny. Towarzyszyła mu piękna dziewczyna. Oboje wyglądali jak gwiazdy filmowe bardziej niż same gwiazdy filmowe, gdy się je widzi na własne oczy. Z jego partnerki bił ten specyficzny blask, który bierze się ze świadomości, że wszyscy cały czas ci się przypatrują, w pozie jak przed obiektywem, którego tam nie ma.

O czym rozmawiali? W taksówce w drodze powrotnej do domu Harry powiedziała, że głównym tematem był Bill Wechsler. Harry uwielbiała jego prace. Zaliczała go do artystów, którzy mieli na nią wpływ, chociaż urodził się po niej. Zmarł nagle kilka miesięcy wcześniej. Pamiętam, że trzymała mnie w taksówce za rękę i pocałowała ją kilka razy w przyływie naglej

czułości ze słowami „Mój kochany, kochany Phinny”. Potem, gdy dotarliśmy do domu, siedzieliśmy jeszcze przy koniaku i trochę się wstawiliśmy. Harry wyznała, że krzyże Rune’a ją nudzą, ale podobają jej się jego wcześniejsze prace, ekrany z operacjami plastycznymi, istna makabra. Zastanawiała się, czy nie kupić jednego, byłaby to dobra inwestycja. Jeśli jej się znudzi, zawsze może go odsprzedać jakiemuś napalonemu kolekcjonerowi żadnemu znanego nazwiska.

Po tym, jak mnie obcałowała w taksówce, zrobiła się drażliwa, poirytowana i zgorzkniała. Za dużo wypła i czułem, jak wzbiera w niej żal, gdy sypała nazwiskami artystek tłamszonych, lekceważonych lub zapomnianych. Zerwała się z sofy i zaczęła krążyć po pokoju, głośno tupiąc. Artemisia Gentileschi, wzgardzona przez potomnych, którzy najlepsze prace malarki przypisywali jej ojcu. Judith Leyster, podziwiana za życia, potem wymazana. Jej obrazy uznawano za płótna Fransa Halsa. Sława Camille Claudel całkowicie przyćmiona sławą Rodina. Wielki błąd Dory Maar: pieprzyła się z Picassem, który to fakt odsunął w cień jej genialne surrealistyczne fotografie. Ojcowie, nauczyciele i kochankowie *duszą* sławę kobiet. To trzy przykłady, które zapamiętałem. Harry miała ich w zanadru nieskończenie wiele. „W przypadku kobiet – mówiła – najważniejsze jest życie osobiste, miłość i brudy, i z kim sypiają”. I jej ulubiony temat: kobiety traktowane jak dzieci przez protekcyjnych krytyków, którzy odnoszą się do nich po imieniu: Artemisia, Judith, Camille, Dora.

Założyłem nogę na nogę, popatrzyłem na Harry krzywo i zacząłem gwizdać. Nie po raz pierwszy przyjąłem tę taktykę. „Nie jestem twoim wrogiem – przypomniałem jej. – Pamiętasz mnie? To ja, feministka Phineas Q., twój przyjaciel i sojusznik, czarny gej lub Murzyn homo, potomek *niewolników*, stąd oryginalne nazwisko Whittier. Może sobie przypominasz, że rasiści feminizowali i infantylizowali czarnoskórych, ciemne ciała i ciemne kontynenty, słodziutka. Dwudziestoletnie białe d a m y nazywały siedemdziesięcioletnich mężczyzn *chłopcami*”.

Harry usiadła. Gwizdanie, a także kilka werbalnych szpilek zwykle przywoływało ją do porządku. Rzuciła mi to swoje spojrzenie w stylu: „Och, Phinny, trochę mnie poniosło i jest mi teraz głupio, ale wciąż obstaję przy swoim zdaniu”. Dużo później, gdy wspominałem ten wieczór, dostrzegłem kilka innych paradoksów. Skoro Harry wiedziała, że w przeszłości niezmiennie odbierano artystkom sławę, przypisując ich prace ojcom, mężom lub mentorom, powinna zdawać sobie sprawę, że może się sparzyć, pożyczając wielkie nazwisko takie jak Rune. Z drugiej strony Harry uważała za coś oczywistego, że jako kolekcjonerka porusza się w kręgach, gdzie mieszają się sława i pieniądze, w białych kręgach, gdzie sporadycznie tylko pojawia się jakaś ciemniejsza

twarz. Wiem, bo sam byłem tą twarzą.

Rune był inteligentny i utalentowany, ale wątpię, czy ktokolwiek potrafi oddzielić talent od renomy, gdy przychodzi co do czego. Sława dokonuje swoich cudów i z czasem rozświetla dzieło sztuki. Ciekawi mnie śmierć Rune'a, ale podejrzewam, że był jednym z tych, którzy nigdy nie czują dostatecznie mocno, i z czasem musiał się posuwać do coraz dalszych skrajności, żeby życie miało smak. Tak naprawdę nie wiem, co się wydarzyło między nim a Harry. Wiem, że jej na nim zależało. Wiem, że ją fascynował. Ale zakochałem się w Marcelu i zanim sprawy się skomplikowały, mnie w Red Hook już nie było. Niedobrze mi się robi, gdy pomyślę o tych wszystkich plotkach, kłamstwach i pozach, które spowijają tę historię jak dym. Zbyt wiele wycierpiano z tego powodu.

Parę miesięcy po tamtej rozmowie w przytulisku pojawiła się mała praca Rune'a z cyklu chirurgicznego. Większość „kolekcji” zgromadzonej przez Felixa Lorda znajdowała się w magazynie, ale ekran Rune'a Harry kazała powiesić na ścianie na piętrze, żebyśmy wszyscy mogli podziwiać filmik artysty: *Nowy ja*. Zaczynał się od różnych wersji reklam „przed i po”, takich jak stare rysunki chudzielca na plaży przemienionego w kulturystę. Widzieliśmy grubych, obwisłych, niezgrabnych i trzęsących się prehistoczonych w szczupłych, prężnych, gładkich i naciągniętych, Rune jednak dołączył komponent „w trakcie” – filmy z operacji plastycznych twarzy z zakrwawionymi bandażami, nożami nacinającymi policzki, podnoszonymi płacami skóry, a także migawki z filmu instruktażowego, w którym rząd lekarzy pochyla się nad odciętymi od tułowia głowami. Film miał w sobie coś z wideoklipu, ale był wyświetlany w ciszy, z szybkimi przejściami, sprawnym montażem zestawiającym obrzydliwości z pięknem. Po jakichś pięciu minutach transformacje przeszły w sferę fantazji, zamieniły się w wizualną podróż science fiction z animowanymi fragmentami wymodelowanych, wyretuszowanych, mechanicznych ciał piękności. Sam Rune pojawiał się między tym wszystkim w krótkich kadrach, zbliżeniach i planach ogólnych, nie zawsze korzystnych.

Podobało mi się.

Ethan po obejrzeniu filmu powiedział matce, że to efekt uboczny kultury celebryckiej. Użył określenia „życie w trzeciej osobie”, które bardzo mi się spodobało. Oznajmił, że ludzie tego właśnie chcą – stracić wnętrze i stać się czystą powłoką. Powiedział Harry, że wyrzuciła pieniądze w błoto. Mogła równie dobrze wypisać czek na pomoc dla bezdomnych. (Zawsze mogliśmy przekazać pieniądze na pomoc bezdomnym, ratowanie środowiska lub na badania

medyczne). Harry broniła Rune'a. Ethan nazwał jego prace głównym schlebiającym klasie kretynów. Nie podnosił głosu, ale był nieugięty. Przypominał mi mojego Levolora, pobożnego nastoletniego bojownika, który popisywał się swoją świątobliwością. Odłam purytanizmu wyznawanego przez Ethana miał lewicujące zabarwienie, ale to wcale go nie łagodziło. Harry wymamrotała, że w porządku, przecież nie muszą się w tej sprawie zgadzać, ale jej głos zmatowiał. Wyciągnęła do niego swoje długie palce, ale zawahała się, gdy zbliżyły się do jego ramion. Ethan cofnął się i burknął: „Felix byłby zniesmaczony”.

Harry wzdrygnęła się. Potem zamknęła oczy, zrobiła głośny wdech przez nos, jej usta rozciągnęły się i naprężyły w oczekiwaniu na łzy, które nie przyszły. Kiwała głową, usiłując zapanować nad twarzą. Przyłożyła palce do warg i po prostu cały czas kiwała głową. Chciałem się rozplątać w chmurce fioletowego dymu. Ethan wyglądał jak sparaliżowany. Powiedz coś, błagałem go w myślach, no już, wyduś coś z siebie. Milczał, ale był czerwony po uszy, a jego spojrzenie straciło ostrość. Wkrótce potem wyszedł, a Harry zamknęła się w pracowni. Ta scena mnie zasmuciła; wiedziałem, że mój pobyt u Harry niedługo dobiegnie końca. Przytulisko było przejściowym schronieniem, tymczasową kryjówką, jednym z dziwnych rozdziałów dziwnego życia.

Jest jeszcze jedna historia, którą muszę opowiedzieć. Bywają chwile, kiedy myślę sobie: Phinny, to ci się przyśniło, ale nie. Którejś nocy wróciłem z klubu. Było około piątej nad ranem, może trochę później. Noc była chłodna i zanim wszedłem do środka, stanąłem nad zatoką i patrzyłem na wąły sierp księżyca zasłonięty kilkoma strzępami chmur. Gdy znalazłem się na korytarzu, od razu wiedziałem, że coś jest nie w porządku. Dobiegł mnie odgłos wymiotów, krzyk, potem głośne trzaski i głucho łupnięcia. Ten budynek miał dziwną akustykę i niełatwo było wytropić źródło hałasu. Zajrzałem do Barometra, ale leżał w swoim śpiworze. Włamywacze zachowują się cicho, pomyślałem. Usłyszałem sapnięcia, kolejne zduszone dźwięki. Ustaliłem, że dolatują z pracowni Harry. Pobiegłem do drzwi, otworzyłem je i na drugim końcu pracowni, ponad dwadzieścia metrów ode mnie, dostrzegłem Harry klęczącą na podłodze. Ścisnęła w rękę wielki kuchenny tasak i rozcinała jednego z metamorfów. Nie umiałem stwierdzić którego. W tym wielkim pomieszczeniu było ciemno, nie licząc jednej żarówki oświetlającej ją z góry. Nie słyszała mnie, bo za każdym razem, gdy zatapiała ostrze w miękkim ciele, wydawała z siebie jęk. Wokół niej leżały połamane kawałki drewna i domyśliłem się, że wcześniej zniszczyła jeden ze swoich małych pokoi lub któreś pudło.

Jak najciszej zamknąłem drzwi i przeszedłem na palcach do siebie. Jestem pewien, że w minionych wiekach całe rzesze artystów kopały, obijały i miażdżyły własne prace w chwilach rozpaczki lub frustracji – żadna zbrodnia. Ale wtedy, gdy podglądałem ją zza drzwi, ogarnęło mnie przerażenie. Wmówiłem sobie, że jestem przewrażliwiony – ach, jak zawsze taki delikatniusi. Ta figura nie była osobą. Była jedynie wypchaną kukłą. Nie czuła bólu. To wszystko prawda. Nie przyjedzie policja i nikogo nie aresztuje za zamordowanie metamorfa. A jednak później, pomimo tego wszystkiego, uzmysłowiłem sobie, że to, czego się przestraszyłem, było prawdziwe. Gniew Harry był prawdziwy.

## Alfabet przybliżający kilka znaczeń sztuki i tworzenia

Ethan Lord

1. Artysta A wytwarza dzieło B. Idea, która jest częścią ciała A, staje się rzeczą – B. B i A nie są identyczne. B nie przypomina nawet A. Jaki jest związek między A i B?

2. A nie równa się B, ale B byłoby niemożliwe bez A, dlatego też istnienie B jest uzależnione od A, a jednocześnie B jest odrębne w stosunku do A. Jeśli A zniknie, B nie musi zniknąć. Przedmiot B może przetrwać dłużej niż ciało A.

3. C jest trzecim elementem. C jest ciałem, które przygląda się B. C nie jest odpowiedzialne za B i wie, że twórcą B jest A. Gdy C patrzy na B, nie widzi A. A nie jest obecne jako ciało, ale jako idea, która jest częścią ciała C. C może użyć A jako słowa do opisu B. A stało się jednym ze znaków określających B. A pozostaje A, ciałem, ale A jest również wspólnym znakiem werbalnym, który należy zarówno do A, jak i do C. B nie posługuje się symbolami.

4. Co się dzieje, kiedy A tworzy B, ale A znika jako ciało i znak z B? Zamiast A z B łączy się D. C obserwuje B stworzone przez A, ale ideę A zastąpiła idea D. Czy B się zmieniło? Tak. B uległo zmianie, bo w ciele C, gdy obserwuje B, znajduje się teraz idea D, a nie A. D nie równa się A. To dwa różne ciała i dwa różne symbole. Jeśli nie ma już ciał D i A, B, rzecz, która nie posługuje się znakami, nie zmienia się. Jednakowoż znaczenie B żyje tylko w ciele C, trzeciego elementu. B samo w sobie, bez C, nie ma znaczenia. C rozumie teraz B poprzez znak D, wszystko, co pozostaje po D, gdy ciało D przestaje istnieć.

5. D nie jest twórcą B, ale to przestaje się liczyć. A zaginęło. Ciało A przypadło i A nie istnieje w obiegu jako sumaryczny znak dla B. Gdzie jest idea, która była w ciele A odpowiadającym za stworzenie B? Czy znajduje się w B? Czy C widzi w przedmiocie B ideę, która kiedyś była w ciele A? Czy ideę A można odnaleźć gdzieś w B mimo tego, że C nie wie o istnieniu A i wierzy w D?

6. Wartość B to także idea, idea zamieniona w liczbę. Obejrzawszy B, C chce wejść w posiadanie tego przedmiotu. Do B dołączona jest liczba. Takie liczby są uzależnione od nazwiska związanego z wytworzeniem B, czyli D.  $D = \$$ . C kupuje B, ponieważ idea D wzmacnia wyobrażenie C nie o B ani D, lecz o C. B jest teraz przedmiotem w obiegu, który także rodzi idee na temat C i D, lecz kiedyś był ideą w ciele A, teraz spalonym na drobny pył,

wsypanym do pudełka i zakopanym w ziemi.

7. Istniało wiele idei, które były częścią ciała A, kiedy żyło, ale nie zapoczątkowało ich A. Były częścią innych ciał – zbyt wielu, by można je było wymienić. Znajdowały się w innych żywych ciałach, które A znało, i znajdowały się w znakach pozostawionych przez żywe ciała, które żyły wiele pokoleń przed narodzinami A: E, F, G, H, I, J, K, L, M, N, O, P, Q, R, S, T, U, V, W, X, Y, Z. Gdyby A nie przyjęło owych idei do ciała, którym było A, nie powstałoby B. B jest teraz w obiegu jako przedmiot B stworzony przez D. A jest ukryte. A znaczy ABSENCJA.



# Harriet Burden

Zeszyt „B”

15 stycznia 2000

Autoanaliza prowadzi do konfabulacji.

*Konfabulacja to zafałszowanie pamięci epizodycznej w niezmqconej świadomości, często związana z amnezją, innymi słowy – skutki paramnezji przytaczane jako prawdziwe zdarzenia<sup>25</sup>.*

Ale neurologzy się mylą: wszyscy konfabulujemy, niezależnie od urazów mózgowych.

Zastanawiam się, czy nie próbuję się tu usprawiedliwiać, bo nie pamiętam niczego z mojego życia tak, jak należy. Patrę na doktora F. Próbuję sobie przypomnieć. Nie pamiętam. Tyle rzeczy zniknęło z przeszłości lub wydaje mi się teraz zmienionych. Wspomnienia są jak sny, chyba że coś się wydarzyło wczoraj. Zresztą sny też są wspomnieniami, halucynacyjnymi wspomnieniami. A doktor jest jednocześnie sobą i innymi ludźmi.

Gdy nie pamiętasz, powtarzasz.

*Ale w rzeczywistości nie wiedziałbym, że posiadam ideę prawdziwą, gdybym nie mógł za pośrednictwem pamięci wiązać obecnej rzeczywistości z oczywistością chwili minionej, a za pośrednictwem konfrontacji słownej swojej oczywistości z oczywistością innego – tak że oczywistość typu spinozańskiego zakłada z góry oczywistość wspomnienia i oczywistość percepcji<sup>2627</sup>.*

To wszystko, co istnieje – percepcja i pamięć. Jedno i drugie zawodne.

Dlaczego zawsze chodzisz ze spuszczoną głową?

Elsie Feingold zapytała mnie przez telefon.

Nie wiedziałam, że chodzę ze spuszczoną głową.

Dlaczego ciągle przepraszasz? Przepraszam za to, przepraszam za tamto. Dlaczego to robisz? To takie irytujące. Ty jesteś irytująca. Dlatego nikt w klasie cię nie lubi, Harriet. Mówię ci to jako twoja przyjaciółka.

To się wydarzyło, padły słowa bardzo zbliżone do tych. Brak tchu w piersi. Ból w okolicach żeber. Pamiętam, że wciągnęłam telefon do swojego pokoju i teraz leżę na podłodze

tuż za drzwiami. Nic nie mówię. Słucham. Cała litania przewin – moje ubrania, włosy. Używam za dużo trudnych słów. Wiecznie się zgłaszam na lekcjach – lizuska Harriet. Jako twoja przyjaciółka...

Nie hałasuj. Twój ojciec czyta. Jestem taka cicha i taka grzeczna. Ledwo oddycham.

Co ty tu robisz, Harriet?

Wącham książki, mamó.

Śmieje się, wydając z siebie te wysokie, perliste dźwięki. Pochyla się i całuje mnie. Czy mnie całuje? Widzę siebie małą. Wspomnienie obserwatora.

Czy ja to pamiętam naprawdę, czy tylko z relacji mamy? Jej śmiech był balsamem, zawsze, ale to może być jej anegdota o małej Harriet wąchającej ojcowskie książki i śmieje się, gdy mi o tym opowiada. Miałam cztery lata. Być może wykrałam jej tę historyjkę i zobrazowałam ją, wspomnienie należy do mnie *per procura*. Widzę gabinet z wielkim biurkiem i czuję zapach fajki. Dlaczego wszyscy profesorowie filozofii palą fajki? Poza. Jego studenci też, sami młodzi mężczyźni, palili fajki, wszyscy co do jednego. Doktoranci zapuszczali brody i palili fajki na szóstym piętrze Wydziału Filozofii. Analitycy. Frege. Logika istnieje na zewnątrz<sup>28</sup>.

Felix stoi w drzwiach. Jego wzrok znów przeze mnie przelatuje, jakbym była powietrzem. W kieszeni mam schowany list do Koteczka Felixa od pary z Berlina. Nosiłam go przez cały tydzień. Ćwicząc, co powiedzieć, ucząc się na pamięć, to takie proste.

Zanim wyjdiesz, mówię, chciałabym ci to zwrócić, liścik od twoich przyjaciół. Był w granatowym garniturze, tym, który włożyłeś na wernisaż w zeszłym tygodniu.

Widzę na jego twarzy zaskoczenie, widzę skrępowanie, nie wstyd. Przyjął niedbałą, nonszalancką postawę.

Odbiera liścik i wsuwa go do kieszeni.

Ale wiesz, kochanie, mówi, to nie ma nic wspólnego z tobą. Nic wspólnego z moją miłością do ciebie.

Zostałam wymazana.

Doktor F. mówi: chyba nie zdawałaś sobie sprawy, jak bardzo byłaś wściekła.

Nie, nie zdawałam sobie sprawy, jak bardzo byłam wściekła.

Wczorajszy wieczór. To chyba dobrze pamiętam? Tak, wciąż nieźle, fragmenty są wystarczająco wyraźne, chociaż obrzeża pozostają niewidoczne. Zbyt wiele głosów, ażeby wyłowić jeden pojedynczy, tylko od czasu do czasu – jakiś sopranowy pisk lub wrzask. Tłum

w jasno oświetlonym białym pomieszczeniu, obrazy – jest na nich tak niewiele – jedynie kilka mglistych części ciała, bielizna, podwiązki, buteleczki z lakierem do paznokci i perfumami. Umiarkowanie interesujące. Artysta uśmiechnięty. Sztuczny uśmiech, ale czy można go winić? Długi, zagmatwany esej w katalogu cytujący tego bufona Virilia<sup>29</sup>. Phinny objął mnie jedną ręką w pasie. Czuję ją. Pamiętam ten ciepły gest, ten odruch dobroci. W tej samej chwili martwię się decyzją Brunona, który nie zgodził się tu przyjść z nami. Może to przez tę rękę Phinny’ego myślę o Brunonie, moim krytykanckim kochanku. Zmartwychwstałam pod jego dłońmi, jego grzmącym głosem, jego żartami, ale powiedział: nienawidzę tego zasranego świata sztuki. Jest jeszcze gorszy niż świat poezji, który już jest dostatecznie beznadziejny, ale w wierszach nie ma pieniędzy. Tylko ego.

Phinny i ja: P i H. Razem tworzymy dźwięk „f” jak w *phuck you!*

Raz jeszcze wczorajszy wieczór. James Rukeyser słyszał, że powiększam kolekcję Felixa. Teraz się mną zainteresował. A tak, nagle jest we mnie jakiś świetlisty urok. Żona Felixa ma kolekcję sztuki Felixa i jego pieniądze. Może namówi mnie do zakupu. Pokaż szmalec. To kryje się za jego uśmiechem. Mam na głowie swój niebieski aksamitny beret. Moja poza, którą zawdzięczam Phinny’emu, zamiast fajki. James podaje mi wizytówkę. Przebłysk z pamięci – sztywny papier w mojej prawej dłoni, nad nazwiskiem widoczny kciuk. Wizytówka jest beżowa z czarnymi literami. Podchodzi do nas Miriam Bush. „Lata cię nie widziałam, Harriet! Jejku, co u ciebie? Ktoś o tobie wspominał. Zaraz, tylko kto? Ciągłe budujesz te swoje domki?”. James wygląda na zdezorientowanego: jakie domki? Nie wie, że kiedykolwiek coś tworzyłam. Gdy wychodzimy z Phinnym, wyrzucam wizytówkę. Widzę ją w mokrym rynsztoku, z niewidocznymi literami, mały prostokącik lekko oświetlony przez latarnię w lodowatym deszczu.

W tym wspomnieniu mam dziesięć lat. Dziesięć? Może jedenaście. Nie potrafię już tak naprawdę poczuć się dziesięcio- czy jedenastolatką, czyż nie? Nie potrafię. Ale jestem wewnątrz tego wspomnienia; jestem wewnątrz swojego ciała. Pewnej soboty przeszłam z Riverside Drive do budynku Wydziału Filozofii, żeby zrobić ojcu niespodziankę. Dlaczego? Co mnie naszło? Zwykły kaprys? Plan? Nie, po prostu spaceruję w wiosennym powietrzu i postanawiam się tam przejść. Dzień jest słoneczny po deszczu. Słońce w kałużach. Pomysł wydaje się dobry, jestem tak blisko gabinetu ojca, myślę, przechodzę więc przez główne drzwi i wsiadam do windy. Ale denerwuję się, tak, z tym śmiałym postanowieniem wiąże się jakiś niepokój. Byłam już kiedyś

u niego w pracy, czekałam z mamą, gdy on wpadł do gabinetu zabrać prace studentów. Na szarym korytarzu czuję jakiś zapach, suchy zapach, jakby ścierek do tablicy; nigdy nie panuje tam hałas, jest cicho, ale coś szumi, przypuszczam, że to żarówki, i ściszone głosy tu i tam, jak gdyby odgłosy pracy umysłowej, myślenia. Pukam. Zapewne mówi „Proszę”, ale nie pamiętam tego. Widzę go przed sobą za biurkiem, z oknem w tle. Światło jest zamglone, szyba brudna. Ma spuszczoną głowę. Podnosi ją. „Harriet, co ty tu robisz? Nie powinnaś tu przychodzić”.

To nie ma nic wspólnego z tobą.

„Harriet, nie powinnaś tu przychodzić”. Dziesięcio- lub jedenastolatka jest zmieszana. Przepraszam. Czy ja mówię „Przepraszam”? Chyba tak. Ale to zasadnicza kwestia. Jaki jest ton jego głosu? Gniewny? Wątpię. Surowy? Zdziwiony? Może zdziwiony, ale dokładnie sobie nie przypominam. Przypominam sobie za to wciągnięcie w płuca powietrza, ściśnięcie serca, wstyd. Dlaczego wstyd? Tyle wiem. Jestem głęboko zawstydzona. W tym wspomnieniu ojciec nie mówi nic więcej. Spuszcza wzrok na kartki przed sobą, a ja wychodzę. Ale czy to możliwe? Może odprowadził mnie do drzwi i we wzburzonych odmętach pamięci te kroki z ojcem do drzwi się zagubiły. Może poklepał mnie po ramieniu. Czasami klepał mnie po ramieniu.

I czasem też wyławiałam nutę muzycznej miękkości w jego głosie. Nauczyłam się nasłuchiwać – tego załamania tonu wynoszącego samogłoskę do innego rejestru, nie w pełni kontrolowanego. I coś na chwilę pękało, jak gdyby mnie zobaczył, swoje dziecko, zobaczył i pokochał.

Mama leży w łóżku. Trzymam ją za rękę i z braku innego zajęcia przyglądam się wypukłym żyłom w najbledszym odcieniu zieleni. Nie zapamiętałabym tego, gdybym nie powiedziała do siebie „Jej żyły pod skórą mają najbledszy odcień zieleni”. Słowa utrwalają wspomnienia. Emocje utrwalają wspomnienia. Po śmierci ojca coś się z matką stało, i mówi mi teraz, opowiada o swoim życiu, mówi mi, że ojciec nie chciał dziecka. Gdy mu powiedziała, że jest w ciąży, nie odzywał się do niej przez dwa tygodnie. Czuję skurcz wzruszenia, ale chcę, żeby mówiła dalej. Po moich narodzinach – chcę wiedzieć, czy wtedy już było w porządku. Trochę trwało, mówi matka, zanim się do ciebie przyzwyczaił. „Twój ojciec oczywiście cię kochał”.

Hume nie znalazł niczego, czego mógłby się uchwycić, żadnego „ja” w pęku obserwacji, które stają się wspomnieniami. Niedoskonała tożsamość.

Nie chciał mnie.

Ależ to nonsens, Harriet, no przecież to nonsens! Ilu mężczyzn nie chciało swoich

nienarodzonych dzieci? Miliony. A jeśli już o tym mowa – ile kobiet? I ile z tych osób potem, gdy małeństwo przyszło na świat, gdy stało się czymś realnym, zmieniło zdanie? A jednak trochę to trwało, jak powiedziała, i jest jeszcze to uczucie, jak gdyby wymierzono mi kopniaka, jak gdyby wszystko się wyjaśniło, jak gdyby uchyliły się drzwi do prawdy. I zaglądam do tego pokoju i widzę tam tę rzecz, która się urodziła. Coś jest nie tak. Policz palce u nóg.

*Najsampierw prosiłbym Cię, byś zwrócił uwagę, że nie przypisuję piękna, szpetności, porządku lub zamętu Naturze. Jedynie odwołując się do naszej wyobraźni, rzecz możemy, że coś jest ładne lub brzydkie, uporządkowane lub niechlujne<sup>30</sup>.*

Ale wyobraźnie mieszają się, profesorze. Wyobraźnie się łączą. Gdy patrzę na ciebie, widzę w twojej twarzy siebie, i to, co widzę, jest zdeformowane lub niepełne.

Ale nic się nie stało, prawda?

Nie ma jednej historii, idealnej odpowiedzi na problem H.B. Do około trzeciego lub czwartego roku życia każde z nas skrywa się za chmurami niepamięci. Uczucia wracają, ale nie wiemy, co znaczą.

Może pragnęłam czegoś zamiast niczego – krztyny entuzjazmu, który by mnie przekonał, że naprawdę dla niego istnieję, że jestem. I wtedy nadchodzi cios z wymyślonych głębin. Gdy nie ma nic, przylatują zjawy, żeby wypełnić pustkę. To nieprawda, że nic bierze się z niczego. Zawsze jest coś. Stoję na stołku i wyglądam na ulicę. Stań obok mnie, Bodley. Chodź, dla ciebie też jest miejsce. Kocham cię, Bodley. Jesteś moim najlepszym przyjacielem. Ziej, Bodley, ziej ogniem.

Twój porządek jest moją dziczą, ojcze. Nie mogę znaleźć wyjścia, krocząc między wysokimi rzędami żywopłotów. Nie wyszłam z labiryntu. Jest mi duszno. Próbuję oddychać, ale nie mogę. Z trudem łapię powietrze.

Twoje struktury, ojcze, nie miały dla mnie sensu, a raczej ich sens jest płytki. Schludne sformułowania mające uporządkować bałagan. Czytałam twoje prace i trochę mi teraz żal, żal życia poświęconego podziałom na prawdę i fałsz, choćby logika była najbardziej giętka i elegancka.

*(...) zawsze gdzieś wylazi „specjalista”, jego gorliwość, jego powaga, jego zawziętość, jego przecenienie kąta, w którym siedzi i tka, jego garb – każdy specjalista ma swój garb. Książka uczonego odzwierciedla też zawsze wykrzywioną duszę...<sup>3132</sup>*

Felix idzie do pracy. Felix wraca z pracy. Felix wsiada do samolotu i odlatuje. Felix sprzedaje, Felix kupuje, ale trzeba było mi powiedzieć o swoim skrywanym życiu, Feliksie, o swoich skrywanych żywotach w podróży. To jednak miało coś wspólnego ze mną. Myliłeś się, Feliksie. Ale chciałeś swoich dzieci, prawda? Tak. Łatwiej było je kochać niż mnie. Maisie biegnie do drzwi, podskakuje w piżamce, zapowietrza się z emocji. Jest. Wrócił. Tata! Tata! Nieuchwytni ojcowie. Jak bardzo ich kochamy.

Karmię Ethana, jego maleńki miękki nosek wciska się w moją pierś. Przystaje ssać – cienka strużka mleka wypływa z kącika ust – rozgląda się zdezorientowany, mruga, sapie głośno i wraca do ssania. Zaciekawiona Maisie przygląda się, wciska głowę w moje ramię, pojękuje. Czy moja Maisie się nudzi? Chcesz się przytulić, leniuszku? Tak, mam. Mam więc ich oboje, jedno przyssane do sutka, drugie wtulone w ramię między pachą a łokciem – potrójne ciało. Wyczerpane ciało trojga. Pomimo zmęczenia wiem, że to szczęście. Mówię do siebie: To jest szczęście. Nie zapomnij. I nie zapominam.

Skończyć na tym, na dzieciach. To dobre dla sennego umysłu rozleniwionego pisaniem.

Jutro czeka mnie praca, a nocą Bruno. Nazywam go Odnowicielem, bo uwielbia wielkie ciało swojej wielkiej miłości. Lubi oglądać mnie rozciągniętą na łóżku, Harry, starzejącą się nagą Wenus, jakiej nie wybrałby żaden barokowy malarz, ale oto ja, świecę golizną przed moim prywatnym nurkowcem, Niedźwiedziem. Nie jest już młody, ten mój Romeo, stary pierdziel z niego, jeśli takowy kiedykolwiek istniał, do tego z brzuchem, z większością włosów wytartą na nogach i gładką skórą, ku jego zdziwieniu! Nie jest młody! Co się stało? Martwi się strumieniem nasienia, jest dość mizerny, ten strumień, w porównaniu z dawnymi czasami. Myślałby kto, że całe lata chodził z wulkanem między nogami, zarozumialec jeden. Ale twarzą w twarz, łonem w łono lub twarzą w łono i łonem w twarz, albo ujeżdżając go okrakiem, albo z palcami w delikatnych otworach tu i tam, Boże (dlaczego w takich chwilach wzywamy siły nadprzyrodzone?), Boże, nie mogę się doczekać, kiedy chwycę tego grubasa i ucałuję jego wielkie dupsko.

Kłócimy się też i warczymy na siebie.

H: Skończ już wreszcie ten swój poemat albo spuść go w kiblu!

B: Przestań się chować i pokaż im swoje prace, trzęsidupo!

Ale jestem zakochana, czy to nie szaleństwo? Dobrze, już naprawdę kończę. Jestem

chciana, chciana. W twoich oczach, Bruno, błyszczę (no, może nie cały czas). Spać teraz, spać, sen – jak mówi poeta – ożywczy balsam utrapionej myśli.

18 stycznia 2000

Maisie doniosła mi dzisiaj, że Aven ma wymyśloną przyjaciółkę, która mieszka w jej gardle. Owo indywiduum nazywa się Rzodkiewka i daje popalić wszystkim domownikom. Maisie zaczęła ostatnio przemawiać do Rzodkiewki, w związku z czym Aven spędza mnóstwo czasu z rozdziawionymi ustami, ażeby jej matka mogła zwracać się bezpośrednio do niewidzialnej buntowniczkii. Ja jestem pełna zrozumienia, bo Bodley towarzyszył mi całe lata i wspominam go z wielką czułością, ale Maisie martwi się, że za pojawieniem się Rzodkiewki stoją jakieś mroczne psychologiczne powody – że dziecko przeżywa stres w przedszkolu. Pokazują jej literki i cyferki, z którymi Aven nie chce mieć w ogóle do czynienia. Właśnie zaczęła nosić okulary, kolejne zmartwienie (bardziej dla matki, jak sądzę, niż dla córki). Oznajmiłam Maisie, że ci towarzysze, gdziekolwiek się zagnieżdżają, na zewnątrz lub wewnątrz, zwykle są pomocni i pełnią jakąś pożyteczną rolę. Moja matka była bardzo życzliwa wobec Bodleya. Stawiała dla niego nakrycie na stole i prowadziła z nim kurtuazyjne rozmowy (jeśli był akurat grzeczny).

Co do mojej intrygi, zdaje się, że wszystko idzie jak po maśle. Phineasowi zaproponowano wystawienie *Dusznych pokoi* wiosną przyszłego roku w Begley. Przeżyłam chwilę euforii, gratulując sobie wrażliwości *queer* i decyzji o wyborze Phinny'ego, mojego kumpla. Ale później naszedł mnie cień smutku, a po chwili – przygnębiające myśli. Zaczęłam się zastanawiać, czy mogłabym wystawić swoje prace jako Anonim. Pewnie okazałoby się to niemożliwe. Wydaje się, że bez kontekstu nie ma uporządkowanej wizji. Sztuce nie wolno się pojawić samorzutnie, bez autora. Bruno twierdzi, że przemiana moich pseudonimów w ruchome pionki w filozoficznej grze percepcji jest jedynie przykrywką dla mojego braku pewności siebie. Jestem zamaskowana podwójnie. Phinny tak nie uważa. Bywał ze mną tu i tam, podróżując, że się tak wyrażę, incognito. Mówi, że zaobserwował to wiele razy. Widział, że to, co mówię, niewiele się liczy; moją inteligencję się ignoruje. Moje słowa to dyrdymały. Gdybym się ujawniła z *Dusznymi pokojami*, główni gracze natychmiast by się wycofali.

Ekspozycja wyglądałaby inaczej.

Nagle zaczęłaby wyglądać jak dzieło podstarzałej kobiety?

Upieram się, że to istotna kwestia.

Często się zastanawiałam, jak by postrzegano prace Josephine Cornell. Dyrdymały, pierdółki i sentymentalizm? Słabizna?

Z pewnością nie tak samo jak prace Josepha.

A gdy chodzi o geja, sprawy wyglądają jeszcze inaczej, prawda?

Phinny mówi: tak i nie. Cytuje Ethana; przylepiona zostaje etykieta „homo”, mówi, ale przecież jest homomacho i homoprzeięty, aktywny i pasywny, co jakoś tam się liczy.

Czyżby?

Mówię mu, że podoba mi się ta nasza mieszana para *queer*.

Eve, ze swoimi wysokimi obcasami, wydekoltowanymi sweterkami i gorsetami noszonymi na wierzchu, z misternymi jak maszyny Rube'a Goldberga konstrukcjami ze starych sukienek, nie zważa na brzemień swojej płci. Cóż, jest młoda. Wie o mnie i P.Q. Musiała się dowiedzieć, bo tu mieszka.

Dwa dni temu, gdy polegiwaliśmy na sofach przed pójściem spać, Phinny wydarł się na grubego B. „Nie czaisz? Nie ma znaczenia, co ona stworzy! Widzą wdowę albo jej pieniądze. Oślepia ich to, co wydaje im się, że widzą!”.

Kolejny Goldberg: studium Goldberga, 1968. Studentki oceniały identyczny esej surowiej, gdy podpisany był przez studentkę, niż wtedy, gdy podpisał go student. Ten sam rezultat uzyskano, gdy poddano ocenie pracę artysty plastyka. Studium Goldberga, nowe spojrzenie, 1983. Studenci płci męskiej i żeńskiej gorzej ocenili esej, gdy firmowany był przez studentkę, niż wtedy, gdy opatrzono go nazwiskiem studenta. I tak to wygląda, ale gdy badania kontynuowano w latach dziewięćdziesiątych, nastąpił pewien zwrot. Gdy do nazwiska kobiety dołącza się eksperckie referencje, uprzedzenia znikają. W przypadku artystów tymi referencjami jest sława. Płeć i kolor skóry nie znikają; nie mają już znaczenia<sup>33</sup>.

Brunona nie obchodzą badania na temat uprzedzeń ani analizy psychologiczne. Nie jestem jakąś tam zwykłą babą. Jestem jego genialną Harry. Daj tym frajerom szansę. Przejrzą na oczy. O dziwo, jego przekonanie, że się z Phinnym mylimy, uszczęśliwia mnie, natomiast uparte powtarzanie przez Phinny'ego, że mam rację, działa na mnie przygnębiająco. Moja przewrotność.

(Phinny ma też na myśli siebie. Smak uprzedzeń jest mu znany aż nazbyt dobrze).

Czasem ogarnia mnie smutek, gdy wspominam Antona.

Jest jeszcze coś. Poznałam Rune'a. Nie wiem dlaczego, ale nie wspomniałam o naszym spotkaniu Brunonowi. Podczas otwarcia jakiejś idiotycznej wystawy – balony, twarze. Ależ



z niego ciacho. Namaszczony, zwiastowany, z wieńcem laurowym na głowie. Próżny, jak sędzę, prawdopodobnie bardzo próżny, ale kto z nas nie jest próżny? I częściej przypisujemy próżność ludziom pięknym niż brzydkim, co może nie jest sprawiedliwe. Rozmawialiśmy o pamięci. Mnemosyne jest matką muz olimpijskich. Cynceron. Jedna myśl prowadziła do następnej. Zupełnie jak gdyby mnie znał, niezwykle porozumienie. A pamięć mechaniczna? To go fascynuje, sztuczna inteligencja, ale, mówię, pojawiło się wiele ślepych uliczek. Opowiedziałam mu o Thomasie Metzingerze<sup>34</sup>. Raz jeszcze obejrzałam prace Rune'a – operowane twarze, płyty skóry. Mam katalog. Nowe powierzchnie, mówił, chirurgicznie odmienione, lecz także protezy bioniczne skoordynowane z układem nerwowym, komputery jako rozszerzenie jaźni-umysłowości. Wszystko prawda. Ale co to znaczy? Mówił mi o pamięci zewnętrznej – osobliwa idea. Szaleństwo dokumentowania, zdjęcia, filmy, drugie życie w internecie, symulowane wojny i gry. Podkreśliłam, że samoświadomość to nic nowego. Samoświadomość nie, ale technologia owszem. „Chcę, żeby w mojej sztuce zawierały się te pytania”, powiedział. Nie zgadzamy się, ale z tego czerpie się przyjemność, z ostrej wymiany argumentów, z pojedynku z trudnym przeciwnikiem. Poleciłam mu książki i opracowania, a on je sobie zapisał. Przeczytaj Varełę i Manturanę, namawiałam<sup>35</sup>. Obiecał, że to zrobi. Rozmawialiśmy o Wechslerze. Co do niego pełna zgoda. *Podróż O*. Gdy się żegnaliśmy, jego uścisk dłoni był idealny, ani za mocny, ani za słaby. Gdy dostałam od niego e-mail, aż zakręciło mi się w głowie od przyływu nadziei na kres mojego wygnania, banicji we własnej głowie, że oto zjawiał się ktoś, kto mnie zrozumie, ktoś, kto *pojmie* to, co ja wiem, i będzie mógł ze mną o tym pomówić. Czy to aż tak niedorzeczne? Czy to nie jest możliwe?

Zrozumienie. Doktorze F., czy nie o tym właśnie rozmawiamy? Mój głód zrozumienia. Jeden na jeden. Tête-à-tête. Ty i ja. Chcę, żebyś mnie *rozumiał*.

Bruno mnie słucha, ale nie zawsze wie, o czym mówię. Mam wrażenie, że nikt tego nie wie.

Rok temu widziałam część jego filmowego dziennika – mężczyzna, Rune (kiedyś Rune Larsen), w trakcie codziennych czynności. Szczotkuje zęby, czyści je nicią dentystyczną, leży na sofie, czyta, siedzi przed komputerem, a potem gładzi rude włosy kobiety, gdy ta leży, wspierając głowę na jego ramieniu, w wielkim łóżku w zmiętej pościeli. I pomyślałam sobie: tego nigdy nie widzimy, bo jesteśmy w środku, nie na zewnątrz i większość z nas nie jest w stanie sobie przypomnieć rutynowych czynności, najwyżej bardzo mgliście. Dlatego właśnie zdecydował się

na film? Na ekranie widoczna jest data i każdy dzień ma swój odcinek. Ale nie ciągnie się przez cały dzień. To nie śpiący mężczyzna Warhola ani Empire State Building; dokumentuje jedno wydarzenie, często błahe, każdego dnia.

Pamiętam, czy rano łyknęłam witaminy lub umyłam zęby? To było dziś rano czy wczoraj rano, a może przedwczoraj?

Gładzenie po włosach może pozostać we wnętrzu Rune'a i młodej kobiety jako wspomnienie, ale najprawdopodobniej z wewnętrznej perspektywy każdego z nich, każdego „ja” – czasem jednak wspominamy jako obserwatorzy. To rodzaj fałszywego wspomnienia. Pamiętam popołudnie, kiedy gładziłam two rude loki niedługo po tym, jak się w sobie zakochaliśmy. Pamiętam, że leżałam z tobą w łóżku i czułam twoje palce na moich włosach, gdy przez wiele minut je pieściłeś, i jak cudowne to było uczucie, pamiętam też dzienne światło w pokoju i pamiętam naszą miłość. Czym jest wspomnienie miłości? Czy rzeczywiście przywołujemy tamto uczucie? Nie. Wiemy, że istniało, ale owo szaleńcze pożądanie nie jest częścią wspomnienia. Co dokładnie sobie przypominamy? Wrażenia nie są odtwarzalne. A jednak można przywołać emocjonalny ton lub barwę, coś lekkiego lub ciężkiego, przyjemnego lub nieprzyjemnego, co można ewokować. Pamiętam, jak leżałam w łóżku z Felixem. Ale czy to był jeden raz, czy wiele razy stopionych w jeden z początkowej fazy naszej łąpczywej miłości, kiedy tak pragnęłam jego dotyku? Wiem, że czasem, kiedy się pieprzyliśmy, ścisnęłam jego głowę. Wiem, że potem przykładam usta do jego ucha i szeptałam dawno zapomniane słowa, prawdopodobnie jakieś głupstwa. Ale czy naprawdę pamiętam jakiś jeden raz, coś jednorazowego? Tak, w paryskim hotelu Regina, z niewygodnymi łózkami, które musieliśmy zsunąć. Pięć gwiazdek i te łóżka. Wydaje mi się, że pamiętam linię światła między ciężkimi zasłonami, gdy siedziałam na nim, gdy go posuwałam. Dawno temu.

Pamiętam też chłód, jego odwrócone plecy. Dystans między nami, jego martwy dla mnie wzrok. Pamiętam to: kolacja. Gdzie to było? Złośliwy żart o małżeństwie, nie naszym oczywiście, ale o instytucji małżeństwa w ogóle. Jak brzmiały jego słowa? Nie pamiętam. Przypominam sobie, że zadrżałam i spojrzałam na niego. Mam w głowie: talerz ze złotą obwódka. Odwrócił się ode mnie. Teraz z tym wspomnieniem wraca ból, może nie tak silny jak wtedy, ale towarzyszy temu wspomnieniu, niewyraźnemu tak, że prawie go nie ma – żart, talerz, spojrzenie i przeszywający ból. Czy ból w pamięci jest bardziej trwały niż radość?

Co za kretyn powiedział, że przeszłość jest martwa? Przeszłość nie jest martwa. Jesteśmy

we władaniu jej upiorów. Ja jestem w ich władaniu. Trzymają mnie w morderczym uścisku, ale nie wiem, czy te zjawy można rozpędzić. Może skonsultuję się z Rzodkiewką. Może będzie miała dla mnie jakąś dobrą radę. Muszę po prostu bez przerwy pracować – moje studio aż pęka od nieoglądanych prac, licznych potworności stworzonych przez niejaką Harriet Burden. Może gdy się wreszcie ujawnię, z ich oczu spadną przysłowiowe łuski. Może po mojej śmierci jakiś wędrowny krytyk sztuki trafi do budynku, gdzie będą magazynowane moje dzieła, i obejrzy je, obejrzy tak naprawdę, bo osoba (ja) w końcu zniknie. Tak, kiwając mądrze głową, mój wyimaginowany krytyk będzie długo się w nie wpatrywał, a potem powie: to jest coś, to jest naprawdę dobre. Ocalona od zapomnienia jak Judith Leyster<sup>36</sup>. A z drugiej strony, jeśli to wszystko funta kłaków niewarte pomimo moich cennych pseudonimów – tych, których pragną zamiast mnie, nie mnie? Zbliżam się do sześćdziesiątki. Maisie powiedziała, że zorganizuje przyjęcie urodzinowe, a ja na to, że tak, ale tylko dla najbliższych przyjaciół – nie dla znajomych znajomych. Phinny chce mi kupić kieckę, żebym mogła ją włożyć, gdy stuknie mi szósty krzyżyk, coś „zniewalającego”, mówi.

Felix w snach. Inny Felix – ziejący nienawiścią. Za życia nigdy taki nie był – chłodny, owszem, zamknięty w sobie, tak, ale nie ziejący nienawiścią. Dlaczego przychodzi?

Ale dzisiaj, gdy siedzę tu przy biurku i wyglądam na zatokę – na zimę, na wieczór, na to lśniące miasto – czuję żal, którego źródła nie umiem nazwać, nie jest nim Felix, mój ojciec ani moja matka. Naszła mnie przed chwilą, ta żalosna tęsknota, ale za czym? Czy pojawiła się po prostu dlatego, że mam dużo mniej przed niż za sobą? Czy może to tęsknota za dziewczyną o imieniu Harriet, która chodziła ze spuszczoną głową? Czy za starą kobietą, którą się staję? Czy może jej źródłem jest to, że nie wybiłam sobie z głowy szału ambicji, jeszcze nie? Czy tęsknię za duchami, które pozostawiły we mnie swoje ślady?

Tak, Harry, chodzi o duchy. Ale czy duchami są też imiona, równie niematerialne? Chciałaś zobaczyć swoje nazwisko rozświetlone, wysoko na wielkim afiszu? Próżność nad próżnościami. Litery przydzielone ci w dniu urodzin, nazwa rodowa po mieczu. Ojcowskie światła? Na to liczyłaś? Ale dlaczego, Harry? Twój ojciec nie chciał narodzin potomka, kwilącego, uciążliwego, ciężaru małej Burden, ale ty i tak się zjawiłaś.

Pogodził się z tym.

Czyżby, Harry? Naprawdę się z tym pogodził? Nie w stopniu, który by cię zadowolił, powiedziałabym. Czyż nie wołał Felixa? Czy nawet twoja matka nie faworyzowała Felixa? Czyż

nie powiedziała ci: „Nie możesz być dla niego tak surowa”? Czy nie skakała koło niego, nie chroniła go?

Tak, ale kochała mnie.

Owszem. A co z twoją sztuką?

Nie rozumiała mojej sztuki.

Znów w tobie wzbiera, Harry, ten ślepy, kipiący, oszalały gniew, który narastał, odkąd chodziłaś ze spuszczoną głową i nawet o tym nie wiedziałaś. Nie przepraszasz już, staruszek, i nie wstydzisz się, gdy pukasz do drzwi. Nie ma nic wstydliwego, Harry, w pukaniu do drzwi. Powstajesz przeciwko patriarchom i ich sługusom i ty, Harry, jesteś wizerunkiem ich strachu. Medea, szalejąca z pragnienia zemsty. Ten potworek wypełził ze skrzyni, prawda? Bynajmniej nie jest jeszcze dorosły, jeszcze nie. Po Phinnym będzie jeszcze jeden. W sumie będzie ich trzech, tak jak w baśniach. Trzy maski o różnych karnacjach i obliczach, ta historia zyska zatem idealną formę. Trzy maski, trzy życzenia, zawsze trzy. I ta historia będzie miała krwawe zęby.

## Bruno Kleinfeld

(relacja pisemna)

Czy zgnuśnieliśmy, jak przystało na parę zgredów żegnających się z wiekiem średnim? Grube dupska w fotelach z funkcją „relaks”, stopy wsparte na pufach, mamrotane: Kochanie, wyniosłeś śmieci? Pamiętałaś o mleku? Nie. Staruszek Czas zrobił nas w bambuko. Wydarł mi z rąk moją panią, zanim zdążyliśmy się zamienić – a przecież zasłużyliśmy sobie – w dwoje przyków, bezzębnych, mrużących zmętniałe oczy, wyciągających w środku nocy ręce do starego, miękkiego ciała. Bruno, popadasz w romantyczną egzaltację. Harry nie była typem „statecznym” i kto wie, czy chciałyby się zestarzeć i ustatkować ze swoim Niedźwiedziem. Ona już tego zasmakowała, w czasach przed Brunonem. Jej małżonek – co za dziwne słowo – jej mąż ciągle wracał, jak dym w pokoju, zasmradzając powietrze między nami. Felix Lord, jego forsa, jego sztuka i jego życie intymne wciąż tliły się niby zapomniany papieros w jednej z tych przeklętych kryształowych popielniczek, które Harry zatrzymała ze swego dawnego snobistycznego życia na Upper East Side. Boże, jak ja nienawidziłem tego lalusiowatego upiora, który nie zamierzał spocząć, pójść w ślady normalnych, przywoitych umrzyków. Straszyl ją. Nie żartuję. Starannie dobieram czasowniki. Jestem poetą, może nie wybitnym, ale mimo wszystko złotoustym bardem, który snuje opowieści o złotych czasach z Harry nie tak dawno temu, nie tak daleko stąd. Oto więc ja, Bruno Kleinfeld, oznajmiam wszem wobec, że Felix Lord przychodził do niej w snach, na wpół żywy i na wpół martwy, wampir z kłami zatopionymi w jej szyi, a moja ukochana budziła się zlaną potem, w panice, usiłując wyłowić go z ciemności, nie dlatego, że chciała go z powrotem – chciała mieć raczej pewność, że nie żyje i odszedł.

Maisie i Ethan, wybaczcie mi, proszę, ale wasz tatulek nie doceniał waszej mamy. Czy on o nią walczył? Bynajmniej. Skąd się wzięła mania Harry na punkcie pseudonimów, jeśli nie przez niego? Ile artystek w swojej karierze wystawił Felix Lord? Trzy? I na przestrzeni ilu lat? Harry patrzyła, Harry wyciągała wnioski. Przekonała się, że jej własny mistrz marszandyzmu palcem nie kiwnie, gdy idzie o jej prace, i że w świecie sztuki tylko duzi chłopcy mogą liczyć na satysfakcję. „Nie mógł mi pomóc, nie rozumiesz tego?”, biadoliła Harry. „Oczywiście, że mógł”, grzmiałem w odpowiedzi. Po pewnym czasie niesprawiedliwość tego wszystkiego, bolesna, smutna świadomość, że jest ignorowana, przełamała jej serce na pół i wpędziła w obłęd gniewu.

Chciałem, żeby walczyła dalej, ale ona postanowiła się zakraść przez kuchenne drzwi, głównym wejściem posyłając kogoś innego.

Była silną kobietą, moja Harry, ale trudną w pożyciu. Mój poemat, mój projekt nad projektami, mrowisko, które zamieniło się w górę, coś, na co wiecznie się wspinałem, nigdy nie docierając na szczyt, moje ukochane wierszowane dzieło o skali iście whitmanowskiej, moja „amerykańska *commedia*”, którą w pierwszym roku naszej namiętności Harry przytuliła do serca jako moją szlachetną misję, stał się problemem, gdy Harry zrozumiała, że utknałem w martwym punkcie. Mój poemat stał się złośliwym skrzatem, który przemieniał miłość mojego życia w sekutnicę, zrzędlivą, wrzaskliwą, dokuczliwą jędzę strzelającą we mnie i moje dzieło płonącymi strzałami. „To jakaś obsesja! Przepisałeś go z pięćset razy. Co z tobą? Tak się boisz? Myślisz, że jeśli nie dorównasz Dantemu, skurczy ci się fiut, na litość boską?”.

Nie, nie było łatwo jednocześnie darzyć miłością Harry i mój poemat. Po awanturach o mój niekończący się projekt wynosiłem się do swojej nory po drugiej stronie ulicy, żeby na popękany linoleum lizać rany, a potem wracałem jak pies z podkulonym ogonem do jej wielkiego łóża i muskularnych ramion, którymi tuliła mnie mocno jak żadna inna kobieta. Wtedy nie mogłem tego przyznać, ale skubana miała rację co do mojego poematu. Sprowadził mnie na manowce, to prawda, i nie mogłem liczyć na to, że kiedykolwiek zawiedzie mnie do *paradiso*, ale porzucenie go oznaczałoby porzucenie własnego niepowtarzalnego siebie, jak mawiał dziesięcioletni Bruno Kleinfeld, podziwiając swoją facjatę w lustrze po meczu, gdy przeżywał raz jeszcze swoje wspaniałe wybiecie, które posłało piłkę nad ogrodzeniem.

Nie mogłem się przyznać Harry, feministycznej wojownicze, że facetowi jest trudniej, trudniej znieść porażkę, zaakceptować zmniejszoną sprężystość kroku, gdy czuje, że traci ikrę, że gaśnie ten męski ogień, który dawał mu siłę piąć się pod górę. Kolejne tysiąclecia piętrzyły oczekiwania, kamień po kamieniu, cegła po cegle, słowo po słowie, aż te kamienie, cegły i słowa zaczynają ważyć tyle, że pełen nadziei antybohater nie może się już spod nich wydobyć – nie jest w stanie odnaleźć drogi do choćby jednej linijki, którą mógłby nazwać własną, wije się więc pod tym nieznośnym ciężarem i błaga o zmiłowanie.

Pomimo lęków związanych z tym, co na zewnątrz, Harry wewnętrznie była wolna. Wierzyła w swoją pasję i furię, wypychając z siebie sztukę jak wilgotne, zakrwawione noworodki. Gdy umrę, wtedy mnie docenią, zawodziła. Ten się śmieje, kto się śmieje ostatni. Gdy jej powiedziałem, że przypomina mi kobietę de Kooninga, jedną z tych przerażających

mamusiek z lubieżnym wyrazem twarzy, uśmiechnęła się szeroko i zatarła ręce. Ukrywała przede mną *Heathcliffa*, dopóki nie był gotowy. Miał olbrzymią, odrzuconą do tyłu głowę, otwarte usta, a w gigantycznych rękach trzymał na wpół zgniecioną klatkę dla ptaków. W klatce znajdowały się strzępy podartych koronek, tomik wierszy Shelleya, zapisane kartki i podarta biała pończocha zwisająca jak język między prętami. Na początku miałem wrażenie, jakbym dostał kopniaka w brzuch, tak wielką siłą emanował, ale z bliska na cętkowanym brązowym ciele i obwisłych piersiach tej osoby, jeśli to była osoba, dostrzegłem rozcięcia.

„Harry, Heathcliff był mężczyzną. A to jest kobieta”.

Oczy Harry rozbłysły, gdy powiedziała: „Jest bardziej mną niż ja sama”<sup>37</sup>.

To mówi Catherine. Pierwsza i najbardziej dzika Catherine z tej wielkiej, krwistej, diabolicznej powieści, którą są *Wichrowe wzgórza*. Mózg Harry pracował szybko jak rozgrzana do czerwoności machina. Znałem tę książkę i jej rozwidlającą się, zmysłową prozę, moja stara faworytka, literackie arcydzieło, nie ulega wątpliwości. Ale Harry połykała też inne rozprawy, traktaty i mało znane teksty, o których nigdy nie słyszałem. Czytała bez opamiętania, gdy nie zajmowała się swoją sztuką, i były takie dni, kiedy mówiłem: „Harry, nie mam zielonego pojęcia, o czym ty teraz nawijasz”. Ta kobieta była zanurzona po uszy w neuronauce percepcji i z jakiegoś powodu te niestrawne prace z ich abstrakcyjnymi pojęciami i dyskusjami usprawiedliwiały jej drugie życie jako mistrzyni mistyfikacji. Eldridge też ją podbechtywał, ale nie on był odpowiedzialny za tę całą intrygę. Mimo że krytykowałem *Duszne pokoje* i pomyślałem, żeby pod Harry podszył się gej (co ona uważała za przezabawne, a ja za niemądre), widzę teraz, że szkody nie były trwałe. Eldridge ujawnił, jak było naprawdę. Nigdy nie poznałem tego mydłka Tisha, ale zdaje się, że nie był wart anagramu *shit*. Wyjechał do Tybetu. Nie, to Rune do spółki z duchem Lorda są odpowiedzialni za powstały bajzel. Oni dwaj są winni. Ta historia nie jest ani prosta, ani jednoznaczna, ale chciałbym przedstawić swoje wspomnienia, niektóre mgliste, inne całkiem wyraźne.

Gdy już byliśmy z Harry bardzo blisko i szepeliśmy się mocno (na tyle, na ile to możliwe w przypadku wyemancypowanej sawantki), w coraz większym stopniu dostrzegałem w niej bezbronne, wrażliwe dziecko. Męczyły ją koszmary, ale do tego doszły jeszcze nocne ataki płaczu i złości, zwłaszcza odkąd zaczęła chodzić do swojego terapeuty. „Po co zawracasz sobie głowę tymi bzdetami? – pytałem ją. – Wracasz od niego roztrzęsiona. Na co ci to?”. Ale gdy próbowałem z niej wyciągnąć jakieś informacje o „sesjach”, kręciła tylko głowę, uśmiechając się,

a po twarzy wciąż spływały jej łzy. „Jesteś zazdrosny o doktora. To miłe, Bruno. To bardzo miłe”. Nie byłem zazdrosny. Po prostu nie lubiłem oglądać jej w takim stanie, ale znała też moją opinię o psychoanalizie. Mój kumpel Jerry Weiner przez trzydzieści lat nie mógł się uwolnić od jakiegoś psychokonowala na Central Park West, a jednocześnie – z tego, co się orientowałem – wciąż był tym samym beznadziejnym, wrednym sukinsynem co zawsze. Lubiałem Rachel, ale ona ożywiłaby atmosferę w kostnicy, gdyby wybrała zawód koronera. Rachel taka po prostu jest.

Kiedy dokładnie w życiu Harry zjawił się Rune, pozostaje dla mnie tajemnicą, ale pewnego popołudnia w maju 2001 – pamiętam, bo to była wiosna przed zburzeniem wież, było ciepło, drzewa wypuszczały nowe pędy, a ja cieszyłem się z nadchodzącego końca semestru na uczelni, gdzie wykładałem – zastałem ich na sofie u Harry, gdy chichotali jak dwie nastolatki, popijali chardonnay i chrupali orzeszki ziemne. Harry dokonała prezentacji, a Rune, błyskając białymi jak ugotowane jajko zębami, rzucił: „A, poeta”.

Nie podobał mi się sposób, w jaki to powiedział. A, poeta. Nie podobało mi się to „A”, nie podobało mi się, jak jego głos zwiesił się po „poeta”, nie podobały mi się jego wybielone zęby, sprzączka przy pasku ani ta głupia opięta koszula, którą miał na sobie, nie podobały mi się jego zdarte buty z cholewami ani sposób, w jaki ułożył ramię na oparciu sofy, ani to, jak opowiadał o swoich „filmach”. Nie spodobał mi się od samego początku. Gdy w końcu wyniósł tę swoją mikrą pupkę za drzwi, odetchnąłem z ulgą.

Harry zarzuciła mi, pamiętam, że się nabzdyczyłem. Odparłem, że wcale się nie nabzdyczyłem, za to ona była cała w skowronkach, a to do niej zupełnie nie pasowało, żeby dojrzała kobieta tak chichotała i krygowała się jak małolata. Sprzeczailiśmy się jeszcze przez jakiś czas o kwestie semantyczne – „nabzdyczyć się”, „w skowronkach”, „krygować się” – a potem Harry spojrzała na mnie z majestatycznych wysokości swojego tronu, lodowata i wyniosła, jak to czasem potrafiła, i oświadczyła mi, że nie potrzebuje mojej aprobaty. Nie zamierza dostosowywać się do moich kaprysów. Dziękuję bardzo, ale dość się naustępowała w poprzednim życiu, chodząc na paluszkach jak posługaczka, która czeka na okruchy z pańskiego stołu. (Tym autoportretem nasza Płaszczowa Dama, miałem wrażenie, trafiła jak kulą w płot). Powiedziałem jej, że Rune wygląda jak zafajdany żigolak. Wciąż afektowanym głosem, wypowiadając się pełnymi, prawidłowo utworzonymi akapitami, królowa podjęła na nowo – no chyba zdaję sobie sprawę, że Rune jest teraz królem na rynku sztuki, a poza tym wprost *uwielbia* jej prace. Oprowadziła go po swoim atelier, co robiła wyłącznie dla przyjaciół,



i to starannie wyselekcjonowanych, ludzi, którzy wiedzieli, że nie wystawia, wiedzieli, że skończyła z marszandami, galeriami i „całą resztą”. Powiedziałem, że pewnie chodzi mu o kasę, że sonduje tylko, czy może jej coś wcisnąć, i wtedy gruchnęły fajerwerki, bum, bum, bum. Gotówka i aktywa. Smrodek wody kolońskiej Felixa Lorda nad ziemią.

Gdy już zgasły między nami iskry ziejącego ognia, zacząłem się głośno zastanawiać, czy Rune nie wydaje jej się zbyt gładki i wymuskany. Pan Rune Fasada świetnie opanował artystyczny chód i gadkę, nieprawdaż? Owszem, przyznała i zamachała rękami. Miał mnóstwo kasy, ale i mnóstwo *pomysłów*: pan Rune Pamięć, Rune Sztuczna Inteligencja, Rune Komputery. Twarz mojej Harry aż promieniała rozpalona wzniosłymi ideami Rune’a. Czy roboty mogą mieć świadomość? Czy myślenie to proces informatyczny? Rozprawiali o maszynie Turinga i o teście Turinga. „Nie ma racji, ani trochę, Bruno, ale fajnie jest się pospierać, nie rozumiesz?”. A sztuka? Powęszyłem nieco. Ze swoim płaskim brzuchem, pękatymi bicepsami i filmami, na których drapie się po tyłku i dłubie w nosie, wyglądał jak jakiś cholerny model. Kogo chce nabrać? – spytałem Harry, na co odpowiedziała: „Ale to wszystko jest na niby, Bruno”.

Kto wpadł na pomysł, że każde życie należy zapisać dla potomności? Ten szaleniec Rousseau? Patrzcie, jestem kłamcą, oszustem, masochistą. Patrzcie, oddaję własne dzieci do sierocińca! Gość odsonił się przed wszystkimi całkowicie. To prawda, mam słabość do Jeana-Jacques’a, bohatera „ja, ja, ja”. Pod koniec życia Allen Ginsberg chodził wszędzie z ekipą filmową. Jażń jako mit, jażń jako film, cedził do kamery, ale przynajmniej napisał parę dobrych wierszy. Mój bohater Walt też był specem od autopromocji. W *Żdźbłach trawy* zamieścił słowa Emersona, słowa wykradzione z *prywatnego* listu. Whitman był nikim, a Emerson szarą eminencją. Słowa Emersona: „Pozdrawiam cię u progu wielkiej kariery”. Książka doczekała się dwóch anonimowych recenzji napisanych przez samego młodego Walta: „Nareszcie amerykański bard!”. Może powinniśmy się cieszyć, że nie miał dostępu do internetu. Już to widzę: „Whitmania! Przyłącz się!”. A może ja spróbuję? Strona internetowa Brunona Kleinfelda: nieznanym antybohater walący w klawisze maszyny firmy Olivetti dla kogo?

Kim był Rune, z domu Rune Larsen? Żeby tylko wiedział. Co ona w nim widziała? Pewnej nocy, gdy leżałem na wznak w łóżku i gapilem się w sufit, wyrwało mi się pytanie. Czyżby miała chętkę na młodsze ciało? Harry zgrywała głupią. „Co? O czym ty mówisz?”. „O nim – odpowiedziałem – o twoim galerianku”. Wybuch jej wesołości o mało nie zdmuchnął mnie na drugi koniec sypialni. Uwielbiała w nim jego dar, jego talent do manipulacji, jego maskę

publiczną. Osiągnął sukces dzięki swej fanfaronadzie, pewności siebie i determinacji. To ją fascynowało. Jego nadmuchane ego miało w sobie coś zaraźliwego, ale to nie wszystko. Może od początku go sobie upatrzyła. Może kiedy chichotała na sofie z tym psychopatą, byli już wzmowie. Ukrywała przede mną ich spisek, bo wiedziała, że będę na nie. Nie śledziłem jej wyjść i powrotów. Harry się nie patyczkowała. Koniec z byciem miłą i grzeczną. Koniec z dogadzaniem mężulkowi czy jakimukolwiek innemu facetowi. Była teraz wolna i Niedźwiedź nie będzie jej się wtrącał. Pojąłem aluzję. Dni należały do niej. Wieczory były nasze – drink w barze U Sunny’ego, kolacja u niej, DVD – ale bez popadania w rutynę. Stuknięci lokatorzy wprowadzali się i wyprowadzali. Barometr ze swoimi pogodowymi przepowiedniami. „Diaboliczny front atmosferyczny przemieszcza się znad ciepła piekła”, Eve z jej cudacznymi strojami, Eldridge próbujący nowe teksty do swojego programu.

Nie jestem pewien, czy Harry naprawdę podobała się ta rzecz Rune’a, którą kupiła, ekran wideo z pociętymi i pozszywanymi twarzami, filmowe połączenie krwawej jatki z *glamour*. Jeden z serii – co znaczyło „nie tak drogi”. Pewnego popołudnia ustawiłem się przed ekranem i postanowiłem dać mu szansę jako laik. „Postaram się być obiektywny – obiecałem – i nie będę się uprzedzał tylko dlatego, że artysta to dupek. T.S. Eliot też nie był wzorem cnót, prawda? Czy te zakrwawione gęby i pocięte policzki są coś warte? Czy jestem zainteresowany? Czy mnie obchodzą?”. Szczerze mówiąc, nie umiałem ugryźć tego ohydztwa. Powiedziałem Harry, że wzbudza we mnie poczucie samotności, a ona zaśmiała się, ale potem przyznała, że w niej też. „Nie chodzi tu o łączność duchową”, skwitowała. Nie wiedziałem wtedy, że Rune zgodził się zostać jej ostatnią próbą. W jej głowie był nośnikiem *numero uno*. Jeśli Harry zdoła wykorzystać jego status gwiazdy, udowodni, jak działa ta cała maszyna, jak idee wielkości tworzą wielkość, a gdy już zatriumfuje, nastąpi wielkie zdjęcie maski! Harriet Burden we własnej osobie.

I tak to my dwoje, Harry i Bruno, czubiliśmy się, a potem godzili w naszych królestwach w Red Hook, jednym potężnym, drugim nędznym, każdy domicyl był jednak na swój sposób niezbędny. Wokół nas miasto szumiało i trąbiło, buczały syreny mgłowe, po niebie płynęły chmury. Padało, grzmiało, a potem wychodziło słońce i jedna po drugiej zmieniały się pory roku. Ale każdego dnia wstawało słońce i słońce zachodziło i gdy wychodziliśmy z domu, ulica wciąż tam była, z zaparkowaną furgonetką Harry, z Manhattanem w tle. A potem na Nowy Jork spadł cios z zewnątrz. W kilka minut od błękitnego do zadymionego nieba – słyszeliśmy drugi samolot, lecący nisko i głośno, i widzieliśmy, jak się rozbija. Potem oglądaliśmy to znowu w telewizji.

Próbowałem ogarnąć tę tragedię myślą, ale nie byłem w stanie. Wiedziałem i nie wiedziałem jednocześnie. Gdy ustaliliśmy, że Maisie odebrała z przedszkola Aven w Little Red School House na Szóstej Alei w West Village, że Oscar tego dnia nie musiał jechać na Brooklyn, że Ethan jest w swoim mieszkaniu w Williamsburgu, że moja córka Cleo, jedyna latorośl Kleinfeldów mieszkająca w Nowym Jorku, rzeczywiście znajduje się w swoim biurze w Brill Building na Manhattanie, że Phinny, Ulysses i Barometr nie ruszyli się jeszcze tego dnia ze swoich pokoi, patrzyliśmy, jak wiatr na zewnątrz niesie po Red Hook zatruty kurz i popioły. Zamknęliśmy okna przed niewyobrażalnym smrodem i większość wczesnego popołudnia zeszła nam na doglądaniu Barometra. Nawet przy zwykłej aurze jego kosmologiczne urojenia były nieokiełznane. Teraz dym, eksplozje, fruwający papier, sproszkowany plastik i ludzkie ciała, to wszystko wpędziło go w stan, w którym bezustannie paplał swoje bzdury i wykonywał sztywne, mechaniczne gesty. Z rozwichrzonymi włosami i brodą, w brudnej koszulce Grateful Dead i w podartych spodniach khaki, które wisały na jego kościstych, krzywych nogach, trajkotał jak robot o „ogłuszającym rumorze przenośnych humorów i ich współburzycielach w niebiańskich zbliżeniach z archaniołami Boga” (wyjątek z taśmy P.Q.E. Język Barometra jest niemożliwy do zapamiętania). Modliłem się. Modliłem się, żeby się zamknął. Przelana krew nic nie znaczyła dla tego obłąkańca. Masowy mord go nie wzruszał. Zatracił się we własnych fantazjach o mocy i kontroli, które ten dzień obalił lub potwierdził (trudno powiedzieć). Ulysses zdobył skądś xanax i w końcu go w niego wmusiliśmy. Uspiliśmy zajoba.

Jednostka Ladder 101. Cała siódemka strażaków, którzy odpowiedzieli na wezwanie, zginęła.

Pamiętam Harry przy oknie, kilka dni później. Wydawała cichy dźwięk, który dobywał się z jej piersi, nie z ust. I powiedziała: „Ludzie to jedyne zwierzęta, które zabijają dla idei”.

Gdy myślę o tamtych dniach, uzmysławiam sobie, że żadna spośród znanych mi osób nie pałała żądzą zemsty. Na kilka ówczesnych tygodni każdy ocalały nowojorczyk, jak mi się zdawało, zamienił się w świętego. Zwracaliśmy się do obcych osób z pytaniem „Wszystko w porządku?”, mając na myśli „Straciłeś/straciłaś kogoś?”. Przekazywaliśmy łopaty, ubrania, latarki. Ustawialiśmy się w kolejkach, żeby oddać krew, chociaż okazała się niepotrzebna. Można było albo zginąć, albo przeżyć, jedno z dwojga. Rune chwycił aparat i konspiracyjnie pstrykał zdjęcia. Rejon był zamknięty kordonem, ale udało mu się jakoś ominąć policjantów. Wiem, że dzwonił do Harry. Martwiła się na głos tym jego apetytem na zdjęcia. Czy chorym

psychicznie pogorszyło się po jedenastym września? Musiał gdzieś powstać jakiś raport na ten temat.

Nowojorczyki w większości zachowywali się jak aniołowie, za to telewizyjni eksperci, komentatorzy i dziennikarze wyszczekiwali swoje świątobliwe opinie, wymachiwali banałami i szermowali frazesami. I w późniejszych latach na spopielonych ciałach na Manhattanie Bush i jego poplecznicy wznosili jedno wielkie kłamstwo za drugim. Przyływ zbiorowej dobroci nie może trwać długo. Na powrót staliśmy się sobą, znów ironiczni, bezczelni, od czasu do czasu serdeczni i pomocni, a ponieważ mijały kolejne dni bez eksplozji w metrze, bez zburzonych mostów i płonących wieżowców, zostaliśmy znów ukołysani do stanu nazwanego przez Warrena G. Hardinga „normalnością”, za którym to hasłem kryje się zwyczajna-chujnia-jaką-przynosi-życie-na-co-dzień: nuda w pracy, pozamałżeńskie romanse, rodzinne sprzeczki, wszelkiego rodzaju obsesje, astmy, wrzody żołądka, reumatyzmy i refluksy, dziękuję bardzo.

Gdy po atakach na World Trade Center Harry powiedziała mi, że Rune zgodził się wystąpić jako ostatni aktor w jej wielkim tryptyku, wybuchnąłem głośnym „dlaczego-on-się-kurwa-godzi-na-coś-takiego?”. Wyjaśnienie Harry było zabarwione myśleniem życzeniowym, ale zawierało kilka wątków. Ta mistyfikacja odpowiadała Rune’owi, uwiodła go, ponieważ gdyby wszystko poszło zgodnie z planem, mógł się stać największym w historii prześmiewcą świata sztuki. Zdemaskować krytyków (niektórych zamierzał wypatroszyć i poćwiartować) jako błaznów. Był to jego czuły punkt, twierdziła Harry. Niektórzy recenzenci nazywali go pozerem schlebiającym prymitywnym gustom. Poza tym rynek go przerażał. Jednego dnia na wozie, drugiego pod wozem. Nie chciał iść w ślady Sandra Chii, który nigdy się nie podniósł po tym, jak Saatchi zarzucił rynek jego pracami. Rune żył jak pasza, dogadzał sobie; potrzebował środków na utrzymanie. Zamierzał pobić sceptycznych krytyków ich własną bronią. Gdy będą szydzić z jego najnowszego dzieła, wyprowadzi Harry, żeby się z nimi rozprawiła. Ale Harry twierdziła też, że rozgromiła poglądy wielkiego Rune’a, przemodelowała jego wewnętrzny świat i że wrześniowa tragedia na Manhattanie rozsadziła jego scenariusz. Skończyło się inaczej. Ostatecznie to prostak Bruno wiedział więcej niż wielka mistrzyni ironii.

Czego chce kobieta? Czego chciała Harry? Nie chciała być Rune’em. Nie chciała sprzedawać swoich prac za miliony dolarów. Wiedziała, że świat sztuki to w dużej mierze kloaka próżnych snobów, którzy kupują znane nazwiska, żeby prac brudne pieniądze. „Chcę być

rozumiana”, zawodziła. Brała udział w intelektualnej grze, filozoficznej baśni. Och, Harry miała swoje wyjaśnienia, uzasadnienia, argumenty. Ale w jakim świecie miało zaistnieć to zrozumienie, ja się pytam? W czarodziejskim królestwie Harry, którego mieszkańcy przechadzali się, czytając filozoficzne i naukowe rozprawy oraz prowadząc dysputy na temat percepcji? Mówiłem jej, to jest prymitywny świat, staruszko. „Popatrz, co się stało z poezją! Jest teraz ekscentryczna, urocza i «przystępna»”. Harry chciała, żeby jej pseudonimową opowieść czytali analfabeci. Miała obsesję, a obsesja jest maszyną, która stuka, puka i syczy godzina za godziną, miesiąc za miesiącem, rok za rokiem. Nie znosiła mojego poematu. Ja nie znosiłem jej baśni. Wybudowała Rune’owi *magnum opus*, labirynt jej tańca smutku, a on go ukradł. Gdy mi powiedziała, że Rune nie zamierza dotrzymać umowy, leżała płasko na wznak w swojej pracowni, przyglądając się wielkiej grubasce z kleszczami i dzwonkiem u szyi, którą zawiesiła pod sufitem. Edgar i dwoje innych asystentów, Ursula i Carlos, wrócili już do siebie. Była jakaś szóstka po południu. Zadzwoiła do mnie kilka minut wcześniej. „Przyjdź, Bruno. Coś się stało”. Załamującym się głosem pełnym bólu. Ani razu nie spojrzała w moją stronę, gdy płynęła z niej ta historia, słowo po słowie, powoli i wyraźnie. Poruszały się tylko usta. Reszta Harry zamieniła się w kamień.

Rune pokazał jej film z sobą i Felixem Lordem. Nic takiego, powtarzała, zupełnie nic, siedzieli tylko na sofie w jakimś pokoju, którego nigdy nie widziała, nie odzywając się do siebie słowem, trzydzieści, czterdzieści sekund ciszy i jeden uśmiech, który między sobą wymienili. Zmarły mąż powrócił z hukem na filmie. „Dlaczego mi nie powiedziałaś, że znałeś Felix?” – spytała go Harry. A on odpowiedział: „Czy to ważne?”.

„Czy to ważne, Bruno?”.

A nie? – zaperzyłem się. Ważne jak cholera. Perfidny krętacz. Powiedziałem jej, że mam ochotę złapać kij baseballowy i rozwalić mu łeb.

„To nie kreskówka, Bruno” – powiedziała.

Tyle już przepadło. W sensie: z naszych rozmów. Z tamtych nocy, kiedy leżeliśmy w łóżku i gadaliśmy do białego świtu, my dwoje, moja duża, ciepła Harry i ja, moja najdroższa, mój fioleczek, wszystko stracone, nie zostało ani jedno słowo, tylko „To nie kreskówka, Bruno”, wyryte na zawsze w brzdach mojego mózgu. Tę wymianę pamiętam doskonale. Zamilkłem wtedy, zaniemówiłem jak ktoś, kto stracił krtań. Poczuliśmy się po tych słowach jak jakiś prymityw w kostiumie goryla, na oślepie wywijający kijem, bo nie widzi przez otwory na oczy.

Gdy spytałem Harry, co to znaczy, powiedziała, że nie wie. Rune nie chciał powiedzieć. „Stwierdził tylko, że to po prostu dalszy ciąg gry”.

„Jakiej gry? Jakiej gry?” – dopytywałem się. Nie ustępowałem. „To szantaż?”.

Zapatrzona w sufit pokręciła głową. Powiedziała, że Rune prawdopodobnie próbuje ją manipulować i że drań zrobi wszystko, żeby wygrać. Chciał zasiać w niej podejrzenie, powiedziała, że był kochankiem Lorda, być może, albo że zanim się z Harry poznali, wiedział o niej wszystko od Felixa, coś, cokolwiek. Gdy pojawia się tajemnica, mówiła Harry, luki można wypełnić podejrzeniami. Felix za życia miał tajemnice. Harry zacisnęła szczęki i zmrużyła oczy. Nie patrzyła na mnie. „Rune będzie twierdził, że to on jest twórcą *Poniżej*. Ale jest za późno – dodała. – Nie ujdzie mu to na sucho”.

Nad trumną Lorda nigdy nie było cicho. Chciałem potrząsnąć Harry, zmusić ją, żeby z tym skończyła. Miała teraz szansę, żeby zatrzymać tę karuzelę, zeskoczyć z niej. Mogłem jej pomóc. Bruno, bohater i obrońca, sfrunie z nieba, żeby ją ocalić przed sobą samą. „Wyjedźmy stąd – podsunąłem. – Wybierzmy się w podróż”.

Harry pokręciła głową.

Powiedziałem, że ją kocham. Kocham cię jak wariat, powiedziałem. Kocham cię. Słyszysz mnie?

Słyszała. „Też cię kocham”, odpowiedziała. Nie myślała o mnie.

Bruno, upojony swoją szlachetnością, Wielki Wybawca, potrzebna mi była tylko budka telefoniczna, gdzie mógłbym się przebrać w kostium superbohatera. Nie ma już budek telefonicznych, staruszk.

Pamiętam, że słońce malowało na drewnianej podłodze trójkąty światła. Pamiętam smutną twarz Harry i pamiętam słowa, które mi się ukazały na palimpseście w mojej głowie, gotowe do zacytowania. Pochodziły z Księgi Rut, słowa kobiety, która nie odstępowała od innej kobiety i nie chciała jej opuścić.

„Gdzie ty pójdziesz, tam ja pójdę – zwróciłem się do Harry. – Gdzie ty umrzesz, tam ja umrę i tam będę pogrzebany”.

Harry uśmiechnęła się niepewnie.

„Miło z twojej strony, Bruno”, powiedziała.

Te słowa były jak kopniak w brzuch.



## Oswald Case

(relacja pisemna)

Rune nigdy nie zrezygnował z ironii. Na tym polegało jego zwycięstwo. Pomimo powszechnych lamentów i załamania rąk, że nic już nie będzie takie samo, pomimo wielkiego ogólnonarodowego rozdrapywania ran, które nastąpiło po jedenastym września, jeśli zadać sobie pytanie, czy tamten dzień na stałe zmienił świat sztuki, odpowiedzią będzie ogłuszające „NIE!”. W ostatecznym rozrachunku trzy tysiące zabitych na Manhattanie to dla rynku nie więcej niż kichnięcie, chwilowy dygot sumienia. Owszem, artyści biadali o bezsensie tych śmierci i o nowym początku, ale kilka miesięcy później życie toczyło się *comme d'habitude*. Zresztą ja też mogę się uderzyć w piersi. Jestem autorem artykułu *W strefie zero zginęła ironia*, opublikowanego w „The Gothamite” dwudziestego trzeciego września. Ujmę to tak: gdy żegnałem ironię, tę najbardziej niezbędną ze wszystkich form myśli, nie ironizowałem. Południowy Manhattan był świeżo usypaną mogiłą, a mnie się wydawało, że odrodziłem się jako Monsieur Sincère. Poza tym od tamtej pory przyznałem się do błędu. Czego nie mogę powiedzieć o wielu moich szacownych kolegach po fachu, którzy dawali upust swym niespełnionym literackim ambicjom w żenująco kiepskich artykułach. Zapomnieli, że motto naszej szlachetnej profesji brzmi: dzisiaj tu, jutro po nas. Mój wkład w fazę pod tytułem „koniec z ironią” nie był ani trochę tak afektowany jak w przypadku większości bzdur, które wypisywano po jedenastym września. Ile razy przeczytałem: „Kto mógł sobie coś takiego wyobrazić?”. Kto? Każdy pozał się Boże gryziopiórek z Hollywood. Rune dobrze to wyczuł. Wiedział, że ten spektakl będzie wykorzystywany, eksploatowany i przepisywany na nowo na tysiąc różnych, przeważnie tandetnych sposobów.

Gdy przeprowadzałem z nim wywiad w 2002 roku, mówił o swoich zmaganiach z katastrofą w sztuce. Jak można przedstawić masakrę, która została już zmanipulowana w niezliczonych narracjach? Mówił o szybkości technologii, o symulacji i w końcu – o trwodze. Powiedział, że przed jedenastym września nigdy jej nie doświadczył. Nazywał ją emocjonalnym nadprzewodnictwem. Chciał ją zawrzeć w swoich pracach. Harriet Burden, wiem o tym, uwierzyła, że znalazła trzeciego figuranta w swojej kampanii pod hasłem „ta kobieta też może zyskać sławę jako artystka”. Pytanie, czy jej wkład był wystarczający, by pozbawić Larsena



autorstwa prac, które wystawiono półtora roku później? Nie sądzę. Myślę, że Rune doskonale wiedział, co robi. *Poniżej* uderzyło w świat sztuki jak tornado. Moment był idealny. Wiedział, że nie wystarczy pokazanie obrazków, które wszyscy oglądali w telewizji jedenastego września i kilka dni później, nie w Nowym Jorku. Ale gdyby trzeba było przejść przez labirynt, oglądając czarno-biały materiał filmowy ze zdewastowanymi samochodami lub dziecięcymi bucikami pokrytymi pyłem, a oprócz tego tę dziwną sekwencję z maskami (którą, jak sądzę, wyreżyserował Rune), intensywność doświadczenia wzrosłaby. Harriet Burden posłużyła mu jako muza. To muszę jej oddać, ale przemieszanie fantazyjnych obrazów z innymi, zupełnie banalnymi – takimi jak wyglądający przez okno Rune z filiżanką kawy lub padający śnieg – było bezpośrednim nawiązaniem do *Banalności*. Poza tym mechaniczne ruchy tancerzy to czysty Rune. *Poniżej* w niczym nie przypomina tych wypchanych kukieł Burden, które się teraz wystawia.

Na długo, zanim przeprowadziłem z nim wywiad, Rune zdobył sobie reputację artysty niesfornego, co oczywiście znaczy, że nie był szczególnie sympatyczny. Był zbyt skomplikowany, żeby być sympatycznym facetem, zresztą bycie sympatycznym jest przereklamowane, jest dużo mniej atrakcyjne, niż się uważa. Ludzie uwielbiają wielkie, krwiste JA. Twierdzą, że jest inaczej, ale w świecie sztuki strachliwa, nieśmiała osobowość jest odpychająca (chyba że jest czymś celowo wypracowanym), magnesem zaś jest narcyzm. Maską publiczną artysty to jego karta przetargowa. Picasso był geniuszem, ale on zrobił z siebie postać isticie mityczną. Zjadał ludzi na śniadanie. Miał mnóstwo kobiet i uwielbiał je dręczyć. Był królem arogancji, rozdętą, butną wieżą talentu, a teraz jego bazgroły na serwetkach są warte więcej, niż ja zarobię przez całe życie. Jeśli się nie uwodzi, nie ma się szans. Weźmy takiego Schnabela w piżamie. Tupet popłaca.

W tamtym pierwszym wywiadzie Rune ujawnił, jak świetnie się orientuje w mechanizmach rynku. Gdy go zapytałem o ostatnią wystawę, powiedział: „*Banalność glamour* odniosła sukces, bo kolekcjonerzy uznali ją za nowatorską. Podobało im się odniesienie do Hannah Arendt, chociaż nigdy nie czytali jej książki. Ja też nie. Ale gra ze złem i pojęciem *glamour* to świetna zabawa, bo zła nie uważa się za banalne, a *glamour* – jak najbardziej”. Wtedy już Rune od lat codziennie się filmował: życie artysty, młodego bywalca salonów. Skorzystam z okazji i skoryguję stary, wyświechtany frazes: „Piękno rzecz powierzchowna”. Wcale nie. Wręcz odwrotnie. Piękno jest tym, co nas tworzy. Metr dziewięćdziesiąt, blondyn, niebieskie

oczy i piękne rysy – północnoeuropejskie korzenie Rune’a dudniły tak głośno jak telewizyjne reklamy, kilka decybeli głośniejsze niż reszta programu. Oczy miał bładoniebieskie. Chwilami patrzyłem na niego i miałem wrażenie, jakbym rozmawiał z jednym z replikantów z *Łowcy androidów*.

Na pewien czas w latach dziewięćdziesiątych przyjął metroseksualną pozę – woda kolońska, manikiur, pianka do włosów, peeling, samoopalacze – i sumiennie rejestrował te wszystkie zabiegi w swoim dzienniku. Potem przestał i zmienił się w kowboja sztuki *au naturel* – sztywne dżinsy, kowbojki, przepocony T-shirt. Niedługo po swej westernowej metamorfozie zaczął pojawiać się wszędzie w eleganckich włoskich garniturach i wypowiadał się głośno o tym czy innym artyście, co trafiało od razu na plotkarski młyn. Rozumiał swój wizerunek, rozumiał, że jest swoim własnym obiektem, ciałem do wyrzeźbienia. „To błaga – powiedział. – Mój filmowy dziennik to jeden wielki fałsz. O to chodzi. Nie, że wszystko jest sfalszowane. To ja się budzę. To ja się bawię na przyjęciach. Skąd więc fałsz? Otóż wydaje ci się, że coś widzisz, a tymczasem nie widzisz nic prócz tego, co sam włożysz w obraz. Na tym polega kultura celebrycka. Nie ma w niej nic prócz twojego pragnienia, które można kupić za określoną cenę. Wiem, że jeśli pozostanę dłużej przy którejś swojej wersji, ludzie się mną znudzą. Spójrz na Madonnę. Moje przemiany oznaczają, że nie mam urody ani stylu. Jestem nijaki, jestem nijakim blondynem. Nie stworzyłem niczego nowego. Wszystko już było, ja tylko zmieniłem parę szczegółów i ludziom to się podoba. Aktywnie walczę przeciwko wszelkim przejawom oryginalności”.

Jego postawa była kpina, inteligentną, złożoną kpina z Ameryki jako konsumenckiego raj, gdzie nic nie jest ani oryginalne, ani prawdziwe. Niezależnie od tego, czy wiedzieli, o czym mówi, Rune pomagał ludziom wokół siebie poczuć się „na czasie”. Wszyscy tak bardzo ekscytowali się tymi jego kolorowanymi krzyżami, bo były czymś niezwykle prostym. Czytelne jak znaki drogowe, ale też trudne do odczytania. Co się za nimi kryło? Wzorowane na symbolu Czerwonego Krzyża w różnych kolorach, mogły być ironicznym komentarzem do całej historii chrześcijaństwa lub krucjat. Po jedenastym września wydawały się prorocze: konflikt między Wschodem a Zachodem, wojna cywilizacji. A może były tylko zwykłym kształtem? Tak, niektórzy krytycy czepiali się go, ale nie zauważyłem, żeby kolekcjonerom to przeszkadzało. Prawdziwą ironią losu jest to, że jedenasty września rzeczywiście go zmienił. Czuł, że potrzebna mu jest nowa estetyka, przynajmniej na jakiś czas. Może właśnie to doprowadziło go do Burden,

artystki tak mało znanej, że nawet trudno by ją było nazwać przebrzmiałą. Osobiście uważam, że jej prace to neoromantyczna egzaltacja, niewiele więcej – patetyczne, sentymentalne i żałosne – jeden wielki jęk udręki, który przywodzi na myśl niewydarzony egzystencjalizm. Nie mogę pojąć rzekomego geniuszu jej „metamorfów”.

Poprawność polityczna i polityka tożsamości przeniknęły do sztuk plastycznych jak do każdego innego aspektu kosmopolitycznej kultury amerykańskiej i odpowiadają w dużej mierze za aplauz, z jakim spotyka się obecnie jej sztuka. Biedna, ignorowana kobieta, która nie mogła znaleźć galerii! Biedna Harriet Burden, krezuska w kapeluszach za pięćset dolarów, wdowa po jednym z najsprytniejszych marszandów, jacy kiedykolwiek działali w Nowym Jorku. Serce mi krwawi. Pęka ze współczucia. Sztuka to nie demokracja, ale tej prostej prawdy nie można nawet wypowiedzieć szeptem w tym przewrażliwionym mieście pełnym świętych, liberalnych miernot popijających bezkofeinowe latte z odtłuszczonym mlekiem, ślepych na prawdę. Nawet nieśmiała sugestia, że w galeriach wystawia się więcej mężczyzn niż kobiet może z tej przyczyny, że mężczyźni są lepszymi artystami, grozi torturami z rąk policji myśli. No ale proszę przeczytać *Tabula rasa* Stevena Pinkera, wybitnego psychologa i śmiałego proroka nauki przyszłości – socjobiologii opartej na genetyce – i wtedy mi powiedziec, że mężczyźni i kobiety są identyczni, że mają te same mocne strony, że różnice płciowe są uwarunkowane środowiskowo. Kolejne badania nad mózgiem wykazały, że mężczyźni uzyskują lepsze wyniki w testach zdolności wizualnych, przestrzennych i rotacji umysłowej niż kobiety. Czy chociaż częściowo nie ma to związku, być może, z dominującą pozycją mężczyzn w dziedzinie sztuk plastycznych? Kwestia ewolucji. Prawdopodobieństwa. Mężczyźni są myśliwymi i wojownikami, są aktywni, nie pasywni, oni robią i tworzą. Kobiety były opiekunkami, zajmowały się dziećmi. Musiały pozostawać blisko gniazda. Czy kobiety dyskryminowano i krzywdzono? Oczywiście, że tak, ale feminizm wcale im nie pomógł; feministki domagały się wrzaskiem liczb i parytetów, zamieniając artystki w narzędzia walki politycznej. Te naprawdę dobre nie chcą mieć z feminizmem nic wspólnego. Harriet Burden to najnowszy przykład owej szacownej tradycji – kobieta stłamszona przez „fallocentryczny” świat, który zdeptał jej wielkość.

W każdym razie Rune szukał sposobu odświeżenia swojej sztuki – chciał dodać element wsteczny, wprowadzić coś z przeszłości, nostalgię za awangardą, za ekspresjonizmem, za sztuką sprzed warholowskiego podporządkowania konsumenckiej fantazji, za światem sprzed puszek z zupą Campbell. Myślę, że znalazł to w Burden. On znalazł ją, nie ona jego. Później to właśnie

mi powiedział. Była mocno ustosunkowana, a on znał wcześniej jej męża. Żeby sprawa była jasna, Rune nie był gejem. Kobiety się do niego kleiły. Uganiały się za nim. Ocierały się o niego, niby to przez przypadek. Gruchały i ćwierkały mu do ucha z otępiałymi minami jak zahipnotyzowane. Młode i piękne kobiety, a także te niezbyt piękne oraz niezbyt młode nigdy nie miały go dość. Pamiętam, jak kiedyś graliśmy z Rune'em w bilard na Manhattanie. Potem skoczyliśmy na piwo do baru. Podeszła do nas i usiadła obok niego dwudziestokilkuletnia szprycha, prawdziwa szprycha (proszę o wybaczenie, jeśli kogoś urazi to lekko slangowe określenie kobiety atrakcyjnej) o ciemnych włosach, w obcisłej koszuli związanej w taliu tak, że widoczny był pępek z małym złotym kolczykiem. Nie odezwała się ani słowem. Rune nie postawił jej drinka. *Niente*. A potem odwrócił się do mnie i rzucił: „Dobrej nocy, Ozzie”. Patrzyłem za nimi, jak razem wychodzą z baru, a potem skręcają za róg.

Do mojego biogramu o Runie potrzebowałem faktów. W „The Gothamite” mają fioła na tym punkcie. Prześwietlają każdy szczegół na wszystkie strony. Najśmieszniejsze w tej całej skrupulatności jest to, że można mieszać z błotem każdego, byle tylko zgadzały się data urodzin ofiary, miejsce urodzenia, wszystkie daty i liczby. Można też cytować skończonych łgarzy, byle tylko zacytować ich dokładnie. Artykuł zyskuje wtedy wielostronność: trochę pozytywów, trochę negatywów. Lubimy dziennikarstwo zrównoważone. Ale równowaga jest istotna przy poważnych tematach. Polityka jest poważna. Grzebanie w brudach też jest poważne i musi je cechować odpowiedni styl. Strefy wojenne wymagają całkowitego odrzucenia humoru i/lub ironii. Sztuka nie jest poważna, nie w USA. Nie jest sprawą życia i śmierci. Nie jesteśmy Francuzami. W recenzjach sztuki można pisać, co się komu żywnie podoba, pod warunkiem że zapisze się bezbłędnie nazwisko artysty. Można naubliżać dowolnemu nadętemu palantowi w formie recenzji i za jednym zamachem wyrobić sobie nazwisko. Czy ja kogoś obraziłem? *Excusez-moi*.

H.L. Mencken napisał kiedyś, że jeśli krytyk „oddaje się głoszeniu aktualnych frazesów w sposób stanowczy”, spotyka się z szacunkiem. Współczesne frazesy to: przypieprzaj się do białych mężczyzn, wspieraj różnorodność, zwalczaj kanon; albo odwrotnie: wymachuj flagą w obronie kanonu i tradycyjnych wartości artystycznych. Oczywiście Mencken pisał w czasach, kiedy ukończenie studiów dawało solidne wykształcenie. Dzisiaj niekoniecznie. Mógłbym godzinami sypać dykteryjkami o naszych stażystach świeżo po studiach na elitarnych uniwersytetach, którzy nie rozróżniają między „tą” a „tę”, którzy mówią „wziąć”, a od ich wymowy cierpnie skóra, za to z ich półinteligentkich ust płynie jeden „prawomyślny” frazes za

drugim. Już nie mogę się doczekać przyszłości, kiedy ci ludzie, którzy słowa nie potrafią napisać odręcznie, przejmą władzę nad światem.

W sztukach plastycznych Clement Greenberg był sprawnym dyktatorem, dopóki trwało jego panowanie, ale tamten świat się skończył. A jednak im więcej pisze się o artyście, tym lepiej, zwłaszcza jeśli argumenty przemawiające za czyjąś wielkością brzmią odpowiednio zawile. Ale ja nie recenzowałem Rune'a. Do mojego artykułu biograficznego, a potem do książki potrzebowałem historii jego życia. Fakty są następujące: urodził się w Clinton w stanie Iowa w roku 1965 jako syn Hirama i Sharon Larsenów. Rodzeństwo: młodsza siostra Kirsten. Ojciec: właściciel warsztatu samochodowego. Matka zajmowała się dorywczo szyciem. Przez sąsiadów opisywany jako „spokojny, grzeczny chłopiec”. Ukończył liceum w miasteczku. W 1980 wygrywa szkolny konkurs naukowy. W 1981 matka popełnia samobójstwo, łykając pigułki nasenne. W 1982 aresztowany przez miejscową policję za akt wandalizmu (pozbawienie głowy krasnala w ogrodzie sąsiadów). Dostaje stypendium i przez rok studiuje w Beloit College. Przenosi się na Uniwersytet Minnesoty. Zapisuje się na kursy z inżynierii i dziennikarstwa. Po sześciu semestrach rzuca studia. Oceny w indeksie mieszane. Autostopem dostaje się do Nowego Jorku. W 1987 statystuje w filmie *Niewolnicy miasta*. W tym samym roku związuje się z autorką powieści *Niewolnicy miasta*, Reną Dewitt, która na krótko zdobywa popularność. Dewitt, córka samego Percy'ego Dewitta, dziedziczka farmaceutycznej fortuny, zapoznaje nowego przyjaciela z urokami bogactwa – przyjęcia w Hamptons, nocne życie i świat sztuki. W 1988 Larsen zaczyna dokument o sobie. W 1989 ogłasza się w swoim *Dzienniku* artystą tylko jednego imienia – Rune – ceremonialnie amputując nazwisko poprzez odcięcie nożyczkami „Larsen” z trzymanej przed sobą kartki. W 1991 debiutuje na wystawie grupowej w P.S. 1: *Zwyczajny chłopak* [Fragment dziennika nr 1556], film pomalowanego na niebiesko Rune'a à la Yves Klein, który opowiada o swoim dniu małemu robotowi kiwającemu mechanicznie głową. „New York Times” uznaje jego pracę za najważniejsze wydarzenie wystawy. Zaprzyjaźnia się z Luisą Fontaną, modelką, są często widywani razem. Luisa źle kończy. W kwietniu skacze z dziesiątego piętra, ze swego apartamentu na Sześćdziesiątej Siódmej Wschodniej. O smutnej śmierci pięknej dziewczyny w dużym artykule pisze nawet „New York Post”. Wspomniano, że Rune należał do jej koterii.

(Nieznane źródła dochodu w latach 1986–1992). W 1992 w Zeit Gallery wystawiona zostaje praca *Jak trudno ze sobą zerwać* [Fragment 1825]. Wyświetlane są jednocześnie dwa filmy: (1) Dokument o dramatycznym rozstaniu Rune'a i Dewitt w olbrzymim luksusowym

apartamencie Dewitt na Central Park West. Obie strony prezentują sporą łączyznę fizyczną w trakcie obrzucania się butami. (2) Animowana „cybernetyczna” wersja dwóch postaci wykonujących identyczne gesty. Wzbudza zainteresowanie prasy. Zauważa go William Burrridge. Rune przechodzi z Zeit do Burrridge Gallery. Ukazuje się kilka artykułów hipokrytów załamujących ręce nad naruszaniem prywatności. A czy nie tym właśnie się zajmujemy, panowie? Rune twierdzi, że Dewitt wiedziała o kamerze i obie wersje są „symulacjami”. Dewitt twierdzi, że o kamerze zapomniała. W październiku 1995 w rodzinnym domu w Clinton umiera Hiram Larsen od obrażeń głowy po upadku ze schodów prowadzących do warsztatu. Rune jedzie na pogrzeb do Iowa. W listopadzie 1995 William Burrridge bezskutecznie próbuje się skontaktować z Rune’em w Williamsburgu, dokąd ten przeprowadził się z Katy Hale. Rune zrywa z nią po dwóch miesiącach i łączy się z Indią Anand. Żadnych filmów, wideo ani cyfrowych. Autobiografia przerwana do 1996, kiedy to Rune ponownie zjawia się w Nowym Jorku. Brak stałego adresu do listopada.

Październik 1997, sukces wystawy *Banalność glamour* w Burrridge Gallery, w której wykorzystuje technologię morfingu do stopniowego modyfikowania swoich rysów w sekwencji wideo, gdzie budzi się, spaceruje po ulicach i udaje się na wieczorny wernisaż w T-shircie z napisem *Sztuczny człowiek*. Jednoczesne filmy przedstawiające pacjentów chirurgii plastycznej pod skalpelem (zabiegi zarówno kosmetyczne, jak i rekonstrukcyjne) na przemian z obrazami protetycznych i mechanicznych rąk, ramion, nóg, a także krzyży i krucyfików. Ustawione w różnych punktach galerii cegły z prostymi inskrypcjami: *Sztuka, Sztuczność, Człowiek sztuki, Sztuka człowieka, Człowieksztuki, Sztukaczłowieka, Krzyż, Krzyże i Krucyfiks*. Cegły sprzedają się jak ciepłe bułeczki. „Art Assembly” publikuje artykuł *Rune. Konstrukcja nie-siebie*. Wystawy w Kolonii i Tokio. Wystawa krzyży we wrześniu 1999. Żółty krzyż sprzedaje się za trzy miliony.

„W niebie – napisał ktoś – brakuje wszystkich interesujących ludzi”. Rune z pewnością był interesujący. Każdemu dziennikarzowi opowiadał inną historię o swoim zniknięciu, przy czym nie były to niejasne, ogólnikowe relacje, lecz bardzo konkretne opisy, które każdy z dziennikarzy łyknął w całości. Streszczenie:

1. Po romansie z Dewitt wyjechał ze złamanym sercem z Nowego Jorku do Newfane w stanie Vermont, gdzie żył incognito jako Peter Granger i zarabiał na życie dorywczymi pracami stolarskimi.

2. Uciekł do Berkeley i straciwszy pracę w księgarni Cody’s Bookstore, wylądował na

ulicy i zamieszkał z wędrowną grupą bezdomnych w San Francisco.

3. Mieszkał przez trzy miesiące w swoim samochodzie, jeżdżąc tu i tam, podejmując się różnych prac i nigdzie nie zagrzewając miejsca na dłużej niż trzy tygodnie.

Nikt, z kim rozmawiałem w Newfane, nie słyszał nigdy o Peterze Grangerze. Pracownicy księgarni nie znali Rune'a, a bajeczki o życiu tułaczym tak czy siak nie można było zweryfikować.

Mnie Rune podsunął czwartą wersję. Po fiasku związku z Reną Dewitt i śmierci ojca nie czuł się przygnębiony, wręcz przeciwnie. „Świat stał przede mną otworem – wspominał. – Byłem tak nakręcony, że nie chodziłem, tylko unosiłem się nad ziemią. Powiedzieć, że czułem się wspaniale, to nic nie powiedzieć. Istna ekstaza. Przepuszczałem kasę. Bzykałem się, czasem z pięcioma kobietami dziennie. Tańczyłem, śpiewałem i waliłem konia. Miałem wizje, stary. Żadnych dragów, a jednak szalone miraże wielkich czerwonych piersi i kobiet o psich zębach. Trząsałem gaciami ze strachu. Jedna z moich partnerek, która przypadkiem była psychiatrą, jak tylko skończyliśmy się pieprzyć, zabrała mnie na pogotowie psychiatryczne w Szpitalu Nowojorskim. To znaczy, jak tylko skończyliśmy się pieprzyć i kłócić. Wyobraź sobie, że w jednej chwili dyszysz nad seksowną panią doktor, a w następnej trzymają cię pod kluczem na oddziale zamkniętym”.

Chociaż próbowałem potwierdzić i tę wersję, przepisy o ochronie prywatności pacjentów psychiatrycznych w stanie Nowy Jork utrudniały mi zadanie na każdym kroku. Zwykle stawiam na numer czwarty, nie dlatego, że byłem bezpośrednim odbiorcą tej historii, ale dlatego, że jest osobiwa, a dożywszy wieku mocno średniego, poznałem świat na tyle, by wiedzieć, że prawda często brzmi jak coś wymyślonego, a prawdziwie brzmią tylko wymysły. Jest przynajmniej prawdopodobne, że Larsen przeszedł coś w rodzaju załamania nerwowego, chociaż nie zostało to potwierdzone.

Gromadząc po śmierci Rune'a materiały do swojej książki, domyślałem się, że jego siostra Kirsten wie, co się z nim działo przez większość tego zagadkowego okresu. Kirsten Larsen jest technikiem na oddziale chirurgii czaszkowo-twarzowej w Minneapolis. Wykonuje protezy twarzy dla pacjentów z nowotworami i innych, którzy stracili nos, uszy, policzki, brodę, szczękę i tak dalej. Co prawda trudno sobie wyobrazić, że dla kogoś taka praca może być życiowym powołaniem, ale podczas naszej rozmowy telefonicznej opowiadała, że to rodzaj misji, i mówiła górnolotnie o wyzwaniach wiążących się ze zrobieniem odpowiedniego nosa

z „materiałów biokompatybilnych” dla kogoś, kto stracił własny, po czym radośnie przyznała, że jej praca odegrała pewną rolę w *Banalności glamour*. Była jednak dużo bardziej powściągliwa, gdy wypłynął temat zniknięcia jej brata, bąknęła tylko coś ogólnikowo o jego potrzebie „odnalezienia siebie”. Rune pragnął samotności. Nie została „upoważniona”, żeby o tym mówić, i tak dalej. Gdy spytałem ją prosto z mostu o ewentualną chorobę psychiczną, odparła bardzo cicho: „Myślę, że musiał mieć coś nie tak z głową, żeby umrzeć w ten sposób, nie sądzi pan? To wszystko, co mam do powiedzenia”. „A śmierć pani ojca? Bardzo ją przeżył?”. Nastąpiła długa cisza. Czekałem cierpliwie. W końcu dało się słyszeć pociąganie nosem. Ściszyłem głos i przybrałem łagodny ton pocieszyciela, który przez lata pracy opanowałem do perfekcji: „Przepraszam, nie chciałem doprowadzić pani do łez, wypadek ojca musiał być dla pani szokiem, strasznym szokiem”. Szlochy w słuchawce. „To on go znalazł. Może pan sobie wyobrazić, jak to musiał przeżyć. Znalazł go martwego”. I burknęła jeszcze: „Zmarli zasługują na trochę szacunku. Nie rozumie pan? Mama, tata, Rune. Oni wszyscy nie żyją. Ale należy im się szacunek”.

Dziennikarstwo śledcze bywa trudne i trzeba się przyzwyczaić do niezbędnej dozy wścibstwa. Od dawna nie robiły na mnie wrażenia zapłakane twarze i zdławione łkaniem głosy, ale oto miałem do czynienia z kobietą, która nie chciała mówić, i tym mi zaimponowała. Żyjemy w świecie, w którym ludzie zlaknieni zainteresowania mediów regularnie sprzedają dusze za występ w telewizji. Sama wzmianka o moim piśmie wystarczy, żeby rozbłysły oczy i rozwiązały się języki, ale trzeba powiedzieć, że jak na ironię Rune pomimo swojej tajemniczości pragnął znajdować się w centrum uwagi za wszelką cenę. Wspomniałem o tym Kirsten. „Nie uważa pani, że brat chciałby, aby powstała o nim książka? Czy nie poświęcił swego ostatniego gestu sztuce i technologii? Dał chyba jasno do zrozumienia, że jego śmierć to manifest estetyczny, i w taki właśnie sposób postanowił go ogłosić”.

Zanim Kirsten Larsen odwiesiła słuchawkę, powiedziała: „Pan chyba niczego nie rozumie”.

Rena Dewitt wydała oświadczenie, wyrażając „szok i smutek” po jego śmierci, a potem schowała się za prawniczym murem, który naturalnie otacza miliardowe fortuny. Mam za to całe godziny nagrań rozmów z Katy i Indią z najdrobniejszymi szczegółami o upodobaniach ich wspólnego kochanka, historiach z dzieciństwa, nawykach żywieniowych – niejako o prawdziwym Runie. Częściowo się pokrywały. Dużo czytał, zwłaszcza literaturę science fiction, komiksy, biografie artystów. Uwielbiał Nietzschego i lubił cytować Marinettiego, tego



włoskiego futurystę, który każdy przesadnie sentymentalny pogląd traktował kopniakiem w tyłek. Wszystkie konkrety ujawniam w swojej książce, ale żeby nie przedłużać: relacje różnych rozmówców o jego życiu nie zazębiają się. Kolejne wywiady z przyjaciółmi i znajomymi odkrywały nie jednego Rune'a, ale kilku. Kochał swoją matkę. Nazywał ją zimną suką. Jego relacje z matką były „trudne”. Był skłócony z ojcem, który go kiedyś bił. Podziwiał ojca, ale uważał, że jest zbyt „prostacki i konwencjonalny”. Na studiach brał halucynogeny. Nigdy nie zażywał narkotyków, ale nawiedzały go spontaniczne halucynacje. Sam mogę potwierdzić, że lubił whisky. Pewnego wieczoru, gdy byliśmy na mieście, po czterech drinkach otoczył mnie ramieniem i powiedział: „Wiesz, dlaczego cię lubię, Ozzie, staruszk?” Gdy już posłusznie wyartykułowałem: „Nie, Rune, dlaczego?”. „Bo obaj o tym wiemy: świat jest do dupy”.

Przypuszczam, że słowa te można podciągnąć pod deklarację filozoficzną. Obaj byliśmy zaprzysięgłymi ateistami, ale fascynowało mnie w nim to, że przy mnie też z dnia na dzień się zmieniał. Mówił dużo o „doskonaleniu wizerunku”, o „autoprezentacji”, o konieczności „określenia strategii działania”. Potem przyznawał się do drzemiącego w nim pragnienia, aby tworzyć sztukę, która będzie „rozpruwać ludzkie wnętrza” i „wstrząsać ludźmi”. Z tego, co mówiła Katy, regularnie ronił łzy nad artykułami prasowymi o martwych lub/i maltretowanych dzieciach, wspierał finansowo wiele organizacji charytatywnych zajmujących się zwierzętami i utrzymywał, że jest wegetarianinem. Może to była tylko taka faza. Przy mnie wcinał mięcho.

Rune był nałogowym blagierem. Do samego końca niezmordowanie wymyślał się na nowo. Pod tym względem był człowiekiem naszych czasów, tworem mediów i rzeczywistości wirtualnych, awatarem chodzącym po ziemi, istotą zdigitalizowaną. Nikt go nie znał. Komentarz o „fałszywości” jego autobiografii jest jednocześnie głęboki i płytki. I w tym tkwi sedno sprawy. W naszym świecie nie ma miejsca na głębię, osobowość, prawdziwe historie, są jedynie obrazki bez treści wyświetlane natychmiast wszędzie, w każdym miejscu. Niedługo będą nam wszczepiać urządzenia komunikacyjne bezpośrednio do mózgu. Już zaczynają się zacierać granice między rzeczywistością a wyobrażeniem. Ludzie żyją na ekranach swoich komputerów. Media społecznościowe zastępują życie towarzyskie.

Raz widziałem Harriet Burden u Rune'a, niedługo po wystawieniu *Poniżej*. Lubilem nazywać adaptowany na mieszkanie magazyn Rune'a Wersalem nad Hudsonem. W windzie mieściło się dwadzieścia osób. Pokoje były niewiarygodnie wielkie, zalane światłem, pełne monumentalnych sof i wyściełanych foteli obitych brokatami, jedwabiami i aksamitami

w jaskrawych kolorach. „Chciałem, żeby to wyglądało jak w filmie Hitchcocka, widowisko w technikolorze”, informował. Wszędzie wisiały gigantyczne fotosy z jego filmowego dziennika. Ówczesna przyjaciółka Rune’a, Fanny jakaś tam (eksmodelka Victoria’s Secret), zjawiała się co jakiś czas w butach ugg i dzinsowych szortach. „Rune, potrzebna mi blacha do pieczenia ciastek”.

Nieco później jakiś asystent, który otworzył drzwi, wprowadził do pokoju wdowę po Feliksie Lordzie i stanęła tam obok smukłej i ślicznej Fanny, wielka Harriet, jej jaskrawe przeciwieństwo, ucieleśnienie jazgotliwości, zanim jeszcze otworzyła usta. Wiedziałem, że kupuje i sprzedaje dzieła sztuki, widywałem ją na wernisażach, ale od tamtego dnia w pracowni Tisha nie zamieniliśmy ze sobą słowa. Przywitała się ze mną chłodno, usiadła i przez chwilę się nie odzywała. Rozmawialiśmy właśnie z Rune’em o sztucznej inteligencji, którą obaj się interesowaliśmy, gdy przerwała nam złośliwym komentarzem, że naukowcy pracujący nad stworzeniem sztucznej inteligencji nie potrafią, na litość boską, zbudować nawet robota, który chodziłby jak człowiek. I rozgadała się na temat świadomości, jak gdyby była jakąś ekspertką w tej dziedzinie, a ja nawiązałem do *Poniżej*. Stwierdziła, że po wystawie z krzyżami to całkowita zmiana kierunku. Byłem uprzejmy. Ustępowałem jej. Powiedziałem, że interesująca w pracach Rune’a jest oscylacja, ruch między jednym stanowiskiem a drugim, ale jego prace zawsze traktują o ciele, technologii i symulacji, tym razem w wymiarze katastroficznym.

Przerwała nam. „Jakoś nie widzę, żeby *Poniżej* miało jakikolwiek związek z technologią”.

Wspomniałem o tańcu robotów.

„Skąd pomysł, że te postaci są robotami?”

Rune wziął moją stronę. Jasne, tancerze wykonują mechaniczne ruchy, stwierdził, co koresponduje z jego wcześniejszymi pracami. Większość recenzentów, dodał, tak właśnie ich opisała.

Poparłem jedynie jego komentarz, mówiąc, że to dla wszystkich oczywiste.

I się zaczęło. Jej głos podniósł się o oktawę. Zapytała, kim są „wszyscy”, oznajmiła, że zaślepił mnie kontekst, jak zresztą pozostałych bałwanów, czy coś w tym sensie. Oskarżyła mnie o liczne błędy w moich tekstach, z których większości nie pamiętam. Było mi za nią wstyd, naprawdę, i nie dałem się sprowokować. To tylko rozwścieczyło ją jeszcze bardziej. Kobiety, które uciekają się do wrzasków, zawsze działają na mnie paraliżująco. Moje krótkie, przyznaję,

małżeństwo, skończyło się dlatego, że nabawiłem się alergii na głos mojej żony. Od tamtej pory zadaję się tylko z kobietami o delikatnej i melodyjnej barwie głosu. Tyrada Harriet trwała siedem, może dziesięć minut. Rune starał się ją mitygować: „Harry, Harry, to nieważne. Wyluzuj. Daj spokój”. Jej wybuch skończył się w ten sposób, że chwyciła płaszcz, kapelusz i trzasnęła drzwiami.

Nie odnosiłem wrażenia, że ta dwójka mogła ze sobą współpracować. Było oczywiste, że to Rune rozdaje karty. Spytałem go, co w nią wstąpiło, i usłyszałem, że jest nadwrażliwa, trochę nieźrównoważona, ale mimo to się przyjaźnią. Chciałbym tu zaznaczyć, że Rune jej bronił: „Ludzie jej nie rozumieją, ale jest piekielnie inteligentna. Jest przywiązana do swoich poglądów, to wszystko. Podziwiam ją za to”.

Po wyjściu Harriet przeszliśmy do tematu pieniędzy i ich znaczeń, ów odwieczny amerykański motyw. Przed przybyciem do Nowego Jorku Rune nigdy nie miał styczności z prawdziwym bogactwem. Jego rodzinne Clinton w stanie Iowa w drugiej połowie dziewiętnastego wieku obłowiło się na handlu drewnem, ale gdy około 1900 roku lasy zostały przetrzebione, razem z drzewami przepadły majątki. Dorastał więc wśród rozpadających się rezydencji i zapuszczonych ogrodów dawno zmarłych milionerów, ale w Nowym Jorku te bogactwa odrodziły się w osobie Reny Dewitt. „Jej duszę tworzyły pieniądze”, stwierdził. Moja inicjacja odbyła się w Yale, gdzie miałem bezpośredni kontakt z nonszalancją tej klasy, z jej swobodą i samozadowoleniem, z trawnikami, obrazami i miejskimi rezydencjami, które czały się gdzieś za życzliwymi, acz powściągliwymi uśmiechami. Oczywiście potrzebujemy bogatych. Zawsze ich potrzebowaliśmy: żeby spoglądać na nich zazdrosnym okiem i naśladować ich. Są naszym widowiskiem i naszą radością, bo w głowie każdego Amerykanina tkwi myśl „To mógłbym być ja”. Bogaci stanowią ostatecznie nasz mit, naszą baśń, nasz hymn do sukcesu: od pucybuta do milionera, kapitalistyczne hieny, wyścig szczurów, surowy indywidualizm, bycie miłym nie popłaca, noś własną broń i woź się własną limuzyną, w towarzystwie długonogich lasek o powiększonych cymbach, gdy jedziesz na premierę i wysiadasz przy błyskających fleszach. Zostało jeszcze trochę starych fortun, cichych i dyskretnie ukrytych, ale nie działają już na wyobraźnię tak jak kiedyś. Śmietanka towarzyska, elita czterystu McAllistera, bale debutantek – to wszystko wciąż istnieje, ale w świecie Twittera i Facebooka krąży coraz mniej filadelfijskich opowieści.

Rune i Rena – olśniewająca para. „P-rune-wincjusz – żartował – szybko się uczył”. Tak,

bo w Stanach Zjednoczonych w amerykańskim mieście wciąż jeszcze tkwi ziarno prawdy. Wokół krezusek uwijają się styliści milionerzy. Na galę w Metropolitan Museum wchodzi kowboje spekulanci, obłowiwszy się w ciągu jednego dnia na giełdzie. Aktorka, niegdysiejsza utrzymanka spadkobiercy starej fortuny lubiącego zabawić się za kulisami, sama teraz zachowuje się jak udzielna księżna. Świeżo upieczony artysta kupuje bez opamiętania lofty i domy. Widziałem to wszystko. Proszę mi wierzyć. Są na wozie. Są pod wozem. Wzlatują i rozbijają się. Nie mam zamiaru być niczym sumieniem, ale codziennie oglądam klęski, chciwość, pigułki, alkohol i odwyki. I wciąż mam pracę. Wciąż mieszkam w swoim wygodnym apartamencie i jestem zapraszany na kolacje parę razy w tygodniu z ludźmi, którzy się liczą. Jestem posiadaczem dwóch smokingów. Nikt nie pamięta Nocka, ale wypracowane wtedy techniki wciąż mi służą i mam coś, czego nie można podrobić: dowcip. Towar deficytowy.

Sztuka konwersacji stopniowo zanika. Do tego stopnia, że ze sztuki nie pozostało już prawie nic, ale robię wszystko, żeby ją wskrzesić, gdy tylko mam ku temu okazję. Rozumiem też potęgę komplementu, który zawsze musi zahaczać o prawdę. Tamtego dnia powiedziałem Rune'owi, że jest fascynująco nieuchwytny, że wzbudził moje zainteresowanie, nie tylko dlatego, że podziwiam jego prace, ale też dlatego, że ucieleśnia sprzeczności, które wyczuwam w sobie. Jestem wiecznie rozdarty między podziwem a pogardą wobec tego cyrku próżności i głupoty, którego jestem świadkiem na co dzień i który sumiennie opisuję. Podziwiam bezwzględną determinację młodych i ambitnych, ale często załamuję ręce nad ich brakiem stylu. Czuję napór przyszłości, rewolucję ery cyfrowej, ale tęsknię za dawną elokwencją, za tą odrobiną romantyzmu i kurtuazji.

Na moje słowa zareagował wzgardliwym prychnięciem, a potem wygłosił żarliwą, rozwlekłą mowę, coś w rodzaju spowiedzi, którą udało mi się nagrać. Nie zamierzałem jej nigdzie wykorzystywać. Po prostu wcisnąłem przycisk przez kieszeń marynarki i chociaż jakość nie jest idealna, nagrało się dużo. Zawsze chciał się wyrwać z Clinton i to pragnienie ucieczki wiązało z osobą matki. Matka – co nie dziwi, gdy się spojrzy na syna – była piękną, szkolną miss, a potem miss gospodarstw mlecznych stanu Iowa. Tak, nawet w niezbyt odległej młodości Rune'a na Środkowym Wschodzie wciąż podtrzymywano takie tradycje. Ta kobieta żyła swoimi mrzonkami w stylu pani Bovary, skupionymi głównie wokół Chicago, z których oczywiście nic nie wyszło. Uwielbiała muzykę wytwórni Motown i wykonywała dzikie tańce do piosenek The Supremes, kręcąc biodrami i wymachując rękami do utraty tchu razem z dwójką dzieci,

zaśmiewając się z nimi do rozpuku w salonie, gdzie trzymała oprawione zdjęcia swoich szkolnych triumfów – w koronie królowej balu z królem u boku – a także kilka błyszczących dużych odbitek z nią jako mleczarnianą miss ze wszystkimi regaliai, szarfą na piersi i złotą koroną na głowie. „To była jej chwila *glamour* – wspominał – gdy zwrócone były na nią oczy wszystkich”. Ku irytacji męża najwyraźniej nigdy nie pozwoliła tej chwili odejść w zapomnienie. Wielokrotnie opowiadała o swoim triumfie. „Moja biedna matka – opowiadał Rune. – Stroiła się bez powodu i snuła po domu. Teraz myślę, że była po prostu stuknięta, obłąkana, chora na głowę”. A potem przychodziły dni, kiedy nie wstawała z łóżka. Leżała bez ruchu w koszuli nocnej, wpatrzona w sufit, ze szklanką wódki na stoliku obok, z domieszką coli dla niepoznaki. „Albo płakała”. Rodzeństwo próbowało ożywić apatyczną rodzicielkę, ale nic na nią nie działało.

Nie, nie był to sielankowy portret rodziny. Matkę zabiło śmiertelne połączenie tabletek nasennych i alkoholu. Prawdopodobnie zrobiła to umyślnie, ale Rune nie poruszał kwestii, jak dokładnie doszło do jej śmierci, a ja nie pytałem. Przez większość swej spowiedzi klepał się po udach, jakby to były bongosy, ze wzrokiem wbitym nie we mnie, lecz w lampę obok jego fotela. W pewnym momencie przerzucił się na opowieść o kotce i przestał bębnić.

Miał wtedy około ośmiu lat. Pani Sharon Larsen, sierota pochodzenia skandynawskiego – stąd imiona jej dwóch latorośli – dokarmiała, choć jej mąż sobie tego nie życzył, dziką lub prawie dziką kotkę, chuderławą i pręgowaną, która późnym popołudniem przychodziła na posiłek. Po pewnym czasie zwierzę poczuło się u nich jak w domu, ale troje konspiratorów zawsze przed powrotem patriarchy wynosiło kotkę na dwór, chociaż pan domu zaczął coś podejrzewać i narzekał na „koci smród”. „Żadnych kotów! Powiedziałem: żadnych!”. I oto nadeszło owo pamiętne popołudnie, kiedy to intruzka okociła się w domowej pralni w koszu z brudną bielizną na jednej z ojcowskich koszul, szarej roboczej bluzie z wyhaftowaną na kieszeni nazwą firmy: Hiram's. Rozpętała się rodzinna awantura, która doprowadziła do opisanego później przez Rune'a czynu. Jego ojciec zgarnął w papierowe serwetki cały miot maleńkich, ślepych, różowych ciałek i utopił je w kuble w garażu, gdy jego żona krzyczała „Nie!”, a dzieci kuliły się ze strachu w drzwiach. Gdy pan Larsen wrócił do pralni, żeby na dobre wyeksmitować kotkę z domu, pani Larsen klęknęła przy egzekucyjnym kuble i wyławiała ciała, wykrzykując: „Nienawidzę cię! Ty potworze!”. Sąsiedzi wezwali policję. Wtedy już pan Larsen zaczął żałować dokonanej masakry i przepraszał żonę, ale pani Larsen nie przyjmowała tego do wiadomości. Funkcjonariuszom udało się ją uciszyć groźbami, ale o małżeńskim pojednaniu nie

mogło być mowy, mimo że pan Larsen, jak twierdził jego syn, kajał się, zanosił błagania, a w pewnym momencie nawet ukląkł przed żoną. Rano dzieci znalazły kocie ciałka na podłodze garażu. Rune opisał biedne trupki przymiotnikiem „obrzydliwe”. Kirsten zorganizowała ceremonialny pogrzeb w ogrodzie, nie zabrakło nawet modlitw, ale jej brat w nim nie uczestniczył. „W tym momencie – rzekł Rune – gdy patrzyłem na te odrażające wysuszone potworki, postanowiłem, że nie będę już sobą”.

Gdy go spytałem, co ma na myśli, odparł, że coś sobie wtedy uzmysłowił. Że nie należy do tej rodziny i nigdy należeć nie będzie. Że już nigdy go nie zobaczą. Spytałem, czy uciekł z domu. Nie, nie to miał na myśli, chodziło mu o to, że będą widzieli kogoś, ale to nie będzie on. „Dawałem im Rune’a Dwa, Rune’a Trzy albo Rune’a Cztery, ale nigdy Rune’a Jeden. I tak nie dostrzegali różnicy. Dopóki nie sprawiałem kłopotów, nic ich to nie obchodziło”. Powiedział, że kotka do nich wracała, szukając kociąt, i miauczała pod drzwiami. Wychodził i rozmawiał z nią, głaskał ją i wynosił jej jedzenie. Matka z kolei najwyraźniej straciła całe zainteresowanie swoją dawną misją. „Teraz to była moja kotka – opowiadał Rune. – Oddałem ją do sterylizacji za pieniądze, które podebrałem z portmonetki Sharon. Nigdy nie zauważyła, że wyparowała jej jakaś gotówka, a jeśli nawet zauważyła, prawdopodobnie myślała, że wydała ją na gorzałę, którą starannie, jak jej się wydawało, kamuflowała. Nigdy nie wpuszczałem mojej kotki do domu. Wychodziłem do niej”.

Rune uśmiechnął się do mnie. Gotowym przymiotnikiem, jakim wielu moich kolegów po piórze określiłoby ten wyraz twarzy, byłby „enigmatyczny”, ale ja staram się rugować z moich tekstów takie kiepskie klisze, nie żeby ktokolwiek to zauważał w tej epoce półanalfabetów. Jego uśmiech był po prostu nieczytelny. Włączyłem ten koci dramat do *Męczennika sztuki*, bo zachwyciłem się ideą ponumerowanych Rune’ów niezależnie od tego, czy wymyślił tę historyjkę na oczekaniu specjalnie dla mnie. Oddawała jego estetykę i tęsknotę za wirtualnymi wersjami siebie: jeden, dwa, trzy, cztery, może był ze mną (nadchodzący rym zamierzony) szczery.

## Barometr

(fragment rozmowy nagranej przez Phineasa Q. Eldridge'a 15 października 2001)

P.Q.E.: Skąd się wzięło twoje zainteresowanie pogodą?

B.: Od Boga. Początku i końca. On jest, proklamuję, wszechpogodą, synoptykiem wszystkiego i wszystkości, wszystkiego dobrego, co się dobrze kończy. Wichrowe ciśnienia przepływają przez jego przeklętą istotę początku i końca. Rozumiesz, on jest totalitarystą, lecz także hotelitarystą, udziela ludziom schronienia, przyjmuje ich po dwoje w swoje podwoje, a potem zdmuchuje. Jak śpiewają żeglarze „Zdmuchnij go, O daj mi czasu trochę i rymów pięć deka i więcej, więcej, więcej, zwięź tego człeka”. Zwięź tego łachmytę, Starcze, człeka i cały jego ród, rozszarp, roznieś, rozsyp. Jak on to robi? To wielka tajemnica Potentata, Potępieńca, Gromiciela i Litościwca, ten Niebiański Tata śni swój sen na naszych ekranach. To właśnie spotkało Świat i Handel, wieże wielmoże. Widzisz, Bogu przyśnił się koszmar i ten sen przeniósł się na wszystkie ekrany telewizorów i komputerów oraz do głów wszystkich netomaniaków. Boska Głowa, boskość, zstępuje na Ziemię, przeklina to, co nasze, ale nie to, co możemy zrozumieć, mieć, mieć w rozumie, umieć zrozumieć. Bóg zsyła mi dar, napętnia mnie lodami, i wtedy sypię odami o barometrii, materii niematerialnej, z powietrza i słońca, które powinno świecić, ale często nie świeci, tak jak w życiu nie zawsze świeci. To wszystko się rejestruje, drgania, wibracje, oscylacje, wyże i niże w moich trzewiach i w mojej głowie, w szarej pulpie tam u góry, z wykresami i tą małą igłą, która też, wiesz, tam podryguje. Moja głowa i głowa boża są bezpośrednio połączone, dwie głowy, i czasem to za dużo, o wiele za dużo jak na mnie i czasem nie nadążam z podażą bandaży, za dużo, gdy ziemia i powietrze wyją w mojej głowie i poza nią...

P.Q.E.: Od dłuższego czasu mieszkasz u Harry. Mówiłeś, sam słyszałem, że chcesz odejść, ale cały czas tu jesteś.

B.: Powody są demońskie.

P.Q.E.: Demońskie?

B.: Zły anioł, który przybywa czasem nocną porą i czai się między rzeczami Harry, zakrada się do jej świata metamorfoz i odmieńców. Barometr go wyczuwa, jego znaki. Zostaję, żeby go powstrzymać, igła przyspiesza, gdy on tu jest. Umiem walczyć. Trenowałem. Będę się

z nim zmagał. Tak jak Jakub. Ściągnęno stawu biodrowego Jakuba skurczyło się.

P.Q.E.: Tak, walczyli całą noc. To mi zawsze mocno zalatywało homoerotyką. Ale nie masz na myśli Brunona, prawda?

B.: Bruno nie jest aniołem. Oczu nie masz? Ociemniałeś i zgłupiałeś? Przychodzi, gdy cię nie ma, Phineasie. Chowa się za domami i kontenerami. Ma złożone skrzydła, wielkie, straszne, żylaste skrzydła. Upadły, wiesz, spadł z nieba tutaj na ten padół, żeby nas ściągać w dół, wznosić naszą ruinę, ale nic nie pękło, gdy spadł, i teraz wędruje przez pola i lasy, przez góry i doliny, do miejsca, gdzie południk styka się z równoleżnikiem, rozumiesz, prawda? Spadł, arcyadwersarz. Jeśli cię dotknie, płoniesz i wysychasz. Spójrz na moje ramię.

P.Q.E.: Chcesz powiedzieć, że to anioł zostawił ten czerwony ślad?

B.: Płonący palec piorunującego przeznaczenia. Powiedział: „Tylko ani słowa, świrnięty chuju. Tylko coś piśniesz”.

P.Q.E.: Tak powiedział? Niezbyt anielsko z jego strony.

B.: Tak powiedział, a potem odwrócił się i odszedł korytarzem, ciągnąc za sobą skrzydła jak pawie ogon.



## Maisie Lord

(zredagowany zapis nagrania)

Mama musiała powiedzieć mnie i Ethanowi, że Phinny jest jej zasłoną dymną, wiedziała przecież, że jak zobaczymy *Duszne pokoje*, od razu się zorientujemy, że to ona jest za nie odpowiedzialna. Te kłocowate figury, ciepło w pokojach: nikt oprócz mojej matki nie tworzył takiej sztuki. Wypaliła prosto z mostu: „Maisie, Phinny wystawia za mnie moje prace”. Gdy wytrzeszczałam na nią oczy i spytałam, czy już zupełnie jej odbiło, jej twarz przybrała wyraz, który zawsze zapowiadał rychłe nadejście wielkiej eksplikacji, po czym rozgadała się o Jamesie Tiptreem, tym pisarzu science fiction. Twierdziła, że przez co najmniej dziesięć lat nikt nie widział Tiptree’ego na żywo, nawet jego własny redaktor. Zagadkowa tożsamość autora wywoływała wiele spekulacji, a niektórzy uważali nawet, że być może za pseudonimem kryje się kobieta. Robert Silverberg, inny pisarz science fiction, napisał przedmowę do zbioru opowiadań Tiptree’ego. Poruszył w niej między innymi kontrowersyjną kwestię płci, twierdząc, że tak jak żaden mężczyzna nie mógłby napisać powieści Jane Austen, podobnie spod pióra żadnej kobiety nie mogłyby wyjść opowiadania Ernesta Hemingwaya ani Jamesa Tiptree’ego. Mama uwielbiała tę część tej historii, bo okazało się, że wiara Silverberga w niepodważalną męskość pisarza okazała się nieuzasadniona. Gdy zza pseudonimu wyłoniła się prawdziwa osoba, tym literackim macho okazała się Alice Bradley Sheldon.

Mama podkreślała jednak, że nic nie jest proste. Po wymyśleniu Tiptree’ego, ale zanim ujawniła się jako Alice Sheldon, pisarka przybrała kolejną tożsamość, żeńską, i jako Raccoona Sheldon spotkała się z brakiem zainteresowania wydawców, którzy uznali, że jej pisarstwo nie umywa się do twórczości Tiptree’ego. Pisarka, którą chwalono jako autora feministycznej science fiction, miała teraz także żeńską maskę. Mama powiedziała, że inspiracją dla tego dziwnego imienia, Raccoona, od angielskiego *raccoon*, czyli szop pracz, przynajmniej na poziomie podprogowym, były maski, jakie szopy pracze po prostu dostały od natury. Taki tytuł nosi mój trzeci film, ten, nad którym pracuję teraz, o mojej matce: *Naturalna maska*. Ujawnienie, że James Tiptree i Raccoona Sheldon to dwie strony tego samego medalu, nie ułatwiło życia Alice Sheldon. Chociaż kobiety, które utrzymywały z Tiptreem kontakt listowny, między innymi Ursula Le Guin, przyjęły ją ciepło, gdy już ujawniła swoją tożsamość, kilku korespondujących

z nią mężczyzn raptem zniknęło z jej życia.

Mama opowiadała mi całą tę historię z błyszczącymi oczami. Siedziałyśmy naprzeciwko siebie u niej przy kuchennym stole, a ona pochylała się w moją stronę, od czasu do czasu unosząc palec wskazujący, gdy chciała coś podkreślić. Interesowała ją nie sama zamiana imion z żeńskiego na męskie. To nic ciekawego, powiedziała. Nie, ciekawsze było co innego, otóż Le Guin cały czas podejrzewała, że Raccoona i Tiptree są autorami pochodzącymi z tego samego źródła, ale w liście do Alice napisała, że woli Tiptree'ego: „Raccoona moim zdaniem nie ma takiej kontroli, a co za tym idzie, takiego dowcipu i mocy”.

Le Guin, powiedziała moja matka, rozumiała coś głębokiego. „Gdy przyjmujesz męską tożsamość, coś się z tobą dzieje”. Gdy ją zapytałam, co takiego, rozsiadła się na krześle, machnęła ręką i uśmiechnęła się: „Możesz wtedy побыć ojcem”.

Jako jej córka nie byłam zachwycona, że moja matka mówi o byciu ojcem. Poczułam pod żebrami instynktowny dygot, ale zaczęłam chichotać i zbyłam jej słowa jakimś „Oj, mamó, daj spokój, nie mówisz chyba poważnie”. Tylko że ona wcale nie żartowała. Powiedziała mi, że w 1987 Tiptree zastrzeliła męża, a potem popełniła samobójstwo. Wyjaśniła, że Sheldon nie mogła żyć bez swojego mężczyzny – nie męża, rzecz jasna, lecz mężczyzny w sobie – dlatego też jej zdaniem nie wytrzymała napięcia i uciekła się do przemocy.

Wracam w swoim filmie do tej opowieści o Tiptreem. Alice, którą przyjaciele nazywali Alli, oświadczyła kiedyś: „Moja biografia jest ambiseksualna”. Harriet Burden, znana wśród przyjaciół jako Harry, mogłaby powiedzieć to samo. Ale to nie był koniec. Moja matka wiedziała, że wiadomość o jej pseudonimach poruszyła mnie, ponieważ w jakiś sposób byli w to wszystko wmieszani jej ojciec i mój ojciec. Podejrzewam, że wszyscy chcielibyśmy, żeby ludzie i rzeczy zajmowali swoje stałe miejsca, starannie nakreśleni czarno na białym, ale świat po prostu taki nie jest.

Przez jakiś czas rozmawiałyśmy o Aven i śmierci Rzodkiewki, która utopiła się w szklance soku pomarańczowego. Moja córka na śmierć swej hałaśliwej, kapryśnej, lecz także dowcipnej towarzyszkii zamieszkałej w jej gardle zareagowała tak obojętnie, że aż mnie to zmartwiło. Mama roześmiała się i powiedziała, że wymyśleni przyjaciele nie potrzebują pogrzebów. Wracają „tam, skąd przyszli”, i obie się z tego trochę pośmiałyśmy.

A potem odfajkowałyśmy temat Ethana. Jak zawsze z mamą. Był naszą wspólną obsesją, synem i bratem, którego nie potrafiłyśmy do końca rozgryźć, więc zawsze musiałyśmy go trochę

obgadać. Właśnie opublikował w jednym z literackich magazynów swoje pierwsze opowiadanie i mama pękała z dumy. *Parasolka* to osobliwa historia pewnego mężczyzny, który nawiązuje erotyczną więź ze swoją parasolką w paski. Za każdym razem, gdy zaczyna padać deszcz, przechodzi go dreszcz podniecenia na myśl, że niebawem ją rozłoży, i bardzo musi się hamować, żeby nie wciskać sprężynki w dni słoneczne, chociaż spędza mnóstwo czasu, podziwiając jej urodę, gdy parasolka stoi w niedbalej pozie w stojaku. Tak jak w przypadku mojego brata, zachowaniem jego bohatera rządzą ustalone zasady. Gdy w deszczowe dni idzie ulicą pod swoją parasolką, nie chce, żeby ktokolwiek zauważył, że aż drży z radości. Dla każdego, kogo mijają lub spotyka, parasolka powinna być jedynie przedmiotem – rzeczą osłaniającą przed deszczem. Aż pewnego dnia zostawił ją w restauracyjnej szatni razem z płaszczem, a gdy zjadł posiłek, szatniarka podała mu płaszcz, ale bez parasolki. Wszczęto poszukiwania, ale parasolki w paski nigdzie nie ma i bezimienny bohater Ethana jest zdruzgotany, chociaż przed ugrzecznionym menedżerem restauracji, który przeprosza z całego serca za tę pomyłkę, zachowuje kamienną twarz. Wychodzi na ulicę z nie swoim parasolem, który wyrzuca do kosza, i idzie do domu w czasie ulewy, coraz bardziej przemoczony, coraz bardziej zziębnięty. Ostatnie zdanie, w którym po raz pierwszy rola parasolki w jego życiu zostaje wyraźnie określona, brzmi: „I nikt nie zrozumie, że nic mu nie zastąpi ukochanej”.

Mama uważała, że to opowiadanie jest najlepsze ze wszystkiego, co Ethan do tej pory napisał, mniej pretensjonalne, i przyznałam jej rację, mimo że zauroczenie parasolką wydało mi się jeszcze jednym z całego katalogu dziwactw, które składały się na osobę mojego brata. Zawsze zazdrościłam Ethanowi tej jego specyficzności. Zawsze trzeba się było z nim obchodzić jak z jajkiem, z naszym małym ekscentrykiem, który poruszał się jak marionetka. Przypominał mi kiedyś Pinokia (oczywiście przed przemianą w prawdziwego chłopca). Wyprowadzały go z równowagi najmniejsze głupstwa i dostawał wtedy napadów złości. Walił pięściami w podłogę, wył i kopał. Mama przytulała go mocno i po prostu pozwalała, żeby się wypłakał. Mnie zawsze mówiono, że muszę „brać poprawkę” na jego „osobliwość”. Patrząc mamie prosto w oczy, powiedziałam, że ja też chciałam mieć swoje dziwactwa. Chciałam, żeby mnie traktowano specjalnie, jak Ethana – małego geniusza, ale nie, zawsze byłam tą dobrą, poczciwą Maisie, w której próżno by się doszukiwać choćby krztyny wyjątkowości. Pamiętam, że mama wyglądała na wstrząśniętą, tak bardzo się uniosłam. Pochyliła się nad stołem, wzięła mnie za rękę i powiedziała: „Maisie!”.

Przypuszczam, że tego dnia byłam w kiepskiej formie. Przypuszczam też, że wyznanie matki otworzyło furtkę do kolejnych wyznań i że miałam przekorną potrzebę ściągnięcia części uwagi na siebie. Powtarzałam ciągle, że wszystko zawsze kręciło się wokół Ethana, dodatkowe spotkania z nauczycielami, długie rozmowy z nim w jego pokoju przed snem, specjalne „lekarstwo”, które wcale nie było lekarstwem, tylko kakaową miksturą z mlekiem i cukrem, i że czasem darowała mu potem mycie zębów. Mama odchyliła się do tyłu, otwierając szeroko oczy, i powiedziała: „Śmiało, wyrzuc z siebie wszystko”. Co też zrobiłam. Przez jakiś czas użalałam się nad sobą, a kulminacją tego użalania się była historia, której wspomnienie wciąż mnie bolało.

Ethan zachorował. Często dokuczał mu ból ucha, jedno zapalenie po drugim, i mama posłała mu na sofie w salonie. Czuwała przy nim całą noc. Nie mogłam spać, więc zakradłam się do niej. Pamiętam, jak patrzyłam na Ethana i na te jego głupie uszy, i zamiast szeptać, mówiłam głośno, może nawet krzyczałam, aż się obudził.

„Okropnie się wtedy zdenerwowałaś – wspominałam – powiedziałaś mi, żebym «zmądrzała i przestała wygadywać bzdury»”. Wykrzyczałam to zdanie swojej matce. Dawne uczucie wróciło z całą mocą, jak gdybym znów miała siedem lat, cała rozpalona swoim nieszczęściem i poczuciem wielkiej krzywdy. „Kazałaś mi się wynieść! – wrzasnęłam. – Kazałaś mi się wynieść!”.

Matka spojrzała na mnie ze smutkiem. Twarz miała pomarszczoną w zbolonym wyrazie współczucia, który dobrze znałam, ale błąkał się po niej też nikły uśmieszek. Rozpostarła ramiona i powiedziała: „Maisie, chodź no do mnie”.

A ja obeszłam stół, matka wciągnęła mnie na kolana i zaplotła wokół mnie swoje długie ręce. Zamknęłam oczy i zapadłam się w nią, z twarzą wciśniętą w jej szyję. Obejmowała mnie mocno. I tak ściskając, przez dłuższy czas kołysała mnie, gładziła po włosach i szeptała do ucha: „Boże, jak ja cię kocham”. Ten skurcz, to bolesne uciskanie pod żebrami, całkowicie ustąpił i w tym czasie, kiedy siedziałam na jej kolanach, zapomniałam, że jestem dorosła. Zapomniałam nawet, że sama mam dziecko, a już na pewno zapomniałam, że mam brata. Ona to potrafiła. W chwili, kiedy człowiek najmniej się tego spodziewał, odprawiała swoje czary. Te czary to nic nadzwyczajnego, ale mało kto umie je stosować.

Wieczór wernisazu mamy i Phinny’ego – mama za kulisami, Phinny w centrum uwagi – nadszedł z wietrzną pogodą; wiało tak, że zrywało ludziom czapki z głów. Miasto pogrążone było w żalobie i wszyscy wciąż zachowywali się nerwowo. Nagły hałas, samolot w górze,

zatrzymany pociąg metra i wszyscy na chwilę zamierali. Zostawiłam Oscara w domu z Aven i podjechałam taksówką do Chelsea. Bruno nie przyszedł, bo złościł się na mamę za jej pseudonimy. Pojawiła się Rachel, ale na krótko. Pamiętam, że ostentacyjnie ucałowała mamę i Phinny'ego, gratulując im obojgu. Był tam też Ethan z bardzo wysoką Murzynką, ładną, bardzo chudą, w wąskich okularach. Okazało się, że jest jakąś księżniczką, która pisze doktorat z biologii molekularnej, ale moje pierwsze skojarzenie było takie, że jeśli ktoś może być podobny do parasolki, oczywiście złożonej, to właśnie ona.

Zawsze rzuca mi się w oczy, jak mało wystawione prace obchodzą tych, którzy przychodzą na wernisaże. Niektórzy na nie prawie w ogóle nie patrzą. Inni wpatrują się w eksponat z zupełnie pustym wyrazem twarzy – *tabula rasa*. Po zwiedzeniu *Pokoi* ludzie wychodzili spoceni i lekko skrzywieni, z uśmiechem maskującym dyskomfort. Miałam wrażenie, że wszyscy przypomnieli sobie, jak to jest znowu być dzieckiem, gdy trzeba zadzierać głowę, patrząc na dorosłych, i że nie było to przyjemne uczucie. Mnie szczególnie przypadły do gustu te wszystkie bazgroły na ścianach, bo czułam się, jakbym wniknęła do wnętrza książki; nie jakbym dosłownie przechadzała się po jej stronach, ale jakbym niejako poruszała się w przestrzeni między słowami i obrazami, które tworzymy w głowie w trakcie lektury. Pamięć podsuwała mi rozbłyски wspomnień, które zaraz się rozpraszały, na wpół zapamiętane fragmenty jakichś starych miejsc i myśli, często trochę przykre, ukazywały mi się na chwilę, a potem znikwały.

Mama stała jak strażnik pod ścianą ze skrzyżowanymi na piersiach rękami. Pamiętam, że ubrana była w elegancką szarą garsonkę z zielonym szalem i że mrużyła w skupieniu oczy. Można by pomyśleć, że nie w smak jej było oddanie wszystkiego Phinny'emu – który też nosił się na szaro (grafitowy garnitur z czerwonym krawatem) i był niemożliwie wprost czarujący, sypiąc dowcipami jak zwykle. Phinny uwielbiał mamę i dlatego wszystko zagrało. Byli towarzyszami broni. On wierzył w ostateczną demaskację, w dzień rewanżu, w zadośćuczynienie. Ona była tego wieczoru jego „osobą towarzyszącą”, oprowadzał ją po galerii i odgrywał rolę debiutanta.

W każdym razie ludzie nie wiedzieli właściwie, co mają myśleć o jego instalacji. Ostatecznie Phinny na dobrą sprawę pojawił się znikąd. Pytanie: jak go interpretować. Mój ojciec działał w branży, zanim zamknął się heroiczny rozdział w amerykańskiej sztuce. Załapał się na „epokę romantycznych kowbojów”, tragicznych, pijanych herosów. Mama najbardziej ubóstwiała de Kooninga. „Ze wszystkich dużych chłopców – mawiała – najbardziej lubię de

Kooninga”, ale tym artystom wszystko zdawało się sprzyjać. Ich sławę i chwałę zdawała się podsycać zaraźliwa histeria. „Wielcy i źli brutale – mówiła mama. – Wszyscy się nimi zachwycali”. Ale gdy zmienił się klimat, gdy na scenie zjawił się pop-art, z jego chłodem i śmiałością, nawet de Kooning stał się obiektem krytyki.

Wtedy nie było klimatu dla Phinny’ego ani dla mamy, nie było kultury sztuki, która wyniosłaby ich na piedestał i namaściła maskę. Sukces mógł za to odnieść Rune, oprawiając dary mojej matki i sprzedając je publice. Żał mi Antona Tisha, gdziekolwiek jest. W tej wrzawie, która powstała wokół niego, musiał się czuć jak oszust. Jak stwierdziła moja matka, pielęgnował w sobie pewne poczucie autentyczności, a ona mu je odebrała. Z Rune’em było inaczej. Wątpię, żeby zaprzętał sobie głowę myślami o oryginalności. Zresztą strasznie trudno jest ustalić, czy coś jest naprawdę oryginalne. Rzecz oryginalna byłaby przecież czymś tak obcym, że nie bylibyśmy jej w stanie rozpoznać, prawda?

Rune przyszedł na wernisaż późno, rozsypując dookoła swój gwiazdorski pył. Czułam to. Wszyscy to czuli – połączenie urody i sławy. Przedtem widziałam go tylko raz, w pracowni mojej matki, jakiś rok wcześniej, i zrobił na mnie wrażenie, chociaż oprócz „Miło mi” nie zamieniliśmy właściwie ze sobą słowa. Przyszłam wtedy z Aven i zastałam mamę, jak patrzy na Rune’a, który ze szczytu drabiny oglądał zwisającą z sufitu figurę. Potem zeskoczył zamasyście, przytrzymując się drabiny jedną ręką, i wylądował leciutko na podłodze. Nie sprawiał wrażenia, jakby się popisował, a ja złapałam się na tym, że mimowolnie szczerzę zęby w uśmiechu. Aven była zachwycona i chciała sama wypróbować tę sztuczkę, ale przekonaliśmy ją, że to zbyt niebezpieczne. Nie zapomniałam ani uśmiechu Rune’a, ani jego uścisku dłoni, i gdy pojawił się na wystawie, nie mogłam oderwać od niego oczu. Zdziwiłam się, gdy przypadł do mnie i pocałował w obydwie policzki – porządnie, tak, że czułam dotyk jego ust – i ulokował się przede mną, jak gdybym ze wszystkich zebranych tam osób była tą, z którą najbardziej chciał się zobaczyć.

Rune ze mną flirtował. Bacznie mi się przyglądał, co samo w sobie jest już formą flirtu. Opowiedziałam mu o filmie, który kręciłam o Barometrze, o tym, że odszukałam jego brata i ojca i dowiedziałam się, że jego matka nie żyje. Tłumaczyłam, że psychiatrzy nie przywiązują już większej wagi do tego, co mówią pacjenci, ale mnie fascynował język Barometra i jego kosmologia. Rozmawialiśmy o różnych kamerach, o tym, jak zbliżenia i zdjęcia panoramiczne tworzą różne znaczenia i jak trudno kręci się teraz czarno-białe filmy. Uwielbiał kino i rozmowa

z nim była dla mnie frajdą. Nie pamiętam dokładnie, co mi powiedział ani jak przeskoczył na temat mojej matki, ale wspomniał, że musiało jej być ciężko z łatką żony Felixa Lorda i że naprawdę podoba mu się jej twórczość, a ja opowiedziałam mu pewną historię, czego teraz żałuję. Mama spotkała kiedyś przypadkiem na Park Avenue znajomego, który handlował rysunkami dawnych mistrzów. Usiedli w kawiarni na Madison Avenue, żeby wymienić się przy herbacie nowinkami. W trakcie tej rozmowy moja matka wspomniała, że z wielkim zainteresowaniem czyta właśnie ponownie Panofsky'ego. I Larry rzucił wtedy od niechcenia: „Ach tak, pewnie Felix ci go podsunął, prawda? Pasjonował się teorią”. Matka oznajmiła mu, że ojciec nie przeczytał ani słowa z Panofsky'ego, że wszystko, co wiedział o jego tekstach, pochodziło od niej. Zagotowała się. Wyjaśniłam Rune'owi, że pewnie miarka się przebrała i mama nie mogła już tego słuchać. Mimo wszystko, powiedziałam mu, wołałabym, żeby wyluzowała, po prostu dała sobie spokój. Chociaż Rune niewiele mówił, słuchał mnie z łagodnym, empatycznym wyrazem twarzy.

W pewnym momencie wyszliśmy na zewnątrz i usiedliśmy na schodach, cały czas gadając. Zapalił papierosa, osłaniając dłońmi płomień. Podrygiwał kolanem, wdychając i wydychając dym. Wiał wiatr. Nie miałam najmniejszego zamiaru przekraczać granicy niewinnego flirtu, ale mimo wszystko było mi przyjemnie. Podobałam mu się w granacie. Miałam jego aprobatę. To mi schlebiało, byłam trochę zdenerwowana, a w związku z tym paplałam jak najęta. Nerwy sprawiają, że mówię więcej, nie mniej. Rune obejrzał moją dłoń i wymyślił komiczną przepowiednię: czterech mężów, wiele przygód i bardzo długie życie. I kiedy tak trzymał moją dłoń, przesuwając palcem wskazującym po liniach wewnątrz niej. Potem oznajmił, że wróży też z nosów, i dotknął mojego. Wreszcie nawiązał do ojca. Chciał wiedzieć, jak to było wychowywać się w domu z tymi wszystkimi obrazami dookoła i być świadkiem wizyt „bogów”.

Wyjaśniłam mu, że dzieci nie myślą w ten sposób – wszystko, co się dzieje, przyjmują za coś naturalnego. Wtedy powiedział, że przed laty, gdy po raz pierwszy przyjechał do Nowego Jorku, znał „trochę” mojego ojca. „Masz jego oczy”. Rzeczywiście mam jego oczy i z jakiegoś powodu, gdy to usłyszałam, nagle zrobiło mi się siebie żal. Czułam, jakbym oglądała siebie z zewnątrz. Biedaczka, jest zmęczona, pomyślałam. I wtedy zdałam sobie sprawę, że od lat jestem zmęczona. Próbowалам nakręcić film. Aven miała sześć lat, absorbująca mała dziwaczka, która wszystkim za bardzo się przejmowała. Oscar czuł się przeze mnie zaniedbywany. Moja

matka zatraciła się we własnym świecie metamorfów, fenomenologii i pseudonimów, a mój drogi ojciec, który z pewnością pomógłby naprawić całą tę sytuację, nie żył. Wyrwał mi się z piersi szloch.

„Ubóstwiałaś swojego ojca, co?”. Rune patrzył mi prosto w oczy. Powiedziałam mu, że to może nie jest odpowiednie słowo, ale nie tyle samo słowo, ile sposób, w jaki je wypowiedział, wprowadził mnie w zakłopotanie. Uśmiechnął się. „Zawsze mi się wydawało, że Felix jest facetem, który wie, czego chce”. Nie wiem dlaczego, ale poczułam lekki niepokój. Dodał jeszcze: „Miał doskonałe wyczucie”. To nic nie znaczyło. Wszyscy tak mówili, ale coś mnie tknęło. Miałam na szyi szalik i Rune wziął do ręki jego koniec i zaczął się bawić frędzlami. Powiedział, że ma z tamtych czasów pamiątkę, którą nosi ze sobą. Sięgnął do kieszeni i wyciągnął klucz. Podetknął mi go na otwartej dłoni.

Pamiętam, że patrzyłam na ten klucz, nie wiedząc, co o tym myśleć. Spytałam, do czego jest ten klucz. Do miejsca, które już nie istnieje, odpowiedział. Spytałam go, jaki to ma związek z moim ojcem, a on na to: „Nie wiesz, Maisie?”. Nie wiedziałam i zezłościłam się. Wstałam, żeby odejść, ale on wciąż trzymał koniec mojego szalika, i gdy odsuwałam się od niego, szalik zaciskał mi się na szyi. Zażądałam, żeby go puścił, ale on ściągnął mnie w dół tak, że nasze twarze znalazły się w odległości zaledwie kilku centymetrów, i uśmiechnął się szeroko. Odepchnęłam go, a on uniół ręce ze zdziwioną miną, jak gdyby to wszystko było niewinnym żartem. Zrzucił mi, że jestem „przewrażliwiona”. Tylko się ze mną „droczył”. Ja jednak byłam wstrząśnięta i wiedział o tym. Później bardzo żałowałam, że nie potrafiłam ukryć swojego lęku, że nie wyśmiałam go, nie rzuciłam jakiejś ciętej riposty, ale nie byłam w stanie.

Nigdy nikomu tego nie mówiłam. Wspominam o tym teraz pierwszy raz. Nie dawało mi spokoju, że taka błahostka może się rozrosnąć do tak gigantycznych rozmiarów. No bo ostatecznie co się wydarzyło? Rune pokazał mi klucz, który mógł być najzwyczajszym starym kluczem do najzwyczajszych starych drzwi, a potem dał mi do zrozumienia, że powinnam coś o tym wiedzieć. Chwycił mój szalik, żeby mnie zatrzymać. Jednocześnie mnie uwodził i czułam do niego pociąg, silniejszy niż do jakiegokolwiek mężczyzny od lat. Pozwoliłam mu się dotykać, pozwoliłam mu bawić się moim szalikiem. Śmiałam się z jego dowcipów i trajkotałam jak najęta o swoim projekcie. Ale w chwili gdy wspomniał o moim ojcu, rozmowa przybrała nowy kształt. Nagle zaczęła puchnąć od podtekstów, jak gdyby tego faceta łączyła z moim ojcem jakaś przeszłość, zmienił się nastrój. Nie, to *mój* nastrój się zmienił. Rune zachowywał niewzruszony



spokój. A ja poczułam się upokorzona, jak gdyby wszystko, co się wydarzyło wcześniej, było jedynie preludium do tej subtelnej chwili okrucieństwa, gry z moimi wątpliwościami, wątpliwościami, z których najwyraźniej zdawał sobie sprawę, wątpliwościami, o których nie mogłam rozmawiać nie tylko dlatego, że budziły we mnie lęk, ale dlatego, że nie wiedziałam, czym są. Nie wiedziałam, czego się boję.

W gruncie rzeczy nie potrafię określić, co między nami zaszło. Cokolwiek to było, miałam wrażenie, że dotyczy tak samo mnie, jak i mojego ojca i mojej matki. Zawsze tworzymy w głowach teorie o tym, jak funkcjonuje świat i dlaczego ludzie zachowują się tak, a nie inaczej. Wynajdujemy dla nich motywy, jak gdyby można je było poznać, najczęściej jednak te koncepcje przypominają liche tekturowe dekoracje, które ustawiamy przed rzeczywistością, bo są prostsze i mniej drażniące niż to, co istnieje naprawdę. Myślę, że dlatego właśnie kręcę dokumenty: próbuję zyskać lepszą ocenę sytuacji. To nie tak, że film nie może kłamać, zniekształcać lub być wykorzystywany do niecznych celów, ale niekiedy kamera wydobywa z twarzy i ciał bohaterów coś, czego oni nie mówią na głos. Miałam szesnaście lat, gdy po raz pierwszy obejrzałam *Smutek i litość* Marcela Ophülsa, i od tamtej pory nie mogłam przestać myśleć o ekspresyjności dłoni, gdy ludzie starają się zapanować nad twarzą. Często się zastanawiałam, co mogłabym dostrzec w Runie, gdybym miała wtedy kamerę. Może nic. Ostatecznie to on był specjalistą od filmowania siebie.

Tamtej nocy, gdy leżałam w łóżku obok chrapiącego Oscara, wróciły do mnie słowa Rune'a: „Nie wiesz, Maisie?”. Brzmiały jak oskarżenie. Czyżbym coś wiedziała? I wtedy przypomniałam sobie klucze mojego ojca, obce klucze, które zgarnął tamtego ranka, gdy byłam jeszcze dzieckiem. Przypomniałam sobie wspaniałego białego anioła na nagrobku niedaleko zwykłej płyty ojca, gdy stałam na cmentarzu Green-Wood, a potem przypomniałam sobie wizytę u matki kilka miesięcy po śmierci ojca. Często u niej bywałam i stróż wpuścił mnie bez zapowiedzi. Gdy zadzwoniłam, nie podeszła do drzwi, chociaż musiała wiedzieć, że to ja. Mieszkanie nie było zamknięte na klucz, więc weszłam do środka i dobiegły mnie odgłosy, jakby ktoś wymiotował w łazience dla gości, przy jadalni. Pobiełam w tamtą stronę i zastałam mamę pochyloną, z rękami skrzyżowanymi na piersi. Wystrzeliwała z siebie wymiociny jak pociski, nie do muszli, ale na deskę klozetową i na podłogę. W oczach miała łzy. Ścisnęłam ją za ramię. „Nie, nie, w porządku. Zostaw mnie”, poprosiła. Ale chwycił ją kolejny atak i byłam wstrząśnięta, widząc, jak silne są torsje, które wstrząsają jej ciałem. Objęłam ją w pasie i przytrzymałam jej

czoło nad muszlą klozetową. W dzieciństwie, gdy wymiotowałam, mama zawsze kojąco kładła mi dłoń na czole. „Nie mogę tego zatrzymać, Maisie – wydyszała. – Coś ze mną jest nie tak. Nie mogę tego zatrzymać. Przepraszam, przepraszam”.

Wytałam jej usta myjką i pomogłam przejść na drugi koniec mieszkania, żeby się położyła. Potem zostawiłam ją, wróciłam do łazienki i zaczęłam ścierać wymiociny papierowymi ręcznikami z dużej rolki, które jeden po drugim wyrzucałam do kosza. Pamiętam smród, który kazał mi wstrzymywać oddech, żółtą, śluzową ciecz z kolorowymi drobinami jedzenia. Pamiętam też, że rozlałam trochę środka dezynfekującego, od którego zrobiły mi się na dżinsach białe plamy. Staralam się, żeby ani na podłodze, ani na ścianach, ani za muszlą klozetową nie został żaden ślad. Gdy przechodziłam cicho korytarzem do sypialni, usłyszałam, że mama płacze. Nigdy nie płakała, przynajmniej w mojej obecności. Nie płakała na pogrzebie taty ani na pogrzebach babci i dziadka. Jej łkania były dziwne, jakby nie pochodziły od człowieka. Jakby jakiś pies wydawał z siebie zduszone skomlenia i popiskiwanie, próbując coś przekazać, a potem rozległ się długi, ochryply krzyk, od którego znieruchomiałam na korytarzu, przeciągły skowyt udręki. Czułam, jak twarz wykrzywia mi grymas, gdy nasłuchiwałam oparta o ścianę pod sypialnią rodziców. Chciałam podejść do mamy, ale bałam się na nią spojrzeć, bałam się jej uczuć. Czekałam. Odczekałam, aż minęło najgorsze. Gdy weszłam do sypialni, już się uspokoiła. Znow zaczęła przepraszać. Powiedziałam jej, że nie ma za co.

Bywają noce, kiedy nie mogę zasnąć i leżę, rozmyślając o *Naturalnej masce*, co znaczy, że myślę o mojej matce i jej historii, i o tym, jak ją opowiedzieć w filmie. Nie chcę, żeby był zbyt uładzony i uporządkowany. Nie chcę wyjaśniać całej tej gmatwaniny. To by się jej nie spodobało. Często oglądam materiał, który nakręciłam zaledwie rok przed jej śmiercią. Siedzi w swojej pracowni obok pudła zatytułowanego *Empatia* i peroruje do kamery. W pewnym momencie zwraca się bezpośrednio do mnie. Wypowiada moje imię i wtedy zawsze czuję przyspieszone bicie serca.

„Żyjemy w naszych kategoriach, Maisie, i wierzymy w nie, ale te pojęcia często zaczynają się plątać. I mnie właśnie interesuje to splątanie. Ta gmatwanina”.

## Patrick Donan

(recenzja *Dusznych pokoi*, „Art Beats”, Nowy Jork, 27 marca 2002)

„Wspaniały ten skwar, prawda?”, Phineas Q. Eldridge opowiada z uśmiechem o swojej instalacji w Alex Begley Gallery. Jego pierwsza indywidualna wystawa składa się z siedmiu zamkniętych kuchni połączonych na zasadzie wagonów w pociągu. W każdym kolejnym pomieszczeniu jest nieco cieplej niż w poprzednim, a zatem zwiedzający muszą być przygotowani na to, że wyjdą stamtąd spoceni. Eldridge, performer z Manhattanu, znany ze swych transpłciowych i transrasowych monologów w klubie Pink Lagoon, spróbował sił na polu sztuk plastycznych. W każdym pomieszczeniu instalacji znajdują się dwie duże wypchane figury, skrzynia i niesamowity woskowy stwór, który równie dobrze mógłby przylecieć z innej galaktyki. Teatr jest nieodłączną częścią prac instalacyjnych, ale Eldridge wniósł do tej serii pomieszczeń swoją wyrazistą sceniczność.

Jak twierdzi Eldridge, jego praca nie kryje w sobie żadnego przesłania. A jednak przechodząc przez te kuchnie nie z tego świata, trudno nie pomyśleć o amerykańskich wojnach kulturowych. Przedziwna dwupłciowa postać wydobywająca się z siedmiu skrzyń jest bezpośrednim nawiązaniem do środowiska LGBT. Skrzynia (może w sposób nieco zbyt oczywisty) symbolizuje ukrywanie tożsamości seksualnej. Eldridge ujawnił się jako gej w 1995 roku i jako performer zgłębiał istotę seksualności i rasowości, odkąd zadebiutował na scenie kabaretowego undergroundu.

A dwie przerośnięte, wypchane ludzkie kukły? Być może stanowią odniesienie do białej Ameryki prawicowych „wartości rodzinnych”? Eldridge unika jednoznacznej odpowiedzi. Parafrazując Susan Sontag, mówi: „Interpretacja jest niebezpieczna”.

Po jedenastym września duża część sztuki wydaje się po prostu irrelevantna, ale klaustrofobiczna atmosfera oraz stopniowa dewastacja i rozpad siedmiu pokoi odnoszą się do niefrasobliwej izolacji większości Amerykanów, uwięzionych w kapsule własnych materialistycznych pragnień, dopóki tragiczne wydarzenia września nie pozbawiły ich poczucia bezpieczeństwa. Alex Begley po swoim odczytał temat tej wystawy. „Ta instalacja ma autentyczną siłę oddziaływania. Stanowi komentarz do naszej aktualnej sytuacji”.



## Zachary Dortmund

(recenzja *Dusznych pokoi*, „Art Assembly”, 30 marca 2001)

O specyfice instalacji *Duszne pokoje* Phineasa Q. Eldridge'a w Alex Begley Gallery decyduje to, że zrywa ona z czystą estetyką awangardowego modernizmu, a także z łatwym popowym konsumpcjonizmem grupy Young British Artists. Jej odbiór przez widza pozostaje jednak intymny. W odróżnieniu od praktyki takich artystów jak Tiravanija, których otwarte prace zachęcają do bezpośredniej interakcji, przez zamknięte przestrzenie Eldridge'a trzeba przejść. Nie jest to w pełni sztuka relacyjna, żeby zacytować Nicolasa Bourriauda. Ani altermodernistyczna. Jednakowoż kolejne realistyczne environmenty mogą oddziaływać w sposób, który jest znacznie bardziej wywrotowy niż akomodacyjny relacjonizm proponowany przez Bourriauda. Powracająca w każdym pokoju transpłciowa postać przywołuje deliryczną mechaniczną subiektywność Guattariego, autotechnologię pożądania i ciało bez narządów, co stanowi odbicie biografii Eldridge'a, scenicznego drag performera. Chaos ostatniego pokoju ma mocno polityczny wydźwięk.

# Harriet Burden

Zeszyt „K”

19 kwietnia 2001

Jest inteligentny, ale nie tak jak kiedyś Felix. Felix wiedział, jak urobić kolekcjonerów, jak im schlebić i przekonać, że sami tak naprawdę dostrzegli i zrozumieli oglądane dzieło. Ten facet chce, żeby oczy wszystkich śledziły go cały czas. Codziennie się filmuje, jak gdyby kamera przypominała mu, że żyje. Chciałby być – nade wszystko, jak sądzę – iluzjonistą w typie Houdiniego. Opierać się prawom natury, a przynajmniej sprawiać takie wrażenie.

Ja chcę tylko pracować i zrealizować swój projekt.

A jednak lubię go. Chodzi lekko, jakby nic nie ważył. Mam przeczucie, że będzie chciał się włączyć, bo ekscytuje go manipulacja pozorami. Dla niego przyjemność jest niemal erotyczna, jest formą podniety, tak, pobudzenia. Nabrzmienia. Wyczuwam to. Pociąga go nie starzejąca się Harriet, lecz moja gadka. Nie jest Antonem, moją zieloną maską, ani niebieską – Phinnym. Phinny i ja byliśmy sobą nawzajem, a przynajmniej sobą w dostatecznym stopniu, żeby poruszać się synchronicznie, jak duet, dwoje grajków szukających przygód albo guza, P. i H. Ale Phinny mnie opuszcza. Zakochał się w swoim Argentyńczyku i widzę, że w jego oczach zapaliło się światło. Jak bardzo będzie mi go brakowało. Łatwo nam było się wymieszać.

Rune, imię z kamienia, zupełnie nowy pseudonim: szary.

Odruchowo oblizuje przednie zęby, jak gdyby sprawdzał, czy są tam resztki jedzenia, to jego tik.

Chcę wystawić Rune’a. Chcę odkryć prace, które są jego pracami, ale stworzonymi przeze mnie. Rune będzie moim uwodzicielem Johannesem: straszną, podstępną, genialną maską. Komentatorzy Kierkegaarda przeoczyli serce potwora. Tłumią sadystyczny dreszcz podniecenia.

Obierasz cebulę masek, warstwa po warstwie, posuwając się coraz dalej w głąb książki.

Posłuchaj tego, Harry. Pamiętasz, kiedy przeczytałaś to zdanie po raz pierwszy. Pojawia się pod koniec pierwszego tomu. Jesteś wciąż w części pierwszej. Mocno tobą wstrząsnęło. Pamiętasz? To on był tobą, prawda? Nie Kordelia.

Nie, to kłamstwo. Biedna Kordelia. Ale owo „biedna” jest tym, co wypluwasz, odrzucasz, chcesz odkaszląć, zwymiotować. Nie zawsze, nie zawsze, ale zostałaś przez niego uwiedziona

całkowicie, nie jako kobieta – jako mężczyzna. Jestem Johannesem. Czytelnik, którego uwodzi Johannes, staje się Johannesem – po części. Oto węzeł. Spójrz na ten węzeł. Jakie to męczące, znajome, jakie niesprawiedliwe, gdy traktują cię przede wszystkim jako kobietę, zawsze jako kobietę. Buntuję się. Dlaczego najpierw kobiecość? Dlaczego najpierw ta cecha? Nie da się przed tym uciec.

Doktor F. zauważył, że włożyłam spódnicę. On wie. Dopiero drugi raz w ciągu tych wszystkich lat, powiedział. Godne uwagi. Objaw bezbronności. Te w spódnicach są bardziej bezbronne. Oto historia kobiet w spódnicach.

Kobiety padają, zlatują z nieba, jedna po drugiej, padają, padają nieprzerwanie. Rozłóż nogi, najdroższa, a zrzucę cię ze skały prosto w otchłań śmierci. Wagina jako pole bitwy. Wagina jako ruina. Ale nigdy nie mówi: wpuść mnie. Nie lada wyczyn. Niewpuszczenie go to jej jedyna broń. Mocno zacisnę uda.

Zaciśnij uda, Kordelio.

Uwodziciel pisze: „Wszystko jest obrazem, ja sam jestem mitem o sobie samym, bo czyż nie jest to jak mit, że spieszę się do tego spotkania? To, kim jestem, nie ma nic do rzeczy; wszystko, co ostateczne i czasowe, jest zapomniane, pozostają tylko wieczność, moc miłości, jej tęsknota, jej świętość”<sup>38</sup>.

Uwodziciel żyje tylko na stronicach książki. Jest wymysłem A, który jest wymysłem Eremity, wydawcy *Albo – albo*, który z kolei jest wymysłem Søren Kierkegaarda, od dawna nieżyjącego i ożywianego przez swe dzieła.

Czyż A nie jest wstrząśnięty swoim estetycznym tworem?<sup>3940</sup>

Wszyscy jesteście dla siebie mitami.

Johannes zamierza przelecieć Kordelię.

A potem ją zostawi.

S.K. kochał Reginę i ją zostawił. Nie przeleciał jej w dosłownym znaczeniu tego słowa, jak się wydaje. Zostawił jej dziewictwo innemu, ale zranił ją do żywego<sup>41</sup>.

„Nie chcę się z nią żegnać – pisze Johannes – nie ma niczego bardziej obrzydliwego, jak kobiecy płacz i kobiecy lament, które zmieniają wszystko, choć właściwie nie mają żadnego znaczenia. Kochałem ją; lecz od tej chwili nie może już zajmować mojej duszy. Gdybym był bogiem, zrobiłbym dla niej to, co Neptun zrobił dla pewnej nimfy, a mianowicie *zamieniłbym ją w mężczyznę*”<sup>42</sup>.

Oto one, ostatnie cztery słowa – ostrze.

Zamienię się w mężczyznę poprzez Rune'a.

Stanę się Johannesem?

Ale Johannes nie był Sørenem. Nie był A. Nie. Wiemy, że S.K. wierzył w kobiece łzy i kobiece lamentsy, i kobiece modlitwy. A ja nie jestem Rune'em. A jednak, a jednak, a jednak – jestem nim gdzie indziej, w fantasmagorii. Pozwól, że ci szepnę do ucha. Pozwól, że ci szepnę, że ten wymyślony mężczyzna z dialektycznym biczem jest także Sørenem. Szarlatanem. Pożyczę sobie tę szarlatańską tożsamość.

Spójrz na mnie, oto nowy Prometeusz. Ja jestem mitem o sobie samej. To, kim jestem, nie ma tu nic do rzeczy.



# Harriet Burden

## Zeszyt „A”

4 maja 2001

Bruno spisuje wspomnienia. Nie mogę pokazać po sobie, jak bardzo się z tego cieszę. Mówi, że to nic poważnego, takie tam zapiski, dla przyjemności. Ale jest jak nowo narodzony. Już dawno powinien był się tym zająć, uparty skurczybyk, mieć trochę radochy, zamiast męczyć te swoje wersety na nowe tysiąclecie, które szły mu jak krew z nosa. Nie mogę okazywać zbytniego zadowolenia ani satysfakcji, bo może się rozmyślić, ot ze zwykłej przekory. Drogi Niedźwiedziu, co zrobiłeś z tymi wszystkimi latami swojego życia? Chcę, żebyś przelał na papier tego kostycznego, czułego uparciucha. Stwórz go, kochanie, jeśli musisz. On istnieje.

Fragment, który mi przeczytał, o lodach na deptaku na Coney Island, o tym, jak matka odsunęła rękę, gdy po nią sięgnął, i zimna czekolada spłynęła mu na palce. Niby nic takiego, ale odebrał ten gest jak policzek, którego plaśnięcie rozbrzmiewa po latach. Jak to mówią: trudna kobieta. Była trudną kobietą. Głowy się kręcą z dezaprobatą. Wszystkie jesteście trudne. Czy matka Brunona bardziej niż inne? Nie, ale była matką Brunona. Teraz to słowo „trudna” wydaje mi się szalone, obłądny zapis słowa, którego już nie rozpoznaję.

Aven powtórzyła mi, co powiedziała Julie: „Nie będę się z tobą bawić”. Usta Aven rozciągnął smutny grymas. „Ale potem – mówi – nie uwierzysz. Następnego dnia zapomniała!”. Aven nie zapomina. Jest jedną z nas.

Matka rozbrzmiewa w moim ciele jak melodia. Jej głos powraca, stary i ochryply, gdy sięga pamięcią wstecz. „Pod koniec bardziej mnie kochał”. A na moje pytanie, co ma na myśli, odpowiada: „Bardziej niż na początku. Ja go kochałam. Wynosiłam twojego ojca na piedestał, ale on przede mną uciekał”.

I ukazuje mi się ojciec, jak ucieka, sadzi susy przez wzgórza i doliny.

Karał ją milczeniem.

„Wiesz, w czasie przyjęć rzadko udawało mi się coś wtrącić. Przynosiłam jedzenie, sprzątałam ze stołu i słuchałam, ale gdy zaczynałam mówić, przerywał mi. Pewnego razu, gdy goście wyszli, poruszyłam ten temat. Powiedziałam, że nie czuję się z tym dobrze, że jest mi przykro. Nie odpowiedział, za to gdy wyprawiliśmy następne przyjęcie, nie odezwał się ani

słowem”.

„To było okrutne”, powiedziałam matce.

Doktor F. już o tym wszystkim słyszał. Wspominam moją matkę.

„Nie zapominaj – rzekła w szpitalu. – Jesteś Żydówką”.

„Nie zapomnę, mamó”.

Sala w szpitalu jest brzydka. Mama dochodzi do siebie po posocznicy. Spogląda na mnie pielęgniarka z Trynidadu: „Baliśmy się w nocy, że ją stracimy, ale jest silna”. Mama krążyła po szpitalnych korytarzach, mającąc w gorączce. Wróciła do starego domu w Indianapolis, a raczej do jego części, wchodziła po schodach w poszukiwaniu swego pokoju. „Ale nie mogłam go znaleźć. Otwierałam kolejne drzwi, jedne po drugich, Harriet”.

I tak sobie myślę, że mój ojciec pragnął kogoś tego samego rodzaju, nie mnie. Rodzaju naturalnego. Nie, Harry, płęć w filozofii nie jest rodzajem naturalnym<sup>43</sup>. Ryby. Ptaki. Dwugłowe cieleta.

Kim by było, ciekawe, rodzeństwo, które nigdy się nie zmaterializowało?

„Co powinnam włożyć?”, pyta moja matka.

„Włożyć, mamó?”.

Jest poirytowana, rozgląda się. „Na uczelnianą kolację. Gdzie są moje perły? Będą mi potrzebne perły. Nie do twarzy ci w tym swetrze, Harriet”.

I chciałam się uśmiechnąć, ale nie mogłam. Wymasowałam jej stopy, bo były zimne. Trzy pary skarpetek, a mimo to zimne.

Widzę East River, szare fale i światło, a w sali kroplówkę i plaster na odbarwionym ramieniu matki, podwinięty rękaw liliowego szlafroka.

Nie umieraj jeszcze, proszę w myślach.

Czas jest gęsty w teraźniejszości, rozstrzeń, nie seria punktów, to znaczy czas subiektywny, nasz czas wewnętrzny. Wiecznie przywołujemy i odgadujemy, przewidując następną nutę melodii, przypominając sobie całą frazę w trakcie słuchania<sup>44</sup>.

Pamiętam wystający pępek na moim dużym, twardym brzuchu, mocno naciągniętą skórę w ostatnim miesiącu – dziwne poruszenia życia w środku. Moje różowe, spuchnięte stopy oparte na podnóżku przede mną. Felix z uchem przyciśniętym do mojego bębna. Hej, malutka, mała chiquito. To była Maisie. Tak, wydaje mi się, że Maisie.



# Harriet Burden

## Zeszyt „M”

Zamierzam zbudować kobietę-dom. Będzie miała fasadę i wnętrza, tak byśmy mogli do niej wejść i z niej wyjść. Rysuję ją teraz, rysuję i zastanawiam się nad formą. Musi być duża i musi być kobietą trudną, ale nie może być istotą wyjętą z horroru lub fantasy, z *vagina dentata*. Nie może być potworem Picassa ani de Kooninga, nie może być Madonną. Żadnego albo-albo dla tej kobiety. Nie, ona musi być prawdziwa. Z głową nie mniej ważną niż ogon. I w tej głowie znajdują się postaci, ludziki płci obojga zajęte swoimi czynnościami. Niech piszą, śpiewają, grają na instrumentach, tańczą i odczytują bardzo długie przemowy, które nas wszystkich usypiają. Niech to będzie moja lady Kontemplacja na cześć Margaret Cavendish, księżnej Newcastle, tego siedemnastowiecznego monstrum – intelektualistki. Autorki sztuk teatralnych, romansów, wierszy, listów, filozofii naturalnej i utopijnej wizji *Świat w płomieniach*. Nazwę moją kobietę *Świat w płomieniach* na cześć księżnej. Antykartezjanistki, na dłuższą metę antyatomistki, antyhobbesianistki, rojalistki na wygnaniu we Francji, ale też zatwardziałej monistki i materialistki, która nie wyrzucała, nie potrafiła wyrzucić Boga poza nawias. Jej poglądy pokrywają się z filozofią Leibniza. Czy mój ojciec wiedział o Cavendish i jej związkach z jego bohaterem?

Szalona Małgośka przynosiła wstyd, była jaskrawym przyszczem na obliczu natury. Robiła z siebie widowisko. Wprowadzona gościnnie w 1666 do Towarzystwa Królewskiego, żeby obejrzeć prowadzone tam eksperymenty, księżna w pełni swej ekscentrycznej kraszy została należycie opisana przez Samuela Pepysa, który pisał o wszystkim. Nazwał ją „szaloną, zadufaną w sobie, śmieszną kobietą”<sup>45</sup>. To było łatwe. I wciąż jest. Po prostu odmawia się kobiecie odpowiedzi. Nie bierze się udziału w dialogu. Pozwala się, żeby jej słowa lub jej obrazy zginęły. Odwraca się głowę. Mijają stulecia. Rok, w którym do Towarzystwa Królewskiego przyjęto pierwszą kobietę? 1945.

Księżna czasem nosiła się po męsku, kamizelki i kapelusze kawalerów. Zamiast po kobiecemu dygać, kłaniała się. Była pozbawionym zarostu dziwadłem, pomieszaniem ról. Wystawiała samą siebie jako maskę albo *masque*. Kapelusz z głowy, księżno. Niech powiewają jego pióra<sup>46</sup>.

U Cavendish mnożą się przebierańcy. Jak inaczej dama mogłaby galopem wyruszyć w świat? Jak inaczej usłyszelibyśmy jej głos? Musi stać się mężczyzną albo opuścić ten świat lub to ciało, swoje nędzne z urodzenia ciało, i zapłonąć. Księżna jest marzycielką. Jej bohaterowie dzierżą swe przeciwstawne słowa jak sztandary. Nie może się zdecydować. Polifonia jest jedyną drogą do zrozumienia. Hermafrodytyczna polifonia. „Któryż umysł szlachetny nikczemną służebność zniesie bez buntowniczych odruchów?”, pyta lady Ward. Ale w jej światach kobiety zawsze zwyciężają. Dzięki małżeństwu, urodzie, argumentom i pozycji, życzeniowa fantazja. Lord Courtship jest porażony jasnością umysłu i wrażliwością lady Ward. Nawraca się w mgnieniu oka.

Czyż nie tego właśnie chcę? Spójrzcie na moje prace. Spójrzcie i zrozumcie.

Jak żyć? Życie w świecie czy świat w głowie? Być widoczną i rozpoznawaną na zewnątrz czy ukrywać się i medytować wewnątrz? Aktorka czy pustelnica? Które? Pragnęła jednego i drugiego – istnieć wewnątrz i na zewnątrz, rozmyślać i wyrwać się z domu. Była boleśnie nieśmiała i cierpiała na melancholię, miała ciężki krok. Chełpiła się. Ubóstwiała swego męża. Kilku mędrców nazwało ją geniuszem.

Jestem buntem. Operą. Groźbą! Jestem Szaloną Małgością, Szaloną Kapeluszniczką Harriet, obrzydliwą anomalią, która mieszka w Hotelu Złamanych Serc niedaleko baru U Sunny’ego nad zatoką na Brooklynie z osobnikami wyjętymi prosto z komiksów. Bruno twierdzi, że w okolicy co poniektórzy nazywają mnie czarownicą. W takim razie przyjmuję je: urok czarów i potęgę nocy, prokreatywnej, płodnej, wilgotnej. Czy nie z tym wiąże się ich lęk? Czyż kobiety nie rodzą? Czyż nie wypychamy na świat wrzeszczących maluchów, nie karmimy ich, nie śpiewamy im? Czyż to nie my jesteśmy siłą napędową pokoleń?

Małeńki Guliwer w Brobdingnag podnosi wzrok na gigantyczną mamkę, która karmi niemowlę. „Muszę wyznać, że żaden widok nigdy mi takiej nie sprawił obrzydliwości jak olbrzymia pierś tej mamki, którą nie wiem do czego mógłbym przyrównać, by dać pojęcie czytelnikowi o jej objętości, kształcie, kolorze”<sup>47</sup>. Swiftowskie połączenie mikroskopu i mizoginii. Ale czy każde niemowlę nie jest liliputem przy piersi?

Mama powiedziała: „Uciekał przede mną”.

Chcę płonąć, grzmieć i ryczeć.

Chcę się chować, szlochać i tulić do matki.

Ale tego chcemy wszyscy.



# Harriet Burden

## Zeszyt „T”

24 maja 2001

Zawarliśmy pakt, a przynajmniej tak mi się wydaje. Spojrzał mi w oczy i powiedział, że zapowiada się niezła zabawa.

Kupiłam jedną z seryjnych prac Rune'a – w formie wideo. *Nowy ja*. Ciekawa jestem, jak wytrzyma próbę czasu.

Jego mieszkanie: marzenie hydraulika o barokowym splendorze. Nie śmiałam go zapytać, czy złociste frędzle to tak dla żartu czy na poważnie, ale jest zbyt inteligentny, żeby nie wiedzieć. Pozwala sobie na sprzeczności i oczekuje, że wszyscy będą mu przyklaskiwać; paradoksalnie jest to u niego czarujące, bo dziecinne. Spójrzcie na moje zabawki. Nie są fajne? Dumnym krokiem oprowadził mnie po pokojach i jego ręka wystrzeliwała w stronę każdego obiektu, ale nie zatrzymał się przy żadnym z tych trofeów: „naczynie z Kambodży, 2000 p.n.e., zdjęcie Diane Arbus (zabiła się w 1971), buty Marleny Dietrich z *Maroka*”. Gdy w drzwiach pojawiła się nagle dziewczyna ostrzyżona na chłopaka, wyciągnął rękę i warknął „Jeannie”, po czym wyszczerzył do mnie zęby w uśmiechu, upewniając się, czy rozumiem, że żartuje. „Asystentka”, należąca do snujących się po mieszkaniu „pomocników”, głównie kompetentnie wyglądających młodych kobiet z telefonami.

Wielka ekspozycja zdjęć robotów, z różnych laboratoriów w Stanach Zjednoczonych i Genewie, lecz także „filmboty”, wymyślone maszyny, fotos Hala z *2001* i Woody Allen jako mechaniczny kelner w *Śpiochu*. Allenowskiego niedojdę mogę oglądać codziennie, powiedziałam, ale Rune się nie uśmiechnął.

Ma pomysły, ale są w nieładzie. Nigdy nie przeczytał ani jednej strony z książek, które mu polecałam. Ale opętał go demon o imieniu Technologiczna Osobliwość, okazałe dziecko niejakiego Vernora Vingego, profesora matematyki i pisarza science fiction, który w 1993 zapowiadał monumentalną, rewolucyjną cesurę, chwilę, w której my, biedni śmiertelnicy, wyprodukujemy mechaniczną inteligencję przewyższającą intelektem człowieka. Nasze urządzenia techniczne prześcigną nas i nastanie świat postludzki, postbiologiczny. Wszyscy będziemy maszynowo-organicznymi hybrydami. Będziemy się „uploadować” i staniemy się

nieśmiertelni, chociaż ta sztuczka pozostaje nieosiągalna. Vinge, techno-Frankensteen, pisze: „Duże sieci komputerowe mogą się «przebudzić» jako nadludzko inteligentne istoty”<sup>48</sup>.

Przebudzić?

Prychałam, rechotałam głośno i groziłam palcem, ale Rune oznajmił mi z poważną miną, że to wszystko się urzeczywistni do roku 2030. Och, jak bym się chciała z nim o to założyć, ale wtedy nie będzie mnie już wśród żywych. Harriet Burden będzie pyłem, kośćmi startymi w proch. Czy Rune naprawdę w to wierzy? Czy naprawdę przyjął ten dogmat wiary oparty na fałszywym modelu teoretycznym: obliczeniowej teorii umysłu<sup>49</sup>? Chłopcy w laboratoriach i niektórzy ich kamraci, wyznawcy filozofii analitycznej, klęczą wiernopoddańczo przed świętą maszyną, która coraz szybciej przetwarza informacje, która dobrze gra w szachy, ale tłumaczy z jednego języka na drugi tak fatalnie, że zęby bolą, i która nie czuje zupełnie nic. Nie wiesz, że inni piszą o zmianie paradygmatu, że przetwarzanie informacji jako model funkcjonowania mózgu zawodzi na wielu poziomach? Rune chce wierzyć. To rodzaj zbawienia.

Technologiczna osobliwość jest ucieczką, a zarazem mrzonką o narodzinach. Powiedziałam mu: Zeusowe marzenie, które całkowicie unika organicznego ciała. Nowiuśkie stworzenia wyskakujące z ludzkich głów. Czary-mary! Znika matka ze swoją nikczemną waginą. Napomknęłam, że jego krzyże są symbolami płodności.

Nie wiem, ile z tego, co mówię, do niego dociera. Głuchota jest częścią jego istoty. I pomaga mu, pomaga mu umocnić się w roli młodego *wonder mana*.

Ale jest tu podłoże osobiste. Rune próbuje wyskoczyć ze swojej biografii. Może to jest nasz wspólny mianownik. Ja też chciałabym wyskoczyć ze swojej biografii.

Dzisiaj, po mojej tyradzie o obliczeniowej teorii umysłu i jej fatalnych brakach, opowiedział mi o swojej matce, od dawna już zmarłej i pochowanej. Widzę ją oczyma wyobraźni w kusej damskiej piżamce, chwiejącą się w czarnych pantoflach na wysokim obcasie, z piórkami. Nie podał mi opisu tego, co nosiła, ale na podstawie jego opowieści wyobraziłam sobie próżną, zgryzioną, żalowaną istotę. Uczyniłam z niej uwodzicielską matkę, szaloną i przerażającą ukochaną małego chłopca, kobietę miotającą się między łzawą bluszczowatością i miażdżącym gniewem. Jest stereotypem, damską kupą nieszczęścia z filmu z lat pięćdziesiątych, jedną z tych żółz w technikolorze, pijanych i niechlujnych, z odsłoniętym dekoltem. Wszyscy szufladkujemy. Ale ta historia jest ponura i gdy ją opowiada, jego oczy są zimne i puste. Smutna, szalona matka Rune'a przyjmuje pod swój dach bezdomną kotkę i karmi ją. Pewnego dnia kotka koci się



w domowym koszu, ciepłym legowisku, miękkim, brudnym i przesyconym zapachami. Ale jego matka wpada w szal, gdy odkrywa kocięta, i zawodzi: Żadnych dzieci, żadnych dzieci. Na oczach Rune'a i jego siostry topi maleństwa w kubie w garażu.

Ojciec był bierny. Jego też widzę, siedzi w fotelu, podłużna, blada, znękana twarz. Mogłabym go narysować. Skąd się biorą te obrazy?

„Z wielką przyjemnością zostanę tobą – zadeklarował Rune – a raczej z wielką przyjemnością zostanę tobą jako mną lub mną jako tobą”. Stał na rękach i przeszedł po podłodze, ledwie kilka metrów, ale i tak mi zaimponował. Gdy mu się przyglądałam, miałam chwilowy odlot, wrażenie utraty siebie i patrzenia na świat, jak gdyby właśnie został stworzony, przed chwilą, w całej swej dziwności. Przytrafiało mi się coś takiego, gdy byłam dzieckiem. Na przykład nagle odkrywałam nosy i przeżywałam fascynację nimi – weźmy nozdrza, niektóre z włoskami, bladymi i skrzyconymi lub jak grube, czarne druciki. Czym były te dwie dziurki na twarzy wielorakich otworów? Niektóre ściśnięte i wąskie – szparki skrywające kanały, które prowadziły w nieznanne; inne rozszerzone i zaokrąglone, wielkie i ziejące bądź zaczerwienione i wilgotne od śluzu.

Być może myśl tę sprowokowała jego pozycja do góry nogami. Kiedyś marzyłam o tym, żeby przekreślić swój pokój i chodzić po suficie. Gdy mu o tym powiedziałam, popatrzył na mnie ze zdziwieniem. Kirsten i ja też o tym marzyliśmy, powiedział. Kirsten to jego siostra.

## Harriet Burden

Zeszyt „O”. Piąty Krąg (odnaleziony przez Maisie Lord 13 czerwca 2012)

5 czerwca 2001

Sama na Nantucket i tęsknię za Brunonem. Jest ze swoimi „dziewczynami”. Nieufną Jenny, ciężarną Lizą (z pierwszym wnuczęciem) i zapatrzoną w niego jak w obrazek Cleo. Zachowują dystans wobec kochanki ojca i kilka tygodni temu uzmysłowiłam sobie, że jest mi wszystko jedno. Nie muszą mnie lubić. W przyszłym tygodniu przyjeżdża Maisie z Oscarem i Aven. Może przyjedzie też Ethan. Mój syn: Ethan. Może. Wypatruję oznak czułości u mego sztywnego chłopca. Wyobrażam sobie wylewny, długi uścisk, nagłą erupcję miłości i podziwu dla mnie, jego mamusi, ale to nie w jego stylu. Nie przekabacę Ethana. Lubi czytać, tak jak ja. Czyta cały czas, a ostatnio kobiety: Simone Weil, Suzanne Langer, Frances Yates. Nadzieja dla Ziemi. Ale jest surowy, mściciel uciśnionych, wróg systemu. Sprzedaj dom na Nantucket! Sprzedaj kolekcję sztuki! Zlikwiduj fundusze i rozdaj pieniądze. Ethan Lord we włosiennicy, posypujący głowę popiołem. Są dni, kiedy przypomina mi jezuitę oddającego się ciągle swym oczyszczającym praktykom. A ja potykam się i upadam, nieczysta i winna. Na szczęście dzisiaj przez telefon zmienił płytę i spytał mnie, czy czytałam *Poetykę marzenia* Bachelarda, a ja zacytowałam mu jedno zdanie: „Słowa nasycają się wtedy innymi znaczeniami, jak gdyby miały prawo być młode”<sup>50</sup>. Ethan zachichotał i powiedział: Ale chyba żeby to zrozumieć, trzeba mieć swoje lata. I ten jego śmiech odbieram jako miłość.

Mały Ethan wmaszerowuje do domu po dniu spędzonym w przedszkolu. Widzę, jak wnosi do szafy stertę puzzli, zapala latarkę, siada i zamyka za sobą drzwi. Wiem, co robi. Zaczyna jedną układankę, kończy ją i zabiera się do następnej. Po półgodzinie delikatnie pukam do drzwi i kreskówkowym głosem pytam: Jakież wieści z szafy? Dwanaście, odpowiada śpiewnie, albo czternaście, albo szesnaście.

Felix odzywa się w ciemności sypialni: „Myślisz, że nasze dziecko jest normalne?”.

Tak, tak, tak, odpowiadałam. Po prostu jego umysł funkcjonuje inaczej.

Wiele odcieni Felixa w naszym letnim domu: pieszczoty i klapsy. W przedpokoju stoją jego kalosze i wyczarowuję go, jak odchodzi w stronę plaży w lodowatym deszczu, i przypominam sobie, jak mnie to podniecało, gdy oglądałam Felixa od garniturów i krawatów

w starym swetrze i niebieskich džinsach, i że tutaj, na Nantucket, był niemal innym człowiekiem, o ile nie rozmawiał przez telefon. Dzisiaj dotknęłam kamieni, które wciąż się kurzą w szerokiej, płytkiej kryształowej misie na komodzie. Przynosił je po jednym całym latami. Lubił zalewać je wodą, żeby wydobyć wszystkie kolory. W zeszłym roku nawet nie zauważałam tych kamieni, nie myślałam o nich. Teraz cała krwawię emocjami, gdy na nie patrzę. Pamiętam, jak rzuciłam w niego czasopismem, jego zdziwione spojrzenie. Skup się! – wrzasnęłam. Słuchaj, jak do ciebie mówię! Kolaż zdjęć w kuchni. Ethan i ryba: przerażony sześciolatek podnosi małego tasergala. Rozpromieniona Maisie u taty na rękach, z górną wargą wilgotną od brudu i smarków. Felix odwraca się do niej, refleksyjny, delikatny, z uniesionym kącikiem ust. Ten dom. Brodzą w ruinach tego, co było.

Jutro przyjeżdża Rune. Niemądrze byłoby zatajać tę wizytę przed Brunonem, więc mu powiedziałam. Długi weekend. Od czwartku do niedzieli. Rozmowy o projekcie. Chcę zgłębić go jeszcze bardziej. Nadaje się do roli, ale muszę odnaleźć właściwą pracę.

Pamiętaj: jutro idziemy do Straight Wharf na miecznika, pasztet z tasergala i te małe krakersiki.

Oglądam *Dziennik Rune'a*. Ciągnie się i ciągnie. Za dużo do oglądania. Wizualne przeładowanie.

Tuż przed wyłączeniem filmu: jakiś pomocnik filmuje Rune'a na przyjęciu. To znaczy, że są dwie kamery. Jedna widoczna, druga niewidzialna. Rune uśmiecha się, gestykuluje. Mruży oczy z zainteresowaniem, gdy flirtuje z kobietą w wąskich zielonych okularach, z włosami w kolorze fuksji obciętymi na boba. Rune śmieje się głośno, macha na pożegnanie i odwraca się do niewidocznej kamery. Ale na jego twarzy nie ma już śladu po ożywieniu sprzed chwili. To przejście jest zbyt gwałtowne. Nasze uczucia zwykle utrzymują się przecież przez kilka sekund. Zadaję sobie pytanie, co się kryje za jego wesołością.

czwartek, 7 czerwca 2001

Odebrałam go z lotniska o trzynastej trzydzieści i widząc, jak szeroko się uśmiecha i zamasyście do mnie macha, od razu poczułam wyrzuty sumienia w związku z myślami, które naszły mnie poprzedniego wieczoru. Żartował z mojej furgonetki, tego kochanego starego grata, ale cóż na to poradzę, że ciągle jest na chodzie.

Pochwalił dom: letnia rezydencja z prawdziwego zdarzenia, nie jakiś gargamel, nie rozbuchany letni pałac jak niektóre z tych potworków w Hamptons. Pokazałam mu pracownię.

Pokazałam mu moich malutkich chórzystów do *Świata*. Wszystkie usta otwarte w śpiewie.

Zjadł ze smakiem miecznika i napił się wina. Wyglądaliśmy przez okno na plażę i wysokie, kołyszące się trawy, które niemal szerniały na tle nocnego nieba – kobaltowego, prosto z tubki. Tylko kilka chwil dziwności, gdy pomyślałam: Co on tutaj robi? Co ja robię? Może to ja jestem szalonym naukowcem.

Obserwowałam, jak się porusza. Podziwiałam w milczeniu jego wdzięk. Coś, co pomaga w świecie – wdzięk. Jego lewa ręka (dzisiaj zrozumiałam, że jest mańkutem) wystrzela w powietrze z otwartą dłonią, gdy chce coś podkreślić, a słowa wypływają z niego niespiesznie i bez większych emocji. Głos ma niski i kojący i uśmiecha się dość rzadko, ale kiedy już to robi, odnosi się wrażenie, jakby się dostało nagrodę. Ma w sobie ciekawość i przeczytał dużo różnych książek, ale uwodzi nie tym, co mówi. Uwodzi wiarą we własną moc uwodzenia.

Po kolacji zalegliśmy na dwóch czerwonych sofach w salonie. Rune palił, a ja wdychałam zapach papierosów, woń kojarzącą mi się z moim małżeństwem. Przekonałam się, że z Rune'em nie ma szans na pojedynkę idei, nie ma sensu próbować z nim dojść do racjonalnego konsensusu. Jest krytykiem wszystkiego jak leci, na oślep, ze stosownymi cytatami w zanadrzu, z zapamiętanymi datami, nieprawdopodobnymi skojarzeniami i nielogicznymi uwagami. Kwiecień 1938: osiem dni po referendalnym „tak” Austrii dla niemieckiego Anschlussu na amerykańskiej scenie po raz pierwszy pojawił się Superman. Markiz de Sade, poinformował mnie, urodził się drugiego czerwca 1740 roku. Następnego dnia, trzeciego czerwca, wstąpił na tron król Prus Fryderyk i jedną ze swych pierwszych decyzji zakazał tortur. Nie dziwi mnie, że Rune uległ modzie i zainteresował się markizem, pożądaniem jako powtórzeniem, ciałem jako maszyną, ponurym przeniesieniem oświeceniowej racjonalności na sferę seksualną. Uważasz się za libertyna? – spytałam go. I odpowiedział, że nie, jedynie za przetwarzającą informacje maszynę z danymi wejściowymi i wyjściowymi, podłączoną do silnego popędu seksualnego. Zacytował Nietzschego: „Człowiek jest czemś, co pokonanem być powinno”<sup>51</sup>. (Sypie cytatami z Nietzschego jak z rękawa).

W okamgnieniu przeskoczył na J.G. Ballarda i jego wystawę rozbitych samochodów z 1970 w New Arts Lab. Lepsze niż Duchamp, lepsze niż Warhol, oznajmił. *Crashed Cars* to wystawa sztuki *par excellence*. Książka Ballarda *Kraksa* zapowiadała „nową wzniosłość”, erotyczną eksplozję metalu, szkła i rozczłonkowania. Ale cudowności zderzeń to nie wszystko, Ballard był prorokiem, wieszczem, heroldem przyszłych czasów. Czyż muzea sztuki nie

zamieniły się w disnejowskie pałace, tak jak przewidywał? Czyż wyrocznia nie powiedziała: „Prędzej czy później wszystko zamieni się w telewizję”<sup>52</sup>? Czyż nie prorokował: „W epoce postwarholowskiej pojedynczy gest taki jak wyprostowanie skrzyżowanych nóg będzie miał głębsze znaczenie niż wszystkie strony *Wojny i pokoju*”<sup>53</sup>? Gdy zadałam pytanie, co znaczy to ostatnie stwierdzenie, Rune rzucił: Czy to nie oczywiste? Powiedziałam: Nie, wcale nie, ale on już przeskoczył na Philipa K. Dicka i wszystko, co z nim związane, jak strasznie go lubi, kolejny wielki szaman naszych czasów, urodzony w 1928, zmarły w 1982, jeszcze młody, miał tylko pięćdziesiąt cztery lata – paranoik, nałogowiec, pięć razy żonaty, halucynacje, quasi-religijne manie, ale och, jaki cudowny. Czyż Dick nie powiedział: „Wszyscy wiedzą, że Arystotelesowska dwuwartościowa logika jest gównem warta”<sup>54</sup>?

Spytałam go, czy Dick opowiadał się za logiką trójwartościową. Logika Boole’a też ma dwie wartości, powiedziałam, niezbędne w informatyce. W skład trzech wartości wchodzi: prawda, fałsz i nieznane lub niejednoznaczne. Czy to właśnie proponował? Czy raczej wybiegał myślami jeszcze dalej? Ku twierdzeniu o niezupełności Gödla? Czy naprawdę to rozumie?<sup>55</sup>

Rune przywykł olśniewać ludzi takimi sentencjami, ale nie przywykł tych sentencji bronić. Pomimo swojej ignorancji po prostu uśmiecha się, wyciąga otwartą dłoń i oznajmia mi, że jestem zbyt poważna.

A gdybym ja taka była? Gdybym po prostu machnęła ręką na sprzeczności? Przyjemnie byłoby odgrywać zblazowanego bohatera o rozdętym ego, którego słowa, nieprzemysłane i bezsensowne, ściągają ku niemu zachwycone spojrzenia.

Mam przed oczami ojca. Twoja logika, ojczyste, opierała się na konsekwencji powiązań, nie na nieprzeniknioności tak zwanego prawdziwego życia. To była logika spętana. W tym całym szkopu. Twoje prawdziwe i fałszywe sądy funkcjonują idealnie tylko we własnej hermetycznej sferze.

Błędem jest stosować logikę wobec ludzkiego życia jako całości, myśleć, że logika „przebudzi” maszyny.

Ale potem Rune opowiada, że kiedyś było dwoje Dicków, Philip K. i jego bliźniacza siostra Jane Charlotte, która zmarła po sześciu tygodniach, i jej duch nawiedzał twórczość brata. O śmierć Jane Philip K. najwyraźniej obwiniał matkę. Nikczemne łono zabiło jego siostrę? Ostatecznie był tam, w środku, razem z nią. Matka zaniedbywała ją dla niego? Niestety żadnych szczegółów nie uzyskałam. Rune się nakręcił.

Zmarła dziewczynka przywiodła nas do luster, sobowtórów i duchów, które nigdy nas nie opuszczają, i do starej historii o dwóch płciach jako rozszczepionych połówkach jednej całości. Opowiedział mi o swojej siostrze Kirsten, której zawsze zwierzał się ze swoich sekretów. Gdy byli dziećmi, wynaleźli szyfr, żeby mogli sobie przekazywać nieczytelne dla rodziców wiadomości. Nadali mu nazwę runsten. Zbudowali z pudełek i kawałków drewna fort i przeprowadzili w nim sekcję martwego pisklęcia. Ja z kolei powiedziałam mu o poronieniach mojej matki i że zawsze się zastanawiałam, czy ojciec nie wolałby syna. Może jedno z tych, które nie przeżyło, było chłopcem.

Później Rune rozgadał się o artystach, o których nigdy nie słyszałam, i zrozumiałam, że dysponuje encyklopedyczną wiedzą o aktualnościach – o tym, co w tej minucie wystawia się w galeriach w Chelsea. Godne podziwu, ale po pewnym czasie mój umysł zostawił jego słowa dla moich, niewypowiedzianych, tych, którym się wydaje, że mają prawo być młode, i oddalają się w poszukiwaniu nowych znaczeń, i w pewnym momencie przerwałam mu, żeby porozmawiać o naszej pracy. Powiedziałam, że nasz projekt będzie musiał ukryć szew, rozcięcie między jego sztuką a moją. Musiałam dowiedzieć się o nim czegoś więcej. Była to kwestia stawania się.

Stawania się mną?

Nie, odparłam, podwójnej świadomości. Połączenia ciebie i mnie. Mam nadzieję, że doprowadzisz mnie do czegoś nowego. Podniosłam głos. Że dzięki tobie poczuję oszołomienie wygnańca.

Jego twarz znieruchomiła, straciła jakikolwiek wyraz, co wcześniej widziałam na filmie. Zero odpowiedzi.

Z twoim nazwiskiem na mojej pracy, powiedziałam, to *już* będzie co innego. Sztuka żyje wyłącznie w percepcji siebie. Jesteś ostatnim z trzech i jesteś kulminacją. Sama słyszałam trzaskający ogień pasji w swoim głosie. Zmieniłam ton na stateczny i spokojny.

Podobał mu się pomysł naszej mistyfikacji, ale moje idee wydawały mu się przestarzałe, nieco nudne. Żyjemy w postfeministycznej erze wolności płci, transseksualności. Kogo obchodzi, która jest która? Mnóstwo kobiet uprawia teraz sztukę. Gdzie toczy się bitwa?

Nie, odpowiedziałam, tu chodzi o coś więcej niż płć. Cała historia, którą tworzę, to eksperyment. Dwóch za mną, jeden przede mną. Potem wycofuję się z gry. Znajdziemy jakiś projekt, powiedziałam. Czyż *Banalność glamour* nie skupiała się głównie na twarzach i ciałach kobiet? Musi chyba wiedzieć, że kobiety żyją pod presją, jakiej mężczyźni nie doświadczają.

Poznałam na własnej skórze okrucieństwo kultury piękna. Wiedziałam, o czym mówię.

Posłał mi łagodny uśmiech i powiedział: Harry, ty masz swój styl, swoją elegancję, swoją specyficzną odmianę kobiecości. Chciał być miły, ale we mnie się zagotowało – zaciśnięte pięści, wzbierająca furia. Zafundował mi protekcjonalność, rekompensatę. Nie martw się, Harry, ty też się liczysz, mówił, nawet jeśli wyglądasz śmiesznie. Najeżyłam się i warknęłam: Ale nie o to chodzi. Chodzi o pułapkę, zduszenie. Odwróciłam twarz.

U Rune'a ani śladu urazy: Chcesz mnie przywdziać na jedną wystawę. Nieźle powiedziane: „przywdziać mnie”.

Potwierdziłam, że tak, dokładnie tak, tylko że zamiast „przywdziewać go”, być może znajduję coś nowego w sobie. To właśnie próbowałam mu wytłumaczyć.

Oblizął zęby i spytał mnie, co rozumiem przez „coś nowego”.

Nie wiem. Nie wiem. Nie wiem.

Potem już rozmowa się nie kleiła. Jestem teraz zmęczona, bardzo zmęczona.

Jutro wyciągamy maski.

piątek, 8 czerwca 2001

Chowałam się cały dzień, nie odzywając się do niego. Wcześniej poinformowałam go o panujących w domu zwyczajach – o śniadanie i lunch musi się zatroszczyć sam. Patrzyłam przez okno pracowni, jak z książką w ręku sady susy w stronę plaży, widziałam, jak się przechyla i strzepuje piasek z pięty, a potem przypala papierosa. Wyciągnęłam dla Rune'a kilka popielniczek Felixa. Nie przestawałam myśleć o jego chirurgicznych filmach wideo, gdy pracowałam nad głową do rzeźby. Kontrolowane okaleczenia przywiodły mi na myśl jego ukochane kraksy – krwawa estetyka.

Twarze. Ta twarz. Ognisko tożsamości. To, co widzi świat. Moja stara twarz.

Co się dzisiaj stało w pracowni, Harry? Przemyśl to.

Harry, martwiłaś się. Byłaś niespokojna. Bądź szczerą. Gdy rozpakowałaś maski, zlekkałaś się trochę, prawda? Ale dlaczego?

Nie byłaś pewna, czy się zgodzi. O to się martwiłaś?

Ale gdy je zobaczył, twarz męską i twarz żeńską, gdy zobaczył twoje maski, uśmiechnął się, a potem przesunął palcem po żeńskiej twarzy, podniósł ją i nałożył na swoją.

Zdjął ją i dobrze jej się przyjrzał. Obie są zupełnie bez wyrazu, stwierdził.

Takie stworzyłam.

Jak maski teatru nō, zauważył, a ja na to, że tak, trochę jak maski nō, ale lekkie i elastyczne. Różnica między tymi dwiema jest nieznaczna: kształt brody.

Chcę je wykorzystać, powiedziałam, jako część naszego eksperymentu. Zamienimy się płciami i zabawimy się w mały teatr. Będzie super, powiedziałam. Wchodzisz w to?

Są jakieś reguły? – spytał.

Żadnych reguł, odparłam. On odnajdzie kobietę, a ja mężczyznę.

Chciał to sfilmować swoją kamerą stacjonarną. Mógł ją szybko rozstawić. Zdobędzie materiał do dziennika.

Utrata tchu w twojej piersi, Harry. Przyspieszone bicie serca, poczucie zagrożenia. Dlaczego? Bałaś się oczu tej maszyny? Czy będę źle wyglądać? Będę wyglądać komicznie? Zaznaczyłam, że muszę dostać kopię. Zgodził się. Ale to nie wszystko, Harry. Przyjrzyj się sobie. Nie bałaś się, że otwierasz drzwi, których może nie uda ci się już zamknąć?

Dochodzi północ, ale muszę to spisać teraz, bo utracę świeżość, utracę moc tego doświadczenia, bo cokolwiek znalazło się na tym przeklętym filmie, to na pewno nie moje wnętrze, nie moje obserwacje, nie magia przeobrażenia.

Początkowo szło nam opornie. Czuliśmy się niezręcznie, głupio. Powiedziałam mu, że jestem John. John mu się nie spodobał. Dlaczego akurat John? Takie bezbarwne imię. Musiałam mu wyjaśnić, że w dzieciństwie bawiłam się w Johna. W przygody Johna. Kapitan John na statku podczas huraganu, żołnierz John zabija hitlerowców, John w jaskiniach. Nie powiedziałam, że przerzucałam się z Johna na Mary, Mary, którą John ratował, mdlejącą, delikatną Mary, która uwielbiała, gdy się ją ratowało. Zgodziłam się zrezygnować z Johna. Beznadziejne imię, dobra. Gdy tylko Rune włożył maskę, zaczął się więc i krygować, unosić i opuszczać barki. Powiedziałam mu ostro, że jest kobietą, a nie drag queen. Żadna kobieta się tak nie porusza, na litość boską, na co on wypalił: Chcesz się założyć? Ale po kilku minutach zaprzestał tej żalösnej parodii. Oznajmił, że ma na imię Ruina.

Zwariowane imię, stwierdziłam, ale Ruina brzmi całkiem śmiesznie. Kobieta o zrujnowanej reputacji. Ruina Ruiny/Rune'a, biedactwo.

Maska zmienia wszystko.

Zmienia dużo bardziej, niż to sobie wyobrażałam, gdy zaczęliśmy grać.

Rune powoli zniknął.

Patrzyłam na tę pustą twarz o miękkich, różowych ustach bez wyrazu, łukowatych



brwiach i wąskiej brodzie, twarz przytrzymywaną nad uszami grubą gumką. Rune zmienił głos na cieńszy i mówił ciszej. Powiedział, że lubi rysować. Potem spojrzął na swoje kolana i znów do góry. Jego oczy za maską przez chwilę zatrzymały się na moich, nim odwrócił wzrok. Muszę spróbować to sobie wyjaśnić. Dlaczego od tej serii ruchów poczułam, jakbym dostała obuchem w łeb? Przecież tworzył postać, prawda? Zaczerpnęłam powietrza. Pod maską czułam, że moja twarz jest coraz bardziej rozpalona. Maski się nie ruszają, ale gdy patrzyłam na niego/nią, wydawało mi się, że zastygłe usta drżą, jak gdyby poprzez to spuszczenie, podniesienie i odwrócenie wzroku uchwycił coś kobiecego, co wydało mi się straszne.

Richard, powiedziałam, Richard Brickman. Te słowa pojawiły się w moich ustach i wypowiedziałam je. Gdy teraz na nie patrzę, zapisane na papierze, uśmiecham się. Richard, jak Ryszard Lwie Serce, jak *Ryszard III* Szekspira, jak Nixon, w zdrobnieniu Dick, *dick*, czyli penis, inaczej *prick*, jak w *More Pricks than Kicks* Becketta. Czymże jest nazwa? Śmieszny wybór, boki zrywać. A Brickman, od *brick*, cegła? Musimy się w to zagłębiać? Cegły są oczywiście twarde. Oczywiście stabilne. Oczywiście trzy małe świnki. Pamiętasz, Harry, który dom przetrwał? Dmuchał raz, dmuchał drugi i trzeci, ale domek nawet nie drgnął. A *man* w Brickman? Harry, jesteś Panem Naddetereminacją<sup>56</sup> we własnej osobie. W każdym razie zjawił się, zjawił się Richard Brickman, jak podmuch z niebieskich płuc starej Harry wnikający w fioletową przestrzeń między nim a Ruiną, tym skulonym chucherkiem. Miała swoją historię. Miała marzenia, wielkie, żalosne rojenia o sukcesie. Rune kreował ją dla mnie, dla Richarda. Nie była artystką, nie, jedynie ilustratorką. Jej wielkim pragnieniem było tworzyć ilustracje do książeczek dla dzieci. Gdzie znalazł tę nieśmiałą, pełną nadziei istotę? Zastanawiam się teraz, ale wtedy się nie zastanawiałam. W swojej matce, siostrze? Byłam zbyt zaabsorbowana Richardem i Ruiną, cudem ich rozmowy.

Usiadłam naprzeciwko maski, Ruiny, która miała za sobą jasne światło popołudniowego słońca. Patrzyłam, jak bawi się poduszką na kolanach, a w tle czerwieni się wyblakłe bawełniane obicie sofy. Moja postawa się zmieniła. Siedziałam teraz z rozstawionymi szeroko nogami, pochylona do przodu, opierając łokcie na kolanach. Ale czy ty umiesz rysować? – zażądałam odpowiedzi. Umiesz rysować?

Nie chciała się przechwalać, ale trochę rysuje, tak, i rysuje coraz lepiej i ma nadzieję na jakiś przełom, może zostanie przedstawiona odpowiedniej osobie. Możliwe, że ja pomogę. Głowa w masce poruszała się do góry i do dołu, do przodu, do tyłu. Została wprowadzona w ruch,

nasza Ruina, kiwająca się głowa niezdecydowania i nerwowy śmiech. Tak trudno jej było o coś poprosić. Wzdragła się przed tym i do jej głosu wkradła się wysoka błagalna nuta.

Gdy tak miauczała i wzdychała, zaczęła budzić we mnie pogardę. Weźże się w garść. Jeśli czegoś chcesz, wal prosto z mostu, o co chodzi.

I wtedy, coś potwornego, Ruina zniżyła głos do szeptu. Mówiła tak cicho, że trudno ją było zrozumieć. Czyżby prosiła o przysługę? Z opuszczoną nisko głową mamrotała pod nosem tak cicho, że słowa zlewały się w jeden szmer.

Mów głośniej! – zagrzemiał Richard. Nie był to krzyk, tylko stanowczy rozkaz, żeby mówiła wyraźniej, żeby można ją było usłyszeć. Jaki ma sens rozmowa z kimś, kogo nie da się zrozumieć, kto nie jest w stanie porządnie wyartykułować zdania? Do niczego byśmy nie doszli.

Jęknęła. Od tego dźwięku aż zmrużyłam oczy, aż mną zatelepało. Brzydzę się tobą. Skomlesz jak kopnięty pies. Kto to powiedział? Richard, ten bezduszny sukinsyn.

Rozległy się piskliwe protesty Ruiny. Nagle się ożywiła. Na swój nieudolny sposób próbuje walczyć. Jej głos wskakuje na nowe rejestry, cienkie, przeszywające odgłosy bólu. To podłe. Jest pan podłym, okropnym człowiekiem. I pochlipywanie.

Nie jestem podły. Jestem rozsądny. Słyszysz mnie? Po prostu przemawia przeze mnie zdrowy rozsądek. Ty z kolei zachowujesz się jak rozhisteryzowana gówniara. Masz przestać, w tej chwili.

Ruina płacze. Przyciska poduszkę do zamaskowanej twarzy. Wyobrażam sobie, że maska się porusza. Widzę kąciki ust wędrujące w dół i czuję, jak marszczy się czoło. Czuję, że złość mnie pobudza. Richard wstaje, trzema szybkimi krokami przypada do sofy. Chwyta Ruinę za ramiona i zaczyna potrząsać. Jest bezwładna jak szmaciana lalka. Podnoszę rękę i uderzam. Mocno. Głowa w masce odskakuje do tyłu i Rune się śmieje. Ten śmiech mnie rozwściecza. Wdziera się we mnie. Odsuwam ręce od ramion Rune'a. Wydaję z siebie dźwięk, głuche warknięcie. Koniec gry.

Zdejmujemy maski.

Jestem wstrząśnięta, wręcz zszokowana. Rune nie posiada się z radości. Powtarza jedno zdanie: Mamy to nagrane.

Ale Richard i Ruina wytrącili mnie z równowagi. Powiedziałam mu o tym, gdy przecinał gumki, którymi obwiązane były gotowane na parze homary. Dlaczego to się potoczyło w tym kierunku? Kto nas tam doprowadził? Dlaczego Rune postanowił, że Ruina będzie taka płacziwa?

Czy takie ma wyobrażenie o kobietach? Chciałam o tym rozmawiać, ale on na to, że wiecznie chcę wszystko analizować i że trzeba wiedzieć, kiedy powiedzieć dość. Superzabawa, prawda? Jego dobry humor przyniósł mi dziwną ulgę, ale wciąż byłam niespokojna. Nasza intryga, powiedział, jest interesująca, zajebicie interesująca i on na pewno nie zamierza jeszcze spasać, o nie.

Mówił o znajomym artyście, który powiesił się w zeszłym roku. Zostawiła go kobieta, którą kochał.

Biedaczka pewnie teraz czuje się strasznie, skomentowałam.

Odrzekł wtedy, że niektóre śmierci są piękniejsze od innych.

Powiedziałam, że żadna śmierć nie wydaje mi się piękna, chyba że może ta idealna, gdy umiera się we śnie w wieku stu lat.

Boże, to dopiero banał, skwitował.

Muszę to teraz przemyśleć. Muszę odnaleźć dystans. Harry stara się zrozumieć, co się wydarzyło.

sobota, 9 czerwca 2001

Rano zadzwoniłam do Rachel. Rozmawiałyśmy prawie godzinę. Chciałam jej powiedzieć o Richardzie Brickmanie, ale coś mnie powstrzymywało: wstyd. Wstydę się obojga, Richarda i Ruiny.

Ray miał operację wszczepienia stentu do tętnicy.

Harry, co się tak trzęsiesz? Kogo obchodzi ta mała teatralna inscenizacja? Czyż ten świat nie ubóstwia aktorów, zwłaszcza tych, którzy zmuszają się do skrajności, którzy się głodzą w imię autentyzmu, którzy wpadają w furję i zgrzytają zębami, którzy zamieniają się w szaleńców, sawantów albo uśmiechniętych kanibalistycznych psychopatów? Czyż nie jesteśmy wszyscy istotami z plasteliny, które można ścisnąć, rozciągnąć i dowolnie lepić? Czyż cała sztuka nie ma w sobie czegoś z tego rozszerzania się na innych? Co za problem? Przecież prawie nic się nie stało, żadnej przemocy – tylko potrząśnięcie ramionami – trochę złości, śmiech. Czym się zajmujesz?

Tym, że on tam był, Richard Brickman, w pełni ukształtowany. Kim jest ten mężczyzna?

Ale weź pod uwagę coś jeszcze – on może być ścieżką do twojego projektu. Czyż nie powiedziałam: oszołomienie wygnańca? Wygnańca w kogoś innego.

Zadzwoniłam też do Brunona. (Nigdy mu nie powiem o maskach).

Cleo jest jego wybawieniem, ale wiedziałam o tym. Jenny wbija mu szpile. Liza jest małomówna, ale znacznie miłsza dla swego starego ojca. W chwili typowej dla niego nieumiarkowanej przesady oświadczył mi, że spartaczył ojcostwo, a ja cmoknęłam z dezaprobatą, bo to nieprawda. Ostatecznie chcą się z nim spotykać. Zostawiają mężów, żeby odwiedzić papę. I Liza pozwoliła mu dotknąć brzucha, żeby poczuł ruchy płodu pod skórą, ruchy jego pierwszego wnuczęcia, i Bruno dziwi się, dlaczego to nienarodzone dziecko ekscytuje go dużo bardziej niż wtedy, kiedy stawał się ojcem. Więc mu wytłumaczyłam, że wtedy się bał, a teraz się nie boi. Nie będzie się musiał nim opiekować, pośmialiśmy się i niedługo potem rzucił jakiś komentarz o mojej lechtaczce, „wiecznie w gotowości”, powiedział, i jak bardzo jego język za nią tęskni, za tą moją lechtaczką, a ja pojęczałam na niby do słuchawki i on też zaczął się wygłupiać. Śmiech to błogosławieństwo. Spytał mnie o mojego żigolaka, śliskiego pięknisia, ale w jego tonie nie było okrucieństwa, więc nie protestowałam. Powiedziałam, że projekt się posuwa i że jest „interesujący”, pożyczając słowo Rune’a. Tak, interesujący. Zapewnienia, że nie możemy się doczekać, kiedy się znowu zobaczymy. Bruno ma nadzieję, że Francis, mąż Lizy, prawnik, którego jeszcze nie poznałam, nie uprze się, żeby dali chłopcu na imię Brandon – takie lalusiowate, takie bez jaj. Jak Bruno zniesie wnuka o imieniu Brandon? Zamierza pisać tutaj, na wyspie. Nie wracamy do tego przeklętego poematu. Wie, co chcę mu powiedzieć – spisuj memuary!

Niełatwo było mi dzisiaj pracować, gdy niepokój dygotał mi pod żebrami.

O czwartej po południu znalazłam go na sofie, leżał i czytał biografię Houdiniego. Zamachał nią i przekazał fakty – ojciec iluzjonisty był rabinem w Appleton w stanie Wisconsin; Houdini kochał swoją żonę Bess. Dwadzieścia lat przed opublikowaniem przez Kafkę *Przemiany* państwo Houdini, mąż i żona, zamieniali się miejscami w zamkniętej skrzyni i nazywali ten numer *Przemianą*. (Niemieckie słowo brzmiało *Verwandlung*, ale Rune żyje wyłącznie w świecie anglojęzycznym). Mistrz iluzji potrafił na zawołanie zwrócić połknięte klucze, wywichnąć ramię ze stawu barkowego i nauczył się, ćwicząc w wielkiej wannie, wstrzymywać oddech przez trzy minuty. Rune napomknął, że on też ćwiczy wstrzymywanie oddechu, a gdy go spytałam po co, odpowiedział, że ma swoje plany.

Chciał wrócić do naszej gry, zamienić się maskami. Teraz ja będę Richardem, zaproponował. Pomyślałam sobie, to niemożliwe, nie możesz być Richardem, nie znasz go, ale nie powiedziałam tego. Powiedziałam: Nie, innym razem. Nie byłam gotowa. Pogadaliśmy

jeszcze trochę, o głupstwach, a potem Rune stwierdził: Moim zdaniem Ruina powinna móc się zrewanżować temu draniowi, nie uważasz? Chyba miałam niewyraźną minę. Jeśli pociągniemy dalej tę zabawę, dodał, będzie musiała stawić opór, prawda? Potrzebowałam czasu, żeby to przemyśleć. Zrozumiałam, że ze strachu odcięłam się od dalszego ciągu tej historii.

Rune sądził, że może wykorzystać tę sekwencję filmową poza swoim *Dziennikiem*. Wstawimy ją do większej instalacji, proponował, może do tego, co stworzysz dla mnie. Czułam, że mi się przygląda. Starłam się symulować obojętność. A jeśli wypadło słabo? – spytałam. Oglądał już nagranie kilka razy i chciał je obejrzeć na większym ekranie. Mógłby podłączyć się do telewizora.

Oglądaliśmy zamaskowane postaci w milczeniu. Zauważyłam, że nie pamiętam sporych fragmentów naszego dialogu i że ta zabawa trwała dłużej, niż mi się wydawało. Jako widz natychmiast się zorientowałam, że bez masek ta wymiana straciłaby swoją siłę oddziaływania. Zaskoczył mnie za to mdły dialog w takiej formie, w jakiej został wygłoszony. Apodyktyczny Richard i służalcza Ruina byli typami wyjętymi prosto z melodramatu albo telenoweli, ale ich nieruchome, sztuczne oblicza – moje puste twory – uwypukliły archetypowy charakter ich pojedynku, a ich gesty nabrały pewnego patosu.

*Pathosformel*<sup>57</sup>?

Pan i niewolnik w zaciętej walce o uznanie<sup>58</sup>?

Przedstawienie, które wymknęło się spod kontroli?

Parodia kulturowa zapisana drukowanymi literami?

Czy telewizyjny obraz przedstawiał rzeczy obiektywnie? Zauważyłam, że mój zielony sweter się zdefasonował i wisi jak worek na moich wydatnych piersiach, że nad szyją bez jabłka Adama pod maską mężczyzny unosi się mój zwiotczały podbródek i że moje włosy okalają fałszywą twarz niczym kędzierzawa aureola, ale jakimś cudem te fizyczne detale nie feminizowały Richarda. Zostały przyćmione przez maskę i jej, a raczej jego, zdecydowane ruchy. I pomimo pękających bicepsów Rune'a, szerokich barków i płaskiej klatki piersiowej, jego rozedrgana Ruina, skulona i płacząca pod koniec filmu, dawała się odczytać jako kobieta. Performatywność<sup>5960</sup>. Szczegóły otoczenia, kominek, na kominku wielka koncha, reprodukcja Caldera na ścianie, wszystko zanurzone było w surowych emocjach, które przepływały między dwojgiem uczestników przedstawienia. To wszystko na niby? Obejrzeliśmy film raz jeszcze.

Rune pochylił się do przodu. Z łokciami wspartymi na kolanach, z brodą w złączonych

dłoniach – z ciałem spiętym w skupieniu. Co zobaczyłeś? – spytałam. Chyba byliśmy nieźli, przyznał. Z miejsca weszliśmy w rolę. Wierzy się nam. To takie sztuczne, ale nam się wierzy.

Kazałam mu puścić film od początku bez dźwięku.

Zrobił to automatycznie, co trochę mnie zdziwiło. Najwyraźniej rozumiał. Zaczęliśmy oglądać. Bez głosów film sprowadzał się do samych masek i gestów. Nie patrzyłam na Rune'a obok na sofie, ale wyczuwałam go. Możliwe, że słyszałam jego oddech. Nie wiem, ale nawet nie drgnął, ja zresztą też. Tych dwoje na ekranie znowu uległo zmianie. Mówili coś zza nieruchomych ust masek, ale tym razem niczego nie słyszeliśmy. Statyczne twarze zdawały się mówić, bo głowy poruszały się, unosiły lub kiwały, ale bez słów, i patrzyłam, jak tych dwoje wykonuje swój taniec, który w ciszy stał się niepokojąco erotyczny. Gesty Ruiny miały w sobie coś uwodzicielskiego, co podsycalo brutalność Richarda i przyjemność, jaką z niej czerpał.

Znowu poczułam w sobie Richarda, poczułam chęć trzaśnięcia w twarz tej skulonej dziewczyny tak, żeby ją zamroczyło. Bez banalności języka wytwór mojej wyobraźni zdawał się nabierać większej wagi. Ale gdy znów przeleciały ostatnie sekundy, zaczęłam się zastanawiać, kto właściwie na końcu się śmieje. Rune czy Ruina? Wcześniej myślałam, że to Rune wypadł z roli, że zburzył teatralną czwartą ścianę, ale teraz nie byłam tego taka pewna. Wydawało mi się, że ona, Ruina, śmieje się jeszcze w trakcie naszej gry, co dodawało kolejną warstwę symulacji, a przynajmniej komplikowało ten wymyślony świat. Miałam mętlik w głowie.

Spytałam go: Kto się śmiał?

Rune rzucił mi zdziwione spojrzenie.

Nie ustępowałam. Spytałam znowu: Kto się śmiał? Ty czy Ruina? On wbijał tylko we mnie wzrok. No, mów, przybrałam ostry ton.

Rozsiadł się wygodniej na sofie i skrzyżował ręce na piersiach. Odgrywasz teraz Richarda?

Nie, powiedziałam, jestem Harry. Czuję, jak w piersi i gardle ściska mnie złość.

Harry, ale jary, zażartował.

Zniżyłam głos i powiedziałam, że pytam serio.

On cały czas żartował. Powiedział: „Maska mi kazała. Maski kazała mi to zrobić”.

A potem oskarżył mnie, że jestem zbyt poważna. W końcu sama wszystko zaczęłam, tak czy nie? Zabawy mają bawić. Czyżbym się martwiła, które z nas wygrało, na litość boską? Przecież nie mieliśmy scenariusza. Wyszło z nas, co wyszło. W czym problem? Gdzie moje poczucie

humoru?

Gdzie twoje poczucie humoru, Harry, to cudowne wyczucie komizmu? Kim był ten zamaskowany mężczyzna przetaczający się przez telewizyjny ekran? Nie tobą przypadkiem? Śmieć się głośno! Nie cofaj się teraz, Harry. Wy dwoje jesteście partnerami w tańcu z maskami, a kroki tego tańca nie będą znaczyć nic wykonywane w pojedynkę. Czyż to nie gra podwójna? Johannes i Kordelia, John i Mary, Richard i Ruina? I po co głądziłaś Rune'owi o Dorze Maar, jeśli raz jeszcze się nie podwajałaś, nawet o tym nie wiedząc?

Oto ty, Harry, na czerwonej sofie obok Rune'a, opowiadasz mu, jak Picasso zobaczył Maar w paryskiej kawiarni, gdy z dłonią rozcapierzoną płasko na blacie przesłakiwała czubkiem noża między palcami. Gdy nie trafiła, popłynęła krew. Pięciopalczasty filet. Picasso zatrzymał jej rękawiczki jako trofeum.

Picasso namalował Maar jako kobietę płaczącą, jako Hiszpanię w żałobie, ale ten stary cap lubił doprowadzać kobiety do płaczu. Na widok łez sztywniał mu fiut. Jaki z tego Picassa był dziarski mały mizogin! Opowiedziałaś Rune'owi całą tę historię, o surrealistycznych fotografiach Maar, niezrównanym portrecie *Ubu*, który zdobył nagrodę w 1936, i już nie tak znakomitych obrazach. Opowiedziałaś mu o jej załamaniu po tym, gdy Picasso ją rzucił, o jej terapii z Jakiem Lacanem, o obrzydliwym krześle ze stalowych prętów i włochatych lin, które Picasso zapakował i przesłał jej w prezencie, o zardzewiałym czerpaku łopaty, który wysłała mu ona, o grze prezentów, którą prowadzili. I o paczce znalezionej w 1982 wśród rzeczy Picassa zawierającej sygnet, który sam zaprojektował, z wygrawerowanymi literami *PD, pour Dora*. I z kolcem w pierścieniu.

Człowiek, który rozpakował sygnet, był przerażony, ale – tłumaczyłam Rune'owi – to musiała być aluzja do zabawy z nożem Maar, nie sądzisz? Patrząc na pierścień, widzi się krwawiący palec.

Nie można się bawić samemu, powiedziałam. Nawet jeśli nikogo nie ma w pokoju, musi być jakiś wymyślony ktoś.

Znalazłam dla Rune'a cytata z Cocteau: „Picasso to mężczyzna i kobieta, głęboko ze sobą spleceni. Jest chodzącym małżeństwem. Dora jest żywą kochanką, z którą zdradza samego siebie. Z tego związku rodzą się wspaniałe monstra”.

Wszyscy jesteśmy takim małżeństwem, powiedziałam mu.

A wtedy Rune rzekł: Dawno temu ktoś mi powiedział, że jesteś genialna, po prostu

genialna.

Kto? – spytałam, ale nie mógł sobie przypomnieć. Ktoś, kto mnie zna lub znał. Możliwe, że usłyszał to na jakimś przyjęciu. I to prawda, dodał. Bo jesteś genialna.

Byłam taka zadowolona. Połechtana komplementem czułam, że staję się uległa, elastyczna, szczęśliwa. Skieruj ciepłe światło na biedną starą Harry, a zacznie się topić jak masło.

Milczeliśmy i słuchaliśmy oceanu. Chodźmy na plażę, zaproponowałam. I poszliśmy. Księżyc był szparką światła, jaśniejącą bladą przestrzenią na niebie, odsłoniętą chwilowo przez gęste, płynące chmurzyska, i spoglądaliśmy na te cumulusowe kłęby z podświetlanymi szarościami, i przypuszczam, że oboje widzieliśmy to samo, bo zagwizdał. Zeszliśmy nad wodę i pozwoliliśmy, żeby fale obmywały nam stopy po kostki. Czułam, że jesteśmy przyjaciółmi.

To było zaledwie godzinę temu, ale w pamięci zmieniałam już obraz. Wydaje mi się to dziwne. Nie jestem już w sobie. Widzę nas z tyłu, jak stoimy na plaży, dwie wysokie, niewyraźne sylwetki w wątej poświacie księżyca. W pewnym momencie odwracamy się, idziemy po piasku i wchodzimy na ścieżkę z szarych desek, która prowadzi do domu. Gdy życzy mi dobrej nocy, uśmiecha się. Mówi, że to był wspaniały dzień, banał, ale przecież tak się mówi. To był wspaniały dzień.

Potem pocałował mnie delikatnie w oba policzki i znowu powiedział dobranoc.

niedziela, 10 czerwca 2001

Epilog:

Dziś wieczorem napawałam się pustką w domu, zjadłam makaron z kopą jarzyn i czytałam Emily Dickinson. Emily płonie.

Mój – Prawem Białego Wyboru!

Mój – z Królewskiej Pieczęci!

Mój – Znak w Szkarłatnym Więzieniu czego

Krata – nie więzi!<sup>61</sup>

Rune z kolei jest cichą melodią, która zagnieździła się w mojej głowie i brzęczy w niej raz po raz. Rune wciąż tu jest pod postacią pieśni wątpliwości. Widzę jego opaloną twarz przy



kolacji, gdy raz jeszcze słucham, jak rozwodzi się o sztucznej inteligencji, płytki i niedojrzały, ale w jakiś sposób żywy: „Mechaniczne i ludzkie libido”. Wymyśliłam nowe obrazy Rune’a: świński blondynek z nosem w powieści science fiction. Widzę, jak buduje na podwórku maszynę. Widzę go w ciemnym kinie, z oczami błyszczącymi od jasnego ekranu, gdy ogląda inwazję kosmitów. Musiał się czuć jak kosmita, w Iowa, ze swoją siostrą. Widzę pola kukurydziane i czerwone stodoły. Nigdy nie byłam w Iowa. Powielam kalki.

Wczoraj – to chyba było wczoraj – muszłą w piasku wykaligrafował cytat, gdy siedzieliśmy na plaży. Pochodził z *Manifestu futuryzmu* Marinettiego z 1909 roku: „Będziemy świadkami narodzin centaury i niebawem zobaczymy anioły w locie”. Gdy mu powiedziałam, że Marinetti był szaleńcem, w dodatku odrażającym, odparł, że uwielbia ludzi szalonych i odrażających. Kocha ogień, nienawiść i prędkość. W przemocy kryje się piękno, powiedział. Nikt nie chce tego przyznać, ale to prawda. Spojrzałam na jego przedramię, brązowe pod białą lnianą koszulą, rękawy podwinął do łokci, na głowie miał baseballówkę. Spierałam się z nim. To faszystowska estetyka, stwierdziłam, i żeby dostrzec piękno w okaleczaniu i płynącej krwi, trzeba się mocno zdystansować od tych, których to dotyczy. Ale Rune nauczył się, że szybki werbalny lub wizualny kopniak wywołuje gwałtowne reakcje, a on potem tylko je obserwuje, rozsiadłszy się wygodnie. Jest zwolennikiem łatwego buntu, takiego, za który nie trzeba płacić. Ale właśnie tego rodzaju osobowość jest idealna do mojego planu. Poderwą się z miejsc i zauważą.

To coś mrocznego, ta niewytłumaczalna bryła budzi w tobie prawdziwe wątpliwości, Harry. I ta mroczna rzecz nie tkwi w Runie, ona tkwi w tobie, prawda? W tobie pod postacią Richarda Brickmana. I Rune o tym wie. Jest wyczulony na rzeczy niewypowiedziane, zupełnie jak ty. Widzę, jak podnosi maskę i ją nakłada. Tego przecież chciałaś, prawda? Chciałaś gry. Ale jest lęk przed podnieceniem płonącym między twymi nogami, zrodzonym z tej gry, niekontrolowanym. Tajemnica: Rune pociąga mnie tylko wtedy, kiedy jestem Richardem, a on Ruiną, ale żeby grać, trzeba przyjąć obie role. Oto moje wyznanie. Czy odważę się to powiedzieć doktorowi F.?

Jestem odpowiedzialna za ten dramat (cokolwiek to jest). Ja, Mistrzynie Teatru Masek, stworzyłam cały ten kram. Rune podporządkował się, nic więcej. Grał dobrze. Był chętny, ale przecież to było moje przedstawienie, prawda? Gdzie przebiega granica między tymi dwoma wymysłami, Harry, tymi absurdalnymi istotami w maskach na ekranie? Możesz wytyczyć tę linię? Zdradziłaś za dużo? Odstłoniłaś się? Tak brzmi melodia twojej wątpliwości.

I teraz, gdy spisujesz te słowa, widzisz swego ojca, jeszcze nie starego, jak siedzi w milczeniu u szczytu stołu w mieszkaniu przy Riverside Drive, niema statua. Potem widzisz swoją starą matkę wiele lat później, w liliowym szlafroku w szpitalu. Opowiada ci o tym, jak ukarał ją za to, że chciała mówić. Karą było jego milczenie, a ty, Harry, wyrzucasz z siebie słowa: To było okrutne! On był okrutny! Twoja matka się zgadza. To było okrutne.

Tego jestem pewna: sprawa ma więcej niż jedno dno.

## Rachel Briefman

(relacja pisemna)

Przyznaję, że bywały chwile, kiedy ekscytacja Harry jej pseudonimowym projektem wydawała mi się dość męcząca. Podczas naszych cotygodniowych spotkań przy herbacie opowiadała mi z błyskiem w oku o obszernych tekstach, które czytała, i jak lektury te wpisują się w jej plany. Pokazywała mi rysunki i wykresy, wręczała rozprawy filozoficzne i prace naukowe o systemie neuronów lustrzanych, oczekując moich opinii o tym wszystkim. Od czasu do czasu jakiś artykuł lub książka przykuwały moją uwagę, ale często musiałam się tłumaczyć, że nie mam czasu się przez nie przedzierać. Nigdy nie poznałam Rune'a, nie widziałam też na własne oczy, jak Harry projektuje lub konstruuje swoją instalację, ale regularnie ją ze mną omawiała i wiecznie martwiła się, jak bardzo ryzykują, wprowadzając elementy, których on nigdy wcześniej w swoich pracach nie stosował. Wiem, że wyobrażała sobie wielki triumf czekający na nią na końcu tunelu, zadośćuczynienie za lata ciężkiej pracy i lekceważenia, i przyznaję, że ta fantazja miała zabarwienie irracjonalne; ale tym, którzy sądzą, że Harry kłamała co do współpracy z Rune'em, mówię, że to niemożliwe, tych zaś, którzy twierdzą, jakoby Harry całkowicie zatraciła kontakt z rzeczywistością i nie wiedziała, co się wokół niej dzieje, mogę jako psychiatra stanowczo zapewnić, że Harry nie była chora psychicznie. Nie cierpiała na urojenia. Jej przyjaciel Barometr owszem. Harry nie oszukiwała siebie bardziej niż przeciętny neurotyk.

Co więcej, zależało jej na zgłębieniu psychologii wiary i urojenia, które, powiedzmy sobie szczerze, często są jednym i tym samym. W jaki sposób nedorzeczne, nawet nieprawdopodobne idee są w stanie zawładnąć wyobraźnią całych populacji? Świat sztuki był jej laboratorium – mikrokosmosem ludzkich interakcji – w którym plotki i medialny szum dosłownie zmieniają odbiór obrazów i rzeźb. Ale nikt nie jest w stanie udowodnić, że jedno dzieło sztuki prawdziwie przewyższa drugie ani że rynkiem sztuki rządzą głównie tego typu niejasne pojęcia. O czym Harry wielokrotnie mi przypominała, nie ma nawet zgody co do definicji sztuki.

W niektórych jednak przypadkach urojenia stają się bardziej zauważalne. Obie byłyśmy zafascynowane przejawami tak zwanej moralnej paniki, kiedy to fale prześladowań zataczają

coraz szersze kręgi, często skierowane przeciwko takiej czy innej grupie rzekomo „odbiegających od normy” – Żydom, homoseksualistom, Murzynom, hippisom, a zwłaszcza czarownicom i diabłom. W latach osiemdziesiątych i na początku dziewięćdziesiątych dwudziestego wieku w różnych zakątkach Stanów Zjednoczonych rozwijał się kult satanistyczny, którego makabryczne praktyki prasa opisywała całkiem na poważnie. Skutkiem owej historycznej zarazy były niezliczone aresztowania, procesy, surowe wyroki i zrujnowane życie wielu ludzi. Pracownicy opieki społecznej, psychoterapeuci, funkcjonariusze organów ścigania i sędziowie, wszyscy ulegli tej panice. Ostatecznie nie znaleziono ani jednego dowodu na to, by którekolwiek z tych oskarżeń było prawdziwe. Unieważniano kolejne wyroki, jeden po drugim. Setki ludzi ogarniętych epidemią wędrujących myśli skwapliwie uwierzyły, że kobieta lub mężczyzna z ośrodka opieki, szeryf, trener, sąsiad mieszkający przy tej samej ulicy są potworami, że gwałcą i okaleczają dzieci, że piją ich krew i zajadają się na śniadanie ich fekaliami. Z umysłów dorosłych i dzieci wyłaniały się makabryczne wspomnienia, opisy czarnych mszy, sodomii i wielu morderstw, nikt jednak nie znalazł szczątków ofiar ani śladów po torturach. A jednak ludzie wierzyli. Są tacy, którzy wciąż wierzą.

Wystarczy sobie przypomnieć rozmaite historie, które krążyły po jedenastym września, że w wieżach nie zginął ani jeden Żyd i że rząd sam zaplanował tę zbrodnię. Te bajki miały swoich żarliwych wyznawców, tak jak oczywiście kłamstwa administracji Busha w sprawie tej masakry i Iraku. Łatwo zarzucić tym, którzy dają się nabrać na te teorie, że są ignorantami, ale wiara to skomplikowana mieszanka sugestii, gry, pragnień i projekcji. Wszyscy chcielibyśmy wierzyć, że jesteśmy odporni na słowa i czyny innych. Wydaje nam się, że nie przejmujemy *czyichś* wyobrażeń, ale mylimy się. Niektóre twierdzenia są w sposób tak oczywisty błędne – na przykład oświadczenia Towarzystwa Płaskiej Ziemi – że odrzucenie ich jest dla większości z nas proste. Wiele innych jednak zajmuje bardziej niejednoznaczne terytorium, gdzie trudniej jest rozdzielić to, co osobiste, i to, co międzyludzkie.

Nie wolno zapominać, że Harry od lat przeredagowywała swoje życie w ramach psychoanalizy, że rodzący się w bólach „rewizjonistyczny tekst” jej życia, jak to określała, zaczął zastępować ten wcześniejszy, „mityczny”. Ludzie i wydarzenia nabierali dla niej nowych znaczeń. Ulegały zmianie wspomnienia. Harry nie odzyskała żadnych mglistych wspomnień z dzieciństwa, za to dziewiętnastego lutego 2003 roku, zaledwie miesiąc przed otwarciem *Poniżej*, wyznała mi, że gdy sięga pamięcią wstecz, wielkie połacie jej przeszłości po prostu

zniknęły. Przy odrobinie zachęty mogłaby wypełnić te luki wymysłami. Zresztą czy większość wspomnień nie jest formą fikcji? Pamiętała rzeczy, które ja zapomniałam, a ja pamiętałam rzeczy, które ona zapomniała, a gdy wspominałyśmy tę samą historię, czyż nie pamiętałyśmy jej inaczej? A przecież żadna z nas nie kłamała. Sceny z przeszłości, oglądane z perspektywy dnia dzisiejszego, ulegają bezustannym przeobrażeniom i modyfikacjom, i tyle, i zmiany te zachodzą bez naszej świadomości. Harry zreinterpretowała wiele swoich wspomnień. Całe jej życie wyglądało inaczej.

I gdzie to się zaczyna, pytała Harry? Myśli, słowa, radości i lęki innych ludzi wnikają w nas, a my je przygarniamy. Żyją w nas od samego początku. W latach osiemdziesiątych i na początku dziewięćdziesiątych szerzyły się moralna panika, epidemia mnogich osobowości i terapia odzyskiwania wspomnień, gdy jedna osoba poddawała się sugestii drugiej, był to rodzaj masowej hipnozy lub nieświadomego przyzwolenia, które niezliczonym osobom pomagało stać się nagle wieloma, istna puszką Pandory. Terapeuci mieli pacjentów o dziesiątkach osobowości. W jednym ciele mieściły się całe populacje – jako stany ego ujawniali się mężczyźni, kobiety i dzieci. Co się za tym kryło? A potem, gdy nazwę choroby zmieniono na dysocjacyjne zaburzenie osobowości i powrócił sceptycyzm, liczba tych, u których zdiagnozowano tę przypadłość, zmalała do sporadycznych przypadków. Harry chciała wiedzieć, jesteście jedną osobą czy wszyscy jesteście wieloma? Czy aktorzy i pisarze nie zarabiają na życie wymyślaniem różnych postaci? Skąd one się biorą?

Utrzymywałam, że artyści, nawet ci najbardziej zaangażowani, potrafią odróżnić twórcę od tworu, że ta choroba, jakkolwiek ją nazwać, ma związek z traumą, i że – co nie ulega wątpliwości – tej epidemii sprzyjała postawa terapeutów, nadgorliwych i niedoinformowanych.

Harry siedziała naprzeciwko mnie, z wysypującymi się spod beretu siwymi lokami, i tak machnęła prawą ręką, że przewróciła filiżankę z herbatą i jasnobrązowy płyn rozlał się po obrusie, wsiąkając w materiał. „Tak, tak – mówiła niezrażona – ale czy artystyczne twory i alternatywne tożsamości nie powstają z tej samej podprogowej materii? Czy ci «inni» nie tkwią w nas jak postaci ze snów?”. Odpędziła zatroskanego kelnera, który przybiegł w podskokach, przykryła płamę swoją serwetką i mówiła dalej. Od pewnego czasu współpracowała z Rune'em i odgrywali we dwoje scenki, bawili się w teatr i wszystko filmowali – eksperymentowali z maskami, kostiumami i rekwizytami. I gdy wcielali się w swoje role, zaczynały się dziać różne rzeczy. Harry przytrzymała moje spojrzenie. Jakże rzeczy? – spytałam.

Przyznała, że ekscytuje ją i przeraża czasem to, co Rune z niej wydobywa, a cokolwiek to jest, wierzyła, że drzemie w niej od dawna, ale nigdy nie zostało uwolnione. Zapisałam jej słowa w swoim dzienniku tego samego wieczoru, przynajmniej tak jak je zapamiętałam. „Ten cały projekt dobiega końca, Rachel. Wkrótce tryptyk moich masek będzie gotowy”. Zaznaczyła, że Rune został osadzony w *Poniżej* jako „uosobienie wszelkiej możliwości”. Zapożyczyła te słowa od Kierkegaarda. W znacznie większym stopniu chciała wykorzystać ideę Rune’a niż samego Rune’a, ale idea jego osoby dodawała jej mobilności, otwierała różne furtki w jej wnętrzu. Głos Harry stał się głośniejszy i zauważyłam, że mężczyzna i kobieta przy stoliku obok przestali rozmawiać i zaczęli się nam przyglądać. Przyłożyłam palec do ust, dając Harry do zrozumienia, że powinna ściszyć głos, a wtedy się zaperzyła. „Właśnie o tym mówię – syknęła do mnie. – Nie tak głośno, Harry. Złącz kolana, Harry. Nieładnie, Harry”.

Poirytowana spytałam: Dobry Boże, co ja takiego zrobiłam? Zorientowałam się, że mówisz za głośno, żeby nasza rozmowa pozostała między nami, więc wysłałam ci dyskretny sygnał. Harry pochyliła się w moją stronę i burknęła: „To właśnie próbuję ci powiedzieć. Ta rzecz, ta osoba... cokolwiek to jest... jest bezwzględna, arogancka, głośna, zimna, zarozumiała, okrutna, pogardliwa i nieetykalna. Nie jest ugrzeczniona. Nigdy nie była”.

Inaczej mówiąc: jest przeurocza, zażartowałam. Uśmiechałam się, ale moja charakterystyka nie rozbawiła Harry. Wbijiała we mnie poważne spojrzenie. Zasugerowałam, że różne osobowości wydobywają z nas różne cechy, i wyjaśniłam, że często czuję się krzykliwa przy kimś, kto mówi cicho, a wycofana i nieśmiała przy kimś, kto na mnie wrzeszczy. Wszystko zależy od interakcji. Harry upierała się, że mówi o czymś nieporównywalnie bardziej dramatycznym. Nigdy nie była w stanie oprzeć się czemuś, co nazwała przyciąganiem innych. Jako dziecko zawsze posłusznie przestrzegała reguł. Rzadko bywała karana, bo nie mogła znieść myśli, że mogłaby rozczarować rodziców. Żadne z nich nie było surowe ani wymagające, ale z jakiegoś powodu zawsze czuła, że coś jest z nią nie w porządku. „Tak bardzo się starałam zamienić w dziecko właściwego rodzaju, ale na próżno”. Serce mi się krajało, kiedy jej słuchałam, ale wiedziałam, że słucham historii zredagowanej.

Harry pochyliła się do przodu, opierając się na przemoczonej serwetce. Położyłam dłoń na jej prawej ręce wdzięczna, że posadzono nas w rogu i że teraz Harry mówi tak cicho. Aż się musiałam przysunąć, żeby ją usłyszeć. Chciała wiedzieć, czy pamiętam ambitne plany, jakie miałyśmy na przyszłość. „Obie zamierzałyśmy być sławne, pamiętasz?”. Pamiętałam. Harry

uśmiechnęła się do mnie. „Pracowałyśmy nad pogłębieniem świadomości. Pamiętasz?”.

Pamiętałam. „Nic dobrego z tego nie wyszło – stwierdziła Harry. – Okazało się, że pogłębiałam fałszywą świadomość”. Została artystką, rzeczywiście, ale nie można być artystą, gdy twoje prace schodzą na drugi plan przy wszystkich innych. Nigdy w niczym nie była pierwsza. Nigdy. Harry wysunęła rękę spod mojej dłoni i spojrzała na mnie ze łzami w oczach.

Przypomniałam Harry, że w szkole była najlepsza w klasie, na co odparła: „Dużo mi z tego przyszło”. Żale Harry wypływały z niej strumieniem. Uwielbiała Felixa, powiedziała, z czym Bruno nie mógł się pogodzić, zazdrosny o jej zmarłego męża, ale to właśnie przez tę szaloną miłość do Felixa tak trudno jej było mu się sprzeciwić. Przy nim czuła się interesująca i piękna i starała się być taka, jakiej – w jej mniemaniu – Felix pragnął. „To właśnie chcę powiedzieć, Rachel. Czym jesteśmy? Czym był Felix i czym byłam ja? On był we mnie”. Zawsze próbowała odgadnąć życzenia Felixa, zawsze naginała się do jego potrzeb, i to nie było zbyt trudne, bo w głębi duszy nie wierzyła, że powinno być odwrotnie. Dlaczego on powinien się naginać do jej życzeń? Kim była, żeby o to prosić? „Uginałam się i uginałam – wspominała Harry. – Wiecznie tylko uginałam się i chwiałam, uginałam się i chwiałam”. Potem Harry przypomniała sobie matkę, gdy ta pochyla się, żeby zebrać z podłogi skarpetki i majtki ojca, gdy obsługuje ojca przy stole, gdy kłęczy na podłodze ze szczoteczką do zębów, żeby wyczyścić fugi, przypomniała sobie, jak jej drobna matka uśmiecha się niepewnie do ojca, próbując wyczytać coś z jego oczu. Pochwała to? Jest zadowolony? Harry powiedziała, że w dni, kiedy Felix pracował w domu, przechodziła obok jego gabinetu na paluszkach, żeby mu nie przeszkadzać, przy kolacji zatrzymywała swoje opinie dla siebie, bo Felix nie znosił konfliktów, sam jednak wpadał do jej pokoju bez pukania, żeby zadać jakieś trywialne pytanie. Gdy krytykował jakiegoś artystę przy kolacji, wszyscy słuchali z namaszczeniem opinii znawcy. Czasem bezmyślnie powtarzał słowa Harry, słowa, które wypowiedziała wcześniej tego wieczoru, tylko że jej nikt nie słuchał. Tak było naprawdę. Pamiętałam kilka sytuacji, kiedy czułam się nieswojo, będąc świadkiem tych niefortunnych powtórzeń. Nie powiedziałam Harry, że Felix budził zaufanie, ponieważ łączył autorytet z chłodnym, niewzruszonym sposobem bycia. Nie zależało mu, żeby inni go słuchali. A Harry owszem.

Całe lata, mówiła, Felix przerywał jej w pół zdania, a ona milkła. Tak to po prostu wyglądało. Felix zawsze twierdził, że podziwia i wspiera jej twórczość, ale latał po świecie w sprawach służbowych, często dzwonił, że się spóźni albo że zmienił lot, a Harry musiała wtedy

siedzieć w domu z Maisie i Ethanem. Tak, tak, tak, mówiła, miała pomoc, wszystko, czego potrzebowała, ale nie można powierzyć dusz dzieci obcym ludziom. I chociaż Maisie była dzieckiem stosunkowo bezproblemowym, Ethan był trudny, nadwrażliwy, ze skłonnością do wybuchów złości. Jego nienasycone potrzeby czasem połykały ją w całości. Wyrósł z tego, przekonywała. Stał się silną, dobrze funkcjonującą jednostką, ale co by było, gdyby nie siedziała z nim całymi nocami, trzymając go za rękę, śpiewając stare, powtarzalne jak u Philipa Glassa piosenki, odkrywszy, że tylko one są go w stanie uspokoić. Harry odśpiewała pod nosem kilka taktów. „Pik, bum, brum, brum, brum. Wrur, wrur, wrur. Mru, mru, mru”. I tak, tak, tak, to ona była winna, tak, tak, tak, czuła się odpowiedzialna za jego problemy. Wiedziała o tym wszystkim, ale rozumiała, że Harry musi to z siebie wyrzucić, musi wytłumaczyć. Poza tym, dodała, nigdy nie miała poczucia, że pieniądze należą do niej. Nie ona je zarobiła. Felix od początku miał pieniądze i cały czas zarabiał, gdy ona przez te wszystkie lata sprzedała kilka swoich prac, nic więcej. A wystawy, których się doczekała? Usta Harry zadrżały. „Krytyka albo je zignorowała, albo zmiażdżyła”.

Powiedziałam jej, że to nie do końca prawda. Ukazały się też pozytywne recenzje. Na pewno. Pamiętałam je.

Harry patrzyła na mnie z wyrzutem. „Pieniądze to władza – oznajmiła. – Nadziani faceci. Nadziani faceci trzęsą światem sztuki. Nadziani faceci decydują o tym, kto wygrywa, a kto przegrywa, co jest dobre, a co złe”.

Skomentowałam, że to się zmienia, może powoli, ale się zmienia; że coraz więcej kobiet spotyka się z należnym im uznaniem. Niedawno coś o tym czytałam...

Twarz Harry wyrażała rozgoryczenie. „Nawet najślawniejsze artystki sprzedają swe prace za bezcen w porównaniu z dziełami najślawniejszych artystów, za psie pieniądze. Weź boską Louise Bourgeois. Co ci to mówi? – Głos Harry załamał się. – Pieniądz to potęga. Pieniądz potrafi mówić. Mówi, co jest cenione, co się liczy. Na pewno nie kobiety”.

Na wszystko miała odpowiedź. Nie odzywałam się. Wbijałam wzrok w obrus i zastanawiałam się, która godzina, ale byłam zbyt wyczulona na reakcje Harry, żeby spojrzeć na zegarek. Może Harry odgadła, o czym myślę, bo mnie przeprosiła. Powiedziała, że zachowuje się egoistycznie i obsesyjnie, że ją poniosło i że mnie kocha. Spytała o zdrowie Raya, a ja odpowiedziałam, że czuje się dobrze, za zgodą lekarza wciąż trzy razy w tygodniu jeździ na rowerze po parku i zdaje się myśleć optymistycznie o perspektywie przejścia wiosną na



emeryturę. Wcześniej myśl o wymuszonym odejściu z uczelni budziła w nim niechęć, ale teraz jego nastawienie się zmieniło. Zapytała mnie nawet, co u Ottona, i odpowiedziałam, że nasza świrięta psinka skończyła dwanaście lat i że musi przyjmować lek przeciwdepresyjny i przeciwzapalny na artretyzm. „Wszyscy się starzejemy – westchnęła – jesteśmy starzy, coraz starsi”.

Kiwnęłam głową. Porozmawialiśmy trochę o filmie *Maisie Pogoda ciała*, o psychoterapeucie, który zajmował się Barometrem, i o neuroleptykach, których ten nie chciał przyjmować. Uważałam, że mogą mu pomóc. Harry była innego zdania. Zanim się rozstałyśmy, znów wróciła do Felixa, tym razem do jego życia intymnego, a raczej tej jego części, która nie dotyczyła jej. Biseksualność Felixa stała się już wtedy sprawą publiczną. W książce *Galeria Felixa Lorda i jej czasy*, wydanej zaledwie kilka miesięcy wcześniej (której autor, James Moore, o czym donoszę z radością, potraktował twórczość Harry z wielkim szacunkiem i powagą), otwarcie poruszono ten temat. Ujawniło się kilkoro jego kochanków, aby o nim opowiedzieć, toteż o ile za życia Felixa te przygody pozostawały tajemnicą, teraz tajemnicą być przestały. W każdym razie można bez wahania powiedzieć, że życie erotyczne Felixa pozostaje niewiadomą tylko w tym sensie, że pełnej historii nie jesteśmy w stanie poznać. Jeśli po latach pracy takiej jak moja coś się zyskuje, jest to nieograniczone zrozumienie dla różnych wariantów ludzkiego pożądania. Z pewnością nie mamy kontroli nad popędem seksualnym, chociaż możemy kontrolować, co robimy pod jego wpływem. A przekonanie, że żyjemy w czasach wolności seksualnej, to półprawda. Miałam wielu pacjentów, których wstyd i przygnębienie wywołane myślami o seksie doprowadziły do choroby. Ponadto odkrycie sił stojących za konkretną fantazją może trwać bardzo długo bez względu na to, czy obiektem naszego pożądania są chłopcy, dziewczynki, starsze kobiety czy starsi mężczyźni, chudzi lub otyli, bez względu na to, czy towarzyszy jej czułość czy okrucieństwo i czy wspomagają ją jakieś akcesoria, standardowe lub bardziej specyficzne. Czyż w naszej kulturze nie jest czymś nie do pomyślenia, żeby wyrazić choćby cień współczucia dla mężczyzny o skłonnościach pedofilskich lub uznać zwykłą prawdę, że między dorosłymi i dziećmi dochodzi do stosunków płciowych, które nie pozostawiają u tych drugich trwałych blizn?

Wspominam o tym, bo nietolerancja wobec życia seksualnego występuje wszędzie. Niedawno pewna kobieta, moja niezbyt bliska znajoma, po lekturze książki o Feliksie rzuciła jadowity komentarz na temat Harry. „Każda kobieta, która tolerowałaby takie świństwo –

powiedziała mi – musiałyby być kompletną idiotką”. Oznajmiłam jej, że Harry była „moją drogą przyjaciółką” i że bynajmniej nie była idiotką. Atmosfera się skwasiała, ale babsztyl nie powiedział już nic więcej na ten temat.

Z początku nie wiedziałam, do czego Harry zmierza. Następny etap naszej rozmowy zaczęła od tego, że czasami, gdy Felix bywał do późna poza domem, na jakimś wernisażu lub kolacji z klientami, w której nie brała udziału, słyszała potem, jak wracał. Zawsze bardzo się starał nie narobić hałasu, ale ona i tak słyszała jego lekkie kroki na korytarzu. Wyjaśniła, że gdy dzieci były małe, budziły ją głośne westchnienia, piśnięcia albo kaszel, a potem nasłuchiwała w łóżku, czy te niewinne dźwięki nie przerodzą się w płacz lub wołanie. Istniały wtedy dwa równoległe światy, tłumaczyła, świat jawy i snu, obydwie idealnie sprzężone. Zupełnie jakby znajdowała się w tych dwóch stanach jednocześnie, toteż skrzypnięcie otwieranych drzwi, a po nim kroki męża niezmiennie ją budziły. W niektóre noce, mówiła, przychodził bezpośrednio do niej, podnosił kołdrę i kładł się obok, zawsze odwracając się do niej tyłem. Wtedy przytulała go i gładziła po plecach, co lubił. Ale w inne noce, zwłaszcza wtedy, gdy wracał nad ranem, słyszała, jak się rozbiera w łazience i wchodzi pod prysznic. I Harry leżała, nasłuchując szumu płynącej wody, i mówiła do siebie: „Zmywa z siebie innych”.

Harry nie próbowała doprowadzić do konfrontacji. Po prostu wiedziała, co znaczą te nocne ablucje. Chciał oddzielić od siebie dwa światy. Aby wejść do jednego, musiał zmyć z siebie drugi. I współczuła mu, wyznała mi. „Leżałam tam, Rachel, i myślałam sobie: Biedny Felix. A gdybym to była ja? A gdybym to ja miała pragnienia, którym nie byłabym się w stanie oprzeć? Co wtedy? Jak chciałabym być traktowana? Czy ucieszyłyby mnie złośliwości i odrzucenie?”.

Powiedziałam, że bycie świętym zwykle ma swoją cenę.

Harry zgodziła się ze mną. Przyznała, że zapłaciła wysoką cenę. Zranił ją, a ona tłumiała w sobie gniew, ale jakaś jej część mimo wszystko mu współczuła, nic nie mogła na to poradzić. „Widzisz, dlatego potrzebuję zimnej maski”. Harry spojrzała na mnie z takim przejęciem i tak szeroko otwierając po dziecięcemu oczy, że jej twarz wydała mi się komiczna.

Zimnej maski? – powtórzyłam.

„Tak – potwierdziła – zimnej, twardej, obojętnej maski despoty, który wystąpi przeciwko głupcom i ich zmiążdży. Wychodzi ze mnie, gdy jestem z Rune'em”. Dlatego interesowała się rozdwojeniem osobowości, uważała bowiem, że mnogość to rzecz ludzka. Nie dostawała

zawrotów głowy, nie mdlała ani nie gubiła w sobie innych tożsamości. Doskonale wiedziała, że jest sobą, ale odkryła nowe formy swojej jaźni, formy, które większość mężczyzn, mówiła, przyjmuje za pewnik, formy oporu wobec innych. „Jak sądzisz – spytała – dlaczego ponad dziewięćdziesiąt procent notowanych przypadków rozdzielenia jaźni wykryto u kobiet? Uginaj się i chwiej – obwieściła triumfalnie Harry. – Uginaj się i chwiej. Przyciąganie innych. Dziewczynki się uczą – dodała. – Dziewczynki uczą się rozpoznawać siłę, radzić sobie, odgrywać swoją rolę, być miłe”.

Powiedziałam jej, że trochę upraszcza, że istnieją też zimne, despotyczne kobiety, twarde i roszczeniowe, które mają gdzieś, kto stoi im na drodze.

„Oj, Rachel – odparła Harry. – Jesteś taka rozsądna. Nie masz ochoty czasami krzyknąć, wrzasnąć albo zdzielić kogoś w gębę? Nie masz czasem ochoty ziać ogniem?”.

Ależ oczywiście, odpowiedziałam jej. Oczywiście, że tak, ale wiesz, mamy różne historie. Wiedziała. Po wyjściu z restauracji chwyciła mnie za rękę. Tego dnia, gdy szliśmy Madison Avenue, było zimno i obie miałyśmy na sobie ciepłe ubrania. Harry omotała sobie szyję pięknym szalikiem z niebieskiej i zielonej przędzy. Pamiętam, że mnie zachwyił. „Kiedyś, jak byłyśmy małe – przypomniała mi – trzymałyśmy się za ręce, pamiętasz?”. Doskonale pamiętałam. „I wymachiwałyśmy rękami do przodu i do tyłu, idąc obok siebie – wspominała. – Pamiętasz?”. Pamiętałam. „A teraz obie jesteśmy stare baby”, dodała Harry, a ja na to, żeby mówiła za siebie, i wtedy Harry chwyciła mnie za rękę i zaczęła ją ciągnąć w jedną i drugą stronę, i przeszliśmy co najmniej jedną przecnicę, trzymając się za ręce i wymachując nimi, a ponieważ byłyśmy w Nowym Jorku, nikt się nawet za nami nie obejrzał.

# Phineas Q. Eldridge

(relacja pisemna)

Pożegnałem się z przytuliskiem i jego mieszkańcami latem 2002 roku i odleciałem z Marcelem do Buenos Aires, gdzie powitała nas zima i krach finansowy. Pieniądze mojego najdroższego na szczęście w większości ulokowane były gdzie indziej. Harry żyła w swojej bajce. Ja żyłem i żyję w swojej, przynajmniej przez większość czasu, w kraju Borgesa, psychoanalizy i taksówkarzy-poetów. Gdy odbywał się wernisaż *Poniżej*, byliśmy akurat z Marcelem w Nowym Jorku i szalenie mnie ciekawił wielki finał fallicznego projektu Harry. Namówienie Rune'a musiało być niełatwym zadaniem, skomentowałem, a gdy zaprzeczyła, poczułem lekki niepokój, bo coś mi się tu nie zgadzało. Ale z drugiej strony ludzkie serce (jako metafora pożądania, nie narząd pompa) to rzecz niezgłębiona. Może po tamtych krzyżach, pomyślałem, Rune poczuł, że czas podbić stawkę wielkim przekreśleniem.

Gdy przyjechaliśmy z Marcelem na otwarcie, przed wejściem do labiryntu czekała na ulicy masa artystowskich typów. W powietrzu wielkie podekscytowanie jak w cyrku. Staliśmy w kolejce razem z odstawionymi, jak można się domyślić, panienkami, które chwiały się na wysokich obcasach, i młodymi, w większości białymi luzakami, którzy rozmemłani i nonszalancy, próbowali wyrazić swoje zblazowanie strojem, ale zdradziły ich modne czapki i T-shirty przyozdobione czaszkami, papugami i mnóstwem mądrości typu: „Bawią nas tylko poważne zabawy”. Tuż przed nami stała podstarzała diwa w olbrzymich okularach w czerwonych oprawkach, ubrana od stóp do głów na czarno w eleganckie ciuchy od Yamamoto. Wejścia strzegły dwie ekskluzywne galleriny, jedna czarno-biała, druga czerwona, wpuszczając po dziesięć osób, żeby nie zatłoczyć krętych korytarzy labiryntu. „Nie martwcie się, jeśli nie będziecie się mogli wydostać, mamy mapki. Trzeba tylko krzyknąć”, informowała ta czerwona z akcentem prosto z Georgii. Zawsze potrafię rozpoznać akcent. Harry nigdzie nie było. Nie chciała, żebyśmy jej towarzyszyli, i wydała mi kategoryczne polecenie, żeby jej nie szukać – za bardzo się denerwowała.

W chwili gdy przeszliśmy przez drzwi, znaleźliśmy się z Marcelem w labiryncie, mając z obu stron grube, białe ściany, chyba szkło akrylowe, Plexiglas albo Lucite. Harry uwielbiała wykorzystywać w swoich pracach mleczne szyby, a te miały około dwóch i pół metra wysokości,

dość, żeby nie można było się nad nimi wychylić, ale nie przytłaczające. Na samym początku zwróciłem uwagę na ich półprzezroczystość. Widziałem cienie trzech osób przechodzących sąsiednim korytarzem, a za ich poruszającymi się sylwetkami zapalały się i gasły migotliwe prostokąty światła. Labirynt był klaustrofobiczny i wywoływał dezorientację, jak przystało na porządny labirynt, i po kilku niewłaściwych skrętach poczułem, że ogarnia mnie to oniryczne, halucynacyjne wrażenie w rodzaju „życie jest strasznie dziwne”, zanim sobie uświadomiłem, dlaczego tak się dzieje. Powoli zaczęło do mnie docierać, że korytarze labiryntu nie są jednakowych rozmiarów. Zwężały się i rozszerzały. Ściany stawały się wyższe albo niższe, ale zawsze stopniowo, płynnie, nigdy raptownie. W jednym miejscu mogłem stanąć na palcach i wyjrzeć nad ścianę. Wydostanie się stamtąd nie było łatwe. Razem z Marcelem wychodziliśmy bez przerwy na coś, co braliśmy za ten sam załom lub ten sam zakręt z tym samym oknem. Ten załom, zakręt lub okno wyglądały tak jak poprzednio, ale gdy szliśmy dalej, natykaliśmy się na ślepy zaułek, a więc to nie mógł być szlak sprzed kilku minut. Nowy ślepy zaułek, jak sądzę, oznaczał postęp, ale „okna”, które służyły nam za punkty orientacyjne, wtopione w ściany lub w podłogę pod naszymi stopami, ciągle wprowadzały nas w błąd. Bez uważnego obejrzenia zawartości każdej okiennej wnęki z kryjącą się tam kolekcją przedmiotów lub filmową sekwencją mogliśmy sądzić, że zaglądamy ciągle do tego samego okna lub oglądamy ciągle ten sam film. Oczywiście czasem tak było, ale czasem nie. Marcelo ciągle mamrotał *diabólico, diabólico*, aż mu się kazałem przytkać. *Przytkać?* – powtórzył. A to ciekawe. *Przytkać?* Próbowałem go trochę poduczyć potocznej angielszczyzny. Trzeba było zwolnić, dobrze się rozejrzeć, śledzić zmiany w oknach, ścianach, proporcjach i dopiero wtedy mogliśmy się zorientować, czy posuwamy się dalej w tej „diabolicznej” przestrzeni. Harry sprytnie zaprojektowała obiekt, który zmuszał ludzi do skupienia się, jeśli chcieli się wydostać z tego przeklętego miejsca.

Kilka uwag na temat okien. Pierwsze, które obejrzelśmy, było podświetloną wnęką pod podłogą. Jeśli się przykucnęło, można było zobaczyć za szkłem dwie karmelowe maski o dużych pustych oczach, zwinięty bandaż – taki, jaki znajduje się w każdej podstawowej apteczce – czarną kredkę i kawałek białego papieru z narysowanymi dwiema pionowymi liniami. To okno powtarzało się w różnych częściach labiryntu, zarówno w podłodze, jak i w ścianach, rodzaj wizualnej mantry. Czasem natykaliśmy się na dokładną replikę pierwszej wnęki, innym razem znowu zauważaliśmy drobne lub nie tak drobne wariacje na ten sam temat, których zaczęliśmy

z Marcelem wypatrywać, gdy już wciągnęliśmy się w tę grę: maski były ułożone bliżej siebie lub w nieco większym oddaleniu. Kredka była ciemnoszara, nie czarna. Dwie linie na kartce narysowano pod kątem, nie równolegle. Dwie linie przecinały się. Dwie linie biegły w poziomie. Bandaż był częściowo rozwinięty. Na bandażu widniały rdzawe plamy. Obok jednej z masek leżały nożyczki. Maska była przecięta wzdłuż policzka i przez oko. Nożyczki zniknęły i kartka była czysta.

Były też wtopione w ściany okna z filmami, które powtarzały się w labiryncie bez zauważalnych różnic, przynajmniej my niczego nie zauważyliśmy.

1. Rune siedzi bez ruchu z filiżanką kawy na stole przed sobą i patrzy przez okno na bezchmurne błękitne niebo. Oglądałem przez chwilę ten nudny film. Mężczyzna oczywiście oddycha. Jego klatka piersiowa podnosi się i opada, jego nozdrza drżą i w pewnym momencie przesuwają lewą rękę o jakiś centymetr.

2. Kamera mijając powoli jeden po drugim zwęglone, zdewastowane samochody na Church Street, pojazdy spalone w żarze katastrofy. Ten film musiał powstać kilka dni po ataku.

3. Kamera panoramuje wystawę sklepu z obuwem. Przez niestłuczoną szybę patrzyliśmy na rzędy dziecięcych bucików, które ustawiono schludnie parami na kolejnych schodkach witryny: buty typu Mary Jane, tenisówki na rzepy, solidne sznurowane półbuciki i wysokie kozaczki. Ani jedna sztuka się nie przemieściła, ale wszystkie były pokryte grubą warstwą bladego pyłu z jedenastego września. Obuwie dla duchów.

4. Duże płatki śniegu opadają powoli na mokry chodnik.

Szczeliny w ścianach zauważyłem dopiero wtedy, gdy błąkaliśmy się po labiryncie już jakieś dwadzieścia minut. Wskazówki: im bliżej wyjścia, tym więcej pęknięć. Nie były wyraźne. Faktura ścian zmieniała się sukcesywnie. Małe linie jak pajęczyna lub popękane naczynka zaczęły się zaznaczać na ścianach coraz wyraźniej, stawały się coraz gęstsze, im bliżej wyjścia. Marcelo w ogóle nie zauważył tych żyłek. Nie rzucały się w oczy.

Wreszcie w trzech ślepych zaułkach labiryntu wywiercono otwory do podglądania. Moje ulubione. Uwielbiam podglądać. Może wszyscy tak mamy. Gdy spojrzałem przez pierwszy otwór, na który się napatoczyliśmy, zobaczyłem mały ekran telewizyjny głęboko za ścianą, może jakieś czterdzieści centymetrów od mojego oka. W pustym pokoju stały naprzeciwko siebie dwie małe postaci w czarnych maskach na twarzach, identycznych czapkach, które zakrywały im głowy, luźnych ciemnych tunikach i spodniach. Po paru sekundach para zaczęła tańczyć walca,

raz, dwa, trzy, raz, dwa, trzy, a potem zawirowała w obrotach. Było to przyjemne dla oka i sam zacząłem podrygiwać ku zażenowaniu Marcela, ale potem rytm przyspieszył i się załamał. Tancerze zaczęli się poruszać sztywno jak roboty, mechanicznie, a także bez wzajemnej koordynacji. Tańczyli coraz szybciej, zataczając szalone kręgi i wpadając na siebie, aż zakręciło mi się w głowie od samego patrzenia na nich, po czym postać, którą wziąłem za kobietę – może dlatego, że druga osoba położyła dłoń na jej krzyżu – potknęła się i upadła. Mężczyzna szarpnął ją gwałtownie, przyciągnął do siebie jej ciało i zmusił do dalszego tańca, który zaczął przypominać pojedynek zapaśniczy w stójce. Próbowwała mu się wyrwać. Waliła pięściami w jego ramiona i usiłowała się uwolnić z jego objęć. Wpadli na oślep na ścianę, ale mężczyzna cały czas mocno ją trzymał, a potem, bez ostrzeżenia, kobieta osunęła się bezwładnie. Głowa wychyliła się do tyłu, kolana ugięły, ramiona opadły do boków. Wtedy ta krótka historia zaczęła się od nowa.

Sekwencja nie mogła trwać dłużej niż parę minut. Na dwóch pozostałych filmach jest powtórzona, ale z innym zakończeniem. Po zasłabnięciu kobiety mężczyzna kontynuuje swój obłąkańczy taniec, ale jego ludzką i sprawną wcześniej partnerkę zastępuje miękka szmaciana lalka. Mężczyzna mocno nią potrząsa, ściąga z niej maskę i czapkę, by odsłonić puste powietrze, panią Nikt. Pozwala jej paść na podłogę, kopie z obrzydzeniem zmięte, bezosobowe szmaty i wychodzi z kadru. W trzecim peep-show, tym tuż przed zakrętem prowadzącym do wyjścia, cała sekwencja zostaje powtórzona do tego punktu, ale gdy tylko mężczyzna schodzi ze sceny, sterta szmat za sprawą filmowych czarów dokonuje rekonfiguracji i zamienia się w żywą tancerkę, która rozpościera ramiona i zaczyna lewitować w stronę sufitu, wznosząc się powoli, aż widoczne są już tylko stopy u góry ekranu, a w końcu i one znikają. Zakończenie jak z bajki.

Po tych peregrynacjach czuliśmy się z Marcelem nieco skołowani. Otwarta przestrzeń galerii poza labiryntem przyniosła nam ulgę. W hałaśliwym tłumie zauważyłem Rune'a, ubranego skromnie w dżinsy, czarny T-shirt i sportową kurtkę; gadał jak najęty, równiacha. Od małego podobało mi się to określenie, bo zawsze chciałem być kimś takim i zawsze się zastanawiałem, skąd się wzięło – dlaczego niby „równy”, czy to znaczy, że niezmienny w swojej fajności? Powiedziałem Marcelowi, że chcę się przyjrzeć naszemu „równemu” gospodarzowi, tak więc zbliżyliśmy się do gwiazdy i obmawialiśmy ją z naszego punktu obserwacyjnego w rogu. Marcelo uważał, że Rune ma w sobie coś z Johna Wayne'a, i przyznałem mu rację. Rewolwerowiec Wayne'a poruszał się z pewnym wdziękiem, z lekka dziewczęcym, kołyszące się biodra pod kaburą, te urocze drobione kroczi. Rune też to miał, tę elastyczność w biodrach.

Świadomie czy nie, lubimy, niezależnie od płci, żeby nasze gwiazdy filmowe były androginiczne.

Rozglądałem się za Harry, ale mojej kochanej olbrzymki nie było w galerii. Zauważyliśmy aktorkę z serialu telewizyjnego, ale nie pamiętaliśmy, jak się nazywa, i gdy po kilku minutach Marcelo oświadczył, że robi się nudno, zwinęliśmy się. Wszystko wskazywało na to, że wystawa odniosła sukces, była dużym wydarzeniem, nie małym wydarzonkiem jak nasza instalacja, chociaż muszę przyznać, że uwielbiam te gorące pokoje tak samo jak labirynt – nie, bardziej. Gdy wyszliśmy z galerii, kolejka ciągnęła się aż do następnej przecznicy. Przeszliśmy się z Marcelem do Dziesiątej Alei, żeby poszukać jakiejś restauracji, i tam, na rogu, w trenczu Burberry i zielonym kapeluszu stała Harry. Gdy już trzyosobowy rytuał niekończących się powitalnych całusów dobiegł końca, powiedziałem jej, że labirynt jest świetny, że gratuluję i tak dalej, i tak dalej, ale Harry nie odpowiadała. Na ulicy było ciemno, ale nie tak ciemno, żebym nie zauważył, że wygląda na poruszoną. Domyśliłem się, że nie była jeszcze na wystawie, i zapytałem dlaczego. Powoli pokręciła głową, marszcząc czoło. Zaproponowałem, żeby wybrała się z nami coś zjeść, ale odmówiła. Gdy kolejne próby namówienia jej spęły na niczym, zostawiliśmy ją samą.

To rozstanie z Harry nie dawało mi spokoju przez cały wieczór i za bardzo się o tym rozgadałem, Marcelo się wkurzył i trochę się poprzytykaliśmy. Oczywiście Marcelo nigdy nie mieszkał z Harry. Nigdy nie masowała mu pleców podczas filmu z Bette Davis. Nigdy jej nie widział, jak siada i rozmawia cicho z Barometrem o jego rysunkach, żeby go uspokoić, gdy tego potrzebował, nie widział jej, jak w nocy zagląda dyskretnie do tego chudego wariata, żeby sprawdzić, czy aby na pewno posmarował maścią zadrapania. I nie widział jej, jak kręci się po pokoju w długiej fioletowej sukni z szantungu, którą pomogłem jej wybrać u Bergdorfa, i śpiewa na całe gardło *Zip-a-Dee-Doo-Dah* przed imprezą z okazji swych sześćdziesiątych urodzin. Nie mogłem mieć mu za złe czegoś, o czym nie wiedział.



## Richard Brickman

(list do redakcji „The Open Eye”, interdyscyplinarnego kwartalnika o sztuce i badaniach nad percepcją, jesień 2003)

Do Redakcji,

dziesięć dni temu otrzymałem sześćdziesięciopięciostronicowy list dostarczony mi w sposób tradycyjny, pocztą. Dlaczego Harriet Burden, autorka listu zatytułowanego „Pismo z krainy fikcyjnego istnienia”, wybrała akurat mnie na swego spowiednika, tego nie wiem, napisała jednak, że czytała mój artykuł opublikowany na łamach Waszego czasopisma, i uznała, że moje zainteresowanie filozofią jaźni i dynamiką percepcji czyni ze mnie odpowiedniego adresata jej „wyznania”. Po zweryfikowaniu, że osoba o tym imieniu i nazwisku rzeczywiście istnieje, że jest artystką, która wiele lat temu wystawiała swoje prace w Nowym Jorku, i że trzech artyści wymienieni w jej liście są także prawdziwymi osobami, postanowiłem spełnić jej prośbę i napisać własny list o tym, co przeczytałem. „Pismo” Burden jest zdecydowanie zbyt długie, by mogło zostać przytoczone w całości. Jego styl, jednocześnie specyficzny i niejednorodny, zawiera peryfrazy, rozbudowane dygresje, liczne cytaty, a także lakoniczne sentencje filozoficzne i przeskoki argumentacyjne, co oddala go od norm, do jakich przywykli czytelnicy czasopism akademickich. Chociaż nie mogę się zgodzić z konkluzjami autorki listu ani z tą formą wypowiedzi (która uderza niekiedy w przesadnie żarliwe, wykrzyknikowe i wulgarne tony), uważam, że artystyczny eksperyment Burden jest interesujący, wierzę także, że treść jej listu jest zasadniczo zbieżna z zainteresowaniami czytelników „The Open Eye”.

Jakkolwiek niniejsze czasopismo poświęcone jest wymianie myśli między różnymi dyscyplinami naukowymi, podkreślano na jego łamach trudności związane z prowadzeniem takiego dialogu ze względu na różnice epistemologiczne. Rozwijające się prężnie badania nad percepcją w neuronaukach, angloamerykańska filozofia analityczna, mniej ortodoksyjna szkoła myśli, która wyłoniła się z europejskiej fenomenologii, a także teoria poststrukturalistyczna proponują różne odpowiedzi na pytanie „Jak widzimy?”.

Studia nad ślepotą na zmiany (gdą badani nie zauważają wyraźnych zmian w polu widzenia) i ślepotą pozauwagową (badani nie dostrzegają natarczywej obecności obiektu skupieni na wykonywaniu zadania) sugerują, że w najlepszym przypadku wiele z tego, co nas

otacza, po prostu nam umyka. Rola procesu uczenia się w percepcji jest także kluczowa dla zrozumienia predykcyjnych schematów wizualnych, które stanowią pewne uwiarygodnienie konstrukcjonistycznych teorii percepcji<sup>62</sup>. Przeważnie widzimy to, co spodziewamy się zobaczyć, a do zrewidowania tych schematów zmusza nas zaskoczenie nowością. Badania nad widzeniem mimo ślepoty i maskowaniem dodatkowo zilustrowały, w jaki sposób nieświadome pojęcia mogą kształtować i kształtują nasze nastawienie, myśli i emocje<sup>63</sup>. Wydaje się, że Burden uważnie śledziła debatę na temat percepcji i czerpała inspirację z tekstów różnych autorów i badaczy, także tych, które pojawiły się na łamach „The Open Eye”. Na drugiej stronie swego listu zadaje pytanie, co się dzieje, gdy ktoś patrzy na dzieło sztuki, i formułuje następujące trzeźwe wnioski:

*„To” zawiera „ja” i „ty”. Według tej optyki niełatwo jest rozdzielić podmiot od przedmiotu.*

*Gdybyśmy nie mieli przeszłych doświadczeń wizualnych, nie potrafilibyśmy zrozumieć świata widzialnego. Bez powtarzalności świat widzialny jest pozbawiony sensu.*

*Każdy przedmiot widzialny jest przedmiotem emocjonalnym. Przyciąga lub odpycha. Jeśli nie wywołuje żadnej z tych dwóch reakcji, nie przetrwa w umyśle i nie ma znaczenia. Przedmioty o ładunku emocjonalnym pozostają w pamięci żywe.*

*Ale oddziałują na nas również siły podprogowe niewidzialnego podziemia. Dość często nie wiemy, dlaczego czujemy to, co czujemy, oglądając dane dzieło sztuki.*

W swoim liście Harriet Burden przyznaje się do autorstwa prac, które pojawiły się na trzech wystawach indywidualnych w Nowym Jorku. Są to: *Historia sztuki zachodniej* Antona Tisha, *Duszne pokoje* Phineasa Q. Eldridge’a i ta ostatnia, *Poniżej*, artysty zwanego Rune’em. Przedstawiony przez nią motyw jest prosty: „Chciałam sprawdzić, jak zmieni się przyjęcie moich prac w zależności od charakteru każdej z tych masek”. Twierdzi stanowczo, że gdy w przeszłości wystawiała prace pod własnym nazwiskiem, spotkały się z niewielkim zainteresowaniem, natomiast jej sztuka pseudonimowa, zaprezentowana zza trzech „żywych, męskich masek”, wzbudziła zainteresowanie i marszandów, i publiczności, choć w różnym stopniu. Burden nazywa ten mechanizm „efektem męskiego wzmocnienia” i szybko dodaje, że poddają mu się

odbiorcy obojga płci:

*Tłum nie jest podzielony na kobiety i mężczyzn. Tłum to jeden umysł i ten umysł ulega wpływom i urokowi różnych idei. Oto coś, co stworzyła kobieta. Śmierdzi nią. Czuję to. Wszelkie poczynania intelektualne i artystyczne, nawet o charakterze żartu, ironii i parodii, wypadają lepiej w umyśle tłumy, gdy ów tłum wie, że gdzieś za tym wielkim dziełem lub wielką mistyfikacją kryje się fiut z jajami (te, rzecz jasna, są bezzapachowe). Ptaszek i jajka nie muszą być prawdziwe. O nie, wystarczy sama świadomość, że istnieją, by skłonić tłum do przychylniejszej oceny. Stąd uciekam się do tej formy mentalnego suspensorium. Bądź pozdrowiony Arystofanesie! Niech żyje czarodziejska różdżka, ten baśniowy badylek, który otwiera oczy na niewidziane światy.*

Według hiperbolicznej, trzeba przyznać, argumentacji Burden jej ukrycie się za postaciami mężczyzn wyeliminowało uprzedzenia wobec kobiet, ale nie tylko. Męskość *podbija* wartość dzieła intelektualnego i obiektów artystycznych w oczach publiczności, którą Burden opisuje jako coś w rodzaju homogenicznego zbiorowego umysłu – co jest niewątpliwie retoryczną przesadą<sup>64</sup>. To, że owe uprzedzenia istnieją, wydaje się jednak bezsprzeczne. Eksperyment z udziałem nie tylko trzech artystów, ale i trzech artystek pozwoliłby dokonać rzetelnego porównania, ale nawet w tych okolicznościach na odbiór sztuki wpływa tyle różnych zmiennych, że prawdziwe *znaczenie* tego, co Burden nazywa swoją „baśnią w trzech aktach”, może pozostać ostatecznie niejasne. Nowojorski świat sztuki trudno uznać za laboratorium, w którym można przeprowadzić eksperyment kontrolowany. Ponadto wyciągnięcie wniosków z eksperymentu Burden byłoby ułatwione, gdyby na wszystkich trzech wystawach zaprezentowane zostały identyczne eksponaty. Przeprowadzono już zresztą wiele badań nad postrzeganiem rasy, płci, a także wieku, z których większość, ale nie wszystkie, ujawnia uprzedzenia, często nieświadome i zmienne w zależności od kontekstu kulturowego.

Komentarz Burden na temat jej drugiego „fikcyjnego konstruktów” lub maski, Phineasa Q. Eldridge’a, dotyka kwestii rasy i seksualności jako zasadniczych czynników w postrzeganiu wystawy, którą dla niego stworzyła.

*Moi dwaj biali chłopcy, śpiący z „drugą płcią”, w każdym razie na tyle, na ile wiemy, są istotami, których konkretne charaktery cechuje niczym nieograniczona pełnia. Innymi słowy – nie mają tożsamości. Oksymoron? Nie. W tym właśnie kryje się ich wolność: nie można ich*

*zdefiniować tym, czym nie są, jako heteroseksualnych, białych mężczyzn. I wobec tej nieokreśloności istnienia mogą rozkwiąć w swej specyficzności. Ten dłużej w nosie. Ten jest tępakiem, geniuszem. Fałszuje, gdy śpiewa. Czyta Merleau-Ponty'ego. Jego twórczość przejdzie do potomności. Sztuka, którą dla nich stworzyłam, dla Tisha i Rune'a, istnieje tu i teraz bez ani jednego upośledzającego przymiotnika. Za to maska Phinny'ego, czarnego geja lub homoseksualnego Murzyna, która skrywa moją podłużną białą kobiecą twarz, mocno uwiera.*

Obecność figury hermafrodyty na drugiej wystawie Burden *Duszne pokoje* najwyraźniej zaważyła na reakcjach recenzentów, wywołując coś, co autorka nazywa „ślepotą kontekstu”, skrajną eksternalizację i zredukowanie tożsamości danej osoby do stabilnych, a tym samym ograniczających kategorii marginalności. Burden skwapliwie powołuje się na swoje feministyczne źródła – między innymi Simone de Beauvoir, Anne Fausto-Sterling, Judith Butler, Toril Moi, Elizabeth Wilson. Obstaje przy dwuznaczności jako postawie filozoficznej i wściekle odrzuca twarde binarne opozycje, nawet na biologicznym poziomie ludzkiej seksualności, pogląd, który, szczerze mówiąc, sytuuje ją wśród radykałów i jest obcy mojej filozofii<sup>65</sup>.

List w dalszej kolejności omawia teorie jaźni. I znów wygląda na to, że Burden doskonale się orientuje w filozoficznym i naukowym dyskursie na temat natury jaźni, i w swoim liście prowadzi czytelnika krętą drogą od Homera, przez stoików, do Vica, przeskakuje do podprogowej jaźni W.T.H. Myersa, do Janeta, Freuda i Jamesa, do fenomenologii świadomości czasu i intersubiektywności Husserla, a następnie przechodzi do współczesnych badań nad noworodkami oraz do odkryć neuronauki na temat jaźni pierwotnej i lokacjonistycznych hipotez skupiających się na podwzgórzu i istocie szarej okołowodociągowej mózgu, a także do fińskiego uczonego Pauliego Pylkkö, który proponuje pojęcie „umysłu akonceptualnego”, oraz do mało znanej powieściopisarki i eseistki Siri Hustvedt, której stanowisko Burden nazywa „ruchomym celem”. Z tego, co mi wiadomo, Burden próbuje podważyć wszelkie konceptualne granice, które, jak sądzę, definiują ludzkie doświadczenie. Nie mogę powiedzieć, żeby przekonały mnie jej dzikie harce po bardziej osobliwych aspektach filozofii kontynentalnej. Ta kobieta igra z irracjonalnością<sup>66</sup>.

Niemniej jednak zamiarem wyrażonym przez artystkę jest zburzenie konwencjonalnych sposobów widzenia, użycie „nieskrępowanych masek publicznych” jako „medium kreatywności”. Stanowczo utrzymuje ona, że nałożenie masek pozwoliło jej jako artystce na

większą płynność, na zlokalizowanie się gdzie indziej, zmianę gestów i na doświadczenie „wyzwalającej dwulicowości i dwuznaczności”. Każda z artystycznych masek stała się dla Burden „postacią imaginatywną”, wizualnym rozwinięciem „hermafrodytycznej jaźni”, o której nie można powiedzieć, że należy do niej albo do maski, lecz do „mieszanej rzeczywistości powstałej między nimi”.

Ta deklaracja jest oczywiście czysto subiektywna, ale w końcu w sztuce nie chodzi o obiektywizm. „Eksperyment” Burden należałoby raczej nazwać „performance’em” albo „narracją performance’u”. Sama traktuje swoje trzy wystawy jako tryptyk, który nosi tytuł *Pozoracje* i ma silny komponent teatralny lub narracyjny, Burden utrzymuje bowiem, że należą do niego także wygenerowane przez te wydarzenia recenzje, ogłoszenia, reklamy i komentarze zwane przez nią „prolifercjami”. Owe proliferacje, do których przypuszczalnie zalicza się także niniejszy artykuł, przenoszą fikcyjne, „imaginatywne” postacie Burden na kanwę szerszej dyskusji o sztuce i percepcji.

Richard Brickman

## William Burridge

(wywiad z 5 grudnia 2010)

Hess: Wiem, że nie udziela pan wielu wywiadów, najpierw więc chciałbym podziękować, że zgodził się pan wziąć udział w tym projekcie. Wspominał pan, że niedługo jedzie na lotnisko, postaram się więc, żeby nasza rozmowa była krótka. Pewien dziennikarz napisał, że ma pan „midasowy dotyk”, rozumiejąc przez to, że artyści, których bierze pan pod swoje skrzydła, zdobywają renomę wśród kolekcjonerów. Pańska współpraca z Rune'em zaczęła się pod koniec lat dziewięćdziesiątych, ale ja chciałbym się skupić na kontrowersjach związanych z instalacją *Poniżej*. Ciekawi mnie, czy podejrzewał pan, że Harriet Burden brała udział w jej stworzeniu.

Burridge: Zdawałem sobie sprawę, że Harriet Lord kolekcjonowała Rune'a, a on wspominał, że pomogła mu sfinansować projekt. Felix Lord i ja byliśmy znajomymi, znałem więc też trochę jego żonę. Wyprawiała kilka wspaniałych kolacji. Wydawała mi się nieco dziwna i milcząca, ale miała niesamowitą klasę i była idealną partnerką dla Felixa. Wie pan, w młodości wyglądała jak z obrazu, wczesnego Matisse'a circa 1905 lub z tego słynnego płótna Modiglianiego *Kobieta z niebieskimi oczami*. Wiedziałem, że parała się kiedyś sztuką, ale obito mi się o uszy, że po śmierci Felixa przeszła załamanie nerwowe, a kilka lat później pojawiła się znowu z zamiarem powiększenia jego kolekcji. Wiem, że sprzedała Lichtensteina i kupiła kilka prac młodej artystki, Sandry Burke, której kariera od tamtej pory nabrała rumieńców. Mówiło się, że Harriet ma dobre oko, ale nigdy nie przyszło mi do głowy, że to ona mogła maczać palce w powstaniu instalacji Rune'a. Nie pojawiła się nawet na otwarciu, chociaż została zaproszona na wernisaż i późniejszą kolację. Musi pan pamiętać, że Rune był wtedy na topie. *Banalność glamour* okazała się wielkim hitem, a on umocnił jeszcze swoją pozycję dzięki krzyżom. W moim przekonaniu to niezwykle błyskotliwe prace. Recenzenci i krytycy zachwycali się nim, chociaż znaleźli się i tacy, którzy kręcili nosem.

Hess: W liście do redakcji „The Open Eye” ujawniono, że Burden była autorką nie tylko *Poniżej*, lecz także *Historii sztuki zachodniej* Antona Tisha i *Dusznych pokoi* Phineasa Q. Eldridge'a. Jak pan zareagował na tę wiadomość?

Burridge: Nie widziałem *Dusznych pokoi*. Nie słyszałem nawet o tej instalacji. Wystawiono ją w mniej znanej galerii, a sama ekspozycja nie wzbudziła wielkiego

zainteresowania. Widziałem za to wystawę Tisha. Miałem wrażenie, że było tam wszystkiego za dużo, żeby to dzieło mogło wzbić się w powietrze, jeśli rozumie pan, co chcę przez to powiedzieć, ale tego chłopaka trzeba było mieć na oku. Dostałem maila od przyjaciela z linkiem do artykułu w „The Open Eye”. Przeczytałem i, nie ukrywajmy, to nie jest tekst dla przeciętnego czytelnika – plus te wszystkie dziwaczne feministyczne komentarze o śmierdzących jajach. Wypowiadała się jak jakaś mizoandryczna wariatka. Znam dużo lepsze sposoby, żeby wyjść z czymś do ludzi. Mainstreamową publikacją bym tego nie nazwał. Człowiek doczytuje do końca i drapie się po głowie: ale o co chodzi? I kim do diabła jest Richard Brickman?

Hess: Cóż, nie udało mi się go odnaleźć. Jak się okazuje, jest wielu Richardów Brickmanów, ale żaden z nich nie mógł napisać tego tekstu. Jakiś rok wcześniej w „The Open Eye” ukazał się artykuł pióra Richarda Brickmana, dość nudna, ale inteligentna analiza argumentów Johna McDowella na temat konceptualnych struktur ludzkiego doświadczenia, po której przedstawił własne kontrargumenty.

Burridge: Co chce pan przez to powiedzieć?

Hess: Mamy powody sądzić, że oba teksty Brickmana napisała Harriet Burden.

Burridge: Ale dlaczego?

Hess: Chciała chyba, żeby jej wyjście z ukrycia było czymś więcej niż zwykłą demistyfikacją, lecz także czymś więcej niż sformułowaniem ideologicznego stanowiska na temat kobiet w świecie sztuki. Chciała, żeby wszyscy zrozumieli, jak skomplikowanym zjawiskiem jest percepcja, że nie ma czegoś takiego jak obiektywne spojrzenie. Brickman stał się jeszcze jedną postacią w szerszej konstrukcji artystycznej, kolejną maską, tym razem tekstualną, w – jeśli tak to mogę określić – owej komedii filozoficznej.

Burridge: Komedii filozoficznej? Czy ten cały Brickman nie krytykuje Harriet Lord? Czy nie używa słowa „irracjonalna”? Jaki miałyby w tym cel?

Hess: To ironiczne potraktowanie własnego stanowiska.

Burridge: Cóż, muszę przyznać, że się pogubiłem. No, w każdym razie od razu zadzwoniłem do Rune’a i spytałem go bez owijania w bawełnę o ten artykuł, ale on twierdził, że to błaga. Znalazł się w krępującej sytuacji. Harriet była ważną kolekcjonerką, lecz także osobą nieźrównoważoną, lekko zbzikowaną megalomanką.

Hess: I uwierzył mu pan?

Burridge: Cóż, jego słowa pokrywały się z krążącymi pogłoskami, jakoby przeszła

załamanie. Rune użył określenia „zaburzenia urojeniowe”.

Hess: Ale czy Larsen nie podawał sprzecznych wersji co do przynajmniej jednego epizodu z własnego życia? Podejrzewam, że gdy zniknął, próbował się pan z nim skontaktować. W swojej książce Oswald Case spekuluje, że Rune mógł trafić do szpitala z psychozą maniakalno-depresyjną.

Burridge: Zniknął. To na pewno. Nikt chyba nie wie, gdzie wtedy był. Te historyjki, które opowiadał dziennikarzom, były częścią jego gry, pewnego rodzaju żartobliwą autopromocją, budowaniem wokół siebie aury tajemnicy. Nic nowego. Niech pan sobie przypomni Josepha Beuysa. Ujmę to tak. Nie chodzi o to, że udział Rune’a w mistyfikacji, o jakiej wspomina Burden, był dla mnie niewyobrażalny. Niewyobrażalne było to, że się tego wypiera. Akurat na coś takiego przystałby bardzo chętnie, więc kiedy mnie zapewnił, że to bzdura, uwierzyłem mu na słowo. Nawiasem mówiąc, byłem jego marszandem, nie najlepszym przyjacielem. Cieszyłem się, że mogę go reprezentować, ale nie zwierzałyśmy się sobie, nic z tych rzeczy. Rune miał w sobie coś olśniewającego. Był szalenie inteligentny, bardzo czytany, ale nigdy nie byliśmy blisko. Dopiero gdy w „Art Lights” ukazał się artykuł Eldridge’a, odezwały się we mnie wątpliwości. Ale wtedy Rune był już zaangażowany w swoje następne przedsięwzięcie, *Krach Houdiniego*, to, które go zabiło.

Hess: Zanim do tego przejdziemy, chciałbym zapytać o pana opinię na temat *Poniżej*. Ta instalacja nie wydała się panu trochę nie w stylu Rune’a?

Burridge: Proszę posłuchać, to był gość, który raz otworzył mi drzwi ubrany w sukienkę. I ani słowa na ten temat, ot, gadka, jak gdyby nigdy nic. Nie byłbym w stanie określić, co było, a co nie było w stylu Rune’a. Plany tego przedsięwzięcia zrobiły na mnie duże wrażenie, chociaż wydawało mi się, że nawiązania do jedenastego września są ryzykowne. Robił zdjęcia i filmy w centrum niedługo po ataku, ale ostatecznie większości z nich nie wykorzystał, oprócz tych z samochodami i bucikami. Nie twierdzę, że sam wykonał tę instalację. Nie mam już co do tego złudzeń. Jestem pewien, że Harriet przyłożyła do niej rękę. Nie kupuję tylko wersji, że zrobiła ją sama, a on jedynie firmował ją swoim nazwiskiem.

Hess: Czemu nie?

Burridge: Po prostu nigdy bym nie posądził Harriet, że byłaby w stanie samodzielnie stworzyć coś takiego. Widziałem te dziwaczne domki dla lalek, które robiła wcześniej, i zdaje sobie sprawę, że teraz ma swoich wielbicieli, a jej prace się sprzedają, ale jej sztuka jest



kontynuacją pewnej tradycji – Louise Bourgeois, Kiki Smith, Annette Messager: krągłe kobiece kształty, zmutowane ciała, tego rodzaju rzeczy. *Poniżej* jest twarde, geometryczne, to prawdziwy wyczyn inżynieryjny. Po prostu nie w jej charakterze, za to jako dzieło Rune’a miało sens.

Hess: Nawet jeśli nosił sukienki?

Burridge: To żart, tak?

Hess: Nie, skąd. Po prostu chcę pokazać, że takie myślenie może być pułapką. Burden pisała o Runie w swoich dziennikach i nie ma tam nic, co wskazywałoby na to, że byli równorzędnymi współautorami instalacji. Traktowała go jako swoją trzecią maskę.

Burridge: Ale czy to nie sprowadza się do tego, co które z nich twierdzi – słowo przeciwko słowu?

Hess: Podejrzewa pan, że w osobistych dziennikach kłamała? Czy to nie byłoby dziwne?

Burridge: W tej branży nic mnie już nie zdziwi. Ale jeśli była tak sprytna, jak pan mówi, podszywając się pod autorów artykułów do elitarnych czasopism, czemu by nie przyjąć, że zostawiła po sobie, cóż, coś w rodzaju powieści? Rune twierdził, że rozpaczliwie pragnęła zainteresowania, że była rozgoryczona i wściekła i że zrobiłaby absolutnie wszystko, żeby ściągnąć na siebie uwagę. Powiedział też, że przeważnie żyła w świecie swoich fantazji, więc może powymyślała te wszystkie historie, nie zdając sobie nawet z tego sprawy. Felix powiedział mi kiedyś, że jego żona zatracca się w swojej wyobraźni.

Hess: To może znaczyć wiele różnych rzeczy. Są jeszcze cztery dyskusyjne obiekty, które zostały sprzedane jako dzieła Rune’a, ale które mogła stworzyć Burden. W swoim dzienniku odnotowała, że z jej pracowni zniknęły cztery prace. Niewykluczone, że powstały mniej więcej w czasie, kiedy znała Rune’a i regularnie się spotykali. Chociaż nie podała szczegółowego opisu, przypuszczalnie były w rodzaju tych z *Poniżej*, cztery małe okna ukazujące różne przedmioty i scenki.

Burridge: W sumie tych okien jest dwanaście, tworzą razem całą serię. Sprzedałem wszystkie. Dwanaście, nie cztery, i na żadnym nie widniał podpis Burden. Nie podpisywała swoich prac?

Hess: Niektóre, ale najwyraźniej nie wszystkie. Seria składa się z dwunastu okien, z których cztery mogły być skradzione z pracowni Burden, a osiem pozostałych to być może imitacje Burden wykonane przez Rune’a.

Burridge: Wie pan, mamy całe godziny materiału filmowego z Rune’em pracującym

z asystentami w swoim atelier nad *Poniżej*. Harriet zjawia się, ale nie wydaje żadnych poleceń. Pozwoli pan, że ujmę to w ten sposób: do czego mu była potrzebna? Po co miałby od niej kraść? To się kupy nie trzyma. Harriet wysyłała mu obłąkańcze maile z inwektywami, zostawiała wrzaskliwe wiadomości na sekretarce. Mówi się nawet, że go zaatakowała, wie pan, fizycznie. Ta kobieta miała nierówno pod sufitem. W tych wiadomościach rozwodzi się o Feliksie. Oskarżyła Rune'a o romans z jej mężem. Wystarczający motyw do zemsty, nie sądzi pan?

Hess: Chyba nikt nie wie, jaki charakter miała ta znajomość. Przypuszczam, że Rune mógł wykorzystać swoje kontakty z Felixem Lordem przeciwko Burden, ale to sprawa drugorzędna. Jeśli ukradł te prace, zrobił to, gdy się zorientował, że *Poniżej* to jego największy sukces, a artykuł w „The Open Eye”, jeśli zostanie potraktowany poważnie, zagrozi jego triumfowi. W końcu mówimy tu o kimś, kto zmarł przed kamerą w swojej pracowni. Raczej trudno byłoby znaleźć argumenty za tym, że był uosobieniem równowagi psychicznej.

Burridge: Myślał chyba, że przeżyje. Przecież o to w tym wszystkim chodziło: żeby nawiązać do Houdiniego. Chciał wszystko zarejestrować. To miał być jego popisowy numer: zmartwychwstanie.

Hess: Oswald Case sądzi, że popełnił spektakularne samobójstwo.

Burridge: Książka Case'a za bardzo opiera się na spekulacjach i plotkach. Nie narzekam. Pomogła utrwalić reputację Rune'a i zmienić go w bohatera lub antybohatera, jedno i drugie jest dla jego sztuki korzystne. Wydaje mi się, że śmiertelne ryzyko stanowiło część całego przedsięwzięcia. Ale Rune nie miał skłonności samobójczych. Chciał być widowiskiem. Oczywiście wcześniej nie miałem pojęcia, że zamierza się zamknąć w tej architektonicznej konstrukcji, że jego ciało będzie jej częścią. Sekcja wykazała, że zażył klonopin. Podobno bardzo trudno się zabić klonopinem. Wsiadło mu serce, najprawdopodobniej nie wiedział, że cierpi na niewydolność. Rebecca przeżyła prawdziwy horror. To ona go znalazła, biedaczka.

Hess: Tak, mamy to na filmie, ale ten film nie pomaga ustalić motywu, prawda? On jest aktorem, ale nie ma narracji. A jednak, choć to potworne, *Krach Houdiniego* naśladuje *Poniżej*. Geometrie labiryntu zostały złamane. Ściany stoją przekrzywione i wydaje się, że za chwilę runą. Co więcej, architektura tej instalacji przypomina kilka prac Burden, których nigdy nie wystawiono, choć teraz już zostały sfotografowane i skatalogowane.

Burridge: Chce mi pan powiedzieć, że stworzyła też *Krach*?

Hess: Nie. Nie sądzę, żeby miała z tym cokolwiek wspólnego. Celem tego wywiadu jest

po prostu ukazanie relacji Burden – Rune z jeszcze jednej perspektywy. Z czasem może wypłynie więcej informacji, ale tego nie wiemy. Nie chodzi mi wyłącznie o ustalenie faktów: kto zrobił co i kiedy. Gdyby to było możliwe, i tak nie poznalibyśmy odpowiedzi na ważniejsze pytanie.

Nawet gdyby Rune nigdy nie wpadł na żaden z tych pomysłów, nie narysował ani jednej linii w planach, nie kiwnął palcem przy konstrukcji *Poniżej*, sądzę, że Burden i tak by twierdziła, że bez niego ta instalacja by nie zaistniała, że w jakiś istotny sposób powstała między nimi. To się prawdopodobnie tyczy także *Krachu*, z tym że to Rune był autorem.

Burridge: Więc w końcu uważa pan, że Rune był częścią *Poniżej* czy nie? Na coś trzeba się zdecydować.

Hess: Wątpię. Ale nawet jeśli Rune nie miał nic wspólnego z powstaniem tej instalacji, odcięcie go od *Poniżej* i tych dwunastu okien i tak byłoby niemożliwe. Burden wiedziała, że Rune jest wtopiony w ten projekt, jest niezbędny do tego, jak *Poniżej* zostanie zrozumiane. Na Rune'a z kolei wpływ miała jego rola maski. Ostatecznie w *Poniżej* wszędzie występują maski. Zmieniło to na zawsze jego twórczość i cokolwiek chciał osiągnąć w *Krachu*, dzieło to nie zaistniałoby bez Burden.

Burridge: Chce pan powiedzieć, że wpływom uległo jedno i drugie, tak?

Hess: Tak. Przypuszczam poza tym, że Burden miała ogromne ambicje. Jak pisze Brickman, chciała zawrzeć „proliferację” w większej pracy. Dla niej Rune był konieczną postacią w teatrze, który nazwała *Pozoracjami*, prawdopodobnie najważniejszą, bo wydaje się, że tych dwoje uczestniczyło w pewnego rodzaju współzawodnictwie, pojedynku rozgrywającym się na wielu różnych płaszczyznach. Jego śmierć była dla niej ciosem i z zapisków Burden niezłomie wynika, że czuła się za nią w jakiś sposób odpowiedzialna.

Burridge: Myślałem, że to ze mną jest ten wywiad.

Hess: Ma pan rację. Rozgadałem się. Czy jest coś, co chciałby pan dodać na zakończenie?

Burridge: Tak. W przeciwieństwie do pana osobiście znałem Harriet Lord, to znaczy Burden. Była cichą, elegancką kobietą obdarzoną pewnym talentem, przyznaję, i kolekcjonerką z wyczuciem, ale wersja, jakoby była demonicznym mózgiem operacji, że uknuła te wszystkie zawile intrygi albo że prowadziła jakiś pojedynek umysłów z Rune'em, wydaje mi się mocno naciągana.

Hess: Ale wspominał pan wcześniej, że pańskim zdaniem mogła zafałszować swoje dzienniki.

Burridge: Cóż, kto wie? Nie możemy tego wykluczyć. Uważam, że ma swój wkład w powstanie prac Rune'a. Wykonała trochę rysunków. Mamy na to dowody, ale wie pan, Rune w jednym z wywiadów nazwał ją swoją muzą. Instalacja Eldridge'a została stworzona głównie przez nią. Wprost się do tego przyznał. Tish, cóż, może. Ale Rune? Nie, nie sędzę. Odegrała pewną niewielką rolę, to na pewno, ale czy nie można po prostu założyć, że wykorzystwała jego popularność, żeby się katapultować z niebytu? To znaczy, spójrzmy prawdzie w oczy, jako artystka była nikim. Jak mówiłem wcześniej, jej dzienniki mogły być życzeniową wersją wydarzeń.

Hess: Sędzę, że faktycznie chciała się posłużyć Larsenem, żeby, jak to pan ujął, „katapultować się z niebytu”, ale Rune nie dotrzymał umowy. Są jeszcze inni ludzie, bliscy Burden, którzy mają do opowiedzenia swoją wersję wydarzeń. Jej dzienniki nie są jedynym źródłem informacji. Jak pan to określił, „demoniczny mózg operacji”?

Burridge: Czy nie to właśnie pan sugeruje?

Hess: Zależy, jak się definiuje „demoniczny”, ale może rzeczywiście. Bardzo dziękuję za poświęcony mi czas.

Burridge: Dziękuję i trzymam kciuki za książkę.

# Depesza skądinąd

Ethan Lord

E budzi się i odkrywa, że znajduje się w domu na Park Avenue 1185 i leży w swoim dawnym dziecięcym łóżku, wąskim i białym, z wysokim wezglowiem i oparciem dla nóg. Zastanawia się, dlaczego nie nocował na Jedenastej Północnej. Wie, że nie jest już dzieckiem. Wie, że od dawna tu nie mieszka. To przemieszczenie dziwi go, gdy próbuje usiąść, ale prześcieradło i kołdra stawiają opór, jak gdyby były żywe, musi więc rozdać kilka ciosów duszącej go pościeli, nim udaje mu się z niej wyplatać, wyskakuje z łóżka i z wdziękiem, bez najmniejszego wysiłku ślizga się po podłodze i sunie korytarzem do kuchni. E otwiera szafkę, żeby wyjąć filtr do kawy rozmiar dwa, ale nie może go znaleźć. Odczuwa silny zawód. Wtem zauważa, że szafka zarosła od środka grubą warstwą brudu i dużymi plackami pleśni, z których sączy się wilgoć i wyrastają gigantyczne zarodniki. Wpatruje się w ową grzybniową kompozycję i mówi na głos do siebie, że te białe linie przypominają mu czyjąś twarz, ale czyją? Zatrząskuje drzwiczki, żeby odciąć się od tej płataniny. Wtedy kątem oka dostrzega z lewej strony za oknem jakiś trzepot. Odwraca się w stronę bodźca, wyobrażając sobie przez sekundę lub dwie, że to powiewająca flaga, i widzi na zewnątrz długie spodnie, marynarkę od garnituru i krawat, które unoszą się poziomo w powietrzu i łopoczą bezgłośnie na wietrze. Zauważa, że spodnie od garnituru skierowane są na wschód. Ten widok sprawia mu przykrość.

E działa szybko, otwiera okno, chwytając w ramiona bezcielesny garnitur i wciąga go do środka, cały czas wyczuwając, że w tym ubraniu mieści się niewidoczna osoba, a on uratował niewidzialnego człowieka, którego w przeciwnym wypadku porwałby wiatr. E odczuwa ulgę, gdy kołysze garnitur na rękach. Zauważa kawałek papieru wystający z kieszeni marynarki. Przyjrząwszy się, widzi, że ta kieszeń jest nietypowo duża i wybrzuszona. Wyciąga długą białą kartkę i odczytuje imię i nazwisko: Sophus Bugge. Po czym, bez żadnego stadium przejściowego, które by zarejestrował, E zdaje sobie sprawę, że nie trzyma już garnituru, ale patrzy nań z góry, a co bardziej niepokojące, nie jest to już garnitur. Najwyraźniej powyrastały z niego falbanki i ogólnie rzecz biorąc, zdelikatniał, stał się półprzezroczysty, czego wcześniej nie było widać. Wygląda podejrzanie. Gdy E wpatruje się w tak odmieniony garnitur, odczuwa coraz większą irytację i nabiera przekonania, że zgubił coś lub zapomniał o czymś ważnym. I gdy

zachodzi w głowę, co to może być, strój na podłodze zaczyna podrygiwać, jak gdyby ożyło pod nim jakieś zwierzę. E w przerażeniu otwiera usta, żeby krzyknąć, i budzi się z dudniącym sercem. Jest z powrotem w swoim mieszkaniu w Williamsburgu na Jedenastej Północnej, a przez szczeliny w żaluzjach przebija się poranne słońce. Serce E uspokaja się. E nie rusza się z łóżka, w myślach analizuje swój sen. Pracuje nad wykorzystaniem sennych narracji w swojej twórczości. Wie, że jeśli będzie działał zbyt szybko, sen się rozproszy. Wie, że musi w myślach raz jeszcze przejść przez pokoje ze snu. Prawdziwe mieszkanie na Park Avenue i mieszkanie na Park Avenue ze snu nie są identyczne, ale mają kilka cech wspólnych.

Po kawie i kawałku pizzy, który znajduje zawinięty w folię aluminiową na drugiej półce lodówki, E spisuje na komputerze powyższą wersję snu, żeby móc go poddać analizie. Bierze też do rąk książkę, którą czytał poprzedniego wieczoru, *Raporty jezuitów z misji wśród Indian w Nowej Francji, 1637–1653*, i znajduje następujący podkreślony przez siebie ustęp: „Huroni wierzą, że nasza dusza ma pragnienia inne niż te uświadomione, pragnienia naturalne i ukryte, a przekazywane nam w snach będących ich językiem”. E przypomina sobie, że przed pójściem spać czytał raport innego jezuitę, który opisywał rytuał odgrywania przez Huronów sennych narracji w ciągu dnia, co miało zaspokoić głód duszy. Jezuita donosił, że pewnego dnia w jego obozie buszował jakiś Indianin, rozrzucając różne przedmioty, jakby rozpaczliwe czegoś szukał. Zapytany przez zakonnik, co robi, mężczyzna odpowiedział, że zabił we śnie Francuza i teraz szuka czegoś, co mogłoby ułagodzić jego duszę. Zakonnik dał mu płaszcz, mówiąc, że należał do nieboszczyka. Uspokojony tym darem Indianin wrócił do siebie. E zadaje sobie pytanie, czy to nie z tej właśnie historii wziął się latający garnitur w jego śnie.

*E wyodrębnia elementy snu, ażeby sformułować ewentualne wnikliwie interpretacje*

*Miejsce.* Stare łóżko E w dawnym mieszkaniu, gdzie E spędził dzieciństwo i okres dojrzewania i gdzie był w pierwszych latach dorosłości. Strefa przeważnie cichych rodzicielskich konfliktów.

*Pościel dusicielka.* Dlaczego dusicielka? Możliwe nawiązanie do poczucia uciemnienia, które towarzyszyło E w tym domu w latach młodzieńczych, i do dziecięcych napadów złości, a potem ataków paniki, w czasie których miał wrażenie, że nie może zaczerpnąć powietrza. Od czasu do czasu E wciąż wyczuwa groźbę utraty tchu i na wszelki wypadek nosi w portfelu dwa lorazepamy.

*Filtr rozmiar dwa.* Niejasne. W prawdziwym życiu E używa w ekspresie do kawy filtrów rozmiar cztery. Skąd rozmiar dwa? E myśli o sobowtórach, bliźniętach, lustrzanych odbiciach i różnego rodzaju dwoistościach. Nie znosi myślenia binarnego, świata w parach. Czy to nawiązanie do ojca i matki w mieszkaniu na Park Avenue 1185? E zaczyna czuć sen w swoich kościach. Czytał kiedyś o badaniach nad snem, o tym, jak naukowcy budzą „badanych” przed spisaniem ich sennych relacji. Wyobraża sobie, jak mówi mężczyźnie w białym kitlu: „Przyśniły mi się filtry rozmiar dwa”. A potem przychodzi mu do głowy słowa starej piosenki Doris Day: *coffee and tea, two for tea, you for me*. Przypomina sobie A na zebraniu neo-sytuacjonistów, A z jej poważną miną i prezentacją pod tytułem „Kapitalizm technokultury, jego nowa waluta, informacje i strategie oporu poprzez subvertising”. Rozmawiał z nią pół godziny i cały czas kołatały mu się po głowie słowa: „Może byśmy się umówili na kawę albo herbatę?”. Ale jego usta nie chciały się poruszać. Kawa. Herbata. Dla dwojga. Te zaniemówienia zdarzają się często. Jego rozczarowanie sobą jest silne.

*Brud w szafce w formie twarzy.* Chaos, syf, niezorganizowanie. E przyznaje, że często czuje w głowie potworny zamęt co do przyszłości literatury, polityki, miłości. Pisze codziennie, powoli, bardzo powoli. Zdania wypełzają z niego w ślimaczym tempie. Próbował automatycznego pisania. Próbował akrostychu, list, nawet vilanelli. Teraz sennie narracje. Czyta *Życie instrukcja obsługi* Georges’a Pereca. E chce być Georges’em Percem. Chciałby napisać książkę bez litery „e”, „a” albo „t”. Próbował, ale to piekielnie trudne. Mimo wszystko potrzebuje form. W niektóre dni nie wychodzi z mieszkania. Pisze, a potem czyta, aż burzą mu się myśli, i rysuje wykresy, które nikogo nie zainteresują. Może to własnej grzybiczej gęby nie poznaje w szafce.

*Zawieszony w powietrzu garnitur.* E posiada garnitur, sztuk jeden, i krawat, sztuk jeden. Spodnie od garnituru są teraz przykrótkie. Ojciec E codziennie nosił garnitur i krawat do pracy. Całe rzędy garniturów wisiały w szafie, w której E kiedyś się chował pod skórzanymi paskami, bo ładnie pachniały. Ojciec E często wyjeżdżał. E zamykał się w szafie ojca i wdychał ojcowski zapach, bawiąc się żołnierzkami na chłodnym drewnie. Zawsze zapalał w środku latarkę. Nie znosił szaf, gdy przebywał poza nimi, jego strategia polegała więc na tym, żeby do nich wchodzić. W środku szafa ulegała przeobrażeniu. Była wygodna. Czasem wstawał i pocierał materiał garniturów, nie za mocno, bo bał się, że zostawi ślady lub zrobi dziurę, ale nie znosił włochatych tkanin i tych wołał nie dotykać. Nazywał je wrogami dotyku. E czuje ścianę szafy,

o którą opiera się tyłem głowy. Pamięta, że gdy myślał o szkole, robiło mu się gorąco, nieprzyjemnie, gotowała się w nim złość. E pamięta, jak wciskał głowę w brzuch matki, z całej siły, żeby złagodzić to napięcie. Pozwalała mu.

*Zawieszony w powietrzu garnitur za kuchennym oknem.* Ojciec E doznał udaru przy stole we wnęce kuchennej mieszkania na Park Avenue 1185, gdy siedział pod oknem. Dlatego E przyśniło się okno i latający za nim garnitur, przyśnił mu się bezcielesny człowiek na wygnaniu. E uważa, że śmierć to wygnanie z ciała, wygnanie ze wszystkiego. Ani E, ani jego siostra M nie byli obecni, gdy ich ojca powalił udar naczyniowy mózgu. Obecna była ich matka. Zabrała się do szpitala karetką. Gdy E i M przybyli na oddział pomocy doraźnej szpitala na Sześćdziesiątej Ósmej Ulicy, pomoc doraźna już się skończyła. Pomoc doraźna kończy się życiem lub śmiercią. Kot Schrödingera nie istnieje w świecie znanym E. Życie i śmierć nie współistnieją w jednym ciele. E przypomina sobie słowa „krwotok podpajęczynówkowy tętniaka”. Przypomina sobie brązową plastikową ławkę w poczekalni i atramentowy zygzak przy udzie, gdy na niej usiadł. Pamięta, że nie chciał, żeby ktokolwiek go dotykał.

*Kierunek: wschód.* Po przebudzeniu E z łatwością rozwiązuje tę łamigłówkę. Tajlandia leży na Wschodzie. Tam tkwią korzenie ojca po kądzieli. Nogawki wskazują w kierunku jego babki, Khun Ya, z jej intensywnie czerwonymi, twardymi paznokciami i szerokim uśmiechem.

*E ratuje ubrania, które zdają się kogoś powlekać, ale tego kogoś nie widać.* Martwego ojca E już nie widać. Czy syn chce uratować to, co zostało po ojcu, a co może rozwiać wiatr? Niby co? E odrzucił pieniądze ojca, nie licząc skromnej sumy raz do roku, ale wie, że jest hipokrytą. Powinien zostać spawaczem i pisać nocami. Zainteresował się kursami spawania. Dostał nawet pocztą broszury z Akademii Technicznej Apex, ale nigdy się nie zapisał. Jest słabym, rozpieszczonym filistrem, który nigdy nie zostanie spawaczem. Czyżby tak naprawdę chciał zachować dziedzictwo ojca, jego pieniądze, garnitury, kolekcję sztuki i wszystkie inne burżuazyjne pułapki, jakie można sobie wyobrazić? E nie płakał po śmierci ojca. Wielokrotnie się zastanawiał, dlaczego nie płakał. Pamięta to ubranie na swoich rękach we śnie i uczucia ulgi, smutku i żalu, dużo mocniejsze w objęciach Morfeusza niż na jawie.

*Sophus Bugge w kieszeni marynarki.* W kieszeniach kryją się przedmioty. Z zewnątrz widać tylko wybrzuszenie, wypukłość. We śnie E nie rozpoznał tego nazwiska, ale na jawie przypomina sobie, że Sophus Bugge był dziewiętnastowiecznym norweskim filologiem, który zasłynął krytycznym wydaniem *Eddy starszej*, zbioru trzynastowiecznych pieśni heroicznych



i mitologicznych, które E przeczytał przed wielu laty, dowiedziawszy się, że utwór ten miał wpływ na jego dziecięcego literackiego herosa, Tolkiena. A autor *Eddy*? Anonim. Nieznany. Brak autora. E wraca do Buggego. Był zapalonym kolekcjonerem norweskich utworów folklorystycznych i uczonec, który rozszyfrował najstarszy alfabet runiczny, futhark starszy. Futhark – to mógłby wymyślić Lewis Carroll, ale słowo to nie pochodzi z *Dziaberliady*. Co Sophus Bugge ma wspólnego z czymkolwiek? Dlaczego jego nazwisko znajduje się w kieszeni ojcowskiej marynarki? I teraz, w trakcie pisania, świta mu w głowie rozwiązanie tej zagadki. Alfabet runiczny: runiczny, runy i osoba o imieniu Rune, maska matki E w jej ostatnim projekcie. E mówi na głos „Eureka”. E odczuwa triumf. Jest szalenie dumny, jak sprytne jest jego śniące „ja”. Czyż labirynt matki nie nazywa się *Poniżej*? Poniżej, głębiej, ukryty w kieszeni marynarki. Pod Rune’em, schowanym pod Sophusem Buggiem, schowana jest Harriet Burden. Znalazł swoją matkę w kieszeni ojca?

E nie wie, co to mogłoby oznaczać. Zdaje sobie sprawę, że interpretacji zawsze jest wiele. Wie, że skojarzenia mogą prowadzić wieloma ścieżkami. Sen można odczytać na więcej niż jeden sposób. Nie zawraca sobie głowy rozszyfrowaniem falbanek. Wciąż go drażnią. Utrzymują się jako źródło irytacji. E widzi ten delikatny, jedwabisty materiał, który porusza się pod nim, i odczuwa wstręt, jak gdyby dwa światy, snu i jawy, zderzyły się ze sobą.

# Harriet Burden

Zeszyt „D”

7 lutego 2003

Wczoraj wieczorem widziałam, jak się schodzili, jedno po drugim, i czekali w długiej kolejce pod galerią, do labiryntu, mojego labiryntu. Chciałam odrzucić głowę do tyłu i wyrzeshzcze: „Jest mój!”, ale zaciskałam zęby. Oszołomiona, rozdarta, pokrzywdzona Harry, zjawia przed własnym wernisażem. Stanęłam na końcu kolejki za dwiema laluniami na tak wysokich obcasach, że przy każdym kroku trzęsły im się kolana, i słuchałam, jak rozprawiają bez końca o zaletach „diety lemoniadowej”, coś o cytrynie i soli. „O matko, Lindsay, trzy kilogramy w trzy dni. O matko, rewelka, o matko”.

Zagabnął mnie Patrick L. Czy Klee jest rzeczywiście do sprzedania? To tylko plotka, Harriet? Zalatywało od niego wędzonym łososiem. Pod latarnią zauważyłam krostę, a może pęcherzyk na jego policzku. Przeszedł już przez labirynt.

„Jest świetny. Rune to geniusz, kurwa, geniusz”.

Spytałam, czy nie przesadza.

„Nie widziałaś jeszcze wystawy. Ale pamiętasz *Banalność glamour*, prawda?”.

Kiwnęłam głową.

„No więc ta jest jeszcze lepsza”. A potem przeskoczył na Felixa, moją pogrzebaną lepszą połowę. Nie wiedział, o czym innym mógłby ze mną gadać. Zobaczył mnie, pomyślał: Felix, pomyślał: wdowa i wygenerował z siebie długaśny pean na cześć zmarłego męża. Nikt tak naprawdę nie zastąpił Felixa, na pewno nie Burridge, choć jest niby taki „trendy” i „światowy”, a przy okazji, reflektując się: Czym *ja* zajmuję się ostatnio, może jakiś lunch? Przy słowie „lunch” rozpromienił się. Nagle zrozumiałam, co znaczy ten czasownik. Kiwałam głową, mój podbródek wędrował do góry i w dół. Czemu przytakiwałam? Powinnam była energicznie kręcić głową: nie, nie, nie. Czy się uśmiechałam? O Boże, czy ja się uśmiechałam? Mam nadzieję, że nie.

W trakcie rozmowy z Patrickiem L. zastanawiałam się, dlaczego, no dlaczego nie jestem taka jak oni? Dlaczego jestem cudzoziemką? Dlaczego nigdy nie byłam jedną z nich, zawsze poza grupą, wypchnięta? O co chodzi? Dlaczego zawsze zaglądam do środka przez okna?

Czułam, że zaraz rozszczępią się linie uskoku w moim ciele. Pomyślałam o worku treningowym w pracowni, jak przyjemnie jest czasem sobie w niego powalić. Miałam ochotę grzmotnąć Patricka L. W myślach widziałam, jak się zatacza na ścianę i wpada do rynsztoka.

Opuściłam kolejkę, przeszłam do najbliższej przecznicy i stamtąd prowadziłam obserwacje. Wiedziałam, że Rune będzie czekał na moje przybycie, ale nie chciałam się pokazywać. Wpadli na mnie Phinny i Marcelo, kochany Phinny, ale to już właściwie nie ten sam Phinny, nie jest już moim Phinnym, moim lokatorem, nie jest już moim tańczącym, śpiewającym kompanem. Tamtego Phinny'ego straciłam. Chciał, żebym poszła z nimi na kolację, ale odmówiłam. Nie, powiedziałam, nie. Wierzę w „nie”. Wierzę w twarde, niezniszczalne, diamentowe „nie”. Nie i jeszcze raz nie. Nie, nie pójdę. Nie, nigdy, bynajmniej. Wolałabym nie. Od „tak” chciało mi się rzygać. A tak, chętnie. Tak, oczywiście, naturalnie, tak, kochanie, tak, najdroższy. Tak, tak, tak. I powiedziała „tak”.

I gdy odchodzili, trzymając się za ręce, czułam, że zbiera mi się na płacz, ale nie rozplakałam się. Nie, o nie. Nie będę płakać.

Pisarze muszą pisać, krytycy krytykować, recenzenci recenzować, a jajcarze robić sobie jaja, i tak już zostanie.

Nadszedł mój czas i cokolwiek powiedzą – głównie miernoty – nie jest istotne. Najważniejsze jest to, JAK WIDZĄ. A mnie *nie* zobaczą.

Do czasu, aż się ujawnię.

25 lutego 2003

Jakże łatwo Rune'owi błyszczeć. Skąd się bierze ta łatwość? Jest taki lekki. Mnie przygniata ku ziemi, jestem Kalibanem, a on – Arielem. Muszę patrzeć, jak śmigła zwiewnie nad moją głową, gdy ja czaję się pod ziemią pełna burych myśli, które kotłują się w moich bebechach. „Sam dla siebie jest ciemnicą”<sup>67</sup>. Ja, Harriet Burden, jestem machiną mściwości i urazy. Całe moje ciało się burzy, gdy pożeram recenzje, wiadomości i komentarze o genialnym wyczynie Rune'a. Głowy się odwróciły. Autor recenzji w „The Gothamite”, Alexander Pine, nie wie, że pisał o mnie, nie o Runie. Nie wie, że przymiotniki „muskularny”, „zdyscyplinowany”, „intelektualny” to słowa, do których prawo mogę sobie rościć ja, nie Rune. Nie wie, że jest narzędziem mojej zemsty. Nikt bardziej niż kobiety nie raduje się odwetem, napisał Juwenalis. Białogłowy zaiste rozkoszują się rewanzem, napisał sir Thomas Browne. Bardzo słodka jest kobiecie zemsta, napisał lord Byron. A ja się pytam: ciekawe dlaczego, chłopcy. Ciekawe

dłaczego.

## Harriet Burden

### Zeszyt „O”

Wpadnij, powiedział wczoraj przez telefon Rune. Chciał mi coś pokazać, coś w związku z „naszym numerem” i dał mi wskazówkę: „twoje szczęście”. Umówiliśmy się na dzisiaj, na szesnastą, i wiedziałam, że najwyższa pora zaplanować demistyfikację, dość już w prasie szumu na temat wystawy, i tak – ujawnienie się by mnie uszczęśliwiło. To było wczoraj. Dzisiaj pojechałaś do Tribeki i widzisz teraz siebie, jak uśmiechnięta wychodzisz z windy, lekkim krokiem, bo ta historia zaraz się skończy, ty i twój wspólnik niebawem zagracie im wszystkim na nosie i myślisz sobie: będę lewitować jak moja zamaskowana tancerka, uniosę się nad ziemię jak feniks. Zresztą i tak nie chciałybyś tego dalej ciągnąć, myślisz sobie, i usiadłaś, a gdy spytał, czy jego wskazówka naprowadziła cię na trop, odpowiedziałaś: Tak, czas, żebym rozkwitła, odnalazła swoje szczęście. Czas wszystkim powiedzieć prawdę. Wyjaśniłaś, że tekst w „The Open Eye” ukaże się w formie listu w następnym numerze, że sama myśl o tym przepelnia cię rozkoszą, a potem mu podziękowałaś. Podziękowałaś mu, że zgodził się być częścią tego wszystkiego. Podziękowałaś mu za to, że pozwolił ci siebie „przywdziać”. Pochyliłaś się i poklepałaś go po dłoni, i uśmiechnęłaś się jak jakaś pieprzona idiotka. Uśmiechnęłaś się.

Tymczasem on zapalił papierosa i spojrzał na ciebie. Palił, podrygiwał kolanem, oblizywał zęby, a potem wsunął do odtwarzacza płytę DVD. Chcę, żebyś to obejrzała, powiedział, i nie mów, że nie próbowałem cię naprowadzić, bo próbowałem.

Ujrzałam Felixa i wstrzymałam na kilka sekund oddech.

Ujrzałam Felixa i Rune’a.

Ujrzałam ich obok siebie na sofie w osobliwie pustym pokoju – za nimi goła ściana.

I spytałam: Dlaczego?

Oglądaj, powiedział.

Kręciłam i kręciłam głową. To się na pewno wydarzyło? Byłam wstrząśnięta.

I przerażona. Nie chciałam ich oglądać, ale nie mogłam się odwrócić. Patrzyłam, jak siedzą na sofie w pustym pokoju.

Oglądałam Felixa zmartwychwstałego na filmie. Nie miał na sobie marynarki, tylko jasnoszarą koszulę i zielono-szary krawat Hermès’a od matki, ten sam, który pochlapał

sałatkowym sosem podczas kolacji zorganizowanej w Met, ten, którego nie udało się uratować w żadnej pralni, i przypomniałam sobie kwiaty na stole i karteczki z nazwiskami i moją nudę tego wieczoru w muzeum. Który to był rok? – pytałam siebie rozpaczliwie. Po tamtej kolacji na pewno nie nosił już tego krawata. Przypomniałam sobie, że przy stole mężczyźni, którzy siedzieli obok mnie z jednej i z drugiej strony, odwrócili się i rozmawiali z kimś innym, a ja zostałam sam na sam ze swoim wewnętrznym narratorem i zastanawiałam się, po co tam w ogóle przyszedłam. Spojrzałam w oczy mojego martwego męża na ekranie i na jego gładko ogolone policzki, i na siwe włosy na skroniach i próbowałam sobie przypomnieć, kiedy matka dała mu w prezencie ten krawat, ale nie byłam w stanie. Miał wtedy trochę siwych włosów, ale później, później osiwił całkowicie.

Czekałam, pełna lęku, aż coś się wydarzy, ale żaden z nich nic nie zrobił. Patrzyli prosto przed siebie w obiektyw kamery, a potem, może po minucie, wymienili uśmiechy i znów odwrócili się do kamery.

Czy te uśmiechy zdradzały bliskość?

Wbiłam w Rune'a wzrok i spytałam: Dlaczego mi nie powiedziałeś, że znałeś Felixa?

Felix znaczy szczęśliwy, rzekł, twój Felix, twoje szczęście.

Harry, siedziałaś naprzeciwko Rune'a z nieszczęśliwą miną. Nie wiesz, jak wyglądała twoja twarz, ale wiesz, że nie potrafiłaś ukryć emocji. Zranił cię.

To nie ma nic wspólnego z tobą, kochanie, powiedział Felix. To nie ma nic wspólnego z tobą.

Harriet, co ty tu robisz?

Nie powinnaś tu przychodzić.

Ale dlaczego mi nie powiedziałeś, że znaliście się z Felixem? Dlaczego mi nie powiedziałeś?

Czy to ważne? Czy to ważne, że byliśmy z Felixem blisko? – spytał.

Wiesz, on dużo o tobie mówił. Uważał, że jesteś genialna. Podziwiał cię.

To część naszej gry, prawda? – chciałam wiedzieć.

Odpowiedział, że tak, to gra, dalszy ciąg naszej gry, i wyjął z kieszeni klucz. Podniósł go. Od lat nieużywany, wyjaśnił. Pamiątka.

To było okrutne. On był okrutny.

I co wtedy zrobiłaś, Harry? Zasłoniłaś dłonią usta, żeby ukryć to, co się z nimi działo,

i wbiłaś wzrok w podłogę. Tak było? Tak, pamiętasz, że podniosłaś dłoń do ust, żeby nie widział twoich emocji. Co czułaś? Niedowierzenie? Nie, nie to, niezupełnie. Cięcie zdrady, stare i nowe. A potem opuściłaś ręce. Twoja twarz znieruchomiła. Tak, czułaś jej bezruch.

Prawda, że ci się podobam? – zwrócił się do mnie. Wstał. Ja zostałam w fotelu, a on położył dłoń na mojej szyi. Podniecam cię, prawda? Pokręciłam głowę – nie.

Nie, powiedziałam na głos, nie.

Mam odegrać Felixa? Moglibyśmy zagrać Richarda i Felixa, byłoby super, nie sądzisz? Albo Rune'a i Felixa. Ty mogłabyś być mną.

Nie patrzyłam na niego. Nie mogłam.

Wiesz, co lubił Felix, prawda? Wiesz, co dawało mu szczęście? Przyznaj się, musisz wiedzieć.

Nie odzywałam się.

To takie proste, powiedział, takie proste. Lubił patrzeć.

W mojej głowie nie było nic, pustka.

Jak to zrobimy? – spytał. A może wolałabyś być Ruiną? Felix podglądający Richarda i Ruinę, to byłoby super, albo Rune'a i Ruinę, albo Rune'a i Richarda. Moglibyśmy udawać, że nas podgląda. Twoje szczęście, twój Felix. Czy Felix o tobie wiedział, Harry? Znał twoją tajemnicę? Tak naprawdę jesteś Ruiną, prawda, Harry? Ja grałem ciebie, odrażającą, skamlącą, zakompleksioną pizdę.

Te słowa pamiętam. Będę je pamiętać do końca życia. Będą moimi bliźniami.

Siedziałam w milczeniu nieruchomo jak skała. Harry – skała. Mówił o tym, jak bardzo nam się udało *Poniżej*, dużo bardziej, niż się spodziewał. Zaskoczył go ten sukces, naprawdę, i wtedy przeniósł ręce na moje ramiona i mocno je ścisnął. Powiedział: A z drugiej strony – doprawdy – pomyśl, co by się stało, gdyby ta wystawa była podpisana twoim nazwiskiem. Masz rację, Harry. Nie stałoby się nic.

A ty wciąż tam siedziałaś, gdy on napierał rękami na twoje ramiona, ale ich nie strząsnęłaś, nie zrobiłaś żadnego ruchu, żeby go powstrzymać. Nie krzyknęłaś, nie uderzyłaś go. A gdy przesunął dłonie na twoją szyję i ścisnął delikatnie, mówiąc, że tak się tylko wygłupia, gdzie wtedy podziewał się twój gniew, Harry? Co się z tobą stało, Harry? Powiedział, że duszenie może być podniecające, orgazmiczne, pod warunkiem że nie posuniemy się za daleko.

Bałaś się, Harry?

Tak.

Puścił twoją szyję, ale wtedy też się nie poruszyłeś, prawda?

Tak.

I wtedy uderzył cię w twarz. Poruszyłeś się?

Nie.

Byłaś jak dziecko zastygłe na stołku w kącie, dziecko ukarane za to, że odezwało się nieproszone, że nie podniosło ręki w klasie. Milczące dziecko zamienione w kamień.

Rune powiedział, że zatrzyma moją instalację jako własną. Należy teraz do mnie. Kolejne warstwy mistyfikacji, Harry. Podnosisz jedną maskę i znajdujesz następną. Rune, Harry i znowu Rune. Wygrałem.

Co znaczyły te słowa?

I wtedy powiedział: Ludzie wiedzą, ludzie wiedzą o twojej chorobie.

Mojej chorobie? – powtórzyłam.

O twoim załamaniu.

Pomyślałam wtedy: jakim załamaniu? Czy ja przeszłam załamanie? Czy to, co przeżywałam po śmierci Felixa, było załamaniem nerwowym? Tak, prawdopodobnie tak. Mówiłam Rune'owi o torsjach, o Feliksie, o doktorze F.

Słyszałam, jak przetykam ślinę. Musiałam przetykać głośno. Nie pamiętałam, jak się cicho przetyka ślinę.

Wtedy dziecko z kamienia stanęło na swych sztywnych kamiennych nogach, pochyliło się, podniosło torebkę tamtej szczęśliwej kobiety, która wcześniej przeszła przez drzwi. Ile minut minęło od tego czasu?

Stopy drepczą bezwiednie po Chodniku wąskim<sup>6869</sup>.

Znalazła jeepa na Hudson Street. Świat na zewnątrz wydawał jej się rozdygotany. Zajrzała przez okno do restauracji Bubby's i zobaczyła jedzących, widelce w ruchu, do góry, w dół. Zobaczyła przeżuważące szczęki, dłoń na szklance z bursztynowym piwem na stole. Zobaczyła usta otwierające się do śmiechu, pod nimi podrygiwał podbródek, nad nimi mrużyły się oczy. Ale jej ruchy nie były ich ruchami; jej rytm nie był ich rytmem. Zresztą nigdy tak nie było, prawda? Nie, ona żyła w innym czasie, w innym tempie. Pojechała do Red Hook, kimkolwiek była, i położyła się na podłodze w pracowni. Barometr przyniósł jej rysunek upadłego anioła z ogromnymi żyłkowanymi skrzydłami. Wyglądasz jak nieżywa, Harry. Czuję



się martwa, odparła. A on: W porządku. Nie martw się. To się zdarza nam wszystkim, a później, wiele godzin później, zadzwoniła do Brunona, a gdy przyszedł, opowiedziała mu część tej historii, ale nie wszystko. Musiała ukryć swój wstyd, zakryć oparzenia, które miały się zamienić w blizny. Nie mogła mu powiedzieć o Ruinie, o nieszczęśliwym dziecku, które zamieniło się w kamień, a potem wyszło na ulicę ze spuszczoną głową.

## Maisie Lord

(zredagowany zapis nagrania, 20 czerwca 2012)

Zaledwie tydzień temu znalazłam jeden z zeszytów mojej matki ukryty za rzędem książek w altanie na Nantucket, którą nazywaliśmy „dziecięcym domkiem”, bo sypialiśmy tam z Ethanem, jak byliśmy mali. Mama nie żyje już od ośmiu lat, ale ten notes mógł jeszcze długo pozostać w ukryciu, gdyby nie to, że zdecydowaliśmy się z Ethanem sprzedać dom na Nantucket. Byliśmy tam sami, przeglądaliśmy rzeczy, żeby zdecydować, co zatrzymać, a co oddać, i dużo było przy tym śmiechu. Wspominaliśmy, jak pewnego dnia znaleźliśmy na plaży martwą mewę albo jak zebraliśmy zielone kamienie i udawaliśmy, że mają czarodziejską moc. Codziennie pływałam, Ethan nie, bo cierpi na hydrofobię i teraz już może się do tego przyznać, biedak. Jak byliśmy dziećmi, wchodził do wody, nauczył się nawet pływać, ale pewnie zawsze się bał, że utonie, a teraz już nie musi udawać, że lubi pływać. Zeszyt w zwykłej szarej okładce był wciśnięty za *Wyspę skarbów* i *Pippi Pończoszankę* i natychmiast rozpoznałam zamaszyste pismo mojej matki z wielkimi pętelkami. „Zeszyt «O». Piąty Krąg”. Dzienniki, które prowadziła, a były ich dziesiątki, oznaczała literami. Całe lata wertowałam je podczas pracy nad *Naturalną maską*, która jest wreszcie ukończona. Po jej śmierci znaleźliśmy setki stron z zapiskami, które wypełniały jeden zeszyt po drugim. Razem tworzą prawdziwe tomiszczce.

Powiedziałam Ethanowi, że chciałabym przejrzeć ten zeszyt pierwsza, a potem mu go oddam. To zabawne – nigdy nie śmiałabym go przeczytać, gdyby mama żyła, ale zmarli tracą swoją prywatność, a przynajmniej jej większą część. Kontrowersje wokół mojej matki, *Rune’a* i *Pozoracji* wciąż jeszcze nie ucichły, chociaż ci z nas, którzy byli blisko mamy, mają całkiem niezłe wyobrażenie o tym, jak wygląda prawda, bo wierzymy w to, co napisała. Po przeczytaniu zapisków oddałam zeszyt Ethanowi, ale czułam się tak przybita i zdenerwowana, że poszłam się przejść Squam Road, starą ulicą, która była mi tak dobrze znana. Przypuszczam, że usiłowałam zebrać kilka moich fragmentarycznych matek w jedną, co nie było łatwe. Musiałam też wpasować w to wszystko podwójne życie mojego ojca, a to bolało. Teatr masek, który matka odegrała z Rune’em na Nantucket, zamienił się później w tańce wykorzystane w *Poniżej* i wydaje mi się, że Richard Brickman i Ruina reprezentowali dwie skonfliktowane strony osobowości mojej matki. Wszyscy mamy pierwiastek słaby, wszyscy mamy też część dominującą, okrutną,

ale sędzę, że zwykle są one bardziej wymieszane niż u mojej matki. Po przeczytaniu jej wpisu o wizycie u Rune'a i filmie, który jej pokazał, zrobiło mi się niedobrze. Miałam okazję poznać sadystyczną stronę Rune'a tamtego wieczoru na wernisażu *Dusznych pokoi*, kiedy to próbował wytrącić mnie z równowagi, pokazując mi stary klucz. Zadawałam sobie pytanie, czego chciała mama, na co liczyła. Jak bardzo męczący, szalony, upokarzający jest ten świat zwycięzców i przegranych, świat gry, ale ona chciała stać się w jakiś sposób jego częścią, a Rune wiedział, jak ją zranić, gdzie zatopić ostrze. Szczerze mówiąc, miałam ochotę zataić ten wpis i parę innych, wyrwać je z zeszytu i spalić kartki, ale to byłaby głupota. Gdy spacerowałam w gorącym słońcu piaszczystą drogą, mijając znajome skrzynki na listy, stawał mi przed oczami obraz matki, nie jako dorosłej, ale jako dziewczynki z jej porównania: „Byłaś jak dziecko zastygłe na stołku w kącie”. Ten obraz wraca do mnie, gdy myślę o tamtym strasznym spotkaniu mojej matki z Rune'em: mojej wysokiej, silnej, pełnej pasji matki zamienionej w milczącą dziewczynkę, dziewczynkę zaklętą w kamień.

Gdy wróciłam ze spaceru, zastałam Ethana leżącego na dolnej pryczy piętrowego łóżka z zeszytem obok. Spojrzał na mnie i zobaczyłam mamę. Ta chwila zdumiewającego rozpoznania trwała zaledwie kilka sekund, ale dostrzegłam w bracie moją matkę, która znikła tak szybko, jak się pojawiła, ale trochę to mną wstrząsnęło. Usiadłam przy Ethanie, położyłam rękę na jego ramieniu i czekałam, aż podzieli się ze mną wrażeniami. Zerknął na mnie i powiedział: „Podoba mi się styl”. Parsknęłam śmiechem. Chyba mi ulżyło. Ja w ogóle nie zwróciłam uwagi na kwestie estetyczne. Potem Ethan wyjaśnił, że podziwia sposób, w jaki matka przeskakuje z pierwszej osoby na drugą i trzecią. W jej wykonaniu to wydawało się takie proste. Powiedziałam bratu, że go kocham. Pokiwał głową. Gdy wysyłam do Ethana maila, podpisuję go: „Buziaki, Maisie” albo „Twoja kochająca siostra Maisie”, a on swoje kończy suchym „Ethan”. Zawsze tak było i tak już pozostanie. Przyzwyczaiłam się. Ethan powiedział, że niektóre fragmenty zeszytu trzeba zawrzeć w książce, że je zeskanuje i od razu do pana zadzwoni, zanim będzie za późno.

Uważałam, że powinniśmy to dobrze przemyśleć, rozważyć wszystkie za i przeciw. Spytałam, czy nie uważa tych wpisów za przygnębiające, a właściwie przerażające. Powiedział, że owszem, ale mówimy o spuściźnie naszej matki, o jej dorobku artystycznym. Ten zeszyt, twierdził Ethan, wyjaśnia tajemnicę Richarda Brickmana. Wierzył, że „Harriet” chciałyby, aby opowiedziano historię tego pseudonimu. Brickman okazał się jeszcze jednym alter ego naszej matki, częścią szerszej narracji. W końcu Ethan przekonał mnie, że ma rację.

Spytałam go, którzy grzesznicy znajdowali się w piątym kręgu *Piekle* Dantego, bo zapomniałam. Potępieni za gniew i smutek, powiedział, pieśń siódma i ósma. Potępieni za złość i pesymizm skazani są na taplanie się w błocie, smród i cuchnące opary Styksu. Ethan ma doskonałą pamięć do książek. Mówi, że często, nie zawsze, ale często, widzi stronę wraz z numerem i czasem potrafi ją odczytać. Tym razem mu się nie udało, ale pamiętał, że Wergili i Dante spotykają furie, które nakazują Meduzie zamienić Dantego w kamień. Oczywiście nie robi tego. W przeciwnym razie poemat skończyłby się już tam. Rune zamienił moją matkę w kamień, przynajmniej na chwilę. Nienawidzę go za to. Wciąż go nienawidzę, chociaż już nie żyje. I rozumiem złość mojej matki, jej gniew. Na okładce zeszytu od wewnętrznej strony znalazłam te słowa: „Niech go ściga twój oddech zatruty / Niech za nim wewnątrz twoje krwawym ogniem płonie! / Na śmierć go zamęcz, zaszczuj w tym potwornym gonie!”<sup>70</sup>.

Te straszne słowa pochodzą z *Eumenid* Ajschylosa, trzeciej części *Orestei*. Orestes zabił swoją matkę Klitajmestrę i w sztuce Ajschylosa duch zamordowanej namawia furie, aby pomściły jej śmierć, ukarały matkobójcę.

Mama wciąż przychodzi do mnie w snach. Teraz jest zawsze duchem. Przez pierwsze dwa, trzy lata po śmierci przychodziła do mnie pod swoją dawną żywą postacią, a ja biegłam do niej i parę razy wzięła mnie w ramiona i przytuliła, przyciskając usta do mojej szyi, i czułam wtedy ciepło i szczęście. Ale potem zaczęła się zacierać i teraz, kiedy mi się śni, wiem, że jest zjawą, że nie żyje, i nie jestem w stanie do niej dotrzeć. Często tłucze się po swoim dawnym atelier w Red Hook albo wykonuje pantomimiczne gesty, których nie umiem zinterpretować. Ledwie kilka dni temu śniło mi się, że weszła do mojej sypialni w domu. Była całkowicie przezroczysta, prawdziwy duch w staroświeckim wydaniu, a kiedy ją zawołałam, odwróciła się do mnie, wyciągnęła ręce i otworzyła usta. Zajrzałam przez nie aż do płuc i usłyszałam jej pojedynczy oddech, a potem cały pokój stanął w płomieniach. W moim śnie nie bałam się ognia i nie próbowałam do niej nic mówić. Po prostu stałam spokojnie i patrzyłam, jak pokój płonie.

# Bruno Kleinfeld

(relacja pisemna)

Mój poemat epicki. Wielki eksperyment Harry. Żadne z nas nie było w stanie wyrzucić za burtę swojej ukochanej obsesji. Ja wzięłem moje *Meisterwerk* w swoim slumsie, który zatrzymałem z myślą o męskiej niezależności, i wyciągałem dziesięciokilowy manuskrypt (przechowywany w szafie na półce nad trzema emerytowanymi rękawicami baseballowymi), żeby szlifować, poprawiać, wykreślać i dodawać, bez wiedzy Harry, która radośnie słuchała manuskryptu nr dwa, rozrastających się nieustannie *Wyznań pośledniego poety*, prawdziwej w znacznej mierze opowieści o niejaki Brunonie Kleinfeldzie, humorzastym żydowskim cudzołożniku z Bronxu, którego perypetie zbliżone są do moich, acz dobrodziejstwem jest dla nich dystans, jaki niechybnie powstał między terażniejszym skrybą a jego rozmaitymi przeszłymi wcieleniami, żalonymi lub chlubnymi, dystans inaczej zwany humorem, ironią lub niepamięcią. Jestem bezbrzeżnie wdzięczny Harry za to, że kopnęła mnie w tyłek, co z kolei poluzowało moje stare knykcie do pracy przy kształtnej klawiaturze Olivetti, maszyny odziedziczonej po kochanym wujaszku Samuelu Kleinfeldzie w 1958 roku. Historia mego żywota, bez upiększeń, zdawała się wysnuwać ze mnie gładko i płynnie, saga pod znakiem oranżady, karpia po żydowsku i nieznośnie rozpraszających piersi Doris McKinny, którym poświęciłem trzy strony, gdy dojrzałem wreszcie do okresu dojrzewania na stronie sto pierwszej.

Nie tylko ja zaobserwowałem, że autobiografie przestają być interesujące, gdy ich bohater zostawia za sobą młodość, postanowiłem więc potraktować wiek średni po macoszemu: dwadzieścia pięć stron o moich katastrofalnych porażkach – na niwie poetyckiej, małżeńskiej i ojcowskiej – spisanych w heroikomicznym tonie, aby oszczędzić czytelnikom realizmu, a może naturalizmu, jakkolwiek nazwać ten plugawy gatunek zardzewiałych zlewów i zaciętego ubóstwa. Po tak okrojonym etapie pośrednim dotarłem do moich trzech dorosłych córek i najszlachetniejszego owocu mojej krwi, wnuka Brana. Tak, *Wyznania* mają kształt klepsydry. Forma mojej bytności na ziemi wyrzeka się środka na rzecz grubych końców, wczesnego i późnego. Bran zjawił się w moim życiu, kwiląc, pod postacią brzydkiego, rumianego brzdąca, ale gdy piszę te słowa, biega po boisku, kopie piłkę i wyjaśnia mi niuanse internetowych awatarów, i stał się, muszę przyznać, jasnym punktem starości swego dziadka.

Zaraz następnego dnia po tym, jak Harry, leżąc na wznak, głosem lodowatym jak stal zimą opowiedziała mi o swojej wizycie u Rune'a, zauważyłem, że jej myśli zabarwiły się, a może przesyciły paranoją. Harry wiedziała, że zawarła faustowski pakt, dokonała zabójczej dla duszy podmiany, która od początku obarczona była ryzykiem. Rune, kiedyś ucieleśnienie wielkiej świetlanej nadziei, zamienił się w Belzebuba. Martwiła się, że jej nieżyjący mążzonek zwierzył się swojemu młodemu „przyjacielowi” z jakichś intymnych historii. Czyż Rune od samego początku nie sprawiał tajemniczego wrażenia, że coś o niej wie? Mądrość Rune'a zaczynała sprawiać wrażenie nadprzyrodzonej. Gdy Harry obwieściła głośno, że z jej pracowni zniknęły cztery prace, przypuszczałem, że któryś z asystentów zapodział je gdzieś pod zwalami rupieci. Jeśli akurat nie ogarniał jej szal gruntownego sprzątnięcia, Harry pozwalała, by w jej pracowni panował malowniczy chaos. Na podłodze wałały się ręce, nogi, głowy, peruki i treski. Pod ścianami wznosiły się sterty drewna, tafle szyb, zwoje lin, kabli, drutu, narzędzia i tajemnicze maszyny. W jednym rogu Harry miała „wysypisko skarbów”, podejrzaną kolekcję, którą ściągała pod swój dach z okolic doków, przeróżne śmieci o nieznanym pochodzeniu i nazwach, które rozpadły się, zmarniały, zestarzały lub zardzewiały, osiągając stan takiej ruiny, dezintegracji, poplamienia i sklamocenia, że ich poprzednich tożsamości nie dawało się już odgadnąć. Sprawdź jeszcze, powiedziałem. Może się gdzieś zawieruszyły na wysypisku skarbów.

Ale Harry winiła Rune'a. Utrzymywała, że sforsował liczne zamki i alarm antywłamaniowy, żeby wykraść jej prace. Żartobliwie spytałem, czy go nie pomyliła z upadłym aniołem Barometra, wysokim skrzydlatym mężczyzną, który nawiedzał przytulisko, kiedy tylko chciał. To jest po prostu niemożliwe, Harry, przekonywałem, ale nie chciała mi wierzyć. Pewnej nocy, z cierpieniem wrytym na twarzy, szepnęła mi: „On wniknął we mnie, Bruno. Widział strach. Wie więcej niż ja”. Nienawidziłem sukinsyna, ale wiedziałem, że jest tylko człowiekiem.

Harry wiązała wszystkie nadzieje z listem w „The Open Eye”. Gdy się ukaże, mówiła, wszyscy się dowiedzą. Będę wolna. Próbowałem studzić jej zapał. Harry, to przecież jakiś potwornie nudny, snobistyczny magazyn dla garstki wtajemniczonych. Ilu ma czytelników? Harry zapewne nie miała wyboru. Musiała wierzyć w swój nadchodzący triumf. Gdy kwartalnik się w końcu ukazał, odczytała mi list na głos, rechocząc z uciechy i piejąc z zachwytem, rozkoszując się cytatami, które należały do niej, z twarzą rozpaloną jak jeden z tych jej elektrycznych metamorfów. Zbeształem ją za grubiański żart – „ptaszek i jajka”, Harry, no naprawdę. I kim jest ten cały Brickman? Robi, co do niego należy, odpowiedziała. Tylko to się

liczy.

„A nie mówiłem?” to tekst dla palantów, a ponieważ sporadycznie podpadam pod tę kategorię, użyłem go przeciwko Harry, gdy Rune wystawił ją do wiatru na łamach „Art Assembly” w wywiadzie, w którym zapytano go wprost o list Brickmana z „The Open Eye”. Rune miał tupet. Trzeba mu to przyznać.

*Harriet Lord była dla mnie naprawdę wspaniała, nie tylko jako kolekcjonerka moich prac, ale jako osoba, która rzeczywiście mnie wspierała. I postrzegam ją jako muzę tego projektu. Poniżej nigdy by nie powstało bez długich rozmów, które odbyliśmy, i bez jej hojności. Nie rozumiem tylko, dlaczego teraz uzurpuje sobie prawo do mojego dzieła. Zdaje się wierzyć, że sama je stworzyła. Po prostu nie potrafię zrozumieć, dlaczego mówi takie rzeczy. Wiadomo, po śmierci męża przechodziła trudne chwile i od lat jest pod opieką psychiatryczną. Tak między nami, powiedzmy po prostu, że jest kobietą o złotym sercu, czasem tylko może nie myśli zbyt trzeźwo, i na tym poprzestańmy.*

Byłem na miejscu, w kuchni, kiedy kobieta o złotym sercu, która czasem nie myśli zbyt trzeźwo, objęta wieloletnią opieką psychiatryczną, cisnęła obraźliwym pismem w garnki. Byłem tam, gdy przeklinała, ryczała, gdy zamroczył ją i w końcu całkowicie zaślepił gniew. Ze spuszczoną głową, młócąc powietrze rękami, zaatakowała półkę, strącając kubki, talerze i miski na podłogę, gdzie spotkał je spektakularny koniec. Po tej młócce przyklęknąłem, dzierżąc zmiotkę i szufelkę, żeby zebrać setki odłamków, gdy Harry siedziała na podłodze, powtarzając: „Zabiję go”. Oliwy do ognia dołało to, że gość nazwał ją *Harriet Lord*, nie *Harriet Burden*.

A mój refren brzmiał: A nie mówiłem? Nie mogłem się powstrzymać. Bo przecież mówiłem. Harry wysmarowała płomienny list do „Art Assembly”, którego nigdy nie wydrukowano. Zadzwoiła do Rune’a i wyrzeszczała mu na automatyczną sekretarkę: Łgarz, złodziej, kanalia, judasz. Jej złorzeczenia nie skłoniły go do zmiany stanowiska. Harry skontaktowała się z rodzicami Antona Tisha. Jego matka grzecznie, acz stanowczo oznajmiła: „Mój syn nie chce mieć z panią nic wspólnego”. Harry wynajęła prywatnego detektywa o nazwisku Paille, milczka z akcentem z Maine o niewyraźnych rysach, który specjalizował się w szantażu i wymuszeniach. Paille wywęszył, że chłopak był w aśramie w Indiach, w Tajlandii, a potem w Malezji, po czym ślad po nim w bazach danych linii lotniczych się urwał. Paille obiecał, że nie przerwie swojej misji.

Powoli, metodycznie Harry gromadziła wszystkie strzępy, drobiny, skrawki i pyłki dowodów na poparcie swojej wersji. Gdy przekopywała sterty papierzysk, wertowała dokumenty i polowała na ślady swego twórczego zaangażowania, zaczynała pojmować – iluminacja bez wątpienia ponura, deszczowo szara – jak starannie ukryła swój udział w całym przedsięwzięciu. Odnalazła wczesne szkice i kilka planów w komputerze, ale inne rysunki i późniejsze projekty znajdowały się u Rune'a. Jej maile do niego czytało się jak kryptogramy, podobnie jak jego wiadomości do niej. Żadnych potknięć. A asystenci, którzy, jak zakładała, byli wtajemniczeni, wtajemniczeni nie byli. Nawet Edgar Holloway III, stary pomagier, Piętaszek przy Robinsonie Crusoe Harry, musiał przyznać, że tym razem niczego nie podejrzewał. Wiedział tylko, że Harry wypisała czek na dzieło, które kupiła od Rune'a, a także czeki na realizację *Poniżej*, ale sponsor to nie twórca, zresztą Rune podziękował jej na łamach czasopisma za „wsparcie”.

W sukurs przyszedł jej Eldridge. W „Art Lights” opublikował historię ich współpracy, ale jego popis elokwencji poruszył wtedy niewielu. Eksperyment Harry rozbito i zdeptano przy jej głośnych protestach. Gdy koła rozpaczcy zaczęły się obracać, wybrzdąkiwały i wystukiwały tę samą kompulsywną melodię. Okradziono ją. Nikt jej nie rozumie. Nikt nie zwraca na nią uwagi. Sami krety, ofiary postępującego seksizmu i kultu fallusa. Rune'a powinno się wypatroszyć i poćwiartować, powinno mu się wyłupić oczy ząbkowaną łyżeczką do grejpfrutów i rozbić je na galaretę młotkiem. Dzieło jej życia runęło, ambitny projekt wzniesiony starannie z cegiełek błyskotliwego intelektu, jedna piękna warstwa ironii na drugiej – który miał raz na zawsze udowodnić prawdziwość jej teorii na temat uprzedzeń płciowych, percepcji i Bóg jeden wie czego jeszcze, rozpadł się na jej oczach.

Błagałem ją, żeby dała sobie z tym spokój. Teraz wystaw swoje prace. Zabierz je do kooperatywy tutaj, w Red Hook. Zapomnij o pseudonimach i fikcyjnych postaciach, ironicznych podtekstach i filozofiach. Kogo obchodzi kumoterski świat sztuki pełen dyletantów i pozerów. Ale Harry nie umiała odpuścić. Tonąc, trzymała się kurczowo tego małego kawałka roztrzaskanego masztu unoszącego się na falach oceanu, który nazywamy sprawiedliwością. Oczywiście nie ma sprawiedliwości, może tylko marne jej szczątki, i wielkim błędem jest liczyć na to, że da się z nich sklecić tratwę ratunkową.

Chciałem ją utulić. Chciałem ją zabrać do tych cudownych miejsc, ku którym wnieśliśmy się razem już setki razy, ale mnie odpychała. Odszczekiwała, szydziła i syczała. To nie ja jestem tu czarnym charakterem, przekonywałem ją, ale w jakiś sposób nim właśnie się



stałem. Pewnej nocy siedziała na swym wielkim łożu, zapiekła w bólu, i drwiła ze mnie. Kim jestem, żeby jej cokolwiek mówić? Sam przecież doprowadziłem się do ruiny, czyż nie? Miałem wszystko – whitmanowski dar, fiuta, pociągających za sznurki po swojej stronie – i wszystko zaprzepąciłem. Ona z kolei walczyła i tyrała, tyrała jak wół, a teraz wbito jej nóż w plecy. Byłem żalonym tchórzem, pijawką, która pasożytuje na jej wspaniałomyślności. (Czytaj: jej kasie, a raczej na kasie Lorda). Już wcześniej śmigały między nami słowa szybkie i okrutne, ale tym razem jej głos powalił mnie na ziemię. Moja wesoła i serdeczna ukochana zamieniła się w surową, zgryzioną złošnicę. Z metaforycznego parteru, rozłożony na łopatki w tropicznym piasku, nazwałem ją jędzą kastratorką.

Wymaszerowała z sypialni i do niej nie wróciła. Czekałem na nią do trzeciej nad ranem, a potem udałem się na drugą stronę ulicy do mojego mieszkania i już tam zostałem. Nie widywaliśmy się ani nie odzywaliśmy do siebie przez trzy długie miesiące. W większość wieczorów po naszym zerwaniu robiłem sobie spacerki do baru U Sunny'ego, licząc z bijącym sercem, że może ją tam spotkam, ale nigdy się nie pojawiła. Zagadywałem więc do jakiegoś pechowca, jakiegoś szlemiela przy barze i zamęczałem go porywającą, ale także sentymentalną opowieścią o staczaniu się i ostatecznym upadku wielkiego Brunona Kleinfelda, opowieścią o tym, jak to się stało, że bohater literacki K., w dużo mniej wspaniałym wcieleniu niż to poprzednie, teraz zapija wieczory w miejscowym barze o tej samej porze dnia, którą kiedyś spędzał z Płaszczową Damą, ostatnią wielką miłością jego życia. Dostatecznie zaprawiony i odurzony K. przybierał łzawy ton, pochlipując nad whisky i kiwając się do muzyki, która płynęła z głośnika nad jego głową, ledwie trzydzieści centymetrów nad wykonanym przez jego ukochaną rysunkiem barwnej klienteli baru, dziełem, które rozszczepiało jego serce na dwoje.

Harry związała na Nantucket. Fajnie jest mieć dom, w którym można się oddawać melancholii, wielki i pusty, z pościelonym zawczasu łóżkiem. O tym, gdzie się podziewa Harry, powiadomiła mnie telefonicznie Maisie. Powiedziała, że chciałyby, żebyśmy się zeszli, zakopali topór wojenny, odbudowali to, co się między nami popsuło. Mama nie powinna cię stracić, przekonywała. Musisz jej wybaczyć, prosiła, jak gdybym to ja znowu był tym złym, a nie usychającym z tęsknoty romantykiem, na litość boską. Pasożyt i kastratorka nie ustępowali jednak pola. Szkoda, strata czasu – zmarnowane miesiące. Zdaję sobie z tego sprawę teraz, ale wtedy świat wyglądał inaczej dla niej i dla mnie. Co mogę powiedzieć? Moją dumę potraktowano jak zasmarkaną chusteczkę, tak się w każdym razie czułem, związałem ją więc

jeszcze ciaśniej, żeby ból usprawiedliwiał moje życie w roli zgnębionego gryziopiórka.

A potem pewnego wiosennego wieczoru odlewałem się właśnie z dwoma wersami boskiej Emily w głowie – „Ten ciężki Dzień posuwał się – / Słyszałam pracę jego osi”<sup>71</sup> – i przez okno ujrzałem maszerującą w dole Harry, wyglądała szczuplej, zbyt szczupło, ubyło jej co najmniej pięć kilogramów, może więcej. Nie-Harry, pomyślałem, nie moja Harry. I po raz drugi w trakcie naszej romantycznej przygody zbiegłem po schodach i wypadłem za nią na ulicę, ale tym razem jej nie zawołałem. Skradałem się za nią w zimnym powietrzu, drepcząc nad wodą. Jak detektyw niespuszczający oka z podejrzanej trzymałem się jakieś trzydzieści metrów z tyłu, ale potem pomyślałem sobie: Biegnij do niej. Dogoń ją, stary. Czy raz już tego nie zrobiłem? I już miałem wyrzasnąć jej imię, gdy ujrzałem Rune’a, który nadchodził z przeciwka sprężystym krokiem, co mnie skutecznie sparaliżowało.

Gdy się im przyglądałem, ich sylwetki odcinały się wyraźnie na tle szarych przestworzy nieba i wody – a nad nimi unosiły się aureole żółtego światła na niskich chmurach. Wiatr podwiewał od tyłu trencz Harry i porywał jej włosy. Para mew zatrzepotała kilka razy skrzydłami i poszybowała w powietrzu, zatrzepotała – łup, łup, łup – i znowu poszybowała wysoko nad ich głowami. Tę scenę mam żywo w pamięci, ostry i wyraźny obraz w mojej umysłowej przestrzeni, mimo że z perspektywy czasu to wspomnienie ma w sobie coś nierealnego, onirycznego. Patrzyłem na błagalne gesty Harry. Machała mu przed twarzą rękami. Rune pochylił się do niej. Musiał coś do niej mówić, ale stali za daleko, żebym mógł cokolwiek usłyszeć. Potem rozłożył ręce, wnętrzem dłoni do góry, a jego wzruszenie ramion było demonstracją obojętności. Właściwie nie musiałem ich słyszeć. Mówiły za nich ciała. Harry postąpiła w jego stronę, chwyciła go za ramiona i pchnęła. Zatoczył się do tyłu, zatańczył w próbie odzyskania równowagi i gdy już stanął pewniej na nogach, zakręcił biodrami i ramionami, przeginając się jak ciota, ale dlaczego? Drwił z niej, ale o co w tym wszystkim chodziło? Wciąż wykonywał swoje zniewieściałe gesty, krygował się i mizdrzył, wyginał nadgarstki, i zdałem sobie sprawę, że są ze sobą spleceni bardziej, niż mi się wydawało. Boże przenajświętszy, chyba nie są kochankami, pomyślałem. Była starsza od Rune’a o ponad dwadzieścia lat. W okolicach płuc poczułem najpierw mdlące wzburzenie, a potem przeszywający niepokój. Zacząłem iść w ich stronę, gdy z każdą sekundą wzbierał we mnie instynkt opiekuńczy.

I wtedy, gdy się do nich zbliżałem, zobaczyłem, że Harry zaciska dłoń w pięść i uderza go mocno w twarz. Zatoczył się do tyłu z krzykiem bólu. Zacząłem biec w ich stronę, a razem ze

mną wszyscy inni, do których dotarł ten krzyk. Gdy się przy nich znalazłem, zobaczyłem Rune'a z dłonią na ustach i krwią spływającą między palcami. Ale Harry jeszcze nie skończyła. Znowu się na niego rzuciła i łupnęła go w żołądek. Wrzasnął, trzymając się za brzuch, ale doszedł do siebie, złapał ją za ramiona i odepchnął. Harry straciła równowagę i upadła na wznak. Podbiegła do niej kobieta w wielkich okularach i kurtce w czerwono-czarną kratę i kucnęła przy niej. Zauważyłem, że płaszcz Harry jest zakrwawiony – prawdopodobnie krwią Rune'a. Zobaczyła mnie, swego starego kochanka, świadka tej awantury, i spojrzała na mnie ze zdziwieniem, ale bez złości, bez najmniejszego śladu złości. Dwaj mężczyźni chwycili Rune'a za ramiona, żeby go powstrzymać przed eskalacją agresji. To ona się na mnie rzuciła, na litość boską, tłumaczył. Ona się na mnie rzuciła. Była to najszczerza prawda, ale kto będzie bronił mężczyzny stojącego nad nieuzbrojoną kobietą, którą właśnie powalił na ziemię.

Rune unikał mojego wzroku, co mnie akurat cieszyło. Wiedział, że ja wiem. „A, poeta” wiedział, że on, Rune, jest parszywym łgarzem i złodziejem. W skupisku przechodniów padały pytania, czy wezwać policję, czy ktoś chce złożyć zawiadomienie o przestępstwie, ale ustalono, że żadne z dwojga uczestników pojedynku nie chce angażować stróżów prawa, i gdy trwały rozmowy, Rune wy dobył zza pazuchy paczkę papierosów i osłaniając ręką płomień, ostrożnie, żeby nie urazić spuchniętej i zakrwawionej wargi, wciągnął dym, po czym rozejrzał się, jak gdyby nigdy nic. Idę stąd. Jakiś absurd. To wariatka. Każdy, kto widział, jak mnie uderzyła, wie, że to wariatka.

I kiedy komisja jednogłośnie wyraziła zgodę, Rune odszedł. Odwrócił się na pięcie i oddalił się ścieżką nad zatoką.

Harry nie ruszała się z miejsca. Kobieta sowa poklepała ją przyjaźnie i uznawszy, że emocjonalna bomba została rozbrojona, ona i pozostali interwencji wrócili do swoich spraw, przy czym kilka osób odwracało się jeszcze, żeby się upewnić, że powalona kobieta jest w dobrych rękach.

Oj, Harry, westchnąłem.

Zaczęła mi przytakiwać. Jej głowa poruszała się mechanicznie do góry i do dołu, a usta rozciągnęły się w grymasie. Mrużyła oczy, żeby powstrzymać łzy, chwyciła oburącz głowę i zaczęła się kołysać. Och, Bruno, tak bardzo się pogubiłam.

I wtedy, przynajmniej ten jeden raz, powiedziałem to, co trzeba. Niezły prawy sierpowy, Harry.

Ćwiczyłam, Bruno, przypomniawszy. Ćwiczyłam na worku. Podniosła spuchniętą prawą rękę i zobaczyłem tworzące się już siniaki. Ranna wojowniczką chwyciła się mnie, a ja ją zgarnąłem, jak to się mówi. Objąłem ją i chwiejnym krokiem wróciliśmy razem do niej do domu, zabandażowaliśmy jej rękę i uczciliśmy nasze pojednanie.

„Twoje ciało / nie stało się tylko twoje ani nie zostawiło mojego tylko mnie”. Pojemny był ten Whitman i głodny, głodny ludzi. Chciał ich widzieć, słyszeć, wąchać, smakować i dotykać. Tarzał się w ich człowieczeństwie. Wciągał w siebie miasto i jego tłumy jako rzeczywistość zmysłową. Tamtej nocy leżeliśmy wtuleni w siebie w wielkim łożu Harry i zanim zasnęliśmy, pomyślałem o bardziej unoszącym się nad światem, gdy spogląda na śpiących złączonych w wielkiej demokracji snu. Wszystkie stworzenia muszą spać.

Po swoim pierwszym i – jak się miało okazać – ostatnim pojedynku pięściarskim Harry nie wracała już zbyt często w rozmowach do Rune’a, eksperymentu ani do swoich pretensji, w każdym razie nie przy mnie. Zostałam wrzucona z powrotem w siebie, mawiała. Przyjęłam postawę Kierkegaarda. Kierkegaarda połączonego z tragiczną królową. Harry regularnie cytowała Margaret Cavendish, tę barwną filozofkę, która najgorętszą nadzieję wiązała z tym, że znajdzie czytelników, gdy jej już nie będzie na świecie. Księżna Newcastle marzyła o pośmiertnej glorii, kiedy wreszcie doczeka się uznania. Zanim poznałem Harry, ja, patriarchalny profan, nigdy nie słyszałem o Cavendish, ale Harry ją uwielbiała. Dzieła zmarłej w 1673 roku autorki były lekceważone, ignorowane lub wyśmiewane przez ponad trzysta lat, aż jej gwiazda znów wzeszła i ludzie zaczęli ją dostrzegać. Harry traktowała księżną jak zgnębiającą, odrzuconą siostrę bojowniczkę w męskim świecie.

Harry wróciła do swojej Margaret, Matki Płonącego Świata, którą zaczęła dawno temu i porzuciła tuż przed ukończeniem, niezadowolona z efektu. Gdy pierwszy raz zobaczyłem tę gigantyczną, szeroko uśmiechniętą, nagą, podgrzaną, ciężarną macierz z wiszącymi cyckami przykucniętą w pracowni, aż mną zatelepało. Nie była to cudna sniąca przerośnięta odaliska jak ta, którą Harry stworzyła dla tego gówniarza Tisha. Ta matrona mieściła w sobie całe światy. Gdy zajrzało się do jej tysej, przezroczystej czaszki, widać było ludziki, całe hordy woskowych liliputów zajętych pracowicie swoimi sprawami. Biegali i skakali. Tańczyli i śpiewali. Siedzieli przy miniaturowych biurkach przed komputerami, maszynami do pisania lub kartkami. Przy bliższych oględzinach można było dostrzec, że spisują partytury, rysują, tworzą wzory matematyczne, wiersze i opowiadania. Jakiś zaniedbany starzec spisywał *Wyznania pośledniego*

*poety*. Na samej górze w głowie tej Guliwerki siedem par oddawało się lubieżnym praktykom – mężczyźni z kobietami, mężczyźni z mężczyznami, kobiety z kobietami – regularna orgia. Odbywał się krwawy pojedynek na miecze, a morderca z bronią w ręku spoglądał w dół na trupa swej ofiary. Czego tam nie było. Jednorożec i minotaur, satyr i gruba anielica ze skrzydłami oraz mnóstwo pulchnych dzieci we wszystkich kolorach. Na dole – to znaczy pomiędzy warg sromowych gigantycznej pochwy – płodna macierz wyrzucała z siebie kolejne miasto malutkich humanoidów. Harry napracowała się z linkami nośnymi, żeby osiągnąć ten efekt: niektóre z maleństw były zawieszane w powietrzu między kanałem rodnym megalalki a ziemią. Inne już wylądowały i można je było oglądać, jak pełzają, chodzą, biegną lub pierzchają w różne strony, oddalając się od swej olbrzymiej rodzicielki.

Zdaniem Harry dzieło nie było jeszcze gotowe. To jeszcze nie to, twierdziła, wygląda zbyt komicznie. Dodawała litery i liczby w wielu kolorach. Dodawała kolejne figurki. Nieważne, mówiła, czy je widać. Musiała je tworzyć i tworzyła – niewielkie, idealnie uformowane woskowe osobki. Niektórym uszyła ubranka, inne pozostawiła nagie. Mogła pracować nad nimi niemal wszędzie i zdarzało się czasem, że klapnąłem na twarde ciało na sofie, przyduszając swoim wielkim dupskiem jakiegoś pana, panią lub dziecko. Po tych incydentach Harry odbierała mi biedną, zgniecioną lalkę, poprawiała jej włosy lub kończyny i ogólnie strasznie się z nią cackała. Ach, to ty Korneliuszu, mówiła, albo: Keisha, zastanawiałam się, gdzie się podziewałaś. W Harrylandii nikt nie chodził bez imienia.

Pisała też i czytała. Okładała worek treningowy (dobre ćwiczenie i katartyczne ujście dla wiecznego gniewu) i po staremu odwiedzała swojego terapeutę. Film *Maisie Pogoda ciała* o naszym domowym wariacie miał premierę we wrześniu. Harry, cała pokraśniała z dumy, przybyła na pokaz filmu w Nowym Jorku, w Quad Cinema na Trzynastej Ulicy. Dar Maisie polega na tym, że obłąd wygląda w jej obiektywie jeśli nie normalnie, to przynajmniej zrozumiale. W połowie filmu ojciec Barometra, Rufus Dudek, zmęczony mężczyzna o przekrwionych oczach, który wciąż mieszka w jakiejś zapadłej dziurze w Nebrasce, podnosi gigantyczne rysunki swego najmłodszego syna Alana (później Barometra), wykonane, gdy ten miał siedem lat, a następnie opowiada pozostającej poza kadrem Maisie o trąbie powietrznej, która zabiła jego żonę. Przygniotła ją ściana ich przyczepy, gdy on z synami byli u kogoś „z wizytą”. Matkę Alana Dudka zabiła pogoda. Alan dotarł do Nowego Jorku, do Studio School, ale w trakcie zajęć z rysunku z natury przeszedł załamanie nerwowe i przewieziono go na

pierwszy z wielu oddziałów psychiatrycznych. Miał dwadzieścia dwa lata, gdy został Barometrem, mężczyzną, który ucisza wiatry lub je wzbudza, mężczyzną, który wyczuwa ruchy sfer za pośrednictwem wyrafinowanego, niesamowitego i jakże wrażliwego układu nerwowego.

Po *Pogodzie ciała* Maisie przystąpiła do realizacji filmu o Harry. Łaziła za matką po pracowni, zorganizowała zdjęcia nad zatoką i celowała obiektywem w Harry, gdy ta opowiadała jej historię swego życia lub wykladała idee, w których często pojawiały się słowa „prekonceptualny” i „personifikacja”. Właśnie Maisie przypisuję podreperowanie mocno nadwątlonego poczucia godności Harry. Chcę to podkreślić: nie wiem, co byśmy zrobili bez Maisie. Zbierały się kolejne godziny materiału. Córka zamierzała opowiedzieć historię matki, choćby się waliło i paliło, choćby rozpętał się huragan lub tajfun, i to Harry uszczęśliwiało, przynajmniej chwilami.

Ja doprowadziłem do końca swoją autobiografię-ukośnik-pamiętnik, zleciłem przepisanie manuskryptu na komputerze niejakiej Edith Klinkhammer (nie zalewam), rozesłałem tekst do agentów i po kilku odmowach znalazłem chętnego reprezentanta, a potem, chwalcie imię Pana, nowojorskiego wydawcę, po czym Harry mogła triumfować z własnym „A nie mówiłam?”. Te dni były sielanką, gdy je teraz wspominam, czasem wolności, kiedy na nowo się odnaleźliśmy. Rezydenci wyprowadzili się, wszyscy prócz Barometra, którego egzystencja stała się bardziej ustabilizowana, bo miał lekarza, dawkę litu i nową diagnozę – zaburzenie schizoafektywne. Właściwie inaczej nie da się tego określić, to była sielanka, zwyczajna sielanka, poczciwe, rozkoszne dni, błogie chwile z kawą, bajglami i pocałunkami, z „to na razie, lecę popracować, kochanie” rano i długimi rozmowami po pracy o nie aż tak znowu wielu rzeczach, gdy kroiliśmy warzywa lub sprzątaaliśmy po kolacji. Jednym głosem wrzeszczeliśmy na prezydenta z piekła rodem i wdaliśmy się w kilka potężnych kłótni na temat mężczyzn i kobiet, co jest wrodzone, a co nie w danej płci. Tak, przyznaję – kłótnie się zdarzały. Kłóciliśmy się, ale też figlowaliśmy w łóżku i znowu – przyznaję – nierzadko zdarzały się noce, kiedy nie mieliśmy siły na figle, bo przecież nie byliśmy już młodzi, i zamiast tego rozmawialiśmy. Długie sesje myślenia na głos o sztuce, poezji i naszych najmłodszych, Aven i Branie, dzieciach, które będą zmagać się z przyszłością, jakiej my już nie zobaczymy.

Gdy Rune zmarł w tym swoim ustrojstwie, trafił na pierwsze strony „New York Post” i „Daily News” i na dziewiątą stronę „New York Timesa”. Niezliczone inne tytuły również wyraziły swoją opinię o jego tragicznym zejściu z tego świata. Medialna paszcza wypluwała

z siebie liczne hołdy na cześć Rune'a, a towarzyszyły im zdjęcia wciąż młodzieńczego, zamyślnego artysty w nonszalanckiej pozie przy swoich dziełach, między innymi *Poniżej*, nie – zwłaszcza *Poniżej*. Czasopisma o sztuce poświęcały całe numery na omówienie jego spuścizny, spekulując, jak potoczyłaby się jego kariera, gdyby ten genialny łobuz przeżył. Najwyraźniej cierpiał na depresję. W łazience miał całą aptekę z medykamentami na swoją dolegliwość. Z dziennikarskich porów płynęło współczucie dla cierpiącego artysty. Depresja to brak chemicznej równowagi, pisali. Biedak był ofiarą zaburzeń chemicznych we własnym mózgu.

Ani słowa o Harry. Została wymazana bez śladu. „The Open Eye” i list Eldridge'a miały wydobyć Harry z cienia, ale ktoś zapomniał włączyć światło. Pewnego wieczoru nad porcją morszczuka z brokułami Harry oświadczyła tym swoim przerażająco lodowatym głosem, który usłyszałem w dniu, kiedy opowiadała mi o spotkaniu z Rune'em, że chciała zrobić mu krzywdę, ale teraz, kiedy on już nie żyje, nie czuje nic. Rune nie żył, ale ona zobojeźniała wobec niego, wobec ich historii i pseudonimów. Jej lśniący wehikuł rozbił się, zanim dotarł do celu (jego zresztą też). Harry nie wierzyła, że chciał się zabić. Nie mogła nic zrobić. Miała rację bardziej nawet, niż przypuszczała. Wielcy i wpływowi tego świata nigdy nie zaakceptują jej sztuki, bo to *jej* sztuka. Harriet Burden była nikim, wielkim, grubym, nieuznanym nikim.

Modliłem się, żeby Harry skończyła ze swoją obsesją, ale ta zimna, rozgoryczona, przygnębiona kobieta po drugiej stronie stołu martwiła mnie. Tęskniłem za jej dawnym wigorem i ciętością. Chciałem, żeby wróciła stara smoczyca, choćby na godzinkę. Z tą myślą zapytałem bokserkę, czy tamte dwa mocne ciosy, które drań zainkasował, nie sprawiły jej pewnej przyjemności. Ale Harry wbijała tylko we mnie lodowate spojrzenie. Te ciosy, oznajmiła, nic nie znaczyły. Nic nie znaczyły, bo nie osiągnęły pożądanego celu. Chciała go upokorzyć i zawstydić, zmusić do tego, żeby się przed nią ukorzył – albo coś w tym guście. Bezskutecznie. Wtedy zacząłem się zastanawiać. Zastanawiałem się nad tym, kim jest Harry i czy ja ją w ogóle rozumiem. Potrafiła być nieprzejednana.

Gdy mi oznajmiła, że cała ta historia dla niej umarła, pewnie wierzyła w to, co mówi, ale potem odkryłem, że jednak całkowicie o niej nie zapomniała. Pewnego popołudnia wpadłem bez zapowiedzi do jej pracowni, bo chciałem się pochwalić entuzjastyczną recenzją, jaką dostałem w „Publishers Weekly”, w której użyto między innymi takich przymiotników jak „przezabawny” i „czuły”. Sam sobie otworzyłem drzwi, żeby jej zrobić niespodziankę. Przeszedłem na paluszkach do pracowni z tygodnikiem w ręku i zobaczyłem, że siedzi z nożyczkami przy swoim

długim drewnianym stole, pochylona ze skupionym wyrazem twarzy nad dużą książką. Dopiero z bliska zauważyłem, co robi.

Wolumin, który miała przed sobą, nosił tytuł *Księga Rune'ów*. Okazało się, że Harry czytała i wycinała wszystkie artykuły, które napisano o *Poniżej* i nieżyjącym już przeniewiercy, po czym wklejała je starannie do grubego staroświeckiego albumu, jak gdyby była gospodynią domową z lat pięćdziesiątych i kolekcjonowała przepisy kulinarne. Nie musiała niczego wyjaśniać. Były to dokumenty jej walki – teksty, które Harry nazywała „prolifracjami”.

Po tamtym dniu został nam niecały rok, w tym siedem miesięcy do zdiagnozowania Harry. Od czasu do czasu skarżyła się na wzdęcia lub zatwardzenie, ale pokażcie mi kogoś po sześćdziesiątce, kto nie skarży się na wzdęcia lub zatwardzenie. Schudła trochę, bo często czuła się najedzona i nie mogła już nic w siebie wmusić, ale utrata wagi nie była dramatyczna. Czuła się „nie najlepiej”, „trochę słabo”, to wszystko. Obiecała, że pójdzie do lekarza.

Gdy mówiła mi, co wykazało prześwietlenie, stała w kuchni z twarzą białą jak kreda: Nie mogę teraz umrzeć. Jak mogę teraz umrzeć, Bruno?

Harry nie chciała umierać.

Poznałem nowe terminy: guz podścieliskowo-nabłonkowy, leczenie redukcyjne i chemioterapia adiuwentowa. Wycięli guza, usunęli tyle masy nowotworu, ile się dało, ale nastąpił przerzut do wątroby. Była w czwartym stadium raka jajnika, na litość boską, wyrok śmierci, ale lekarze przebąkiwali coś o zabiegach, które być może, ewentualnie, zwiększą jej szanse na dłuższe życie, i o wyjątkowych przypadkach, chociaż te były rzadkie, bardzo rzadkie, to prawda, odwracali przy tym wzrok albo patrzyli prosto w oczy, żeby pokazać, że nie są mięczakami. Chemia sprawiła, że Harry była blada, słaba, miała mdłości i zawroty głowy. Ale guzy nie zmniejszyły się dostatecznie, nie na tyle, żeby dało się ją uratować.

Z palcami wciśniętymi w brzuch lub skronie Harry rzucała się na szpitalnym łóżku, oślepiona bólem, bólem, z którym nie mogła sobie poradzić morfina, i złorzeczyła głośno swemu losowi. Z wychudzoną twarzą, zaczerwienionymi oczami, z których sączyły się łzy, z wykrzywionymi ustami przeklinała lekarzy i pielęgniarki, przeklinała mnie i przeklinała każdego, kto akurat znajdował się w pobliżu, głosem, który niósł się po szpitalu jak syrena. Wróciła moja smoczyca. Dlaczego mnie dręczycie? Zbiegały się wtedy białe i niebieskie kitle i ci, którzy byli w nie przyobleczeni, besztali ją: inni pacjenci mają prawo do odrobiny spokoju, prawda? Ostatecznie Harry nie jest jedyną chorą. Proszę, tu leży pani P., bez nogi, którą zabrał



nowotwór. Na Boga, była w gorszym stanie niż Harry! Proszę bardzo, pani P. potrafiła się zachować. Pani P. umierała szybko. Chwilowo spacyfikowana, współczując biednej pani P., Harry chlipała w łóżku. Nie chcę umierać.

Dała im się rozciąć. Dała im się wypatroszyć ze wszystkich narządów rozrodczych plus kilku innych części siebie, dała im się zaszyć i zostawić marniejącą w łóżku pod opieką przeważnie życzliwych pielęgniarek, nie licząc jednej (Thelmy). Dała im się truć chemią, podłączać do kroplówek i pozwalała mówić do siebie protekcjonalnym tonem, jak gdyby miała pięć lat, bo chciała żyć. Chciała, żeby ją uratowano, żeby dokonano cudu, żeby zwrócono jej dawną siebie. Nie powinni jej byli tykać, do cholery. To właśnie powtarzam – nie powinni jej tykać. Powinni odesłać ją do domu z ciężarówką leków i zostawić w spokoju. Maisie i ja nie zgadzaliśmy się ze sobą. Maisie i ja sprzecaliśmy się. Maisie kręciła się, sprzątała, ocierała matce pot z czoła lub zbłąkany mocz z ud i kupowała jej kanapki w delikatesach Zabar's, których Harry i tak nie mogła jeść. Któregoś razu nie wytrzymałem. Daj jej spokój. Po prostu zostaw ją w spokoju. Maisie się rozplakała. Przeprasiłem i pogodziliśmy się. Ethan był jak ofiara nerwicy frontowej, odmiany z milczącym wytrzeszczem. Oparty o ścianę patrzył tylko. Od czasu do czasu krzyżował na piersi ręce, zaciskał dłonie na ramionach i zaczynał się kołysać.

Urządziliśmy hospicjum w przytulisku, ale z Harry było coraz gorzej, nie miała sił walczyć, czasem tylko rozlegało się przenikliwe zawodzenie lub przez pokój przelatywała wypluta przez nią ślina. Pewnego dnia zjawiała się bezszelestnie Sweet Autumn z dziwną małą suczką, z torbą pełną leczniczych kamieni i muszli oraz z mnóstwem newage'owych bredni kołających się jej po głowie i została do samego końca. Wyrzucilibyśmy ją stamtąd, ale Harry ją lubiła. Harry lubiła jej twarz w kształcie serca, jaskrawoczerwone usta i blond loczki jak u księżniczki z bajki, lubiła jej paplaninę.

Ciężko mi o tym pisać. Z trudem zdobywam się na te słowa; każde z nich formułuje się we mnie niby kamień. Ból przychodził nagle jak grom z jasnego nieba i pod jego wpływem sztywniały jej kończyny. Podkręcaliśmy kroplówkę. Jęczała cicho, leżąc sztywno na wznak, i pozwalała mi gładzić się po głowie, szyi i ramionach. Będę grzeczna, szeptała. Obiecuję, że będę grzeczna, Bruno. Nie zostawiaj mnie. Boję się. Powiedziałem jej, że jej nie zostawię, i nie zostawiłem. To ona odeszła ode mnie. Jej ostatnim słowem było „nie”. Powtórzyła je kilka razy i zanim zmarła, zagrzechotała. Ten dźwięk wydobył się z głębi jej płuc, rozedrgany, suchy i głośny, gdy my tylko patrzyliśmy. Harry odeszła o trzeciej po południu osiemnastego kwietnia

2004 roku, przy szeroko otwartym oknie, żeby mogła poczuć na twarzy wiosenne powietrze i słońce.

Niech cię szlag, Harry. Niech cię szlag, że tak szybko mnie zostawiłaś.

## Timothy Hardwick

(*Egomachina Rune'a* zwiastunem nowej estetyki w „Visibility: A Magazine of the Arts”,  
luty 2009)

Ostatnia praca Rune'a, *Krach Houdiniego*, która teraz istnieje zarówno w formie filmu, jak i architektonicznego reliktu owego „performance'u”, wymaga od krytyka, aby raz jeszcze pochylił się nad pytaniami o naturę samej sztuki. Arthur Danto przekonywał, że dominująca narracja sztuki zachodniej skończyła się w chwili, gdy Warhol zaczął tworzyć eksponaty, których nie sposób było odróżnić od przedmiotów w supermarkecie. W epoce postwarholowskiej *Krach Houdiniego* Rune'a stanowi medytację nad ideą początku i końca, nie tylko w sztuce, także nad kwestią zacierającej się granicy między pierwiastkiem biologicznym i sztucznym, kategoriami, które szybko stają się nierozróżnialne. Wkroczyliśmy w erę hybrydowych biorobotów, epokę, kiedy naukowcy opracowują komputerowe modele metareprezentacyjnych struktur świadomości. Wielu wierzy, że w ciągu dwóch, może trzech dziesięcioleci odkryte zostaną korelaty neuronowe świadomości i rozpocznie się ich sztuczna replikacja. Tajemnica, od wieków uważana za niezgłębioną, zostanie wyjaśniona. Złożony problem świadomości podzieli los podwójnej helisy.

*Krach Houdiniego* antycypuje narodziny egomachiny, stworzonego ludzką ręką „produktu artystycznego”, który jest świadomy, a także nadejście technologii mającej radykalnie zrewolucjonizować sens kreatywności, artyści bowiem generować zaczną obiekty wyposażone w model świadomości, to jest będą w stanie wytworzyć istoty estetyczne lub mechaniczne twory, które myślą i działają. W wywiadzie udzielonym „Art Assembly” Rune opowiadał o swej fascynacji sztuczną inteligencją i jej radykalnym potencjałem. Cytując Vernora Vingego i Raya Kurzweila, stwierdził: „Sztuczna inteligencja wyznacza kierunki rozwoju sztuki niezależnie od tego, czy ludzie zdają sobie z tego sprawę. Zrewolucjonizuje ona praktykę artystyczną poprzez dostarczenie artystom narzędzi do tworzenia ożywionych i inteligentnych prac”. Kurzweil wyraził swój utopijny pogląd w następujących słowach: „Gdy stopniowo okiełznamy optymalną moc obliczeniową materii, nasza inteligencja rozprzestrzeni się we wszechświecie z prędkością światła (lub większą), prowadząc ostatecznie do najwyższego, uniwersalnego przebudzenia”. Wydaje się mało prawdopodobne, żeby Rune podzielał optymizm futurysty takiego jak Kurzweil. Chociaż niektórzy utrzymują, że śmierć Rune'a po tak ceremonialnym zażyciu leku była

*zamierzona*, autor niniejszego artykułu ma co do tego wątpliwości. Rune zamierzał sfilmować kilkoma kamerami swój sen oraz późniejsze przebudzenie w ramach szerszej pracy będącej hołdem dla jego własnej wersji futuryzmu. W konstrukcji, którą zbudował, ciało artysty funkcjonuje jedynie jako jedna sekcja, narząd lub element czegoś, co należy uznać za większą anatomiczno-mechaniczną całość. Nie można traktować ciała biologicznego jako czegoś odrębnego wobec sztucznych kończyn, cyfrowych ekranów oraz przekrzywionych ścian i korytarzy otaczających ciało. Czerpiąc pełnymi garściami z pracy, która ją poprzedzała – *Poniżej*, złożonej labiryntowej instalacji na wielką skalę – Rune skonstruował znacznie bardziej zwartą strukturę labiryntową, która wygląda, jakby się zapadła do wewnątrz, a w istocie rzeczy staje się zrujnowanym fragmentem wcześniejszej pracy. W docenionej przez krytyków poprzedniej instalacji Rune wykorzystał powtarzalność eksponatów i filmów, z których część w niedwuznaczny sposób nawiązywała do katastrofy jedenastego września, by po raz pierwszy wprowadzić do swej sztuki nutę elegijną, liryczną. *Krach Houdiniego* z kolei przywołuje mechanistyczne delirium, całkiem podobne do efektu, jaki osiągnął w *Banalności glamour*. Wzniosła kreacja Rune’a nie jest utopią Kurzweila, lecz mroczniejszą wizją ekstatycznej metamorfozy, o czym wspominał w tym samym wywiadzie dla „Art Assembly”: „Artysta straci kontrolę nad swoją sztuką. Będzie ona funkcjonować niezależnie od autora, tworząc tym samym nowe ekscytujące i niebezpieczne płaszczyzny interakcji”.

W *Krachu* widać artystę wczółgającego się do trumiennej przestrzeni pośrodku konstrukcji, wyłożonej różowym aksamitem, z poduszką w czerwone krzyże – kolejna aluzja do wcześniejszej twórczości. Widz patrzy, jak Rune powoli wypala papierosa, gasi go, sięga do kieszeni, wyciąga pięść do kamery i otwiera lewą dłoń, ukazując garść białych pigulek, które następnie popija szklanką wody. Wkłada pustą szklankę do uchwytu obok i niczym szaman w czasie rytuału zakrywa twarz miękką maską, taką samą jak te wystawione w oknach instalacji *Poniżej*, po czym kładzie się i wbija wzrok w jedną z kamer, która filmuje go od góry. Gdy Rune leży już wygodnie w swojej kapsule, widz jest świadkiem transformacji jego ciała z człowieczego w postczłowiecze. Nad jego głową zainstalowano olbrzymią formę w kształcie hełmu, a liczne lśniące aluminiowe kończyny, które wyrastają z kapsuły, powoli zaczynają się poruszać. Chociaż od razu czytelne stają się odniesienia do filmów science fiction z lat pięćdziesiątych, niepokojący charakter tego, co widzimy, ujawnia się dopiero po pewnym czasie. Kończyny poruszają się coraz szybciej, a obrazy z licznych kamer wyświetlane na wielu

ekranach załamują i rozbijają tę hybrydową konstrukcję pod różnymi kątami. Oczy się zamykają. Egomachina zasypia, ale jej kończyny i mnogie cyfrowe obrazy jeszcze przez wiele godzin nie przerywają swej aktywności, po czym stopniowo zamierają.

Gdy następnego dnia do studia weszła Rebecca Daniels, Rune już nie żył, a jego ciało uległo stężeniu pośmiertnemu. Kamery, które wszystko zarejestrowały, sfilmowały też jej reakcję, ale galeria wycofała końcową część filmu w trosce o prywatność Daniels. I chociaż jest to ze wszech miar zrozumiałe, można skonstatować, że o ile początek filmu jest zaplanowany, o tyle o jego finale zdecydował przypadek. Niezależnie od tego, czy było to zamierzone, sama instalacja staje się „pojemnikiem” na śmierć, trumienną maszyną na ciało artysty, ale maszyna „przeżywa” swój biologiczny komponent. *Krach* nie jest, jak twierdzi Elizabeth Cooper w „Art Digest”, tak zwanym „filmem ostatniego tchnienia” lub „narracją horroru, w której doktor i monstrum stapiają się w jedno”. Jest to spektakl symulakry. W swoim eseju *Symulakry i symulacja* Baudrillard pisze: „Otwarte zostaje pole dla symulacji w sensie cybernetycznym, to znaczy dla wielokierunkowej manipulacji owymi modelami (scenariusze, inscenizacje symulowanych sytuacji itp.), jednak wówczas *nic nie odróżnia już owej operacji sterowania od operacji samej rzeczywistości: nie istnieje już fikcja*”<sup>72</sup>. Rzeczywistość i fikcja, rzeczy ożywione i nieożywione, artysta i produkt wkroczyły w strefę hiperrealności, strefę, w której te anachroniczne podziały wkrótce zostaną całkowicie wymazane.

## Kirsten Larsen-Smith

(wywiad z listopada 2011)

Hess: Od śmierci brata w 2003 roku nie chciała się pani wypowiadać o nim publicznie. Może mi pani zdradzić, dlaczego zdecydowała się pani na rozmowę ze mną?

Smith: Po przeczytaniu książki Oswalda Case'a zastanawiałam się, czy nie sprostować kilku faktów na temat brata. Minęło osiem lat, odkąd odszedł, i po naszej rozmowie telefonicznej wiedziałam, że jestem gotowa przedstawić swoją wersję. To narastało we mnie od dłuższego czasu.

Hess: Uważa pani, że książka Case'a ukazała Rune'a w fałszywym świetle?

Smith: Jak najbardziej. Przede wszystkim autor zamienia go w jakieś społecznie upośledzone dziecko. Można by pomyśleć, że dorastał w rodzinie białej biedoty, mieszkał w przyczepie, biegał brudny po lesie, wycierał smarki w rękaw, a na obiad dostawał jedzenie z puszek. Tata był właścicielem największego warsztatu samochodowego w Clinton. Mama zaliczyła dwa lata studiów i była znakomitą krawcową. W innym mieście mogłaby spokojnie zajmować się projektowaniem ubrań. Nie byliśmy biedni, to na pewno. Mieszkaliśmy w ładnym domu i mieliśmy dwa samochody. Case nie porozmawiał z nikim, kto nas naprawdę znał, oprócz pani Huggenvik, która wtedy już była zniedołężniała, a zresztą zawsze miała zołzowaty charakter.

Rune był ode mnie o cztery lata starszy. Tata mówił, że od dnia, kiedy nauczyłam się chodzić, nie odstępowałam Rune'a na krok, a on przeważnie był dość wyrozumiały dla swojego małego cienia. Wiem, że trudno w to uwierzyć, biorąc pod uwagę, jak bardzo potem urósł, ale Rune był niskim i grubym chłopcem. Uwielbiał słodczyce, komiksy, klocki lego i filmy. Codziennie rano czytał gazetę i jeśli spodobał mu się jakiś artykuł, robił z niego notatki w małym notesie, który nosił ze sobą w tylnej kieszeni dżinsów. Gdyby był wysportowany, ten notesik z aktualnościami nie miałby żadnego znaczenia, ale był sportowym łamagą, więc inni chłopcy mu dokuczali. Potem, gdy skończył czternaście lat, w ciągu jednego roku urósł ponad piętnaście centymetrów i nagle zamienił się w tego wysokiego przystojniaka, któremu dziewczyny nie dawały spokoju telefonami i liścikami.

Jestem pewna, że Rune zamęczał Case'a opowieściami o swoim życiu, ale mój brat często

naginał prawdę. Weszło mu to w krew. Nawet kiedy nie kłamał wprost, przeinaczał fakty na różne sposoby i czasem w tej podkoloryzowanej wersji z prawdy nie zostawało zbyt wiele.

Hess: Ale jeśli sobie dobrze przypominam, Case pisze, że Rune podtrzymywał mity na swój temat. Chyba więc nie wierzył we wszystko, co mu mówił Rune.

Smith: Nie. Nie wierzył we wszystko, co mówił Rune, był od tego daleki, ale z tych farmazonów i przerysowań zrobił jakieś nadzwyczajne osiągnięcie. Wie pan, stał na stanowisku, że te bajeczki, które Rune opowiadała na prawo i lewo, świadczyły tylko o jego wielkiej kreatywności i czy to nie wspaniałe, że kłamie jak z nut i nikomu nie wyjawia swoich tajemnic? Dla mnie to jest chore, nie sądzi pan? Case najwyraźniej uważa, że jeśli ktoś jest słynnym artystą, nie obowiązują go zasady moralne tak jak całą resztę. A poza tym odmalował portret mamy, który jest tak ordynarny, tak złośliwy... to mnie naprawdę dotknęło.

Hess: Sądzi pani, że w jego książce wasza matka została przedstawiona nieprawdziwie?

Smith: Mama piła. Tutaj akurat Case nie mijał się z prawdą. Chyba nawet nie podejrzewaliśmy, ile tak naprawdę codziennie w siebie wlewała. Chowiała alkohol i problem musiał się z czasem pogłębiać, ale całe lata radziła sobie całkiem nieźle. Nie była „żałosną, płacziwą amatorką procentów”. To cytat z książki. Moja cioteczna babka Susie nazywała ją „słonkiem”, bo miała taki czarujący uśmiech. Mama umiała się z nami, dziećmi, bawić jak żaden inny dorosły. Biegała, robiła gwiazdy, dyndała głową do dołu na drabinkach, które mieliśmy za domem. Ciężko pracowała, obrębiając spódnice i spodnie i wykonując inne poprawki dla klientów, lubiła też tworzyć kostiumy i wymyślne stroje dla mnie i Rune’a. Trzeba było nas widzieć w Halloween. Myślę, że te błyszczące sukienki z falbankami dla księżniczek podobały się bardziej jej niż mnie. Widzi pan, mama była jedną z tych olśniewająco pięknych istot. Za każdym razem, gdy szła ulicą, odwracały się za nią głowy. Lubiła nam opowiadać o dniu, kiedy szła sobie przez Clinton, zajęta swoimi sprawami, gdy zatrzymał ją nieznajomy i powiedział: „Nigdy w życiu nie widziałem tak pięknej kobiety jak pani”. To wszystko. Odszedł w swoją stronę, ale oczy mamy za każdym razem błyszczały, gdy nam o tym opowiadała. Jeśli uroda to najlepsza rzecz, jaką się ma, rozczarowanie jest nieuniknione, bo przecież każdy prędzej czy później się zestarzeje. Nazywała siebie marzycielką. Mówiła mi kiedyś: „Kirsten, ty jesteś taka praktyczna. Rune to marzyciel. Jesteś podobna do waszego ojca. Rune jest podobny do mnie”.

Była kruchą istotą. Czasem miałam wrażenie, że się stłucze, po prostu któregoś dnia

roztrzaska się na kawałki, i pewnie to właśnie się w końcu stało. Cały czas się o nią martwiliśmy. Nasłuchiwaliliśmy rano pod jej drzwiami, żeby sprawdzić, czy wstaje. Jeśli słyszeliśmy kroki w sypialni, wiedzieliśmy, że wszystko będzie dobrze, bo przed naszymi lekcjami przyjdzie na śniadanie. W te dni, kiedy była chora – tak to z Rune'em nazywaliśmy, gdy za dużo piła (w końcu alkoholizm jest chorobą, więc to słowo pasuje całkiem nieźle) – a więc w te dni, kiedy chorowała i nie mogła wstać, Rune podrabiał sobie usprawiedliwienie do szkoły i zostawał w domu, bo tata musiał wyjść do warsztatu. Rune przygotowywał dla niej obiad i pilnował, żeby go zjadła. Wiem, bo ja też czasem zostawałam. Odkurzał i ogarniał salon, sprzątał łazienki. W wieku dziewięciu lub dziesięciu lat był już prawdziwym ekspertem od sprzątania, serio. Tak, mama upijała się na sentymentalnie. Od alkoholu stawała się „ckliwa i rzewliwa”, jak to określał Rune. Jeśli znajdowaliśmy butelkę wódki, wylewaliśmy ją do muszli klozetowej, ale mama była sprytna i oczywiście nigdy nie udawało nam się znaleźć wszystkich. Piła wódkę, bo nie śmierdzi i mogła ją mieszać ze wszystkim. Czasem płakała i wtedy Rune siadał przy niej, poklepywał ją i podawał chusteczki. „Tak was przepraszam, dzieciaki”, powtarzała raz za razem, a potem przytulała nas naprawdę mocno.

W związku z tym, że Rune był starszy, czuł się za mamę odpowiedzialny i chociaż tego nie okazywał, myślę, że w duchu złościł się z tego powodu. Podkrażał różne rzeczy i chował je w swoim pokoju: parę dolarów z portmonetki mamy, nowe opakowanie chipsów lub ciastek z szafki w kuchni. Podejrzewam, że związał też rzeczy ze sklepów ot tak, dla hecy. W swoim „skarbcu” miał breloczki, latarki i inne drobiazgi, jakie wiszą przy kasie w sklepach spożywczych. Miał potrzebę chowania różnych przedmiotów i miał potrzebę tajemnic. Rune wymyślił dla nas specjalny szyfr. Nie był zbyt skomplikowany. Każdą literę w słowie zastępowaliśmy tą, która w alfabecie występuje dwie litery po niej, i tak tworzyliśmy zaszyfrowane wiadomości. „Y” i „Z” zostawialiśmy bez zmian, więc czasem wracałam do domu po lekcji gry na klawirze i znajdowałam na stole liścik: OCOE EJRTC. „Mama chora”. Z czasem nabraliśmy wprawy. Niedługo przed swoją śmiercią Rune nazwał mnie przez telefon MKTUVGP, co wymawiał „Mik-tuwga-pa”. Tak brzmiało moje zaszyfrowane imię Kirsten. Od lat tak mnie nie nazywał. Musieliśmy dodawać samogłoski, żeby móc wymówić te zwariowane słowa, ale pewnie sam się pan domyślił.

Rune mówił mi kiedyś, że pamięta czasy, kiedy nasi rodzice żyli ze sobą w zgodzie. Bo ja pamiętałam tylko kłótnie. Bez przemocy fizycznej, tylko krzyki, płacz, trzaskanie drzwiami lub



milczenie, gdy prawie w ogóle się do siebie nie odzywali, każde w swoim świecie. Kładłam się obok brata w jego łóżku i prosiłam, żeby mi opowiedział o tym, jak było „przedtem”, a Rune usypiał mnie historyjkami, jak to tata przychodził do domu z wielkimi bukietami kwiatów i kartkami w walentynki dla mamy i wtedy, mówił, mama w ogóle nie piła. Opowiadał, że tańczyli razem w salonie jak gruchające gołąbki, obściskując się i przytulając. Gdy byłam starsza, uzmysłowiłam sobie, że on to wszystko zmyśla, ale robił to, chcę zaznaczyć, dla mnie. Case wyśmiewa się też w swojej książce z mojego zawodu. To nieprawdopodobne. Dla tego człowieka wszystko jest żartem. Pisz, że moja praca prawdopodobnie wpłynęła na sztukę Rune’a, ale nie wspomina nic o wypadku.

Hess: Wypadku?

Smith: Miałam wtedy jedenaście lat. Jechałam z trzema koleżankami na lekcję baletu. Za kierownicą siedziała matka Jessiki, a ja zajmowałam fotel obok, bo tego dnia koleżanki stwierdziły, że ode mnie śmierdzi. Naprawdę, dziewczyny potrafią być strasznie głupie i wredne. Udawałam, że jestem ponad to. Wszystkie rozsiadły się z tyłu, stwierdziły, że nie ma dla mnie miejsca, więc wylądowałam z przodu, co jest szalenie istotnym szczegółem, bo kilka minut później uderzył w nas samochód, który na skrzyżowaniu przejechał na czerwonym, wałnął akurat w ten bok, gdzie siedziałam ja. Ostatnią rzeczą, jaką pamiętam, był widok brudnych szarych spodów baletek, które trzymałam na kolanach. Gdy się obudziłam, leżałam w szpitalu z popękkanymi żebrami, naderwanymi więzadłami kręgosłupa, zwichniętym barkiem, złamaną szczęką i pokiereszowaną twarzą. Niewiele brakowało, a zginęłabym w tym wypadku, więc wszyscy mówili, że miałam szczęście. Pozszywali mi twarz, ale w późniejszych latach musiałam przejść sześć operacji plastycznych, żeby zniwelować keloidy i tkankę bliznowatą.

Wie pan, zabawne jest to, że tuż po wypadku było lepiej, mam na myśli – w rodzinie. Mama czuwała przy mnie i wyglądała na całkiem trzeźwą, a tata przyjeżdżał do szpitala zaraz po pracy. Nie mówił dużo, a ja miałam zadrutowaną szczękę, więc nie mogłam się odezwać ani słowem. Początkowo bolało mnie nawet kiwnięcie głową, ale trzymał mnie za rękę i ścisnął ją, rozluźniał i znowu ścisnął, uśmiechając się współczująco. Rune budował dla mnie domki z patyczków po lodach, bardzo mi się podobały, a Jessica, Gina i Ellen, które z kraksy wyszły bez zadrapania, miały takie wyrzuty sumienia, że przynosiły mi kartki i kwiaty, i to było przyjemne.

Lekarze sprawili się znakomicie i jak pan widzi, zostało mi tylko kilka drobnych

pamiętek, ale utrata dawnej twarzy była dla mnie trudna. Gdy mama zobaczyła mnie pierwszy raz, nie mogła powstrzymać łez. Na pewno doszła do wniosku, że to dla mnie koniec. W sensie: co czeka w życiu dziewczynę z taką twarzą? Zostałam technikiem czaszkowo-twarzowym, bo rozumiem, co znaczy stracić twarz, wyglądać inaczej i musieć żyć ze zniekształconymi rysami. To fascynujące zajęcie i – proszę mi wierzyć – są ludzie w dużo gorszej sytuacji niż ja wtedy, więc cokolwiek uda mi się zdziałać, żeby pomóc przywrócić takiej osobie dawną tożsamość, jest to czymś pozytywnym. Nie sądzę, żeby to było szczególnie komiczne, prawda? Gdy Rune tworzył *Banalność glamour*, wiem, że myślał o mnie leżącej w szpitalu. Myślał o moich operacjach i jak bardzo były ciężkie. Widzi pan, ta wystawa miała wymiar osobisty. W swojej książce Case przedstawia go tak, jakby w niczym, co robił Rune, nie było nic osobistego. Zamienia go w robota, nie osobę, ale to nie był mój brat. Jego problemy, a z pewnością je miał, miały podłoże osobiste. A teraz, skoro już się tak rozgadałam, chcę powiedzieć, że tata nie utopił tych kociaków.

Hess: Ale je utopiono?

Smith: To się stało przed moim wypadkiem. Miałam wtedy siedem, a Rune jedenaście lat. Po kryjomu wpuszczaliśmy do domu bezdomnego kota, Joe, który zamienił się w Josephine, gdy okocił się w naszym koszu. Nie wolno nam było trzymać w domu zwierząt i baliśmy się, że tata się dowie. Nie zdarzało się to często, ale od czasu do czasu tacie puszczały nerwy i zwiewaliśmy wtedy, żeby zejść mu z drogi. Nie bił nas, ale ciskał różnymi przedmiotami. Mamy i taty nie było wtedy w domu, więc Rune zebrał wszystkie sześć różowych, ślepych kociąt i utopił je w wielkim kubie w garażu, gdy ja drapałam go, kopałam i okładałam pięściami, wydzierając się na całe gardło. Potopiły się od razu. Rune stał tam i patrzył na nie ze smutną i zdziwioną miną. Nie sądzę, żeby sam wiedział, dlaczego to zrobił. Zakopałam je pod ostrokrzewem za domem.

Powinnam wspomnieć, że w Clinton i na okolicznych farmach ludzie rutynowo topili kocięta. Uważałam i wciąż uważam to za nieludzkie, ale wtedy nikt się nie przejmował prawami zwierząt, tak jak to się dzieje teraz. Nie odzywałam się do brata przez dwa dni, ale potem przyszedł do mnie zapłakany, tak bardzo mu było przykro, i wybaczyłam mu. I Case miał rację co do jednej części tej historii. Od tamtej pory Rune przykładnie opiekował się Josephine. Nigdy nie stała się kotem kanapowym. Lubiła się włóczyć, ale Rune oddał ją do sterylizacji i karmił za każdym razem, gdy przychodziła w poszukiwaniu jedzenia.

Hess: Chce pani powiedzieć, że Rune żałował swojego czynu?

Smith: Tak, takie sprawiał wrażenie i myślę, że naprawdę tego żałował. Zawsze zgrywał ideał, jeśli wie pan, co chcę przez to powiedzieć, wzorowego obywatela, sympatycznego w każdym calu amerykańskiego chłopaka, ale to była częściowo gra, maska. Widziałam, jak to działa, gdy rozmawiał z mamą, tatą albo innymi dorosłymi. Przybierał wtedy taki specyficzny, nieprzenikniony wyraz twarzy, właściwie wkładał kostium. Wśród kolegów zachowywał się inaczej, był bardziej hardy i swobodny, ale czy to był naprawdę on? Nie sądzę. Czuł się samotny. Dlatego potrzebował mnie. Jeśli ciągle się ukrywasz, stajesz się wyobcowany i smutny. Umieliśmy się ze sobą bawić, nawet w tym trudnym okresie po wypadku, gdy mama chorowała, a tata był właściwie bezużyteczny, krążył tylko między pracą a domem. Rune pomagał mi nakładać makijaż, żeby pokryć blizny, ale malował mi też oczy i usta. Artysta, który już wtedy w nim siedział, uwijał się z pędzelkami i wacikami i mówił: „Spójrz no na siebie, Miss Glamour”. Był wtedy naprawdę dumny, a czasem robił mnie na czarownicę i potem śmialiśmy się tak bardzo, że aż pokładaliśmy się na podłodze łazienki.

Mama odeszła zaledwie rok później. Ja miałam dwanaście, a Rune szesnaście lat. Wróciliśmy razem ze szkoły. Po godzinie zajrzałam przez drzwi do pokoju mamy, ale myślałam, że śpi. Gdy tata wrócił z pracy, poszedł wyciągnąć ją z łóżka i wtedy zauważył, że nie oddycha. Wszyscy potwornie to przeżyliśmy. Po jej odejściu czuliśmy się zagubieni. Wcześniej wszystkim tyle czasu zajmowało martwienie się o nią, dogłądanie jej, kochanie i nienawidzenie, że teraz nie wiedzieliśmy, jak się zorganizować, jak koegzystować. Zanim Rune wyjechał, czasem wpadał w chandrę, zamykał się wtedy na całe dni w swoim pokoju i leżał na łóżku z ręcznikiem na twarzy. Raz kijem baseballowym rozbił lustro. Usłyszeliśmy z tatą brzęk, pobiegliśmy do pokoju Rune'a, a on tam po prostu stał uśmiechnięty. Pomogłam mu posprzątać. Tata odwrócił się, wyszedł i nigdy nie wspominał o tym słowem.

Po wyjeździe Rune'a zostaliśmy z tatą sami. W czwartki miał swojego pokera, a w niedziele chodziliśmy do kościoła. Tata, jak sądzę, nie był specjalnie religijny, ale lubił kościelne kolacje i towarzystwo. A ja po prostu cieszyłam się, gdy wychodził z domu. Potem wyjechałam na studia i martwiłam się o niego, bo oczami wyobraźni widziałam, jak snuje się po domu, odgrzewa sobie wieczorem hot dogi i fasolkę z puszki albo jakieś mrożone dania, i to mnie przygnębiało. Co tydzień dzwoniłam do domu, w przeciwieństwie do Rune'a. Czasem miałam wrażenie, że mój brat przeniósł się do innego wymiaru, do którego nie mogliśmy się z tatą dostać, nawet gdybyśmy chcieli. W pewnym sensie miałam rację.

Wrócił jednak. No właśnie: Rune mieszkał u mnie w Minneapolis w tym czasie, kiedy to podobno zapadł się pod ziemię i nigdzie nie można go było znaleźć. Najpierw pojechał odwiedzić tatę i właśnie wtedy miał miejsce ten wypadek. Rune zadzwonił na pogotowie i zaraz potem do mnie. Lekarze powiedzieli nam, że tata miał udar. Podejrzewali, że to się stało, gdy schodził do warsztatu, że spadł ze schodów i bardzo się poturbował. Nie odzyskał przytomności, ale trzymał się cały tydzień, zanim odszedł. Dla Rune'a to był straszny cios. Nigdy nie byli ze sobą specjalnie blisko, a po śmierci mamy myślę, że Rune ją tacie przypominał – aż za bardzo, jeśli wie pan, co mam na myśli. Mama i Rune byli do siebie bardzo podobni. Tata uważał też, że trzeba mieć nie po kolei w głowie, żeby zostać artystą, ale to dość typowe podejście. Nasz ojciec pod tym względem nie odbiegał od normy. Rozpoznawał *Monę Lisę*, wiedział, że van Gogh odciął sobie ucho i że Picasso malował portrety ludzi z wykoślawionymi twarzami. I nic więcej, ale co z tego? Byłam bliżej z ojcem, bo chyba się rozumieliśmy. Gdy chodził zasępiony, robiłam, co mogłam, żeby go rozweselić. Odstawiałam tańce, grałam coś na klarncie, pokazywałam dzienniczek z dobrymi ocenami, masowałam mu kark, cokolwiek. Czasem te moje starania odnosiły skutek. Nazywał mnie swoją „dzielną, pracowitą córunią”. Po pogrzebie taty z Rune'a jakby zeszło powietrze. Był tak przybity, że z trudem się poruszał, zaproponowałam więc, że na jakiś czas może zostać u mnie. Skończyłam już studia, zrobiłam staż i dostałam pierwszą pracę.

Rune całymi dniami leżał na sofie w moim pokoju i gapił się w sufit. W końcu zaciągnęłam go do lekarza, który przepisał mu leki. Nie wiem, co mu pomogło, czy to te pigułki, które łykał, czy coś innego, ale zaczął się ruszać, dużo więcej jadł i coś tam mazał w swoim szkicowniku, tylko że zrobił się strasznie złośliwy. Krytykował to, jak gotuję, jak się ubieram, jak mówię – ten mój nosowy akcent ze Środkowego Zachodu, masakra. Pewnego dnia wstał wcześniej, zanim wyszłam do pracy, i zaczął narzekać na moje mieszkanie i rozkładaną sofę, na której spał od miesięcy. „Czy ty masz pojęcie, jak tanio i tandetnie wygląda ta sofa?”. Zaczął ją kopać. Powiedział, że ten mebel jest wulgarny i prostacki. Nie wierzyłam własnym uszom. „Tego właśnie chcesz?”, pytał. Raz za razem. „Chcesz Jima, puszystego dywanu i nuworyszowskiej chałupy w stylu rancho na zadupiu, tego chcesz do końca życia?”. Jim to mój mąż. Wtedy był jeszcze narzeczonym. Poznaliśmy się w pracy. Powiedziałam, że tak, chcę Jima, chcę mieć dom i pracę, i chcę mieć dzieci, i o co mu do diabła chodzi? Oznajmił, że „odciął” od swojej egzystencji nazwisko Larsen. Spytał, czy o tym wiedziałam. A więc nie byliśmy już

spokrewnieni. Nienawidził mamy, nienawidził taty i nienawidził mnie. Powiedziałam, żeby przestał sobie wycierać gębę zmarłymi. Musi pan wiedzieć, że utrzymywałam wtedy Rune'a. Cienko prządl i nie było zabawnie, gdy zapraszałam do siebie Jima, a Rune snuł się z kąta w kąt, ale był moim bratem i zaciskałam zęby. Robiłam, co do mnie należało. Ztroszczyłam się o niego. W końcu on troszczył się o mnie, gdy byłam mała.

I wtedy mi powiedział, że zanim ojciec spadł ze schodów, pokłócili się. Zrobiło mi się gożal. Nic dziwnego, że się tak załamiał. Powiedziałam, że musi mu być strasznie ciężko z tą świadomością, a on na to: „Skąd wiesz, że go nie pchnąłem?”. Zawołałam w odpowiedzi, że tata miał udar. Stał tam, uśmiechając się, i powiedział: „Ale nie wiemy, kiedy go dostał”. Oniemiałam, dosłownie. To znaczy gdyby ktoś mnie rąbnął w głowę kulą do kręgli, nie byłabym bardziej ogłuszona. Pozwolił, żeby minęła minuta, poważnie, cała minuta. I wtedy zaczął się śmiać. „O rany, ty mi uwierzyłaś, co nie? Pewnie myślisz, że jestem diabłem wcielonym. Myślisz, że mógłbym zabić własnego ojca? Co z ciebie za siostra?”. Powiedział, że chce na mnie wypróbować jeszcze jedną historię. Powiedział, że jak był mały, mama wsuwała się do jego łóżka i dotykała go w miejscach intymnych. „W to też wierzysz?” – spytał. Cały czas się uśmiechał. Nie wierzyłam mu. „Zwariowałaś” – wybąkałam. Powiedziałam, że ma go nie być, jak wrócę z pracy.

Gdy wróciłam tego dnia do domu, nie zastałam Rune'a, za to mieszkanie było zdemolowane. Potłukł wszystkie szklanki i talerze z szafek, przewracał krzesła, wypalił papierosami dziury w obiciu sofy, pociął dywan, a na desce sedesowej rozsmarował swoje gównno.

Wie pan, normalna osoba nie zrobiłaby czegoś takiego. Normalna osoba nie mówi: „Może zepchnąłem ojca ze schodów”, „Może molestowała mnie matka”, a potem demoluje siostrze mieszkanie. Powtarzałam sobie w myślach „Mój brat jest chyba niespełna rozumu”. Nie wiem, co bym zrobiła bez Jima. Wzięliśmy ślub szybciej, niż się oboje spodziewaliśmy, bo chciałam się wynieść z tego mieszkania. Nie zawiadomiliśmy Rune'a, a on nie zadzwonił ani nie napisał, żeby przeprosić, nic z tych rzeczy. Mój własny brat mnie przerażał. Oczywiście dowiedziałam się, że wrócił do Nowego Jorku i znów zajął się swoją sztuką. Całkiem nieźle mu szło, ale gdyby nie internet, nic bym nie wiedziała. Moi znajomi tutaj w Minneapolis nie śledzą poczynań nowojorskich artystów. Wiem, że był znany, ale tutaj jego sława nie docierała.

Hess: Nie kontaktowała się pani z bratem?

Smith: Nie, całe lata, dopiero jedenastego września, bo spanikowałam. Zadzwoiłam do galerii i w ten sposób w końcu udało mi się do niego dotrzeć. Wtedy liczyło się dla mnie tylko to, czy nic mu się nie stało. Poza Jimem i dziećmi jest całą moją rodziną. Od tamtej pory zaczęliśmy do siebie od czasu do czasu dzwonić i w końcu spytałam go o te straszne rzeczy, które mi wtedy powiedział. Trudno wytłumaczyć, jakie to okropne uczucie, gdy po głowie chodzą takie myśli, nawet jeśli się w nie nie wierzy. Zatruwają umysł. Ktoś przychodzi i wrzuca ci do głowy brudy, a ty nie jesteś w stanie ich usunąć. Powiedział, że wtedy skłamał, żeby mi zrobić na złość, i że czasami po prostu nie może się powstrzymać. Lubi szokować ot tak, dla jaj.

Hess: Ale nie odwiedzaliście się?

Smith: Nie, Jim nie chciał, żeby się zbliżał do dzieci. Musiałam to uszanować i prawda jest taka, że po tamtym potwornym dniu Rune stracił też moje zaufanie. Nie byłam już pewna, co mu strzeli do głowy.

Hess: Muszę panią zapytać, czy Rune wspominał kiedyś o Harriet Burden.

Smith: Tak, parę razy. Na początku myślałam, że mówi o jakimś facecie, ale potem sobie uświadomiłam, że Harry to kobieta. Powiedział, że razem coś knują.

Hess: Tak dokładnie brzmiały jego słowa?

Smith: No, nie wiem, czy dokładnie tak; coś w tym rodzaju.

Hess: Coś jeszcze?

Smith: Miałam wrażenie, że dobrze się bawi, i imponowała mu swoim „wyrafinowaniem”. W jego ustach to naprawdę wielka pochwała. Powiedział, że jest bardzo inteligentna, że przeczytała masę książek i że wiele ich łączy. To chyba wszystko.

Hess: Nie wyjaśnił, co takiego ich łączy?

Smith: Nie. Wspominał pan, że być może ukradł jej prace. To wszystko wydaje mi się strasznie skomplikowane, a ona też wygląda mi na niezłą świruskę, skoro wykorzystywała tych facetów do wyeksponowania sztuki, którą sama stworzyła, no ale nie wiem. O *Poniżej* powiedział mi dopiero po otwarciu wystawy, a potem przysłał mi kilka wycinków z prasy. Proszę mi wierzyć, chciałabym móc panu powiedzieć, że się do wszystkiego przyznał, ale nie zrobił tego.

Rune i ja byliśmy w dzieciństwie kochającym się rodzeństwem, a potem oddaliliśmy się od siebie. W domu nie mieliśmy łatwo, ani on, ani ja, ale czy było aż tak strasznie? Nie rozumiem, co się z nim stało, dlaczego wyrósł na kogoś takiego. Jego śmierć była najzwyczajniej

w świecie smutna i tak naprawdę mam w nosie, jakie były jego intencje. No przecież musiał zdawać sobie sprawę, że połknięcie tych pigułek jest niebezpieczne, że może umrzeć, jeśli coś pójdzie nie tak. Ostatecznie to samo zrobiła mama. Są dni, kiedy ta cała historia przelewa się przeze mnie jak fala, i wtedy łapię doła. Staram się myśleć pozytywnie, ale to nie zawsze łatwe, po prostu czasem mam ochotę sobie popłakać. Ale nie codziennie. I pocieszam się wtedy: Rune wyśle moje dzieci na studia. Pieniądze ze spadku po nim sfinansują naukę Edwarda i Kathleen, którzy nigdy go nawet nie poznali. Ten cały smutek przełoży się jednak na coś dobrego.

# Harriet Burden

Zeszyt „U”

9 kwietnia 2003

Wraca mój gniew, słodka furia.

Nie ujdzie mu to płazem. Poprzysięgam sobie.

Nagrywam mu wiadomości, wysyłam e-maile. Nie daruję mu.

Bruno mówi: Twoje filozofie pogrzebią cię żywcem. Nikt nie wie, o czym ty mówisz, Harry.

Jesteś sama ze swoimi myślami.

Dzisiaj zarzuciłaś doktorowi F., że cię nie słucha. Dlaczego? Skąd ten zarzut? Byłaś ostra i kostyczna. Potem zaczęliśmy o tym rozmawiać. On słucha. On zawsze cię słucha, a tobie zrobiło się przykro, znowu.

20 kwietnia 2003

W nocy zniknęły z pracowni cztery prace. Jestem zdruzgotana. Moje okna. To się wydaje niemożliwe, ale zniknęły. Jutro znowu poszukam. Może któryś z asystentów gdzieś je przeniósł. Bez nadprzyrodzonych mocy nikt nie byłby się w stanie dostać do tego budynku. Bruno mówi, że bym zachowała spokój. Muszę.

(bez daty)

Czekam na ratunek ze strony R.B. I przed snem kilka uwag o najbliższych:

*Wyznania* Brunona są coraz grubsze. On też grubiej. Stary tłuścioch.

Opowiadanie Ethana ma tytuł *Mniej niż ja*. Zastanawiałam się nad jego sensem. Jego bohaterka S budzi się pewnego ranka i czuje, że się jakoś zmieniła. Przepadł jakiś kluczowy aspekt jej osoby, jej bycia-sobą, jej istoty, jej duszy. Umknął z ciała. W lustrze nie wygląda inaczej. Mieszkanie się nie zmieniło. W szafie wiszą jej ubrania. Kot ją rozpoznaje, a jednak S nie ma wątpliwości, że nie jest już taka sama. Zaczyna się inaczej zachowywać. Jest weganką, ale łapie się na tym, że w chińskiej restauracji wybiera makaron z mięsem. Do pracy zamawia taksówkę. A przecież nigdy nie przepuszcza pieniędzy na taksówki. Koledze w pracy wygarnia otwarcie, co o nim myśli. A przecież nigdy nie mówi, co jej leży na wątrobie, i tak dalej. Zaczyna podejrzewać swoją sąsiadkę z góry, niejaką O, której nigdy nie poznała, wesołą i niespecjalnie



cnotliwą dziewczynę z kolorową garderobą i masą chłopaków, z którymi pieprzy się tak głośno, że S słyszy przez sufit, gdy kopulują. Ethan nie wyjaśnia tego podejrzenia. Ono po prostu się pojawia, jak to się dzieje we śnie albo w przyływie paranoi lub urojeń. S zaczyna obserwować O. Odnotowuje, kiedy O wychodzi z mieszkania i kiedy wraca. Śledzi ją na ulicy. Dowiaduje się o niej wszystkiego, czego tylko może, jakie są jej ulubione filmy, książki, jakie ma nawyki zakupowe, ale kolejne nowe informacje nic jej nie mówią. Wtedy S postanawia wystawić swemu utraconemu „ja” pomnik, obiekt, który będzie tym wszystkim, czym ona już nie jest. Co wieczór po powrocie do domu pracuje w pocie czoła i wreszcie kończy „Rzecz”. Nie wiemy właściwie, jak owa „Rzecz” wygląda, ale jest jakiegoś rodzaju figurą pokrytą napisami i obrazami. S zaprasza O na kolację. O przychodzi, spogląda na Rzecz i mówi: Ojej, to ja<sup>73</sup>.

Zadzwoiłam do Ethana. Byłam podekscytowana, zadowolona, chciałam mu powiedzieć, co sędzę. Jesteśmy czymś więcej niż kumulacją danych empirycznych, powiedziałam, więcej niż zbiorem zarejestrowanych szczegółów, więcej niż naszymi wędrówkami, spotkaniami i pracami, ale czym jest to „więcej”? To coś, co tworzymy między sobą? Jakiś proces neurologiczny? Produkt narracji, zmyślenia? To takie interesujące, entuzjazmowałam się. Ale Ethan był zasępiiony, odpowiadał monosylabami, stwierdził, że nie mam pojęcia o tym, co chciał przekazać. S i O to znaki w losowej grze wymiany. Nie skomentowałam tego. Potem jeszcze dodałam, że my, artyści, częstokroć nie wiemy, co robimy, a on na to, żeby mu nie mówiła, co wie, a czego nie wie. Nigdy nie ściąga z głowy tej potwornej wełnianej czapki. Nosi ją już od jakiegoś roku, istny hełm, pod którym się chowa. Kiedy napomknęłam, że my dwoje w rodzinie chyba mamy zboczenie na punkcie nakryć głowy, wydawał się przerażony. Nie chce być taki jak matka. Przypuszczam, że miał ochotę natychmiast zerwać z głowy tę czapkę, ale jest zbyt dumny. Nie wiem, jak pokonać tę otchłań między nami. Wszystko, co robię, jest nie tak.

Nie wspominałam mu o tym. Ale czy to możliwe, żeby nie wiedział, że jego „Rzecz” nie przypomina niczego tak bardzo jak wytworów jego matki?

Aven jest moją dziewczynką cyferką. Ma siedem lat i przekonuje mnie, że siódemki są zielone. Trójki są żółte. To moje matematyczne dziecię, dziewczynka, dla której równania świecą. Rzodkiewka już dawno poszła w niepamięć. Może już tylko ja o niej myślę. Moja wnuczka kazała się ostrzyć bardzo krótko – rezultat kompromisu. Chciała irokeza, ale mama i tata się nie zgodzili. Włosy odrastają, pocieszałam Maisie ja, pobłażliwa babcia, a ona na to: Oscar obawia się, że będą jej dokuczać. I tak jest dziwna. I przypominałam sobie własną

dziecięcą dziwność.

Wciąż jesteś dziwna, Harry, dziwna i wyobcowana.

Z niecierpliwością czekam na moją dekonspirację. To się stanie. Emocje aż mnie paraliżują. Uda się. Dobrej nocy, kimkolwiek jesteś.

5 maja 2003

Sądzę, że aniołem Barometra jest Rune. Barometr narysował mi kolejny wizerunek intruza, którego ponoć widział w trakcie nocnych wizyt. Lubi zwrot „głęboką nocą”. A potem puszcza „Po ciemnicy gdy noc mroczy, Wiluś Spanko rażno kroczy, noc głęboka, północ bije, Wiluś biegnie w koszulinie”. Podśpiewywaliśmy razem. Na jego rysunku widnieje potężny muskularny mężczyzna ze skrzydłami. Zglądając mu w oczy, gdy pokazywał mi arkusz z rysunkiem, miałam wrażenie, że widzę Alana Dudka, Barometra, zanim został Barometrem. Przez chwilę myślałam, że mam przed sobą Alana, jego spojrzenie było tak czyste. Miewa chwile jasności umysłu, gdy jego świadomość jest nietknięta obłędem. Jest po części teatrem, nie cały teatrem, ale istnieje częśćka jego choroby, którą udaje i którą się bawi. Trzeba to przyznać. Ostatecznie wszyscy odgrywamy jakieś role. Nie powinniśmy być aż tak naiwni, żeby wierzyć, iż szaleniec nie jest w stanie udawać wariata. Mój obłąkany przyjaciel też ma swoje maski, swoje gry i fortele, żeby się wykręcić od arcyważnej cotygodniowej kąpiel. Ale słyszy też podziemne dudnienia, ma swój dar psychotyczny. Czuje to, co my w sobie stłumiliśmy, czego się boimy, ale nie umiemy tego nazwać. Czyż to nie pewien rodzaj pogody, jaką między sobą wytwarzamy? Przyjrzałam się jego rysunkowi. Im dłużej nań patrzę, tym bardziej ta postać przypomina mi Rune'a. Bruno uważa, że zasiliłam szeregi psychicznie chorych, że zawładnęły mną paranoiczne rojenia.

Zwróciłam się do Barometra jego dawnym imieniem. Alan, powiedziałam, wpuściłeś go? Wpuściłeś anioła?

Wyglądał na zdziwionego. Wbił paznokcie w skórę nad nadgarstkami. Kazałam mu się przestać drapać i powtórzyłam pytanie. Pokręcił głową i powiedział: Wytnie mi mózg i zrobi z niego gulasz.

Rune mu groził? „Jeśli piśniesz słówko, ugotuję twój mózg i go zjem”. Ten pomysł jest zbyt oryginalny jak na Rune'a, zbyt precyzyjnie wyartykułowany. Wypowiedzi Rune'a rzadko wykraczają poza zapożyczenia i banały, Rune wykorzystuje bowiem słowa dla stworzenia istoty publicznej, która ukrywa to wszystko, co ludzie by znieawidzili, gdyby ukazało się ich oczom.

Jego język musi być buforem dla czającego się poniżej fałszu. Poniżej! Z kolei Barometr jest chodzącą wielomównością, ale te fale słów sporadycznie zawierają prorocze spostrzeżenia. Kwestia tylko, jak z tej werbalnej powodzi wyłowić przepowiednię.

Musisz dokończyć *Pozoracje* bez niczyjej pomocy. Ostatecznie jest R.B. I są inni, ukryci<sup>74</sup>. Gra jeszcze nie jest skończona.

# Harriet Burden

Zeszyt „O”

23 września 2003

Letnicy wyjechali, a wyspa jest przejmująco zimna, zbrązowiała, z plamami ognistej czerwieni. Ostatnimi czasy morze napawa mnie lękiem, zachowuję więc dystans, trzymam się blisko miejsca, gdzie plaża styka się z trawami, które pochylają się w silnym wietrze. Dzisiaj wydawało dźwięki, które kojarzyły mi się z wielkim, ochryplym zwierzęciem przyzywającym nie wiadomo kogo. Jestem sama. Teraz jeszcze straciłam Brunona, straciłam go przez swoje intrygi, swój gniew i swoją klęskę. Chciałam ugryźć świat do krwi, a skaleczyłam tylko siebie, zamieniłam wszystko we własny żałosny dramat.

I teraz, gdy jestem sama, czuję się jeszcze starsza. Mam wiecznie wzdęty brzuch, chociaż jestem chuda. Jadam w samotności i jedzenie nie wygląda tak dobrze jak wtedy, gdy jest ze mną Bruno. Martwią mnie bóle, nieokreślone, w okolicach brzucha. Czasem w nocy zaczynam się naprawdę bać, ale rano besztam się za hipochondrię. Zaskakuje mnie moja pomarszczona twarz. Nie wiem dlaczego. Przecież wiem, że jest pomarszczona. Wiedzieć nie znaczy widzieć. Próbowalam tu pracować, ale nie mogę. Zupełnie jak gdyby wszystkie światy w mojej głowie umierały, moje płonące światy, do których przylgnęłam tak mocno całym swoim jestestwem, powoli gasną. Siedzę przed kominkiem owinięta w koce i czytam znowu *Raj utracony*, powoli, powoli, chłonąc gęsty język, który znam tak dobrze. Dziś po południu dotarłam do przeraźliwego posiłku Ewy, wielkiego zwrotu w tej starej opowieści. Ta ułonna, głupia, próżna kobieta zjadła ten przekłety owoc. „Łakomie żarła bez wstrzemięźliwości”<sup>75</sup>. Zrobiła to dla wiedzy, żeby więcej wiedzieć, żeby doznać oświecenia. Jakże ja ją rozumiem. Tak, rozświećcie mi w głowie. Zrobię wszystko, żeby wiedzieć, żeby wiedzieć więcej. Adam jest przerażony, ale nie może jej zostawić. „(...) tyś jest ciało z ciała, / Kość z kości mojej, a od twego stanu / Nigdy mojego oddzielić nie mogę, / Czy to w niedoli, czy to w szczęśliwości”. I poczułam się tak, jakby mówił do mnie mój tłuścioch, i rozplakałam się nad tym starym wydaniem w miękkiej oprawie, które miałam tu, w tym domu, przez te wszystkie lata. Nikt nie kochał mnie lepszą miłością niż Bruno, a jednak jakoś nam się nie układa.

Stałam się nieprzejednana.



## Harriet Burden

### Zeszyt „D”

Zasypuję Rune’a wiadomościami. Zgodził się ze mną zobaczyć. Chce, żebym przestała go „nękać”. Odmówił spotkania na Manhattanie. Nie umówi się ze mną w restauracji. Nie, chce to załatwić szybko tu, w Red Hook, pod gołym niebem, gdzie nie zobaczą nas bywalcy galerii, gdzie nie wezmą nas na języki. Dobrze, powiedziałam. W porządku.

Przegrałam. Rune nigdy nie ustąpi. Nigdy się nie przyzna, a bez niego to koniec. Mogę powołać się na słowa Phinny’ego w „Art Lights”, na tekst Brickmana, ale widzę, jak mało to ludzi obchodzi. Z jakiegoś powodu moja historia ich nie interesuje. Chciałam zamienić Rune’a na powrót w kwilącą Ruinę, zrujnować go, kazać mu zapłacić, ale to on jest teraz górą i dyktuje zasady gry, jeśli w ogóle jeszcze istnieją jakieś zasady, jeśli kiedykolwiek istniały. Mam spuchniętą rękę, jest cała fioletowa. Tak mocno go uderzyłam. I odnalazłam Brunona. Nie, nieprawda. To Bruno odnalazł mnie. Zjawił się tam, wyskoczył jak spod ziemi i pomógł mi się podnieść. Dzisiaj ugotował mi rosół i przyglądał mi się bacznie, gdy wsuwałam łyżkę do ust, a ja wydawałam wszystkie należyte odgłosy, żeby go zadowolić.

18 października. Przeczytałam o tym w gazecie. Rune nie żyje.

Wykonał ostatni ruch i zrobił to w konstrukcji, która jest jednym wielkim zapożyczeniem z *Poniżej*, i teraz został uświęcony. Jakże świat kocha samobójstwa artystów, oczywiście nie tych starych, nie czarownic takich jak ja. Nie, muszą być młodzi lub stosunkowo młodzi. Trzydzieści osiem lat to idealny wiek, żeby umrzeć, jeśli chce się ugruntować swoją sławę, ściągnąć tłumy, by zajadały się twym pięknym trupem, przeżuwały twoje świetlane dziedzictwo, teraz jeszcze bardziej poruszające wobec przekreślonej przyszłości. Ach, Rune. Szach-mat. A jeśli wcale nie planował śmierci? Wcześniej czy później i tak w końcu by się zabił. Pragnął pięknej śmierci, czyż nie? A taką śmierć trzeba zaplanować. Sama nie przyjdzie. Popularność to życie w trzeciej osobie. Ethan ma rację. Życie w trzeciej osobie niektórym wychodzi lepiej niż innym.

Ale przecież sama bezwiednie doprowadziłam do swojej przegranej, prawda? Zupełnie jak gdybym musiała do końca brać udział w tej grze i wylądować w tym pokoju z Rune’em i martwym Felixem, gdzie mi grożono, gdzie dostałam w twarz, gdzie zostałam upokorzona i zamieniona z powrotem w skuloną, zawstydzoną dziewczynkę, która nie śmie się odezwać.

Przyciągnęło mnie tam, jak gdyby czas był niczym, jak gdyby przeszłość stała się zarówno terażniejszością, jak i przyszłością, a martwi mogli znów chodzić wśród nas. Przemierzają góry i doliny twojego umysłu, Harry, pofałdowane połączenie substancji szarej, ci dwaj mężczyźni, na których ci zależało, ale których mieć nie mogłaś, twój ojciec i twój mąż. Nie chodziło tylko o miłość. Tu właśnie się pomyliłaś. Teraz już wiesz. Nie chodziło tylko o miłość i pragnienie bycia kochaną. Nie byłaś tą odwieczną zboląłą kobietą biadolącą przez wieki ze złożonymi dłońmi i pochyloną głową: Kocham cię i chcę, żebyś ty też mnie kochała, będę na ciebie czekała, najdroższy. Nie jestem tym wzorem cnót, Penelopą, która czeka na Odyseusza i odprawia zalotników.

Ja jestem Odyseuszem.

Ale zrozumiałam to zbyt późno.

Nienawidzę cię, ojczu. Nienawidzę cię, Feliksie. Nienawidzę was obu za to, że nie dostrzeżliście tej prawdy, że nie rozpoznaliście we mnie sprytnego bohatera.

I matko, pochylałaś głowę i przyjmowałaś karę. Izolował cię i obezwładniał. Nie odzywał się do ciebie. Zachowywał się, jak gdybyś nie istniała, bo chciałaś mówić.

A ty, Harry, pochylałaś głowę i ulegle przyjmowałaś karę, i nie możesz tego teraz znieść, prawda?

I czy nie czekałaś w domu niczym Penelopa, bez zalotników niestety, jedynie z dwójką dzieci? I czyż nie byłaś wierna? I czyż nie byłaś dobra? I czyż nie byłaś cierpiąca w milczeniu? Więc nie jesteś Penelopą? Nie, bo Penelopa nie chciała być Odyseuszem, przynajmniej z tego, co nam wiadomo, ale kto chciałby być Penelopą? Nie chciałaś czekać, a jednak o mało nie nabawiłaś się obłędu, czekając. A teraz twój syn też trzyma się na dystans, jak gdybyś była skażona. Jeśli się z tobą zidentyfikuje, to go pozbawi męskości, stary dramat: mój syn feminista boi się matczynego smrodku.

Jestem Odyseuszem, ale byłam Penelopą.

Ale jak on cię kiedyś kochał, ten twój nerwowy, nadwrażliwy Ethanek, cokolwiek teraz mówi, o czymkolwiek zapomniął. Znajdujesz tę płomienną historię na swoich polach pamięci. A twoja córka wciąż jest z tobą. Masz Maisie. I masz Aven.

A Rune? Jest symbolem twojej nienawiści, twojej zazdrości, twojej furii, prawda?

On to zaczął, Harry? Czy ty? Czego od ciebie chciał? Czy zależało mu tylko na przyjemności zranienia cię poprzez Felixa?

„Lubił patrzeć”. To właśnie powiedział Rune: że Felix był podglądaczem. Czy to ma jakieś znaczenie, że doprowadzał się do ekstazy z penisem w dłoni, patrząc, jak inni grzmocą się przed nim na podłodze? Nie. I czy ma jakieś znaczenie, że gdy sobie to wyobrażam, czuję smutek? Ale dlaczego smutek, Harry? Czyż w trakcie waszej gry nie lubiłaś dręczyć Ruiny? Czyż Rune nie wiedział, że sprawia ci to sadystyczną przyjemność? Czyż to nie dlatego cię zdradził? *Wiedział, że odgrywasz obie role.* Tu jest pies pogrzebany. A wiedza to władza. To proste, mój drogi Watsonie! Freud dla początkujących. Dziecko jest bite<sup>76</sup>.

Ale nie wiedziałam o Feliksie. Wiedziałam tylko, że ma swoje tajemnice i że niektóre z tych sekretów mają imiona. Zastanawiałam się, o kim myśli, gdy się kotłujemy w łóżku. Zastanawiam się teraz, czy o Harriet Burden. Czy to kiedykolwiek była Harriet Burden, żona i przyjaciółka? Ależ oczywiście. Na początku. Możliwe, że Rune kłamał w sprawie Felixa, ale nawet jeśli kłamał, jakie to ma teraz znaczenie? Rune stał się symbolem tych wszystkich chłopców, którzy studiowali Quine’a, zgłębiali logikę, palili fajki i z uwielbieniem wpatrywali się w twojego ojca. Takim chłopcem mogłaś być ty, Harry. Gdyby nie figiel losu w matczynym łonie, mogłaś go zadowolić, mogłaś zatriumfować. I Rune stał się też symbolem tych wszystkich chłopców, których Felix wystawiał, których kochał, których czynił sławnymi, których kupował i których sprzedawał. Zbliżamy się do sedna, prawda? Co powiesz, doktorze F.? Zbliżam się do sedna sprawy? Rune, pan Trzecia Osoba, pan Zuchwały, pan Gładki – ten, który się liczy, ten, który wygrywa. I czyż to właśnie nie tej cechy – wszechwiedzy, pewności siebie, roszczeniowości – tak bardzo nie znosisz, Harry, nie wydaje ci się tak trudna do naśladowania, cecha, którą mieli oni wszyscy? I czyż oni wszyscy nie traktowali cię protekcyjnie, Harry? Nie uważali za kogoś gorszego, ciebie, która intelektem, pracowitością, sprytem biłaś ich wszystkich na głowę?

Tak. Tak cię traktowali. A teraz wszyscy nie żyją. Nie mogę uwierzyć, że oni wszyscy nie żyją.

1 listopada 2003

Wracam do swojej płonącej matki Margaret. Margaret, anti-Milton. Rodząca światy. To nie Bóg tu przemawia, lecz Natura:

Na nic moje wysilanie,

Jeśli z *Materii Mózg* nie powstanie;



*Koło niech kreśli małe, Figura.*

Pośrodku musi stać *Szklana Kula*,

Od środka wklęśła, z zewnątrz wypukła,

Ze szparą w środku, jakby się stłukła,

Przez nią *Gatunków* strumień wypływa,

Na wszystko zaś *Życie* patrzy – *Perspektywa*<sup>77</sup>.

Szalona Małgośka nie miała własnych dzieci, żadnych maluchów, które by musiała wprowadzić w dorosłość. Miała za to swoje „Papierowe Ciała”, swe oddychające dzieła, i kochała je całym sercem<sup>78</sup>.

„Takoż i ja czyż nie perswaduję sobie, że moja filozofia, będąc nową i dopiero niedawnymi czasy przedłożoną, od pierwszego wejrzenia uznaną zostanie za wzór zrozumienia, być może nie w tej epoce, ale jeśli Bóg łaskawość okaże, w późniejszych czasach. I jeśli nawet teraz z afrontem się spotyka i w milczeniu jest pogrzebana, może po śmierci powstanie w glorii większej; jako że rozsądek i rozum są jej gruntem, może doczeka wieków, kiedy będzie bardziej docenioną niżli w tych leciech”<sup>79</sup>.

Ja też zostawię po sobie swoje ciała. Tworzę je dla potomnych, nie dla krzywdzącej terażniejszości z jej zimnym, lekceważącym spojrzeniem.

Czarownica chowa się w zamku nad morzem ze swoim niedźwiedziem, przyjacielem i kochankiem. Tak oto zakończyła się nasza baśń. Stara wiedźma i stary niedźwiedź żyją razem długo, smutno i szczęśliwie.

1 grudnia. *Naturalna maska*. To ja. Ja jestem naturalną maską. Na ten pomysł wpadła Maisie. Kiedyś użyłam tych słów, mówiąc o Raccoonie, a ona zaadaptowała je do filmu o swojej matce i teraz pozwala mi eksplikować siebie przed kamerą, mnie, H.B., ogarniętą pseudonimową manią, eksplikuję więc, objaśniam i się wymądrzam, i mamy z tego świetną zabawę. Sfilmowałaś

już ciulaczkę śmieci, schizofrenika i własną matkę, powiedziałam Maisie, idealne trio. I moja Maisie się uśmiecha. Nie mogę zdradzić wszystkiego. Kilka sekretów oczywiście muszę zatrzymać dla siebie, ale ta gadanina pozwoliła mi niemal poczuć, że mogę zostać zrozumiana. Czy to taka złudna nadzieja?

Aven wydawała mi się dzisiaj taka wysoka, szczupła i smukła. Wkroczyła w wiek – jak ja to nazywam – „późny średniowieczny”. Przyjrzała się moim figlarnym ludzikom, spiekła raka, gdy zobaczyła kopulujące parki, i zaśmiała się dziko na widok Ursuli, która robi kupę. Pozwoliła mi dzisiaj wciągnąć się na kolana, pozwoliła babce na sensualną przyjemność przytulenia do żeber młodego ciała. Wetknęłam nos w jej krótkie ciemne włosy. Dzisiaj lekko pachniały jabłkami.

# Harriet Burden

## Zeszyt „T”

15 stycznia 2004

Gdy mnie informował o wyniku badania tomograficznego, patrzyłam na jego poruszające się usta. Pamiętam, że w popołudniowym świetle wpadającym przez okno z tyłu jego zęby miały szarawy odcień, że zdjęcie na biurku było ode mnie odwrócone i że od drewna z tyłu ramki odklejała się mała nalepka z ceną. Słowa płynęły metodycznie, ale teraz pamiętam tylko ich efekt – brak tchu i paraliż. Wyjaśnił mi, nie pozostawiając żadnych złudzeń, że szans na wyleczenie nie ma i że nastąpiły przerzuty, że całkowita resekcja jest mało realna, a nawet gdyby była, to u dziewięćdziesięciu ośmiu procent pacjentów występuje nawrót choroby. Mimo to chciał, żebym natychmiast położyła się w szpitalu na operację.

Nie cackają się. Doktor P. nie kręcił ze smutkiem głową. Nie patrzył mi w oczy. Przypuszczam, że tak to teraz robią. Ostatecznie robią to bez przerwy. Jestem jedną z tysięcy. To była jego metoda, przekazać dane do przetworzenia.

Gdy go zapytałam, czy jest piąty stopień zaawansowania nowotworu, jego brwi pojechały do góry. Nie ma, powiedział.

Ależ naturalnie, że jest, zaprotestowałam. Stopień piąty oznacza, że jest się martwym. To chce mi pan powiedzieć, tak? Że nie żyję.

Nie podobała mu się moja zuchwałość. Wcale mu się nie podobała, a ja byłam zadowolona, że mu się nie podoba. Wracałam do domu, żeby się spotkać z Brunonem, omówić to, przetrwać. Gdy stałam na ulicy z uniesioną ręką, chcąc zatrzymać taksówkę, wciąż zmrażał mnie strach, podchodził mi do gardła, a ja rozglądałam się wokół zdumiona tym, co tracę, miasto, niebo, chodnik, przechodniów, tych powolnych i tych śpieszących się, i kolory. To wszystko zniknie razem z tobą, każdy kolor, nawet te, które nie doczekały się nazwy, chociaż są całkiem dobrze widoczne. Nieobliczalne straty.

W taksówce patrzyłam na tył głowy kierowcy i na zdjęcie przyklepione do szyby między nami. Podejrzewam, że jest z Somalii, somalijski taksówkarz, i pomyślałam sobie: Nie wie, że wiezie trupa, kurs do Red Hook, zaledwie jeden przystanek od piekła.

27 stycznia 2004

Przeczytałam to, co napisałam, zanim rozciął mnie skalpel i przez pięć godzin przekładali mi wnętrzności. Moja naiwność sprawia, że ryczę niemo ze śmiechu. Piekło jest tutaj i teraz, a jego imię brzmi medycyna. Wypatroszyli mnie jak rybę: macica, jajniki, jajowody, wyrostek i część jelita zniknęły. Wrzucili moje zwyrodniałe narządy do kubła w sali operacyjnej, a potem ktoś musiał przyjść w rękawiczkach i maseczce i wynieść je do specjalnego pomieszczenia. Co się z nimi później dzieje? Jestem sklejoną taśmą, rozcięta pionowo od pępka w dół. Nie mogę zmienić pozycji w łóżku, bo zatyka mnie przy tym z bólu. Nie mogę usiąść. Nogi w kostkach i stopy spuchły do trzykrotności swoich rozmiarów i razem z rękami i dłońmi zamieniły się w lód. Nie mogę jeść. Przeraza mnie każde wypróżnienie. Każdy akt wydalania przynosi nowy ból. A wynik operacji był „suboptymalny”. Ten eufemizm byłby prześmieszny, gdyby nie był tak groteskowy.

Po południu przysnęłam i gdy się obudziłam, wydawało mi się, że moje łóżko, stolik nocny, błyszczące mosiężne lampy i bladozielony fotel w kącie zostały zastąpione swoimi dokładnymi kopiami. Pokój, który znam tak dobrze, w jakiś sposób stał się pokojem fałszywym. Nie byłam sobą i nie byłam w domu. Mój lęk i ból zaraziły wszystko. Chcę wrócić do siebie. Proszę, cofnijcie to zaklęcie i pozwólcie mi wrócić do domu.

Za cztery tygodnie zaczną podtruwanie, podtruwanie, które wcale nie musi przynieść poprawy. Ale mam nadzieję, nie, modlę się o czary remisji.

Teraz czekam. Penelopa, cierpiąca, cierpliwie czeka. Robotopodobny doktor P. zniknął i teraz czekam na spotkania z nieco bardziej ludzką doktor R., i czekam na spotkania z doktorem F., żeby mu opowiedzieć o doktor R., a także o moich lękach i dygocie. Czekam w strachu na telefon od doktor R., która ma mi powiedzieć o wynikach markera CA-125. Czekam, aż odkryje, co się kurczy, a co rośnie w rejonie brzusznej katastrofy, w punkcie zerowym mojego ciała, cytoredukcja tak, lękoredukcja nie. Zaatakowano mnie od środka i towarzyszy mi bezustanna zazdrość wobec tych, których komórki nie rozmnożyły się w zabójcze legiony. Patrzę, jak przechadzają się po Madison Avenue lub schodzą do stacji metra przy Osiemdziesiątej Szóstej niedaleko gabinetu doktor R. Widzę, jak spacerują nad wodą, trzymając się za ręce, jak wchodzą na drinka do baru U Sunny'ego. Zdumiewa mnie, z jaką nonszalancją traktują dobre zdrowie, krzepkie, wolne od guzów ciała, zdumiewa mnie ich całkowita obojętność wobec faktu, że wciąż żyją.

Raz za razem przypominam sobie narodziny Maisie, a potem Ethana. To musi być pamięć

zdrowego ciała, płodnego ciała, zanim zaczęło zżerać siebie żywcem. Wycięte już jajniki zagryzały mnie na śmierć – trudno wyobrazić sobie okrutniejszą karę dla H.B. Miałaś ambiwalentny stosunek do swojej płci, Harry? Pewnie, że tak. Cóż, droga pani, oto nadeszła stosowna kara, pstryczek w nos za życie przeżyte częściowo za męskimi maskami.

Wspomnienia bólów porodowych. Ethana rodziłam w kucki. Szybki poród. Przyj. Przyj mocniej. Wyszła główka, a potem napinam się jeszcze kilka razy i wyślizguje się ze mnie długie, wilgotne ciało z czarnymi włoskami, wciąż połączone ze mną zakrwawionym, fioletowym sznurem. Żywe.

Narodziny jak choroba, jak śmierć nie następują za sprawą woli. To się po prostu dzieje. „Ja” nie ma z tym nic wspólnego.

10 lutego 2004

Rozpaczliwie pragnę pracować, ale to takie trudne. Chwieję się na nogach, drżą mi kolana. Czuję mrowienie w kończynach, jakby łaskotano mnie prądem, a mnie ogarnia panika na myśl o czasie. Jestem taka zmęczona. Na zmartwionej twarzy Brunona widzę swój strach. Czasem nie mogę uwierzyć, że nie będę żyła.

Dlaczego ludzie chcą umierać?

*Pozoracje* są teraz czymś odległym, ale chciałabym, żeby moje prace znalazły dom i żeby pseudonimy zrozumiano jako kompletny projekt – niedokończona sprawa.

Zleciłam skatalogowanie wszystkich moich dzieł.

A.C. Robinson. Lester Bone<sup>80</sup>.

Dla Felixa: *Księga niepokoju*.

„Książę z lepszych czasów – byłem kiedyś twoją księżniczką i kochaliśmy się miłością innego rodzaju”<sup>8182</sup>.

26 lutego 2004

Są ranki, kiedy się budzę i uzmysławiam to sobie dopiero po chwili. Przez kilka godzin sen zdmuchuje potworną rzeczywistość. Jestem chora, łysa, wypatroszona i chce mi się rzygać. Na całym ciele mam wysypkę, uboczne działanie taxolu. Nie nietypowe. Swędzenie jest tak straszne, że zaczęłam się poklepywać. Mam ataki rozwolnienia i zatwardzenia, a i umysł nie funkcjonuje sprawnie, bo chemioterapia ogłupia.

Nie pamiętam daty. Dzień też mi umknął.

Panika. Potem spokój. I znowu panika.

Po południu miałam sen, że guzy przebiły skórę na brzuchu nad włosami łonowymi, które wyglądały jak kolczaste liście. Guzy pulsowały życiem, a ja zaczęłam za nie ciągnąć, wrywać je z siebie, żeby się uratować. Zakrwawiły mi ręce. Udało mi się wyszarpać z siebie długiego, drżącego węża. Jaką czułam triumfalną radość. Niewysłowioną radość. My, którzy odchodzimy z tego świata, możemy wciąż pragnąć w nim pozostać.

Mogłabym jeszcze czegoś dokonać. Są we mnie nieodkryte światy, ale nigdy ich nie zobaczę.

Środa, dzień jest pochmurny i zimny.

Każdy umierający jest komiksową wersją kartezjańskiego dualisty, osoby stworzonej z dwóch substancji, *res cogitans* i *res extensa*. Substancja myśląca porusza się samoistnie ponad buntowniczym ciałem stworzonym z plugawej, obrzydliwej materii, zdrajcą duszy, owego powietrznego *cogito*, które nie przestaje myśleć i mówić. Kartezjusz o interakcjach między ciałem i umysłem pisał z dużo większą subtelnością, niż wielu prymitywnych komentatorów to przyznaje, ale miał rację, że myśli najwyraźniej nigdzie się nie mieszczą, nawet w głowie człowieka. Czym są? Nikt nie wie. Nikt w gruncie rzeczy nie wie, czym jest myśl. Musi oczywiście mieć jakiś związek z synapsami i substancjami chemicznymi, ale skąd się biorą słowa i obrazy? Wciąż tu jestem, opisując własny koniec. Ja, Harriet Burden, wiem, że umrę, a jednak jakaś część mnie odrzuca tę prawdę. Wściekam się. Chciałabym pluć, krzyczeć, wyć i okładać pościel pięściami, ale przejawy złości za bardzo nadwerzężyłyby ten słabowity szkielet z kilkoma gnijącymi narządami, które w nim zostały. Śmiałam się też, śmiałam ostrożnie, żeby nie uszkodzić wzmiankowanego worka kości i żalonych szczątków ciała, ale mimo wszystko śmiałam się z mojej rychłej śmierci. Opowiadałam dowcipy o nieboszczykach, a potem rozgadywałam się o planach własnego pogrzebu.

5 marca 2004

Przyjechałam umrzeć do domu, ale umieranie nie jest takie proste w naszym świecie początku dwudziestego pierwszego wieku. Wymaga hordy ludzi. Wymaga „kontroli bólu”. Wymaga założenia w domu hospicjum. Ale trzymam ich krótko. To moja śmierć, nie wasza, oświadczyłam pracownicy opieki społecznej, niech ją szlag, która sączyła z każdego poru współczucie, gdy planowałyśmy ostatni krok, czyli jak „dobrze” umrzeć. To oksymoron, idiotko. Powiedziałam NIE psychoterapeutom z ich litościwymi twarzami, specom od wyparcia, złości, negocjacji, depresji i akceptacji. Powiedziałam NIE wszelkiego rodzaju zawodowym żałobnikom

i ich przeklętym komunałom. NIE pozwolę, by w promieniu dziesięciu kilometrów od mojego łoża śmierci odklepywano minoderyjne bzdety. Słowa te wyrzucałam z siebie tubalnie. Zdobyłam się na tubalność. Byłam imponująca.

Tubalność mnie opuściła. Jestem jak dziurawa łódź – mocz, kał i łzy wyciekają ze mnie bez pozwolenia. Noszę pieluchy, które trzeba mi zmieniać. Moje pokiereszowane w czasie operacji jelita znów powykręcał nowotwór. Włosy odrosły proste. Kędzierzawe włosy, których nie znosiłam, a które nauczyłam się lubić, przepadły, a ich miejsce zajęło rzadkie, siwe siano. Jestem teraz prawdziwym monstrem, które wstydzi się swego obrzydliwego ciała. Jedzie ode mnie uryną, gównem i czymś jeszcze, nieznanym smrodem, choć inni nie przyznają się, że go wyczuwają, ale to musi być odór umierania. Czuję go, gdy piszę te słowa, unosi się ze strefy walk pod pościelą. Powinno się mnie wypłukać w wybielaczu. Leżę w moim specjalnym łóżku, które się podnosi i opada za przyciśnięciem guzika, ustawionym przy oknie, żebym mogła wyglądać na zatokę i Manhattan w oddali. Tęsknię za światem, który opuszczam, ale mu nie wybaczyłam. Jego gorzki posmak pozostaje, twarda skórka w ustach, której nie mogę wypluć.

Pearl zagląda mi przez ramię, żeby zobaczyć, co piszę. Jest uosobieniem sprawności, do tego bystra. Urodziła się w Trynidadzie, mieszkała w Szwecji, teraz w Nowym Jorku. Prywatna pielęgniarka. Mów do mnie po szwedzku, proszę, a ona spełnia moje życzenie.

Chciałabym odzyskać umysł, który miałam – ten, który skakał, tańczył i robił fikołki w powietrzu. Kiedyś chciałam, żeby go dostrzegli inni, żeby uznali moje talenty. Teraz zadowolę się jego odzyskaniem.

2 kwietnia 2004

Powiedziałam dzisiaj Brunonowi, że jestem umierającą bestią, a on jest Pięknym. Pokręcił głową i zadrżały mu usta. Jesteś taki piękny, powiedziałam. Jesteś mocny i zdrowy, jesteś moim prywatnym, ukochanym Pięknym. Chodź do bestii, rzekłam. A on położył głowę na moich piersiach, przygniół je i ciężar jego czaszki sprawił mi ból. Teraz wszystko mnie boli. Przychodzą mdłości. Morfina mąci mi w głowie. Ból wzmaga się. Tak bardzo chcę pisać, opowiadać, ale to coraz trudniejsze.

13 kwietnia 2004

Jest ze mną Klematis. Lepkie pnącze, które mnie oplata.

Maisie jej nie lubi.

Ethan ją lubi. Widzę, że bacznie jej się przypatruje. Był tu dzisiaj. Jest mu ciężko. Było

mu ciężko, gdy umarł Felix, ale Felix umarł szybko. Odbylałam rozmowę z nim i jego siostrą tym dziwnym głosem, który teraz do mnie należy, zachrypłym, niewiele głośniejszym od szeptu. Cieszę się, że powiedziałam im o Feliksie i jego kochankach, toteż nie będą zdziwieni, jeśli nagle wyskoczą ze starymi kluczami. Opowiedziałam im o tym wszystkim bez złości. Jestem z siebie zadowolona. Gdybym nie była brzydką, robiącą pod siebie potworą z czarnej laguny, można by mnie wziąć za jakąś romantyczną postać, schorowaną matkę na łożu śmierci wspaniałomyślnie opowiadającą dzieciom o ich trudnym ojcu. Role już istnieją, tylko je odgrywać.

Och, gdybym mogła wymazać z twarzy Maisie cierpienie. Jesteś za dobra, Maisie. Powiedziałam jej to. Nie, nie jestem, zaprzeczała, nie jestem. Ale tylko dobrym wydaje się, że nie są dobrzy. Chcę, żeby żyła, pracowała, żeby wzbiła się wysoko.

I Maisie pochyliła się i pocałowała mnie w głowę. Mamusiu, tak bardzo cię podziwiam, powiedziała. Nie nazwała mnie „mamusią”, odkąd skończyła sześć lat.

Rozmawiam przez telefon z doktorem F. Słyszę smutek w jego głosie. To miłość. Jestem wdzięczna za tę dziwną formę intymności, za ten jednostronny potok słów. Poznał mnie lepiej niż ktokolwiek inny. Dziwne, ale prawdziwe.

Często wracam do mieszkania na Riverside Drive. Przechodzę przez pokoje, oglądam je. Jestem w gabinecie ojca i podniosłam do nosa jedną z jego fajek, żeby wciągnąć w nozdrza ten specyficzny aromat, gdy nikt nie widzi. Boję się, że wejdzie. Przerywa mi matka. Mówi, żebym nie dotykała fajek ani piór. Nie, nie, nie, on nie lubi, gdy się je rusza. Jego głos dolatuje z pokoju obok. Matka szybko poprawia fajki. Zerkam na jej twarz, widzę lęk i nadzieję. To straszny widok. To straszny widok, bo wyraz jej twarzy jest odbiciem mojego.

Bała się go.

Ja się go bałam.

Nigdy jej nie uderzył. Nigdy mnie nie uderzył.

Nie musiał. Byłyśmy zniewolone.

Nie zdawałaś sobie sprawy, jak bardzo jesteś wściekła.

Nie zdawałam sobie sprawy, jak bardzo jestem wściekła.

Jakże ja się złościłam. Myślę, że teraz już nie jestem w stanie. Myślę, że jestem zbyt osłabiona, a wtedy złość wzbiera znowu, nieco słabsza, nieco rozrzedzona, ale mimo wszystko. Gdybym tylko miała poczucie, że dokonałam swego dzieła, że jest ukończone, że nie zniknie całkowicie.



Ojcze, nie wiedziałeś, jak bardzo chciałam, żebyś się rozpromienił na mój widok. Ale byłeś ułomny. Pomaga mi świadomość, że byłeś kaleką.

Chciałabym, żeby przyszedł i ukołysał mnie duch mojej matki.

Przyjeżdża Phinny. Mam nadzieję, że się nie spóźni.

Była tu Rachel. Przypomniała mi o Bydlęciu z Pięcioma Palcami. Kolejna bestia. Zapomniałam. Poprosiłam ją, żeby pogładziła moją dłoń. Jej palce na moich palcach – czuję je teraz, gdy to piszę. Poprosiłam Maisie, żeby jej pokazała płonącą matkę Margaret.

Rozmawiał ze mną Ethan. Opowiadał mi moje własne żarlinkowe bajki. Ma dużo lepszą pamięć niż ja.

Kiedyś pamiętałam wszystko – cytaty, numery stron, nazwiska, tytuły i lata publikacji – teraz wszystko się zamazuje.

Czerwone usta Klemmy. Jej promienny dotyk. Te groteskowe kamienie. Dlaczego na to pozwalałam?

Kocham jurodiwą.

Wystraszyłam Aven. Tak mi przykro.

Kiedy był tutaj? Dzisiaj? To było dzisiaj? Barometr wysłał mnie w podróż płomienną mową pożegnalną. Jest gniewnym Bogiem, który grzmi z niebios, zsyłając błyskawice i okrutne wiatry.

Pamiętam, że jestem Żydówką.

Ja to niepoliczone rzesze.

Jest Ziemia plamką, ziarenkiem, atomem<sup>83</sup>.

Tworzą mnie zmarli.

Nawet moje myśli nie są już moje.

## Sweet Autumn Pinkney

(zredagowany zapis nagrania)

Usłyszałam głos, który powiedział „Harry”. Dość głośny, męski głos i usłyszałam go w lewym uchu, chociaż nikt nie stał blisko mnie, bo to była pierwsza trzynaście w nocy i o tej porze na ulicy kręciło się tylko parę osób. Wiem, która była dokładnie, bo jak to się stało, sprawdzałam akurat komórkę przed apteką Siri na Flatbush Avenue. Kali (mała suczka, którą zaadoptowałam ze schroniska, skrzyżowanie pudła, teriera i chihuahua) robiła właśnie siusiu i obwąchiwała chodnik przed powrotem do domu. Od razu wiedziałam, że ten głos to znak. Jeśli nie zwracasz uwagi na znaki, mijają cię i może się zdarzyć, że przegapisz wezwanie od przynależnego ci losu. Ten głos mnie zaskoczył, nie ukrywam. Od dłuższego czasu nie myślałam nawet o Harry, a od tamtej pocztówki Anton też się nie odzywał. Koncentrowałam się na swoim duchowym postępie, rozwoju, talentach uzdrowicielskich i pomaganiu potrzebującym w mojej lecznicy duchowej Wonne Indygo, i radziłam sobie naprawdę nieźle, nie licząc kilku zawirowań głównie w postaci facetów, dla których traciłam głowę i którzy – jak się okazywało – mieli złą karmę, co zawsze mi jakoś umykało. Ale przecież takie potknięcia też są częścią procesu, drogi do oświecenia. Trzeba się z tym pogodzić i maszerować dalej. W jednym ze swoich wykładów mistrz Peter Deunov powiedział: „Twoja świadomość może poruszać się z prędkością ociężałego pociągu, może poruszać się z prędkością światła albo może poruszać się jeszcze szybciej”. Przypuszczam, że w tym czasie moja świadomość nabierała prędkości samolotu.

Rano, gdy parzyłam sobie kwitnącą zieloną herbatę, wiedziałam, że muszę odpowiedzieć na ten anielski głos i odnaleźć Harry. Spojrzałam na kwiat rozchylający się w herbacie i poczułam rozszerzenie w sakralnej czakrze splotu słonecznego, i zobaczyłam pomarańczowość unoszącą się w kuchni. Przypomniałam sobie czerwoną, rozmazaną aurę Harry. Odnalazłam jej nazwisko w brooklyńskiej książce telefonicznej i zadzwoniłam do niej. Przygotowałam sobie wstęp na wypadek, gdyby mnie nie pamiętała. Miałam opowiedzieć o głosie, który usłyszałam na ulicy, chociaż wiem przecież, że Harry nie wierzy w nauczanie mistrza, astrologię, czakry ani nic z tych rzeczy, ale to nie Harry odebrała telefon. Osoba w słuchawce powiedziała: „Jestem jej córką, a mama jest teraz bardzo chora, nikogo nie przyjmuje oprócz rodziny i najbliższych przyjaciół”, jej głos drżał lekko i to drżenie przedostało się przez telefon do mojego ciała.

Spytałam, jak jej na imię. „Maisie”, na co ja: „Maisie, z tej strony Sweet Autumn Pinkney. Kiedyś poznałam twoją matkę przez Antona Tisha, asystowałam w pracowni i myślę, że mogę jej się teraz przydać. Widzisz – następne słowa wyartykułowałam powoli i wyraźnie – zostałam wezwana”. „Ktoś do pani dzwonił?”, spytała Maisie, nie rozumiejąc głębszego sensu, ale to nie miało znaczenia. Włożyłam fioletową sukienkę do ziemi w tureckie wzory, najlepszy kolor w tego typu nagłych przypadkach, zapakowałam Kali do transportera, chwyciłam torbę z kamieniami i zadzwoniłam po taksówkę, bo Red Hook to komunikacyjny koszmar. Po prostu nie da się dojechać metrem, więc zadzwoniłam do Legends, korzystam z ich usług w razie potrzeby, bo są solidni.

Spisałam sobie adres, ale nie mogłam znaleźć budynku, i gdy zobaczyłam w pobliżu grupkę nastolatków, spytałam ich, czy wiedzą, gdzie mieszka Harry Burden, i jeden z nich, z tatuażem na szyi, w czarnej baseballówce, powiedział: „A, to pewnie ta szmalowna czarownica”. Rozmawialiśmy jeszcze chwilę, aż się wyjaśniło, że mówimy o tej samej osobie, i zapytałam go, dlaczego tak ją nazwał. Odpowiedział, że nie wie, ale krąży mnóstwo plotek, że w jej pracowni odchodzą jakieś cuda-niewidy, a z budynku czasem dolatują dziwne odgłosy, wrzaski, coś o szatanie i Bogu. Pobawili się chwilę z Kali, a potem wskazali mi drzwi. Wcisnęłam dzwonek. Wyjaśniłam Maisie i Brunonowi, który był przyjacielem Harry, że przyszedłam się z nią zobaczyć, i Bruno poszedł ją spytać, czy mogę wejść. Zgodziła się, więc weszłam po schodach do wielkiego pokoju z mnóstwem okien, przez które do środka wlewało się światło, niezmierny widok, i Harry leżała tam podłączona do kroplówki w szpitalnym łóżku z ramą, wie pan, taką, co się podnosi z obu stron. Zobaczyłam jej łokieć wystający spod luźnego rękawa koszulki, naturalnie sama skóra i kości, i wtedy zrozumiałam, że Harry już nie wydobrzeje. Ta myśl uciszyła mnie w środku.

Zobaczyłam, jak jej aura snuje się wokół niej, same przygaszone kolory – biele, szarości, jakaś ochra – i nagromadzone latami pod wpływem strat i traum toksyny. Moją misją było nie uzdrowienie, a oczyszczenie czakr, ażeby ciało świetliste nie ciążyło ku ziemi. Trzeba było wyswobodzić świetlistą anatomię Harry. Musiałam jednak uzyskać jej zgodę. Nie można po prostu władować się do kogoś i od razu bez pozwolenia zabrać się do oczyszczania aury. Kali zaczęła szczeleć, więc wystawiłam ją w transporterze na korytarz. Wiedziałam, że trochę poskomle, a potem zaśnie.

Podeszłam do Harry miękim krokiem. Krokiem tancerki, najpierw palce, potem pięta.

W ten sposób okazuję szacunek i nie robię hałasu. Stałam przy niej. Leżała oparta na poduszkach. Włosy miała krótkie i sianowate, nie kręcone, tak jak pamiętałam, a na zapadniętej twarzy wystawały kości policzkowe. Skóra pod oczami była ciemnoszara, ale jej zielone oczy były czyste i surowe. Spojrzała mi prosto w oczy i powiedziała chropawym głosem przesyconym chorobą: „Nasza mała mistyczka, tak? Klematis?”. Uśmiechnęłam się i położyłam dłoń na jej ramieniu. Popatrzyła na mnie spod przymrużonych powiek. Wiedziałam, że czuje ciepło płynące z moich palców. Zamknęła oczy. „Harry, mogę się za ciebie pomodlić?”. Zanim zdążyła odpowiedzieć, wyrosła za mną Maisie i spytała, co ja takiego wyprawiam, po czym dodała, że nie są religijni. Że Harry nie znosi modlitw itede, itede. Maisie miała niebieską aurę, ale lekko zamgloną, bo była smutna, kurczowo trzymając się mamy, to zrozumiała. Ale odpowiedziałam stanowczym tonem, że chcę usłyszeć zdanie Harry, bo to do niej mnie wezwano.

„Klematis – powiedziała Harry – ja jestem Żydówką”.

Odparłam, że to nie przeszkadza, że każda religia ma swoje obrzędy, ale Bóg jest ten sam wszędzie. Powiedziałam jej, że Peter Deunov odnowił swoją wiarę dzięki zasadom karmy i reinkarnacji. Lubił też frenologię, czytanie z kształtu czaszki, popularne w wielu miejscach na świecie w młodości mistrza. I wtedy, gdy wpatrywałam się w wychudzoną twarz Harry, ujrzałam w niej ból, jej usta rozciągnęły się i poczułam klucie w splocie słonecznym, tak ostre, że musiałam przyłożyć tam dłoń, żeby się uspokoić. I po tych bólach przyszło objawienie. Wezwanie, z wyższych płaszczyzn. Sweet Autumn, powiedziałam do siebie. (Rozmawiam w ten sposób ze sobą, gdy coś jest naprawdę ważne). Sweet Autumn, powiedziałam, tę właśnie wiadomość próbował ci przekazać głos na Flatbush Avenue! Mistrz to ktoś, kto odebrał co najmniej pięć inicjacji, zakończył ludzki etap ewolucji i przeszedł dalej. Czyż mistrz nie powiedział: „Wkrótce dzień ujrzy nowa ziemia”? Nie powiedział, że nadejdzie ogień, aby „wszystko odnowić, oczyścić i odbudować”? I niektórzy mistrzowie są artystami – Michał Anioł jest artystą takim jak Harry. Przeniósł się do wyższego systemu planetarnego zwanego Syriuszem. Apteka Siri! Głos! To był anielski mistrz, może sam Michał Anioł, przemawiający do mnie z Syriusza. Byłam bardzo przejęta i opowiedziałam o wszystkim Harry. Widziałam, jak twarz Maisie wykrzywia złość. Bruno patrzył na mnie ironicznie, ale Harry słuchała z zamkniętymi oczami, po czym wyszeptała: „Przypominam sobie teraz Deunova. Klem, on pomógł uratować bułgarskich Żydów”.

Tak, tak, przytaknęłam i naprawdę się ucieszyłam, że Harry zna tę historię, bo to był

kolejny znak. Uratowało się czterdzieści osiem tysięcy Żydów, bo mistrz Deunov wysłał swego posłańca, Lulczewa, żeby odszukał bułgarskiego króla, który gdzieś się ukrywał, i przekonał go do uratowania czekających na deportację. Ten król nazywał się Borys III czy IV, jakoś tak. No więc Lulczew szukał tego króla, szukał i szukał, ale nie mógł go znaleźć i w końcu musiał wrócić do mistrza, i przyznać się, że chociaż szukał wszędzie, nie miał szczęścia. Mistrz oddał się medytacji i zesłana mu została nazwa miejscowości, i oto, proszę bardzo, król się tam znalazł, a że szanował mistrza i oboje cieszyli się poparciem Bułgarów, wprowadził prawo, które ocaliło Żydów przed zagładą.

„Pamiętam – zwróciła się do mnie Harry. – Car, nie król”.

Myślałam, że to jedno i to samo, powiedziałam, a ona na to, że właściwie mam rację, niewielka różnica.

Znaki przychodziły coraz szybciej i zaczynałam już wymiękać, bo za dużo było tego. Kręciło mi się w głowie, co czasem się zdarza, gdy wyczuwam wokół siebie w atmosferze dużo różnych rzeczy, ale te wszystkie nici schodziły się razem. Tak właśnie o tym myślę, nici spletały się, tworząc kręgi, i miałam zgodę Harry. Mogłam się za nią modlić i oczyścić jej świetliste ciało, zanim przejdzie na następny poziom. Brazylijscy szamani mówią, że odchodzisz w góry i oglądasz wszystko nowymi oczami – świętym wzrokiem.

Przychodziłam codziennie przez pięć dni. Piątego dnia Harry umarła.

Wiedziałam, że pozostali właściwie mnie nie akceptują i nie wierzą w to co ja. Chcę to powiedzieć. Maisie nazywała mnie „persona non grata”, przez co rozumie nieproszonego gościa z zewnątrz, i zwłaszcza pierwszego dnia Bruno i Pearl, pielęgniarka Harry, rzucali mi z drugiego końca pokoju niechętnie spojrzenia, gdy oczyszczałam aury, wprawiając je w ruch najpierw przeciwnie do kierunku ruchu wskazówek zegara, a potem odwrotnie. To żmudna robota, a oni przewracali oczami. Niech pan nie myśli, że tego nie widziałam. Nauczyłam się tym nie przejmować, to wszystko. Ludzie kpili z mojego daru, odkąd byłam mała, więc mam w tym długoletnią wprawę. Nie byłam podobna do innych dzieciaków, nigdy. Zawsze widziałam i wyczuwałam rzeczy, których one nie widziały i nie wyczuwały, kolory, fale, prądy w rękach i nogach. Często dzieciaki czekały na mnie po lekcjach i wyzywały od „albinoskich brzydul”, „niedorozwojów” i „matołów”. Czasem podstawiały mi nogę, kopały w tornister albo ściągały go ze mnie i wyrzucały zawartość na chodnik. Niezbyt oryginalne, jak się nad tym zastanowić. Trzeba po prostu nauczyć się chodzić z podniesioną głową i pozwolić, żeby inni się wykrzyczeli.

Niełatwa sztuka. Długo trwało, zanim nauczyłam się nie przejmować.

No, w każdym razie po pierwszym dniu przewracania oczami i wyzywania mnie od „personów non gratów”, sytuacja nieco się poprawiła. Maisie ma córeczkę, która musiała chodzić do szkoły, i męża, Oscara, który był naprawdę uroczy z tym swoim niskim głosem, robi się od niego człowiekowi ciepło, i po prostu nie mogła o nich zapomnieć. Drugiego dnia powiedziałam Maisie, że ją zastąpię, bo ledwo już patrzyła na oczy. Same jej się zamykały. Zaproponowałam, że posiedzę przy Harry, a ona powinna spróbować się zdrzemnąć, w przeciwnym razie nie będzie z niej wielkiego pożytku. Maisie widziała, że dotyk moich dłoni i kryształ na brzuchu sprawiają Harry przyjemność i przynoszą ulgę, lubiła też mój śpiew – śpiewałam jej stare ballady, których nauczyła mnie babcia Lucy. Najbardziej podobała się Harry *Żegnam się z Nancy*. „Pożegnać się czas i dusza ma krwawi / Bo żegnam się z Nancy, och”. Harry polubiła też Kali. A Kali polubiła Harry. Polizała ją po twarzy, obwąchała i od tej pory została z nami w pokoju, więc było łatwiej.

Harry powiedziała do Maisie: „Skarbie, idź się połóż. Jeszcze nie umarłam. Zostało we mnie trochę życia”. Maisie przeprosiła, że była dla mnie niemiła, a ja odpowiedziałam, żeby się nie martwiła, że nic nie szkodzi.

Bruno potrafił się wkurzyć na nas wszystkich albo wściekał się na lekarza z hospicjum, doktora Gupte, który właściwie był całkiem przyzwoity. Miał zieloną aurę, idealną dla uzdrowiaczy. Doktor Gupta wpadał kontrolnie, bo leki nie zawsze działały tak, jak powinny. Pamiętam, jak Bruno stał na korytarzu z doktorem, cały roztrzęsiony, ale starał się nie podnosić głosu, żeby nie usłyszała go Harry, powtarzał tylko w ten swój szorstki sposób: „Nie pozwolę, żeby cierpiała. Słyszysz mnie pan? Nie pozwolę, żeby cierpiała. Już pańska w tym głowa, żeby nie czuła bólu”. Po wyjściu lekarza Bruno usiadł na krześle, ukrył twarz w dłoniach i strasznie się rozplakał, ale nie głośno. Podeszłam na palcach i położyłam mu dłoń na ramieniu. Podniósł wzrok i spytał: „Kim jesteś?”. Nie powiedział tego w miły sposób, a ja mu nie odpowiedziałam. To i tak nic by nie dało. I wtedy wydawało mi się, że powiedział: „Mówiła, że jesteś jucha miś”. „Jucha miś?”, zdziwiłam się. Nie, powiedział, mówiła, że jesteś, z niemiecka, *un-hajm-liś*. Czyli „dziwna, zwariowana, cudaczna”. Odparłam, że nie mam nic przeciwko. Że mi to nie przeszkadza. Bruno pokręcił głową, ale uśmiechnął się nieznacznie, samymi kącikami ust, więc od tej pory czułam się przy nim lepiej, i aha, muszę to podkreślić: on kochał Harry. Powiedziałabym, że miał dar. Wiedział, jak ją kochać. To był silny, czysty, jaśniejący promień. Siadał przy niej, całował ją w rękę, gładził po głowie i szeptał do niej. Słyszałam też ich śmiech.

Zdałam sobie sprawę, że ja też chciałabym się przed śmiercią pośmiać. Mam nadzieję, że będę mogła. Ale czułam, że Harry została zraniona, prawdopodobnie kiedyś, dawno temu, w domu, jak wielu z nas. Czasem dostrzegałam i wyczuwałam w pokoju gniew, buchał z niej jak ogień, czerwone płomienie pociemniałe od dymu i negatywnej energii, te, które widziałam wtedy, gdy spotykałam się z Antonem. I zrozumiałam, że Harry przed odejściem musi uporządkować relacje ze wszystkimi, których kocha, i że to jest strasznie ważne bez względu na to, w co się wierzy. Wtedy zdałam sobie sprawę, że część tych ludzi jest już po drugiej stronie, a część to duchy, których niewyraźne białe kości wciąż tkwią po tej stronie. Biedna Harry.

Ethana poznałam dopiero drugiego dnia. Miał na głowie ciepłą czapkę naciągniętą na oczy, chociaż na dworze nie było zimno, i wyglądał na wystraszonego i samotnego. Gdy tylko wszedł, zobaczyłam, że jest cały zablokowany przez lęki. Musiałam się skoncentrować i obejść go dookoła i wtedy zobaczyłam dziurę, jakby rozdarcie albo podrażnienie w tylnej czakrze serca. I wyczuwałam życzenia wylatujące w jego stronę z ciała Harry. Usiadł w fotelu przy łóżku i rozmawiali. Sporo wiedział. Od razu poznałam, że jest intelektualistą jak Harry. Właściwie nie wiedziałam, o czym rozmawiają, ale poznałam, że nie wypowiadają autentycznych słów, które powinni wypowiadać, i to mnie zaniepokoiło. Coś zaczęło mnie uciskać w klatce piersiowej, aż trudno mi było oddychać i musiałam zrobić sobie przerwę, wyjść na korytarz i oczyścić własną aurę. Położyłam się na podłodze i medytowałam przez jakieś pół godziny. Przyszła pielęgniarka na nocną zmianę. Ma na imię Winsome, czy nie ładnie? Winsome. W każdym razie gdy weszła do Harry, Ethan wyszedł, a potem usiadł na podłodze i zaczęliśmy rozmawiać.

Jejku, nie pamiętam wszystkiego, co sobie powiedzieliśmy. Ethan przez jakiś czas głąaskał Kali i wypytywał mnie o nią, a potem jakoś przeskoczyliśmy na temat dzieciństwa i jak to czasem bywa ciężko tylko dlatego, że jest się małym. No i koniec końców opowiedziałam mu o tym, jak Denny złamał mi rękę. Właśnie potwornie się pozarli z mamą, a ja próbowałam tylko się usunąć, bo wiedziałam, co się może stać, jeśli tego nie zrobię, ale on chwycił mnie za ramię, żeby zrobić mamie na złość, i pchnął na ścianę, a ja upadłam na podłogę tak pechowo, że złamałam kość i ręka zwisała mi jakoś tak inaczej niż zwykle. Bolało mnie tak bardzo i ręka wyglądała tak dziwnie, że zaczęłam krzyczeć. Przynajmniej przestali się kłócić. Oboje mieli takie zdziwione miny. Potem Denny podszedł do mnie, ja cała w strachu zaczęłam się cofać, a on wtedy złapał mnie za rękę i nastawił złamanie. Bolało jak sto diabłów, ale zaraz potem ból przeszedł, właściwie jakby cudem. Zrobił to dla mnie, mimo że to właśnie on wcześniej rozwalił

mi rękę. Pojechaliśmy wszyscy samochodem do szpitala. Denny z mamą skłamali, tłumacząc, jak doszło do złamania. Powiedzieli, że spadłam z drzewa, i lekarz pogratulował Denny'emu wspaniałej roboty, a Denny był z siebie taki dumny. Jezu, widziałam to na jego twarzy. Zupełnie jakby zapomniał, że sam zrobił mi krzywdę. Pamiętał tylko, że nastawił mi kość, nie, że ją złamał. Ethan powiedział, że to nieźle zakręcona historia. Przyznałam mu rację. Przez jakiś czas milczeliśmy, a potem poinformowałam go, że ma zablokowaną aurę. A on spytał: „Serio?”.

No, w każdym razie opowiedziałam mu o Harry i Antonie. Chciał, żebyśmy coś napisała w sensie, że wiedziałam, że to praca Harry, i że usłyszałam o tym od Antona. Zgodziłam się oczywiście. Spytałam go, dlaczego rozmawia z mamą o jakiejś książce, gdy ona szykuje się już do przejścia na drugą stronę. Po jakimś czasie Ethan wspomniął o świecie Żarlinków, który wymyśliła, i powiedział, że ciągle ma w głowie bajki, które Harry opowiadała jemu i Maisie przed snem, i dlatego właśnie zaczął pisać, ale nigdy jej tego nie powiedział. „Powinieneś jej powiedzieć – poradziłam mu – bo twojej mamy niedługo tu nie będzie. Przenosi się na drugą stronę i dla waszego wspólnego dobra powinieneś jej o tym powiedzieć”. Ethan stwierdził, że nie wie dlaczego, ale to dla niego strasznie trudne. Pozwolił mi przyłożyć do siebie ręce, do twarzy i ramion. Przykładanie dłoni jest najstarszą metodą leczniczą, znaną już w Biblii. „Wtedy po poście i modlitwie oraz po włożeniu na nich rąk, wyprawili ich”. Dodałam mu energii. Czulałam to. A potem parę razy się pocałowaliśmy. Wiem, że to do książki i że Ethan pewnie przeczyta, ale w porządku. Dzięki tym pocałunkom poczuł się lepiej i kolory wokół niego nabrały intensywności, i zobaczyłam wtedy, jaki jest przystojny, i zdjęłam mu z głowy czapkę. Miał ładne włosy, takie jedwabiste, kręciły się, ale nie tak bardzo jak kiedyś Harry, i zapytałam go, czy mogę ich dotknąć, a on na to, że mogę, więc dotknęłam. Nocowałam w przytulisku, tak nazywają to miejsce. Ethan, Kali i ja spaliśmy razem w jednym łóżku, nie było żadnego seksu, nic z tych rzeczy. W środku nocy usłyszałam kogoś na korytarzu, jak mówi coś głośno o aniołach. Ethan powiedział, żebyśmy się nie przejmowały, że to ktoś, kogo nazywają Barometr. I że rano mi wszystko wyjaśni.

Trzeciego dnia Harry była bledsza i słabsza. Musiała też podkręcić morfinę z kroplówki. Mimo to na stoliku obok trzymała zeszyt w kratkę i długopis i chociaż ręka mocno jej drżała, udało jej się co nieco zapisać. Zajęło jej to dużo czasu, a gdy skończyła, uszła z niej cała energia. Silne bóle. Osuszałam jej łzy chusteczką. Na usta nakładaliśmy balsam, bo pękały. Położyłam jej na brzuchu pod koszulą nowy kryształ i musieliśmy poprawić pościel. Po raz pierwszy



zobaczyłam bliznę z pomarszczoną skórą tam, gdzie musieli ją rozciąć. Cały jej brzuch wyglądał dziwacznie, niesamowicie biały i miękki, skóra niemal prześwitująca. Ciągłe oczyszczałam czakry, wykonując koliste ruchy oczyszczające i kojące. To jej pomagało i cieszyłam się, że robimy postępy. Chciałam, żeby ostatnie sny Harry po tej stronie były dobre, i wiedziałam, że oczyszczenie przyniesie jej we śnie spokojne obrazy.

Jakoś po południu do pokoju razem z Maisie weszła zadbana niska kobieta w starszym wieku. Posiwiące włosy miała obcięte prosto na wysokości brody, i ubrana była w jasnozieloną spódnicę, która sięgała aż do kostek i lekko szeleściła, gdy drobiła swoje kroczi. Ethan powiedział mi, że to najstarsza przyjaciółka Harry, Rachel Briefman. Z miejsca można było wyczuć jej mądrość i pewność siebie. Przez dłuższy czas siedziała u boku Harry, gładząc ją po policzku i rozmawiając z nią ściszym głosem. Chyba wspominały czasy, kiedy były małe, a może Rachel wspominała za Harry. Prawdę powiedziawszy, musiałam się od nich odwrócić. Udawałam, że bawię się z Kali, bo czułam, że Rachel już tęskni za Harry, tęskni za nią, zanim jeszcze umarła, jeśli rozumie pan, co mam na myśli, i nagle zebrało mi się na płacz. Przyszedł też lekarz Harry, jej psychoterapeuta, nie doktor Gupta. Biały mężczyzna, całkiem już stary, o rzadkich włosach z prześwitami, w brązowych rogowych okularach i z brzuszkiem, nie za dużym, po prostu takim, który świadczy o tym, że ktoś jest dobrze odżywiony i żyje mu się wygodnie. Podobały mi się oczy tego starca. Wszyscy wyszliśmy z pokoju, nawet Bruno i Pearl wyszli. Siedzieli tam sami chyba z godzinę. Bruno chodził wte i wewte, co chwila obiema rękami odgarniając do tyłu włosy. Gdy terapeuta wyszedł, po jego wyrazie twarzy poznałam, że jest mu smutno. Uścisnął mi dłoń w taki dystygowany i pełen uszanowania sposób. Pozwolił się objąć Maisie. Bruno odprowadził go do wyjścia. Nie wiem, co sobie powiedzieli, ale nastroje wokół nas zmieniały się szybko za sprawą czasu, czasu tutejszego, ziemskiego, nie tego drugiego, wiecznego. Modliłam się i medytowałam, modliłam i medytowałam, prosząc o siły na dokończenie zadania. Nikt nie musiał wiedzieć o moich modlitwach. Kali wiedziała. Położyła mi łebek na kolanach i spoglądała na mnie tak czule. Czasem najczystsza energia płynie od zwierząt.

Harry nic nie jadła. Maisie próbowała karmić ją bulionem, ale bez skutku. Widziałam, że Harry nie przyjmie już żadnego jedzenia, ale Maisie chciała, żeby mama jeszcze pożyła, żeby jeszcze trochę z nami została. Harry poskarżyła się, że nie czuje nóg, więc postanowiłyśmy z Maisie je wymasować i gdy masowałyśmy, Ethan siedział przy niej i opowiadał jej przygody Żarlinków. Była sobie dziewczyna o imieniu Niebiza, niezbyt schludna i niezbyt ładna. Podobało

mi się, bo wiadomo, zwykle bohaterkami są piękne księżniczki i tak dalej. Niebiza miała mnóstwo przygód z różnymi dziwnymi typami, olbrzymem o imieniu Spalony, bo kiedyś o mało nie zginął w pożarze i teraz cały pokryty był bliznami po oparzeniach, była też wróżka Klucha, nazwana tak nie bez kozery, bo była gruba, co utrudniało jej latanie. Ściągało ją ku ziemi, ale nie mogła schudnąć, bo miała nienasycony apetyt na jajka z bekonem. Pożerała po kolei wszystkie świny w królestwie, a kury nie nadążały ze składaniem jaj, żeby zaspokoić jej apetyt, i z tego powodu rozpętała się wojna z sąsiednim królestwem. Ethan nie przestawał opowiadać, a Harry leżała tam z zamkniętymi oczami, z palcami na regulatorze morfiny, ale od czasu do czasu się uśmiechała.

Potem zaczęła wymiotować śluzem z krwią. Dławiła się, więc położyłam dłoń na jej piersi i chuchałam na nią. Harry jęczała. I powiedziała: „Wiesz, Klemmy, rozcięli mnie zupełnie niepotrzebnie. Rozkroili mnie, zatruli, ale od tego było tylko gorzej”. Bruno wyglądał na totalnie zgnębionego. Z oczu trysnęły mu łzy.

W tym właśnie momencie do pokoju wpadł w podskokach żyłasty mężczyzna z długimi włosami i brodą, w T-shircie z trupa czaszką – to znaczy naprawdę w podskokach, tak jak to robią dzieci, jedna noga hop, druga noga hop – i zaczął coś mówić strasznie głośno i wymachiwać rękami jak wiatrak. Szczerze mówiąc, przez chwilę myślałam, że ożyła jedna z tych zwariowanych postaci z bajek Harry. Ukłonił się przed nami jak ktoś, kto ma zagrać na fortepianie przed pełną salą, a potem zaczął wygrażać pięścią w stronę sufitu. Ale tylko nakręcał się w ten sposób przed wygłoszeniem kazania. Słowa zaczęły płynąć szybko i wściekle. Sposób, w jaki mówił, przypominał mi pewnego natchnionego kaznodzieję, do którego zaprowadziła mnie kiedyś babcia Lucy, ale tamten miał włosy przyklepane brylantyną i nosił granatowy garnitur. Ten chudzielec mówił o wierze, pasji, udręce, krwi krzyża, barankach, aniołach, burzach, trzaskających z nieba błyskawicach, jedenastym wrześniu, a nawet o internecie, chociaż nie byłam pewna, jaki to ma związek z całą resztą. Ciągłe próbowałam odczytać jego aurę, ale skakał po pokoju na tych swoich koślawych nóżkach, cały rozedrgany i nerwowy, i trudno mi było określić, czym emanuje. Harry jęczała, Bruno wyglądał na wkurzonego i myślałam, że trzaśnie tego chudzielca.

Nagle „kaznodzieja” uciekł. Powiedział: „Skrusz ramię występного i złego”. To z jednego z psalmów. Gdy byłam młodsza, nauczyłam się większości z nich. Chociaż to nie jeden z tych pocieszających, nie o wylegiwaniu się na zielonych pastwiskach. A potem przeskoczył od

razu do Psalmu 22, do innego przerażającego fragmentu: „Rozlany jestem jak woda / i rozłączają się wszystkie moje kości; / jak wosk się staje moje serce, / we wnętrzu moim topnieje. / Moje gardło suche jak skorupa, / język mój przywiera do podniebienia, / kładziesz mnie w prochu śmierci”. Zawsze się zastanawiałam, o jaką skorupę chodzi.

Wciąż przykładając dłonie do Harry i oddychałam rytmicznie, a ona oddychała ze mną. Powiedziała: „Jestem jak sprzęt wyrzucony”. Więc Harry też musiała znać Biblię. Nigdy bym nie przypuszczała, ale potem Ethan mi powiedział, że Harry przeczytała zatrzęsienie ksiąg i oczywiście znała Biblię, bo to „wielka literatura”. Trochę się przy tym snobował, ale co tam.

Zabraliśmy ją na spacer, bo Harry chciała zobaczyć wodę i niebo. Pearl obawiała się, że to może być ponad jej siły. Ale Harry bardzo tego chciała i Bruno oświadczył, że spełnimy jej życzenie bez względu na wszystko. Zrobił się cały czerwony i zawołał: „Do diabła, dostanie to, czego chce, choćbyśmy mieli stanąć na głowie!”.

Było to nie lada przedsięwzięcie. Zabraliśmy krowkę, bo była na kółkach, ale najpierw musieliśmy przenieść Harry na wózek inwalidzki, co nie było łatwe, bo wszystko ją bolało; i tak marżała, że trzeba ją było okutać w gruby sweter, szalik i owinąć w dwa koce. Maisie znalazła ładny zielony kapelusz z rondem, chociaż była wiosna i zrobiło się ciepło. Muszę powiedzieć, że Harry wyglądała w tym wszystkim komicznie. Kiedy już była gotowa do wyjścia, strasznie trudno było znaleźć w tych wszystkich zwojach osobę. Wyglądało, jakbyśmy wywozili na wózku długi śpiwór ubrany w kapelusz. Zjechaliśmy windą towarową. Wcześniej nawet jej nie zauważyłam. Bruno uparł się, że to on będzie pchał wózek, bo umie się nim posługiwać, ale i tak parę razy o coś się obił i za każdym razem Harry wydawała z siebie skrzekliwe stęknienie, które trwało tylko sekundę. Zabrała się z nami Pearl, uosobienie spokoju i schludności w wyprostowanej jak drut pozie, bardzo dostojnej, wyszedł z nami też chudzielec, który sprawiał wrażenie wykończonego swoim kazaniem i nagle zaczął kuleć. Zastanawiałam się, czy to nie ze współczucia dla Harry chwilowo okulał.

Ethan szepnął, że nazywają go Barometr, tego chudzielca. Jego matkę zabiło tornado i spędził trochę czasu, mnóstwo czasu, w szpitalach psychiatrycznych, ale teraz mieszkał z Harry i Brunonem. Podeszliśmy z Harry nad samą wodę, żeby mogła sobie popatrzeć. Chyba chciała poczuć na twarzy słońce, bo zadarła głowę do nieba. Kali kręciła się dookoła na smyczy i ciągnęła mnie to tu, to tam, żeby coś obwąchać. Jak ona kocha te swoje zapaszki.

Zabrałam ją kilka metrów dalej. Pomyślałam, że powinni mieć Harry tylko dla siebie – to

znaczy Bruno, Maisie i Ethan. Patrzyłam na mewy i statwę. Myślałam o tym, jak musi się czuć Harry, bo przecież nigdy już jej nie zobaczy, w każdym razie nie tak. Chciałam jej przekazać, że po drugiej stronie będzie lepiej, piękniej, ale czułam smutek, bo przecież Kochamy to, co nas otacza, nie ma na to rady, nawet jeśli powodem jest pazerność i przywiązanie do rzeczy, które nie mają tak naprawdę znaczenia, gdy spojrzysz na nie z wyższej, duchowej perspektywy. Nasz spacer nie trwał długo. Harry się zmęczyła. Kapelusz opadł jej na twarz i Maisie musiała go poprawić, bo Harry nie miała sił. Poprawiła też szalik i usłyszałam, jak Harry szepcze do niej: „Teraz to ja jestem niemowlę”. I Maisie się uśmiechnęła, ale gdy potem szła obok Brunona i Harry nie mogła jej widzieć, twarz Maisie była mokra, cała mokra od łez.

Do Harry przysłała po lekcjach jej wnuczka Aven. Wysoka jak na swój wiek, krótkie włosy, duże oczy i poważna twarz. Trochę chłopczyca. Ethan powiedział: „Nie cierpi różowego. Nie włoży niczego w tym kolorze”. Powiedział też, że jest świetna z matmy. „Liczy o tak”. Pstryknął palcami. Myślę, że zdawała sobie sprawę, że to jej pożegnanie z Harry. Nazywała ją babcią. Szkoda, że nie odwiedziła jej trochę wcześniej tego dnia, bo spacer tak wycieńczył Harry, że nie była w stanie powiedzieć zbyt wiele. Maisie podeszła z Aven do Harry i mała spojrzała na białą, pomarszczoną skórę babci z grubą żyłą na skroni, na jej oczy, całkiem już zapadnięte, i na popękane, łuszczące się usta, i obleciał ją strach. Cofnęła się, nie chciała jej dotknąć. Maisie pchnęła ją lekko i zauważyłam, że twarz Aven się wykrzywia. Zassała usta. Miała tylko osiem lat. Może dziewięć. Wiedziałam, że zaraz się rozpłaczę, więc szybko złapałam Kali i zbliżyłam się do nich. Kali trochę popiskiwała, a potem zaczęła obwąchiwać Harry. Kali wiedziała. Moja psinka wiedziała, co się dzieje. Więc wzięłam Aven za rękę i razem głaskałyśmy Kali, a potem bardzo delikatnie położyłam nasze dłonie na ramieniu Harry i przez chwilę razem głaskałyśmy Harry, ale drugim ramieniem cały czas tuliłam Aven. Potem poczułam na plecach dłoń Maisie. To było miłe. Czułam jej aprobatę. Oczy Harry były załzawione i myślałam, że zaraz się rozryczy przy wnuczce; ale ona spojrzała na Aven i jej oczy nie wyglądały już tak łzawo, odchrząknęła, a potem, najgłośniejszym, jak tylko była w stanie, czyli niezbyt głośno, wychrypięła: „Walcz o siebie. Nie pozwól nikomu sobą pomiatać. Słyszysz mnie?”.

Aven zagryzła dolną wargę, zajaśniały jej białe zęby. Spojrzała na matkę, bo nie wiedziała, co powiedzieć. Maisie dała jej znak skinieniem głowy. To było najbardziej dyskretne skinienie, jakie w życiu widziałam, i Aven powiedziała: „Nie pozwolę, babciu. Obiecuję”. Szczerze mówiąc, odetchnęłam w duchu. Cieszyłam się, że obyło się bez jakiejś większej

emocjonalnej katastrofy.

Cóż, od tamtej pory właściwie już tylko czekaliśmy. Bruno nie odstępował Harry. Postawił sobie łóżko tuż obok jej łóżka. Było dość miejsca dla nas wszystkich. Maisie, Oscar i Aven spali w jednym z pokoiów, a mnie i Kali ulokowano w małym gabinecie na końcu korytarza, gdzie Harry zajmowała się rachunkami swojej fundacji itede. Ethan znów mnie pocałował, ale zamknął się sam w pokoju. Na swoją zmianę przyszła Winsome. Rano Harry wciąż jeszcze żyła, ale była niespokojna, mówiła coś i pojękiwała. Wpadł doktor Gupta, żeby ją obejrzeć, i odbył w kącie rozmowę z Brunonem. Bruno kiwał głową. Nie rozumiałam tych medycznych terminów, ale nie zamierzali dopuścić do tego, żeby ból wziął nad nią górę, podali jej więc jakieś leki i Harry się uciszyła. Leżała zupełnie nieruchomo, tak nieruchomo, że pomyślałam o liściach, gdy zamierają w bezruchu tuż przed burzą. Nie przestawałam jej oczyszczać, chociaż Bruno w pewnej chwili wrzasnął: „Nadal nie rozumiem, co ty tu do diabła robisz!”. Ethan powiedział, żeby dał mi spokój. Przypomnił mu: „Mama życzyła jej sobie tutaj. Wiesz o tym tak dobrze jak ja. Pozwól jej zostać”. Ethan był wtedy dla mnie bohaterem.

Cóż, przed południem, około jedenastej trzydzieści, siedzieliśmy wszyscy wokół Harry, po postu czekając na jej odejście. Zrobiłam, co w mojej mocy, i byłam całkiem pewna, że czakry zostały oczyszczone najlepiej, jak się tylko dało. Położyłam jej na brzuchu fioletowy agat, chcąc odblokować strumień ducha, gdy nadejdzie jej czas, bo działa na górną czakrę. Wtedy, nagle, zobaczyliśmy, jak Harry rzuca się w łóżku, i głosem, który rozbudził nas wszystkich, powiedziała „Nie”. Powiedziała „nie” drugi raz i jak gdyby tego było mało – trzeci. A potem nie powiedziała już nic.

Po południu zjawił się jakiś Phineas. Szczupły czarny koleś średniego wzrostu, właściwie to jasnobrązowy, jeśli mam go opisać precyzyjnie. Miał mnóstwo piegów, cienkie, łukowate brwi i miękkie usta z wystającą lekko dolną wargą. Był fajnie ubrany, spodnie rurki, buty za kostkę i ładna sportowa kurtka. Wszyscy go znali. Harry nie mogła z nim porozmawiać, fatalnie, bo przyleciał specjalnie aż z Argentyny. Od Ethana dowiedziałam się, że to jeden z podstawionych przez Harry artystów. Odegrał dla niej swoją rolę, tak jak wcześniej Anton, ale nie rozwalilo go to tak jak Antona. Phineas usiadł przy Harry i mówił do niej, chociaż nie mogła go słyszeć, przynajmniej nie w zwyczajny sposób, bo nie była przytomna. Mówił długo i trzymał ją za rękę. Pamiętam, że zwracał się do niej per „brachu” i „mój brachu, mój stary brachu”.

Później Phinny – tak go nazywali – wyskoczył po kanapki i wszyscy usiedliśmy, żeby

wrzucić coś na ząb, rozmawiając o tym i o tamtym. Ethan czytał gazetę, która leżała na stole, i Maisie się zdenerwowała, powiedziała, że zapominamy o Harry, która leży tam prawie martwa, a my co robimy? Powiedziałam jej, że tak już jest. My nie umieramy. Wszyscy umrzemy, ale później. Teraz musimy jeść. Harry chciałaby, żebyśmy jedli, prawda? Na dworze padało, właściwie lało, i krople spływały po szybach jak łzy. Pamiętam, że to właśnie sobie pomyślałam.

Tej nocy spałam z Kali zwiniętą obok w kłębek i zastanawiałam się, czy Winsome albo Bruno wejdzie i powie, że Harry umarła, ale rano wciąż jeszcze żyła. Doktor Gupta powiadomił nas, że jej ciało zaczyna się wyłączać. Ale Harry nadal oddychała. Przestało padać, wyszło słońce i Bruno otworzył okno, żeby wpuścić trochę świeżego powietrza. Wyprowadziłam Kali na spacer, mijałyśmy biegiem taksówki wodne i wielki magazyn, gdzie jest jakaś wystawa, i pomyślałam sobie, że może tam Harry powinna była zaprezentować swoje prace. Gdy wróciłam, znów zaczęło się wyczekiwanie. Przyglądałam się aurze Harry – była teraz o wiele czystsza. Kolory nie były zanieczyszczone. Trochę czerwieni, ale mnóstwo zieleni i niebieskości. Ucieszyłam się, bo to znaczyło, że wypełniłam swoją misję. Rozmyślałam o swoim mieszkaniu, moich herbatkach ustawionych w szeregu we wnęce kuchennej i klientach, których musiałam odwołać, żeby być przy Harry, i trochę mi się nudziło, prawdę mówiąc, ale nie chciałam jej jeszcze opuszczać. Chciałam być tam w chwili przejścia, w chwili, gdy Harry będzie odchodzić stąd do wyższych sfer świadomości.

Zanim odeszła, wydała z siebie dziwny dźwięk, głęboki, mroczny i rozedrgany, i gdy go usłyszałam, ten dźwięk zaczął tłuc się po mojej głowie – obwieszczenie końca i nowego początku. Byliśmy bardzo cicho. Nie podeszłam do Harry, ale widziałam światło, które wyskoczyło z jej ciała i je okrążyło. Doktor Gupta, poważny i wysztywniony, przekazał nam, że Harry nie żyje. Była całkiem nieruchoma, a jej skóra wydawała się aż przezroczysta, ale nie widziałam na jej twarzy najdrobniejszego śladu bólu. Wiedziałam, że najwyższy czas się usunąć. Bruno tulił ją, a Maisie i Ethan stali przy łóżku, więc kilka minut później zgarnęłam Kali i torbę z kamieniami, wymknęłam się z pokoju cicho jak myszka i zadzwoniłam z kuchni po taksówkę z Legends. Zostawiłam fioletowy agat i miałam nadzieję, że będą pamiętać, żeby go opłukać.

Chciałabym powiedzieć jeszcze tylko o jednej rzeczy. Utrzymywałam kontakt z Ethanem i jakieś osiem miesięcy później spytał mnie, czy nie miałabym ochoty obejrzeć prac Harry, póki jeszcze są w pracowni. Porządkowali je czy coś takiego. Przyjęłam zaproszenie. Ethan przywitał mnie z Maisie. Zostawiłam Kali u Deborah, mojej sąsiadki, bo Deb po prostu uwielbia się nią

opiekować. Ethan otworzył kluczem drzwi pracowni, uchylił je i zapalił światła, które rozbłysły nade mną. Była późna jesień i niebo za oknami było szare z domieszką brązu i bieli. Powiedzieli mi, że Bruno i Barometr wciąż tam mieszkają i że nie przepadają za sobą, więc są problemy, ale próbują je rozwiązywać, i jeszcze coś o testamencie Harry, że zatroszczyła się o obu; ale ja ich nie słuchałam, przyglądałam się tym wszystkim rzeczom, które mnie otaczały, wielkim miękkim lalkom, pokojom i całym domom. Z sufitu zwisały małe rzeźby. Jedna przedstawiała penisa. Nie mogłam się powstrzymać i parsknęłam śmiechem. A potem ogarnęło mnie to dziwne uczucie, jakbym się unosiła, jakby coś mnie ciągnęło do sufitu, czasem mnie coś takiego nachodzi. To był znak, może pochodził od Harry. Czułam, że dzieje się ze mną coś ważnego, a potem zobaczyłam kobietę siedzącą w kucki na podłodze, nie prawdziwą osobę, ale wspaniałą olbrzymkę bez włosów. W jej głowie mieściło się mnóstwo małych ludzików, lecz także liczby i litery, i z jej miejsc intymnych, z pochwy w każdym razie, wypadały jak deszcz liczby i litery, i inne ludziki. Poczułam, jak szeroki uśmiech rozciąga mi twarz, i podeszłam do niej, żeby się lepiej przyjrzeć. Wielu dzieł sztuki po prostu nie rozumiem. Szczerze mówiąc, sztuka mnie nudzi, ale tym razem było inaczej. Przykucnęłam i zaczęłam się przyglądać tym maleństwom, i wtedy spłynęło na mnie święte uczucie. Powiedziałam o nim Ethanowi. Rozpostarłam ręce i szepnęłam „Jejku” i wtedy ją zobaczyłam. „Patrzcie – powiedziałam. – Patrzcie, to Harry. Mogę jej dotknąć?”. Nie wiedzieli, że Harry zawarła w tej figurze siebie, więc wszyscy byliśmy podekscytowani. Wskazałam na tę maleńką postać i wtedy Ethan z Maisie też przyklękli. Od razu ją zauważyli. Maisie powiedziała: „To mama, bez dwóch zdań”. „Patrzcie – powiedziałam – po prostu idźcie przed siebie, szczęśliwa i zdrowa, zajęta swoimi sprawami, i spogląda w niebo”. Pewnie tych figurek było tam za dużo, żeby wśród innych liliputów zauważyli swoją maciupęnką mamę.

Opowiedzieli mi o tej prawie zapomnianej filozofce, nie pamiętam, jak się nazywała, ale to ona była inspiracją dla tej olbrzymki i jej ludzików. Żyła dawno, dawno temu, w średniowieczu, zdaje się. Może Margot miała na imię. Jestem beznadziejna, jeśli chodzi o zapamiętywanie imion. Muszę się spytać Ethana, jak się z nim znów będę widziała. Ale ważne jest coś innego. Gdy tak wpatrywałam się na czworakach w figurkę Harry, ona zaczęła świecić. Przysięgam. Świeciła na fioletowo. Widziałam jej energię. Miała pole elektromagnetyczne – ta mała figurka, poważnie. Nic nie mówiłam. Obeszliśmy pracownię i obejrzelśmy inne eksponaty, a potem, gdy już mieliśmy wychodzić, odwróciłam się, żeby ostatni raz spojrzeć na prace Harry, i wtedy zobaczyłam, jak wokół każdej z nich płonie aura. Wzięłam głęboki wdech i na kilka

sekund zatrzymałam w płucach powietrze. Bo przecież to nie byli ludzie. To były rzeczy, które ktoś stworzył. Po raz pierwszy zrozumiałam tak naprawdę, dlaczego mistrz nauczał, że na Syriuszu, na wyższej płaszczyźnie, żyją artyści. Dlatego, że tchnęli w swoje dzieła własnego ducha, własną energię. Musieli mieć jej w nadmiarze, żeby ją tak rozdzielać. W każdym razie przysięgam, że cały pokój mienił się od tych rozmigotanych tęczy.

Ethan i Maisie musieli coś zauważyć, bo pytali mnie, co się stało, ale zapewniłam ich, że nic się nie stało. Że nic mi nie jest, co zresztą było prawdą. Gdybym im powiedziała o tych kolorach i światłach, znowu zaczęliby mi się podejrzliwie przyglądać, chociaż nie mieli złych zamiarów i byli naprawdę kochani. Oboje. Zamknęłam oczy. Znowu je otworzyłam i po prostu stałam tam, uśmiechając się, bo te kolory wciąż tam były – czerwienie, pomarańcze, żółcie, zielenie, niebieskości i fiolety – płonęły mocno i jasno w wielkim pokoju, gdzie pracowała kiedyś Harry, i w tym momencie miałam pewność, że te wszystkie dzikie, szalone, smutne rzeczy, które stworzyła Harry, wszystkie co do jednej, żyją ożywione jej duchem. Przez krótką chwilę słyszałam niemal, jak oddychają.



<sup>1</sup> Victor Hugo, *Ruy Blas*, tłum. Gabriel Karski, Warszawa 1955, s. 93.

<sup>2</sup> David Gilmore, *Mizoginia, czyli męska choroba*, tłum. Janusz Margański, Kraków 2003, s. 98.

<sup>3</sup> François Rabelais, *Gargantua i Pantagruel*, tłum. Tadeusz Boy-Żeleński, Kraków 2010, s. 23.

<sup>4</sup> Nie ma żadnych dokumentów na potwierdzenie, że istnieje artysta o takim nazwisku. Nie wiadomo, dlaczego Burden przekręca nazwisko piętnastowiecznego flamandzkiego malarza Hieronima Boscha (ok. 1450–1516), tym samym fabularyzując swoją autobiografię. W Zeszytcie „G”, pisząc o *Ogrodzie rozkoszy ziemskich*, Burden komentuje: „być może najwybitniejszy artysta cielesnych granic i ich onirycznych znaczeń. On i Goya”.

<sup>5</sup> Zob. Arthur Piggis, *Notatki o artystach, 1975–1990*, Nowy Jork 1996.

<sup>6</sup> Edmund Husserl (1859–1938). Niemiecki filozof, twórca fenomenologii, badania struktur świadomości z perspektywy pierwszoosobowej. W zeszytcie „H” Burden pisze o „umysłowym powinowactwie” między Kartezjuszem i Husserlem, o ich umiłowaniu matematycznych i logicznych pewników oraz o łączącym ich radykalnym zwątpieniu. „Wątpliwości Husserla – pisze Burden – nie są wątpliwościami Kartezjusza. Kartezjańskie *cogito* jest podstawą dedukcji, która wyłania się z wnętrza jaskini umysłu. *Cogito me cogitare* Husserla to świadomość jako związek ze światem i wobec świata”. Na Husserla wpływ miała idea świadomości jako strumienia Williama Jamesa, rozumiał też empatię jako drogę do intersubiektywności. Zob. Zahavi D., *Husserl’s Phenomenology*, Stanford 2003.

<sup>7</sup> Edyta Stein (1891–1942) napisała pracę doktorską pod kierunkiem Husserla, ale jej idee odchodzą od jego filozofii i pod pewnymi względami przypominają prace Maurice’a Merleau-Ponty’ego, którego Burden obszernie cytuje w swoich zeszytach. Zob. Stein E., *On the Problem of Empathy*, tłum. na j. ang. Waltraut Stein, Waszyngton 1989. Stein zredagowała tom drugi *Idei* Husserla. Urodziła się w rodzinie żydowskiej, ale po lekturze autobiografii świętej Teresy z Ávili przeżyła nawrócenie, przeszła na katolicyzm i wstąpiła do zakonu karmelitanek. Chociaż przeniosła się do Holandii, uciekając przed nazizmem, została deportowana do Oświęcimia i tam zmarła w 1942 roku. W roku 1987 została beatyfikowana.

<sup>8</sup> Wszystkie cytaty biblijne za *Biblią Tysiąclecia*, Poznań 2003.

<sup>9</sup> Flood A., *Mętna estetyka* [w:] „Art Lights”, styczeń 1979.

<sup>10</sup> Grupa powstała w 1985 roku w reakcji na wystawę *Międzynarodowy przegląd*

najnowsze malarstwa i rzeźby w Museum of Modern Art, gdzie wśród stu sześćdziesięciu dziewięciu wystawianych artystów znalazło się zaledwie siedemnaście kobiet. Guerrilla Girls organizują anonimowe protesty i akcje, aby zwrócić uwagę na seksizm i rasizm na polu sztuk wizualnych.

<sup>11</sup> W zeszycie „K” Burden poświęca siedemdziesiąt pięć stron pseudonimom Kierkegarda i jego „komunikacji pośredniej”. Z pośmiertnie wydanego *Synspunktet for min Forfatter-Virksomhed. En ligefrem Meddelelse, Rapport til Historien* Burden wynotowuje następujący cytat: „Można kogoś oszukać i odwieść od prawdy i – przypominając starego Sokratesa – można kogoś oszukać i przywieść ku prawdzie. Tak, tylko w ten sposób osobie nieświadomionej można pokazać to, co prawdziwe – oszukując ją”. (*Kierkegaard's Writings*, tom XXII, tłum. na j. ang. Howard i Edna Hong, Princeton 1989, s. 53). Burden pisze: „Droga do prawdy jest podwójna, zamaskowana, ironiczna. To moja droga, nie prosta, lecz kręta!”.

<sup>12</sup> Kierkegaard napisał osiem satyrycznych przedmów pod pseudonimem Nicolaus Notabene. Kierkegaard S., *Prefaces, Writing Sampler*, tłum. na j. ang. i oprac. Todd W. Nichol, Princeton 1987.

<sup>13</sup> Guy Debord (1931–1994), samozwańczy przywódca Międzynarodówki Sytuacjonistycznej założonej w 1957 roku. Ta grupka paryskich artystów i intelektualistów (nigdy nie miała więcej niż dwunastu członków) początkowo pragnęła zintegrować sztukę i życie w nierozróżnialną całość i wyeliminować podział na aktora i widza. W latach sześćdziesiątych krytyka kapitalizmu uprawiana przez grupę, zainspirowana ruchem anarchistycznym, wykroczyła poza sztukę i objęła całe społeczeństwo. W najsłynniejszej pracy Deborda, *Spoleczeństwo spektaklu*, wydanej w 1967 roku, twierdzi on, że życie zostało zdominowane przez obrazy, że stały się one „walutą” społeczeństwa, które bezustannie tworzy wśród ludzi „pseudopotrzeby”. Rozdarta wewnętrznymi konfliktami grupa rozwiązała się w 1972 roku. W 1994 Debord popełnił samobójstwo. Chociaż francuska prasa w dużej mierze ignorowała zarówno sytuacjonistów, jak i jego prace, po śmierci zyskał sławę.

<sup>14</sup> Guy Debord, *Spoleczeństwo spektaklu*, tłum. Mateusz Kwaterko, Warszawa 2006, s. 33.

<sup>15</sup> Mary Shelley, *Frankenstein*, tłum. Paweł Łopatka, Warszawa 2005, s. 142.

<sup>16</sup> Otwierające rozdział jedenasty zdanie z Frankensteinia Mary Shelley.

<sup>17</sup> Tamże, s. 111.

<sup>18</sup> Milton J., *Raj utracony*, księga I (554–55). Słowa wypowiedziane przez szatana. W Zeszycie „G” Burden notuje: „Szatan odsuwa swój umysł od Boga. Błuzniercze, oczywiście. Aroganckie, oczywiście. Nowoczesne, oczywiście”.

<sup>19</sup> John Milton, *Raj utracony*, tłum. Maciej Słomczyński, Kraków 2011, s. 19.

<sup>20</sup> Dickinson E., nr 754. *The Complete Poems of Emily Dickinson* pod red. Thomasa H. Johnsona, Nowy Jork 1960, s. 369.

<sup>21</sup> Emily Dickinson, *Poezje*, tłum. Ludmiła Marjańska, Toruń 2013, s. 80.

<sup>22</sup> Bertha Pappenheim to prawdziwe nazwisko Anny O., pacjentki Josefa Breuera, której przypadek figuruje w *Studiach nad histerią* Freuda i Breuera (1895). Wśród jej symptomów wymieniono tiki, silne bóle twarzy, utratę wzroku, zaniki pamięci, a nawet czasową utratę zdolności mówienia w języku ojczystym, czyli niemieckim. Kuracja Breuera polegała między innymi na tym, że pozwalał pacjentce mówić, opowiadać mu historie. To Pappenheim ukuła określenie „leczenie mową”. W analizie przypadku historia Anny O. kończy się wyleczeniem, ale prawda jest dużo bardziej skomplikowana. Breuer wysłał pacjentkę do szwajcarskiego sanatorium. U Pappenheim nadal występowały symptomy hysterii, chociaż mniej nasilone niż przed terapią u Breuera, a ponadto uzależniła się od morfiny i wodzianu chloralu. Zob. Hirschmuller A., *The Life and Work of Josef Breuer: Physiology and Psychoanalysis*, Nowy Jork 1970, s. 301–2 i Gilhooley D., *Misrepresentation and Misreading in the Case of Anna O.* [w:] „Modern Psychoanalysis” (27), nr 1. Po zwolnieniu z sanatorium w ciągu następnych pięciu lat była trzykrotnie hospitalizowana.

W liście do Zweiga Freud pisze: „Dopiero później, długo po zerwaniu naszych kontaktów, *domyśliłem się*, co naprawdę się stało z pacjentką Breuera, przypomniawszy sobie nagle coś, co Breuer mi kiedyś powiedział... Wieczorem tego dnia, kiedy wszystkie jej symptomy ustąpiły, ponownie wezwano go do pacjentki i zastał ją oszołomioną i zwijającą się od bólu brzucha. Na pytanie, co jej dolega, odpowiedziała: «Właśnie przychodzi na świat dziecko doktora B!»”. *The Letters of Sigmund Freud* pod red. E. Freuda, Nowy Jork 1960, s. 67, moje wyróżnienie. Opierając się na tym wspomnieniu, Freud przypuszcza, że Anna O. cierpiała na ciężą urojoną i że Breuer wziął nogi za pas ze względu na seksualny charakter tych symptomów. Ernest Jones potwierdza później tę wersję wydarzeń w swojej biografii Freuda, podobnie jak Peter Gay w swoim opracowaniu. Taka interpretacja dowodów jest jednak kwestionowana i Burden najwyraźniej jest dobrze zaznajomiona z przebiegiem sporu. „Przeregowali ją. Ona

miała przeredagować ich. Odwaga” to nawiązanie do późniejszych lat życia Pappenheim w roli aktywistki feministycznej. W 1888 porzuciła bogate mieszczańskie życie, które wiodła w rodzinie ortodoksyjnych Żydów w Wiedniu, i podróżowała po Europie Wschodniej, walcząc o prawa Żydówek i publikując prace na ten temat. W 1904 była współzałożycielką Żydowskiego Związku Kobiet, który organizował ośrodki medyczne i wypoczynkowe, schroniska młodzieżowe i oferował szkolenie zawodowe dla kobiet. Związek przetrwał do dziewiątego listopada 1938 roku. Wiele jego działaczek zginęło w obozach. Być może Burden nawiązuje do testamentu Pappenheim, w którym ta napisała: „Jeśli będziecie mnie pamiętać, przynieście kamyk jako cichą obietnicę i symbol utrwalenia idei i misji kobiet, których posłannictwem i radością jest nieustająca i odważna służba życiu”. Loentz E., *Let Me Continue to Speak the Truth: Bertha Pappenheim as Author and Activist*, Cincinnati 2007.

<sup>23</sup> Thomas Traherne, *Antologia angielskiej poezji metafizycznej XVII stulecia*, tłum. Stanisław Barańczak, Warszawa 1982, s. 282–3.

<sup>24</sup> Oscar Wilde, *Aforyzmy*, tłum. Marian Dobrosielski, Warszawa 1974, s. 28.

<sup>25</sup> Standardowa definicja konfabulacji w neurologii. Niektórzy pacjenci z uszkodzeniem mózgu wypełniają luki w pamięci historiami i wyjaśnieniami, które powstają nieświadomie. Burden przypisuje konfabulację nie tylko patologii, ale i szerzej – metamorficznemu charakterowi pamięci w ogóle. W zeszycie „U” Burden rozpisuje się o micie, jakoby pamięć była czymś stałym. Cytuje jedenasty rozdział *Psychologii* Williama Jamesa: „Trwała «idea», która pojawia się regularnie w strumieniu światła świadomości, jest tworem tak samo fantastycznym jak walet pik”. Burden przytacza wypowiedź Henriego Bergsona na temat pamięci, nazywając go „wrogiem wszelkich statycznych podziałów, progów i kategorii”, a także wiele prac naukowych z dziedziny neurobiologii. „Wykazanie zawodności pamięci, gdy znajduje się w stanie aktywnym, jest wsparciem dla tezy, że wspomnienia, zreorganizowane jako funkcja nowych doświadczeń, podlegają procesowi rekonsolidacji”. Sara S. J., *Przywoływanie i rekonsolidacja. Na drodze do neurobiologii pamięci*, „Neurobiology of Learning and Memory Journal” (7), 2000, s. 81.

<sup>26</sup> Merleau-Ponty M., *Fenomenologia percepcji*, tłum. na j. ang. Colin Smith, Londyn 1962, s. 39.

<sup>27</sup> Maurice Merleau-Ponty, *Fenomenologia percepcji*, tłum. Małgorzata Kowalska i Jacek Migasiński, Warszawa 2001, s. 59.

<sup>28</sup> Gottlob Frege (1848–1925), niemiecki matematyk, logik i filozof, który odcisnął wyraźne piętno na współczesnej logice matematycznej i wczesnej filozofii analitycznej, w szczególności wpływając na Bertranda Russella i Wittgensteina (*Tractatus*). „Logika istnieje na zewnątrz” to prawdopodobnie nawiązanie do słów Fregego, jakoby logika była rzeczywistością obiektywną, nie tworem ludzkiego umysłu. Według Fregego logika zajmuje się światem idealnych, nie fizycznych przedmiotów, ale te obiekty idealne mają tyleż obiektywności co przedmioty fizyczne. W zeszycie „H” Burden spisuje przemyślenia po lekturze Husserla, który był pod wpływem Fregego. Burden pisze: „Przed umysłem nie da się uciec. Jak logika może się unosić w jakiejś idealnej rzeczywistości poza ludzkim ciałem i poza ludzką intersubiektywnością? A jednak idee krążą między nami nie jako przedmioty fizyczne, lecz jako wypowiedzi i symbole”.

<sup>29</sup> Paul Virilio (ur. 1932), francuski teoretyk kultury, krytyk i urbanista obszernie piszący o technologii. Utrzymuje, że współczesne życie podlega niekończącemu się przyspieszeniu i że prędkość i światło wyparły przestrzeń i czas. Często nazywa się go myślicielem apokaliptycznym. Burden jest wyraźnie nieprzychylna jego poglądom. W zeszycie „X”, który służył jej prawdopodobnie do gromadzenia przypadkowych myśli, Burden pisze: „Ten człowiek to ni mniej, ni więcej tylko historyk w *teatralnym* sensie. Zyskał sobie zwolenników wśród ograniczonych, równie historycznych młodych mężczyzn poprzez naciąganie półprawd ku ich logicznym, ale skrajnym znaczeniom. Jest teoretycznym uosobieniem paniki”.

<sup>30</sup> Z listu Barucha [Benedictusa] Spinozy (1632–1667) datowanego na 20 listopada 1665 roku do przyjaciela, Henry’ego Oldenburga. Spinoza, *Listy*, tłum. na j. ang. Samuel Shirley, Indianapolis 1995, s. 192.

<sup>31</sup> Nietzsche F., *Wiedza radosna*, 366.

<sup>32</sup> Fryderyk Nietzsche, *Wiedza radosna*, tłum. Leopold Staff, Kraków 2003, s. 211.

<sup>33</sup> Philip A. Goldberg, *Czy kobiety są uprzedzone wobec kobiet?*, „Transactions” (5), 1968, s. 28–30. Badanie w 1983 powtórzyli Michelle A. Paludi i William D. Bauer, z udziałem zarówno kobiet, jak i mężczyzn. *Jak brzmi nazwisko autora?*, „Sex Roles” (9), nr 3, s. 387–90. Omówienie dalszych badań [w:] Valian V., *Why So Slow? The Advancement of Women*, Cambridge 1998.

<sup>34</sup> Niemiecki filozof urodzony w 1958, którego prace łączą filozofię z neurobiologią. Burden poczyniła obszerne notatki z książki redagowanej przez Metzingera *The Neural*

*Coordinates of Consciousness*, Cambridge 1995.

<sup>35</sup> Humberto R. Maturana (ur. 1928) i jego student Francisco Varela (1946–2001), chilijscy neurobiolodzy i filozofowie, współautorzy *Autopoiesis and Cognition: The Realization of the Living*, Dordrecht 1972, książki, którą Burden wspomina wielokrotnie w swoich tekstach. W zeszycie „P” cytuje z niej: „Systemy żywe są jednostkami interakcji; istnieją w pewnym otoczeniu. Z czysto biologicznego punktu widzenia nie można ich zrozumieć w oderwaniu od tej części otoczenia, z którą zachodzi interakcja, od niszy – ale też niszy nie można zdefiniować w oderwaniu od żywego systemu, który ją określa” (s. 9). To stanowisko „osadzenia, umocowania w środowisku” stanowi przeciwieństwo obliczeniowych teorii umysłu.

<sup>36</sup> Judith Leyster (1609–1660), holenderska malarka epoki baroku, członkini haarlemskiej Gildii Świętego Łukasza, ceniona za życia, lecz zapomniana po śmierci. Ze względu na podobieństwo jej prac do malarstwa Fransa Halsa wiele jej płócien przypisywano jemu. W 1893 Luwr zakupił obraz, który miał być dziełem Halsa, a okazał się płótnem Leyster. To odkrycie pomogło odbudować jej artystyczną reputację.

<sup>37</sup> Emily Brontë, *Wichrowe Wzgórza*, tłum. Janina Sujkowska, Kraków 2006, s. 62.

<sup>38</sup> Søren Kierkegaard, *Dziennik uwodziciela*, tłum. Marek Hammermeister, Gdańsk 2015, s. 393.

<sup>39</sup> Burden porównuje rolę, którą ma odegrać dla niej Rune, do tego, w jaki sposób Kierkegaard posłużył się Johannesem, piszącym pod pseudonimem autorem *Dziennika uwodziciela*, ostatniego rozdziału pierwszej części *Albo – albo*. W dzienniku Johannes pisze o uwiedzeniu Kordelii, co osiąga z taką finezją, że w mniemaniu Kordelii to ona stara się o jego względy. Część pierwsza to „cebula” pseudonimowości. Wydawca, Viktor Eremita, pisze słowo wstępne do części pierwszej. A to bohater przyjmujący punkt widzenia estety w pierwszym tomie, który ogłasza się wydawcą *Dziennika uwodziciela*, ale nie jego autorem. W ślad za Eremitą Burden wie, że Johannes jest fikcyjną postacią stworzoną przez A, pseudonimem pseudonimu, „metaforą”, i „mitem” reprezentującym skrajne stanowisko estetyczne refleksji. A jest przerażony własnym wymysłem. W słowie wstępnym Eremita pisze: „W istocie wygląda to tak, jak gdyby A przestraszył się swojego utworu, który niczym niespokojny sen nie przestał go przerażać, tak jak wtedy, podczas pisania”. (*Kierkegaard's Writings*, tom III, s. 9).

<sup>40</sup> Fragment przedmowy Eremity w przypisie: tamże, s. 18.

<sup>41</sup> Kierkegaard poznał Reginę Olsen w 1837, kiedy miał dwadzieścia cztery lata, a ona

czternaście. Zaręczyli się w 1840, ale rok później Kierkegaard zerwał zaręczyny, pozostawiając Reginę, jak wynika ze źródeł, w rozpacz. Kierkegaard pisze: „Nie pozostało mi zatem nic innego, jak spróbować posunąć się do ostateczności, wesprzeć ją, jeśli to możliwe, oszustwem, zrobić wszystko, żeby jej siebie zohydzić i rozniecić w niej na nowo dumę”. Cyt. za: Garff J., *Søren Kierkegaard: A Biography*, Princeton 2005, s. 186. Chociaż wielokrotnie w dziennikach deklaruje do niej swoją miłość, powód jego wycofania się z obietnicy jest tematem niekończących się naukowych spekulacji. Pomimo fascynacji Kierkegaardem Burden uważała relacje S.K. z Reginą za „chore”. W zeszycie „K” pisze: „Regina zajmuje odległą przestrzeń zarezerwowaną dla wszystkich wybranek serca i muz. Biedna Regina! Biedna Kordelia! Ja odwracam role!”.

<sup>42</sup> Tamże, s. 393.

<sup>43</sup> Pojęcie rodzaju naturalnego zostało wprowadzone przez Johna Stuarta Milla w 1895. *Philosophy of Scientific Method*, pod red. E. Nagela, Nowy Jork 1950, s. 303–4. Termin ten sugeruje, że w naturze występują kategorie niezależne od tych stworzonych przez człowieka. Jest przedmiotem dyskusji w filozofii analitycznej, czy rodzaje naturalne w ogóle istnieją, a częścią tej debaty jest pytanie, czy jednym z rodzajów naturalnych jest płęć.

<sup>44</sup> Burden parafrazuje Husserla. Filozof ten podaje słuchanie muzyki jako podstawowy przykład subiektywnego doświadczenia czasu, z którym wiąże się więcej niż bezpośrednio terażniejszość. Wiąże się z nim także następstwo i trwanie. *Fenomenologia wewnętrznej świadomości czasu*, Bloomington 1966.

<sup>45</sup> *Dziennik Samuela Pepysa*, tłum. Maria Dąbrowska, Warszawa 1966, s. 315.

<sup>46</sup> Z okazji wizyty Cavendish w Towarzystwie Królewskim John Evelyn, pamiętnikarz z tamtych czasów i przyjaciel Samuela Pepysa, ułożył balladę: „Boże przenajświętszy! / Gdym ją zoczył raz pierwszy, / Jak kawaler wyglądała, / Jedynie brody nie miała”. Cyt. za: Rees E.L.E., *Margaret Cavendish: Gender, Genre, Exile*, Manchester 2003, s. 13.

<sup>47</sup> Jonathan Swift, *Podróże Guliwera*, tłumacz nieznany, Warszawa 1971, s. 38.

<sup>48</sup> Vernor Vinge po raz pierwszy przedstawił swe poglądy na temat technologicznej osobliwości na sponsorowanym przez NASA sympozjum Vision-21 w dniach 30–31 marca 1993. Przegląd prowadzonej dyskusji na ten temat znajduje się w: *Technologiczna osobliwość: tocząca się debata, część druga* [w:] „Journal of Consciousness Studies” (19) 2012, nr 7–8.

<sup>49</sup> Obliczeniowa teoria umysłu (CTM – *computational theory of mind*) wysuwa tezę, że

umysł funkcjonuje jak komputer poprzez opartą na regułach manipulację symbolami. Putnam H., *Mózg i zachowania* (1961) [w:] *Readings in Philosophy of Psychology*, tom 1, pod red. Block N., Cambridge 1980, s. 24–36 i Fodor J., *The Language of Thought*, Nowy Jork 1975. W zeszycie „T” Burden krytykuje uczonych i filozofów, którzy przyjęli ten model, nie bierze on bowiem pod uwagę „mózgu jako mokrego narządu całego ciała” i „pomija przewodnią wiedzę emocjonalną”. Nazywa też CTM „przemycną formą kartezjańskiego dualizmu” i cytuje krytykę tej teorii autorstwa Huberta Dreyfusa w *What Computers Still Can't Do*, Cambridge 1992.

<sup>50</sup> Gaston Bachelard, *Poetyka marzenia*, tłum. Leszek Brogowski, Gdańsk 1998, s. 27.

<sup>51</sup> Fryderyk Nietzsche, *Tako rzecze Zaratustra*, tłum. Waław Berent, Kraków 2014, s. 9.

<sup>52</sup> Ballard J.G., *The Day of Creation*, Nowy Jork 1987, s. 64.

<sup>53</sup> Ballard J.G., *The Atrocity Exhibition*, Londyn 1990, s. 27.

<sup>54</sup> Philip K. Dick, *Valis*, tłum. Lech Jęczmyk, Poznań 1997, s. 182.

<sup>55</sup> Popularny cytat na temat arystotelesowskiej logiki to wypowiedź bohatera powieści Dicka pod tytułem *Valis*, nie samego Dicka. W swoich notatkach Burden często powraca do czegoś, co nazywa „ograniczeniami logiki”. Jej próba wciągnięcia Rune’a do dyskusji o różnych formach logiki nie udaje się. Logika Boole’a, od nazwiska dziewiętnastowiecznego matematyka George’a Boole’a, to algebraiczny system dwójkowy, w którym wszystkie wartości można sprowadzić do prawdy lub fałszu – logika o fundamentalnym znaczeniu przy projektowaniu komputerów. Parakonsystentne trójwartościowe systemy logiczne mają w zamierzeniu zachowywać formy logiki tradycyjnej, ale dopuszczają też niespójności: „nieznane lub niejednoznaczne”. W roku 1931 twierdzenie o niezupełności Kurta Gödla wykazywało, że żaden system matematyczny lub logiczny nie może być jednocześnie spójny i kompletny, musi bowiem opierać się na nieudowodnionych założeniach, które leżą poza systemem.

<sup>56</sup> „Naddeterminacja: pojęcie oznaczające, że wytwory nieświadomości (symptomy, sny itd.) można przypisać wielu rozmaitym czynnikom determinującym”. Laplanche J. i Pontalis J.-B., *The Language of Psychoanalysis*, Nowy Jork 1973, s. 292. To nagłe pojawienie się w jej głowie nazwiska Brickman, sugeruje Burden, miało różnorodne nieświadome źródła.

<sup>57</sup> Historyk sztuki Aby Warburg (1866–1929) wymyślił termin *Pathosformel* do opisanie emotywniej zawartości wizualnych form ekspresji. Dla Warburga dzieła sztuki mają ładunek energetyczny wyrażany językiem gestów. Zob. Warburg A., *The Renewal of Pagan Antiquity: Contributions to the Cultural History of the European Renaissance*, tłum. na j. ang. David Britt,



Los Angeles 1999.

<sup>58</sup> Burden nawiązuje do rozdziału o dialektyce pana i niewolnika w *Fenomenologii ducha* Hegla, w której filozof twierdzi, że samowiedza może się wykuć jedynie w walce na śmierć i życie jednego z drugim.

<sup>59</sup> Termin „performatywność” ukuła Judith Butler: „(...) kulturowa płęć okazuje się performatywna – to jest konstytuująca tożsamość, którą sama jakoby jest. W tym sensie kulturowa płęć jest zawsze czynnością, lecz nie czynnością podmiotu, który miałby poprzedzać swój czyn”. [w:] *Uwikłani w płęć*, Nowy Jork 1990, s. 25.

<sup>60</sup> Cytat w przypisie: Judith Butler, *Uwikłani w płęć*, tłum. Karolina Krasuska, Warszawa 2008, s. 80.

<sup>61</sup> Fragment wiersza 411 Emily Dickinson w przekładzie Krystyny Lenkowskiej.

<sup>62</sup> Burden jako Brickman nawiązuje do poststrukturalistycznej kontynentalnej teorii, wedle której percepcja rzeczy w świecie jest tworzona (konstruowana) społecznie i podtrzymywana w tradycji kulturowej. Jeśli, jak wskazują najnowsze badania, ludzką percepcję kształtują oczekiwania, konstrukcyjniści, jak twierdzi Brickman, nie są pozbawieni racji.

<sup>63</sup> Zespół widzenia mimo ślepoty to nazwa syndromu, w którym pomimo uszkodzeń w polu prążkowym pacjenci zachowują do pewnego stopnia zdolność widzenia, choć twierdzą, że nic nie widzą. Poproszeni o rozpoznanie podstawionego przedmiotu pacjenci zgadują prawidłowo znacznie częściej, niż gdyby miał o tym decydować przypadek, co oznacza, że są pozbawieni świadomości przedmiotu, który zarejestrowali wewnątrznie. Zob. Weiskrantz L., *Blindsight Revisited*, „Current Opinion in Neurobiology” (6) 1996, s. 215–220. W analizie maskowania wizualnego bodziec wizualny, „cel”, staje się mniej widzialny za sprawą interakcji z innymi bodźcami, które są nazywane „maskami”. Na przykład gdy oglądającemu przedstawiony zostaje bodziec celowy, a zaraz po nim maska, cel staje się niewidzialny. Jednakowoż badania wykazały, że zawartość obrazu celowego może mieć na badanego wpływ podprogowy. Zob. Hannula i in., *Masking and Implicit Perception*, „Nature Reviews Neuroscience” (6) 2005, s. 247–55.

<sup>64</sup> List Brickmana można uznać za ironiczny żart jako całość, ale kryje on także mnóstwo ironicznych podtekstów. Brickman ani razu nie wymienia nazwiska Kierkegaarda, ale nawiązanie do „tłumu” w przytoczonym fragmencie, rzekomo głosie samej Burden (przekaz bezpośredni), musi być odczytane jako aluzja do duńskiego filozofa, który pisze w *Synspunktet for min*

*Forfatter-Virksomhed*: „Nawet ludzie o dobrym sercu, szlachetni, zmieniają się całkowicie, gdy tylko stają się «tłumem»... Trzeba to widzieć z bliska, bezdusność, z jaką ci poza tym dobrzy ludzie zachowują się jako publiczność, bowiem ich uczestnictwo lub nieuczestnictwo wydaje im się błahostką – błahostką, która przy współdziałaniu innych staje się potworem” (*Kierkegaard's Writings*, tom XXII, s. 65). Jej komentarze na temat Kierkegarda i „tłumu” w zeszycie „K” sugerują, że Burden naigrawa się z wyniosłego, autorskiego tonu Brickmana, gdy ten mówi o „retorycznej przesadzie”. Język Brickmana stanowi powściągliwy kontekst dla wulgarności i pasji cytatu.

<sup>65</sup> Stwierdzenie Brickmana, że Burden jest „radykałem”, współgra z poglądami wielu socjobiologów ewolucyjnych, którzy zajmują stanowisko esencjalistyczne w kwestii różnic płciowych. Burden nie odrzuca jednak biologicznych różnic płciowych. W zeszycie „F” wskazuje, że poza oczywistymi różnicami reprodukcyjnymi między płciami, wszystkie pozostałe, o ile istnieją, pozostają nieznane. Nawiązuje do rozkwitającej dyscypliny zwanej epigenetyką i „swobodnych relacji między doświadczeniem a ekspresją genu”.

<sup>66</sup> Ten akapit jest tak skondensowany, że ociera się o parodię. Ale nawet nieco enigmatyczne odniesienia nie są fikcyjne. W.T.H. Myers interesował się parapsychologią i przyjaźnił z Williamem Jamesem, który opowiadał się za „podprogowym ja” w swoim magnum opus, *Human Personality and Its Survival of Bodily Death*, Londyn 1906. Pierre Janet, neurolog i filozof, żył w tym samym czasie co Sigmund Freud. Mimo iż jego idea dysocjacji przetrwała w psychiatrii, jako myśliciel do niedawna był w zasadzie zapomniany. Zob. *The Major Symptoms of Hysteria: Fifteen Lectures Given in the Medical School of Harvard University*, Londyn 1907. Jaźń pierwotna lub rdzeniowa występuje w badaniach neuronaukowych. W zeszycie „P” Burden zrobiła notatki na temat *Affective Neuroscience* Jaaka Pankseppa, Oxford 1998, s. 309–14. Pauli Pylkkö jest autorem *The Aconceptual Mind: Heideggerian Themes in Holistic Naturalism*, Amsterdam 1998. Nie jest jasne, które teksty autorstwa Siri Hustvedt Brickman/Burden ma na myśli, chociaż w zeszycie „H” odnotowuje, że powieść tej pisarki pod tytułem *Na oślepie* jest „tekstualnym transwestytą” oraz „książką niesamowitości w typie Freuda”. Końcowy komentarz Brickmana o „irracjonalności” może wyjaśnić sama Burden. W zeszycie „F” pisze: „W historii Zachodu kobiety nieustannie uciszano, dławiono i podduszano słowem «irracjonalna»”.

<sup>67</sup> Milton J., *Comus*, s. 388.

<sup>68</sup> *Complete Poems of Emily Dickinson*, 372. Ta linijka jest cytatem z wiersza, który

zaczyna się od słów: „Wielki ból zastępuje rutyna cierpienia...”.

<sup>69</sup> Fragment wiersza 372 Emily Dickinson w przekładzie Stanisława Barańczaka.

<sup>70</sup> Ajschylos, *Oresteja*, tłum. Jan Kasprowicz, Warszawa 1925, s. 11.

<sup>71</sup> Fragment wiersza 1120 Emily Dickinson w przekładzie Krystyny Lenkowskiej.

<sup>72</sup> Jean Baudrillard, *Symulakry i symulacja*, tłum. Sławomir Królak, Warszawa 2005, s. 150.

<sup>73</sup> Lord E., *Mniej niż ja*, „The Paradoxical Review” (28) wiosna/lato 2003.

<sup>74</sup> R.B. to zapewne Richard Brickman. Kwestia „innych” pozostaje otwarta, ale wydaje się możliwe, a nawet prawdopodobne, że Burden publikowała w różnych czasopismach artykuły pod innymi nazwiskami.

<sup>75</sup> Fragmenty *Raju utraconego* Johna Milтона w przekładzie Macieja Słomczyńskiego, Kraków 2011.

<sup>76</sup> *Dziecko jest bite* (oryg.: *Ein Kind wird geschlagen*, 1919) [w:] *The Standard Edition of the Complete Psychological Works of Sigmund Freud*, tom XVII, Londyn 1955, s. 179–204.

<sup>77</sup> Cyt. za: Sarasohn L.T., *The Natural Philosophy of Margaret Cavendish: Reason and Fancy During the Scientific Revolution*, Baltimore 2010, s. 41.

<sup>78</sup> W *Sociable Letters* wydanych w 1664 roku Cavendish koresponduje z wymyśloną przyjaciółką. W liście CXLIII informuje swoją korespondentkę o tym, że ma w zwyczaju przechowywać kopie manuskryptów, dopóki nie zostaną bezpiecznie wydane drukiem, a potem je palić: „Azali ich Papierowe Ciała są trawione, niczym rzymscy cesarze, wśród pogrzebowych płomieni, rzec nie mogę, i czy wzlatuje z nich orzeł czy przemieniają się w Gwiazdę Płonącą, chociaż gdy goreją, bije z nich wielkie Płonące Światło; oddając zatem te kwestie Waszej Aprobacji lub Potępieniu, pozostaję, Pani, Waszą wierną Przyjaciółką i Służebnicą, CL”. *Paper Bodies: A Margaret Cavendish Reader*, pod red. S. Bowerbank i S. Mendelson, Toronto 2000, s. 81–82.

<sup>79</sup> Cavendish M., *Observations upon Experimental Philosophy* (1668) pod red. E. O’Neill, Cambridge 2001, s. 12–13.

<sup>80</sup> Nie udało mi się odszukać żadnego tekstu A.C. Robinsona, który można by przypisać Burden. Artykuł Lestera Bone’a *Filozoficzna analiza emocjonalnego źródła kreatywności* pojawił się w „Science and Philosophy Forum” (9) 2001. Odnalezienie Bone’a okazało się niemożliwe, bowiem dane o uczelni, z którą rzekomo miał być związany, były fikcyjne. Tekst

prawdopodobnie napisała Burden, jako że cytuje się w nim uczonych i naukowców z wielu dziedzin.

<sup>81</sup> Pessoa F., *The Book of Disquiet*, tłum. na j. ang. R. Zenith, Nowy Jork 2002.

Heteronim, który Pessoa stosował w tej książce, brzmi Bernardo Soares.

<sup>82</sup> Fernando Pessoa, *Księga niepokoju*, tłum. Michał Lipszyc, Izabelin 2007, s. 303.

<sup>83</sup> Milton J., *Raj utracony*, księga VIII, s. 17–18.